



PHILIP PULLMAN

KSIĘGA PROCHU

TAJEMNA
WSPÓLNOTA

Philip Pullman

TAJEMNA WSPÓLNOTA

Księga Prochu
tom II

Przełożył Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2020

Spis treści

Od autora

1. Księżyc świeci, krew się leje
 2. Ich ubrania pachniały różami
 3. Bagaż z przechowalni
 4. Kolegialne srebra
 5. Dziennik doktora Straussa
 6. Pani Lonsdale
 7. Hannah Relf
 8. Little Clarendon Street
 9. Alchemik
 10. Sala Linneusza
 11. Węzeł
 12. Śmierć pani Księżyc
 13. Zeppelin
 14. Café Cosmopolitain
 15. Listy
 16. Lignum vitae
 17. Górnicy
 18. Malcolm w Genewie
 19. Profesor od pewników
 20. Człowiek-piec
 21. Pojmanie i ucieczka
 22. Zamach na patriarchę
 23. Prom do Smyrny
 24. Bazar
 25. Księżna Cantacuzino
 26. Bractwo świętego zamierzenia
 27. Café Antalya
 28. Myriorama
 29. Wieści z Taszbułaku
 30. Norman i Barry
 31. Pałka
 32. Gościnność
 33. Umarłe miasto
- Podziękowania

Tytuł oryginału: *The Book of Dust Volume II. The Secret Commonwealth*

Copyright © 2019 by Philip Pullman

Copyright for the Polish translation © 2020 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Anna Włodarkiewicz

Korekta: Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 13 25 19

www.mag.com.pl

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-675-6

Warszawa 2020

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Nickowi Messengerowi,
znakomitemu poecie i niezłomnemu przyjacielowi*

OD AUTORA

Tajemna wspólnota jest drugim tomem *Księgi Prochu*. Jego główna bohaterka, Lyra Złotousta, znana dawniej jako Lyra Belacqua, była również bohaterką poprzedniego cyklu powieściowego, zatytułowanego *Mroczne materie*; jej imię było zarazem pierwszym i ostatnim słowem w tamtej trylogii. Miała w niej około jedenastu, dwunastu lat.

W pierwszym tomie *Księgi Prochu*, zatytułowanym *La Belle Sauvage*, Lyra była niemowlęciem i choć odegrała w całej historii ważną rolę, na pierwszy plan wysunął się chłopiec nazwiskiem Malcolm Polstead, podówczas mniej więcej jedenastoletni.

W książce, którą trzymacie w rękach, przeskakujemy w przód o jakieś dwadzieścia lat. Od zdarzeń opisanych w *Mrocznych materiach* upłynęło dziesięć lat, Malcolm i Lyra są już dorośli. Wypadki przedstawione w *La Belle Sauvage* są jeszcze bardziej odległe w czasie.

Wydarzenia mają jednak swoje konsekwencje i bywa, że skutki dawno podjętych działań nieprędko objawiają się w całej okazałości. Tymczasem świat pędzi naprzód, równowaga sił i wpływów nieustannie się zmienia, a problemy i zainteresowania ludzi dorosłych niekoniecznie pokrywają się z tymi, które zaprzętały ich, gdy byli młodzi. Jak już powiedziałem – Lyra i Malcolm nie są już dziećmi.

Philip Pullman

Każda rzecz, w którą można uwierzyć, jest jakimś obrazem prawdy.

William Blake (przeł. W. Juszcak)

1

Księżyc świeci, krew się leje

Pantalaimon – dajmon Lyry Belacquy, obecnie znanej jako Lyra Złotousta – leżał na parapecie okna w jej pokoiku w Kolegium Świętej Zofii w stanie jak najdalej posuniętego niemyślenia. Był świadomy zimna ciągnącego od nieszczelnego podnoszonego okna, ciepła lampy naftowej stojącej na biurku, zgrzytu pióra Lyry i ciemności panującej na dworze. W tej chwili najbardziej pragnął właśnie zimna i ciemności. Leżąc na parapecie, obracał się w taki sposób, by przeciąg ziębił mu na przemian to brzuch, to grzbiet, aż w końcu pragnienie wyjścia na zewnątrz stało się silniejsze niż niechęć do rozmowy z Lyrą.

– Otwórz okno – powiedział w końcu. – Chcę wyjść.

Pióro Lyry znieruchomiło. Odsunęła krzesło i wstała. Pantalaimon spojrział na jej odbicie w szybie, zawieszona ponad oksfordzką nocą. Widział malujący się na jej twarzy wyraz buntowniczego niezadowolenia.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – dodał. – Oczywiście, że będę ostrożny. Nie jestem głupi.

– Pod pewnymi względami jesteś – odparła.

Sięgnęła ręką ponad jego grzbietem, podniosła połówkę okna do góry i podparła ją pierwszą z brzegu książką.

– Nie... – zaczął Pantalaimon.

– Wiem, wiem, mam nie zamykać okna, tylko siedzieć tu i marznąć, aż zechcesz wrócić do domu. Ja naprawdę nie jestem głupia. No już, wynocha.

Wymknął się płynnym ruchem na dwór i przepadł w bluszczu porastającym mury kolegium. Do uszu Lyry dobiegł ledwie uchwytny szelest, a i to tylko przelotnie. Pantalaimonowi nie podobało się to, jak ze sobą rozmawiają, a właściwie jak nie rozmawiają. Poza tą krótką wymianą zdań przez cały dzień w ogóle się do siebie nie odzywali, ale żadne z nich nie wiedziało, co na to poradzić.

Schodząc po murze, złowił mysz w ostre jak igiełki zęby; zastanawiał się przez chwilę, czy by jej nie zjeść, ale ostatecznie postanowił zrobić jej niespodziankę i ją wypuścić. Przycupnął na grubej gałęzi bluszczu, rozkoszując się napływającymi zapachami, kapryśnymi podmuchami powietrza, otaczającą go zewsząd nocą.

Musiał być ostrożny – z dwóch powodów. Pierwszym z nich była plama kremowo-białego futra na szyi, nadzwyczaj niefortunnie kontrastująca z resztą jego rudobrazowej sierści. To jednak nie był wielki problem, wystarczyło spuścić łebek albo po prostu szybko biec, żeby plama nie rzuciła się w oczy. Za to drugi powód do ostrożności był znacznie poważniejszy: ktokolwiek zobaczyłby Pantalaimona, nawet przez moment nie wzięłby go za zwykłą kunę leśną. Owszem, z wyglądu absolutnie

niczym się od niej nie różnił, był jednak dajmonem i choć trudno byłoby stwierdzić, na czym dokładnie polega różnica, każda istota ludzka w świecie Lyry natychmiast rozpoznałaby w nim dajmona z taką samą łatwością, z jaką rozpoznawała zapach kawy albo kolor czerwony.

A człowiek bez dajmona albo dajmon, którego człowieka nigdzie w pobliżu nie było widać, byli czymś niepokojącym, upiornym, niemieszczącym się w głowie. Przeciętny człowiek nie był w stanie oddalić się zbyt od swojego dajmona (choćby mówił się, że wiemy to potrafia). Wyróżniająca Lyrę i Pantalaimona umiejętność – za którą osiem lat wcześniej, w krainie umarłych, przyszło im zapłacić wysoką cenę – była zatem czymś absolutnie niezwykłym i wyjątkowym. Od powrotu z tamtej niezwykłej wprawy do Oksfordu nikomu o tym nie mówili i nadzwyczaj pieczołowicie strzegli swojego sekretu. Zdarzało się jednak – ostatnio coraz częściej – że po prostu czasem musieli od siebie odpocząć.

Dlatego teraz Pan trzymał się w cieniu, przemykając wśród krzewów i wysokiej trawy na obrzeżach schludnie wykoszonego Parku Uniwersyteckiego. Poruszał się bezszelestnie, ze spuszczonego łebkiem, i chłonał noc wszystkimi zmysłami. Po wcześniejszym deszczu ziemia była miękka i wilgotna. Natrafiwszy na placek błota, przykucnął i wytarzał pierś i szyję w brudnej brei, żeby zamaskować zdradziecką kremowo-białą plamę.

Wyszedł z parku i przebiegł na drugą stronę Banbury Road – wybrał moment, w którym na chodniku nie było przechodniów, a w oddali majaczył jeden samotny pojazd – po czym wśliznął się do ogrodu przed jednym ze stojących tam dużych domów. Przeciskał się przez żywopłoty, przeskakiwał murki, czołgał się pod parkanami i przemykał po trawnikach, kierując się w stronę odległego o kilka przecznic Jericho i kanału.

Na błotnistej ścieżce holowniczej poczuł się bezpieczniej: miał tu pod dostatkiem krzaków i wysokich traw, żeby się ukryć, a także drzew, po których potrafił się wspinać równie szybko jak płomyk po loncie. Tę właśnie na wpół dziką część miasta lubił najbardziej. Znał na wylot wszystkie szlaki wodne przecinające Oksford wzdłuż i w poprzek; zdarzało mu się pływać nie tylko w kanale, ale także w samej Tamizie, jej dopływie Cherwell i rozlicznych mniejszych strumieniach oddzielonych od głównego nurtu rzeki, by napędzać młyny czy zasilać ozdobne stawki. Niektóre z nich zapadały się pod ziemię i znikwały na pozór bez śladu, by ponownie objawić się za murem jakiegoś kolegium, cmentarza albo browaru.

W miejscu, gdzie jeden z tych strumyków płynął równolegle do kanału, oddzielony od niego tylko ścieżką holowniczą, Pan przeszedł po żelaznym mostku na jego drugą stronę i dalej, wzdłuż jego biegu, aż dotarł na rozległy otwarty teren ogródków działkowych. Na północ od niego znajdował się teraz teren targu bydłęcego zwany Oxpens, na zachód zaś ulokowana przy dworcu kolejowym sortownia pocztowa.

Księżyc był w pełni, pośród pędzących po niebie pasm chmur migotały gwiazdy. Światło mogło nieść ze sobą zagrożenie, ale Pan uwielbiał tę jego chłodną, srebrzystą jasność. Błądził po działkach, prześlizgiwał się pomiędzy łądogami brukselki, pękami szczypioru cebuli, liśćmi szpinaku i główkami kalafiorów, aż dotarł do szopy na narzędzia. Wskoczył na górę i wyciągnął się na płask na twardym, wyłożonym papą dachu, skąd ponad rozległą połacią łąk wzrok sięgał aż do sortowni.

Sortownia była jedynym miejscem w mieście, które o tej porze tętniło życiem. Nieraz przychodzili tu z Lyrą, by patrzeć, jak pociągi przybywają z północy i południa i zatrzymują się przy peronie w kłębach pary, a pracownicy poczty wyładowują z nich worki listów i paczek, przekładają je do wielgachnych koszy na kółkach i przewożą do ogromnej hali o metalowych ścianach, skąd przesyłki adresowane do Londynu i dalej, na kontynent, trafiały na pokład pierwszego porannego zeppelinu. Unieruchomiony statek powietrzny czekał nieopodal, kołysząc się i szarpiąc w porywach wiatru, przeprowadzone z dziobu i rufy cumy trzeszczały z wysiłku i dźwięcznie tłukły się o maszt. Wszędzie świeciły się lampy: na peronie, na maszcie cumowniczym, nad wrotami sortowni. Przetaczane wagony turkotały na bocznicę. Gdzieś niedaleko trzasnęły zamykane stalowe drzwi.

Coś poruszyło się na działkach z prawej strony i Pantalaimon bardzo wolno obrócił łebek w tym kierunku. Przez grządkę kapusty lub brokułów skradał się kot, mając na oku mysz. Zanim jednak zdążył się na nią rzucić, cichy biały kształt, większy od Pantalaimona, spadł z nieba, porwał mysz i natychmiast wzbił się poza zasięg kocich pazurów. Skrzydła zatrzepotały bezgłośnie i sowa wróciła na jedno z drzew przy Paradise Square. Kot przysiadł na chwilę, jakby musiał przemyśleć tę sytuację, po czym wrócił do łowów w warzywniku.

Księżyc wspiął się tymczasem wysoko na niebo i świecił bardzo jasno, prawie w ogóle niezastłonięty przez chmury. Ze swojego punktu obserwacyjnego Pan doskonale widział każdy szczegół ogródków działkowych i targu bydłowego: szklarnie, strachy na wróble, zrobione z ocynkowanych prętów zagrody dla bydła, beczki z wodą, płoty (spróchniałe i grożące runięciem, ale także te stojące prosto i świeżo pomalowane), pęki powiązanych tyczek do grochu przypominające nagie szkielety indiańskich tipi – a wszystko to nieme jak scena przygotowana na występ widmowej trupy teatralnej.

– Co się z nami stało, Lyro? – mruknął szeptem.

Nikt mu nie odpowiedział.

Rozładunek pociągu pocztowego dobiegł końca. Lokomotywa gwizdnęła krótko, szarpnęła i pociąg ruszył. Zamiast jednak kierować się na tor biegnący na południe, na drugi brzeg rzeki, tuż przy granicy działek, podjechał kawałek do przodu, po czym wolniutko, z donośnym szczękiem i klekotem wagonów, wycofał się na bocznicę. Zimny wiatr rwał na strzępy otulające lokomotywę obfite kłęby pary.

Zza rzeki, widoczny pomiędzy drzewami, nadjeżdżał już kolejny pociąg – zapewne podmiejski z Reading, domyślił się Pan. Nie przewoził poczty i zamiast zatrzymać się przy sortowni, pokonał kolejne trzysta jardów, wjechał na peron dworca i dopiero tam stanął wśród odległego syczenia pary i przytłumionego pisku hamulców.

Poruszało się coś jeszcze.

Na lewo od Pantalaimona, gdzie przez rzekę przerzucony był żelazny most, jakiś człowiek szedł jej brzegiem wśród gęsto rosnącego sitowia. Poruszał się dziarskim krokiem, w wyraźnym pośpiechu.

Pan w mgnieniu oka ześliznął się z dachu i bezszelestnie pomknął w stronę intruza, przecinając grządki cebuli i równe szeregi kapusty. Przepchnął się przez ogrodzenie, przeczołgał pod rdzewiejącym zbiornikiem na wodę i znalazł się na skraju ogródków działkowych, skąd – przez dziurę w płocie po wyłamanej sztachecie – miał

widok na rozpościerającą się dalej łąkę.

Mężczyzna kierował się w stronę sortowni. W miarę przybliżania się do celu zwalniał kroku i szedł coraz ostrożniej, aż w końcu przystanął obok wierzby w odległości około stu jardów od furtki, niemal dokładnie naprzeciw przycupniętego pod płótem Pantalaimona. Nawet bystre ślepia kuny ledwie były go w stanie wysledzić w półmroku; gdyby Pan na chwilę odwrócił wzrok, straciłby nieznanego z oczu.

Nagle – nicość. Jakby tamten po prostu zniknął. Upłynęła minuta, druga... Za plecami Pana, w mieście, dzwony zaczęły wybijać godzinę, po dwa uderzenia: pół do pierwszej.

Przeniósł wzrok dalej, na drzewa nad rzeką. Odrobinę na lewo od wierzby rósł stary dąb, nagi i surowy w swojej zimowej bezlistności. Na prawo zaś...

Na prawo od wierzby samotna sylwetka wspinała się właśnie na furtkę sortowni od jej wewnętrznej strony. Zeskoczyła na ziemię i pośpieszyła wzdłuż rzeki w stronę wierzby, gdzie czekał pierwszy z intruzów.

Chmura przesłoniła księżyc. Korzystając z gęstszego mroku, Pan prześliznął się pod ogrodzeniem i sadząc w mokrej trawie wielkie susy, popędził w stronę dębu. Starał się przy tym zbytnio nie wychylać, bo miał w pamięci nie tylko czającego się w ukryciu nieznanego, ale też wielką białą sowę. Dopadł do drzewa, dał susa w górę, wczepił się pazurami w korę i wspiął na gałąź, z której dobrze widział wierzbę – zwłaszcza że w tej akurat chwili księżyc znów wyjrzał zza chmur.

Człowiek z sortowni szybko zbliżał się do wierzby, był już prawie przy niej. Zwolnił kroku i przepatrywał cienie, gdy z półmroku znienacka wynurzył się pierwszy nieznanomy i powiedział coś półgłosem. Ten z sortowni odpowiedział mu w podobny sposób i obaj przepadli w ciemności. Byli za daleko, żeby Pan mógł podsłuchać, co mówią, ale po tonie głosów dało się poznać, że jest to umówione spotkanie dwójki wspólników.

Obaj mieli psie dajmony: jeden przypominał mastyfa, drugi był mniejszy i miał krótkie łapy. Psy nie mogły wspiąć się na drzewo, ale mogły zwęszyć Pantalaimona. Przywarł do swojego konara i zupełnie się na nim rozpląszczył. Słyszał szepty mężczyzn, nadal jednak nie rozumiał ani słowa.

Pomiędzy okalającym sortownię wysokim ogrodzeniem z siatki i rzeką biegła ścieżka, prowadząca z łąki obok działek ku dworcowi kolejowemu – naturalna droga na dworzec od strony St Ebbes i domów stłoczonych przy wąskich uliczkach w pobliżu gazowni. Siedzący na dębie Pantalaimon miał lepszy widok niż spiskujący na dole mężczyźni i wcześniej od nich zauważył, że od strony dworca ktoś się zbliża: kolejny samotny mężczyzna w kurtce z postawionym kołnierzem.

– Ćśś – dobiegło z cienia wierzby. Spiskowcy również zauważyli intruza.

Wcześniej tego samego dnia w eleganckim siedemnastowiecznym domu nieopodal katedry Świętego Piotra w Genewie spotkali się dwaj mężczyźni. Rozmawiali w pełnym książek pokoju na piętrze, którego okna wychodziły na cichą uliczkę skąpaną w surowym świetle zimowego popołudnia. Na długim mahoniowym

stole leżały notatniki, podkładki z suszkami, pióra i ołówki, stały też szklanki i karafki z wodą, ale rozmówcy rozsiedli się na wygodnych fotelach po bokach kominka, w którym płonął ogień.

Gospodarzem był Marcel Delamare, sekretarz generalny organizacji zawdzięczającej swoją nieoficjalną nazwę budynkowi, w którym spotkanie się odbywało: La Maison Juste. Delamare miał nieco ponad czterdzieści lat, był zadbany, elegancki, nosił okulary i znakomicie skrojony ciemnoszary garnitur pod kolor włosów. Jego dajmon – siedząca na oparciu fotela sowa śnieżna – utkwił spojrzenie żółtych ślepi w drugim dajmonie, szkarłatnym wężu oplatającym palce i dłonie jego rozmówcy. Pierre Binaud – sześćdziesięcioparoletni surowy mężczyzna w księżej koloratce – był Najwyższym Sędzią Sądu Konsystorskiego, głównego urzędu Magisterium odpowiedzialnego za bezpieczeństwo i egzekwowanie dyscypliny.

– Słucham – powiedział Binaud.

– Zaginął kolejny członek personelu naukowego z ośrodka nad Łob-nor – odparł Delamare.

– Co się stało? Co wasz agent ma na ten temat do powiedzenia?

– Oficjalna wersja jest taka, że zaginiony wraz ze swoim towarzyszem zabłądzili wśród okresowych łożysk rzecznych; tamtejsze rzeki zmieniają swój bieg raptownie i bez uprzedzenia. To nadzwyczaj niewdzięczna okolica. Każdy, kto wyrusza na wyprawę poza ośrodek, musi wziąć ze sobą przewodnika. Ponoć zapuścili się na pustynię po drugiej stronie jeziora, tak przynajmniej twierdzi nasz agent. Tamtejsze legendy o złotym...

– Do diabła z tamtejszymi legendami! To byli teologowie doświadczalni, botanicy, ludzie wykształceni; mieli szukać róż, nie złota. Ale, ale... Powiedziałaś, że zaginął tylko jeden z nich. Co z drugim?

– Wrócił do ośrodka, po czym natychmiast wyruszył w drogę do Europy. Nazywa się Hassall. Wspomniałem ci o nim przed tygodniem, ale może byłeś zbyt zajęty, żeby to zarejestrować. Mój agent uważa, że Hassall przywiezie próbki róż oraz obszerną dokumentację.

– Przechwyciliśmy go już?

Prawie było widać, jak Delamare najwyższym wysiłkiem woli narzuca sobie spokój.

– Nie wiem, czy pamiętasz, Pierre, ale zamierzałem zlecić zatrzymanie go w Wenecji. Wasi ludzie się temu sprzeciwili; kazano nam poczekać, aż znajdzie się na terytorium Brytonii, a następnie śledzić go, by odkryć, dokąd zmierza. Otóż jest już w kraju i dziś wieczorem zostanie zatrzymany.

– Poinformuj mnie, gdy tylko przechwycicie te materiały. A teraz przejdźmy do drugiej sprawy. Co wiecie na temat tej młodej kobiety?

– Alethiometr...

– Nie, nie, nie. Staroświecki, niegodny zaufania, podatny na spekulacje i domysły. A mnie interesują fakty, Marcelu.

– Mamy nowego specjalistę, który...

– Wiem, słyszałem o nim, stosuje ponoć jakąś nową metodę. I co, jest lepszy od poprzednika?

– Czasy się zmieniają. Wraz z nimi muszą się zmieniać nasze horyzonty.

– Co masz na myśli?

– Odkryliśmy pewne związane z dziewczyną fakty, z których wcześniej nie zdawaliśmy sobie sprawy. Jest chroniona, zarówno z prawnego punktu widzenia, jak i w inny sposób. Chciałbym na początek usunąć otaczającą ją obronną sieć, dyskretnie, po cichu, rzec by można: niepostrzeżenie. Gdy zostanie pozbawiona tej ochrony, wtedy przyjdzie czas, by działać. A do tego momentu...

– Ostrożność. – Binaud wstał. – Przesadzasz z ostrożnością, Marcelu, a to poważna wada. Brakuje ci zdecydowania. Działaj! Znajdź ją, zatrzymaj i sprowadź tutaj. Załatw to, jak chcesz. Tym razem nie będę ci niczego narzucał.

Delamare również wstał, uściśnął dłoń gościa i odprowadził go do wyjścia. Kiedy został sam ze swoim dajmonem, sowa przysiadła mu na ramieniu i razem stanęli przy oknie, odprowadzając wzrokiem śpieszącego się Najwyższego Sędziego. Jeden z asystentów niósł mu aktówkę, drugi trzymał nad nim parasol. Właśnie sypnęło śniegiem.

– Bardzo nie lubię, kiedy ktoś mi przerywa, gdy mówię – powiedział Delamare.

– Chyba nie zauważył – odparł dajmon.

– Pewnego dnia się nauczy, ręczę za to.

Nieznajomy zbliżający się od strony dworca szedł szybkim krokiem i dotarcie w okolice wierzby zajęło mu niespełna minutę. Ledwie się tam znalazł, dwaj czyhający w zasadzce mężczyźni zaatakowali.

Pierwszy wyskoczył z cienia i grubym kijem uderzył go po nogach. Zaskoczony przybysz stęknął i upadł, a wtedy drugi z napastników dopadł go i zaczął okładać krótką pałką po głowie, ramionach i rękach.

Wszystko odbywało się bez słów. Dajmon ofiary, drobny jastrząb, wzbił się w powietrze, pokrzykując przejmująco i bezradnie trzepocząc skrzydłami, ale opadał coraz niżej i niżej, w miarę jak jego człowiek słabł pod kolejnymi ciosami.

Nagle światło księżyca zaślniło na ostrzu noża, przybysz z sortowni krzyknął rozdzierająco i upadł. Drugi napastnik nie zniechęcił się jednak: uderzał raz za razem, aż w końcu ofiara znieruchomiała. Pantalaimon wyraźnie słyszał każdy cios.

Przybysz zginął. Drugi z napastników wstał i spojrzał z góry na swojego towarzysza.

– Co ci zrobił? – zapytał półgłosem.

– Przeciął mi ścięgno pod kolanem, skurczybyk. Widzisz? Krwawię jak zarzynane prosię.

Dajmon rannego, ten mastyfopodobny, skamlał i wił się na ziemi obok niego.

– Dasz radę wstać? – Zabójca mówił chrapliwie, niewyraźnie, jakby miał zatkany nos. Miał liverpoolski akcent.

– A jak myślisz?

Oba głosy były niewiele głośniejsze od szeptu.

– Możesz się w ogóle ruszać?

Ranny spróbował dźwignąć się z ziemi i aż jęknął z bólu. Dopiero kiedy zabójca podał mu rękę, zdołał wstać, ale było oczywiste, że jedną nogę ma całkowicie niewładną.

– Co zrobimy? – zapytał.

W blasku księżyca wszyscy byli doskonale widoczni: zabójca, jego niemogący chodzić kompan i zabity mężczyzna. Serce Pantalaimona waliło jak młotem, nie rozumiał, jak tamci mogą go nie słyszeć.

– Nie widziałeś, że ma nóż, palancie?! – złościł się zabójca.

– Był dla mnie za szybki...

Ranny przekuśtykał jeden krok, drugi. Zabójca złapał tymczasem trupa za kostki nóg i, zwrócony tyłem do rzeki, wciągnął go w sitowie. Po chwili wynurzył się z gąszczy i skinął niecierpliwie na swojego towarzysza.

– Chodź – powiedział – wesprzyj się na mnie. Chociaż prawdę mówiąc, chętnie bym cię tu zostawił. Będziesz mnie tylko spowalniał. Muszę tu potem wrócić sam i posprzątać, a ten cholerny księżyc świeci coraz jaśniej. Gdzie jego torba? Nie miał torby?

– Nie miał. W ogóle nic nie miał.

– Musiał mieć. Psiakrew!

– Weźmiesz sobie Barry’ego do pomocy.

– Nerwus z niego. W dodatku niepotrzebnie hałasuje. No, daj rękę, pośpieszmy się.

– Na Boga, ostrożnie... Uff, boli...

– Guzik mnie to obchodzi. Morda w kubel i przebieraj zwawo kulasami.

Ranny objął zabójcę ramieniem i pokuśtykał obok niego. Przeszli pod dębem i zaczęli się oddalać nadrzeczną ścieżką. Z góry Pan widział plamę krwi na trawie. Lśniła czerwono w blasku księżyca.

Odczekał, aż mężczyźni znikną mu z oczu, po czym zaczął się szykować do zejścia na dół. Zanim jednak zdążył choćby drgnąć, coś poruszyło się w sitowiu, gdzie spoczęły zwłoki, i wynurzyło się stamtąd coś małego, bladego, wielkości ptaka: podfrowało, opadało na ziemię i znów podfrowało. Ostatkiem sił zmierzało prosto w stronę Pantalaimona.

On zaś, sparaliżowany grozą, bał się poruszyć. Przecież tamten człowiek nie żył! Ten dajmon też wyglądał jak martwy, co wobec tego należało zrobić? Pan był gotowy czmychnąć, walczyć albo zemdleć, ale tymczasem jastrzębica już wylądowała na gałęzi obok niego. Z trudem się na niej utrzymywała i byłaby spadła, gdyby nie przytrzymał jej łapą. W dotyku była lodowata i żywa, ale ledwie, ledwie. Czyli jej człowiek jeszcze żył.

– Pomocy – wyszeptała chrypliwie. – Pomóż nam...

– Dobrze – odparł Pan. – Pomogę...

– Pośpiesz się!

Jastrzębica spadła z drzewa i, podfruwając, wpadła w sitowie. Pan ześliznął się po pniu dębu i w podskokach podążył za nią. Kiedy ją znalazł, tuliła się do policzka półżywego człowieka leżącego w gęstwinie.

– Dajmon... – usłyszał jej słowa Pan – ...bez człowieka...

Mężczyzna odwrócił lekko głowę i jęknął. Zachrobotwały połamane kości.

– Bez człowieka? – powtórzył.

– Tak – potwierdził Pantalaimon. – Nauczyliśmy się to robić...

– Mój szczęśliwy dzień. Kieszeń... od wewnątrz... – Mężczyzna z najwyższym wysiłkiem uniósł dłoń i dotknął kurtki na piersi. – Wyjmij – wyszeptał.

Próbując nie zrobić mu krzywdy i zmagając się z wielkim tabu zabraniającym dotykania ciała innego człowieka, Pan nosem odgarnął połę kurtki. W wewnętrznej kieszeni tkwił portfel.

– Tak, dobrze – szepnął mężczyzna. – Weź go, nie może wpaść w ich ręce... Teraz wszystko zależy od ciebie i... od twojego...

Pan pociągnął, ale portfel nie chciał wyjść: leżący mężczyzna przygniół kurtkę swoim ciężarem, a nie był w stanie się poruszyć. Dopiero po krótkiej szarpaninie Panowi udało się wydobyć portfel i położyć go na ziemi.

– Zabierz go... zabierz, szybko... zanim wrócą...

Bledziutka jastrzębica była ledwie widoczna, ot, strzęp białego cienia, z trzepotem skrzydeł tulący się do ciała człowieka. Pan nie znosił widoku umierających ludzi właśnie przez to, co działo się wtedy z ich dajmonami: rozwiewały się jak zdmuchnięty płomyk świecy. Chciał pocieszyć i ukoić nieszczęsne stworzenie, które wiedziało, co je czeka, wiedziało, że musi zniknąć i w tej chwili chciało już tylko po raz ostatni poczuć ten ciepły dotyk, który przez całe życie znajdowało w ciele swojego człowieka. Mężczyzna jeszcze raz zaczerpnął tchu, zarzęził, a potem jego śliczny dajmon zniknął bez śladu.

Panowi nie pozostało nic innego, jak zanieść portfel mężczyzny do pokoju Lyry w Kolegium Świętej Zofii. Złapał go w zęby i wygramolił się na twardszy grunt przy brzegu.

Portfel nie był ciężki, był natomiast nieporęczny i – co znacznie gorsze – przesiąknięty zapachami innego człowieka: wonią potu, ziela fajkowego i wody kolońskiej. Bliskość kogoś, kto nie był Lyrą, była nieznośna.

Pan doniósł go do ogrodu działek, zanim musiał odpocząć. Nie zamierzał się śpieszyć. Noc była jeszcze młoda.

Z kamiennego snu obudził Lyrę gwałtowny wstrząs, jakby fizycznego uderzenia albo upadku. Co to mogło być? Wyciągnęła po omacku rękę w poszukiwaniu Pantalaimona, zanim przypomniała sobie, że go przy niej nie ma. Czy zatem to jemu coś się stało? Nie pierwszy raz zdarzyło się, że kładła się do łóżka bez niego, ale wciąż tak samo nie cierpiała tego robić. Te jego samotne włączki... Jakież to było niemądre z jego strony! Ale nie chciał jej słuchać i nie zamierzał rezygnować ze swoich eskapad. Pewnego dnia oboje za to zapłacą.

Przez minutę leżała tak, nie śpiąc, ale gdy sen znów zaczął gęstnieć wokół niej, w końcu poddała mu się i zamknęła oczy.

Oksfordzkie zegary biły godzinę drugą, gdy Pan wśliznął się do pokoju. Położył portfel na stole, trochę rozruszał obolałe szczęki, a potem wyciągnął książkę, którą Lyra podparła otwarte okno. Znał tę książkę – była to powieść zatytułowana *Hiperchorezmijczy* – i uważał, że Lyra poświęca jej stanowczo zbyt wiele uwagi.

Zrzucił ją na ziemię, starannie wyczyścił swoje futerko, a na koniec schował portfel na regale, tak że ten zniknął pomiędzy książkami.

W końcu dał susa na poduszkę. Przykucnął w promieniu księżycowego blasku sączącego się przez szczelinę w zasłonach i zapatrzył się na twarz Lyry.

Miała zarumienione policzki, jej ciemnozłote włosy były wilgotne od potu. Usta, które tak często do niego szeptały, całowały go, całowały także i Willa, w tej chwili zaciskały się kurczowo. Czoło na przemian to marszczyło się lekko, to się rozpogadzało, jak niebo przesłaniane pędzonymi przez wiatr chmurami. Wszystkie te sygnały dowodziły, że coś jest nie w porządku; że Lyra coraz bardziej oddala się od Pantalaimona – tak jak i on od niej.

Nie miał pojęcia, co na to poradzić. Mógł tylko położyć się obok niej i przycisnąć do jej ciała, które pozostało – jak zawsze – ciepłe i życzliwe. Przynajmniej oboje jeszcze żyli.

Ich ubrania pachniały różami

Lyra obudziło bicie uczelnianego zegara: była ósma. Przez pierwszy parę minut wynurzania się na powierzchnię snu, zanim wtrąciła się jakaś świadoma myśl, odbierała same przecudne wrażenia – wśród nich ciepło ciała dajmona owiniętego wokół jej szyi. Ta zmysłowa wzajemna czułość stanowiła część jej życia, odkąd sięgała pamięcią.

Leżąc tak, usilnie starała się nie myśleć, ale myśli były jak nieuchronnie napierający przyływ. Napływające ze wszystkich stron strużki świadomości – trzeba dokończyć esej, zrobić pranie, jak najszybciej zejść na śniadanie, bo po dziewiątej nie będzie czego szukać w jadalni – nieubłagane podmywały piaskowy zamek rozespania. I największa, najgłębsza fala: Pantalaimon i ich narastające wyobcowanie. Coś ich rozdzieliło i żadne z nich nie wiedziało, co to takiego. Problem polegał na tym, że mieli tylko siebie nawzajem, żeby zwierzać się ze swoich trosk – i dokładnie tego nie mogli w tej chwili zrobić.

Odrzuciła przykrycie i wstała. Zadrżała z zimna – w Świętej Zofii oszczędzano na ogrzewaniu. Szybko ochlapała się w małej misce w odrobinie ciepłej wody, która długo tłukła się i zapierała w rurach, zanim łaskawie raczyła chlupnąć z kranu, po czym włożyła tartanową spódniczkę i jasnoszarą bluzę – praktycznie jedyne czyste rzeczy, jakie jej zostały.

Przez cały ten czas Pan leżał na poduszce i udawał, że śpi. Kiedy byli młodszy, nigdy się tak nie zachowywał. Nigdy.

– Pan – odezwała się znużonym głosem Lyra.

Musiał z nią iść – i wiedziała, że w końcu to zrobi. Wstał, przeciągnął się i pozwolił się posadzić na jej ramieniu.

Lyra wyszła z pokoju i zaczęła schodzić na parter.

– Udawajmy, że ze sobą rozmawiamy – zasugerował szeptem Pan.

– Nie jestem przekonana, czy udawanie to dobry pomysł na życie.

– Lepszy taki niż żaden. Chcę ci opowiedzieć, co widziałem w nocy. To ważne.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi od razu po powrocie?

– Bo spałam.

– Wcale nie spałam. Nie bardziej niż ty w tej chwili.

– W takim razie jak to możliwe, że nie wiedziałaś, że mam ci coś ważnego do powiedzenia?

– Wiedziałam. Poczułam, że coś się wydarzyło, ale spodziewałam się, że będę się musiała wyklócać z tobą, żebyś mi powiedział, więc sam rozumiesz...

Pantalaimon milczał. Lyra dotarła na dół i wyszła z budynku. Owionął ją wilgotny

chłód poranka. Ze dwie inne dziewczyny szły w stronę jadalni, znacznie więcej stamtąd wracało – po śniadaniu, dziarskie i gotowe do pracy, rozchodziły się do biblioteki i na zajęcia.

– Ech, sama nie wiem... – mruknęła Lyra. – Męczy mnie ta cała sytuacja. Powiesz mi po śniadaniu.

Weszła po schodach do jadalni. Nałożyła sobie płatków owsianych, przeszła z miseczką do wolnego miejsca przy jednym z długich stołów i zasiadła do posiłku. Otaczały ją rówieśniczki, które właśnie kończyły swoją jajecnicę, owsiankę albo grzanki. Niektóre były radośnie rozgadane, inne znudzone, zmęczone lub zamyślane, kilka czytało listy lub po prostu statecznie spożywało śniadanie. Wiele z nich znała z imienia, część tylko z widzenia; niektóre traktowała jak przyjaciółki, ceniąc ich życzliwość lub inteligencję; inne mogłaby nazwać zaledwie znajomymi; były też i takie – snobistyczne, aroganckie lub oschłe – których nie uważała może za nieprzyjaciółki, lecz była absolutnie pewna, że nigdy ich nie polubi. W tej akademickiej społeczności, wśród inteligentnych, pracowitych i rozplotkowanych studentek, czuła się bardziej w domu niż gdziekolwiek indziej. Powinna być szczęśliwa.

Dolewając mleka i mieszając owsiankę, zwróciła uwagę na dziewczynę siedzącą naprzeciwko. Miriam Jacobs była ładną brunetką, wystarczająco inteligentną i bystrą, żeby przy minimalnym nakładzie sił całkiem nieźle radzić sobie z odbębnianiem obowiązków akademickich. Była nieco próżna, ale zarazem dostatecznie pogodna i dobroduszna, by cierpliwie znosić kpiny z tej cechy charakteru. Jej dajmon – wiewiórka imieniem Syriax, wczepiona w jej włosy – wyglądał na wstrząśniętego. Miriam, pochłonięta czytaniem listu, pobladła i zakryła dłonią usta.

Nikt inny tego nie zauważył.

Dziewczyna odłożyła list na stół.

– Miriam? – zagadnęła ją Lyra, pochyliwszy się nad stołem. – Co się stało?

Miriam zamrugnęła, westchnęła ciężko, jakby budziła się z głębokiego snu, i zepchnęła sobie list na podolek.

– To list z domu – wyjaśniła. – Nic takiego.

Dajmon przegramolił się na jej kolana, a ona podjęła misterną próbę udawania przed koleżankami, że zupełnie nic się nie stało. Jej wysiłek poszedł na marne, bo i tak nikt nie patrzył w jej stronę.

– Na pewno nie mogę ci jakoś pomóc? – zapytała Lyra.

Pan dołączył do Syriaksa pod stołem. Dziewczęta wyczuwały, że ich dajmony rozmawiają, i wiedziały, że cokolwiek Syriax powie Pantalaimonowi, Lyra wkrótce się o tym dowie. Miriam posłała jej bezradne spojrzenie. Była o krok od wybuchnięcia płaczem.

Lyra wstała od stołu.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Miriam była w stanie, w którym każdy okrucieństwo determinacji, obojętne skąd pochodzący, był jak kamizelka ratunkowa na wzburzonym morzu. Wyszła za Lyrą z jadalni pokornie jak jagnię za matką, tuląc dajmona do piersi i nie zadając żadnych pytań.

– Robi mi się niedobrze od owsianki, zimnych grzanek i przesmażonej jajecnicy – powiedziała Lyra. – W takiej sytuacji możemy zrobić tylko jedną rzecz.

– Jaką? – zainteresowała się Miriam.
– Idziemy do George’a.
– Ale ja mam wykład...
– Nie. To wykładowca ma wykład, nie ty. I nie ja. Mam ochotę na jajka na bekonie. Chodź, idziemy. No, ruszaj się. Byłaś w harcerstwie?

– Nie.
– Ja też nie. Nie wiem, dlaczego o to zapytałam.
– Muszę napisać esej...
– Znasz kogoś, kto nie musi? Tysiące młodych dam i dżentelmenów mają zaległe eseje do napisania, wręcz nie wypada takowego nie mieć. A George czeka. Poszłybyśmy do Cadeny, ale jest jeszcze zamknięta. Pośpieszmy się, zimno jest. Chcesz wziąć płaszcz?

– Tak, chętnie... Tylko szybko.

Wbiegły na górę, żeby zabrać wierzchnie ubrania. Płaszczyk Lyry – zielony, przymały i wymemłany – prezentował się zupełnie inaczej niż idealnie skrojony, granatowy, kaszmirowy płaszcz Miriam.

– Gdyby ktoś pytał, dlaczego nie byłaś na wykładzie, seminarium czy gdzieś tam jeszcze, możesz powiedzieć, że byłaś przygnębiona i twoja przemiła przyjaciółka Lyra zabrała cię na spacer – powiedziała Lyra.

Wyszły przez portiernię.

– Nigdy nie byłam u George’a – przyznała Miriam.

– Nie gadaj... To niemożliwe.

– Wiem, gdzie to jest, ale... Sama nie wiem, chyba po prostu myślałam, że to nie miejsce dla nas.

Znajdująca się na Krytym Bazarze restauracja George’a cieszyła się ogromną popularnością wśród handlarzy i robotników z całej okolicy.

– Bywam tam od dziecka – odparła Lyra. – Naprawdę od dziecka. Kręciłam się przy drzwiach tak długo, aż ktoś mi dał bułkę, żeby mnie spławić.

– Poważnie? Nie żartujesz?

– Bułkę albo fangę w nos, zależy. Trochę tam nawet pracowałam: zmywałam naczynia, parzyłam kawę i herbatę. Miałam wtedy jakieś... dziewięć lat?

– I twoi rodzice ci na to... O Boże, przepraszam. Bardzo cię przepraszam.

Znajomi Lyry wiedzieli o jej rodzicach tylko tyle, że oboje wywodzili się ze znamienitych rodów i zmarli, gdy była dzieckiem. Domyślano się, że ich śmierć była dla niej wstrząsem, było więc całkowicie zrozumiałe, że Lyra nie chce o tym rozmawiać – co tylko sprzyjało snuciu domysłów.

Miriam była skrajnie zakłopotana.

– To było później, już kiedy byłam w Kolegium Jordana – odparła pogodnie Lyra.

– Gdyby tamci się dowiedzieli, ludzie z Jordana, znaczy, byliby pewnie zaskoczeni, ale szybko by o tym zapomnieli i mogłabym dalej tam pracować. Właściwie i tak robiłam, co chciałam.

– To znaczy, że nikt nie wiedział, co robisz?

– Tylko pani Lonsdale, gospodyni. No, ona była groźna. Stale mnie rugała, chociaż wiedziała, że nie na wiele się to zda. A ja, kiedy musiałam, umiałam być bardzo grzeczna.

– Jak długo byłaś... To znaczy, ile miałaś lat... Nie, przepraszam. Nie chciałam

być wścibska.

– Pierwsze wspomnienie, jakie mam, to kiedy trafiłam do Kolegium Jordana. Nie wiem, ile mogłam mieć wtedy lat, chyba byłam jeszcze niemowlęciem. Przyniósł mnie wysoki mężczyzna. Był środek burzowej nocy, waliły pioruny, grzmiało i lało jak z cebra. Mężczyzna jechał konno, a mnie zawinął w połę swojego płaszcza. Załomotał pistoletem w drzwi. Drzwi się otworzyły, za nimi było ciepło i jasno i mężczyzna komuś mnie oddał. Wydaje mi się, że jeszcze mnie pocałował na pożegnanie, a potem dosiadł konia i odjechał. To był pewnie mój ojciec.

Miriam była pod wrażeniem. Prawdę mówiąc, Lyra nie miała pewności co do udziału konia w całej historii, ale spodobał jej się ten wątek.

– Jakie to romantyczne... – zachwyciła się Miriam. – To naprawdę twoje pierwsze wspomnienie?

– Tak. Najdawniejsze. Od tamtej pory po prostu... mieszkałam w Jordanie. A ty? Co pamiętasz z dzieciństwa?

– Zapach róż – odparła bez zastanowienia Miriam.

– W jakimś ogrodzie?

– Nie, w fabryce mojego ojca, takiej, w której robi się mydło i inne rzeczy. Siedziałam tacie na barana, byliśmy w rozlewni. Ten zapach był tak słodki, tak intensywny... Kiedy ubrania robotników nim nasiąkły, ich żony musiały je potem prać, żeby się go pozbyć.

Lyra wiedziała o tym, że Miriam wywodzi się z bogatej rodziny, która swoją zamożność zawdzięcza mydłu, perfumom i innym tego rodzaju dobrom. Miriam zawsze miała pokaźną kolekcję perfum, wonnych olejków i szamponów, a jej przyjaciółki chętnie wypróbowały wszystkie nowe specyfiki.

Nagle dotarło do niej, że Miriam płacze. Przystanęła i ujęła ją pod rękę.

– Miriam, co się dzieje? Chodzi o ten list?

– Tata zbankrutował! – wyszlochała roztrzęsiona Miriam. – To koniec. O tym właśnie napisali mi w liście. Teraz już wiesz.

– To okropne!

– Nie mamy... nie mogą... muszą sprzedać dom, a ja będę musiała przerwać studia... Nie stać ich na...

Miriam nie była w stanie dłużej mówić. Lyra objęła ją ramionami i zapłakana przyjaciółka wtuliła się w nią z wdzięcznością. Czując w nozdrzach zapach szamponu, Lyra zastanawiała się, czy on również zawiera róże.

– Ćśś... Wiesz przecież, że są różne stypendia, zapomogi dla studentów... Wcale nie będziesz musiała rezygnować ze studiów, zobaczysz!

– Ale wszystko się zmieni! Rodzice będą musieli wszystko sprzedać i przeprowadzić się do... nie wiem dokąd... Danny będzie musiał rzucić studia w Cambridge i... To będzie straszne!

– Na pewno brzmi to gorzej, niż faktycznie wygląda – zapewniła przyjaciółkę Lyra. Kątem oka widziała, że Pan szepcze coś do ucha Syriakowski, i wiedziała, że próbuje go pocieszyć w podobny sposób. – Oczywiście masz pełne prawo być wstrząśnięta, dowiedziałaś się o tym niespodziewanie, przy śniadaniu, z listu... Ale uwierz mi, ludzie wychodzą z gorszych opresji, naprawdę. I czasem sprawy ostatecznie przybierają znacznie lepszy obrót, niżby się można spodziewać. Założę się, że nie będziesz musiała przerywać studiów.

– Ale wszyscy się dowiedzą...

– I co z tego? Nie ma się czego wstydzić. Wszyscy mamy krewnych, którym od czasu do czasu przydarzają się różne rzeczy i nie ma w tym naszej winy. Za to jeżeli wykazesz się odwagą w obliczu przeciwności losu, ludzie będą cię podziwiać.

– W sumie to nie taty wina.

– No właśnie – potaknęła Lyra, chociaż nie miała pojęcia, jak wygląda prawda. – Pamiętasz, jak uczyli nas na historii ekonomii o cyklach w gospodarce? Takim rzeczom człowiek nie jest w stanie się oprzeć.

– To się po prostu wydarzyło. – Miriam grzebała w kieszeni. – Nikt nie mógł tego przewidzieć. – Wyjęła zmięty list i zaczęła czytać na głos: – „Dostawcy okazali się skrajnie nieodpowiedzialni. Tato co rusz jeździł do Latakii, ale nie udało mu się znaleźć nowych źródeł zaopatrzenia. Wygląda na to, że wielkie koncerny medyczne wykupują całe zapasy i nic nie można na to poradzić. To naprawdę okropne...”.

– Dostawcy czego? – zainteresowała się Lyra. – Róż?

– Tak. Skupują róże od tamtejszych ogrodników, żeby je potem destylować czy coś... Żeby uzyskiwać olejek. Tak, olejek różany.

– Angielskie róże by im nie wystarczyły?

– Zdaje się, że nie. To muszą być róże stamtąd.

– A lawenda? Lawendy jest przecież w bród.

– Ale oni... Nie wiem, nie znam się na tym!

– Ludzie zapewne tracą pracę – mówiła Lyra, gdy naprzeciwno Biblioteki Bodlejańskiej skręciły w Broad Street. – Ci, których ubrania pachniały różami.

– Najprawdopodobniej tak. Jejku, to okropne!

– Owszem, okropne, ale dasz sobie radę. Zaraz sobie usiądziemy i spokojnie się zastanowimy, nakreślimy plan działania, przemyślimy wszystkie możliwości. Od razu lepiej się poczujesz, zobaczysz.

U George'a Lyra zamówiła jajka na bekonie i pół kwarty herbaty. Miriam upierała się, że tylko napije się kawy, ale Lyra kazała George'owi przynieść jeszcze drożdżówkę z dżemem porzeczkowym.

– Jeśli ona jej nie zje – zapowiedziała – ja zjem.

– Nie karmią was w ogóle w tym kolegium, czy jak? – spytał George.

Jego ręce poruszały się z niewiarygodną prędkością – Lyra nie знаła drugiego człowieka, który by tak szybko kroił, smarował, nalewał, solił i rozbijał jajka. W młodości zachwycała się jego umiejętnością równoczesnego wbicia trzech jaj na patelnię jedną ręką bez uronienia choćby kropli białka, uszkodzenia żółtka albo wrzucenia okrucha skorupki. Kiedyś sama spróbowała tej sztuki: zmarnowała dwa tuziny jaj i dostała lanie, na które – musiała to uczciwie przyznać – zasłużyła. Od tamtej pory minęło sporo czasu i George traktował ją z większym szacunkiem, chociaż nadal nie nauczyła się tej sztuczki.

Pożyczyła teraz od niego ołówek i kartkę papieru, którą podzieliła na trzy kolumny. Pierwszą zatytułowała: „Co trzeba zrobić”, drugą: „Czego trzeba się dowiedzieć”, a trzecią: „Czym się nie martwić”. Następnie wspólnie z Miriam i oboma dajmonami zaczęli wypełniać rubryki różnymi pomysłami, które przychodziły im do głowy przy jedzeniu. Miriam zjadła drożdżówkę i jeszcze zanim zapełniły kartkę wyraźnie się ożywiła.

– Widzisz? – powiedziała Lyra. – Zawsze warto wpaść do George'a. Śniadania

w Kolegium Świętej Zofii są takie... szlachetne. W Jordanie...

– Na pewno nie były takie skąpe jak u nas.

– Kedgeree, cynaderki na ostro albo solone śledzie, wszystko serwowane w wielgachnych srebrnych garach. Trzeba szanować nawyki młodych dżentelmenów. Taka dieta jest nawet w porządku, ale nie na co dzień.

– Dziękuję ci, Lyro, miałaś rację – powiedziała Miriam. – Już mi lepiej.

– Co teraz zamierzasz?

– Spotkam się z doktor Bell. Potem napiszę list do domu.

Doktor Bell – moralistka Miriam, pełniąca rolę jej mentorki i przewodniczki duchowej – była kobietą szorstką w obejściu, lecz w gruncie rzeczy życzliwą. Z pewnością będzie wiedziała, na jaką pomoc ze strony kolegium można liczyć.

– Świetnie – powiedziała Lyra. – Powiesz mi później, co z tego wynikło.

– Na pewno – obiecała Miriam i wyszła.

Lyra posiedziała jeszcze chwilę, pogadała z George'em, z przykrością odrzuciła złożoną przez niego ofertę pracy podczas ferii świątecznych, dopiła herbatę. W końcu zostali z Pantalaimonem sami.

– Co ci powiedział? – zapytała Lyra, mając na myśli dajmona Miriam.

– Miriam przejmuję się głównie tym, co pomyśli jej chłopak. Nie wie, jak mu powiedzieć, boi się, że przestanie ją lubić, kiedy się okaże, że nie jest bogata. To jakiś arystokrata, studiuje w Kolegium Kardynalskim.

– Tyle czasu przegadałyśmy, a ona ani słowem nie wspomniała mi o tym, co ją najbardziej martwi? To mi się nie podoba. – Lyra zgarnęła swój sfatygowany płaszcz.

– A jeśli on naprawdę tak właśnie myśli, to nie jest jej wart. Przepraszam cię, Pan – dodała, czym zaskoczyła zarówno dajmona, jak i siebie samą. – Chciałeś mi opowiedzieć o tym, co widziałeś w nocy, ale wcześniej nie miałam dla ciebie czasu.

Pomachała George'owi na pożegnanie.

– Byłem świadkiem morderstwa – powiedział Pantalaimon.

3

Bagaż z przechowalni

Lyra stanęła jak wmurowana. Znajdowali się przed sklepem z kawą, przy wejściu na Kryty Bazar. Powietrze było przesycone wonią świeżo palonej kawy.

– Co powiedziałaś?

– Widziałem, jak dwóch mężczyzn napadło i zabiło trzeciego. Przy działkach, niedaleko sortowni pocztowej...

Ruszyli powoli Market Street, kierując się z powrotem do kolegium. Pantalaimon opowiedział Lyrze całą historię.

– Ten zamordowany musiał wiedzieć o możliwości rozdzielenia człowieka i jego dajmona – dodał na zakończenie. – Jego dajmon potrafił się od niego oddalić. Musiał mnie chyba zauważyć, jak przysiadłem na gałęzi, bo podfrunął prosto do mnie... Nie poszło mu łatwo, był ranny, ale w ogóle się nie bał ani nic. Jego człowiek też się nie bał, że widzi samego dajmona. Tak jakby wiedział.

– Mówiłeś coś o jego portfelu... Gdzie teraz jest?

– Na regale z książkami, obok słownika niemieckiego.

– A co ten człowiek dokładnie powiedział?

– Powiedział tak: „Weź go, nie może wpaść w ich ręce... Teraz wszystko zależy od ciebie i... od twojego...”. I skonał.

– Wszystko zależy od nas, tak? – mruknęła Lyra. – Musimy go obejrzieć.

Znalazszy się w jej pokoju w kolegium, włączyli grzejnik gazowy, usiedli przy stole i zapalili małą lampkę jantaryczną, bo pod poszarzałym niebem niewiele zostało dziennego światła.

Lyra wzięła portfel z półki. Wyglądał całkiem zwyczajnie: składany, bez zatrasku, niewiele większy niż jej dłoń. Tłoczona skóra musiała dawniej przypominać marokin, ale z czasem wytarła się i nabrała tłustawej gładkości; pierwotnie była też chyba brązowa, lecz z wiekiem szerniała, a teraz w kilku miejscach nosiła dodatkowo ślady zębów Pantalaimona. Miała też wyraźny zapach: delikatny, trochę cierpki, trochę korzenny... Jak połączenie męskiej wody po goleniu i woni potu. Pan aż zamachał łapką przed nosem. Lyra starannie obejrzała portfel w poszukiwaniu monogramu, ale niczego takiego nie znalazła.

Otworzyła go. W środku na pierwszy rzut oka też wszystko wyglądało normalnie. Znalazła cztery banknoty – łącznie sześć dolarów i sto franków, a więc kwotę niezbyt

wielką. Z sąsiedniej przegródki wyjęła powrotny bilet kolejowy z Paryża do Marsylii.

– Był Francuzem? – podsunął Pantalaimon.

– Jeszcze nie wiem. Patrz, jest zdjęcie.

W następnej przegródce tkwił wymacany i wybrudzony dokument tożsamości z fotogramem przedstawiającym mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, z czarnymi kręconymi włosami i cienkim wąsikiem.

– To on – powiedział Pan.

Dokument został wydany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Jego Królewskiej Mości niejakiemu Anthony’emu Johnowi Roderickowi Hassallowi, obywatelowi brytyjskiemu, którego data urodzin wskazywała, że ma trzydzieści osiem lat. Fotogram dajmona przedstawiał niedużego ptaka drapieżnego, podobnego do jastrzębia. Pan patrzył na oba zdjęcia z wielkim zainteresowaniem i żalem.

Następny przedmiot z portfela Lyra rozpoznała z łatwością, ponieważ sama nosiła taki w torebce: była to karta czytelnika z Biblioteki Bodlejańskiej.

– Wygląda na to, że był z uniwersytetu – zdumiał się Pan. – A to co takiego?

Kolejna karta, wydana przez Wydział Botaniki, potwierdzała, że doktor Roderick Hassall jest pracownikiem Katedry Roślinoznawstwa.

– Dlaczego go napadli? – spytała Lyra, nie oczekując wcale odpowiedzi. – Wyglądał na bogatego? Miał coś przy sobie? O co im chodziło?

– Mówili... – Pantalaimon wyteżył pamięć. – Jeden z nich, ten, który go zabił, był zaskoczony, że zabity nie miał przy sobie torby. Tak jakby spodziewał się ją przy nim znaleźć. Ale tego drugiego, tego, który został ranny, zupełnie to nie zainteresowało.

– A ten zamordowany miał przy sobie torbę czy nie? Albo walizkę? Aktówkę? Cokolwiek...

– Nie. Nic nie miał.

Lyra wyjęła z portfela wielokrotnie składany i rozkładany karteluszek, podklejony taśmą na zgięciach i opatrzony napisem *laissez-passer*.

– Co to? – zainteresował się Pan.

– Chyba coś w rodzaju paszportu...

Dokument, wydany przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Wewnętrznego Wysokiej Porty Imperium Osmańskiego z siedzibą w Konstantynopolu, stwierdzał (po francusku, angielsku i anatolijsku) że Anthony John Roderick Hassall, botanik z Oksfordu w Brytonii, ma prawo swobodnie podróżować po terytoriach królestw Imperium Osmańskiego, a przedstawiciele wszelkich władz są zobowiązani – gdyby zaszła taka konieczność – do udzielenia mu pomocy i zapewnienia ochrony.

– Jak duże jest Imperium Osmańskie? – spytał Pantalaimon.

– Ogromne. Obejmuje Turcję, Syrię, Liban, Egipt, Libię i sięga jeszcze tysiące mil na wschód. Tak mi się wydaje. Patrz, jest jeszcze jeden papier...

– I jeszcze jeden, tam obok.

Pierwszy z dokumentów wydał Chanat Turkiestanu obejmujący Baktrię i Sogdianę, drugi zaś prefektura Sin Kiang w Niebiańskim Cesarstwie Kitaju. Oba w podobny sposób stwierdzały mniej więcej to samo co osmański *laissez-passer*.

– Oba już straciły ważność – zauważyła Lyra.

– Ten z Sin Kiangu ma wcześniejszą datę niż turkiestański. To znaczy, że jechał z tamtej strony i zajęło mu to... trzy miesiące. Szmat drogi.

– Jest tu coś jeszcze...

Palce Lyry wymacały kolejną karteczkę, ukrytą w wewnętrznej przegródce portfela. Kiedy wyjęła ją i rozłożyła, zobaczyła coś zupełnie innego od wcześniejszych dokumentów: anglojęzyczną ulotkę reklamową linii żeglutowej zachwalającą rejs do Lewantu na pokładzie SS Zenobia. Imperial Orient Line obiecywała wizytę w „romantycznej krainie wiecznego słońca”.

– „...w świecie jedwabi i perfum” – czytał dalej Pan – „dywanów, słodkich przysmaków i damasceńskich mieczy, błysku pięknych oczu pod gwiazdzistym niebem...”.

– „Zatańcz przy romantycznej muzyce Carlo Pomeriniego i jego Salonowej Orkiestry Serenadowej” – podjęła Lyra. – „Zobacz, jak szepczący blask księżycy kładzie się na spokojnych wodach Morza Śródziemnego, i pocuj upojny dreszcz...”.

Jak niby blask księżycy miałby szeptać? „Rejs do Lewantu z Imperial Orient to twoja przepustka do świata cudów...”. Zaraz. Pan, spójrz na to!

Na odwrocie znajdował się rozkład rejsów, w którym podano daty przybicia do brzegu w różnych portach i wypłynięcia z nich w morze. Statek miał wypłynąć z Londynu w czwartek 17 kwietnia, by w sobotę 23 maja wrócić do Southampton, zaliczywszy po drodze czternaście miast. Ktoś zakreślił kółkiem poniedziałek 11 maja, dzień, w którym Zenobia miała przybyć do Smyrny. Prosta kreska łączyła kółeczko wokół tej daty z nagryzmołonymi obok słowami: „Café Antalya, plac Sulejmana, godz. 11.00”.

– Umówione spotkanie! – wykrzyknął Pantalaimon.

Przeskoczył ze stołu na półkę nad kominkiem i tam stanął sępka, wsparty przednimi łapkami o ścianę, żeby spojrzeć na zawieszony na ścianie kalendarz.

– Czekaj, to nie ten rok, dni tygodnia się nie zgadzają... To ma być w przyszłym roku! Tego spotkania jeszcze nie było! Co zrobimy?

– Hm... – mruknęła Lyra. – Powinniśmy iść z tym na policję. Chyba nie ma co do tego wątpliwości, prawda?

– Słusznie. – Pan zeskoczył z powrotem na stół. Obrócił dokumenty, żeby wygodniej mu się je czytało. – Nic więcej nie ma w portfelu?

– Chyba nie. – Lyra jeszcze raz przeszukała portfel, wciskając palce w głąb przegródek. – A nie, zaczekaj... coś tu jest... Jakaś moneta?

Odwróciła portfel do góry nogami i potrząsnęła. Ze środka wypadła jednak nie moneta, tylko klucz z okrągłą przywieszką opatrzoną numerem 36.

– To wygląda jak... – zaczął Pan.

– Tak. Widzieliśmy już takie. Nawet sami taki mieliśmy. Kiedy to było?

– W zeszłym roku... na dworcu kolejowym...

– Przechowalnia bagażu! Zostawił coś w skrytce na bagaż.

– Torbę, którą tamci spodziewali się przy nim znaleźć!

– I która pewnie nadal tam jest.

Spojrzeli po sobie szeroko otwartymi oczami.

Lyra pokręciła głową.

– Powinniśmy pójść z tym na policję – powtórzyła. – Zrobiliśmy to, co każdy by zrobił na naszym miejscu: sprawdziliśmy, do kogo należał portfel. A teraz... teraz...

– Moglibyśmy też zanieść go do Ogrodu Botanicznego, do Katedry Roślinoznawstwa. Ktoś stamtąd powinien znać tego człowieka.

– To prawda, ale my już wiemy, że on nie żyje. Dlatego to sprawa dla policji. Nie

mamy wyboru, Pan.

– Mhm. Chyba masz rację.

– Nie widzę jednak powodu, dla którego nie mielibyśmy sobie zapisać paru rzeczy, które odkryliśmy: dat rejsu, dnia spotkania w Smyrnie...

Lyra zanotowała szczegóły.

– To już na pewno wszystko? – zapytał Pantalaimon.

– Tak. Postaram się teraz powkładać wszystko na miejsce, a potem pójdziemy na posterunek.

– Po co to robimy, zapisujemy te rzeczy? Po co, tak naprawdę?

Lyra spojrzała przeciągle na Pana, zanim znów skupiła się na portfelu.

– Z ciekawości – odparła. – To wszystko nie nasza sprawa. Tylko że wiemy, skąd portfel wziął się w sitowiu, więc to jednak jest nasza sprawa.

– Poza tym ten człowiek powiedział, że teraz wszystko zależy od nas.

Lyra schowała portfel do kieszeni, wyłączyła grzejnik, zamknęła drzwi na klucz i udali się na główny posterunek policji przy St Aldate's.

Dwadzieścia pięć minut później czekali w recepcji. Sierżant dyżurny obsługiwał akurat mężczyznę, który ubiegał się o pozwolenie na wędkowanie i nie dawał sobie wytłumaczyć, że takie dokumenty wydaje straż rzeczna, a nie policja. Wyklócał się o swoje z takim uporem, że Lyra przysiadła na jedynym krześle i przygotowała się na to, że będzie tak czekać do obiadu.

Siedzący jej na kolanach Pantalaimon rozglądał się bacznie. Kiedy dwóch innych policjantów wyszło z pokoju w głębi budynku i zatrzymało się w recepcji na pogawędkę, Lyra nagle poczuła wbijające się jej w dłoń pazurki.

Nie zareagowała, wiedząc, że Pan za chwilę i tak jej powie, co się stało. I rzeczywiście: płynnym ruchem wspiął się jej na ramię i szepnął do ucha:

– To tego człowieka widziałem w nocy. To zabójca. Jestem pewien.

Miał na myśli wyższego i bardziej barczystego z dwójki rozmówców.

– Nie, normalne nadgodziny – mówił właśnie do kolegi. – Wszystko oficjalnie, w zgodzie z przepisami. Ręczę.

Miał nieprzyjemny głos, chrapliwy, lekko bełkotliwy i mówił z liverpoolskim akcentem.

– Skoro jest pan najzupełniej pewien – powiedział w tej samej chwili wędkarz do sierżanta dyżurnego – to chyba nie mam wielkiego wyboru. Ale chcę to mieć na piśmie.

– Proszę przyjść po południu, wtedy mój kolega na dyżurze wystawi panu stosowny dokument – odparł sierżant i mrugnął porozumiewawczo do pozostałej dwójki.

– Tak właśnie zrobię. Nie odpuszczę.

– Absolutnie. Tak trzymać. Panienko? – Sierżant zwrócił się do Lyry. – W czym mogę pomóc?

Patrzył na Lyrę. Dwaj stojący w recepcji policjanci również jej się przyglądali.

– Nie wiem, czy dobrze trafiłam – odparła, wstając – ale skradziono mi rower.

– Bardzo dobrze pani trafiła. Proszę wypełnić ten formularz. Zobaczymy, co da się zrobić.

Lyra wzięła podany jej dokument.

– W tej chwili trochę się śpieszę... Mogę go wypełnić i przynieść później?

– Kiedy tylko sobie pani zażyczy.

Sprawa skradzionego roweru nie wydała się sierżantowi szczególnie interesująca, odwrócił się więc do kolegów i włączył do ich rozmowy o nadgodzinach. Chwilę później Lyra i Pantalaimon znaleźli się z powrotem na ulicy.

– To co teraz? – zapytał dajmon.

– Jak to, co teraz? Idziemy do przechowalni bagażu!

Najpierw jednak Lyra postanowiła rozejrzeć się nad rzeką. Idąc przez Carfax w stronę zamku, jeszcze raz szczegółowo omówili z Panem całą sprawę. Byli przy tym uprzedzająco grzeczni i słuchali siebie nawzajem z wręcz przesadną uwagą. Przechodnie na ulicy, klienci w sklepach, rozmówcy Lyry na Krytym Bazarze – wszyscy zachowywali się zupełnie naturalnie w towarzystwie swoich dajmonów. Dajmon George'a, właściciela restauracji, był ekscentryczną szurzyką, która siedziała w kieszeni na piersi jego fartucha i zgryźliwie komentowała wszystko, co działo się dookoła. Lyra zapamiętała ją już z dzieciństwa, zawsze taka była – i zawsze doskonale dogadywała się z George'em. Tylko Lyra i Pantalaimon byli ze sobą nieszczęśliwi.

Starali się więc ze wszystkich sił. Poszli na działki, obejrzeni furtkę w ogrodzeniu sortowni, przez którą przegramolił się drugi z napastników, prześledzili ścieżkę, którą od strony dworca przybyła ofiara. Był dzień targowy, więc oprócz szczęku przetaczanych na bocznicach wagonów i wizgu wiertarki albo szlifarki w budynku poczty, gdzie ktoś prowadził jakieś naprawy, było słycać także dobiegające z odległych zagród porykiwanie bydła. Wszędzie kręcili się ludzie.

– Ktoś może nas obserwować – zauważyła Lyra.

– To nie jest wykluczone.

– Chodź, spacerujmy się. Jakbyśmy bujali w obłokach.

Rozejrzała się bez pośpiechu. Znajdowali się pomiędzy ogródkami działkowymi i rzeką, na rzadko koszonej łące, gdzie latem ludzie wyprawiali się na przechadzki i pikniki, grali w piłkę albo przychodzili wykąpać się w rzece. Lyra nie знаła tych okolic zbyt dobrze, wychowała się pół mili dalej na północ w towarzystwie urwisów i rozrabiaków z Jericho. Stoczyła wiele bitew z gangami tubylców z St Ebbes, zanim jeszcze wyprawiła się w głąb Arktyki, a potem do innego świata. Nawet teraz – jako dwudziestoletnia wykształcona kobieta i studentka Świętej Zofii – odczuwała atawistyczny lęk przed przebywaniem na terytorium wroga.

Ruszyła przed siebie wolnym krokiem, przez gąszcz traw, nad rzeką, usiłując sprawiać wrażenie, jakby robiła wszystko, tylko nie szukała miejsca zbrodni. Przystanęli na widok pociągu z węglem, który wolniutko toczył się z prawej strony w kierunku drewnianego mostu nad rzeką – pociągi nie jeździły wtedy zbyt szybko. Węglarki zaturkotały na moście i pociąg zjechał na lewo, na lokalną linię prowadzącą

do gazowni, a z niej na bocznicy przy głównym gmachu, w którym dniem i nocą huczały piece.

– Pan? – zagadnęła Lyra. – Gdyby nie został napadnięty, to dokąd by dotarł? Dokąd prowadzi ta ścieżka?

Stali na południowym skraju ogródków działkowych, w miejscu, z którego Pantalaimon pierwszy raz zobaczył napastników ukrywających się w cieniu wierzby. Oba drzewa – wierzba i dąb – znajdowały się w tej chwili jakieś sto jardów od nich, pomiędzy nimi a rzeką. Gdyby mężczyzna nie padł ofiarą napaści, przeszedłby nadbrzeżną ścieżką dalej, gdzie rzeka zakręcała w lewo. Nie roztrząsając tego dłużej, Lyra i Pan ruszyli w tę stronę, ciekawi, co znajdą.

Ścieżka prowadziła do przerzuconej nad rzeką kładki. Po jej drugiej stronie rozciągało się St Ebbes, gęszcz zabudowanych szeregowcami wąskich uliczek wokół gazowni.

– A więc to tam się udawał – odezwał się Pan.

– Mógł nawet o tym nie wiedzieć, po prostu szedł ścieżką.

– I pewnie stamtąd przyszedł ten drugi, ten, który nie przybył z sortowni.

– Dalej można iść, dokąd tylko zechcesz, można przepaść bez śladu w St Ebbes albo pójść dalej, na St Aldate's, Carfax... Wszędzie.

– Nie dowiemy się, dokąd szedł. Nie mamy szans zgadnąć.

Oboje dobrze wiedzieli, dlaczego stoją przy wejściu na kładkę i rozmawiają w ten sposób: żadne z nich nie wrywało się do oglądania miejsca, w którym zamordowano tego człowieka.

– Mimo wszystko powinniśmy to zrobić – powiedziała w końcu Lyra.

– Powinniśmy – zgodził się z nią Pan. – Chodźmy.

Zawrócili i ruszyli z powrotem wzdłuż rzeki w stronę wierzby i dębu, gdzie sitowie gęstniało, a ścieżka stawała się błotnista. Lyra rozglądała się od niechcenia, ale nigdzie nie widziała niczego groźnego ani złowieszczego. Nieco dalej nad rzeką bawiły się dzieci, parę osób pracowało na działkach, a z naprzeciwka szło dwoje starszych ludzi: trzymali się za ręce i nieśli siatki z zakupami.

Minęli się ze starszym państwem, którzy uśmiechem i skinieniem głowy odpowiedzieli na „Dzień dobry” Lyry, i znaleźli się w cieniu dębu. Pantalaimon przeskoczył z ramienia Lyry na pień i dalej, na gałąź, na której przycupnął w nocy, po czym zeskoczył na ziemię i zaczął przemykać w trawie w stronę wierzby. Lyra ruszyła za nim, wypatrując na ziemi śladów walki. Wszędzie widziała tylko trawę i zdeptane błoto, niczym nieróżniące się od trawy i błota na innych odcinkach ścieżki.

– Nikt nie idzie? – zapytała.

Pan wskoczył jej na ramię i rozejrzał się.

– Kobieta z dzieckiem i siatką z zakupami przechodzi w tej chwili przez kładkę. Nikogo więcej nie widać.

– Rozejrzyjmy się w sitowiu. To było mniej więcej tutaj, zgadza się?

– Tak. Dokładnie w tym miejscu.

– Potem zabójca zaciągnął ofiarę do wody, tak?

– Właściwie w gęszcz sitowia, nie do samej wody. W każdym razie nie od razu, nie kiedy patrzyłem. Bo potem jeszcze mógł wrócić.

Lyra zeszła ze ścieżki na zarośniętą nadbrzeżną pochyłość. Sitowie rosło tu wysokie, stromizna była spora i zboczywszy zaledwie na sześć stóp ze ścieżki, Lyra

straciła z oczu całą łękę. Ślizgała się okropnie, wiedziała, że buty będzie miała potwornie ubłocone, ale w końcu złapała równowagę, przykucnęła i spojrzała na ziemię z bliska. Sitowie było częściowo wygniecione i połamane: coś tu ciągnięto po błocie. Coś wielkości dorosłego człowieka.

Nigdzie jednak nie było widać ciała.

– Nie możemy za długo się tu kręcić – zauważyła, wspiąwszy się z powrotem na ścieżkę. – Ktoś mógłby nabrać podejrzeń.

– W takim razie chodźmy na dworzec.

Kiedy przechodzili obok sortowni, wielki dzwon Kolegium Kardynalskiego wybił jedenastą, a Lyra przypomniała sobie o rozpoczynającym się właśnie wykładzie – ostatnim w tym trymestrze – na którym powinna być. Wiedziała jednak, że Annie i Helen na pewno na niego pójdą, więc później pożyczyci od nich notatki. A może ten nieśmiały przystojniak z Kolegium Magdaleny znów usiądzie z tyłu, tak jak przedtem? Mogłaby jednak pójść, usiąść obok niego i zobaczyć, co z tego wyniknie. Wszystko wróciłoby do normy.

Tyle że dopóki miała w kieszeni klucz do skrytki, nie mogło być mowy o normalności.

– Dawniej to ty byłaś impulsywna, a ja musiałem cię hamować – zauważył Pantalaimon. – Zmieniliśmy się.

Lyra pokiwała głową.

– Świat się zmienia... Moglibyśmy poczekać, aż tamten policjant skończy służbę, i wrócić na St Aldate's. Na przykład wieczorem, koło szóstej. Nie mogą przecież wszyscy na posterunku być w zmowie, na pewno znajdzie się jakiś uczciwy funkcjonariusz. Tu nie chodzi o jakąś drobną kradzież w sklepie, tylko o morderstwo.

– Wiem. Widziałem.

– Może niepotrzebnie utrudniamy śledztwo i pomagamy mordercy? To by było złe.

– Jest coś jeszcze – powiedział Pantalaimon.

– Tak?

– Kiedyś byłaś optymistką, uważałaś, że cokolwiek zrobimy, ostatecznie wyjdzie nam na dobre. Nawet pobyt na północy cię nie zmienił. A teraz jesteś ostrożna, zalękniona... Stałaś się pesymistką.

Lyra wiedziała, że Pan ma rację, ale nie powinien mówić tego takim oskarżycielskim tonem, jakby doszukiwał się w tym jakiejś jej winy.

– Byłam młoda – odparła, nie znajdując lepszych słów.

Nie odpowiedział.

Nie odzywali się do siebie, dopóki nie znaleźli się na dworcu – wtedy Lyra zawołała Pantalaimona, który od razu wskoczył jej na ręce. Posadziła go sobie na ramieniu.

– Patrz do tyłu – powiedziała – i miej oczy szeroko otwarte. Ktoś może nas obserwować.

Pan odwrócił się i usadowił wygodnie. Lyra weszła na schody prowadzące do wejścia.

– Nie idź od razu do skrytek – poradził jej półgłosem. – Zajrzyj do kiosku, przejrzyj czasopisma. Ja będę czuwał. Przekonamy się, czy ktoś patrzy.

Skinęła głową i zaraz za drzwiami skręciła w lewo, do stoiska z prasą. Kartkowała

kolejne pisma ilustrowane, a Pantalaimon przyglądał się wszystkim mężczyznom i kobietom stojącym w kolejkach po bilety, pijącym kawę przy stolikach, oglądającym rozkłady jazdy i rozpytującym o coś w biurze informacji.

– Wszyscy są czymś zajęci – zameldował w końcu. – Nie widzę nikogo, kto by się kręcił po próżnicy.

– Mogę iść? – spytała Lyra. Klucz do skrytki miała pod ręką, w kieszeni.

– Idź. Ale nie śpiesz się, staraj się zachowywać naturalnie. Po drodze spójrz na zegar albo na tablicę przyjazdów i odjazdów...

Lyra odłożyła przeglądane czasopismo i odwróciła się tyłem do stoiska. Miała wrażenie, że spoczęła na niej chyba z setka par oczu, ale z udawaną nonszalancją przeszła na drugą stronę hali kasowej, do skrytek bagażowych.

– Na razie wszystko gra – powiedział Pan. – Nikt nie patrzy. Działaj!

Skrytka numer 36 była umieszczona na wysokości talii. Lyra przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwiczki. W środku leżał sfatygowany płócienny plecak.

– Oby nie był za ciężki – mruknęła.

Wyjęła plecak ze schowka. Klucz zostawiła w drzwiach.

– Szkoda, że nie umiemy robić tego, co Will – dodała.

Pan wiedział, co miała na myśli: Will Parry potrafił na zawołanie stawać się niewidzialny. Swoją umiejętnością zaskoczył nawet wiedźmy z dalekiej północy, które stosowały tę samą technikę: do tego stopnia ograniczały i tłamsiły wszystko, co było w nich interesującego, że ludzie przestawali je zauważać. Will ćwiczył się w tej sztuce przez całe życie. Dzięki temu uchodził uwagi policjantów i pracowników opieki społecznej, którzy mogliby się zainteresować, dlaczego nie jest w szkole, a wtedy puszczane przez nich w ruch procedury doprowadziłyby do rozdzielenia Willa z ukochaną matką, dręczoną przez przeróżne urojone lęki i obsesje.

Kiedy opowiedział Lyrze o tym, jak wygląda jego życie i jak trudno jest pozostać niezauważonym, w pierwszej chwili nie mogła się nadziwić, że ktoś w ogóle jest w stanie żyć tak samotnie. Jego odwaga poruszyła ją do głębi, w ogóle natomiast nie zdziwiła się Lyra na wieść o tym, że wiedźmy nadzwyczaj wysoko oceniają tę jego umiejętność.

Zastanawiała się – często jej się to zdarzało – co w tej chwili robi Will, jak teraz wygląda, czy jego matka jest bezpieczna...

– Na razie wszystko w porządku – mruknął uspokajająco Pantalaimon – ale lepiej przyspiesz trochę. Na schodach stoi jakiś mężczyzna i się nam przygląda.

Wyszli na dziedziniec przed dworcem, gdzie taksówki i autobusy wysadzały pasażerów i zabierały nowych. Myśląc o Willu, Lyra nie zwróciła uwagi, gdzie się znaleźli.

– Jak wygląda? – spytała półgłosem.

– Wysoki. W czarnej wełnianej czapce. Jego dajmon wygląda jak mastyf.

Lyra przyspieszyła kroku, kierując się w stronę Hythe Bridge Street i centrum miasta.

– Co teraz robi?

– Nadal nas obserwuje...

Najszybciej wróciłyby do Jordana najkrótszą drogą, to było zrozumiałe, ale droga najkrótsza byłaby zarazem najbardziej niebezpieczna: przez całą Hythe Bridge Street, a potem także George Street Lyra byłaby stale na widoku.

- Widzi nas?
- Teraz nie, hotel nas zasłania.
- Trzymaj się mocno.
- Co zamierzasz...

Lyra przebiegła zniecka przez ulicę i zgięta w pół przecisnęła się pod barierką odgradzającą pirsy, przy których rozładowywano barki z węglem. Nie zwracając uwagi na ludzi, którzy się za nią odwracali, okrążyła żuraw parowy, obiegła od tyłu siedzibę Zarządu Dróg Wodnych, przebiegła na drugą stronę wąskiej uliczki i zanurkowała w głąb George Street Mews.

- Nie widzę go – poinformował Pan, wykręciwszy szyję.

Lyra wypadła na Bulwarks Lane – zaułek pomiędzy dwoma wysokimi murami był tak wąski, że wyprostowanymi rękami mogłaby dotknąć obu ścian jednocześnie. W tym miejscu była całkowicie niewidoczna; nikt by jej tu nie pomógł, gdyby wpadła w tarapaty. Dotarła jednak bez przeszkód do końca uliczki i skręciła ostro w lewo, w kolejną wąską dróżkę, biegnącą na tyłach kościoła Świętego Piotra i wychodzącą na New Inn Hall Street, przez którą przewalały się tłumy kupujących z okolicznych sklepów.

- Świetnie nam idzie – powiedział Pantalaimon.

Hop przez ulicę i nura w Sewy's Lane, zawilgocony zaułek przy hotelu Clarendon. Jakiś mężczyzna bez szczególnego pośpiechu wysypywał śmieci do dużego pojemnika; jego dajmon, maciora, leżał obok na ziemi i ogryzał rzepę. Kiedy biegnąca Lyra przeskoczyła nad świnia, mężczyzna zatoczył się w tył i wypuścił trzymany w zębach niedopałek papierosa.

– Ej, ty! – zawołał, ale Lyra zdążyła już wybiec na Cornmarket, główną ulicę handlową w mieście, pełną pieszych i pojazdów dostawczych.

- Rozglądaj się – poleciła bez tchu Pantalaimonowi.

Przebiegła na drugą stronę Cornmarket i wpadła w uliczkę obok Golden Cross Inn, prowadzącą na Kryty Bazar.

- Muszę odsapnąć – powiedziała. – Ten plecak jest diabelnie ciężki.

Spokojnym krokiem przeszła przez bazar, obserwując wszystkich ludzi przed sobą i zostawiając Pantalaimonowi pilnowanie tyłów. Już niedaleko: do Market Street, pięćdziesiąt jardów dalej w lewo w Turl Street i tam będzie Kolegium Jordana. Została niespełna minuta drogi. Panując nad każdym mięśniem z osobna, nieśpiesznie podeszła do portierni.

Ledwie znaleźli się z Panem w środku, ze stróżówki wychynęła jakaś postać.

- Lyra! Witaj. Jak ci się studiuje?

Był to krzepki, rumiany i zawsze życzliwy doktor Polstead, historyk. Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Kilka lat temu odszedł z Jordana i przeniósł się do Kolegium Durham, po drugiej stronie Broad Street, czasem jednak miał do załatwienia jakieś sprawy w swojej starej placówce.

- Dobrze, dziękuję – odparła beznamiętnym tonem.

Przez portiernię przechodziła akurat grupa studentów w drodze na wykład lub ćwiczenia. Lyra udała, że ich nie widzi, oni zaś wszyscy bez wyjątku się na nią obejrzeliby – czego zresztą się spodziewała. Zaniemówili nawet na moment, jakby onieśmieleni jej widokiem.

Jeszcze zanim na dobre zniknęli, doktor Polstead znużył się oczekiwaniem na

bardziej wyczerpującą odpowiedź ze strony Lyry i wdał się w rozmowę z portierem. Lyra wyszła.

Dwie minut później siedzieli z Panem w jej pokoiku na szczycie klatki schodowej numer jeden. Sapnęła z ulgą, odęła policzki, zrzuciła plecak na podłogę i zamknęła drzwi na klucz.

– No – powiedział Pantalaimon – klamka zapadła.

Kolegialne srebra

– Co się stało? – zapytał Marcel Delamare.

Znajdował się w swoim gabinecie w La Maison Juste, a osobą, do której zwracał się z żądaniem wyjaśnień, był młody, całkiem zwyczajnie ubrany mężczyzna o ciemnych włosach, szczupłej, zdradzającej napięcie sylwetce i posępnej twarzy, który rozsiadł się wygodnie na sofie z wyciągniętymi do przodu nogami i rękami w kieszeniach. Jego dajmon, krogulec, patrzył spode łba na Delamare’a.

– Kiedy zatrudniasz partaczy...

– Odpowiedz na pytanie.

Gość wzruszył ramionami.

– Spaprali sprawę. Okazali się niekompetentni.

– Czy on nie żyje?

– Na to wygląda.

– Ale nic przy nim nie znaleźli. Nie miał przy sobie... torby? Teczki jakiejś?

– Aż takich szczegółów nie widzę, ale nie wydaje mi się.

– Spójrz jeszcze raz. Wysił się.

Młody człowiek machnął leniwie ręką, jakby odpędzał od siebie ten pomysł. Miał półprzymknięte oczy, lekko zmarszczoną minę i cieniutką warstewkę potu na białym czole.

– Źle się czujesz? – spytał Delamare.

– Wiesz, jak ta nowa metoda na mnie działa. To duże obciążenie dla nerwów.

– Dlatego tak dużo ci płacimy. Zresztą przecież zabroniłem ci z niej korzystać.

Nie ufam jej.

– Dobrze, spojrzę, niech ci będzie. Spojrzę, tylko nie w tej chwili. Najpierw muszę trochę dojść do siebie. Ale jedno ci powiem od razu: ktoś widział.

– Co widział, naszą akcję? Kto?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że ktoś tam jeszcze był i wszystko widział.

– Nasi sprawcy się zorientowali?

– Nie.

– Coś jeszcze możesz mi powiedzieć?

– Nic więcej nie wiem. Nie sposób wiedzieć coś więcej. Chociaż...

Młodzieniec zamilkł. Sekretarz generalny, przyzwyczajony do jego kaprysów, czekał cierpliwie.

– Chociaż myślę, że to mogła być ona – podjął w końcu jego gość. – Ta dziewczyna. Nie widziałem jej, zaznaczam, ale to mogła być ona.

Mówiąc to, obserwował Delamare'a, który usiadł przy biurku, skreślił zdanie albo dwa na papierze z firmowym nagłówkiem, po czym złożył kartkę i nałożył skuwkę na pióro.

– Proszę, Olivierze – powiedział. – Zanieś to do banku. Potem odpocznij. Podjedź trochę. Musisz mieć siłę.

Młody mężczyzna rozłożył kartkę i przeczytał, co na niej napisano, a następnie schował ją i wyszedł bez słowa. Zauważył jednak coś, czego nigdy przedtem nie widział: na wzmiankę o dziewczynie wargi Marcela Delamare'a zadrżały.

Lyra odłożyła plecak na podłogę i opadła ciężko na stary fotel.

– Dlaczego się schowałeś, kiedy pojawił się pan Polstead? – zapytała.

– Wcale się nie schowałem – zaoponował Pantalaimon.

– Schowałeś się. Na dźwięk jego głosu natychmiast czmychnąłeś mi pod płaszc.

– Po prostu nie chciałem przeszkadzać. Dalej, otworzymy go i zobaczymy, co jest w środku – powiedział Pan, oglądając plecak z bliska i szturchając nosem sprzączki. – Na pewno należał do niego, to ten sam zapach. Zupełnie inny niż woda kolońska od ojca Miriam.

– Teraz nie możemy się tym zająć – zauważyła Lyra. – Mamy dwadzieścia minut, żeby wrócić do Świętej Zofii na spotkanie z doktor Lieberson.

Spotkanie z opiekunem naukowym, obowiązkowe dla każdego studenta pod koniec trymestru, miało być okazją do oceny jego postępów, upomnienia go, by bardziej przykładał się do obowiązków, pochwalenia za dobrą pracę oraz przedstawienia zalecanych lektur na ferie świąteczne. Lyra nigdy jeszcze nie przegapiła takiego spotkania, ale jeżeli teraz się nie pośpieszy...

Wstała. Pan ani drgnął.

– Powinniśmy go ukryć – powiedział.

– Co ty gadasz? Tu będzie bezpieczny, nikt tu nie przychodzi.

– Mówię serio. Pomyśl o tym człowieku z ubiegłej nocy: komuś tak bardzo zależało na tym plecaku, że był gotowy dla niego zabić.

Lyra musiała mu przyznać rację. Odwinęła wytarty dywan: pod deskami podłogi była nieduża pusta przestrzeń, w której już wcześniej zdarzało im się chować różne rzeczy. Dziura była dość ciasna, ale w końcu udało im się wepchnąć w nią plecak i nakryć podłogę dywanem. Kiedy Lyra zbiegała po schodach, zegar Kolegium Jordana wybijał za kwadrans dwunastą.

Dotarła na spotkanie minutę przed czasem i musiała się poddać ocenie doktor Lieberson zgrzana i zarumieniona. Wyglądało na to, że pracowała solidnie i zaczynała rozumieć zawilosci śródziemnomorskiej i bizantyjskiej polityki, aczkolwiek zawsze istniało niebezpieczeństwo pomylenia powierzchownej znajomości faktów z fundamentalnym rozumieniem reguł rządzących owymi faktami. Lyra, która

całkowicie zgadzała się z doktor Lieberson, z zapalem kiwała głową; sama lepiej by tego nie ujęła.

Jej opiekunka – młoda kobieta o krótko przyciętych włosach, z dajmonem w ciele szczygła – posłała jej sceptyczne spojrzenie.

– Nie zaniebaj lektur – ostrzegła ją. – Frankopan jest niezły. Hughes-Williams ma świetny rozdział o handlu w Lewancie. I nie zapominaj...

– Właśnie, pani doktor, handel w Lewancie... Przepraszam, że pani przerwałam, ale czy tam zawsze handlowano różami, perfumami i tym podobnymi towarami?

– Także zielem fajkowym, odkąd tylko zostało odkryte. W średniowieczu głównym źródłem olejku różanego była Bułgaria. Handel z Bułgarią ucierpiał jednak na skutek wojen bałkańskich, a następnie ceł nałożonych przez Imperium Osmańskie na wszelkie towary przewożone przez Bosfor. Poza tym klimat nieco się zmienił, bułgarscy ogrodnicy zaczęli mieć kłopot z uprawą najlepszych odmian i tak oto centrum handlu różami stopniowo odsunęło się na wschód.

– A wie pani, z czego wynikają obecne problemy tej branży?

– Nie wiedziałam, że ta branża ma problemy.

Lyra pokrótce streściła rozmowę z Miriam, włącznie z informacją o kłopotach z dostawami dla fabryki jej ojca.

– Ciekawe – przyznała doktor Lieberson. – Sama widzisz, że historia trwa bez przerwy. Dzieje się na naszych oczach. Przypuszczam, że źródłem dzisiejszych kłopotów są lokalne uwarunkowania polityczne, ale zainteresuję się tym bliżej. A tobie życzę miłej przerwy świątecznej.

Zakończenie pierwszego trymestru, zwanego Michaelmas, świętowano tradycyjnymi obrzędami, które różnie wyglądały w różnych kolegiach. W Świętej Zofii generalnie krzywo patrzono na wszelkie rytuały, a gdy odrobina pompy była absolutnie nie do uniknięcia, jakby z łaski serwowano nieco bardziej uroczystą kolację niż na co dzień. Zupełnie inaczej wyglądało to w Kolegium Jordana, gdzie na koniec trymestru wydawano wystawną Ucztę Fundatorską. Za młodu Lyra zawsze niecierpliwie jej wyczekiwała – nie dlatego, że była na nią zaproszona (bo nie była), ale dlatego, że mogła przy okazji zarobić parę gwinei za polerowanie sreber. Zadanie to stało się tradycją samą w sobie, więc po szybkim obiedzie z przyjaciółkami w Świętej Zofii (Miriam wyraźnie odzyskała dobry humor), Lyra pośpieszyła do Jordana i tamtejszej spiżarni, gdzie pan Cawson, kamerdyner, przygotowywał naczynia na ucztę – wykładał z kredensów misy, talerze, puchary i wielką puszkę proszku do czyszczenia sreber.

Pan Cawson – przełożony całej służby w Jordanie – nadzorował przebieg wszystkich ceremonii w kolegium, odpowiadał za organizację uroczystych kolacji, pilnował przygotowania srebrnej zastawy, dbał także o palarnię i dostępne w niej luksusy. Kiedyś przerażał Lyrę bardziej niż ktokolwiek inny w Oksfordzie, ostatnio jednak coraz częściej przejawiał oznaki zgoła nieoczekiwanego człowieczeństwa.

Usiadła przy wyłożonym zielonym suknem stole, zanurzyła wilgotną szmatkę w puszcze z proszkiem i polerowała misy, talerze i puchary tak długo, aż ich

powierzchnia zdawała się rozpląwać w świetle lamp naftowych.

– Dobrze ci idzie – pochwalił ją pan Cawson, obracając w dłoniach jedną z mis i podziwiając jej nieskazitelny blask.

– Ile jest warta ta cała zastawa? – zagadnęła Lyra. Wzięła do ręki największe z naczyń, płaski półmisek o średnicy dwóch stóp z miseczkowatym zagłębieniem pośrodku.

– Jest bezcenna – odparł kamerdyner. – Nie do zastąpienia. Dziś nie można już kupić takich rzeczy, bo się ich po prostu nie produkuje. Utracono umiejętność ich wytwarzania. To, na przykład – wskazał trzymany przez Lyrę półmisek – ma trzysta czterdzieści lat i grubość dwóch gwinei. Nie sposób mu przypisać wartości monetarnej. – Westchnął ciężko. – Zresztą dzisiejsza uczta to prawdopodobnie ostatnia okazja, żeby go użyć.

– Naprawdę? A do czego on w ogóle służy?

– Nigdy nie byłeś na całej Uczcie Fundatorskiej, Lyro, mam rację? Wiele razy jadałeś w auli, zasiadałeś przy głównym stole, ale nigdy nie uczestniczyłeś w Uczcie od początku do końca. Zgadza się?

– Nikt mnie nie zapraszał, to by było niestosowne – odparła z namaszczaniem Lyra. – Zresztą i tak nie wpuszczono by mnie później do palarni.

– Hm – mruknął pan Cawson. Jego twarz niczego nie wyrażała.

– Dlatego nigdy nie widziałam, żeby ten wielgachny półmisek się do czegoś przydał. Co się na nim podaje, trufle na deser?

– Spróbuj go postawić.

Lyra położyła półmisek na zielonym suknie. Przekrzywił się na zaokrąglonym dnie i znieruchomiał w niezręcznie koślawej pozycji.

– Wydaje się mało praktyczny – zauważyła.

– Bo nie stawia się go na stole, tylko trzyma w rękach. To naczynie na wodę różaną.

– Na wodę różaną? – Zciekawiona Lyra podniosła wzrok na kamerdynera.

– Otóż to. Po podaniu mięs, a przed zmianą talerzy na deserowe, obchodzimy salę z misami napełnionymi wodą różaną. Mamy cztery takie naczynia, to jest z nich najpiękniejsze. Dżentelmeni i ich goście mogą zanurzyć w pachnącej wodzie chusteczki, opłukać palce, cokolwiek zechcą... Sęk w tym, że nie możemy już nigdzie dostać wody różanej. Na tegoroczną Ucztę jeszcze nam wystarczy, ale na tym koniec.

– Ale dlaczego nie można jej kupić? Przecież róże rosną dosłownie wszędzie, w ogrodzie mistrza jest ich pełno! Moglibyście sami robić wodę różaną, to nie może być trudne.

– Nie zrozum mnie źle, angielskiej wody różanej jest na rynku pod dostatkiem – odparł pan Cawson. Zdjął masywną butlę z półki nad drzwiami. – Ale to rzadzina, brakuje jej charakteru. Najlepsza woda różana pochodzi z Lewantu i krain leżących jeszcze dalej na wschód. Proszę, powąchaj.

Odkorkował butlę. Lyra pochyliła się nad nią i odkryła skoncentrowany aromat wszystkich róż, jakie kiedykolwiek rozkwitły na świecie, słodczy tak potężną i obezwładniającą, że przekraczała wszelkie granice słodczy i z wielkiej złożoności przechodziła płynnie w królestwo prostoty, czystości i piękna. To był zapach światła słonecznego.

– Ach! – zachwyciła się. – Teraz rozumiem, co ma pan na myśli. Tylko tyle

zostało?

– To wszystko, co udało mi się zdobyć. Chociaż wydaje mi się, że pan Ellis, szambelan w Kolegium Kardynalskim, ma jeszcze kilka butelek. Pan Ellis to bardzo skryty i ostrożny człowiek, ale spróbuję wkraść się w jego łaski.

Pan Cawson miał zwyczaj przemawiać tonem tak oschłym, że Lyra nigdy nie była pewna, kiedy żartuje, a kiedy mówi serio. Sprawa wody różanej wydała jej się jednak zbyt intrygująca, by łatwo odpuścić.

– A jak pan powiedział, że skąd pochodzi ta naprawdę dobra woda różana?

– Z Lewantu, głównie z Syrii i Turcji, o ile mi wiadomo. Podobno można je jakoś odróżnić, ale ja tego nie potrafię. To nie wino, z tokajem czy porto jest inaczej: każdy kieliszek skrywa wielkie bogactwo smaku i kiedy człowiek nauczy się je rozpoznawać, nigdy nie pomyli nawet roczników, nie mówiąc już o marce wina. Tylko że w przypadku wina mamy do dyspozycji język i kubki smakowe, prawda? Całe usta biorą w tym udział. A w przypadku wody różanej jest tylko zapach... Mimo to nie wątpię, że są tacy, którzy potrafią je rozróżnić.

– Dlaczego brakuje olejku na rynku?

– Przypuszczalnie przez mszyce. No dobrze, Lyro, wszystko wypolerowałaś?

– Jeszcze tylko ten lichtarz mi został. Niech mi pan powie, panie Cawson, kto jest waszym dostawcą wody różanej? U kogo się zaopatrujecie?

– U Sidgwicka, tak się nazywa firma. A skąd u ciebie to nagłe zainteresowanie?

– Mnie wszystko interesuje.

– Istotnie, zapomniałem już... No dobrze, dam ci coś. – Kamerdyner wyjął z szuflady flakonik wielkości małego palca Lyry i podał go jej. – Odkorkuj – poleciał – i trzymaj nieruchomo.

Wykonała jego polecenie, a wtedy on z absolutnym spokojem i najwyższą ostrożnością napełnił flakonik wodą różaną z butli.

– Proszę bardzo. Tyle na pewno możemy odżałować. Należy ci się, zwłaszcza że nie jesteś zaproszona na ucztę i nie masz wstępu do palarni.

– Dziękuję panu!

– No, a teraz zmykaj. Aha, jeszcze jedno: gdybyś chciała się dowiedzieć czegoś więcej o Lewancie, Oriencie i tym podobnych, zwróć się do doktora Polsteda z Kolegium Durham.

– Dobry pomysł. Dziękuję, panie Cawson.

Wyszła ze spiżarni wprost w zimowe popołudnie i bez szczególnego entuzjazmu spojrzała w stronę Kolegium Durham po drugiej stronie Broad Street. Doktor Polstead na pewno był u siebie; mogłaby przejść przez ulicę, zapukać do niego, a on przyjąłby ją życzliwie, zaprosił, żeby usiadła, i zaczął niekończącą się opowieść o zawiłościach lewantyńskiego handlu. Po pięciu minutach zaczęłaby żałować, że do niego przyszła.

– To jak? – spytała Pantalaimona.

– Nie – odparł. – Kiedy indziej do niego pójdziemy. A o plecaku i tak nie możemy mu powiedzieć. Kazałby nam odnieść go na policję, my byśmy się upierali, że nie możemy i...

– Pan? O co chodzi?

– Ale z czym?

– Co przede mną ukrywasz?

– Nic. Chodźmy do domu, zajrzyjmy do plecaka.

– Nie teraz, to może poczekać. Nie zapominaj, że mamy konkretną robotę do wykonania. Jeżeli dziś zaczniemy, później będziemy mieli mniej pracy.

– No to chociaż zabierzmy plecak ze sobą.

– Nie! Zostanie tam, gdzie jest. To bezpieczna kryjówka. Niedługo i tak wrócimy do Jordana na przerwę trymestralną, a gdybym trzymała go w Świętej Zofii, stale byś mnie nagabywał, żeby w nim grzebać.

– Ja cię nie nagabuję.

– Żałuj, że się nie słyszysz.

Kiedy wrócili do Kolegium Świętej Zofii, Pantalaimon udał, że kładzie się spać, a Lyra sprawdziła bibliografię do swojego ostatniego eseju. Trochę jeszcze podumała nad plecakiem, a potem włożyła ostatnią czystą sukienkę i zeszła na kolację.

Przy duszonej baraninie przyjaciółki usiłowały ją namówić na wspólne wyjście na koncert w ratuszu, gdzie młody, niezwykle przystojny pianista miał grać Mozarta. W innych okolicznościach byłaby to propozycja niezwykle kusząca, Lyrze jednak co innego zaprzętało głowę. Zjadła jeszcze pudding ryżowy, po czym wymknęła się z jadalni, włożyła płaszcz i poszła na Broad Street, do pubu White Horse.

Młode damy rzadko same chadzały do pubów, ale Lyrze w obecnym stanie daleko było do damy. Poza tym szukała kogoś – i właśnie w pubie dość szybko go znalazła. Sala barowa w White Horse była mała i wąska, więc Lyra – chcąc się upewnić, że poszukiwany przez nią człowiek jest na miejscu – musiała przepchnąć się przez wieczorny tłum urzędników na sam koniec lokalu, do znajdującej się tam małej, zacisznej salki. W okresie regularnej nauki na uniwersytecie pub byłby pełen studentów, ponieważ (w odróżnieniu od niektórych innych lokali) w White Horse miasto swobodnie mieszało się z uczelnią. Trymestr miał się jednak ku końcowi i studenci poznikali, by wrócić dopiero w połowie stycznia. Tego wieczora Lyra nie reprezentowała jednak uczelni, lecz miasto. W stu procentach.

W salce siedział już Dick Orchard w towarzystwie Billy’ego Warnera i dwóch nieznanym Lyrze dziewczyn.

– Cześć, Dick – powiedziała Lyra.

Rozpromienił się na jej widok. Był całkiem przystojny. Miał czarne, kręcone, lśniące włosy, duże oczy o ciemnych tęczęwkach i bardzo białych białkach, wyraziste rysy i zdrową skórę o złotawym odcieniu. Taka twarz doskonale prezentowałaby się na fotogramie, nie byłoby w niej nic niewyraźnego ani zamazanego. Poza tym za każdym przyjmowanym przez nią wyrazem kryła się naturalna skłonność do śmiechu albo przynajmniej rozbawienia. Szyję miał – na gipską modłę – przewiązaną niebiesko-białą apaszką w grochy. Jego dajmonem była mała, szczupła lisica, która z wyraźną przyjemnością wstała na widok Pantalaimona: ci dwoje zawsze się lubili. Kiedy Lyra miała dziewięć lat, podziwiała Dicka – podówczas przywódcę gangu chłopców kręcących się przy bazarze – za to, że umiał pluć najdalej ze wszystkich. Całkiem niedawno zaś wdali się w krótki, lecz namiętny romans, który – co ważne – zakończyli na przyjacielskiej stopie. Jego widok sprawił jej ogromną przyjemność, której jednak, rzecz jasna, nie zamierzała okazywać w obecności innych dziewcząt.

– Gdzieś ty się podziwiała? – zagadnął Dick. – Od tygodni cię nie widziałem.

– Załatwiałam różne sprawy, spotykałam się z ludźmi, czytałam.

– Cześć, Lyro – odezwał się Billy, sympatyczny chłopak, który kręcił się przy Dicku, odkąd razem chodzili do podstawówki. – Co słychać?

– Cześć, Billy. Znajdzie się tam dla mnie miejsce?

– Kto to? – zainteresowała się jedna z dziewczyn.

Pozostali udali, że jej nie słyszą. Billy posunął się na ławce, robiąc miejsce Lyrze.

– Ej! – odezwała się druga z dziewcząt. – Co ty sobie wyobrażasz, że się tak wtrącasz?

Lyra także i jej słowa puściła mimo uszu.

– Nie pracujesz już na bazarze, Dick? – zapytała.

– Nie. Chrzanić taką robotę, całe to przewalanie kartofli i układanie główek kapusty. Zahaczyłem się w sortowni pocztowej. Co ci wziąć, Lyro?

– Badgera – odparła, bardzo z siebie zadowolona. Nie pomyliła się co do nowego miejsca pracy Dicka.

Dick wstał i przecisnął się obok jednej z dziewczyn.

– Co ty robisz, Dick? Co to za jedna?

– Moja dziewczyna – odparł Dick z czymś na kształt leniwego rozbawienia w oczach.

Lyra nie spuściła wzroku, wytrzymała jego spojrzenie z dumą, spokojnie, jakby przyznając się do winy. Kiedy Dick odszedł od stolika, dziewczyna, która go zagadnęła, zabrała swoją torebkę i ruszyła za nim, biadoląc płaczącym tonem. Lyra nie zaszczyciła jej nawet jednym spojrzeniem.

– Jak on cię nazwał? – zainteresowała się druga z dziewcząt. – Laura?

– Lyra.

– To jest Ellen – przedstawił swoją towarzyszkę Billy. – Pracuje w centrali telefonicznej.

– Aha – powiedziała Lyra. – A co u ciebie, Billy?

– Zaczepiłem się u Acotta na High Street.

– Sprzedajesz fortepiany? Nie wiedziałam, że umiesz grać.

– Nie umiem. Ja je tylko dźwigam. Dzisiaj, na przykład, jest koncert w ratuszu. Mają tam fatalny fortepian, więc wypożyczyli od nas inny, lepszy. We trzech go taszczyliśmy, ale cóż, jakoś kosztuje. A co tam u ciebie, egzaminy pozdawane?

– Jeszcze nie.

– Jakie egzaminy? – zainteresowała się druga dziewczyna. – Ty studiujesz?

Lyra skinęła głową. Wrócił Dick z półkwatrką badgera. Druga z dziewcząt zniknęła.

– Małe? Ależ dziękuję ci, Dicku – zachnęła się Lyra. – Gdybym wiedziała, że masz kłopoty finansowe, poprosiłabym o szklankę wody.

– Gdzie Rachel? – zapytała Ellen.

Dick usiadł.

– Wziąłem ci małe – powiedział – bo czytałem niedawno taki artykuł, z którego wynikało, że kobiety nie powinny pić za dużo na raz. *Ale* jest dla nich zbyt mocne, mąci im w głowach i budzi w nich szalone żądze.

– Rozumiem – odparła Lyra. – Mógłbyś sobie ze mną nie poradzić.

– Ja to jeszcze pół biedy, ale bałem się o przypadkowych świadków.

– Rachel wyszła? – dopytywała się dziewczyna, próbując wypatrzyć przyjaciółkę w tłumie.

– Wyglądasz dziś jak rasowy Gipcjaniin – powiedziała Lyra do Dicka.

– Jak się ma atuty, to trzeba je eksponować.

– Tak to nazywasz?

– Pamiętasz, że mój dziadek jest Gipcjaninem? Giorgio Brabandt. Też przystojniak, jak ja. Pod koniec tygodnia będzie w Oksfordzie, mogę was sobie przedstawić.

– Mam tego dość – powiedziała dziewczyna do Billy’ego.

– Daj spokój, Ellen...

– Wychodzę z Rachel. Możesz iść z nami albo zostać, jak wolisz.

Dajmon dziewczyny, siedzący jej na ramieniu szpak, zatrzepotał skrzydełkami, gdy wstała od stołu. Billy spojrział pytająco na Dicka, a kiedy ten odpowiedział wzruszeniem ramion, również wstał.

– To na razie, Dick. Cześć, Lyro – powiedział i wyszedł w ślad za Ellen.

– Popatrz, popatrz... – powiedział Dick. – Zostaliśmy sami.

– Opowiedz mi o tej sortowni. Co tam robisz?

– To główna sortownia na całą południową Anglię. Przesyłki przyjeżdżają pociągami pocztowymi w opieczętowanych workach. My te worki otwieramy i sortujemy przesyłki według regionów. Potem wrzuca się je do kolorowych skrzynek, każdy region ma swój kolor, i ładuje je do innych pociągów albo do zeppelinów pocztowych do Londynu.

– I tak przez cały dzień?

– Dniem i nocą, non stop. Dlaczego cię to interesuje?

– Mam swoje powody. Może ci je zdradzę, a może nie. Na której jesteś zmianie?

– W tym tygodniu na nocki. Zaczynam o dziesiątej.

– Czy pracuje u was taki mężczyzna, wysoki, barczysty... W poniedziałek, to znaczy wczoraj, pracował na nocnej zmianie i coś mu się stało w nogę...

– Osobliwe pytanie. Pracują u nas setki ludzi, zwłaszcza o tej porze roku.

– No tak, domyślałam się...

– Tak się jednak składa, że chyba wiem, o kogo może ci chodzić. Jest taki jeden skurczybyk, paskudny jak cię mogę. Nazywa się Benny Morris. Ktoś dzisiaj mówił, że Benny spadł z drabiny i złamał nogę. Szkoda, że nie kark. Ale owszem, pracował wczoraj na nockę, przynajmniej przez pierwsze pół zmiany, bo potem się zmył. Tak przynajmniej myślę, po północy nikt go już nie widział. A dziś po południu słyszałem, że złamał nogę czy coś...

– Łatwo jest niepostrzeżenie wymknąć się z sortowni?

– Nie przez główną bramę, tam na pewno ktoś by cię zobaczył. Ale zawsze można przeskoczyć przez ogrodzenie albo przeleźć przez jakąś dziurę. O co ci chodzi, Lyro?

Bindi, dajmon Dicka, bez wysiłku wskoczyła na ławkę i teraz wpatrywała się w Lyrę błyszczącymi czarnymi ślepiami. Pan siedział na stole, tuż obok jej łokcia. Oba dajmony z uwagą śledziły rozmowę ludzi.

Lyra pochyliła się nad blatem.

– Wczoraj w nocy, właściwie już dzisiaj, bo było po północy, jakiś mężczyzna przelazł przez furtkę w ogrodzeniu sortowni od strony działek – zaczęła, zniżając głos.

– Zszedł nad rzekę, gdzie spotkał się z drugim mężczyzną, ukrytym w cieniu drzew. Kiedy ścieżką od strony dworca nadszedł trzeci, tamci dwaj rzucili się na niego, zabili go i ukryli zwłoki w sitowiu. Dziś rano ciała już nie było; wiem, bo poszliśmy sprawdzić.

– Skąd o tym wszystkim wiecie?

- Widzieliśmy to na własne oczy.
- To dlaczego nie poszliście z tym na policję?

Cały czas patrząc Dickowi w oczy, Lyra pociągnęła solidny łyk piwa. Odstawiła szklanę.

- Nie możemy tego zrobić – odparła – i mamy ku temu dobry powód.
- Ale co wyście w ogóle robili w takim miejscu w środku nocy?
- Podkradaliśmy pasternak. To nieważne, grunt, że tam byliśmy i wszystko widzieliśmy.

Bindi spojrzała na Pana, który odpowiedział jej obojętnym spojrzeniem niewiniątka, jakiego Lyra by się nie powstydziała.

- Widzieli was? Tamci dwaj, o których mówiłaś...

– Gdyby nas zobaczyli, dopadliby nas i też próbowali zabić. Ale do czego zmierzam: nie spodziewali się, że napadnięty mężczyzna im się postawi, tymczasem on wyciągnął nóż i ciął jednego z nich w nogę.

Dick aż zamrugał z zaskoczenia i wyprostował się lekko.

- I mówisz, że widzieliście, jak tamci zepchnęli zwłoki do rzeki?

– Może nie do rzeki, ale w gąszcz sitowia. Potem poszli w stronę kładki przy gazowni. Ten zdrowy pomagał rannemu iść.

– Skoro tylko zepchnęli ciało w sitowie, to musieli potem wrócić i pozbyć się go na dobre. Każdy mógłby je tam znaleźć: nad rzeką bawią się dzieci, co rusz ktoś przechodzi ścieżką... Przynajmniej za dnia.

- Woleliśmy nie czekać, aż wrócą.

– Oczywiście.

Lyra dopiła piwo.

- Jeszcze jedno? – zapytał Dick. – Tym razem przyniosę ci duże.

– Nie, dziękuję. Zaraz będę musiała iść.

- A ten drugi mężczyzna, nie ten napadnięty, tylko ten, który czekał w zasadzce...

Widzieliście, jak wyglądał?

– Nie, nie za dobrze. Ale słyszeliśmy jego głos. I właśnie dlatego – Lyra rozejrzała się i upewniła, że w dalszym ciągu nikt im się nie przygląda – nie możemy iść na policję. Słyszeliśmy, jak jeden policjant z kimś rozmawiał, i to był ten sam głos! Dokładnie ten sam. To policjant zabił tamtego człowieka.

Dick złożył usta jak do gwizdnięcia, ale nie wydał żadnego dźwięku. Napił się.

- Rozumiem – przyznał. – Niezręczna sytuacja.

– Nie wiem, co robić, Dick.

- Najlepiej nic nie rób. Po prostu zapomnij o całej sprawie.

– Nie mogę.

- To dlatego, że cały czas o niej myślisz. Spróbuj pomyśleć o czym innym.

Lyra pokiwała głową. Lepszej rady od Dicka nie dostanie.

Nagle coś przyszło jej do głowy.

– W okresie świątecznym sortownia zatrudnia pracowników tymczasowych, prawda?

- Owszem. A co, szukasz zajęcia?

– Może.

– No to idź do biura i zapytaj. Praca fajna, chociaż ciężka, uprzedzam. Nie będziesz miała czasu na zabawę w detektywa.

– Nie o to chodzi, chciałabym po prostu poczuć atmosferę tego miejsca. Zresztą to i tak by było tylko na krótko.

– Na pewno nie chcesz się jeszcze napić?

– Na pewno.

– A jakie masz plany na resztę wieczoru?

– Sprawy do załatwienia, książki do przeczytania...

– Zostań, będzie fajnie. Przepłoszyłaś tamte dziewczyny i teraz co, zostawisz mnie samego?

– Wcale ich nie przepłoszyłam!

– Daj spokój, spietrały się, że hej!

Zakłopotana Lyra zaczęła się rumienić. Ze zgrozą przypomniała sobie, jak bardzo była niemila dla tamtych dwóch dziewcząt. A przecież tak łatwo byłoby się z nimi zaprzyjaźnić.

– Kiedy indziej, Dick – odparła, choć mówienie chwilowo przychodziło jej z trudem.

– Obiecanki cacanki – mruknął Dick.

W jego głosie nie było jednak żalu ani urazy. Wiedział, że znalezienie innej dziewczyny na wieczór nie zajmie mu wiele czasu – dziewczyny, która nie miała powodów do wstydu i dobrze się czuła ze swoim dajmonem. I rzeczywiście będzie fajnie, tak jak zapowiedział.

Przez chwilę Lyra zazdrościła tej nieznannej dziewczynie: Dick był świetnym, uprzejmym, miłym towarzyszem, do tego naprawdę ponadprzeciętnie przystojnym. Zaraz jednak przypomniała sobie, że już po kilku tygodniach bliższej znajomości zaczęła czuć, że ją ogranicza. Były takie sfery jej życia, które dla niej miały ogromne znaczenie, dla niego zaś zdawały się nie istnieć, tak wielką okazywał im obojętność. Wiedziała, na przykład, że nigdy nie będzie mu mogła opowiedzieć o Pantalaimonie i o tym, jak zostali rozdzieleni.

Wstała, ale zanim wyszła, pochyliła się do Dicka i go pocałowała – czym zupełnie go zaskoczyła.

– Nie będziesz musiał długo czekać – powiedziała.

Uśmiechnął się. Bindi i Pan szturchnęli się nosami, a potem Pan wskoczył Lyrze na ramię, przeszli przez bar i wyszli na zimną ulicę.

Lyra odruchowo skręciła w lewo, ale zawahała się, zastanowiła i przeszła na drugą stronę ulicy, kierując się do Kolegium Jordana.

– Co teraz? – spytał Pantalaimon, gdy pomachała portierowi w oknie.

– Plecak.

Bez słowa weszli na górę, do swojego starego pokoju. Lyra zamknęła drzwi na klucz, włączyła grzejnik, odwinęła dywan i podważyła deskę. Wszystko wyglądało tak, jak kiedy stąd wychodzili.

Wyciągnęła plecak ze skrytki, przeniosła go na fotel, bliżej lampy, i zaczęła odpinać sprzączki. Pantalaimon przycupnął obok na małym stoliku. Lyra miała ochotę mu powiedzieć, jak nieswojo się czuje, dręczona wyrzutami sumienia przemieszanyymi ze smutkiem i niepohamowaną ciekawością, ale rozmawianie stało się takie trudne...

– Komu o tym powiemy? – zapytał.

– To zależy od tego, co znajdziemy w środku.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem, może to nie będzie miało żadnego związku. Po prostu...

Lyra zawiesiła głos.

Odrzuciwszy klapę plecaka, znalazła na wierzchu schludnie złożoną koszulę, która niegdyś była biała, i sweter ze zgrzebnej granatowej wełny – jedno i drugie mocno sfatygowane. Pod nimi leżały sandały na sznurkowej podeszwie, również bardzo znoszone, oraz metalowe pudełko wielkości sporej Biblii, owinięte dwiema grubymi gumkami. Było ciężkie, a gdy obracała je w dłoniach, jego zawartość nie przemieszczała się w środku i nie wydawała żadnych dźwięków. Pierwotnie puszka zawierała tureckie ziele fajkowe, ale namalowany na niej fabryczny deseń prawie zupełnie się wytarł.

Otworzywszy ją, Lyra znalazła kilka niedużych buteleczek i zalakowanych tekturowych pudełek gęsto obłożonych watą bawełnianą.

– Pewnie jakieś próbki botaniczne – domyśliła się.

– To wszystko? – spytał Pantalaimon.

– Nie, jest jeszcze jakaś jakby... kosmetyczka...

Wyblakła płócienna kosmetyczka zawierała brzytwę, pędzel do golenia i prawie pustą tubkę pasty do zębów.

– Jest tam coś jeszcze. – Pan zajrzał do plecaka.

Lyra namacała książkę... nie, dwie książki. Wyjęła je i z rozżaleniem stwierdziła, że zostały napisane w językach, których nie zna. Jedna z nich, sądząc po ilustracjach, mogła być podręcznikiem do botaniki, druga zaś – gdyby oceniać po układzie tekstu na stronicach – jakimś długim poematem.

– To nadal nie wszystko – upierał się Pan.

Lyra wyjęła leżący na samym dnie plecaka plik papierów. Były w nim trzy lub cztery nadbitki artykułów z periodyków botanicznych, mały sfatygowany notatnik, który na pierwszy rzut oka zawierał nazwiska i adresy ludzi z całej Europy i nie tylko, oraz niewielki plik zmiętych, poplamionych, zapisanych ołówkiem kartek. Artykuły były napisane po niemiecku i po łacinie, za to odręczne zapiski sporządzono po angielsku.

– To jak? – zapytał Pantalaimon. – Czytamy?

– Oczywiście. Ale nie tutaj, tu jest fatalne światło. Nie mam pojęcia, jak kiedyś mogliśmy tu pracować.

Lyra złożyła kartki i schowała je do wewnętrznej kieszeni na piersi. Odłożyła rzeczy do plecaka, a plecak do schowka pod podłogą, po czym otworzyła drzwi, gotowa do wyjścia.

– Ja też będę mógł je przeczytać? – zapytał Pantalaimon.

– Pan, na litość boską!

W drodze powrotnej do Świętej Zofii nie odzywali się do siebie.

Dziennik doktora Straussa

Lyra przyrządziła sobie gorący *chocolatl* i usiadła przy stoliku obok kominka. Przysunęła lampkę i zaczęła przeglądać wyjęty z plecaka rękopis. Składało się nań kilkanaście kartek poliniowanego papieru, zapisanych ołówkiem i najprawdopodobniej wydartych z zeszytu. Pan usiadł na stole – demonstracyjnie daleko od ręki Lyry, a zarazem dostatecznie blisko, żeby swobodnie czytać.

Z DZIENNIKA DOKTORA STRAUSSA

Taszbułak, 12 września

Czen, poganiacz wielbłądów, twierdzi, że był kiedyś na Karamakan i dotarł do samego serca pustyni. Zapytałem go, co tam jest. Odparł, że tego miejsca strzegą kapłani. Takiego właśnie słowa użył, było jednak widać, że szuka innego, które lepiej by wyrażało ich naturę. Jak żołnierze, powiedział, ale kapłani.

Czego strzegli? Budowli. Czen nie umiał powiedzieć, co było w środku, nie wpuścili go.

Co to była za budowla? Jak wyglądała? Jakie miała rozmiary? Duża, odparł, jak ogromna wydma piaskowa, największa na świecie, zbudowana z czerwonego kamienia i bardzo stara. Nie wyglądała na dzieło człowieka. Jak wobec tego wyglądała, jak wzgórze? Jak góra? Nie, miała regularne kształty. Jak budowla. Z czerwonego kamienia. Ale nie jak dom. Jak świątynia zatem? Wzruszył ramionami.

W jakim języku rozmawiali strażnicy? We wszystkich, odparł Czen. (Przypuszczam, że ma na myśli wszystkie języki, które sam zna, a tych jest wcale niemało: podobnie jak wielu innych poganiaczy wielbłądów porozumiewa się w tuzinie języków, z perskim i mandaryńskim włącznie).

Taszbułak, 15 września

Znów widziałem się z Czenem. Zapytałem go, po co zapuścił się na Karamakan. Odpowiedział, że od dziecka słyszał opowieści o legendarnych skarbach, jakie można tam znaleźć. Wielu próbowało, ale większość szybko

się poddawała, zanim jeszcze na dobre zagłębiła się w pustynię, z powodu bólu podróży akterrakeh – tak to wymawiają.

Zapytałem, jak on radził sobie z bólem. Myślałem o złocie, odparł.

I co, zapytałem, znalazłeś złoto?

Spójrz na mnie, powiedział wtedy. Spójrz na nas.

Jest chudy jak szczapa. Ma zakłęśnięte policzki i głęboko zapadnięte oczy okolone setką zmarszczek. Pustynny pył wgryzł mu się w skórę dłoni. Jego ubrania powstydziłyby się nawet strach na wróble. Jego dajmon, szczur pustynny, jest prawie bezwłosy, a jego nagą skórę pokrywają sączące się liszaje. Inni poganiacze unikają Czena, jakby się go bali, jemu zaś samotność wyraźnie odpowiada. Ostatnio poganiacze zaczęli unikać także i mnie, prawdopodobnie przez to, że utrzymuję z nim kontakt. Wiedzą o jego umiejętności rozdzielania się z dajmonem, budzi to w nich lęk i niechęć.

Zapytałem, czy nie boi się o swojego dajmona. Co by zrobił, gdyby szczurzyca zaginęła?

Szukałby jej w Al-Chan al-Azraq. Słabo znam arabski. Hassall wyjaśnił mi, że znaczy to „Błękitny Hotel”. Zdumiałem się, ale Czen obstawał przy swoim: zgadza się, powiedział, Al-Chan al-Azraq, Błękitny Hotel. Gdzie znajduje się ten Błękitny Hotel, zapytałem więc, ale nie umiał mi powiedzieć. To miejsce, do którego udają się dajmony, wyjaśnił. Był zresztą przekonany, że szczurzyca wcale by tam nie poszła, bo pragnęła złota nie mniej niż on sam. To chyba był żart, bo przy tych słowach wybuchnął śmiechem.

Lyra spojrzała na Pantalaimona i stwierdziła, że ten w skupieniu wpatruje się w stronicę. Wróciła do lektury.

Taszbułek, 17 września

Im dłużej je badamy, tym bardziej prawdopodobne jest, że Rosa lopnoriae jest odmianą macierzystą, a pozostałe, R. tajikiae i inne, odmianami potomnymi. Interesujące nas zjawiska optyczne zdecydowanie najsilniej występują w przypadku ol. R. lopnoriae, której trudność uprawy rośnie wraz z oddalaniem się od Karamakan. Nawet kiedy postaraliśmy się w innym miejscu odtworzyć wszystkie warunki uprawy – tj. skład gleby, temperaturę, wilgotność itd. – w sposób praktycznie identyczny jak na K., okazy R. lopnoriae nie rozwijają się prawidłowo i wkrótce usychają. Coś nam umyka. Inne odmiany musiały zostać uzyskane w drodze intensywnego krzyżowania, żeby zachować choć część zalet R. lop po przeniesieniu uprawy w inne miejsca.

Pojawia się pytanie, w jaki sposób należy to wszystko opisać. Oczywiście pierwsze ukażą się artykuły w periodykach naukowych, ale nie wolno nam przeoczyć innych, bardziej dalekosiężnych implikacji. Gdy tylko wiedza na temat róż się upowszechni, rozpoczną się gorączkowe poszukiwania i próby wykorzystania ich potencjału, a wtedy my z naszą małą placówką badawczą

w najlepszym razie zostaniemy zepchnięci na margines, w najgorszym zaś – znikniemy bez śladu. Podobny los czeka wszystkich okolicznych hodowców róż. Nie koniec na tym: zważywszy na naturę objawienia obserwowanego w procesie optycznym, należy się spodziewać zaognienia sytuacji religijnej i politycznej, paniki i fali prześladowań. Jest to równie pewne jak fakt, że po dniu nastaje noc.

Taszbułak, 23 września

Poprosiłem Czena, żeby był moim przewodnikiem na wyprawie w głąb Karamakan. Obiecałem mu złoto. Rod Hassall pójdzie z nami. Lękam się tej ekspedycji, lecz nie sposób jej już uniknąć. Spodziewałem się, że trudno będzie przekonać Cartwrighta do wydania zgody na tę podróż, ale udzielił mi gorącego poparcia. Równie dobrze jak my zdaje sobie sprawę, jaka jest stawka w tej grze. Zresztą sytuacja na miejscu i tak jest dramatyczna.

Taszbułak, 25 września

Doszły nas plotki o zamieszkach w Chulanszanie i Akdżarze, zaledwie 150 kilometrów na zachód stąd. Tamtejsze ogrody różane zostały spalone lub rozkopane przez ludzi z gór – tak się przynajmniej mówi. Do tej pory myśleliśmy, że tego rodzaju turbulencje ograniczają się do Azji Mniejszej, ale skoro sięgnęły tak daleko... To zła wiadomość.

Jutro ruszamy na Karamakan, o ile tylko będzie to możliwe. Cariad błaga mnie, bym tego nie robił, dajmon Hassalla również. Boją się, to zrozumiałe. Na Boga, ja też się boję.

Karamakan, 26 września

Ból jest przeokrutny, nie do opisania, przytłaczający i bezlitosny – ale też nie do końca jest po prostu bólem. To raczej coś na kształt przeszywającej serce udręki i smutku, choroba, strach i śmiertelna rozpacz w jednym. Wszystkie te aspekty łączą się i mieszają z różną intensywnością. Ból czysto fizyczny zelżał po mniej więcej półgodzinie; nie sądzę, bym był w stanie dłużej go znieść. Jeśli zaś chodzi o Cariad... To zbyt bolesne, nie potrafię o tym mówić. Co ja najlepszego zrobiłem? Co zrobiłem jej, mojej duszy? Te jej szeroko otwarte, wstrząśnięte oczy, kiedy się na nią obejrzałem...

Nie. Nie dam rady o tym pisać.

To najgorsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu – i zarazem najkonieczniejsza. Oby istniała jakaś przyszłość, w której znów będziemy mogli być razem. I oby Cariad mi wybaczyła.

To był koniec strony. Zaczytana Lyra poczuła jakiś ruch tuż obok opartej na stole

ręki: to Pantalaimon odsunął się od niej i położył na samym krańcu stołu, zwrócony do niej tyłem. Ścisnęło ją w gardle, tak że nie byłaby w stanie wykrztusić ani słowa – nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć.

Przymknęła na chwilę oczy, a potem czytała dalej:

Zapusciliśmy się na 4 kilometry w głąb pustyni. W tej chwili odpoczywamy, żeby nabrać nieco sił. Iście piekielne miejsce. Hassall z początku bardzo cierpiał, ale otrząsnął się szybciej ode mnie. Za to Czen jest wesoły jak skowronek, tyle że dla niego oczywiście to nie jest pierwszy raz.

Krajobraz skrajnie surowy. Ogromne wydmy, z których szczytu widać tylko następne wydmy, a za nimi kolejne. Koszmarne gorąco. Miraże majaczą na obrzeżach pola widzenia, a wszystkie dźwięki w jakiś sposób ulegają wzmocnieniu. Dujący nad pustynią wiatr wydaje nieznośne skrzypienia i chroboty, jakby miliony insektów żyły tuż pod cieniutką górną warstwą piasku, a także pod naszą skórą. Kiedy człowiek nie patrzy, mrowie tych odrażających stworzeń gryzie, żuje, szarpie i rozdziera nie tylko nasze trzewia, ale samą materię świata. Ale w rzeczywistości nie ma tu żadnego życia, zwierzęcego ani roślinnego. Tylko nasze wielbłądy pozostają niewzruszone.

Miraże – jeśli tym rzeczywiście są – znikają, kiedy spojrzy się prosto na nie, po czym natychmiast się odtwarzają, gdy tylko odwrócimy wzrok. Przywodzą na myśl wizerunki rozjuszonych bogów albo diabłów zastygłych w groźnych pozach. Trudno to wytrzymać. Hassall też cierpi. Czen powtarza, że powinniśmy prosić te bóstwa o przebaczenie; w tym celu próbował nas nauczyć odpowiedniej modlitwy wyrażającej skruchę i przeprosiny. Twierdzi, że miraże to aspekty Simurgha, jakiegoś monstrualnego ptaka. Bardzo trudno go zrozumieć.

Czas ruszać w dalszą drogę.

Karamakan, później

Posuwamy się bardzo wolno. Zatrzymaliśmy się na noc, wbrew radom Czena, który zalecał dalszy marsz. Zwyczajnie nie mamy siły, musimy odpocząć, dojsć do siebie. Czen ma nas obudzić przed świtem, żebyśmy mogli wędrować w najchłodniejszej porze dnia. Ach, Cariad, Cariad...

Karamakan, 27 września

Okropna noc. Prawie nie spałem, dręczony koszmarami o torturach, rozczłonkowywaniu i wypruwaniu wnętrzości; zmuszony byłem patrzeć na te potworności, niezdolny uciec, zamknąć oczy ani pomóc. Co rusz budził mnie mój własny krzyk, a wtedy bałem się ponownie zasnąć – i nic nie mogłem poradzić na to, że jednak zasypiałem. Mój Boże, mam tylko nadzieję, że Cariad tak nie cierpi. Hassall jest w podobnym stanie jak ja. Czen obruszył

się i położył spać dalej od obozowiska, żebyśmy go nie budzili.

Obudził nas, gdy zapowiedź świtu ledwie, ledwie rozjaśniła wschodni widnokrąg. Na śniadanie zjedliśmy suszone figi i paski suszonego wielbłądziego mięsa. Wyruszyliśmy, zanim zrobiło się gorąco.

To tam, powiedział w południe Czen.

Pokazywał na wschód, gdzie, jak miemam, znajduje się sam środek pustyni Karamakan. Zmrużyliśmy z Hassallem oczy, osłoniliśmy je przed słońcem, wyteżyliśmy wzrok, ale niczego nie zobaczyliśmy.

Jest popołudnie, najgorętsza pora dnia. Zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Hassall zbudował z koców improwizowane schronienie, wszyscy leżymy w uzyskanym w ten sposób skrawku cienia. Czen również. Pospałem trochę. Bez snów. Wielbłądy podkulają nogi, zamykają oczy i z niezmqconym spokojem zapadają w drzemkę.

Zgodnie z zapewnieniami Czena ból się zmniejszył, pozostała jednak głęboka, sięgająca serca rana, źródło nieustannych cierpień ducha. Czy to się kiedyś skończy?

Karamakan, 27 września, wieczór

Znowu w drodze. Piszę, siedząc na grzbiecie wielbłąda. Czen nie jest już pewien, czy podążamy we właściwym kierunku, a gdy go zapytać, dokąd, odpowiada, dalej, przed siebie. Mówi, że od wczoraj tego nie widział; kiedy pytam, co ma na myśli, nie umie dokładnie powiedzieć. Przypuszczam, że chodzi mu o czerwoną budowlę, ale ani ja, ani H. jej nie widzieliśmy. W ogóle niczego nie widzieliśmy poza nieskończoną, nieznośną monotonią piasku.

Nie sposób ocenić przebyty przez nas dystans, z pewnością nie jest zbyt duży, ale jeszcze dzień drogi i na pewno znajdziemy się w samym środku tego pustkowia.

Karamakan, 28 września

Noc lepsza, chwala Bogu. Sny skomplikowane, pomieszane, ale mniej krwawe. Spałem jak zabity, dopóki Czen nie obudził nas przed świtaniem.

Teraz ją widzimy. Z początku wyglądała jak miraż, mieniła się, falowała, unosiła nad horyzontem, ale w końcu wyrosła jej lita podstawa i teraz budowla mocno stoi na ziemi. Jej obecność jej niepodważalna. Przypomina twierdzę albo hangar na ogromny statek powietrzny. Z tej odległości nie widać szczegółów, żadnych drzwi, okien, umocnień, nic: to po prostu ogromny prostopadłościan w kolorze ciemnoczerwonym. Piszę te słowa tuż po południu. Wczołgaliśmy się do postawionego przez H. tymczasowego schronu, szukamy wytchnienia od potwornego upału. Teraz drzemka, a po przebudzeniu ostatni etap.

Karamakan, 28 września, wieczór

Dotarliśmy do budowli i napotkaliśmy kapłanów/żołnierzy/strażników. Zdają się pełnić wszystkie te trzy funkcje naraz. Nie noszą broni, ale są muskularni i sprawiają groźne wrażenie. Nie wyglądają na Europejczyków, Chińczyków, Tatarów ani Moskwian. Jasna skóra, czarne włosy, okrągłe oczy. Najwięcej chyba mają z Persów. Nie mówią po angielsku, w każdym razie nie zareagowali, gdy z Hassallem próbowaliśmy ich zagadnąć. Czen porozumiewa się z nimi bez przeszkód w języku, który dla mnie brzmi jak tadżycki. Są ubrani w proste koszule i luźne spodnie z ciemnoczerwonej bawełny w takim samym odcieniu jak budowla. Noszą skórzane sandały. Wydają się nie mieć dajmonów, ale obaj z Hassallem zbyt wiele już przeszliśmy, żeby nas to przerażało.

Za pośrednictwem Czena zapytaliśmy, czy możemy wejść do budynku. Natychmiastowe, bezwzględne NIE. Zapytaliśmy więc, co jest w środku. Naradzili się i odpowiedzieli, że nam nie powiedzą. Zadaliśmy jeszcze kilka pytań, na które usłyszeliśmy kolejne nic niewnoszące odpowiedzi, ale w końcu uzyskaliśmy pewną wskazówkę, gdy jeden z nich, bardziej rozmowny od swoich kompanów, wygłosił dłuższą, bo trwającą całą minutę, i pośpieszną przemowę skierowaną do Czena. W wartkim potoku słów wyłowiliśmy z Hassallem powtarzający się kilkakrotnie wyraz gül, który w wielu środkowoazjatyckich językach oznacza różę. Podczas tej tyrady Czen kilkakrotnie spoglądał na nas, ale po jej zakończeniu powiedział tylko: Nic z tego. Nie możemy tu zostać. Nic z tego.

Co tamten powiedział na temat róż?, zapytaliśmy. Czen tylko pokręcił głową.

Mówił w ogóle o różach?

Nie. Nic z tego. Musimy stąd odejść.

Strażnicy przyglądali się nam bacznie, patrzyli na przemian to na nas, to na Czena.

Wpadłem na pomysł, żeby spróbować innego podejścia. Pomny faktu, że Rzymianie dotarli przecież do Azji Środkowej, zacząłem się zastanawiać, czy przetrwały tu jakieś szczątki ich języka. Nie chcemy skrzywdzić was ani waszych ludzi, powiedziałem po łacinie. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czego tu strzeżecie.

Natychmiastowe zrozumienie i reakcja. Ten wygadany od razu odpowiedział mi w tym samym języku: Co przywozicie jako zapłatę?

Nie wiedzieliśmy o konieczności zapłaty, odparłem. Niepokoiśmy się, ponieważ nasi przyjaciele zaginęli. Przypuszczamy, że mogli przybyć tutaj. Czy widzieliście tu innych podróżnych takich jak my?

Widujemy wielu podróżnych. Jeżeli przybywają akterrakeh i mają czym zapłacić, mogą wejść. Tylko wtedy jest to możliwe. Ale jeżeli wejdą, nie mogą już wyjść.

Możecie nam zatem powiedzieć, czy nasi przyjaciele są w tym czerwonym budynku?, zapytałem.

Na co on odparł: Jeżeli są tutaj, nie ma ich tam, a jeśli są tam, nie ma ich tutaj.

Brzmiało to jak rutynowa formułka, która przez częste powtarzanie

straciła wszelki sens, ale przynajmniej dowiedziałem się, że inni zadawali już podobne pytania. Drążyłem więc dalej.

Wspomniałeś o zapłacie, powiedziałem. Za róże?

A za cóżby innego?

Może za wiedzę?

Nasza wiedza nie jest przeznaczona dla was.

Jaka zapłata byłaby odpowiednia?

Życie, brzmiała niepokojąca odpowiedź.

Jeden z nas musi umrzeć?

Wszyscy umrzemy.

Niezbyt mi to pomogło, rzecz jasna. Zadałem więc inne pytanie.

Dlaczego nie da się hodować waszych róż poza tą pustynią?

Jedyną odpowiedzią było wzgardliwe spojrzenie. Potem strażnik odszedł.

Słyszałeś o kimś, zwróciłem się do Czena, kto wszedł do środka?

Był taki jeden człowiek, odparł. Nie wrócił. Nikt nie wraca.

Sfrustrowani wycofaliśmy się z Hassallem do naszego małego schronu, żeby się naradzić. Odbyliśmy dyskusję bezowocną, przykrą i monotonną. Ograniczały nas dwa wyraziste imperatywy: z jednej strony, musieliśmy koniecznie zbadać te róże, z drugiej zaś – zbadanie ich było absolutnie niemożliwe bez wejścia do budowli i pozostania w niej na zawsze.

Przeanalizowaliśmy więc problem z większą starannością. Z czego wynika konieczność zbadania róż? Z tego, co mogą nam powiedzieć o naturze Prochu. Jeżeli Magisterium dowie się o tym, co jest na Karamakan, zrobi wszystko, by powstrzymać upowszechnienie tej wiedzy. Przybędzie tutaj i zniszczy czerwoną budowlę wraz z całą zawartością, a z pewnością ma wystarczająco dużo żołnierzy i uzbrojenia, żeby tego dokonać. Niedawne kłopoty w Chulanszanie i Akdżarze to bez wątpienia ich dzieło. Są coraz bliżej.

Dlatego właśnie musimy to zrobić. Jeden z nas musi w tym celu wejść do środka, drugi zaś wrócić z wiedzą, którą do tej pory zgromadziliśmy. Innego wyjścia nie ma. A jednak to nie wchodzi w grę.

W dalszym ciągu nigdzie nie ma śladu naszych dajmonów. Zapasy pożywienia i wody są na wyczerpaniu. Nie możemy tu zbyt długo tkwić.

Dopisek na samym końcu został skreślony innym charakterem pisma:

Tego samego wieczora, nieco później, wróciła Cariad Straussa: wyczerpana, przerażona, wstrząśnięta. Następnego dnia weszli ze Straussem do czerwonej budowli, a ja i Czen wróciliśmy. Nadciągają kłopoty. Zgodziłem się z Tedem Cartwrightem, że powinienem natychmiast wyruszyć w drogę powrotną, zabierając ze sobą wszelką zgromadzoną wiedzę. Modlę się do Boga, żeby odnalazł Strellę. I żeby mi wybaczyła. R. H.

Lyra odłożyła kartki na stół. Kręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, jakby

mignęło jej przed oczami jakieś dawno zapomniane wspomnienie, rzecz niezwyklej wagi pogrzebana pod tysiącami dni zwyczajnego życia. Co mogło tak na nią podziałać – wizja czerwonej budowli? Otaczająca ją pustynia? Strażnicy mówiący po łacinie? To coś tkwiło w niej tak głęboko, że nie miała nawet pewności, czy to fakt, czy sen, czy może tylko wspomnienie snu albo nawet wspomnienie bajki, którą tak bardzo uwielbiała w dzieciństwie, że dopominała się, by raz za razem opowiadano ją jej na dobranoc, a potem w pewnym momencie po prostu o niej zapomniała. W każdym razie wiedziała coś o tej czerwonej budowli na pustyni – i nie miała pojęcia, co to takiego.

Pantalaimon zwinął się w kłębek na stole i spał – albo przynajmniej udawał, że śpi. Rozumiała go. Słowa doktora Straussa, kiedy opisywał rozdzielenie ze swoim dajmonem, Cariad, musiały w nim obudzić wspomnienie ohydnej zdrady, jakiej Lyra dopuściła się na brzegu krainy umarłych, kiedy to porzuciła Pana i udała się na poszukiwanie ducha swojego przyjaciela Rogera. Dręczące ją wyrzuty sumienia i wstyd nie osłabną ani na jotę aż do dnia jej śmierci, bez względu na to, jak bardzo miałyby być odległe.

Może ta właśnie rana była jednym z powodów, dla których tak bardzo się od siebie oddalili. Nigdy się nie zaleczyła. A Lyra nie miała wśród żywych nikogo innego, z kim mogłaby o tym porozmawiać – poza Serafiną Pekkala, królową wiedźm, ale wiedźmy w ogóle były inne, a poza tym nie widziała Serafiny od tamtej podróży do Arktyki przed laty.

Zaraz, przecież...

– Pan? – szepnęła.

W żaden sposób nie dał po sobie poznać, że ją słyszy. Na pozór spał kamiennym snem, ale ona wiedziała, że to nieprawda.

– Pan – podjęła, cały czas szepcząc – powiedziałeś coś o tym zamordowanym mężczyźnie, tym, o którym piszą w tym dzienniku, Hassallu... Wspomniałeś, że on i jego dajmon umieli się rozdzielać?

Cisza.

– Musiał odnaleźć swojego dajmona po tym, jak dotarł do skraju tej pustyni... Karamakan przypomina te miejsca, do których udają się młode wiedźmy i do których ich dajmony nie mają wstępu. Może są więc inni ludzie...

Pan nie poruszył się ani nie odezwał.

Znużona Lyra odwróciła wzrok, który przypadkiem padł na coś leżącego na podłodze, przy regale. Była to książka, którą wcześniej podparła otwarte okno, a którą zde gustowany Pan zrzucił później na ziemię. Ale przecież odkładała ją potem na półkę, prawda? Może zrzucił ją drugi raz.

Wstała, żeby ponownie odstawić ją na miejsce.

– Dlaczego nie wyrzucisz tego śmiecia? – zapytał na ten widok Pan.

– Bo ta książka nie jest śmieciem. I wolałabym, żebyś nie rzucał nią po pokoju jak rozpuszczony bachor tylko dlatego, że ci się nie podoba.

– To trucizna, która cię niszczy.

– Przestań. Dorosnij wreszcie.

Położyła książkę na stole. Pan zjeżył się, zeskoczył na podłogę i usiadł na dywanie. Patrzył na Lyre, zamiatając ogonem to w jedną, to w drugą stronę. Wprost emanował pogardą. Lyra wzdrygnęła się lekko, ale nie cofnęła opartych na książce

dłoni.

Więcej się do siebie nie odezwali. Lyra położyła się do łóżka. Pantalaimon spał na fotelu.

Pani Lonsdale

Nie mogła zasnąć, cały czas myślała o dzienniku i tajemniczym słowie *akterrakeh*. Miało coś wspólnego z podróżą do czerwonej budowli, może także z rozdzieleniem człowieka i dajmona, ale zmordowanej Lyrze cała ta historia wydawała się pozbawiona sensu. Mężczyzna, który został zabity, umiał się oddalić od swojego dajmona, a z notatek doktora Straussa wynikało, że podróż przez pustynię jest niemożliwa dla ludzi, którzy tego nie potrafią. Czyżby zatem *akterrakeh* w jednym z lokalnych języków oznaczało właśnie rozdzielenie?

Najlepszym sposobem na przemyślenie tej sprawy byłyby rozmowa z Pantalaimonem, który jednak stał się zupełnie nieprzystępny. Czytanie o pozbawionych dajmonów wędrowcach z Taszbulaku wzburzyło go, rozżłościło albo przeraziło (bądź też wywołało wszystkie te emocje jednocześnie) tak samo jak Lyrę, potem jednak doszła jeszcze gwałtowna reakcja na książkę, której szczerze nie znośli. Wiele było kwestii, które potrafiły ich poróżnić, ale ta stanowiła jedną z największych kości niezgody.

Hiperchorezmijczycy, powieść niemieckiego filozofa Gottfrieda Brandego, była niezwykle modna wśród bystrych młodych ludzi w całej Europie, a nawet poza jej granicami. Stała się prawdziwym fenomenem wydawniczym: dziewięćset stron, niemożliwy do wymówienia tytuł, bezkompromisowa surowość stylu, absolutny brak wątku romantycznego, a mimo to sprzedała się w milionach egzemplarzy i odcisnęła piętno na całym pokoleniu. Opowiadała o młodym człowieku, który wyruszył w świat z zamiarem zabicia Boga – i udało mu się. Ale jej najbardziej niezwykłym aspektem, czymś, co odróżniało ją od wszystkich innych znanych Lyrze lektur, był fakt, że w opisanym przez Brandego świecie ludzie nie mieli dajmonów. Byli zupełnie sami.

Podobnie jak wielu innych czytelników, Lyra również była zauroczona książką Brandego i zahipnotyzowana mocą jego opowieści. W głowie huczały jej potężne jak uderzenia młota deklaracje głównego bohatera, który stanowczo odrzucał wszystko, co próbowałyby stanąć na drodze czystego rozumu. Nawet jego poszukiwanie Boga i zamiar Jego zabicia zostały poparte skrajnie rzeczową argumentacją: istnienie takiego bytu było irracjonalne, a zatem racjonalny stawał się zamiar pozbycia się go. W powieści nie było żadnych przenośni, metafor ani porównań. Kiedy na koniec bohater stał wśród gór i patrzył na wschód słońca, co pod piórem innego pisarza mogłoby symbolizować świt nowej, oświeconej epoki, wolnej od ciemnoty i przesądów, narrator ze wzgardą odrzucał tego rodzaju pospolity symbolizm. Odnoszące się do świtu ostatnie zdanie w książce brzmiało: „Był tylko tym, czym był, niczym więcej”.

Wśród rówieśników Lyry zdanie to stało się swoistym probierzem postępowego światopoglądu. Modne było lekceważenie wszelkich przesadnych reakcji emocjonalnych, niedoszukiwanie się dodatkowych znaczeń w prostych faktach i odrzucanie wszelkiej argumentacji opartej na czymkolwiek innym niż czysta logika: „Rzeczy są tylko tym, czym są, i niczym więcej”. Lyra również niejednokrotnie używała tego sformułowania – a wtedy czuła, jak Pan odwraca się od niej ze wzgardą.

Kiedy przebudzili się rankiem po lekturze dziennika doktora Straussa, niezgoda co do *Hiperchorezmijczyków* wciąż tliła się między nimi, żywa i bolesna.

– Co w ciebie wstąpiło przez ten ostatni rok, Pan? – spytała Lyra, ubierając się. –

Kiedyś taki nie byłeś. Oboje byliśmy inni, mogliśmy się nie zgadzać w jakichś sprawach, ale bez takiego nieustającego, monumentalnego focha...

– Naprawdę nie widzisz, jak ta poza, którą przyjmujesz, na ciebie wpływa? – wszedł jej w słowo Pantalaimon, stojący słupka na regale.

– Jaka znowu poza? O czym ty mówisz?

– Ten człowiek ma zgubny wpływ na ludzi. Nie widzisz, co się dzieje z Camillą? Albo z tym chłopakiem z Balliola, jak mu... Guy... jakiś tam... Odkąd zaczęli czytać tych całych *Hipochondryków* czy jak to się tam nazywa, stali się nadzwyczaj nieuprzejmi i aroganccy. Zupełnie przestali zwracać uwagę na swoje dajmony, jakby nie istniały. U ciebie dostrzegam to samo, ten sam rodzaj absolutyzmu...

– Że co? Bzdury gadasz! Nie chcesz nic wiedzieć o tej książce, a mimo to wydaje ci się, że masz prawo ją krytykować...

– Nie prawo, tylko obowiązek! Zamykasz swój umysł, Lyro. Przecież to oczywiste, że wiem o tej przekłętej książce, wiem o niej dokładnie tyle samo, co ty! A prawdopodobnie nawet więcej, bo kiedy ją czytałaś, to w odróżnieniu od ciebie nie próbowałem odciąć się od zdrowego rozsądku i poczucia tego, co słuszne, a co nie.

– Nadal złościś się o to, że w tej powieści nie ma dajmonów?

Pantalaimon spiorunował Lyrę wzrokiem i zeskoczył na biurko. Cofnęła się. Chwilami była wybitnie świadoma tego, jak ostre zęby ma kuna leśna.

– Co mi zrobisz? – zapytała. – Będziesz mnie gryzł tak długo, aż przyznam ci rację?

– Naprawdę tego nie widzisz? – zapytał ponownie.

– Widzę książkę, która moim zdaniem jest niezwykle przenikliwa i frapująca intelektualnie. Pociągają mnie w niej rozsądek, racjonalizm, logika... Chociaż nie, „pociągają” to złe słowo: one do mnie przemawiają. Przekonują mnie. I to nie jest z mojej strony jakiś gwałtowny spazm emocjonalny, to wyłącznie racjonalna...

– Cokolwiek wiąże się z emocjami, to musi być od razu spazm, tak?

– Twoje zachowanie...

– Nie, Lyro. Nie słuchasz mnie. Mam wrażenie, że nic nas już nie łączy. Nie mogę patrzeć, jak przeobrażasz się w rozgoryczone monstrum, dla którego wszystko sprowadza się do chłodnej logiki. Zmieniasz się, Lyro, a mnie się ta zmiana nie podoba. Do licha, kiedyś umieliśmy przestrzegać się nawzajem przed takimi...

– I twoim zdaniem to jest wina jednej przeczytanej przeze mnie powieści?

– Nie, także wina tego całego Talbota. Ma na ciebie równie zły wpływ, chociaż działa nieco inaczej, bardziej tchórzliwie.

– Talbota? Simona Talbota? Zdecydujże się, Pan, do diabła ciężkiego! Nie ma chyba dwóch bardziej różnych myślicieli. Przecież Brande i Talbot to kompletne

przeciwieństwa. Talbot utrzymuje, że prawda nie istnieje, a Brande...

– Nie przyswoiłaś sobie tego rozdziału w *Nieustającym oszustwie*?

– Jakiego rozdziału?

– Tego, który razem z tobą musiałem przecierpieć w zeszłym tygodniu. Widzę, że nie zapisał ci się zbyt w pamięci; mnie musiał. Chodzi o rozdział, w którym Talbot udaje, że dajmony są tylko... jak on to ujął... psychologiczną projekcją, a nie realnym, niezależnym bytem. Pamiętasz? Wszystko to pięknie wyłożone, poparte argumentami, ubrane w urocze, eleganckie słowa, dowcipne i okraszone efektownymi paradoksami. Kojarzysz już?

– Ale ty naprawdę nie jesteś niezależnym bytem, przecież wiesz. Gdybym umarła...

– To tak jak ty, głupia krowo. Gdybym umarł, ty też byś umarła. Trafiony, zatopiony.

Lyra odwróciła się plecami. Złość odebrała jej mowę.

Najnowsza książka Simona Talbota, filozofa z Oksfordu, wywołała ożywioną debatę na uniwersytecie. O ile *Hiperchorezmijczycy* okazali się przebojem wydawniczym, który krytycy mogli zbyć lekceważeniem jako przeznaczoną dla młodzieży bzdurkę, o tyle *Nieustające oszustwo* trafiło w gusta specjalistów od literatury, chwalać je za elegancję stylistyczną i inteligentny żart. Talbot był radykalnym sceptykiem, dla którego prawda, a nawet cała rzeczywistość były tylko – niby tęcza – zjawiskami wtórnymi, epifenomenami pozbawionymi głębszego znaczenia. W jego skrzącej się dowcipem prozie wszystko, co stałe, lite i niewzruszone, rozpadało się, rozpływało i płynęło swobodnie jak rtęć ze słuczonego barometru.

– Wcale nie są różni – odezwał się znowu Pantalaimon. – To awers i rewers tej samej monety.

– Tylko przez to, co piszą na temat dajmonów, a właściwie czego nie piszą, tak? Nie składają wam należytego hołdu, więc...

– Powinnaś się posłuchać, Lyro. Coś się z tobą stało, coś złego, jakby ktoś rzucił na ciebie urok. Ci autorzy są niebezpieczni!

– Przesady – prychnęła Lyra.

Nagle poczuła autentyczną wzgardę do Pantalaimona. Natychmiast się za to znienawidziła, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Nie potrafisz na nic spojrzeć chłodno i beznamiętnie, od razu musisz miotać obelgi – ciągnęła. – To dziecinada, Pan. Stale doszukujesz się złych, magicznych intencji za każdym argumentem, którego nie potrafisz odeprzeć. Kiedyś doceniałeś wartość klarownego postrzegania świata, a dziś tkwisz w oparach przesądów i czarów. Boisz się tego, czego nie rozumiesz.

– Ależ rozumiem, rozumiem doskonale. Kłopot w tym, że ty nie rozumiesz. Bierzesz tych dwóch szarlatanów za wybitnych filozofów. Dajesz im się zahipnotyzować. Czytasz wypisywane przez nich obu brednie i wydaje ci się, że to szczytowe osiągnięcia ludzkiej myśli. A oni kłamią, Lyro. Obaj kłamią. Talbotowi wydaje się, że kiedy pomacha trochę tymi swoimi paradoksami, to doprowadzi do zniknięcia prawdy. A Brande próbuje osiągnąć ten sam cel poprzez uparte zaprzeczanie faktom. Chcesz wiedzieć, co według mnie leży u podstaw twojego zauroczenia tymi dwoma?

– Cały ty: znowu mówisz o czymś, co nie istnieje. Ale mów, proszę, śmiało, mów, co chcesz.

– Z twojej strony jest to coś więcej niż po prostu zajęcie stanowiska w sporze: ty im naprawdę wierzysz, przynajmniej częściowo. Wierzysz w to, co piszą ten Niemiec i ten drugi jegomość. W tym rzecz. Na pozór bystra z ciebie dziewczyna, ale w rzeczywistości jesteś tak cholernie naiwna, że dajesz się zwieść ich łgarstwom.

Zbita z tropu Lyra pokręciła głową i rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie wiem, co powiedzieć. Wiem natomiast, że to, w co wierzę, w co nie wierzę, a w co wierzę tylko częściowo, to tylko i wyłącznie moja sprawa i niczyja inna. Otwieranie okien do ludzkich dusz...

– Ale ja jestem tobą! – Pantalaimon okręcił się w miejscu i znów wskoczył na regał, skąd spojrział na Lyrę pałającymi ogniem ślepkami. – A ty celowo zapominasz – dodał ze złością i wyrzutem.

– Teraz naprawdę nie mam pojęcia, o co ci chodzi – przyznała skonsternowana Lyra.

– Zapominasz o wszystkim, co ważne, i usiłujesz wierzyć w rzeczy, które nas zabijają.

– Wcale nie – odparła Lyra, z trudem hamując gniew. – Nic nie rozumiesz, Pan. Mnie po prostu interesuje to, jak myślą inni. Jestem ciekawa innych punktów widzenia. Na tym właśnie polega studiowanie, między innymi. Próbujesz postrzegać idee oczami innych ludzi. Uczysz się, jakie to uczucie, wierzyć w to, co oni.

– To podłe.

– Ale co? Filozofia?

– Jeżeli filozofia twierdzi, że nie istnieję, to owszem, jest podła. Bo ja istnieję. Wszystkie dajmony istnieją, tak jak istnieje mnóstwo innych rzeczy, czy też raczej „bytów”, jak by powiedzieli wasi filozofowie. Wasza wiara w bzdury nas zabije.

– Zrozum, kiedy nazywasz to bzdurą, nie podejmujesz najmniejszego wysiłku intelektualnego, nie próbujesz się tym zainteresować. Nie sięgasz po żadne racjonalne argumenty, tak jakbyś od razu, na starcie, kapitulował. Równie dobrze mógłbyś rzucać kamieniami.

Pan odwrócił się tyłem. Bez słowa zeszli na śniadanie. Zapowiadał się kolejny cichy dzień. Wcześniej Pantalaimon chciał powiedzieć Lyrze coś na temat notatnika znalezionej w plecaku, tego z nazwiskami i adresami, ale teraz postanowił zachować to dla siebie.

Po śniadaniu Lyra obejrzała stertę rzeczy do prania, westchnęła ciężko i wzięła się do roboty. W Kolegium Świętej Zofii była pralnia z mnóstwem pralek, w których młode damy mogły osobiście prać swoje ubrania – uznano, że będzie to korzystniejsze dla kształtowania ich charakterów, niż gdyby wyręczała je w tym służba, tak jak w wypadku studentów płci męskiej w Jordanie.

Wylądowała w pralni sama, bo koleżanki w większości rozjeżdżały się do domów na święta i zabierały ze sobą rzeczy do prania. W przeszłości status Lyry – sieroty, której jedynym domem było męskie kolegium – wzbudzał współczucie przyjaciółek,

które zapraszały ją na Boże Narodzenie do siebie. Mogła wtedy zobaczyć, jak wygląda prawdziwy dom rodzinny, i przekonać się, jak to jest być mile witaną, dawać i dostawać prezenty i być uwzględnianą w rodzinnych wyjściach i innych rozrywkach. Czasem trafił się jakiś brat, z którym mogła poplirtować, kiedy indziej czuła się zupełnie obco w obliczu powszechnej bliskości i przesadnej wesołości, zdarzało się też, że musiała się mierzyć z mnóstwem wścibskich pytań o jej niezwykłą przeszłość. Zawsze jednak z przyjemnością wracała do cichego, spokojnego Kolegium Jordana, w którym na święta zostawało paru akademików i garstka służby. To był jej dom.

Akademicy – zaprzątnięci swoją pracą naukową – traktowali Lyrę życzliwie, ale z dystansem. Służący dbali o ważne sprawy bieżące, takie jak to, żeby nie głodowała, umiała się zachować albo miała jak zapracować na kieszonkowe, chociażby przy polerowaniu sreber. Jedną ze służących w Jordanie, z którą relacje Lyry uległy znaczącej zmianie z upływem czasu, była pani Lonsdale, nazywana gospodynią. W innych kolegiach takie stanowisko w ogóle nie istniało – do obowiązków pani Lonsdale należało między innymi dbanie o to, żeby mała Lyra nie chodziła brudna, była schludnie ubrana, wiedziała, kiedy powiedzieć „proszę” i „dziękuję” i tak dalej – ale też żadne inne kolegium nie miało swojej Lyry.

Odkąd jej podopieczna nauczyła się sama ubierać i nabyła dość ogłady, żeby jako tako radzić sobie wśród ludzi, pani Lonsdale wyraźnie złagodniała. Była wdową (owdowiała bardzo młodo i nie miała dzieci) i do tego stopnia stała się częścią kolegium, że trudno je było sobie wyobrazić bez jej obecności. Nikt nigdy nie próbował precyzyjnie określić jej roli ani spisać wszystkich jej obowiązków i teraz także byłoby to niemożliwe. Nawet nowy kwestor, który podjął taką próbę, ostatecznie wycofał się z wdziękiem i pogodził się z władzą pani Lonsdale. Wiedział – podobnie jak wiedzieli to wszyscy służący, akademicy i sam mistrz – że nigdy nie pragnęła władzy samej w sobie, a swoje wpływy wykorzystywała wyłącznie do umocnienia pozycji kolegium i dbania o Lyrę. Sama Lyra, obecnie prawie dwudziestoletnia, również zaczęła zdawać sobie z tego sprawę.

Nabrała więc zwyczaju odwiedzania pani Lonsdale: od czasu do czasu zachodziła do jej saloniku, by poplotkować, poprosić o radę albo sprezentować jej jakiś drobiazg. Gospodyni język miała tak samo cięty jak dawniej, w dodatku pewnych rzeczy Lyra nie mogła jej powiedzieć, ale – na ile było to możliwe – zaprzyjaźniły się. Lyra zauważyła również, że pani Lonsdale (podobnie jak wielu innych ludzi, którzy w dzieciństwie wydawali jej się wielcy, wszechpotężni i ponadczasowi) wcale nie jest taka stara; wciąż jeszcze mogłaby mieć dzieci. Chociaż było oczywiste, że tego tematu akurat nie będą w rozmowach poruszały.

Wróciła do Jordana z naręczem czystych rzeczy, odbyła tę wędrowkę ponownie, tym razem z zapasem książek na przerwę trymestralną, po czym udała się na targ, gdzie za część pieniędzy zarobionych na polerowaniu sreber kupiła bombonierkę, i wybrała się do pani Lonsdale w odwiedzinach w porze, gdy miała pewność, że zastanie gospodynię przy herbatce w salonie.

- Dzień dobry, pani Lonsdale – powiedziała i cmoknęła ją w policzek.
- A cóż to się stało? – zagadnęła pani Lonsdale.
- Nic.
- Coś się święci, mnie nie oszukasz. Ten Dick Orchard cię bałamuci?
- Nie. – Lyra usiadła. – Zerwałam z nim.

- Przystojny chłopak z niego.
- Owszem, nie przeczę. Ale po prostu skończyły nam się tematy do rozmowy.
- O tak, to się zdarza. Wstaw wodę, Kochaniutka.

Lyra postawiła stary, poczerńiały czajnik na żelaznym stojaku nad ogniem. Pani Lonsdale otworzyła tymczasem bombonierkę.

– Ach, cudownie! – zachwyciła się. – Trufle od Maidmента. Aż dziw, że jeszcze im jakieś zostały po Uczcie Fundatorskiej. Ale, ale... Co u ciebie, moja droga? Opowiedz mi o swoich bogatych, wytwornych znajomych.

– Niektórzy nie są już tacy bogaci jak dawniej – odparła Lyra.

Opowiedziała o kłopotach ojca Miriam i o tym, jak pan Cawson naświetlił jej drugą stronę medalu.

– Woda różana... – powtórzyła pani Lonsdale. – Moja babcia robiła wodę różaną. Miała taki wielgachny miedziany rondel. Napełniała go płatkami róż, dolewała źródlanej wody, gotowała całość i destylowała parę, czy jak to się mówi: przepuszczała ją przez całe mnóstwo szklanych rurek, aż ta znów zmieniała się w wodę, i gotowe. Robiła też wodę lawendową. Na mój gust masa niepotrzebnej roboty, kiedy można tanio kupić wodę kolońską u Boswella.

– Pan Cawson dał mi flakonik tej swojej wyjątkowej wody różanej. Jest bardzo... nie wiem, jak to ująć... intensywna. Stężona.

– To olejek. Olejek różany. Chociaż może nie, może to coś innego.

– Pan Cawson nie umiał mi powiedzieć, dlaczego tak trudno ją ostatnio kupić, ale twierdził, że doktor Polstead będzie wiedział.

– To dlaczego go nie zapytasz?

– No... – Lyra się skrzywiła.

– Mówże!

– Pan Polstead raczej za mną nie przepada.

– Skąd ten pomysł?

– Parę lat temu próbował mnie uczyć, a ja prawdopodobnie byłam dla niego niemiała.

– Jak to, prawdopodobnie?

– No, po prostu nie dogadywaliśmy się. Wydaje mi się, że trzeba lubić swojego nauczyciela, a jeśli nie lubić, to przynajmniej czuć, że coś nas z nim łączy. A mnie z panem Polsteadem nie łączy nic. Czuję się niezręcznie w jego towarzystwie i mam wrażenie, że on też tak ma.

Pani Lonsdale nalała herbaty. Poplotkowały trochę o kuchennych intrygach w Jordanie – o zapiekłym konflikcie między szefem kuchni i naczelnym cukiernikiem; o niedawno kupionym przez panią Lonsdale zimowym płaszczu i o tym, że Lyrze też by się takowy przydał; o innych przyjaciółkach Lyry ze Świętej Zofii i łączącym je podziw dla przystojnego pianisty, który właśnie koncertował w mieście.

Raz czy drugi przeszło Lyrze przez myśl, żeby powiedzieć pani Lonsdale o morderstwie, portfelu i plecaku, ale gryzła się w język. W tej sprawie mogła liczyć tylko na Pantalaimona, a wyglądało na to, że w najbliższym czasie nie będą ze sobą wiele rozmawiać – na żaden temat.

Pani Lonsdale zerknęła od czasu do czasu na dajmona Lyry, który leżał na podłodze i udawał, że śpi. Lyra wiedziała, co gospodyni sobie myśli: skąd ten chłód

pomiędzy wami? Dlaczego ze sobą nie rozmawiacie?

Nie był to jednak temat, który mogła swobodnie poruszyć w obecności Pantalaimona – i szczerze tego żałowała, bo miała świadomość, że pani Lonsdale z pewnością poczyniłaby jakieś przenikliwe i rozsądne uwagi.

Rozmawiały o wszystkim i o niczym przez dobrą godzinę. Lyra zamierzała się właśnie pożegnać i wyjść, gdy ktoś zastukał do drzwi salonu, po czym – ku jej wielkiemu zdumieniu – otworzył je, nie czekając na zaproszenie. Zdumienie jej jeszcze wzrosło, gdy w niespodziewanym gościu rozpoznała doktora Polsteada.

Po czym wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Wstrząśnięty Pan nagle usiadł i wskoczył Lyrze na kolana. Machinalnie objęła go ramionami. Doktor Polstead dopiero teraz zorientował się, że pani Lonsdale ma gościa.

– Ach, to ty, Lyro... najmocniej przepraszam...

Lyra odniosła wrażenie, że doktor Polstead przyjaźni się z panią Lonsdale, ma zwyczaj swobodnie wchodzić do jej salonu i spodziewał się zastać ją samą.

– Przepraszam, Alice – zwrócił się do gospodyni. – Wpadnę kiedy indziej.

– Nie wygłupiaj się, Mal – zbesztła go pani Lonsdale. – Siadaj.

Ich dajmony – jej pies i jego kot – szturchnęły się nosami w poufałym, przyjaznym geście. Pan piorunował je wzrokiem; pod palcami Lyry jego sierść zdawała się przesycona niemal jantarycznym ładunkiem.

– Nie – uparł się doktor Polstead. – To nic pilnego. Zobaczymy się później.

Było widać, że w obecności Lyry czuje się wyraźnie zakłopotany. Jego dajmon z osobliwą natarczywością wpatrywał się w Pantalaimona, który drżał na kolanach Lyry.

Doktor Polstead odwrócił się i wyszedł – barczysta sylwetka z trudem mieściła się we framudze – i jego dajmon wyszedł razem z nim. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, ładunek jantaryczny wyciekł z futerka Pana jak woda z miski.

– Pan? – zagadnęła. – O co chodzi? Co się z tobą dzieje?

– Później ci powiem – mruknął.

– Alice? – Lyra spojrzała pytająco na panią Lonsdale. – Mal? O co tu chodzi?

– Już ty się tym nie interesuj.

Lyra nigdy przedtem nie widziała, żeby coś wprawiło gospodynię w zakłopotanie, i byłaby gotowa przysiąc, że jest to zwyczajnie niemożliwe. Tymczasem pani Lonsdale próbowała ukryć rumieniec: odwróciła się do kominka i dorzuciła do ognia.

– Nie wiedziałam, że ma pani na imię Alice – dodała Lyra.

– Powiedziałabym ci, gdybyś zapytała.

– I jeszcze Mal... To do niego nie pasuje. Wiedziałam, że jego imię zaczyna się na M, ale spodziewałam się raczej „Matuzalema”.

Pani Lonsdale już się otrząsnęła. Usiadła prosto i złożyła dłonie na podolku.

– Malcolm Polstead – zaczęła – to najdzielniejszy i najlepszy z mężczyzn, jakich dane ci będzie poznać. Gdyby nie on, nie byłoby cię tutaj.

– Co ma pani na myśli? – zdziwiła się Lyra.

– Wielokrotnie mu powtarzałam, że powinniśmy ci o tym powiedzieć, ale jakoś się nie złożyło.

– Ale o czym? O co chodzi?

– O coś, co wydarzyło się, kiedy byłaś bardzo, bardzo małutka.

- Słucham?!
- Pozwól mi najpierw z nim porozmawiać.

Lyra się nachmurzyła.

- Jeśli to mnie dotyczy, to powinniście mi byli powiedzieć.

– Wiem. Zgadza się z tobą.

– Dlaczego więc...

– Zostaw to mnie. Porozmawiam z nim.

– Ile to pani zajmie, kolejne dwadzieścia lat?

Dawna pani Lonsdale odparła: „Nie mów do mnie takim tonem, dziecko”, i klapssem podkreśliła wagę swoich słów. Nowa pani Lonsdale, ta cała Alice, tylko z rezygnacją pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Chętnie opowiem ci całą tę historię, ale on musi wyrazić zgodę.

– Widać, że jest to sprawa w jakiś sposób dla niego krępująca. Zapewniam jednak, że znacznie bardziej krępująca jest dla mnie. Nie powinno się mieć tajemnic przed kimś, kogo te tajemnice dotyczą.

– Nie ma w tym niczego zdroźnego. Wstrzymaj konia, Lyro.

Lyra posiedziała jeszcze chwilę, ale sympatyczny nastrój spotkania ulotnił się bezpowrotnie, więc w końcu cmoknęła gospodynię w policzek na pożegnanie i wyszła.

Kiedy przechodziła przez ciemny czworokątny dziedziniec kolegium, przyszło jej do głowy, żeby zająć do Kolegium Durham i stawić czoło doktorowi Polsteadowi. Ledwie jednak przeszło jej to przez myśl, siedzący jej na ramieniu Pan zadygotał.

– A właśnie – przypomniała sobie. – Powiesz mi teraz, co tam wcześniej zaszło. I nie chcę słyszeć żadnych wymówek.

– Wejdźmy najpierw do domu.

– Dlaczego?

– Nigdy nie wiadomo, kto może słuchać.

Zegar kolegium wybijał szóstą, gdy Lyra zamknęła za sobą drzwi swojego starego saloniku. Upuściła Pantalaimona na dywan, a sama zapadła się w wysiedziany fotel i włączyła stojącą na stoliku lampkę. Pokój wokół nich ożył w ciepłym świetle.

– Słucham.

– Kiedy w nocy wyszedłem się powłóczyć... nie poczułaś czegoś? Nie obudziłaś się?

Lyra cofnęła się pamięcią do tamtego momentu.

– Coś poczułam. Przez chwilę. Później pomyślałam, że to wtedy byłeś świadkiem morderstwa.

– Nie. Wiem, że to nie był ten moment, bo poczułbym, że się budzisz. To było później, kiedy już wracałem z portfelem zabitego do Świętej Zofii. Wtedy właśnie się... no... ktoś mnie widział.

Serce Lyry nagle stało się bardzo ciężkie. Wiedziała, że kiedyś ta chwila nadejdzie.

Pantalaimon zadrżał na widok wyrazu jej twarzy.

– Rzecz w tym – dodał pośpiesznie – że to nie był człowiek.

– Co ty wygadujesz, u licha? Jak nie człowiek, to kto?

– Dajmon. Inny dajmon, który tak jak ja umie się oddzielić od człowieka.

Lyra pokręciła głową. W słowach Pana nie było krzty sensu.

– Nie ma innych istot takich jak my – przypomniała. – Poza wiedźmami. No i tym zamordowanym mężczyzną. To był dajmon wiedźmy?

– Nie.

– Gdzie to się stało?

– W Parku Uniwersyteckim. To była...

– Była? A więc to „ona”?

– ...kotka. Dajmon doktora Polsteada, zapomniałem, jak ma na imię. Dlatego teraz tak się...

Lyrze zaparło dech w piersi. Zaniemówiła.

– Nie wierzę – wykrztusiła dopiero po chwili. – Po prostu nie wierzę. Oni też umieją się rozdzielić?

– Była sama. I mnie zobaczyła. Nie byłem pewien, że to właśnie ona, dopóki doktor Polstead nie wszedł do pokoju. Widziałaś, jak na mnie spojrzała; może ona też nie była pewna, dopóki mnie nie zobaczyła.

– Ale jak to możliwe, że...

– Ludzie wiedzą, że rozdzielenie jest możliwe. Inni ludzie. Ten napadnięty też wiedział. Jego dajmon nakłonił mnie, żebym się do niego zbliżył, i powiedział mu, że jestem tam sam. Bez swojego człowieka. Ten mężczyzna od razu zrozumiał. Kazał mi zabrać portfel i zanieść go... tobie.

Kolejny cios w serce Lyry, gdy dotarło do niej, co zobaczył dajmon doktora Polsteada.

– Kotka widziała, jak wracałeś z portfelem do kolegium. Pomyślała, że go ukradłeś. Mają nas za złodziei!

Zapadła się głębiej w fotelu i ukryła twarz w dłoniach.

– Nic na to nie poradzimy – zauważył Pantalaimon. – Najważniejsze, że my wiemy, że nie jesteśmy złodziejami. A oni będą musieli nam uwierzyć.

– Ot tak, po prostu? Kiedy im powiemy?

– W takim razie powiedzmy pani Lonsdale. Alice. Ona nam uwierzy.

Znużona Lyra nie miała siły mówić.

– Wiem, że to nie jest dobry moment... – zaczął Pan, ale zawiesił głos.

– Co ty nie powiesz... Och, Pan!

Nigdy w życiu nie czuła się tak zawiedziona – i Pantalaimon to widział.

– Lyro, ja...

– Zamierzałeś mi o tym w ogóle powiedzieć?

– Ależ tak, oczywiście. Tylko że...

– Mniejsza z tym. Lepiej już nic nie mów. Muszę się przebrać. Naprawdę, naprawdę, naprawdę wolałabym mieć inne problemy na głowie.

Apatycznie przedreptała do sypialni i wybrała sukienkę. Zanim znów będą mogli z Pantalaimonem porozmawiać, czekała ich kolacja z mistrzem kolegium.

Podczas ferii albo w takie wieczory jak ten kolacje w Kolegium Jordana miały znacznie mniej oficjalny charakter niż w czasie nauki. Czasem – chociaż zależało to od liczby uczestników – nie podawano ich nawet w auli, tylko w niewielkiej jadalni

nad stołówką.

Lyra i tak zwykle wolała jadać ze służbą. Jednym z przywilejów związanych z jej niecodziennym statusem w Jordanie była możliwość obracania się w dowolnych kręgach składających się na skomplikowany ekosystem kolegium. Przeciętny akademik mógłby się czuć nieswojo w towarzystwie portierów czy pomocy kuchennych, tymczasem Lyra czuła się przy nich tak samo swobodnie jak wśród ogrodników, złotych rączek, przełożonych służby w rodzaju pana Cawsona i pani Lonsdale, a nawet mistrza kolegium i jego gości. Goście ci – politycy, biznesmeni, wysocy rangą urzędnicy służby cywilnej i dworzanie – często bywali źródłem wiedzy i doświadczenia zupełnie innych niż wyspecjalizowani w swoich dziedzinach akademicy, którzy wprawdzie posiadli wiedzę głęboką, lecz wąską.

Przybysze z zewnątrz często byli zaskoczeni obecnością młodej dziewczyny, ogromnie pewnej siebie i żądnej wysłuchania wszystkiego, co mogli mieć do powiedzenia na temat świata. Lyra nauczyła się ich słuchać i reagować na ich słowa w taki sposób, by za każdym razem dopuszczali się drobnych niedyskrecji i mówili nieco więcej, niż zamierzali. Była zdumiona tym, jak wielu spośród tych mądrych, bywałych w świecie mężczyzn (i kobiet) zdaje się rozkoszować świadomością zdradzania małych sekretów, odsłaniania tajników manewrów politycznych albo fuzji biznesowych. Sama do niczego nie wykorzystywała zdobytej w ten sposób wiedzy, zdawała sobie jednak sprawę, że czasami przysłuchujący się takiej rozmowie akademik, być może filozof albo ekonomista, był jej w duchu wdzięczny za wyciągnięcie od gościa takiej tajemnicy, której sam nie zdołałby przeniknąć.

Jedyną osobą, którą wyraźnie niepokoiły jej dyplomatyczne talenty (a chwilami nawet sama jej obecność), był mistrz Kolegium Jordana – nowy mistrz, jak niektórzy wciąż o nim myśleli (i zapewne zawsze już mieli myśleć). Stary mistrz, który w sposób szczególny opiekował się Lyrą i zawsze stawał w obronie jej wyjątkowego statusu – mogła mieszkać w kolegium, chociaż do niego nie należała, a gdy przebywała poza jego murami, mogła liczyć na jego wsparcie – zmarł przed rokiem: bardzo stary, wielce szanowany, a nawet powszechnie kochany.

Nowym mistrzem został doktor Werner Hammond, który nie był uczonej z Jordana czy nawet z Oksfordu, tylko biznesmenem ze świata farmaceutyki. Zrobił zaciąg karierę naukową w dziedzinie chemii, zanim został prezesem jednego z gigantów farmaceutycznych i znacząco poszerzył swoje wpływy (a także powiększył dochody), po czym – całkiem niedawno – wrócił do środowiska akademickiego. Nikt nie mógł twierdzić, że tam nie pasuje: nienaganne wykształcenie, biegła znajomość pięciu języków, takt, dobre maniery, dogłębne obeznanie z historią i tradycją Jordana – wszystko to przemawiało na jego korzyść. Tylko niektórzy ze starszych akademików uważali, że jest aż nazbyt idealny, i zastanawiali się, czy stanowisko przełożonego kolegium ma być prawdziwym zwieńczeniem jego kariery, czy tylko kolejnym szczeblem na drodze do czegoś jeszcze wspanialszego.

Jedynym aspektem Jordana, którego Hammond zupełnie nie rozumiał, była Lyra. Nigdy nie spotkał kogoś równie niezwykłego jak ta młoda, opanowana osobka mieszkująca w kolegium niczym dziki ptak, którego po tym, jak postanowił uwić gniazdo w załomie dachu kaplicy, wśród gargulców, wszyscy inni mieszkańcy traktowali z opiekuńczą czułością. Był ogromnie ciekaw, jak do tego doszło:

rozpytywał w tej sprawie, rozmawiał z kolegią starszyzną, aż w końcu, na tydzień przed zakończeniem trymestru, wysłał Lyrze zaproszenie na kolację w rezydencji mistrza w następną wieczór po Uczcie Fundatorskiej.

Zaproszenie trochę ją zaskoczyło, ale jej nie zaniepokoiło. To zrozumiałe, że doktor Hammond chciał z nią porozmawiać – albo raczej posłuchać, co będzie miała do powiedzenia. Ona zaś z pewnością mogła mu powiedzieć wiele rzeczy, która będą dla niego interesujące. Zdumiała się nieco, gdy pan Cawson poinformował ją, że ma być jedynym gościem; zarazem kamerdyner nie umiał powiedzieć nic bliższego o zamiarach mistrza.

Doktor Hammond – szczupły, szpakowaty, w okularach bez oprawek i pięknie skrojonym szarym garniturze – przywitał ją nadzwyczaj serdecznie. Jego dajmon – siedzący na dywaniku przed kominkiem drobny, wytworny rys – w naturalny sposób wciągnął Pantalaimona w sympatyczną pogawędkę. Mistrz poczęstował Lyrę sherry i zaczął wypytywać o studia, wcześniejsze wykształcenie i życie codzienne w Kolegium Świętej Zofii. Z zainteresowaniem wysłuchał jej relacji o studiach nad alethiometrem prowadzonych pod okiem lady Hannah Relf i zrewanżował się opowieścią o tym, jak poznał lady Hannah w Monachium, gdzie spotkali się przy okazji podróży w interesach. Ogromnie ją poważał, zwłaszcza że odegrała kluczową rolę w skomplikowanych negocjacjach zakończonych zawarciem niezwykle istotnej umowy handlowej z jakimś zapomnianym zakątkiem Bliskiego Wschodu.

Dziwne, pomyślała Lyra, to zupełnie niepodobne do Hannah.

Postanowiła ją później o to zapytać.

Przy kolacji (podanej przez jedną z osobistych służących mistrza, której Lyra nigdy wcześniej nie widziała) próbowała go podpytać o jego wcześniejszą karierę, przeszłość biznesową i tym podobne sprawy. Prawdę mówiąc, podtrzymywała rozmowę wyłącznie z uprzejmości: doszła już do wniosku, że doktor Hammond jest inteligentny i uprzejmy, ale raczej nudny. Troszeczkę jeszcze ciekawiło ją, czy jest kawalerem, czy wdowcem, nigdzie bowiem nie było widać żadnej pani Hammond. Poprzedni mistrz był wprawdzie starym kawalerem, ale żaden oficjalny przepis nie zabraniał mistrzom ożenku. Sympatyczna żona i młoda rodzina wniosłyby odrobinę przyjemnego ciepła w chłodne mury kolegium. Doktor Hammond prezentował się niczego sobie, a z pewnością wciąż był jeszcze wystarczająco młody, by posiadać takie pożądane dodatki do swojego gospodarstwa. Z wielką wprawą unikał jednak odpowiedzi na zadawane przez Lyrę pytania, nie dając przy tym w żaden sposób do zrozumienia, że uważa je za natrętne czy wścibskie.

W końcu podano deser i cel wieczornego spotkania stał się oczywisty.

– Lyro – zagadnął mistrz – chciałbym z tobą porozmawiać o pozycji, jaką zajmujesz w Kolegium Jordana.

Lyra poczuła ledwie wyczuwalny dreszcz, jakby ziemia zadygotała.

– Jest nadzwyczaj niecodzienna – ciągnął spokojnym tonem doktor Hammond.

– To prawda – przyznała. – Mam ogromne szczęście. Ojciec mnie tu umieścił, jeśli można tak powiedzieć, a mieszkańcy... cóż, jakoś tolerują moją obecność.

– Ile masz lat? Dwadzieścia jeden?

– Dwadzieścia.

– Twój ojciec – powtórzył doktor Hammond. – Lord Asriel.

– Zgadza się. Był akademikiem Kolegium Jordana. Doktor Carne, pański

poprzednik, został kimś na kształt mojego opiekuna prawnego.

– Poniekąd. Chociaż ten układ nigdy nie został sformalizowany.

Te słowa zaskoczyły Lyrę. Dlaczego doktor Hammond zadał sobie trud sprawdzenia tego faktu?

– A jakie to ma znaczenie? – spytała ostrożnie. – Zwłaszcza teraz, po jego śmierci?

– Żadnego. Może mieć jednak wpływ na przyszły rozwój wydarzeń.

– Chyba nie rozumiem...

– Wiesz, jakie jest źródło pieniędzy, które idą na twoje utrzymanie?

Kolejne minitrzęsienie ziemi.

– Wiem, że mój ojciec zostawił jakieś pieniądze. Nie wiem, ani jak duża jest to suma, ani gdzie jest przechowywana. Nigdy się tym nie interesowałam. Uważałam, że zostało to... jakoś załatwione. To znaczy... Wydaje mi się, że... Mogę zapytać, dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy, doktorze Hammond?

– Dlatego, że kolegium i ja jako jego przełożony jesteśmy w stosunku do ciebie *in loco parentis*, jeśli można się tak wyrazić. Chociaż oczywiście nie w sensie formalnym, bo nigdy nie byłaś *in statu pupillari*. Moim obowiązkiem jest więc doglądać twoich spraw do czasu, gdy osiągniesz pełnoletniość. Rzeczywiście, była pewna suma pieniędzy przeznaczona na opłacanie kosztów twojego utrzymania, mieszkania i tak dalej, nie została jednak zdeponowana przez twojego ojca, lecz przez doktora Carne'a.

– Naprawdę? – Lyrze zrobiło się okropnie głupio, tak jakby było to coś, z czego zawsze powinna była zdawać sobie sprawę, a fakt, że o niczym nie wiedziała, dowodził zaniedbania z jej strony.

– Nie powiedział ci? – domyślił się mistrz.

– Ani słowa. Powtarzał, że jestem pod dobrą opieką i nie muszę się o nic martwić. Nie martwiłam się więc. Prawdę mówiąc, zawsze odnosiłam wrażenie, że całe kolegium się mną... opiekuje, tak jakby. Czulałam się tu jak w domu. Byłam bardzo młoda, w takim wieku nie zadaje się pytań... Więc to przez cały czas były jego pieniądze? Nie mojego ojca?

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale twój ojciec prowadził życie niezależnego akademika i żył raczej z dnia na dzień, czyż nie? Po czym zniknął bez śladu, gdy miałaś... ile to... trzynaście lat?

– Dwanaście – odparła ze ściśniętym gardłem Lyra.

– Dwanaście. To właśnie wtedy doktor Carne stworzył ten fundusz dla ciebie. Nie był bogaczem, ale wystarczyło. Doglądający go prawnicy kolegialni z rozwagą inwestowali pieniądze, regularnie opłacali koszty twojego utrzymania i jakoś to szło, ale musisz wiedzieć, Lyro, że zyski z tego kapitału były niewystarczające i doktor Carne systematycznie uzupełniał fundusz z własnych oszczędności. Tak czy inaczej, te pieniądze się skończyły.

Lyra odłożyła łyżkę. *Crème caramel* nagle wydał jej się niejadalny.

– Jak to... Przepraszam, to dla mnie wstrząs.

– Naturalnie. Rozumiem.

Pan wskoczył jej na kolana. Przeczesała palcami jego sierść.

– To znaczy, że... muszę odejść?

– Studiujesz na drugim roku?

– Tak.

– Czyli musiałybyś dokończyć ten rok i zrobić jeszcze jeden... Szkoda, że nikt cię nie uprzedził. Wiedziałybyś, czego się spodziewać.

– Powinnam była sama się tym zainteresować.

– Byłaś dzieckiem. Dla dzieci wiele rzeczy jest oczywistych. To nie twoja wina i byłoby skrajną niesprawiedliwością narażanie cię na konsekwencje, których nijak nie mogłaś przewidzieć. Dlatego mam dla ciebie propozycję. Kolegium Jordana sfinansuje ci do końca naukę w Świętej Zofii. Jeżeli chodzi o mieszkanie w czasie wolnym od nauki, to oczywiście do zakończenia studiów możesz mieszkać tutaj, w Jordanie, który i tak jest twoim jedynym domem. O ile mi wiadomo, masz do dyspozycji własny pokój i osobną sypialnię?

– Tak – przytaknęła Lyra. Jej głos zabrzmiał ciszej, niż się spodziewała.

– To będzie pewien problem... Widzisz, pokoje w tej klatce schodowej są nam pilnie potrzebne dla naszych studentów, młodych mężczyzn. Zawsze takie właśnie było ich przeznaczenie. W twoich pokojach moglibyśmy ulokować dwóch studentów, którzy obecnie muszą pomieszkiwać poza terenem kolegium, co jest sytuacją daleką od ideału. Moglibyśmy od biedy poprosić cię, byś odstąpiła jeden pokój któremuś z tych młodych ludzi, jednakże kwestie stosowności... skromności, rzecz by można... uniemożliwiają takie rozwiązanie.

– Ale w tej klatce schodowej już mieszkają studenci, zawsze mieszkali i nikt nigdy nie twierdził, że jest w tym coś niestosownego.

– W tej samej klatce, ale nie na tym samym piętrze. To nie przejdzie, Lyro.

– Na dodatek i tak bywam tu tylko w czasie ferii. – Głos Lyry brzmiał coraz bardziej rozpaczliwie. – Podczas nauki mieszkam w Świętej Zofii.

– Naturalnie, jednakże obecność twoich rzeczy w pokoju uniemożliwiłaby młodemu mężczyźnie należyte objęcie go w posiadanie. Oto ciąg dalszy mojej propozycji: jest taki pokój nad kuchnią, mały, przyznaję, wykorzystywany obecnie jako składzik. Kwestor sprowadzi do niego niezbędne wyposażenie, abyś mogła z niego korzystać. Będziesz mogła tu mieszkać aż do zakończenia studiów, tak jak mieszkałaś przez całe życie. My ze swojej strony pokryjemy koszty najmu pokoju i posiłków w czasie ferii. Musisz mieć świadomość, że tak to właśnie będzie wyglądało w przyszłości.

– Rozumiem.

– Pozwolisz, że zapytam... Masz jeszcze jakąś rodzinę?

– Nie.

– A twoja matka...

– Zniknęła w tym samym okresie co ojciec.

– Nie masz żadnych krewnych z jej strony?

– O nikim nie słyszałam. Chociaż... Możliwe, że miała brata. Ktoś mi tak kiedyś mówił. Nie wiem jednak nic na jego temat. Nigdy się ze mną nie kontaktował.

– Ach tak. Przykro mi.

Lyra spróbowała nabrać trochę deseru, ale ręka tak bardzo jej się trzęsła, że szybko odłożyła łyżeczkę.

– Napijesz się kawy? – zaproponował doktor Hammond.

– Nie, dziękuję. Chyba już pójdę. Dziękuję za kolację.

Doktor Hammond wstał – oficjalny, elegancki i współczujący w swoim pięknym

szarym garniturze. Jego dajmon stanął obok. Lyra wzięła Pantalaimona na rękę i również wstała.

– Mam się od razu wyprowadzić? – zapytała.

– Przed końcem ferii, jeśli to możliwe.

– Dobrze. Tak zrobię.

– Jeszcze jedno, Lyro. Przyzwyczaiłaś się jadać kolację w auli, traktować gościnnie w kolegium jak coś oczywistego, swobodnie przychodzić do Jordana i z niego wychodzić, jakbyś sama była jednym z akademików. Kilka osób zwróciło mi uwagę, a ja przychyliam się do ich zdania, że takie zachowanie byłoby teraz nie na miejscu. Zamieszkaż wśród służących i w pewnym sensie będziesz żyła jak jedna z nich, dlatego nie powinnaś być traktowana jak członkini społeczności naukowej.

– Naturalnie – przytaknęła Lyra.

To musiał być sen, nic innego.

– Cieszę się, że to rozumiesz. Będziesz musiała przemyśleć wiele spraw. Gdybyś uznała, że rozmowa ze mną może ci jakoś pomóc, albo gdybyś chciała o coś zapytać, o cokolwiek, nie wahaj się ani chwili.

– Dziękuję, doktorze Hammond, będę o tym pamiętać – zapewniła Lyra. – Bez cienia wątpliwości wiem teraz, gdzie moje miejsce. Wiem również, kiedy będę musiała stąd odejść. Przykro mi tylko, że tak długo byłam ciężarem dla kolegium. Gdyby doktor Carne umiał wyłożyć mi naturę rzeczy tak jasno i klarownie jak pan, być może znacznie wcześniej zdałabym sobie z tego sprawę. Oszczędziłabym wtedy panu kłopotu i zażenowania wynikłych z obecnej sytuacji. Dobranoc.

Zrobiła przy tym minę niewiniątka, otworzyła szeroko oczy i użyła swojego najbardziej beznamietnego głosu – i w duchu ucieszyła się, że nadal doskonale się sprawdzają, bo doktor Hammond nie miał zielonego pojęcia, jak zareagować.

Odpowiedział lekkim, sztywnym ukłonem. Lyra wyszła bez słowa.

Wolnym krokiem wracała do domu. Obchodząc dziedziniec dookoła, przystanąła i spojrzała w okienko swojej sypialni przytulone do masywnej, kanciastej wieży portierni.

– No cóż – mruknęła.

– To było okrutne.

– Czy ja wiem? Skoro pieniądze się skończyły...

– Nie o tym mówię. Wiesz, co miałem na myśli. To o tej służącej.

– Nie ma nic złego w byciu służącą.

– No dobrze: chodzi mi o te „kilka osób”. Nie wierzę, żeby którykolwiek z tutejszych akademików chciał, by tak nas potraktowano. On po prostu próbował zrzucić z siebie winę.

– Wiesz, co mi teraz na pewno nie pomoże, Pan? Biadolenie. Naprawdę.

– Wcale nie biadoliłem, tylko...

– Cokolwiek robiłeś, przestań. Mamy poważniejsze powody do zmartwień, jak choćby nasze lokum. Kojarzę ten pokoik nad kuchnią, tam nawet nie ma okna! Ale prawda jest taka, że powinniśmy byli wcześniej się ocknąć, Pan. Nigdy nie

myśleliśmy o pieniądzach, co najwyżej o kieszonkowym za polerowanie sreber, a przecież ktoś musiał za to wszystko płacić: czynsz, posiłki... To kosztuje. Ktoś przez te wszystkie lata za nas płacił, a my się nad tym nie zastanawialiśmy.

– Ale tamci patrzyli, jak pieniądze się kończą, i milczeli. Powinni nam byli powiedzieć.

– To prawda, powinni byli. Tak jak my powinniśmy byli zapytać, kto za nas płaci. Choć jestem przekonana, że poprzedni mistrz powiedział, że lord Asriel zostawił pod dostatkiem pieniędzy. Tak, jestem tego absolutnie pewna.

Jakby wszystkie jej członki osłabły, potknęła się dwa albo trzy razy na schodach w drodze do swojego pokoju. Czuła się poobijana i roztrzęsiona. Kiedy położyła się do łóżka, a Pan zwinął się obok niej na poduszce, od razu zgasła lampę. Długo leżała bez ruchu, zanim wreszcie zasnęła.

Hannah Relf

Następnego dnia rano onieśmielona i podenerwowana Lyra zupełnie nie miała ochoty schodzić na śniadanie. Zakradła się dyskretnie do jadalni dla służby i wzięła sobie porcję owsianki. Nie rozglądała się na boki, a sporadyczne powitania kwitowała uśmiechem i skinieniem głowy.

Czuła się, jakby obudziła się skuta łańcuchami, z których nie może się wyzwolić, i wszędzie musi je ze sobą nosić niczym jakąś oznakę wstydu.

Po śniadaniu błąkała się po portierni. Nie chciało jej się wracać na górę, do pokoików, które przez lata były jej domem. Była też zbyt apatyczna i przygnębiona, żeby zrobić to, co zapowiadała w rozmowie z Dickiem: pójść do sortowni i zapytać o pracę.

Słyszac wołanie portiera, odwróciła się w jego stronę.

– List do ciebie, Lyro – powiedział. – Odbierzesz od razu czy później?

– Od razu. Dziękuję.

Koperta była całkiem zwyczajna, a nazwisko Lyry skreślono wyraźnym, zamaszystym charakterem pisma, w którym rozpoznała rękę Hannah Relf. W jej piersi wezbrało źródło błogiej wdzięczności, ponieważ uważała doktor Relf za prawdziwą przyjaciółkę – które jednak zmroziła przerażająca myśl: co będzie, jeśli doktor Relf każe jej od tej pory płacić za lekcje alethiometru? Skąd weźmie na to pieniądze?

– Otwórz, głuptasie – powiedział Pan.

– Jasne.

Treść liściku brzmiała następująco:

*Droga Lyro, czy mogłabyś przyjść do mnie dziś po południu? To ważne.
Hannah Relf.*

Otepiąca Lyra zagapiła się na kartkę. Dziś? To znaczy kiedy? Przecież żeby list doszedł, musiałyby go wysłać wczoraj. Tymczasem data na liście była dzisiejsza.

Obejrzała kopertę. Nie zauważyła wcześniej, że nie ma na niej znaczka, tak jak nie zauważyła dopisku „Doręczyć osobiście” w lewym górnym rogu.

– Bill? – zagadnęła portiera, zajętego układaniem reszty poczty w przegródkach regału. – Kiedy to przyszło?

– Pół godziny temu. Goniec przyniósł.

– Dzięki.

Schowała list do kieszeni, przeszła przez dziedziniec i trafiła do Ogrodu

Akademików. Drzewa były w większości bezlistne, rabaty kwiatowe puste i martwe, tylko ogromny cedr żył, choć i on wyglądał, jakby spał. Był to jeden z tych szarych, bezwietrznych dni, kiedy nawet cisza sama w sobie zdaje się zjawiskiem meteorologicznym, nie wynikiem niedziania się niczego, lecz prawdziwym bytem, przerastającym ogrody, kolegia i całe życie.

Lyra wspięła się po kamiennych schodach na skarpe na końcu ogrodu, skąd roztaczał się widok na Radcliffe Square, i usiadła na stojącej tam od wieków ławce.

– Jedno jest pewne – odezwał się Pantalaimon.

– Co takiego?

– Nie powinniśmy ufać zamkowi w drzwiach naszego pokoju.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Bo nie powinniśmy ufać jemu.

– Poważnie?

– Poważnie. Wczoraj wieczorem nic nie zapowiadało tego, co nam ostatecznie powiedział, taki był układny i przymilny... To hipokryta.

– Co mówił jego dajmon?

– Gładkie, protekcyjne uprzejmości. Nic ważnego.

– Wiesz, nie mamy wielkiego wyboru – zauważyła Lyra. Słowa przychodziły jej z trudem. – Nasze pokoje są mu potrzebne, a my właściwie nie jesteśmy częścią kolegium. Pieniądze się skończyły, więc musi... musi spróbować... Sama nie wiem, Pan. Takie to wszystko beznadziejne... A teraz jeszcze martwię się, co Hannah chce mi powiedzieć.

– To głupie.

– Wiem, że to głupie, ale ta świadomość nic a nic mi nie pomaga.

Pan przekradł się na kraniec ławki, skąd przeskoczył na niski mur wokół ogrodu. Trzydzieści stóp niżej rozciągał się brukowany Radcliffe Square. Lyra poczuła ukłucie strachu, do którego jednak za żadne skarby świata by się nie przyznała. Pantalaimon udał, że się zatacza, potyka i balansuje na krawędzi, a kiedy Lyra nie zareagowała, przypadł na brzuchu do korony muru i przyjął pozę sfinksa – z wyciągniętymi w przód łapami, wysoko uniesionym łebkiem i wzrokiem utkwionym w dal.

– Kiedy nas stąd wygnają, to na dobre – powiedział. – Nie będzie dla nas powrotu. Staniemy się tu obcy.

– Wiem. Dużo o tym myślałam.

– I co zrobimy?

– Kiedy?

– Kiedy to się skończy. Po tym, jak stąd odejdziemy.

– Znajdziemy pracę i jakiś kąt do spania.

– Czyli będzie łatwo.

– Wiem, że nie będzie łatwo. Chociaż nie, wcale tego nie wiem, może się okazać, że pójdzie nam jak z płatka. Ale każdego to czeka. Każdy musi kiedyś opuścić dom i rozpocząć własne życie.

– Większość ludzi ma tak, że zawsze mogą do tego domu wrócić, będą w nim mile widziani i ktoś chętnie wysłucha opowieści o tym, jak im się wiedzie.

– I dobrze. Ale my jesteśmy inni. Zawsze byliśmy inni, dobrze o tym wiesz. Jest jedna rzecz, której na pewno nie zrobimy: nie będziemy się nad sobą uzalać. Nie

będziemy się skarżyć. Nie będziemy biadolić, jak nieuczciwie nas potraktowano. Bo on zachował się w porządku: pozwoli nam tu zostać jeszcze przez ponad rok, mimo że pieniądze się skończyły, a na dodatek opłaci naszą naukę w Świętej Zofii. To bardzo szczerzy gest. A co do reszty... Wszystko w naszych rękach. Prędzej czy później musiało się tak stać. Nie mogliśmy tu przecież mieszkać do końca życia, prawda?

– Niby dlaczego? Jesteśmy ozdobą kolegium. Powinni być z nas dumni.

Na te słowa Lyra musiała się uśmiechnąć, choćby tylko na chwilę.

– Ale możesz mieć rację z naszym pokojem, Pan. Chodzi mi o zamek w drzwiach.

– Mhm.

– Alethiometr...

– Nie tylko. Musimy pamiętać, że nie jesteśmy już u siebie w domu.

– Nie tylko alethiometr? Co jeszcze masz na myśli?

– Plecak – odparł stanowczo Pan.

– No tak! Oczywiście!

– Gdyby ktoś przyszedł się rozejrzeć i go znalazł...

– Pomyślałby, że go ukradliśmy.

– Albo gorzej: gdyby wiedział o morderstwie...

– Potrzebna nam lepsza kryjówka. Sejf z prawdziwego zdarzenia.

– Hannah ma sejf.

– Wiem, ale co jej powiemy?

Pan długo milczał.

– Pani Lonsdale – powiedział w końcu.

– Alice. To kolejna dziwna sprawa. Tyle rzeczy zmienia się jednocześnie... Jakby lód pękał nam pod stopami.

– Musieliśmy już wcześniej wiedzieć, że ma na imię Alice.

– Na pewno, ale kiedy on zwrócił się do niej po imieniu...

– Może są kochankami.

Ta wypowiedź, jako zbyt niemądra, nie zasługiwała na reakcję.

Przesiedzieli bez słowa jeszcze parę minut. W końcu Lyra wstała.

– Chodź – powiedziała – popracujemy trochę nad bezpieczeństwem naszych rzeczy.

Ruszyli z powrotem do swojego lokum.

Podczas odwiedzin u Hannah Relf – które wypadały raz w tygodniu w okresach nauki i całkiem często w czasie ferii – Lyra zwykle zabierała alethiometr ze sobą, ponieważ stanowił przedmiot ich studiów. Kiedy dzisiaj myślała o tym, z jaką beztroską zabrała go na wyprawę do Arktyki, a potem do innych światów, albo o tym, jak lekkomyślnie dała go sobie ukraść i jak do spółki z Willem musieli go wykraść z powrotem, wiele przy tym ryzykując, zdumiewała się swoją pewnością siebie i ogromem szczęścia, jakie jej wtedy dopisało. Zwłaszcza że chwilowo jednego i drugiego bardzo jej brakowało.

Wprowadziwszy pewne poprawki w skrytce na plecak i przestawiwszy stół na dywanik, żeby zniechęcić intruza do szczegółowych poszukiwań, sprawdziła jeszcze

raz, że alethiometr spoczywa bezpieczny w plecaku wraz z portfelem Hassalla, po czym udała się spacerem do domu lady Hannah w Jericho.

– Na pewno nie może chodzić o kolejny wykład – powiedziała.

– Nie sędzę też, żebyśmy mieli jakieś kłopoty.

Mimo wczesnej popołudniowej pory Hannah pozapalała światła i pokój gościnny – przez kontrast z posępną szarością dnia na zewnątrz – wydawał się sympatycznie pogodny. Lyra nie umiała zliczyć, ile razy była już w tym pokoju: Pan z Jesperem, dajmonem Hannah, siedzieli przed kominkiem i rozmawiali półgłosem, a one ślezczały nad tuzinem – lub więcej! – prastarych ksiąg, po raz kolejny wypróbowywały alethiometr albo po prostu gadały o tym i owym. Lyra zdała sobie sprawę, że uwielbia tę uczoną, łagodną damę, uwielbia zarówno ją samą, jak i cały jej sposób na życie.

– Siadaj, moja droga – powiedziała Hannah. – Nie martw się, nie ma ku temu powodów. Jest jednak coś, o czym musimy porozmawiać.

– To mnie właśnie niepokoi – przyznała Lyra.

– Widzę. Ale na początek opowiedz mi o Wernerze Hammondzie. Wiem, że wczoraj byłeś u niego na kolacji. Co ci powiedział?

Lyra nie powinna być zaskoczona: Hannah była z natury bystra i do tego stopnia przenikliwa, że chwilami robiło to niepokojące wrażenie – a przynajmniej robiłoby, gdyby Lyra nie wiedziała o jej biegłości w posługiwaniu się alethiometrem. Mimo wszystko pytanie lekko nią wstrząsnęło.

Zrelacjonowała całe spotkanie najobszerniej jak umiała. Hannah słuchała z uwagą i nie przerywała, dopóki Lyra nie skończyła.

– Powiedział jeszcze jedną rzecz – dodała Lyra na zakończenie. – Teraz mi się przypomniało. Powiedział, że państwo się znacie, poznaliście się w jakichś dyplomatycznych okolicznościach. Nie mówił nic konkretnego, chociaż chwalił pani inteligencję. Naprawdę go pani zna?

– Owszem, poznaliśmy się. I dość się na niego napatrzyłam, żeby wiedzieć, że muszę zachować najwyższą ostrożność.

– Dlaczego? Jest nieuczciwy? Niebezpieczny? O co chodzi? Naprawdę nie rozumiem. Mam wrażenie, jakby podłoga usunęła mi się spod nóg. Nie mogłam dyskutować z jego słowami, wstrząs był zbyt silny... Co pani o nim wie?

– Powiem ci o kilku rzeczach, które powinnam zachować dla siebie. Zrobię to, bo dobrze cię znam i wiem, że dochowasz tajemnicy, gdy o to poproszę, a także dlatego, że grozi ci niebezpieczeństwo... Oho, goście. Czekałam na nich.

Hannah wstała na dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych. Lyra osunęła się na oparcie krzesła. Miała dreszcze, kręciło jej się w głowie. W przedpokoju rozległy się głosy i do saloniku weszła Hannah w towarzystwie...

– Doktor Polstead – powiedziała Lyra. – I... pani Lonsdale? Pani też?

– Alice, niemądra gąsko. Alice – odparła pani Lonsdale. – Wszystko się zmienia.

– Witaj, Lyro – przywitał się doktor Polstead. – Nie wstawaj, ja sobie przycupnę tutaj.

Pan schował się za nogami Lyry. Doktor Polstead usadowił się na sofie obok Alice. W niedużym wnętrzu wydawał się nazbyt ogromny: szeroka, rumiana twarz, serdeczny uśmiech... Nadawałby się na farmera, pomyślała Lyra. Jego włosy miały rudozłoty odcień, dokładnie taki sam jak sierść jego kociego dajmona. Kiedy oparł łokcie na kolanach i splótł palce, Lyra stwierdziła, że dłonie też ma bardzo duże

i odniosła wrażenie, że zaraża się od niego niezdarnością – mimo że nigdy nie widziała, żeby zachował się niezdarnie. Przypomniała sobie ten krótki okres przed kilku laty, gdzie przydzielono mu ją w charakterze uczennicy: wykładał jej geografię i historię gospodarczą i poniósł spektakularną klęskę. Oboje byli zażenowani fiaskiem całego przedsięwzięcia, a zarazem żadne z nich nie chciało się do tego przyznać. Doktor Polstead – jako ten dorosły – powinien był szybciej zareagować i zakończyć ten eksperyment, ale Lyra miała świadomość, że bywa zuchwała i trudna w obejściu i w tej sytuacji ponosi znaczną część winy za rozwój wypadków. Zwyczajnie do siebie nie pasowali, nic nie można było na to poradzić i ostatecznie nie pozostało im nic innego, jak się pożegnać. Od tamtej pory byli wobec siebie uprzedzająco grzeczni i zachowywali wszelkie pozory życzliwości, w skrytości ducha zaś cieszyli się, że nie muszą ze sobą przebywać częściej, niż to absolutnie konieczne.

Pamiętała jednak, co dzień wcześniej powiedziała o nim Alice, widziała też, że oboje najwidoczniej przyjaźnią się z Hannah... A ona była dotychczas przeświadczona, że nie mieli nawzajem pojęcia o swoim istnieniu. O tak, ostatnie dni odsłoniły wiele intrygujących związków i znajomości.

– Nie wiedziałam, że się znacie – przyznała.

– Przyjaźnimy się od... ile to będzie... od dziewiętnastu lat – odparł doktor Polstead.

– To alethiometr mi powiedział, jak znaleźć Malcolma – powiedziała Hannah. Weszła właśnie do pokoju, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami. – Miał wtedy jakieś jedenaście lat.

– Znaleźć go? To znaczy, że go pani szukała, tak?

– Szukałam czegoś, co zaginęło, i alethiometr wskazał mi Malcolma, który znalazł zgubę. I tak jakoś wyszło, że zostaliśmy przyjaciółmi.

– Rozumiem – powiedziała Lyra.

– Miałem wielkie szczęście – wtrącił doktor Polstead. – Co zdążyłyście już sobie powiedzieć?

– Lyra opowiedziała mi o wczorajszej kolacji u mistrza. Powiedział jej, że wbrew temu, co przypuszczała, jej utrzymanie było opłacane z pieniędzy doktora Carne'a, nie zaś z funduszu ustanowionego przez jej ojca. Mistrz nie chciał, żebyś o tym wiedziała, ale to prawda: to on za wszystko płacił. Twój ojciec nie zostawił ani pensa.

– A pani o tym wiedziała? Od samego początku?

– Owszem, wiedziałam. Nic nie mówiłam, bo tego życzył sobie mistrz. Poza tym...

– Muszę przyznać, że trochę mnie to wkurza – nie wytrzymała Lyra. – Przez całe życie ktoś coś przede mną ukrywał. Nie powiedziano mi, że Asriel jest moim ojcem, a pani Coulter moją matką. Wyobraźcie sobie, jakie to uczucie, dowiedzieć się o tym w sytuacji, gdy cały świat wiedział już wcześniej i tylko ja jedna wyszłam na niczego nieświadomą idiotkę. Nie wiem, co powiedział ci doktor Carne, Hannah, nie wiem, jaką złożyłaś mu obietnicę, ale nie powinnaś była tego przede mną zatajać. Naprawdę nie powinnaś była. Miałam prawo wiedzieć. To by mnie otrzeźwiło. Zaczęłabym myśleć o pieniądzach, zadawać pytania i w końcu dowiedziałabym się, że bardzo niewiele ich zostało. I wtedy podczas wczorajszej kolacji nie przeżyłabym takiego szoku.

Nigdy przedtem nie zwracała się w ten sposób do swojej starej przyjaciółki, ale

wiedziała, że ma rację – i Hannah również była tego świadoma, bo tylko pokiwała zwieszoną głową.

– W obronie Hannah – odezwał się doktor Polstead – powiem tylko, że nie mieliśmy pojęcia, co planuje nowy mistrz.

– Nie powinien był tego robić – powiedziała Alice. – Od samego początku mu nie ufałam, odkąd tylko się pojawił.

– To prawda, nie powinien – zawtórowała jej Hannah. – Nawiasem mówiąc, Lyro, Alice chciała ci o wszystkim powiedzieć znacznie wcześniej, jeszcze za życia starego mistrza. Do niej nie możesz mieć pretensji.

– Sprawa i tak musiałyby wyjść na jaw – podjął doktor Polstead – kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat i będziesz oficjalnie pełnoletnia. Wiedziałem, że Hannah zamierza z tobą porozmawiać, zanim do tego dojdzie, ale nowy mistrz pokrzyżował nam szyki.

– Jakim nam? – powtórzyła Lyra. – I o co tu w ogóle chodzi? Przykro mi, doktorze Polstead, ale naprawdę nie rozumiem: pan też ma z tym coś wspólnego? A to, co wczoraj pani Lonsdale, to znaczy Alice, o panu powiedziała? To także mnie zaskoczyło, i to z tego samego powodu: pan też wie na mój temat coś, czego ja nie wiem, i to nie jest w porządku. Jaka jest pańska rola?

– To jedna z rzeczy, które zamierzamy ci dzisiaj wytłumaczyć – odparł. – Dlatego Hannah mnie zaprosiła. Mam zacząć? – zapytał, odwróciwszy się do gospodyni, która skinęła głową. – Jeżeli pominę coś istotnego, Hannah z pewnością mi przypomni.

Lyra, bardzo spięta, spróbowała usadowić się wygodniej. Pantalaimon wskoczył jej na kolana. Alice przyglądała się im obojgu z poważną miną.

– Wszystko zaczęło się w okresie, o którym wspomniała Hannah – zaczął doktor Polstead – kiedy to najpierw ja znalazłem coś, co było przeznaczone dla niej, a potem ona znalazła mnie. Miałem jedenaście lat i mieszkalem z rodzicami w gospodzie Pstrąg, w Godstow...

Lyra nie spodziewała się usłyszeć tak niezwykłej opowieści. Słuchając doktora Polsteada, czuła się jak na szczycie wysokiej góry, gdy wiatr rozwiewa kłęby mgły i odsłania panoramę, której istnienia zaledwie chwilę wcześniej nie sposób było nawet się domyślać. Niektóre części tej historii były dla niej zupełnie nowe i nieznanne, ale były i takie, które już wcześniej majaczyły jej jak fantasmagorie we mgle, a które teraz jawiły się jasno i wyraźnie, jakby padło na nie światło słońca. Napłynęło wspomnienie księżycowej nocy, w którą ktoś spacerował po ogrodzie, tulił Lyrę do piersi i szeptał jej do ucha; towarzyszyła mu wielka, stąpająca bezszelestnie pantera śnieżna. I inne wspomnienie, inny ogród w mrokach nocy, tym razem ze światłami wśród drzew, rozbrzmiewający radosnym śmiechem, i mała łódka. Kolejne wspomnienie: burza i głośne dobijanie się do drzwi w ciemnościach.

W opowieści doktora Polsteada brakowało jednak konia...

– Myślałam, że był tam jakiś koń – przyznała Lyra.

– Nie – odparła Alice. – Konia nie było.

– Asriel przywiózł nas żyropterem – wyjaśnił Malcolm. – Wylądował na Radcliffe Square. A potem włożył cię mistrzowi w ramiona i powołał się na prawo do azylu akademickiego. Prawo to nadal obowiązuje, nie zostało uchylone.

– Czy azyl akademicki to jest to, co myślę?

– Miał chronić akademików przed prześladowaniami.

– Ale ja nie byłam academiczką!

– To właśnie wytknął twojemu ojcu mistrz. Na co twój ojciec odparł: „W takim razie będziecie musieli zadbać o to, by się nią stała. Mam rację?”. I wyszedł.

Lyra siedziała jak skamieniała. Serce pęczyło jej od nadmiaru wrażeń, myśli kłębiły się w głowie. Tak wiele musiała zrozumieć, tyle pytań zadać! Nie wiedziała, od czego zacząć.

Hannah, która przez cały czas słuchała w milczeniu, dorzuciła polano do ognia, po czym wstała i zaciągnęła zasłony. Na dworze zapadł już zmrok.

– No... – zaczęła Lyra. – W takim razie... Dziękuję. Tak myślę... Nie chcę wyjść na niewdzięczną ani nic, dziękuję za wyratowanie mnie z powodzi i w ogóle. Jakie to wszystko dziwne... I jeszcze do tego alethiometr, ten tutaj...

Wyciągnęła sakiewkę z plecaka, położyła ją sobie na kolanie i odwinęła czarny aksamit. Alethiometr zaśnił w świetle lamp.

– Więc miał go przy sobie ten cały Bonneville? Ten z dajmonem-hieną? I to on was ścigał? Trudno mi to wszystko ogarnąć. Skąd go wziął?

– Tego dowiedzieliśmy się znacznie później – odparła Hannah. – Ukradł go z klasztoru w Czechach.

– W takim razie może... należałoby go tam zwrócić? – zasugerowała Lyra.

Przygnębiała ją jednak myśl o tym, że miałyby stracić swój najcenniejszy skarb, przyrząd, który pomógł jej znaleźć drogę do świata umarłych, a potem stamtąd wrócić; który powiedział jej prawdę o Willu („Jest mordercą”) w jedyny możliwy sposób, by mogła mu zaufać; który ocalił im życie, pomógł odzyskać pancierz króla niedźwiedzi i dokonać stu innych niezwykłych czynów. Odruchowo zacisnęła na nim dłoń i schowała go z powrotem do plecaka.

– Nie – powiedziała Hannah. – Mnisi również go ukradli: zabrali go podróżnikowi, który nieopatrznie poszukał schronienia w ich klasztorze. Poświęciłam kiedyś bity miesiąc na zbadanie pochodzenia twojego alethiometru i wygląda na to, że przez stulecia przechodził z rąk do rąk, od jednego złodzieja do drugiego. Kiedy Malcolm wcisnął go w fałdy twojego kocyka, alethiometr pierwszy raz od wieków zmienił właściciela w uczciwy sposób i to chyba przełamało schemat.

– Mnie również kiedyś go skradziono – przyznała Lyra. – Musieliśmy go potem wykraść z powrotem.

– Teraz jest twój – zapewnił ją doktor Polstead – i jeżeli nie postanowisz go komuś oddać, będzie twój na zawsze.

– A te wszystkie inne rzeczy, o których opowiadacie... Na przykład ta elfka: naprawdę spotkaliście elfkę? Czy to tylko wyobraźnia spletała wam... Przecież to nie mogła być prawdziwa elfka!

– Ale była – odparła Alice. – Miała na imię Diania. Karmiła cię piersią. Napilaś się elfiego mleka i byłabyś z nią została na zawsze, gdyby Malcolm jej nie okpił i nas stamtąd nie wydostał.

– Powódź odsłoniła wiele niezwykłości – dodał Malcolm.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedzieliście?

Malcolm wyraźnie się zmieszał, a Lyra zdumiała się tym, jak niezwykle plastyczną ma twarz. W tej chwili wydał jej się zupełnie obcy, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– Zawsze sobie powtarzaliśmy z Alice, że pewnego dnia to zrobimy, ale jakoś

nigdy nie było dobrego momentu. Poza tym doktor Carne kazał nam obiecać, że nie będziemy z tobą rozmawiać o Bonneville'u ani o niczym, co go dotyczy. Taki był jeden z warunków udzielenia ci azylu. Wtedy tego nie rozumieliśmy, dopiero później stało się oczywiste, że doktor Carne chciał cię chronić. Ale sytuacja szybko się zmienia. Oddam teraz głos Hannah.

– Kiedy poznaliśmy się z Malcolmem, postąpiłam nadzwyczaj nierozważnie. Odkryłam, że może mieć dostęp do informacji, na których bardzo mi zależało, i zachęciłam go, żeby je dla mnie zdobył. U ojca w pubie, ale także w innych miejscach zdarzało mu się czasem podsłuchać rozmowy, które były warte uwagi. Przekazywał mi pozyskane w ten sposób wiadomości, a także odbierał liściki ode mnie, które zostawiałam w umówionych miejscach. Dowiedziałam się od niego o odrażającej instytucji nazywanej Ligą Świętego Aleksandra, która werbowała uczniów w szkołach, żeby donosili Magisterium na swoich rodziców.

– To brzmi jak... – wtrąciła Lyra. – Sama nie wiem, jak jakaś historia szpiegowska. Trudno w to uwierzyć.

– Domyślam się. Zmierzałam do tego, że był to czas ostrych sporów, wręcz walk politycznych, które rozgrywały się ukradkiem, pokątnie, anonimowo. Niebezpieczny czas.

– I tym się właśnie zajmowałaś? Polityką?

– Poniekąd. Tyle że kłopoty bynajmniej się nie skończyły, nie przeminęły. Ta trudna sytuacja trwa i dziś jest nawet bardziej skomplikowana niż dawniej. Dam ci przykład: w Parlamencie złożono projekt nowej ustawy, tak zwanej „Ustawy o korekcie anomalii historycznych”. Przedstawiana jest jako zwykłe rozporządzenie porządkowe umożliwiające pozbycie się starych przepisów, które nie mają dziś wielkiego sensu albo zwyczajnie nie przystają do współczesności, takich jak przywileje duchowieństwa, prawo wybranych gildii londyńskich do polowań na czaple i łabędzie w celach konsumpcyjnych albo dziesięcina przysługująca dawno nieistniejącym instytucjom monastycznym. Wszystko to są wiekowe uprawnienia, na które od lat nikt nie próbował się powoływać. Jednakże wśród takich staroci przeznaczonych do kasacji znalazło się także prawo do azylu akademickiego, który w dalszym ciągu cię chroni.

– Przed czym? – spytała Lyra. Ze zdumieniem stwierdziła, że głos jej drży.

– Przed Magisterium.

– Dlaczego Magisterium miałoby chcieć mi zrobić krzywdę?

– Tego nie wiemy.

– A dlaczego nikt w Parlamencie nie zwrócił na to uwagi? Dlaczego nikt nie protestuje?

– Ustawa jest bardzo rozwlekła i skomplikowana. Moi informatorzy twierdzą, że została wprowadzona pod obrady na żądanie pewnej genewskiej organizacji, która gwałtownie rośnie w siłę. Nazywa się La Maison Juste i na pierwszy rzut oka jest dość niepozorna, ale przypuszczam, że ma bliskie powiązania z KSD. W każdym razie przepis został przemycony w bardzo sprytny sposób, trzeba mieć iście sokoli wzrok i cierpliwość ślimaka, żeby z czymś takim walczyć. Bernard Crombie, parlamentarzysta stojący na czele stronnictwa przeciwnego uchwaleniu tej ustawy, niedawno zginął, podobno w wypadku drogowym.

– Czytałam o tym – powiedziała Lyra. – To się zdarzyło tutaj, w Oksfordzie.

Samochód go potrafił, kierowca nawet się nie zatrzymał... Nie chce pani chyba powiedzieć, że to było morderstwo?

– A jednak – odezwał się Malcolm. – Wiemy, co się wydarzyło, ale nie mamy dowodów, które obroniłyby się w sądzie. Najważniejsze jest jednak co innego: mechanizm prawny, który chronił cię od czasu, gdy lord Asriel złożył cię w ramionach mistrza, jest powoli, z rozmysłem demontowany.

– A to, co wczoraj powiedział ci nowy mistrz – dodała Hannah – tylko potwierdza nasze domysły.

– Czy to znaczy, że doktor Hammond stoi po stronie naszych wrogów, kimkolwiek są?

– Nie jest akademikiem – przypomniała Alice. – To biznesmen.

– Otóż to – podchwycił doktor Polstead. – Nie zapominajmy, jaką ma przeszłość. Nie wiemy jeszcze dokładnie, jak to wszystko się ze sobą łączy, ale jeżeli ta ustawa przejdzie, korporacje będą mogły do woli częstować się atrakcyjnymi nieruchomościami, co do których nie ma ustalonych jednoznacznych praw własności. To tylko jeden z przykładów. Zmierzam do tego, że jeżeli podczas jej uchwalania pojawią się jakieś kwestie sporne, to będą rozstrzygane na korzyść tych, którzy mają władzę i pieniądze. Nawet ruiny klasztoru w Godstow trafią na rynek.

– Dopiero co byli tam jacyś mierniczy – dodała Alice.

– Zmiany, o których doktor Hammond opowiadał ci przy kolacji, są częścią szerszej zakrojonego procesu – powiedziała Hannah do Lyry. – Tym większe niebezpieczeństwo ci grozi.

Lyra nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Przycisnęła Pana mocniej do piersi i zapatrzyła się w ogień.

– Ale powiedział... – zaczęła cichutko. – Powiedział – powtórzyła, podnosząc głos – że kolegium opłaci do końca moje chesne w Świętej Zofii... Nie rozumiem, o co mu chodzi: mam skończyć studia, czy... co właściwie? Nie rozumiem. Nie ogarniam tego.

– Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko – odezwała się Hannah. – Pieniądze pozostawione ci przez doktora Carne'a, te, o których Hammond mówił, że się wyczerpały... Malcolm ci to wyjaśni.

– Z wiekiem doktor Carne był coraz bardziej zagubiony – zaczął doktor Polstead – myśli często mu się plątały, a przecież nigdy nie miał głowy do liczb i pieniędzy. Wygląda na to, że istotnie odłożył pokaźną sumkę, nie znamy dokładnie jej wartości, ale na pewno sporo by z niej jeszcze zostało, gdyby nie to, że ktoś go przekonał do zainwestowania w fundusz, który splajtował. Zwyczajnie zbankrutował: albo był bardzo źle zarządzany, albo został celowo doprowadzony do ruiny, tego nie wiemy. W każdym razie wbrew temu, co twierdzi doktor Hammond, pieniądze nie znajdowały się w gestii kolegialnego notariusza, ba, notariusz usilnie starał się odwieść starego mistrza od inwestycji w rzeczony fundusz, ale ostatecznie nie miał wyjścia: musiał posłuchać swojego klienta. Na pewno go znasz, to mężczyzna w mocno już podeszłym wieku, bardzo wysoki. Z dajmonem w ciele pustułki.

– Tak, znam go!

Lyra rzeczywiście przypomniała sobie tego człowieka – nigdy nie wiedziała, kim właściwie jest, ale zawsze był dla niej miły i uprzejmy i szczerze interesował się jej postępami w nauce.

– Dobrze to sobie wyliczyli – powiedziała Alice. – Niedługo potem stary mistrz zupełnie się pogubił, biedaczysko. Zaczął zapominać...

– Pamiętam – odparła Lyra. – To było takie smutne... Kochałam go.

– Był powszechnie uwielbiany – przyznała Hannah. – Kiedy jednak przestał panować nad swoimi sprawami, notariusz musiał wziąć na siebie rolę pełnomocnika. Gdyby to na tym etapie doktor Carne podjął niewłaściwą decyzję inwestycyjną, można by jej było zapobiec.

– Zaraz – przypomniała sobie Lyra. – Alice powiedziała, że „dobrze to sobie wyliczyli”. Nie chcecie chyba powiedzieć, że to było celowe działanie? Że oni, ci, którzy stoją po drugiej stronie, umyślnie przepuścili jego pieniądze?

– Wszystko na to wskazuje – powiedział doktor Polstead.

– Ale po co?

– Żeby ci zaszkodzić. O niczym byś nie wiedziała, aż do teraz.

– Czyli on jeszcze żył... stary mistrz jeszcze żył, a oni próbowali zrobić mi krzywdę...

– Właśnie. Sami dopiero co to odkryliśmy. Dlatego postanowiliśmy cię tu zaprosić i o wszystkim ci powiedzieć.

Teraz Lyrze na dobre odebrało głos.

– Ale dlaczego? – wyręczył ją Pantalaimon.

– Nie mamy pojęcia – przyznała Hannah. – Z jakiegoś powodu zależy im na tym, żebyś była podatna na ciosy. My z kolei, przez wzgląd na wszystko, co dobre i cenne, musimy zapewnić ci bezpieczeństwo. Zresztą nie tobie jednej, są także inni akademicy, których chroni prawo azylu. Zawsze było rękojmią wolności intelektualnej, ale wygląda na to, że to się zmieni.

Lyra przecesała włosy palcami. Cały czas myślała o człowieku, o którym przed chwilą usłyszała po raz pierwszy, mężczyźnie z trójnogim dajmonem-hieną. Miała niespełna roczek, gdy za wszelką cenę usiłował ją dopaść.

– A ten Bonneville... – odezwała się. – On też reprezentuje tę drugą stronę? To dlatego chciał mnie wykraść?

Przez twarz Alice przemknął grymas odrazy i wzdargy.

– Był skomplikowanym człowiekiem, który znalazł się w skomplikowanej sytuacji – odparła Hannah. – Wygląda na to, że był szpiegiem, ale działającym na własną rękę. Niektórzy naukowcy też tak funkcjonują, jako wolni strzelcy. Z wykształcenia teolog doświadczalny, fizyk, bez niczyjej pomocy przeniknął do kwatery głównej Magisterium w Genewie, gdzie odkrył wiele niezwykłych rzeczy. Zgromadził ogromną ilość materiałów na różne tematy; znajdowały się w plecaku, który Malcolm ocalił...

– Ukradł – poprawił ją doktor Polstead.

– Niech ci będzie: ukradł, a potem dostarczył do Oksfordu. Tylko że z czasem Bonneville bardzo się zmienił, jakby się zbuntował. Może to była jakaś psychoza, nie wiem... Z jakiegoś powodu miał obsesję na twoim punkcie, Lyro.

– Moim zdaniem chciał cię użyć jako karty przetargowej – powiedział doktor Polstead. – Tylko że potem... Pod koniec po prostu zwariował. Popadł w obłąd. Nawet...

Intensywność bólu malującego się na jego twarzy wstrząsnęła Lyrą. Patrzył w oczy Alice, która miała podobną minę, i nie mógł wykrztusić ani słowa. W końcu

wbił wzrok w dywan.

– To kolejny powód, dla którego trudno nam był o tym mówić, moja droga – wychrypiała Alice. – Bo widzisz... Bonneville mnie zgwałcił. Mogłoby się na tym nie skończyć, gdyby nie Malcolm, który... który przyszedł mi na pomoc i... no... zrobił jedyne, co mógł zrobić. Byliśmy oboje wyczerpani, myśleliśmy, że to nasz koniec, to wszystko było takie potworne i...

Jej również odebrało mowę. Ben, jej dajmon, położył łeb na jej kolanach. Poglądziła go drżącą ręką. Lyra miała ochotę ją objąć, ale nie była w stanie się poruszyć. Pan zamarł bez ruchu u jej stóp.

– Jedyne, co mógł? – powtórzyła szeptem.

– Malcolm go zabił – wyjaśniła Asta, dajmon doktora Polsteada.

Lyra zaniemówiła. Malcolm nadal patrzył w dół. Przetarł oczy nasadą dłoni.

– Ty leżałaś w zawiniątku w kanoe – odezwała się znów Alice. – Nie chciał cię zostawiać samej, więc Asta została przy tobie. Dopiero wtedy Malcolm mógł przyjść tam, gdzie Bonneville mnie... napastował. Asta się tobą zaopiekowała.

– Rozdzieliliście się?! – wykrztusiła Lyra. – I zabił go pan?

– To było potworne. Odrażające. Straszne.

– Ile miał pan lat?

– Jedenaście.

Niewiele młodszy od Willa, kiedy alethiometr nazwał go mordercą, pomyślała Lyra.

Spojrzała na doktora Polsteada w sposób, w jaki nie patrzyła na niego nigdy przedtem. Wyobraziła sobie, jak krępy rudowłosy chłopak zabija doświadczonego tajnego agenta... i nagle dostrzegła kolejną prawidłowość: mężczyzna zabity przez Willa też był członkiem tajnych służb swojego kraju. Czy było więcej takich podobieństw? Czy dalsze echa czekały na odkrycie? Alethiometr udzieliłby jej odpowiedzi na to pytanie, ale trwałoby to wieki! Ach, dawniej załatwiłaby to błyskawicznie: palce ścigały się z umysłem o palmę pierwszeństwa, a ona tylko przedstawiała wskazówki na tarczy i bez chwili zawahania zstępowała po kolejnych szczeblach znaczeń w skrywający prawdę mrok!

– Nie wolno nam zapominać także o jego bezpieczeństwie – przypomniała Hannah.

Lyra zamrugnęła powiekami.

– Ma pani na myśli alethiometr? Skąd pani wiedziała, że o nim myślę?

– Poruszałaś palcami.

– Aha. Będę musiała lepiej się maskować, ze wszystkim: każdy mój ruch, każde słowo... Nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje, nie miałam zielonego pojęcia... A teraz nie wiem, co powiedzieć.

– Pantalaimon ci pomoże.

Hannah nie wiedziała jednak o napięciu, jakie ostatnio zapanowało między nimi. Lyra nikomu o tym nie mówiła. Przecież i tak by nikt nie zrozumiał, prawda?

– Robi się późno – zauważył doktor Polstead. – Jeżeli chcemy zjeść jakąś kolację, powinniśmy wracać do miasta.

Lyra czuła się, jakby minął tydzień. Powoli wstała i objęła Alice, która odpowiedziała uściskiem i pocałowała ją w policzek. Kiedy Hannah zrobiła to samo, Lyra pocałowała ją w odpowiedzi.

– Tworzymy sojusz – powiedziała Hannah. – Pamiętaj.

– Nie zapomnę – obiecała Lyra. – Dziękuję wam. Chociaż muszę przyznać, że jeszcze nie doszłam do siebie. O tylu rzeczach nie miałam pojęcia...

– To nasza wina – wtrącił doktor Polstead. – Będziemy musieli ci to jakoś wynagrodzić. I wynagrodzimy. Jesz dzisiaj kolację w auli?

– Nie, mam jadać ze służbą. Mistrz postawił sprawę jasno.

– Drań – mruknęła Alice pod nosem, wywołując tym uśmiech Lyry. – Ja idę do Pstrąga – dodała. – Do zobaczenia później.

Ruszyła w stronę Godstow. Lyra z doktorem Polsteadem skierowali się do centrum miasta. Zatłoczone ulice Jericho tętniły życiem, jasno oświetlone witryny sklepowe wabiły ciepłem i bezpieczeństwem.

– Mam nadzieję, Lyro, że zapamiętasz nasze imiona – odezwał się doktor Polstead. – Ja jestem Malcolm, a pani Lonsdale to Alice.

– Będę się musiała z tym oswoić. Potrzebuję trochę czasu.

– Nie tylko na to. Wracając do tego odesłania cię do służby... To celowe upokorzenie. Wszyscy akademicy wysoko cenią twoje towarzystwo, nawet ja doskonale zdaję sobie z tego sprawę, chociaż należę obecnie do innego kolegium.

– Mówi, że zdaniem kilku osób spożywanie przeze mnie posiłków w auli byłoby teraz nie na miejscu, i tak dalej.

– Kłamie. A nawet jeżeli ktoś naprawdę tak twierdzi, to na pewno żaden z akademików.

– Tak czy inaczej, jeżeli zamierzał mnie w ten sposób upokorzyć, to mu się nie uda. Jadanie z przyjaciółmi nie jest dla mnie żadnym upokorzeniem. Są dla mnie jak rodzina. A jeżeli on tak źle myśli o mojej rodzinie, to tym gorzej dla niego.

– Doskonale.

Milczeli, idąc, przez mniej więcej minutę. Lyra myślała o tym, że chyba nigdy nie będzie czuła się swobodnie w towarzystwie Malcolma, bez względu na to, co zrobił dziewiętnaście lat wcześniej.

Wtedy jednak powiedział coś, przez co poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie:

– Ehm... Lyro? Wydaje mi się, że powinniśmy omówić jeszcze jedną sprawę. Nie uważasz?

Little Clarendon Street

– Dajmony – odparła głosem tak cichym, że Malcolm ledwie ją dosłyszał.

– Właśnie. Czy tamtej nocy też przeżyłaś wstrząs?

– Tak przypuszczam.

– Czy ktoś wie o tym, że potraficie się rozdzielić z Pantalaimonem?

– W tym świecie nikt. – Lyra z wysiłkiem przełknęła ślinę. – Wiedźmy z północy też to potrafią. Jedna z nich nazywa się Serafina Pekkala, to o niej pierwszej się dowiedziałam. Spotkałam jej dajmona i rozmawiałam z nim na długo przed tym, jak pierwszy raz ją zobaczyłam.

– Spotkałam kiedyś wiedźmę, podczas tamtej powodzi. Była z dajmonem.

– Jest takie zrujnowane miasto, nosi arabską nazwę... Zamieszkują je dajmony bez ludzi.

– O nim też chyba słyszałem. Chociaż nie byłem pewien, czy powinienem w to wierzyć.

Znowu przeszli kawałek w milczeniu.

– Ale jest coś jeszcze... – zaczęła mówić Lyra.

– Wydaje mi się, że... – wszedł jej w słowo Malcolm.

– Przepraszam – powiedziała Lyra.

– Nie, mów.

– Twój dajmon zobaczył wtedy Pantalaimona. Pan też go widział, ale do wczoraj nie był pewny, kto to, aż...

– Aż spotkali się w pokoju Alice.

– No właśnie, tylko że... Rety, jakie to trudne...

– Obejrzyj się do tyłu.

Lyra się odwróciła i zobaczyła to, co Malcolm już wcześniej wyczuł: ich dajmony szły obok siebie, pochylały łebki ku sobie i rozmawiały o czymś z wielkim zaangażowaniem.

– Cóż...

Przystanęli na rogu Little Clarendon Street, która dwieście jardów dalej dochodziła do szerokiej alei St Giles'. Od Kolegium Jordana dzieliło ich nie więcej niż dziesięć minut drogi.

– Może wstąpimy gdzieś na drinka? – zaproponował Malcolm. – Będziemy mogli swobodniej rozmawiać niż na ulicy.

– Dobrze – zgodziła się Lyra. – Chętnie.

Wśród złotej oksfordzkiej młodzieży Little Clarendon Street uchodziła za miejsce, w którym dobrze jest się pokazać. Za sprawą drogich butików odzieżowych, modnych

kawiarni, koktajlbarów i przeciągniętych górą sznurów kolorowych świateł jantarycznych wyglądała jak przeniesiony do Oksfordu zakątek zupełnie innego miasta. Malcolm nie mógł wiedzieć, dlaczego na jej widok łzy napłynęły Lyrze do oczu, chociaż same łzy nie uszły jego uwagi – a jej przypominało się wyludnione Cittàgasse, rozjaśniane setkami świateł, puste, ciche, magiczne. To tam poznała Willa.

Bez słowa otarła łzy.

Malcolm zaprowadził ją do niby-włoskiej restauracyjki ze świeczkami osadzonymi w owiniętych słomą butelkach po winie, obrusami w czerwono-białą kratę i wielkimi barwnymi plamami plakatów turystycznych. Lyra rozejrzała się niepewnie dookoła.

– To bezpieczne miejsce – zapewnił ją Malcolm. – Gdzie indziej rozmowa mogłaby być ryzykowna, ale nie w La Luna Caprese.

Zapytał, czy chianti będzie w porządku, a gdy skinęła głową, zamówił butelkę.

– Muszę ci coś powiedzieć – zagaiła Lyra, gdy kelner przyniósł wino i rozlał je do kieliszków. – Odkąd się dowiedziałam o tobie i twoim dajmonie, wiem, że mogę ci o tym powiedzieć, ale nikomu innemu już nie. Postaram się mówić zwięźle i klarownie, chociaż przez ostatnie dwa dni usłyszałam tyle niezwykłych rzeczy, że trochę mi się wszystko miesza. Tak że gdybyś się pogubił, daj mi znać. Zacznę od początku.

– Naturalnie.

Zaczęła od przeżyć Pantalaimona w poniedziałkową noc: napaść, morderstwo, umierający człowiek oddający mu portfel, żeby zaniósł go Lyrze. Malcolm słuchał w zdumieniu, ale bez cienia sceptycyzmu. Sam doskonale wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, ale jeden element tej historii wydał mu się szczególnie osobliwy.

– Ofiara morderstwa i jej dajmon wiedzieli o rozdzieleniu? – zapytał.

– Tak – potwierdził Pan. Siedział na stole tuż obok opartego o blat łokcia Lyry. – Mój widok nie był dla nich takim wstrząsem, jakim byłby dla większości ludzi. Co więcej, sami również umieli się rozdzielić. Już wcześniej, podczas napadu, dajmon musiał mnie dostrzec na drzewie. Pewnie dlatego pomyślał, że może mi zaufać.

– Pan zabrał więc portfel, żeby przynieść mi go do Świętej Zofii... – podjęła Lyra.

– To wtedy Asta mnie zobaczyła – wtrącił Pan.

– ...ale potem sprawy się pokomplikowały i nie mieliśmy nawet czasu zajrzeć do środka. Zrobiliśmy to dopiero następnego dnia rano.

Lyra wciągnęła plecak na kolana i wyjęła z niego portfel, który następnie dyskretnie podała Malcolmowi. Zwrócił uwagę na ślady zębów Pantalaimona. Specyficzny zapach, który Pan wziął za aromat taniej wody kolońskiej, Malcolmowi kojarzył się z czymś innym, bardziej dzikim. Otworzył portfel i – słuchając Lyry – opróżnił go z zawartości: wyjął kartę biblioteczną, identyfikator pracownika uniwersytetu, papiery dyplomatyczne, które wyglądały nadzwyczaj znajomo. Sam kiedyś trzymał takie w portfelu.

– Przypuszczam, że niedawno wrócił do Oksfordu – mówiła tymczasem Lyra. –

Kiedy obejrzy się jego *laissez-passer*, można prześledzić całą jego podróż z Sin Kiangu aż tutaj. Gdyby tamci dwaj go nie napadli, udałby się zapewne do Ogrodu Botanicznego.

Malcolm wyłowił kolejną nutę zapachową. Podniósł portfel do nosa, a wtedy coś zadźwięczało mu w głowie niczym odległy dzwon albo rozbłysło jak słońce na

ośnieżonym górskim wierzchołku. Ulotne wrażenie trwało jednak tylko ułamek sekundy.

– Czy ten zabity coś jeszcze mówił przed śmiercią? – zwrócił się do Pantalaimona.

– Nie – odparł po namyśle dajmon. – Był naprawdę umierający. Kazał mi wyciągnąć portfel z kieszeni i zanieść go Lyrze... znaczy, nie znał jej imienia, ale powiedział, żebym go zaniósł swojemu... Wydaje mi się, że postanowił nam zaufać, bo wiedział o możliwości rozdzielenia człowieka i dajmona.

– Byliście z tym na policji?

– Oczywiście – odparła Lyra. – Prawie od razu, z samego rana, poszliśmy na posterunek. Ale kiedy czekaliśmy, aż ktoś się nami zajmie, Pan usłyszał głos jednego z policjantów.

– To był jeden z zabójców, ten pierwszy – powiedział Pan. – Ten, który nie został ranny. Miał bardzo charakterystyczny głos, dlatego go rozpoznałem.

– Zapytaliśmy więc o coś zupełnie innego i wyszliśmy – podjęła Lyra. – Doszliśmy do wniosku, że nie należy oddawać zabójcy portfela ofiary.

– Całkiem rozsądnie – przyznał Malcolm.

– Aha, jeszcze jedno: ten ranny w nogę nazywa się Benny Morris.

– Skąd o tym wiecie?

– Znam kogoś, kto pracuje w sortowni. Zapytałam, czy któryś z jego współpracowników nie skaleczył się ostatnio w nogę, na co odparł, że owszem, jest taki: brzydki, wielgachny i nazywa się Benny Morris. Z opisu pasuje.

– Co było dalej?

– W portfelu był kluczyk do przechowalni bagażu – mówiła Lyra, starannie dobierając słowa. – Do jednej z tych skrytek na dworcu, wiesz.

– I co?

– Doszłam do wniosku, że powinniśmy tam pójść i zabrać to, co jest w środku, więc...

– Nie mów mi, że to zrobiliście!

– Zrobiliśmy. Ten człowiek powierzył nam swój portfel wraz z całą zawartością, dlatego pomyślałam, że powinnam zaopiekować się jego bagażem, zanim jego zabójcy zorientują się w sytuacji i też zaczną go szukać.

– Bo zabójcy wiedzieli, że powinien mieć jakiś bagaż – dodał Pan. – Pytali się jeden drugiego, czy zamordowany miał przy sobie torbę, czy jej gdzieś nie upuścił, czy na pewno jej nie widzieli i tak dalej. Tak jakby im powiedziano, czego mają się spodziewać.

– Co było w skrytce?

– Plecak – powiedziała Lyra. – Schowałam go pod podłogą w swoim pokoju w Jordanie.

– Jest tam w tej chwili?

Lyra pokiwała głową.

Malcolm jednym haustem dopił wino i wstał.

– Chodźmy – powiedział. – Musimy go stamtąd zabrać. Dopóki go masz, Lyro, grozi ci ogromne niebezpieczeństwo, wcale nie przesadzam. Chodź.

Pięć minut później skręcili z Broad Street w Turl Street, wąski zaułek, przy którym znajdowała się portiernia i główne wejście do Kolegium Jordana. Byli w połowie drogi do wejścia, gdy dwóch mężczyzn w zwykłych roboczych kombinezonach wyszło z kolegium i ruszyło w stronę High Street. Jeden z nich niósł plecak przerzucony przez ramię.

– To ten plecak – powiedziała półgłosem Lyra.

Malcolm chciał pobiec za złodziejami, ale Lyra złapała go za rękę. Mocno.

– Nie – powiedziała – nie rób hałasu. Lepiej, żeby się nie odwracali. Chodź, wejdziemy do środka.

– Mogłem ich dogonić!

– Nie ma potrzeby.

Mężczyźni oddalali się różnym krokiem. Malcolm chciał powiedzieć kilka rzeczy jednocześnie, ale ugryzł się w język: widział, że Lyra zachowuje spokój, ba, wydawała się nawet z czegoś zadowolona. Ostatni raz spojrzął w ślad za mężczyznami, po czym wszedł za nią do portierni.

Lyra zdążyła tymczasem zagadnąć portiera.

– Tak, Lyro, powiedzieli, że przyszli przenieść twoje meble, ale przed chwilą widziałem, jak wychodzą. Jeden z nich coś niósł.

– Dzięki, Bill. Powiedzieli, skąd są?

– Zostawili mi wizytówkę. Proszę.

Lyra pokazała wizytówkę Malcolmowi: j. cross przewodniczki i adres w Kidlington, niedaleko na północ od Oksfordu.

– Wiesz coś o tym J. Crossie? – zapytał Malcolm portiera.

– Pierwsze słyszę, proszę pana.

Weszli na górę, do pokoju Lyry. Malcolm nie widział tej klatki schodowej od czasów studenckich, ale wyglądało na to, że niewiele się zmieniła. Na najwyższym piętrze po przeciwnych stronach podestu znajdowały się dwa pokoje. Lyra otworzyła ten po prawej i włączyła światło.

– O mój Boże – mruknął Malcolm. – Że też nie przyszliśmy pięć minut wcześniej...

W pokoju panował potworny bałagan: poprzewracane krzesła, książki pozrzucone z półek na podłogę, jeden wielki kłęb papierów na biurku. Odwinięty dywan został rzucony w kąt, deska zasłaniająca schowek była wyjęta.

– No cóż, znaleźli go – powiedziała Lyra.

– Tu był?

– To moja ulubiona kryjówka. Nie martw się, spodziewałam się, że będą szukać poluzowanej deski w podłodze. Ciekawa jestem tylko, jakie zrobią miny, kiedy już zajrzą do plecaka.

Uśmiechała się. Pierwszy raz od wielu dni w jej oczach nie czaił się cień.

– Co tam znajdują? – zapytał Malcolm.

– Dwie książki z biblioteki Wydziału Historii, komplet moich ubiegłorocznych notatek z historii gospodarczej, bluzę, z której wyrosłam, i dwie butelki szamponu.

Malcolm parsknął śmiechem. Lyra przejrzała leżące na podłodze książki, wybrała

dwie i mu podała.

– Znalazłam je w plecaku. Nie umiałam przeczytać.

– To coś o botanice – powiedział Malcolm. – Język wygląda mi na anatolijski. A ta jest po tadżycku. Proszę, proszę... Coś jeszcze?

Z masy papierów na biurku i podłodze Lyra wyłowiła tekturową teczkę, na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia od kilku innych. Malcolm usiadł, wziął teczkę do ręki i otworzył.

– Zajrzę jeszcze do sypialni – powiedziała Lyra. Wyszła na klatkę schodową i przeszła na drugą stronę podestu.

Teczka była opisana jej charakterem pisma. Malcolm przypuszczał, że wyjęła z niej jakieś swoje papiery i na ich miejsce włożyła dokumenty z plecaka – i nie pomylił się: był to spisany ołówkiem dziennik. Nie zdążył jednak zobaczyć wiele więcej, gdy wróciła Lyra ze starą, sfatygowaną puszką po zielu fajkowym. W środku znajdowało się około tuzina zakorkowanych flakoników i kilka tekturowych pudełeczek.

– Też były w plecaku, ale nie mam pojęcia, co jest w środku. Jakies okazy? Próbki?

– Postąpiłaś bardzo sprytnie, Lyro, ale sama widzisz, że grozi ci prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie wiem, jak do tego doszli, ale znają już twoją tożsamość i wiedzą, że wiesz o morderstwie. Wkrótce odkryją, że przechwyciłaś zawartość plecaka. Nie powinnaś chyba dłużej tu mieszkać.

– Nie mam się gdzie podziąć. Mogłabym co najwyżej wrócić do Świętej Zofii, ale o tamtym miejscu też już raczej wiedzą.

Nie oczekiwała współczucia, po prostu rzeczowo stwierdzała fakty. Malcolm doskonale pamiętał ten wyraz jej twarzy z czasów, gdy był jej nauczycielem. W głębi jej oczu czaił się ten sam co wtedy beznamiętny, zuchwały upór.

– Pomyślmy... Mogłabyś zamieszkać u Hannah.

– Ale wtedy jej także groziłoby niebezpieczeństwo, prawda? Na pewno wiedzą, że się znamy. Poza tym wydaje mi się, że siostra przyjeżdża do niej na święta. Dla mnie nie będzie już miejsca.

– Masz jakichś znajomych, u których mogłabyś się zatrzymać?

– Zdarzało mi się spędzać Boże Narodzenie u różnych ludzi, ale za każdym razem to oni mnie zapraszali. Nigdy ich o to nie prosiłam i źle by to wyglądało, gdybym zrobiła to teraz. Poza tym... nie wiem... nie chciałabym chyba nikogo narażać na...

– Tu nie możesz zostać, to nie ulega wątpliwości.

– Dawniej to właśnie tutaj czułam się najbezpieczniej.

Lyra sprawiała wrażenie zagubionej. Wzięła do rąk poduszkę i przycisnęła ją do piersi.

Dlaczego nie tuli w taki sposób swojego dajmona? – nie mógł się nadziwić Malcolm. Nagle uświadomił sobie coś, co już wcześniej zwróciło jego uwagę: Lyra i Pantalaimon nie lubili się nawzajem. Poczuł gwałtowne uczucie zaskoczenia. Zrobiło mu się ich żal.

– Posłuchaj – odezwał się – moi rodzice mają pub w Godstow. Nazywa się Pstrąg. Na pewno mogłabyś tam zamieszkać, przynajmniej na czas ferii.

– A mogłabym tam pracować?

– To znaczy... Czy mogłabyś tam w spokoju się uczyć? – spytał skonsternowany

Malcolm.

– Nie – odparła ze wzgardą w głosie, której próżno by szukać w jej oczach. – Pracować w barze, w kuchni... Żeby opłacić swój pobyt.

Nagle Malcolm zrozumiał, jak bardzo jest dumna i jak silnie wstrząsnęły nią słowa mistrza o tym, że skończyły się pieniądze.

– Jeśli zechciałabyś robić coś takiego, to rodzice z pewnością byliby zachwyceni – odparł.

– W takim razie zgoda.

Malcolm lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę z naturalnego uporu cechującego Lyre. Zastanawiał się jednak, ilu ludzi dostrzegają samotność malującą się na jej twarzy, gdy na moment przestawała się pilnować.

– Nie traćmy czasu – zaproponował. – Pójdziemy tam od razu, jeszcze dziś, gdy tylko będziesz gotowa.

– Trzeba uprzątnąć... – Machnięciem ręki ogarnęła bałagan w pokoju. – Nie mogę tego tak zostawić.

– Odłóż książki na półki, przestaw meble na miejsce... To wystarczy. Sypialnia też tak wygląda?

– Tak: ubrania wywleczone na podłogę, łóżko do góry nogami...

Ścisnęło ją w gardle, oczy jej się zaszkliły. Jak by nie patrzeć, było to paskudne najście.

– Albo wiesz co? Ja poodkładałam książki i papierzyska – zaproponował Malcolm.

– Odstawię też meble, dam sobie radę, a ty idź i spakuj jakieś ubrania. Łóżkiem się nie przejmuj, powiemy Billowi, że ci goście od przeprowadzek okazali się złodziejaskami i na przyszłość powinien mieć więcej oleju w głowie, żeby takich nie wpuszczać. – Z wieszaka przy drzwiach zdjął bawełnianą torbę na zakupy. – Mogę do tego przełożyć rzeczy z plecaka?

– Oczywiście. Pójdę po ubrania.

Malcolm podniósł pierwszą z brzegu książkę.

– Czytasz to? – zapytał.

To było *Nieustające oszustwo* Simona Talbota.

– Tak. Chociaż nie wiem, co o niej myśleć.

– Taka opinia powinna mu się spodobać.

Włożył do torby trzy teczki, obie książki, flakoniki i pudełka; jeszcze tego samego wieczora zamierzał je umieścić w sejfie u Hannah. Potem będzie musiał się skontaktować z Oakley Street, mało znanym wydziałem tajnych służb, któremu oboje z Hannah podlegali, a następnie udać się do Ogrodu Botanicznego, gdzie na pewno czekają na nieszczęsnego doktora Hassalla i jego okazy, próbki czy co tam ze sobą przywiózł.

Wstał i zaczął układać książki na półkach. Chwilę później wróciła Lyra.

– Gotowa? Poustawiałem książki byle jak, obawiam się, że będziesz je musiała później uporządkować.

– Dziękuję. Cieszę się, że byłeś ze mną, kiedy tu wróciłam. Udało mi się ich oszukać z plecakiem, ale nie miałam pojęcia, jakie to obrzydliwe uczucie... kiedy pomyślę, że dotykali moich ubrań...

Pan od dłuższej chwili rozmawiał półgłosem z Astą. Malcolm zdawał sobie sprawę, że Asta później streści mu całą rozmowę. Pan również o tym wiedział.

Podobnie jak Lyra.

– Mam lepszy pomysł – powiedział Malcolm. – Nic nie powiemy Billowi. Od razu by chciał dzwonić na policję, a my musielibyśmy mu tłumaczyć, dlaczego nie może tego zrobić. Na pewno zapamiętałby całą sytuację i później się nad nią głowił. Lepiej nic nie mówić. A jeśli będzie o coś pytał, to owszem, przyszli ludzie od przeprowadzek, ale pomylili datę.

– Gdybyśmy wciągnęli w to policję, szybko dodaliby dwa do dwóch, zorientowaliby się, że wiem o morderstwie... Ale skąd wiedzieli o plecaku? Nikt nas nie śledził.

– Mają alethiometr.

– To muszą też mieć dobrego analizatora. Trafili pod konkretny adres, bardzo trudno jest wyczytać z alethiometru takie szczegóły. Muszę założyć, że jestem stale obserwowana. Obrzydlistwo.

– To prawda. Chodź, na razie trzeba cię odprowadzić do Godstow.

Państwo Polsteadowie przyjęli Lyrę bardzo serdecznie. Od razu zgodzili się, żeby zamieszkała w Pstrągu, dali jej wygodny pokój, przystali na jej propozycję, że może im pomagać w kuchni lub w barze (w zależności od tego, gdzie okaże się bardziej potrzebna) i w ogóle sprawiali wrażenie najżyczliwszych rodziców na świecie.

– Jak by nie patrzeć, to on cię stąd zabrał – powiedziała pani Polstead, stawiając przed Lyrą na kuchennym stole garnek z duszoną wołowiną – więc wypada, żeby to on odprowadził cię z powrotem. Po prawie dwudziestu latach!

Była wysoka, karnacją trochę przypominała Malcolma i miała błyszczące niebieskie oczy.

– Ja się o tym wszystkim dopiero teraz dowiedziałam – przyznała Lyra. – O tym, że Malcolm mnie stąd zabrał i tak dalej. Byłam za mała, żeby cokolwiek pamiętać. Gdzie jest ten klasztor, gdzieś niedaleko?

– Blisko, po drugiej stronie rzeki. Ale to już zupełna ruina. Mocno ucierpiał podczas powodzi, nie opłacało się go remontować. Poza tym tamtej nocy zginęło sporo siostr i zostało ich za mało, żeby klasztor mógł żyć dawnym życiem. Nie pamiętasz pewnie siostry Fenelli? Ani Benedicty? Nie, za malutka byłaś.

Lyra pokręciła głową z pełnymi ustami.

– Benedicta była tam przełożoną – ciągnęła pani Polstead – ale to Fenella najczęściej się tobą opiekowała. Nie było na świecie drugiej tak przemiłej starszej pani. Malcolm ją uwielbiał. Kiedy po powrocie dowiedział się, że nie żyje, był zdruzgotany. Ech, myślałam, że mu nigdy nie wybaczę tego, że tak zniknął bez uprzedzenia... Mało oczu sobie nie wypłakałam! Oczywiście doszliśmy do wniosku, że utonął, razem z tobą i Alice. Tylko jedno nas pocieszało: nigdzie nie znaleźliśmy jego kanoe. Pomyśleliśmy, że może zdążył do niego wskoczyć, i czepialiśmy się rozpaczliwie tego okrucza nadziei, aż w końcu wrócił: poobijany, posiniaczony, postrzelony, wyczerpany...

– Postrzelony? – powtórzyła Lyra. Pałaszowała z zapalem, ale znacznie bardziej głodna była szczegółów historii Malcolma.

– W rękę. Do dziś ma bliznę. Był wykończony, przespał potem chyba ze trzy dni. Trochę to nawet odchorował, pewnie wszystko przez tę brudną wodę. Jak mięso, smakuje ci? Dołożyć ci ziemniaków?

– Jest przepyszne, dziękuję. Jednego w tym wszystkim nie rozumiem: dlaczego o niczym nie wiedziałam? Rozumiem, że nie mogłam niczego zapamiętać, ale dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

– Dobre pytanie. Myślę, że z początku największym problemem, znaczy, z punktu widzenia kolegium, było zapewnienie ci opieki. Stare, zalatujące stęchlizną gmaszysko, dookoła sami naukowcy, którym dzieci nigdy wcześniej nie plątały się pod nogami i którzy nie bardzo wiedzieli, co się właściwie stało, a Alice nie zamierzała im niczego tłumaczyć. Co ci opowiadał Mal o tym dniu, kiedy razem z lordem Asrielem zanieśli cię do Jordana?

– Dopiero dziś po południu pierwszy raz o tym usłyszałam, jeszcze nie całkiem to do mnie dociera... Alice od wieków była dla mnie „panią Lonsdale”. Zawsze była przy mnie, kiedy dorastałam, pilnowała, żebym nie chodziła brudna, uczyła mnie dobrych manier i myślałam... No nie wiem. Chyba myślałam, że od zawsze pracuje w kolegium.

– Skądże. Powiem ci, jak ja się dowiedziałam. Jakies pół roku po powodzi stary mistrz Kolegium Jordana, doktor Carne, zaprosił nas do siebie. Nie mieliśmy z Regiem pojęcia, o co może chodzić, ale pewnego popołudnia wystroiliśmy się odświętnie i poszliśmy. Było lato. Mistrz przyjął nas w ogrodzie, poczęstował herbatą i o wszystkim opowiedział. Wyglądało na to, że Mal i Alice wszystko zaplanowali: zabrali cię do lorda Asriela, gdzie, jak przypuszczali, miałaś być bezpieczna. Nigdy w życiu nie słyszałam o równie bezmyślnym przedsięwzięciu i wyraźnie powiedziałam Malowi, co myślę o jego nierozwadze, ale tak naprawdę to byłam z niego dumna. Nadal jestem. Tylko za żadne skarby mu o tym nie mów. Ale mniejsza z tym. Lord Asriel powołał się na prawo... ochrony... azylu...

– Azylu akademickiego.

– Właśnie. Zażądał go dla ciebie i zapowiedział mistrzowi, że będzie musiał zrobić z ciebie academiczkę, żebyś mogła z niego skorzystać. Doktor Carne spojrział na Malą i Alice, przytopionych, zmordowanych, zakrwawionych i brudnych jak siedem nieszczęść i zapytał: „A ci dwoje?”. Na co lord Asriel odparł: „Hołub ich jak najcenniejszy skarb” i wyszedł. Doktor Carne wziął sobie jego słowa do serca. Posłał Malą do Radcliffe School, gdzie opłacił mu chesne, a potem przyjął go na studia do Jordana. Alice nie rwała się do nauki, ale ponieważ była z natury bystra i przenikliwa, mistrz ją zatrudnił i zaczął się tobą opiekować. Młodo wyszła za mąż za Roberta Lonsdale’a, cieślę. Śliczny chłopak, porządny, godny zaufania. Zginął w wypadku na budowie i Alice przed dwudziestką owdowiała. Nie wiem o wszystkim, co wydarzyło się podczas ich rejsu tym przeklętym kanoe, Malcolm nie opowiedział mi pewnie nawet połowy, zawsze powtarza, że nie chce mnie straszyć, ale jedno wiem: bardzo się z Alice zaprzyjaźnili. Stali się praktycznie nierozłączni, na ile było to możliwe, oczywiście, zważywszy że Mal poszedł do szkoły.

– To wcześniej nie byli przyjaciółmi?

– Raczej śmiertelnymi wrogami. Ona z niego drwiła, a on jej nie zauważał. Serdecznie się nie znosili. Alice potrafiła być wredna, jest od niego o cztery lata starsza, nie zapominaj, a w tym wieku to bardzo dużo. Drażniła się z nim, dokuczała

mu... Raz ją nawet musiałam pogonić, ale Mal nigdy się nie skarżył, chociaż zaciskał kurczowo usta, o tak, kiedy zanosił jej brudne naczynia do pozmywania. Tamtej zimy załapała się do pracy w klasztorze: pomagała przy tobie, żeby ulżyć trochę starej, biednej siostrze Fenelli. No, pięknie się uwinęłaś z tą wołowiną. Dokładkę?

– Nie, dziękuję. Tego mi właśnie było trzeba.

– A może zapiekaną śliwkę? Podlałam je leciutko likierem.

– Brzmi smakowicie. Poproszę.

Pani Polstead nałożyła śliwek i polala je śmietaną kremówką. Lyra zerknęła na Pantalaimona, ciekawa, czy zwrócił na to uwagę (zanim się między nimi ochłodziło, często drwił z jej żarłoczności), ale on siedział na podłodze pogrążony w rozmowie z dajmonem gospodyni, starym, posiwiałym borsukiem.

Pani Polstead usiadła.

– Malcolm wspominał o nowym mistrzu w Jordanie – powiedziała. – Podobno brzydko cię potraktował.

– Prawdę mówiąc, trudno mi to stwierdzić. Mam taki mętlik w głowie, wszystko dzieje się tak szybko... No bo jeżeli pieniądze na moje utrzymanie faktycznie się skończyły, jak on twierdzi, to nie bardzo mogę z tym polemizować, ponieważ nie wiem na ten temat nic więcej niż to, co sam mi powiedział. Czy... ehm... czy Malcolm mówił, że mistrz kazał mi się wyprowadzić?

Pierwszy raz Lyra nazwała doktora Polsteada „Malcolmem” i przez moment czuła się z tym niezręcznie.

– Tak. To naprawdę podłe. Kolegium jest bogate jak sam Ali Baba, nie potrzebują twoich pokoiów dla żadnego zakichanego studenta. Żeby cię tak po prostu wyrzucić z miejsca, w którym mieszkałaś przez całe życie...

– Tak czy inaczej, to on tam rządzi, a ja... no nie wiem, wszystko jest takie skomplikowane. Gubię się w tym. Pomyślałam, że jak mocniej stanę na nogi...

– Możesz tu zostać, jak długo zechcesz, Lyro. Miejsca mamy pod dostatkiem, a dodatkowa para rąk zawsze się przyda. Dziewczyna, która miała się u nas zatrudnić na okres świąteczny, poszła zamiast tego do Boswella. Życzę jej powodzenia.

– Pracowałam u nich dwie zimy temu. Nie miałam żadnych przerw.

– Dziewczyny myślą, że to takie cudowne, nic, tylko perfumy, balsamy i inne cuda wianki. A to po prostu zwykła ciężka praca.

Lyra zdała sobie sprawę, że pracując u Boswella, z pewnością sprzedawała produkty fabryki należącej do ojca Miriam – tyle że nie znała jeszcze wtedy Miriam, więc nie zwróciła na to uwagi. Nagle świat studenckich przyjaźni i całe spokojne, skromne życie w Świętej Zofii zdały jej się bardzo odległe.

– Pomogę przy zmywaniu – zaproponowała.

Chwilę później nurzała się już po łokcie w mydlinach – i czuła się jak w domu.

Tej nocy przyśnił jej się kot na zalanym księżycową poświatą trawniku. Z początku nie zwróciła na niego uwagi, dopóki w którymś momencie – był to wstrząs, który omal jej nie obudził, a z całą pewnością obudził Pantalaimona – nie rozpoznała w nim Kirjavy, dajmona Willa: kotka przeszła po trawie i otarła się

łebkiem o wyciągniętą do niej rękę. Will nie zdawał sobie sprawy, że ma dajmona, dopóki Kirjava nie została wydarta z jego serca na brzegu krainy umarłych, tak jak Pan został oddzielony od Lyry. Śniącej Lyrze wydało się że przypomina sobie fakty, które znała z przeszłości – albo może z przyszłości – i których znaczenie było równie obezwładniające jak radość, jaką odczuwali pospołu z Willem. Była w tym śnie także czerwona budowla z dziennika i Lyra wiedziała już, co jest środkiem! Rozumiała, dlaczego musi się do niej udać! Te informacje stanowiły nieodłączną część wszelkiej posiadanej przez nią wiedzy. W tym śnie/wspomnieniu miała wrażenie, że zaledwie poprzedniego dnia wałęsali się po świecie mulef. Był to czas otulony i przepojony miłością tak wielką, że złapała się na tym, że płacze we śnie, a gdy się obudziła, poduszkę miała mokrą od łez.

Pan patrzył na nią z bliska. Milczał.

Usiłowała sobie przypomnieć wszystkie senne obrazy, te jednak zanikały z każdą chwilą i ostatecznie została jej tylko ta intensywna, upajająca, wszystko przenikająca miłość.

Malcolm zadzwonił do drzwi Hannah. Dwie minuty później siedzieli już przed kominkiem i opowiadał jej o morderstwie, portfelu, plecaku i Lyrze w Pstrągu. Nie przerywała mu, dobrze relacjonował fakty, układał je w najlepszej kolejności z punktu widzenia całej historii, każdemu nadawał należytą wagę.

– Co masz w tej torbie? – zapytała, gdy skończył.

– A właśnie. – Postawił sobie torbę między nogami. – Przede wszystkim: te papiery. Nie miałem czasu ich przejrzeć, ale jeszcze dziś wieczorem porobię fotogramy. Do tego dwie książki: anatolijski podręcznik botaniki i to coś.

Hannah wzięła od niego drugą książkę. Została kiepsko oprawiona, a potem nieporadnie podreperowana, papier był szorstki i kruchy, skład – wybitnie amatorski. Nosila ślady intensywnego czytania: okrywające ją deseczki wyświeciły się od dotyku dłoni, wiele stron miało osłe uszy, na wielu poczyniono też dopiski ołówkiem, w tym samym języku.

– Wygląda jak tomik poezji – orzekła Hannah – ale nie znam tego języka.

– To tadżycki – odparł Malcolm – i rzeczywiście jest to wiersz, epicki poemat *Dżahan i Ruchsana*. Nie potrafię go przeczytać, ale tyle zrozumiałem.

– A ten drugi plik papierów? – Hannah wskazała dziennik doktora Straussa, relację z jego podróży w głąb pustyni Karamakan.

– Wydaje mi się, że to jest klucz do całości. Po drodze do ciebie zaszedłem na chwilę do pubu Lamb and Flag i przeczytałem to. Radzę ci zrobić to samo, to nie potrwa długo.

Wyraźnie zaintrygowana Hannah wzięła od niego plik kartek.

– Mówisz, że nieszczęśnik był botanikiem?

– Jutro pójde do Ogrodu Botanicznego, zobaczę, co mi powiedzą. W plecaku były jeszcze takie małe flakoniki... o, zobacz, tu są... i pudełka z czymś, co wygląda jak nasiona.

Hannah podniosła jedno z pudełeczek do światła, obwąchała je i odczytała

etykietkę.

– *Ol. R. tajikiae... Ol. R. chashmiae...* Ciężko się to czyta. *Ol.* to pewnie olejek, *oleum* po łacinie... *A R.* to *Rosa*.

– Też tak przypuszczam.

– A to według ciebie są nasiona? – Potrząsnęła jednym z pudełeczek. Zagrzechotało.

– Tak myślę. Nie miałem czasu ich otworzyć.

– Zajrzyjmy do środka.

Pudełeczko było szczelnie zamknięte i otworenie go wymagało mnóstwa cierpliwości, ale w końcu Hannah ostrożnie wysypała na dłoń jego zawartość: kilkadziesiąt drobnych, szaroburzych, nieregularnych nasionek.

– *R. lopnoriae* – odczytał Malcolm etykietę na pudełku. – Ciekawe... Wyglądają znajomo?

– Powiedziałabym, że jak nasiona róży, chociaż na ten trop mogły mnie naprowadzić inne skojarzenia. Tylko że one naprawdę wyglądają jak nasiona róży. Co w tym ciekawego?

– Nazwa tej odmiany. Fakt, że botanik nosił przy sobie jakieś nasiona, nie jest szczególnie niezwykły, ale coś mnie dręczy... Uważam, że to robota dla Oakley Street.

– Zgadzam się. W sobotę będę się widziała z Glenys na nabożeństwie żałobnym Toma Nugenta. Porozmawiam z nią.

– Dobrze. Sprawa jest wystarczająco poważna, żeby skutkować morderstwem i kradzieżą. Co wiesz na temat Łob-nor, Hannah?

– To jezioro, prawda? Czy pustynia? Gdzieś w Chinach. Nigdy tam nie byłam, ale parę miesięcy temu słyszałam, jak ktoś wspomniał tę nazwę w kontekście... Co to mogło być?

– Jest tam instytut naukowy, głównie meteorologiczny, ale pracują w nim też specjaliści z innych dyscyplin. W niewyjaśnionych okolicznościach stracili kilkunastu ludzi, którzy po prostu zniknęli bez śladu. Chodzą słuchy, że ma to coś wspólnego z Prochem.

– Już sobie przypomniałam: Charlie Capes mi o tym mówił.

Charles Capes był kapłanem Kościoła anglikańskiego oraz sekretnym sprzymierzeńcem Oakley Street. Znalazł się w niebezpiecznym położeniu. Za apostazję groziły surowe kary, a od wyroków sądów kościelnych nie było apelacji. Oskarżonemu pozostawała tylko jedna linia obrony: przemożny diabelski wpływ. Przekazując informację Oakley Street, Capes ryzykował karierę, wolność, a niewykluczone, że i życie.

– Czyli Magisterium interesuje się Łob-nor – podsumował Malcolm. – Różami zapewne też.

– Chcesz to wszystko zanieść do Ogrodu Botanicznego?

– Tak, tylko wcześniej pofotogramuję wszystkie dokumenty. Hannah...

– Tak?

– Będziemy musieli powiedzieć Lyrze o Oakley Street. Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, powinna wiedzieć, że ma gdzie szukać pomocy i ochrony. Oakley Street może jej zapewnić jedno i drugie.

– Niewiele brakowało, a byłabym jej powiedziała już dzisiaj. Oczywiście nie

zrobiłam tego, ale uważam, że masz rację. Powinniśmy tak zrobić. Wiesz co... Cała ta historia przypomina mi tamten plecak sprzed lat, który mi przyniosłeś. Ten należący do Gerarda Bonneville'a. Ileż tam było bezcennych materiałów! W życiu nie widziałam drugiej takiej skarbicy. No i jeszcze alethiometr.

– A właśnie, skoro o alethiometrach mowa... Nie podoba mi się, że tamci zdołali tak szybko namierzyć Lyrę i plecak. To chyba nieczęsto się udaje, prawda?

Hannah zrobiła zatroskaną minę.

– Poniekąd potwierdza to nasze wcześniejsze domysły – powiedziała. – Od miesięcy mówi się o nowym sposobie odczytywania wskazań alethiometru. Nadzwyczaj nieszablonowym, po części wręcz eksperymentalnym. Wymaga zupełnego odrzucenia stosowanej w metodzie klasycznej filozofii jednego wyróżnionego punktu widzenia. Nie potrafię dokładnie tego objaśnić, bo kiedy raz tego spróbowałam, ogarnęły mnie potworne mdłości, ale wygląda na to, że jeśli opanuje się tę metodę, odpowiedzi uzyskuje się znacznie szybciej i prawie bez pomocy ksiąg.

– Dużo ludzi ją stosuje?

– W Oksfordzie nikt, o ile mi wiadomo. Jest tu traktowana dość nieufnie. Większości odkryć w tej dziedzinie dokonano w Genewie. Mają tam młodego człowieka, ponoć niezwykle utalentowanego. Nigdy byś się nie domyślił, jak się...

– A Lyra? Opanowała tę nową metodę?

– Wydaje mi się, że też próbowała raz, może dwa, ale bez powodzenia.

– Przepraszam, przerwałem ci. Czegóż to miałbym się nigdy nie domyślić?

– Jak się nazywa ten młodzieniec z Genewy. Olivier Bonneville.

Przeczytawszy dziennik doktora Straussa, Hannah zgodziła się z sugestią Malcolma, by jak najszybciej dostarczyć go do rąk ludzi z Oakley Street. Malcolm zarwał więc noc i sporządził fotogramy wszystkich dokumentów z plecaka Hassalla, a także kart tytułowych obu książek. Schował rolki filmu do lodówki i przed piątą rano położył się do łóżka.

– Czy ona nadal ma pistolet? – zapytała Asta, zanim jeszcze zasnęli.

Tak jak każdy agent wyższej rangi, Hannah musiała przejść kurs walki wręcz i raz do roku zdać egzamin ze strzelania z broni krótkiej. Mogła wyglądać na siwowłosą akademickę – i faktycznie nią była, ale była również uzbrojona i umiała z tej broni zrobić użytek.

– Trzyma go w sejfie – odparł Malcolm – i na pewno wolałaby go stamtąd nie wyjmować.

– Powinna go mieć bardziej pod ręką.

– To ją przekonaj. Mnie się nie udało.

– Co zrobimy w sprawie Oliviera Bonneville’a?

– W tej chwili możemy sobie co najwyżej o nim podumać. Czyżby syn? Bonneville mógł mieć syna. Kolejna rzecz, którą warto by sprawdzić. Zobaczymy, co Oakley Street ma do powiedzenia na ten temat.

Po śniadaniu zaniósł filmy zaufanemu technikowi do wywołania i poszedł High Street do Ogrodu Botanicznego. Szary, posępny dzień niósł w powietrzu posmak deszczu. Rozświetlone okna budynku biurowego lśniły jasno na tle rosnącego za nim potężnego cisu.

Sekretarka najpierw poinformowała go, że pani dyrektor jest zajęta i będzie musiał umówić się na spotkanie. Kiedy jednak powiedział, że jego wizyta ma związek z doktorem Roderickiem Hassallem, zupełnie zmieniła nastawienie.

– Wie pan, gdzie on jest? – zapytała, wyraźnie poruszona. Jej dajmon, mały boston terier, zjeżył grzbiet i skamlał cichutko.

– O tym właśnie chcę porozmawiać z panią dyrektor.

– Naturalnie. Przepraszam na chwilę.

Sekretarka wstała od biurka i weszła do gabinetu; dajmon plątał jej się pod nogami. Po chwili wyszła i powiedziała:

– Profesor Arnold przyjmie pana.

– Dziękuję – odparł Malcolm i wszedł. Sekretarka zamknęła za nim drzwi.

Dyrektorką okazała się kobieta w wieku około czterdziestu lat, szczupła, jasnowłosa i surowa. Stała obok biurka. Jej dajmon, koliber, zawisł na chwilę w powietrzu, zanim usadowił się jej na ramieniu.

– Co pan wie o Rodericku Hassallu? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Miałem nadzieję, że pani coś mi o nim powie – odparł Malcolm. – Moja wiedza na jego temat ogranicza się do tego, co jest tutaj. – Położył torbę z papierami na schludnym blacie biurka. – Znalazłem ją na przystanku autobusowym, tak jakby ktoś ją tam zostawił i zapomniał. Nikogo nie było w pobliżu, ale odczekałem chwilę, żeby zobaczyć, czy ktoś się o nią nie upomni. Kiedy nikt się nie pojawił, postanowiłem sprawdzić, do kogo należy. W środku jest portfel.

Profesor Arnold wyjęła portfel z torby i pobieżnie przejrzała jego zawartość.

– Zorientowałem się, że to państwa pracownik – ciągnął Malcolm – więc pomyślałem, że przyniosę to tutaj.

– Na przystanku, powiedział pan... Gdzie dokładnie?

– Przy Abingdon Road, w kierunku do centrum.

– Kiedy?

– Wczoraj rano.

Dyrektorka odłożyła portfel i wyjęła jedną z teczek z dokumentami. Przekartkowała papiery, wyjęła pozostałe dwie teczki i również je przejrzała. Malcolm czekał, co powie. W końcu podniosła wzrok i zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

– Przepraszam, sekretarka nie przekazała mi pańskiego nazwiska...

– W ogóle o nie nie spytała. Nazywam się Malcolm Polstead, jestem akademikiem z Kolegium Durham. Kiedy wymieniłem nazwisko doktora Hassalla, sekretarka była wyraźnie wstrząśnięta. Powiem szczerze, że pani w tej chwili wygląda podobnie. Rozumiem, że te dokumenty są prawdziwe, tak? Te karty biblioteczne, identyfikatory uczelniane... Doktor Hassall naprawdę istnieje i pracuje u was?

– Przepraszam, doktorze... doktorze, tak?

Malcolm skinął głową.

– Doktorze Polstead, proszę usiąść. Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewałam.

Usiadł na krześle przed biurkiem. Profesor Arnold również usiadła i sięgnęła po telefon.

– Muszę się napić kawy – wyjaśniła. Spojrzała na Malcolma i pytająco uniosła brwi. – Bądź tak miła, Joan, i przynieś nam dwie kawy – powiedziała do słuchawki, kiedy skinął głową.

Jeszcze raz wzięła do ręki portfel i tym razem wyjęła z niego wszystkie karty, wizytówki, karteluszki i pieniądze i rozłożyła je schludnie na bibułowej podkładce.

– Dlaczego nie... – Zawiesiła głos, zawahała się, zaczęła jeszcze raz: – Nie przyszło panu do głowy, żeby iść z tym na policję?

– Od razu zajrzałem do portfela w poszukiwaniu nazwiska właściciela. Kiedy znalazłem identyfikator z uniwersytetu, pomyślałem, że wszystkim oszczędzę czasu i zachodu, jeśli przyniosę torbę od razu tutaj. Poza tym nie będę ukrywał, że powodowała mną ciekawość. Grzebiąc w portfelu, natrafiłem na nazwę miejsca,

w którym sam spędziłem kiedyś trochę czasu. Zacząłem się zastanawiać, czym zajmuje się doktor Hassall.

– Co to za miejsce?

– Łob-nor.

Profesor Arnold była już nie tyle zaciekawiona, co raczej zaniepokojona. I podejrzliwa.

– Co pan tam robił? – zapytała. – Przepraszam, to zabrzmiało jak oskarżenie...

– Szukałem grobowca. Jestem historykiem i od dawna interesuję się dziejami Jedwabnego Szlaku. Grobowca wprawdzie nie znalazłem, ale dzięki innym odkryciom, których dokonałem, podróż nie była wcale stratą czasu. Mogę zapytać, co doktor Hassall robił w Azji Środkowej?

– Jest botanikiem, rzecz jasna, więc... Mamy tam swój ośrodek badawczy, współfinansowany przez uniwersytety w Edynburgu i Lejdzie. Doktor Hassall w nim pracował.

– Ale dlaczego właśnie tam? Nie przypominam sobie, żeby akurat w okolicach Łob-nor roślinność była szczególnie bujna: ot, jakieś topole, trochę trawy, trochę tamaryszków, jeśli się nie mylę...

– Przede wszystkim chodzi o warunki klimatyczne... Dziękuję, Joan, postaw ją tam. Warunki bardzo specyficzne, trudne do odtworzenia w krainach leżących dalej na północ i zachód, a zwłaszcza tutaj, na skraju wielkiego oceanu. Druga sprawa to gleba, zawierająca pewne nietypowe minerały. Do tego dochodzi lokalna wiedza botaniczna: uprawia się tam kwiaty, które... nie udałyby się nigdzie indziej na świecie.

– A co z doktorem Hassallem? Wrócił już do Oksfordu? Zastanawiam się, chociaż oczywiście nie chciałbym być nazbyt wścibski, co tak panią zaniepokoiło.

– Właśnie o niego się niepokoję. Doktor Hassall zaginął. Przypuszczaliśmy, że nie żyje.

– Naprawdę? Od kiedy?

– Od paru tygodni. Wtedy zniknął ze Stacji.

– Z jakiej stacji?

– Tak nazywamy nasz instytut badawczy w Taszbułaku.

– Nad Łob-nor, tak? A doktor Hassall tak po prostu zniknął?

Profesor Arnold, która robiła się coraz bardziej nerwowa, zabębniła palcami w biurko. Malcolm zauważył, że ma krótkie paznokcie, nieco przybrudzone ziemią, jakby tuż przed spotkaniem z nim pracowała w ogrodzie.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze Polstead, jeżeli ma pan wrażenie, że unikam konkretów i odpowiadam wymijająco na pańskie pytania. Problem polega na tym, że łączność ze Stacją jest powolna i zawodna. Wygląda na to, że myliliśmy się co do losu doktora Hassalla. Cieszę się, że przyniósł nam pan te wszystkie... rzeczy, bardzo się cieszę, ponieważ to może oznaczać, że doktor mimo wszystko żyje. Spodziewałabym się jednak, że... o ile to właśnie on przywiózł je do Oksfordu, ma się rozumieć... że przyjdzie do nas osobiście, to byłoby naturalne... Po prostu nie bardzo sobie wyobrażam, dlaczego ktoś miałby zostawić coś takiego na przystanku. Bo jestem przekonana, że sam doktor Hassall nigdy by tego nie zrobił. Ktoś inny musiał... Nie, nie pojmuję tego. Oby tylko nie został... Bardzo panu dziękuję, doktorze Polstead, za... za przyniesienie tej torby...

– Co zamierza pani zrobić?

– Z czym, z tymi rzeczami?

Dyrektorka wyraźnie czegoś się bała – a dodatkowo bała się z tym zdradzić przed nim, obcym człowiekiem. Jej dajmon się nie poruszył, nie zamknął nawet oczu, tylko wpatrywał się w Malcolma z uroczystą powagą. Malcolm nie odwrócił wzroku, starał się wyglądać zwyczajnie, nieszkodliwie, jak człowiek skory do pomocy.

– Chodzi o róże, prawda? – zapytał.

Dyrektorka zamrugła gwałtownie. Jej dajmon odwrócił łebek i schował dziób w jej włosach.

– Skąd ten pomysł?

– Dwa powody. Pierwszy to okazy i próbki znajdujące się w torbie: nasiona kwiatów i olejek różany. Drugi to ta sfatygowana książka w czerwonej oprawie, tadżycki epos zatytułowany *Dżahan i Ruchsana*. Opowiada o dwojgu kochankach szukających ogrodu różanego. Czy badania doktora Hassalla miały coś wspólnego z różami?

– Tak, ale na tym moja wiedza się kończy. Musi pan zrozumieć, nadzoruję dziesiątki projektów: prace magisterskie, studia doktoranckie, badania prowadzone zarówno tutaj, jak i w Taszbulaku... do tego dochodzi moja własna praca naukowa...

Była jednym z najgorszych kłamców, jakich Malcolm miał okazję spotkać. Zrobiło mu się jej żal. Wstrząśnięta jego słowami musiała na gwałt zaimprovizować jakąś strategię obronną.

– Nie będę pani dłużej zajmował czasu. Dziękuję za wszystkie wyjaśnienia. A gdyby z jakiegoś powodu chciała się pani ze mną skontaktować...

Położył na biurku swoją wizytówkę.

– Dziękuję, doktorze Polstead.

Uścisnęli sobie ręce.

– Proszę się odezwać, gdyby się pani czegoś dowiedziała. Czuję się teraz osobiście zainteresowany losem doktora Hassalla.

Wyszedł i przysiadł na chwilę w ogrodzie. Słabiutkie słońce złociło nagie gałęzie krzewów. Nieco dalej, przy szklarniach, dwóch młodych ludzi wykonywało jakieś ogrodnicze zabiegi.

– Trzeba jej było powiedzieć – odezwała się Asta.

– Wiem, ale wtedy wciągnęlibyśmy w to Lyrę. Na dodatek wmieszałyby się policja, a to jeden z policjantów go zabił.

– Daj spokój, Mal, przecież ten, którego Pan widział, nie działał oficjalnie. Jest skorumpowany. Policja powinna się dowiedzieć i o nim, i w ogóle o całej sprawie.

– Masz absolutną słuszość, a mnie dręczą z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Ale?

– Niedługo jej powiemy. Powiemy im obojgu.

– Kiedy?

– Gdy tylko będziemy więcej wiedzieli.

– A jak zamierzamy się do tego zabrać?

– Jeszcze nie wiem.

Asta zamknęła oczy. Malcolm żałował, że Lyra musiała samotnie podjąć ryzyko zabrania plecaka z dworca – ale kto miałby jej pomóc? On na pewno nie. Nie wtedy. Kiedy jesteś świadkiem morderstwa i postanawiasz zataić ten fakt przed policją,

zostajesz z tym sam.

Obok niego na drewnianym siedzisku ławki leżała Asta znieruchomiała w pozie sfinksa, z półprzymkniętymi powiekami, a jego myśli znów zbłądziły ku Lyrze. Zastanawiał się, jak jej się żyje w Pstragu, na ile będzie tam bezpieczna... Tuzin innych pytań tłoczył się wokół tego jednego, najważniejszego, któremu na razie wolał się bliżej nie przyglądać. Czy naprawdę przeszła dogłębną przemianę od tamtej wzdorliwej, nadąsanej pannicy sprzed paru lat, którą próbował uczyć? Gdzie się podziała jej dawna zuchwałość? Skąd tyle w niej wahania i powściągliwości? Sprawiała wrażenie samotnej i nieszczęśliwej, mówiąc ogólnie. Do tego ta osobliwa oziębłość w stosunkach z własnym dajmonem... Kiedy jednak przysiedli w knajpce, rozmawiali szczerze, prawie jak spiskowcy. Prawie jak przyjaciele. A jak się cieszyła z faktu, że udało jej się ukryć przedmioty z plecaka! Była wtedy taka radosna, taka cudownie beztraska.

Najważniejsze pytanie nie zamierzało zniknąć. Co rusz bezradnie do niego powracał.

Zdawał sobie sprawę ze swojej nieporadności, tak jak zdawał sobie sprawę z dzielących ich różnic: jego dojrzałość i jej młodość, jego zwalistość i jej szczupłość, jego powściągliwość i jej żywa natura... Mógł na nią patrzeć godzinami, na jej oczy – duże, długorzęse, intensywnie niebieskie i jak u nikogo innego pełne ekspresji. Była jeszcze bardzo młoda, ale on już widział, gdzie w przyszłości zarysują się zmarszczki od śmiechu, gdzie pojawią się bruzdy współczucia i skupienia i jak wszystkie razem wzbogacą i dodatkowo ożywią jej twarz. Już teraz z boku ust pojawiały się ledwie widoczne zmarszczki wywołane uśmiechem, który zdawał się czyhać tuż pod powierzchnią, gotowy w każdej chwili rozkwitnąć. Jej włosy, słomkowe, ale ciemniejsze, krótkawe i trochę nieuporządkowane, ale zawsze miękkie i lśniące. Raz czy drugi, jeszcze kiedy był jej nauczycielem i zaglądał jej przez ramię, kiedy pisała jakąś pracę, zdarzało mu się pochwycić emanujący z jej włosów subtelny zapach – nie szamponu, ale młodej, ciepłej dziewczyny. Natychmiast się wtedy odsuwał. Dopóki byli nauczycielem i uczennicą, jego umysł ucinął wszelkie niepożądane relacje, zanim zdążyły się skryształizować.

Ale czy cztery lata później takie myśli nadal były tak samo niewłaściwe? Czy naprawdę nie powinien myśleć o Lyrze, wyobrazić sobie, jak ujmuje w dłoń jej ciepłe policzki i przybliży twarz do jej twarzy?

Bywał już zakochany i wiedział, co się z nim dzieje, ale dziewczęta i kobiety, w których podkochiwał się w przeszłości, zawsze były mniej więcej jego rówieśnicami, a w jednym – wyjątkowym – przypadku, gdy różnica rzeczywiście istniała, to ona była starsza od niego. Dlatego dotychczasowe doświadczenia w niczym mu teraz nie pomagały, a Lyra znalazła się w tak trudnej i niebezpiecznej sytuacji, że zawracanie jej głowy tym, co on czuje, byłoby w tej chwili niewybaczalne. Ale tak wyglądały fakty: on, Malcolm Polstead, lat trzydzieści jeden, był w niej zakochany.

I nie mieściło mu się w głowie, że mogłaby odwzajemnić jego miłość.

Cisza ogromnego ogrodu, dźwięki odległej rozmowy dwóch młodych botaników, regularne chrobotanie ich motyk, mruczenie dajmona – wszystko to w połączeniu z niedostatkiem snu i zawirowaniami sercowymi kusiło, żeby zamknąć oczy w nadziei, że przyśni mu się Lyra.

Wstał.

– Chodź, idziemy – zwrócił się do Asty. – Roboty czeka.

O jedenastej wieczorem państwo Polsteadowie leżeli już w łóżku i rozmawiali przyciszonymi głosami. Lyra, która dwa dni wcześniej przybyła do Pstrąga, była u siebie. Pomoc kuchenna, pomywacz i drugi barman poszli do domu. Gości w gospodzie nie było.

– Nie potrafię jej rozgryźć – przyznał Reg Polstead.

– Lyry? Co masz na myśli?

– Na co dzień jest wesolutka jak szczygiełek, przyjazna, do pogadania, ale chwilami milknie, zamyka się w sobie i wtedy cała jej twarz się zmienia. Jakby nagle doszły ją jakieś złe wieści.

– Nie – odparła pani Polstead. – To nie tak. Na mnie nie robi wrażenia poruszona, tylko raczej samotnej. Wygląda, jakby nawykła do tej samotności i niczego innego się nie spodziewa, ale moim zdaniem to jest właśnie to. Melancholia.

– Prawie się nie odzywa do swojego dajmona. Jakby byli dwiema odrębnymi osobami.

– Była takim wesołym niemowlęciem... Stale się śmiała, podśpiewywała, bawiła. To znaczy, tak było wcześniej, rozumiesz.

– Przed podróżą z Malcolmem. Wiem, wiem. On też się wtedy zmienił. I Alice również.

– Chociaż można by się spodziewać, że to właśnie ci dwoje bardziej odczuwają skutki tych wydarzeń. Byli starsi. A Lyra była jeszcze malutka, takie małe dzieci nie pamiętają, co się działo. No, ale trzeba też przyznać, że bardzo źle ją potraktowali w kolegium: przecież to jest jej dom, można by pomyśleć, że będą umieli lepiej się zachować. Nic dziwnego, że jest przygaszona.

– Zastanawiam się, czy ma jakichś krewnych. Malcolm mówi, że jej rodzice od dawna nie żyją.

– Jeżeli nawet ma jakichś wujów, ciotki albo kuzynostwo, to nie liczyłabym na nich zbytnio.

– Dlaczego?

– Powinni się byli do niej odezwać dawno temu. To wbrew naturze, żeby taką młodą dziewczynę zamykać wśród starych akademików.

– Może ma krewnych, którzy się nią nie interesują? W takiej sytuacji lepiej, żeby się nie odzywali.

– Być może. Ale jedno ci powiem: dziewczyna jest robotna. Nie miga się od pracy. Będę musiała znaleźć jej jakieś konkretne zajęcie. Na razie wypełnia obowiązki Pauline szybciej i lepiej od niej i w końcu Pauline poczuje się niechciana, jeśli nie wymyślę Lyrze jakiejś roboty.

– Przecież w ogóle nie musi pracować. Jeśli chodzi o mnie, to mogłaby u nas mieszkać jako mile widziany gość.

– Też jestem tego zdania, kochanie, ale tu chodzi o nią. Ma swoje obowiązki uniwersyteckie, ale chce się czuć potrzebna. Dlatego staram się wymyślić coś ekstra,

coś, co nigdy nie zostałyby załatwione, gdyby się za to nie wzięła.

– Pewnie masz rację... Też o tym pomyślę. Dobranoc, skarbie.

I pan Polstead obrócił się na drugi bok. Jego żona jeszcze przez pięć minut próbowała czytać kryminał, aż oczy zaczęły jej się kleić. Zgasiła światło.

Hannah Relf nie miała pojęcia o tym, że Lyra eksperymentuje z nową metodą odczytywania wskazań alethiometru. Wiedza na jej temat nie była powszechnie dostępna, ponieważ o alethiometrach w ogóle rzadko dyskutowano publicznie, jednakże w wąskim gronie specjalistów toczyły się ożywione spory i dyskusje.

Alethiometr, który miała Lyra, był tym samym, który Malcolm znalazł w plecaku Gerarda Bonneville'a, a następnie wcisnął w jej becik, zanim lord Asriel oddał ją mistrzowi Kolegium Jordana. Mistrz dał go jej, gdy skończyła jedenaście lat, a ona zabrała go na swoją wielką wyprawę do Arktyki i innych, jeszcze dalszych krain. Szybko nauczyła się odczytywać go zupełnie intuicyjnie, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Wkrótce jednak straciła tę umiejętność i przestała dostrzegać – niegdyś dla niej oczywiste – asocjacje, skojarzenia i konotacje skrywające się pod symbolami na tarczy przyrządu.

Utrata tej mocy była dla Lyry bolesnym przeżyciem. Niejaką (choć raczej wątlą) pociechę stanowiła świadomość, że poprzez mozolną naukę i pracę będzie mogła częściowo odzyskać dawną biegłość, zawsze jednak miała potrzebować ksiąg, w których pokolenia naukowców zapisywały swoje odkrycia i spostrzeżenia odnoszące się do symboli i łączących je związków. Cóż to był za kontrast! Tak jakby zamieniła umiejętność jaskółczego lotu na kulę inwalidzką, na której mogła się wesprzeć przy chodzeniu.

To tylko potęgowało jej melancholię – bo pani Polstead miała rację: Lyra żyła ostatnio w stanie ustawicznego przygnębienia, a odkąd rozdźwięk między nią i Pantalaimonem się nasilił, nie miała z kim o tym porozmawiać. To dopiero absurd: byli jedną osobą, a zarazem nie tylko nie potrafili się porozumieć, ale nawet w milczeniu znosić swojego towarzystwa. Lyra coraz częściej łapała się na tym, że rozmawia z duchem, ze swoim wyobrażeniem Willa w tamtym innym, nieosiągalnym świecie.

W tej sytuacji nowa metoda odczytywania wskazań alethiometru przyniosła miłą odmianę. Wiedza o niej rozchodziła się jak plotka, nikt nie wiedział którędy ani za czym pośrednictwem, ale słyszało się o błyskawicznych postępach w rozumieniu całego procesu, o rewolucji w teorii alethiometrii i o spektakularnych odczytach, przy których księgi stawały się zupełnie niepotrzebne. Lyra zaczęła więc eksperymentować na własną rękę.

Drugiej nocy w Pstrągu usiadła na łóżku, przyciągnęła kolana do piersi i opatulila się kocami dla ochrony przed zimnem. W stulonych dłoniach trzymała alethiometr. Nisko zawieszony, skośny sufit, tapeta w drobne kwiatki, stary, wytarty dywanik przed łóżkiem... Wszystko to stało się już przyjemnie znajome. W łagodnym żółtym świetle lampy naftowej pokój wydawał się cieplejszy, niżby to pokazał termometr. Pan siedział pod lampą. Dawniej tuliłby się do jej piersi.

– Co robisz? – zapytał z nutą wrogości w głosie.
– Próbuję tej nowej metody.
– Ale po co? Ostatnio zrobiło ci się od tego niedobrze.
– Uczę się. Sprawdzam różne rzeczy.
– Nie podoba mi się ta nowa metoda, Lyro.
– Dlaczego?
– Kiedy jej próbujesz, wydajesz się zagubiona. Nie wiem, gdzie jesteś, i mam wrażenie, że ty też tego nie wiesz. Brakuje ci wyobraźni...
– Że co?!
– Byłoby lepiej, gdybyś miała bujniejszą wyobraźnię, bo...
– Sugerujesz, że jestem pozbawiona wyobraźni?
– Sugeruję, że usiłujesz żyć bez niej. To też wina tych książek: jedna twierdzi, że wyobraźnia nie istnieje, druga, że to bez znaczenia.
– Nie, nie, nie...
– Jeżeli nie interesuje cię moja opinia, to po co o nią pytasz?
– Wcale nie... – Lyrze zabrakło słów. Była zatroskana i zasmucona. Pan patrzył na nią obojętnie. – Co mam zrobić?
Nie dopowiedziała „z nami”, mimo że o to właśnie jej chodziło.
– Musisz odwołać się do wyobraźni. Tylko że w twoim wypadku nie jest to łatwe, prawda?

– Ja nie... naprawdę nie mam... Pan, nie rozumiem, o co ci chodzi. Jakbyśmy mówili różnymi językami. To nie ma żadnego związku z...

– A co właściwie chciałaś sprawdzić na alethiometrze?

– Sama już nie wiem, zamąciłaś mi w głowie. Wiem, że dzieje się coś złego. Chyba miałam nadzieję odkryć, co to takiego.

Pantalaimon uciekł wzrokiem, powoli machnął ogonem z boku na bok, a potem odwrócił się, wskoczył na stary fotel z perkalowym obiciem, zwinął się w kłębek i poszedł spać.

Brak wyobraźni? Życie bez wyobraźni? Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad tym, czym właściwie jest wyobraźnia – gdyby to zrobiła, może doszłaby do wniosku, że ten aspekt jej jaźni koncentruje się w Pantalaimonie, ponieważ ona sama była rzeczowa, pragmatyczna, przyziemna... Ale skąd o tym wiedziała? Stąd, że inni ludzie ją za taką uważali, a przynajmniej traktowali ją w taki sposób, jakby właśnie tak ją postrzegali. Miała znajomych, których uważała za obdarzonych wyobraźnią: byli dowcipni, umieli marzyć, czasem mówili różne zaskakujące rzeczy. Czy ona też taka była? Najwyraźniej nie. Nie miała pojęcia, że zarzut nieposiadania wyobraźni może aż tak boleć.

Pantalaimon twierdził, że to wina jej lektur – i miał trochę racji: w *Hiperchorezmijczykach* z pogardą traktowano bohaterów o artystycznej duszy, piszących wiersze albo wypowiadających się na tematy „duchowe”. Czy Gottfried Brande uważał, że wyobraźnia jest bezwartościowa? Lyra nie pamiętała, czy pisał coś wprost na ten temat; musiałaby przejrzeć książkę, żeby to sprawdzić. Co się zaś tyczy Simona Talbota – w *Nieustającym oszustwie* jego wyobraźnia przez cały czas wysuwała się na pierwszy plan, w uroczy, choć nieco bezduszny sposób bawiąc się prawdą. Efekt był oszałamiający i olśniewający, jakby nie istniały żadne obowiązki, konsekwencje ani fakty.

Westchnęła ciężko. Przytrzymała alethiometr lekko obiema rękami, czuła jego znajomy ciężar, błędziła kciukami po żłobkowanych pokrętlach i popatrywała, jak światło lampy odbija się w jego tarczy.

– Ja się naprawdę starałam, Pan – powiedziała półgłosem. – Ty zresztą też, przez pewien czas, dopiero później zabrakło ci zaangażowania. Co zrobimy? To nie może tak trwać. Dlaczego tak mnie nienawidzisz? Dlaczego ja nienawidzę ciebie? Dlaczego nie możemy się nawzajem znieść?

Nie była już śpiąca, lecz rozbudzona i nieszcześliwa.

– Teraz to i tak już bez znaczenia – dodała szeptem.

Usiadła prosto i mocniej chwyciła alethiometr. Istniały dwie zasadnicze różnice pomiędzy nową metodą odczytu a starą, klasyczną. Pierwsza dotyczyła układu wskazówek na tarczy. W podejściu klasycznym użytkownik powinien sformułować pytanie poprzez ustawienie trzech wskazówek na trzech różnych symbolach i w ten sposób precyzyjnie określić przedmiot swojego zainteresowania. Nowe zalecenia były jednak inne: wszystkie trzy wskazówki należało nakierować na jeden wybrany symbol. Klasycznie kształceni użytkownicy alethiometrów uważali tę metodę za odrażająco sprzeczną z konwencją i tradycją, a na dodatek także niestabilną: zamiast rzetelnej, metodycznej analizy opartej na wytyczonych przez wskazówki trzech punktach podparcia, skacząca dziko z miejsca na miejsce igła odsłaniała nieprzewidywalny chaos znaczeń.

Druga różnica była związana z odmiennym postrzeganiem roli użytkownika. W metodzie klasycznej zalecano jednoczesne odprężenie umysłu i zachowanie czujności. Wytrenowanie obu tych cech łącznie wymagało sporej praktyki, zwłaszcza że użytkownik musiał część uwagi poświęcić na wertowanie ksiąg objaśniających wielorakość znaczeń symboli. W nowej metodzie księgi stawały się zbędne. Użytkownik miał zupełnie zatracić się w procesie odczytu i wprowadzić w stan pasywnego widzenia, w którym nic nie było ustalone i wszystko było równie prawdopodobne. Z tego właśnie powodu zarówno Hannah, jak i Lyra zarzuciły próby nowej metody krótko po ich podjęciu: obie miały po nich potworne mdłości.

Siedząc teraz w łóżku i rozmyślając o tym, Lyra była pełna obaw.

– Czy sprawy mogą pójść bardzo źle? – wyszeptwała. – Mogłabym się zagubić i nigdy już nie wrócić...

Owszem, ryzyko istniało. Wobec braku ustalonego punktu widzenia i solidnego oparcia doświadczenie mogło przypominać tonięcie we wzburzonym morzu.

Wzdrygała się przed tym, ale ostatecznie desperacja zwyciężyła. Nastawiła wszystkie trzy wskazówki na symbol konia – nie wiedząc, dlaczego to robi. Ścisnęła alethiometr w dłoniach, zamknęła oczy i rzuciła się umysłem w przepaść jak nurek skaczący z urwiska.

– Nie szukam oparcia... – mamrotała. – Płynę z prądem... zespalam się z nim... niech przepływa przeze mnie na wskroś w jedną stronę, w drugą... nie ma nic stałego... wszystko płynie...

Rysunki na tarczy alethiometru wybiegły jej na spotkanie, przemknęły obok, zaczęły się oddalać. W jednej chwili zawisła głową w dół, w następnej szybowwała pod niebem, a jeszcze chwilę później spadała w przerażającą otchłań. Obrazy, które znała doskonale przez pół życia, łypały na nią złowrogim, obcym wzrokiem albo kryły się we mgle. Unosiła się, dryfowała i koziółkowała, nie mając się czego chwycić. To

przepadała w mroku, to wypływała w olśniewający blask. Była na bezkresnej równinie rozpostartej pod olbrzymim księżycem i najeżonej skamieniałymi symbolami. Była w lesie rozbrzmiewającym krzykami zwierząt, wrzaskiem ludzi i szeptem przerażonych duchów. Bluszcz wspiął się na niebo, oplótł słońce i ściągnął je w dół, na łąkę, na której rozjuszony czarny byk tupał i prychał gniewnie.

Płynęła swobodnie przez to wszystko, wolna od wszelkich ludzkich odczuć. Rozgrywały się przed nią kolejne sceny – banalne, romantyczne, makabryczne – a ona śledziła je z zaciekawieniem, ale bez emocji. Zastanawiała się, czy śni i czy ma to jakieś znaczenie, rozmyślała o tym, jak odróżnić to, co znaczące, od tego, co trywialne i przypadkowe.

– Nie wiem! – wyszeptała.

Nagle zaczęła odczuwać straszliwe mdłości, nieuchronny skutek stosowania nowej metody. Pośpiesznie odłożyła alethiometr i zaczęła głęboko oddychać, aż nudności ustąpiły.

Musiał istnieć jakiś lepszy sposób. Coś z pewnością się działo, trudno jednak było stwierdzić, co to dokładnie jest. Zastanowiła się, o co by zapytała, gdyby miała przy sobie przynajmniej część ksiąg i mogła skonsultować się z dawnymi autorytetami w kwestii sformułowania pytania i interpretacji odpowiedzi. Odpowiedź przyszła od razu: zapytałaby o kota ze snu. Czy to był dajmon Willa, a jeśli tak, to jakie jest znaczenie tej wizji?

Na tę myśl poczuła się jednak nieswojo. Sceptycyzm Brandego i Talbota kazał jej – na dwa różne sposoby, ale bez cienia wątpliwości – odrzucić świat snów i magicznych sensów. To była dziecinada, pozbawione wartości bzdury. Czymże jednak był alethiometr, jeśli nie przepustką do tego właśnie świata?

Odczuwała przeraźliwe rozdwojenie jaźni. Ale przecież ten kot koloru cienia na oświetlonym księżycem trawniku...

Ponownie sięgnęła po alethiometr i tym razem nastawiła wszystkie trzy wskazówki na rysunek ptaka, symbolizujący – ogólnie rzecz biorąc – dajmony. Ze zmrużonymi oczami zamknęła dłonie na położonym na kolanach przyrządzie, przytrzymując go zupełnie luźno, bez zbędnego napięcia, i spróbowała przywołać atmosferę tamtego snu – co wcale nie było takie trudne, bo uczeplił się jej umysłu niczym delikatna woń perfum: pamiętała, jak dajmon, pewny siebie i szczęśliwy, podszedł do niej, jak podstawił łebek do pogłaskania, jak jego sierść zdawała się wprost naładowana uwielbieniem. Pamiętała, że od razu rozpoznała Kirjavę i wiedziała, że może jej dotknąć, ponieważ kochała Willa, a on musiał być gdzieś w pobliżu...

Scena zmieniła się w mgnieniu oka. Lyra, nadal pogrążona w transie, znalazła się w jakimś eleganckim budynku, w korytarzu, którego okna wychodziły na widoczny w dole wąski dziedziniec, gdzie wielgachna limuzyna mieniła się w promieniach zimowego, popołudniowego słońca. Ściany korytarza miały w tym świetle kolor bladozielony.

I znowu był tam ten koci dajmon!

Albo... To mógł być zwyczajny kot, który tym razem po prostu siedział nieruchomo i spokojnie się jej przyglądał. Nie Kirjava. Gdy Lyra – rozpalona jednocześnie nadzieją i rozczarowaniem – ruszyła w jego stronę, kot wstał, odwrócił się i wszedł przez otwarte drzwi do jakiegoś pomieszczenia. Poszła za nim. Po drugiej

stronie zobaczyła pokój pełen książek, w którym młody mężczyzna trzymał w rękach alethiometr. Mężczyzną tym był...

– Will! – powiedziała na głos.

Nie mogła się powstrzymać: czarne włosy, mocno zarysowana szczęka, układ ramion znamionujący napięcie... Ale wtedy podniósł na nią wzrok i zorientowała, że to ktoś inny, mężczyzna w podobnym co ona wieku, szczupły, arogancki, z ognistym spojrzeniem. Jego dajmon – który nie był kotem, tylko krogulcem – przysiadł na oparciu krzesła i świdrował ją spojrzeniem żółtych ślepi. Gdzie się podziała Kirjava? Lyra rozejrzała się po pokoju, ale kot zniknął.

Pomiędzy nią i młodym mężczyzną przeskoczyła iskra podejrzliwego rozpoznania, która dla każdego z nich znaczyła co innego: on zorientował się, że ma przed sobą dziewczynę, której jego pracodawca, Marcel Delamare, z jakiegoś powodu pilnie szuka i która jest w posiadaniu alethiometru jego ojca – ona zaś rozpoznała w nim odkrywcę nowej metody odczytywania wskazań przyrządu.

Zanim zdążył się poruszyć, Lyra sięgnęła do klamki i zamknęła dzielące ich drzwi.

Zamrugła, pokręciła głową i wylądowała z powrotem w swoim ciepłym łóżku w Pstrągu. Była wstrząśnięta, zadziwiona, kręciło jej się w głowie. Jaki on był podobny do Willa! Ten pierwszy moment, ta eksplozja radości w piersi! A później to paskudne rozczarowanie i zaraz po nim niespokojne ukłucie zaskoczenia, że wie, co to za miejsce, kim jest ten człowiek i co robi. I gdzie się podziała kotka? Co tam w ogóle robiła? Czyżby celowo zaprowadziła ją do tego mężczyzny?

Nie zwróciła uwagi, że Pan siedzi spięty na fotelu obok łóżka i bacznie ją obserwuje.

Odłożyła alethiometr na stolik nocny, wzięła do ręki kartkę i ołówek i czym prędzej – bo senna wizja już rozpływała się w jej pamięci – zapisała wszystko, co zdołała zapamiętać.

Pantalaimon przyglądał jej się jeszcze przez minutę albo dwie, by w końcu zwinąć się cicho w kłębek na fotelu. Od dobrych kilku nocy nie dzielił poduszki z Lyra.

Nie poruszył się, dopóki nie skończyła pisać i nie zgasła światła, a i potem odczekał jeszcze chwilę, aż po jej miarowym oddechu zorientował się, że zasnęła. Wtedy wyciągnął mały, zaczytany notesik z książki, w której go ukrył, ścisnął go mocno w zębach i wskoczył na parapet.

Wcześniej obejrzał dokładnie okno: było zamykane na zwykłą metalową zapadkę i zamiast przesuwac się do góry, uchylało się w bok jak drzwi, nie potrzebował więc pomocy Lyry, żeby je otworzyć. Sekundę później siedział na kamiennym zewnętrznym parapecie, skąd przeskoczył na pobliską jabłonkę, zbiegł na ziemię, smyknął przez trawnik, przetruchtał po moście i już po chwili biegł po rozległej Port Meadow w stronę odległej dzwonnicy kościoła Świętego Barnaby, której jasna sylwetka odcinała się od ciemnego nieba. Przemknął przez stadko drzemiących kuców, które poruszyły się nerwowo – całkiem możliwe, że to na grzbiet jednego z nich wskoczył przed rokiem i wbił mu pazurki w grzbiet, aż biedne, spanikowane

zwierzę ruszyło galopem przed siebie, by w końcu zrzucić go, zataczającego się ze śmiechu, w trawę. O tej jego eskapadzie Lyra nie miała pojęcia.

Tak samo jak nie wiedziała nic o notesiku, który niósł w zębach. Zapelniony nazwiskami i adresami notatnik pochodził z plecaka doktora Hassalla. Pan postanowił go ukryć, ponieważ dostrzegł w nim coś, na co Lyra nie zwróciła uwagi, a potem co rusz dochodził do wniosku, że właściwy moment, by jej o tym powiedzieć, jeszcze nie nadszedł.

Biegł i biegł – lekkostopy, niezmordowany, bezszelestny – aż dotarł nad kanał przy wschodnim skraju łąki. Zamiast jednak rzucać się w pław i ryzykować zniszczenie notesiku, przemknął przez trawy do mostku prowadzącego do Walton Well Road i Jericho. Od tej pory musiał zachować większą ostrożność: północ jeszcze nie wybiła, sporo pubów było nadal otwartych i gdyby zagłębił się w miasto, byłby doskonale widoczny w plamach żółtego światła z ulicznych lamp na skrzyżowaniach.

Zamiast tego trzymał się więc ścieżki holowniczej. Biegł szybko, często przystawał, żeby rozejrzeć się i ponasłuchiwać, aż w końcu dotarł do furtki z żelaznych prętów po lewej stronie ścieżki. W okamgnieniu przecisnął się przez nią i znalazł na terenie huty Eagle Ironworks, której ogromne hale zamajaczyły mu nad głową. Wąską ścieżką dotarł do drugiej, podobnej furtki przy końcu Juxon Street, przy której stał rząd małych ceglanych szeregowców przeznaczonych dla pracowników huty i pobliskiej stalowni Fell Press. Przed furtką zatrzymał się jednak i przycupnął w cieniu zabudowań, ponieważ po drugiej stronie, na ulicy, stało dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie.

W końcu jeden z nich otworzył drzwi domu, pożegnali się i chwiejne kroki drugiego zaczęły się oddalać w kierunku Walton Street. Pan odczekał jeszcze minutę, po czym przecisnął się między prętami i wskoczył na niski mur wokół ostatniego z domów.

Przysiadł przy okienku piwnicznym, zza którego sączyło się słabe światło, przez przydymioną i zakurzoną szybę nie sposób było jednak zajrzeć do środka. Nasłuchiwał męskiego głosu – i wkrótce go usłyszał: jedno, dwa zdania wypowiedziane chrypliwym, swobodnym tonem. Odpowiedział mu inny głos, wyższy i bardziej dźwięczny. Byli więc w domu i pracowali. Więcej nie musiał wiedzieć.

Zapukał w okno. Głosy od razu ucichły. Ciemna sylwetka wskoczyła na parapet od wewnątrz, wyjrzała na dwór, po czym przesunęła się w bok, żeby mężczyzna mógł otworzyć okno.

Pan wśliznął się do środka i zeskoczył na kamienną posadzkę piwnicy. Przywitał się z dajmonem-kotką o sierści tak absolutnie czarnej, że zdawała się pochłaniać światło. Było wściekle gorąco. Na środku stał rozpalony, huczący piec, a całe pomieszczenie – ciemne od sadzy i gęsto oplecione pajęczynami – przypominało połączenie kuźni z laboratorium chemicznym.

– Witaj, Pantalaimonie – odezwał się mężczyzna. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Dobry wieczór, panie Makepeace – odparł Pan, wypuściwszy notatnik z pyszczką. – Jak się pan miewa?

– Przynajmniej mam zajęcie – odparł Makepeace. – Przyszedłeś sam?

Miał około siedemdziesięciu lat, twarz pożłobioną głębokimi bruzdami i skórę pocętkowaną albo ze starości, albo od przesycającego powietrze dymu. Pan i Lyra poznali Sebastiana Makepeace'a przed kilku laty, przy okazji osobliwego epizodu,

w którym udział wzięła również pewna wiedźma i jej dajmon. Od tamtej pory odwiedzili go kilkakrotnie i przywykli do jego ironicznych uwag i nieopisanego bałaganu w jego laboratorium, a także nauczyli się doceniać jego wiedzę o różnych ciekawych zjawiskach i życzliwą cierpliwość jego dajmona, Mary. Mary i Makepeace wiedzieli z kolei, że Lyra i Pan mogą się rozdzielać – wiedźma, której podstęp doprowadził do ich pierwszego spotkania, była niegdyś kochanką Makepeace'a, ten szczególnie talent wiedźm nie stanowił więc dla niego sekretu.

– Tak – przytaknął Pan. – Lyra... Lyra śpi. Chciałem was o coś zapytać, ale nie chciałybym przeszkadzać...

Makepeace nałożył na dłoń sfatygowaną rękawicę i przesunął stojący na piecu żelazny tygiel.

– To się musi chwilę pograć – wyjaśnił. – Siadaj, chłopcze. Ja sobie zapalę i pogadamy.

Wyjął z szuflady krótkie cygaro i je przypalił. Pan, który lubił zapach ziela fajkowego, zastanawiał się, czy zdoła wyczuć jego aromat w gęstej atmosferze pracowni.

Alchemik przysiadł na taborecie i spojrzał dajmonowi w oczy.

– Słucham – powiedział – co jest w tym notatniku?

Pan wziął go w zęby i mu go podał, po czym opowiedział o morderstwie nad rzeką i późniejszych wydarzeniach. Makepeace słuchał w skupieniu. Siedząca u jego stóp Mary nie odrywała oczu od Pana.

– Powodem, dla którego postanowiłem najpierw go ukryć, a potem przynieść tutaj – dodał na zakończenie Pantalaimon – jest fakt, że znalazłem w nim pańskie nazwisko. Lyra go nie zauważyła, ale ja tak. W notesie są nazwiska i adresy wielu ludzi.

– Daj, niech spojrzę.

Makepeace założył okulary. Jego dajmon wskoczył mu na kolana i razem zaczęli uważnie przeglądać zawarty w notesiku spis ludzi, ich dajmonów i adresów zamieszkania. Każdy wpis został dokonany innym charakterem pisma. Nie były ułożone alfabetycznie, raczej – na co Pan zwrócił uwagę już wcześniej – geograficznie, od wschodu ku zachodowi, od miejsca zwanego Chorezmem do Edynburga, z licznymi europejskimi miastami po drodze. Pan przeglądał potajemnie notesik już ze trzy albo cztery razy, ale do tej pory nie znalazł nic, co by łączyło te wszystkie miejsca.

Tymczasem alchemik sprawiał wrażenie, jakby szukał w nim pewnych konkretnych osób.

– Z Oksfordu tylko pan jest wymieniony – poinformował go Pantalaimon. – Ciekaw byłem, czy ta lista będzie dla pana znajoma. I czy domyśla się pan, dlaczego ten człowiek miał ją przy sobie.

– Mówisz, że on i jego dajmon też potrafili się rozdzielać?

– Tak, zrobili to tuż przed tym, jak umarł. Dajmon podfrunął do mnie na drzewo i poprosił o pomoc.

– Dlaczego nie powiedziałaś Lyrze o tym notatniku?

– Jakoś się... nie złożyło.

– To niefortunne. Powinieneś go jej dać, jest bardzo cenny. Taki spis ma swoją specjalną nazwę: *clavicula adiumenti*.

Makepeace wskazał dwie tłoczone litery widoczne u dołu wewnętrznej strony tylnej okładki, przy samym grzbiecie: C.A. Oprawa notesu była tak powycierana i sfatygowana, że niełatwo było je dostrzec. Następnie przekartkował notatnik, zatrzymał się mniej więcej w połowie, z kieszonki kamizelki wyjął krótki ołówek i coś nim zapisał, uprzednio obróciwszy notes bokiem.

– Co to znaczy? – zainteresował się Pantalaimon. – *Clavicula*... I kim są ci ludzie? Zna ich pan wszystkich? Ja nie umiałem ich ze sobą powiązać.

– To mnie nie dziwi.

– A co pan tam napisał?

– Dopisałem brakujące nazwisko.

– Dlaczego bokiem?

– Inaczej nie zmieściłoby się na stronie. Jeszcze raz powiem: daj notatnik Lyrze i razem do mnie przyjdźcie. Wtedy wam wyjaśnię, co to znaczy. Ale musicie być przy tym obecni oboje.

– To nie będzie łatwe – przyznał Pan. – Ostatnio prawie ze sobą nie rozmawiamy, stale się kłócimy... To okropne, ale nie umiemy przestać.

– O co się kłócicie?

– Ostatni raz, dzisiaj wieczorem, posprzecaliśmy się o wyobraźnię. Powiedziałem, że brakuje jej wyobraźni, a ona się zezłościła.

– Jesteś tym zaskoczony?

– Nie. Właściwie to nie.

– A dlaczego spieraliście się o wyobraźnię?

– Już nawet nie wiem... Przypuszczam, że różnie rozumiemy to słowo.

– Nie zrozumiesz istoty wyobraźni, dopóki nie uświadomisz sobie, że najważniejsze w niej nie jest wymyślanie różnych rzeczy, tylko percepcja. O co jeszcze się kłócicie?

– O różne rzeczy. Lyra się zmieniła, czyta książki, które... Słyszał pan o Gottfriedzie Brandem?

– Nie. Ale nie mów mi, co o nim myślisz. Powiedz raczej, co Lyra by o nim powiedziała.

– Hm... No dobrze, spróbuję. Brande jest filozofem. Nazywają go „Mędrce z Wittenbergi”, przynajmniej niektórzy. Napisał długą powieść zatytułowaną *Hiperchorezmijczycy*; nawet nie wiem, co to znaczy, bo w treści ani razu nie odwołuje się do tytułu.

– Ten tytuł oznacza mieszkańców ziem położonych za Chorezmem, krainą ciągnącą się na wschód od Morza Kaspijskiego...

– Cho... Jak? Wydaje mi się, że ta nazwa jest w spisie.

Makepeace zajrzał do notesu i pokiwał głową.

– Rzeczywiście, jest. Jak Lyra ocenia tę powieść?

– Jest nią... zauroczona. Odkąd tylko...

– Nie, nie: powiedziałaś mi, co ty o niej myślisz. A ja proszę, żebyś powiedział, jaka byłaby opinia Lyry.

– Rozumiem. Powiedziałyby, że ta powieść porusza bardzo obszerny zakres tematów i ma wielką siłę wymowy... przedstawia kompletny, wiarygodny świat... nie przypomina żadnej innej znanej jej książki... to zupełnie nowe... nowe spojrzenie na ludzką naturę, które zdruzgotało wszelkie jej uprzednie przekonania... pokazuje życie

z zupełnie nowej perspektywy... Pewnie coś w tym guście, tak przypuszczam.

– Kpisz sobie z niej.

– Nic na to nie poradzę. Nie cierpię tej książki. Bohaterowie to potworni egoiści, ślepi na wszelkie ludzkie uczucia. Są albo aroganccy i apodyktyczni, albo służalczy i kłamliwi, a jeśli nie, to w najlepszym razie fircykowaci, pretensjonalni i beznadziejni... Jediną wartościową rzeczą na świecie jest rozum. Autor jest racjonalny aż do obłądu, nic innego się dla niego nie liczy. Wyobrażenia to coś pozbawionego znaczenia i godnego pogardy. Cały opisany przez niego wszechświat jest... jałowy jak pustynia.

– Skoro jest filozofem, to dlaczego właściwie napisał powieść? Czyżby uważał ją za formę właściwą dla filozofii?

– Napisał więcej książek, ale to z tej zasłynął. Innych nie czytaliśmy... to znaczy, Lyra nie czytała.

Alchemik strzepnął popiół z cygara prosto do pieca i zapatrzył się w ogień. Siedząca obok niego Mary miała przymknięte oczy i mruzczała miarowo.

– Zналиście kiedyś człowieka i dajmona, którzy by się wzajemnie nienawidzili? – zapytał po chwili milczenia Pantalaimon.

– To powszechniejsze, niż sądzisz.

– Nawet wśród tych, którzy nie umieją się rozdzielać?

– Oni mają gorzej.

To prawda, przyznał w duchu Pan.

Z tygła na piecu buchały kłęby pary.

– Panie Makepeace – zagadnął Pan – nad czym pan w tej chwili pracuje?

– Gotuję zupę – odparł alchemik.

– Aha – mruknął Pan i dopiero po sekundzie zdał sobie sprawę, że Makepeace żartuje. – Pytam poważnie.

– Wiesz, co to takiego „pole”?

– Jak pole magnetyczne?

– Tak, tylko że pole, które badam, jest niezwykle trudne do wykrycia.

– A co ono robi?

– Właśnie próbuję to sobie wyobrazić.

– Ale jeśli... Ach tak, rozumiem. Próbuje pan je wykryć.

– Otóż to.

– Potrzebne jest do tego jakieś specjalne wyposażenie?

– Z pewnością przydałaby się niewiarygodnie kosztowna aparatura, która zajmuje całe akry przestrzeni i pochłania gigantyczne ilości energii, ale ja muszę polegać na tym, co mam pod ręką w pracowni: dobre ziele, kilka lusterek, jasne światło i parę rekwizytów, które musiałem obmyślić i zмайstrować.

– I co, udało się panu?

– Oczywiście.

– Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, powiedział pan Lyrze, że jeżeli ludzie będą myśleli, że próbuje pan uzyskać złoto z ołowiu, uznają, że traci pan czas, i nie będą się interesowali pańską prawdziwą pracą.

– Rzeczywiście tak powiedziałem.

– Czy wtedy już próbował pan wykryć to pole?

– Tak. Teraz, odkąd je wykryłem, usiłuję ustalić, czy wszędzie wygląda tak samo,

czy raczej jest zmienne.

- Używa pan wszystkich przedmiotów, które trzyma pan w pracowni?
- Wszystkie znajdują zastosowanie.
- A co pan warzy w tym tyglu?
- Zupę, już ci mówiłem.

Makepeace wstał i zamieszał w tyglu. Pan nagle odczuł przejmujące zmęczenie. Dowiedział się paru rzeczy, niekoniecznie użytecznych, a teraz czekał go powrót przez całą Port Meadow. Potem będzie musiał znów schować notes i – kiedyś tam – powiedzieć o nim Lyrze.

- *Clavicula*... – powtórzył, usiłując zapamiętać obce słowa.
- *Adiumenti* – dokończył alchemik.
- *Adiumenti*. Pójdę już. Dziękuję za wszystkie objaśnienia. Życzę smacznego.
- Powiedz Lyrze, nie ociągaj się, i przyjdźcie do mnie oboje.

Czarna kotka wstała, szturchnęła się z Pantalaimonem nosami i dajmon Lyrzy wyszedł.

Sala Linneusza

Następnego dnia rano posłaniec dostarczył do Kolegium Durham list adresowany do Malcolma. Malcolm otworzył go od razu na portierni. List, napisany na papierze firmowym Dyrekcji Ogrodu Botanicznego w Oksfordzie, brzmiał następująco:

*Szanowny doktorze Polstead,
mam wrażenie, że powinnam była być z panem bardziej szczerą podczas naszej wczorajszej rozmowy na temat doktora Hassalla i jego pracy. Sytuacja zmienia się błyskawicznie, sprawa jest bardziej nagląca, niż mogłoby się wydawać. Jesteśmy w trakcie organizowania niewielkiego spotkania dla zainteresowanych tym problemem i chciałabym zapytać, czy mógłby pan w nim uczestniczyć. Pańska znajomość tematu i wiedza o odkrytych przez pana przedmiotach mogą wzbogacić naszą dyskusję. Nie prosiłabym o to, gdyby nie powaga i pilność zagadnienia.*

Spotykamy się dziś wieczorem o szóstej w Ogrodzie Botanicznym. Jeżeli będzie pan mógł przybyć (na co bardzo liczę), proszę zapytać przy wejściu, jak trafić do Sali Linneusza.

*Z poważaniem,
Lucy Arnold*

Spojrzał na datę: list napisano tego dnia rano.

– Powinniśmy powiedzieć Hannah – stwierdziła Asta, która razem z nim przeczytała list, przycupnąwszy na blacie przy okienku portiera. – Zdążymy?

Przed południem Malcolm miał zaplanowane spotkanie pracowników kolegium. Zerknął do portierni, na zawieszony tam zegar: było pięć po dziewiątej.

– Zdążymy – powiedział.

– Chodziło mi raczej o nią. Jedzie dziś do Londynu.

– Rzeczywiście. Lepiej się pośpieszmy.

Malcolm wyszedł z portierni. Asta zeskoczyła z blatu i bezszelestnie podreptała za nim.

Dziesięć minut później dzwonił już do drzwi domu Hannah Relf, która po kolejnych trzydziestu sekundach otworzyła mu i zapytała:

– Rozumiem, że widziałeś dzisiejszy „Oxford Times”?

– Nie. Czemu pytasz?

Pokazała mu gazetę, wieczorne wydanie z poprzedniego dnia, i otworzyła ją od razu na stronie piątej. Nagłówek brzmiał: zwłoki znalezione przy śluzie w iffley. ofiara nie utonęła, twierdzi policja.

Malcolm przebiegł wzmiankę wzrokiem. Śluza w Iffley znajdowała się około mili w dół rzeki od miejsca, w którym Pan był świadkiem napaści. Śluzowy znalazł ciało mężczyzny w wieku około czterdziestu lat, który został brutalnie pobity i najprawdopodobniej zmarł przed wrzuceniem do wody. Policja prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa.

– To na pewno on – powiedział. – Nieszczęsny. Lucy Arnold już na pewno wie. Może to właśnie miała na myśli.

– O czym ty mówisz?

– Przyszedłem, żeby ci to pokazać – odparł Malcolm i wręczył Hannah list.

– „Sytuacja zmienia się błyskawicznie” – przeczytała Hannah. – Rzeczywiście, możesz mieć rację. Jest bardzo ostrożna.

– Nie wspomniała o policji. Jeżeli przy zmarłym nie znaleźli żadnych dokumentów, to nie mogli go zidentyfikować. Wtedy Arnold może o niczym nie wiedzieć. Wiesz coś na jej temat? Znacicie się?

– Znam ją, choć słabo. Poważna, zasadnicza, ale chwilami zapalczywa, i to z taką tragiczną nutą, tak zawsze o niej myślałam. A raczej tak czułam, bo nie mam powodu, żeby tak myśleć.

– Mniejsza z tym, to tylko część ogólnego obrazu. W każdym razie wybieram się na to spotkanie. Jak myślisz, będziesz się widziała w Londynie z Glenys?

– Tak, mamy się spotkać. Powiem jej. – Hannah zdjęła płaszcz z wieszaka. – Co u Lyry? – zapytała, gdy Malcolm pomagał jej się ubrać.

– Jest przygaszona. Co właściwie nie powinno dziwić.

– Powiedz jej, żeby do mnie wpadła, jak znajdzie godzinę. A tak, jeszcze jedno, Malcolmie: chodzi o podróż doktora Straussa przez pustynię do tej czerwonej budowli...

– Tak?

– To słowo: *akterrakeh*. Masz jakiś pomysł, co by mogło znaczyć?

– Przykro mi, pojęcia nie mam. O ile mogę to stwierdzić, nie jest pochodzenia tadżyckiego.

– Cóż, trudno. Zastanawiam się, czy alethiometr coś by pomógł. Do zobaczenia.

– Pozdrów ode mnie Glenys.

Glenys Godwin była aktualną szefową Oakley Street. Thomas Nugent, który piastował tę funkcję, kiedy Hannah przystępowała do organizacji, zmarł na początku roku i Hannah wybierała się właśnie na jego nabożeństwo żałobne. Godwin była zmuszona odejść z czynnej służby przed kilku laty po tym, jak nabawiła się febry, której jednym z objawów było sparaliżowanie jej dajmona (i na którą zmarło jej jedyne dziecko). Zachowała jednak zarówno trzeźwość osądu, jak i śmiałość w podejmowaniu decyzji, a jej dajmon wyróżniał się niezwykle obszerną i nadzwyczaj drobiazgową pamięcią. Malcolm szczerze ją podziwiał. Była wdową

i pierwszą kobietą-dyrektorem Oakley Street. Jej polityczni przeciwnicy na próżno czekali, aż popełni jakiś błąd.

Po nabożeństwie Hannah zdołała odciągnąć ją na bok na krótką, dziesięciominutową rozmowę. Usiadły w zacisznym kącie hotelowego baru, w którym kilkoro innych pracowników Oakley Street sęczyło drinki. Hannah pokrótce streściła wszystko, co wiedziała na temat zabójstwa, plecaka, dziennika Straussa oraz zaproszenia Malcolma na pośpiesznie zwołane spotkanie.

Glenys Godwin – kobieta niska, przy kości – miała pięćdziesiąt parę lat i schludną, całkiem zwyczajną szpakowatą fryzurę. Jej odczucia wyraziście malowały się na jej twarzy – nazbyt wyraziście, zdaniem Hannah: u kogoś na takim stanowisku lepsza byłaby chyba nieprzenikniona mina pokerzysty. Lewą ręką delikatnie głaskała swojego dajmona, małą cywetę, która leżała u niej na kolanach i uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

– Ta młoda kobieta... – przemówiła Glenys, gdy Hannah skończyła mówić. – Nazywa się Lyra Złotousta, tak? Niezwykle nazwisko. Gdzie jest teraz?

– Mieszka u rodziców Malcolma, są właścicielami pubu nad Tamizą.

– Potrzebuje ochrony?

– Tak przypuszczam. To... Co wiesz o jej przeszłości?

– Nic. Opowiesz mi przy innej okazji. Malcolm koniecznie powinien iść na to spotkanie, z pewnością jest to sprawa dla Oakley Street. Związek z teologią doświadczalną nie ulega wątpliwości. Niejaki...

– Brewster Napier – zabrzmiał cichy jak u ducha głos dajmona Glenys.

– Tak, o niego mi chodziło. Opublikował w ostatnim czasie artykuł, który pierwszy raz zwrócił naszą uwagę na te kwestie. Jak brzmiał ten tytuł?

– „Wybrane efekty zastosowania olejku różanego w mikroskopii z użyciem światła spolaryzowanego” – odpowiedział dajmon. – „Przegląd Prac Instytutu Mikroskopii w Lejdzie”, Napier i Stevenson, dwa lata temu.

Mówił cicho, z wyraźnym wysiłkiem, ale zarazem całkowicie zrozumiale. Hannah nie pierwszy raz zachwyciła się jego pamięcią.

– Kontaktowaliście się z tym Napierem? – spytała.

– Nie bezpośrednio. Starannie i dyskretnie zbadaliśmy jego przeszłość. Jest bez zarzutu. O ile nam wiadomo, implikacje jego pracy przeszły niezauważone przez Magisterium; nie chcemy podejmować nazbyt otwartych działań, żeby nie wzbudzić ich zainteresowania. Trop, na który natrafił Malcolm, to kolejny dowód, że coś się święci. Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Więc mówisz, że skopiował wszystkie dokumenty z plecaka?

– Co do sztuki. Najdalej w poniedziałek powinnaś je dostać.

– Już nie mogę się doczekać.

Mniej więcej w tym samym czasie Lyra rozmawiała w Pstrągu z pomocą kuchenną. Pauline miała siedemnaście lat, była śliczna, nieśmiała i łatwo się rumieniła. Pan wszedł pod stół, gdzie rozmawiał z jej dajmonem w ciele myszy, Pauline siekała cebulę, a Lyra obierała ziemniaki.

– Przez pewien czas był moim nauczycielem – odparła Lyra, zapytana o to, skąd zna Malcolma. – Byłam w tym okresie okropna. Nie przyszło mi do głowy, że on może mieć jakieś życie poza kolegium, myślałam po prostu, że na noc chowają go do kredensu. Długo tu pracujesz?

– Zaczęłam w zeszłym roku, tak na pół gwizdka. Potem Brenda poprosiła, czy nie mogłabym zostawać trochę dłużej i... Pracuję też u Boswella, w poniedziałki i czwartki.

– Naprawdę? Też tam pracowałam, w dziale kuchennym. Ciężki kawałek chleba.

– Ja jestem na pasmanterii.

Pauline przesypała posiekaną cebulę do dużego żaroodpornego naczynia stojącego na piecu.

– Co pichcisz? – zainteresowała się Lyra.

– Duszoną sarninę, ale tylko przygotowuję składniki. Większość robi Brenda. Używa do tego specjalnych przypraw, nawet nie wiem jakich. Właściwie to dopiero się uczę.

– Czy Brenda codziennie przygotowuje tylko jedno wielkie główne danie?

– Dawniej tak robiła, najczęściej jakąś pieczeń. Potem Malcolm jej doradził, żeby spróbowała trochę urozmaicić kuchnię. Miał naprawdę niezłe pomysły.

Pauline znów się zarumieniła. Odwróciła się i zamieszała cebulę, która zaczęła pryskać tłuszczem.

– Długo znasz Malcolma? – zapytała Lyra.

– Dosyć. Kiedy byłam mała, był... to znaczy, myślałam... no, zawsze był dla mnie miły. Myślałam, że przejmie pub po ojcu, kiedy ten odejdzie na emeryturę, ale to już chyba nieaktualne. Taki się z niego zrobił profesor... Prawie go już nie widuję.

– Chciałabyś prowadzić pub?

– Nie, no co ty. Nie dałabym rady.

– Ale byłoby fajnie.

Dajmon Pauline wspiął jej się na ramię i szepnął do ucha. Pochyliła się i potrząsnęła lekko głową, aż ciemne loki opadły jej na twarz i przysłoniły płonące rumieńcem policzki. Jeszcze raz zamieszała w garnku z cebulą i zsunęła go na skraj płyty kuchennej.

Lyra obserwowała ją kątem oka, zafascynowana zakłopotaniem dziewczyny. Było jej trochę przykro, że stała się jego przyczyną, zwłaszcza że zupełnie tego nie rozumiała.

– Ona jest w nim zakochana – wyjaśnił jej Pan nieco później, gdy wyszli na taras i usiedli, żeby pogapić się na płynącą w dole rzekę.

– W kim? W Malcolmie? – spytała z niedowierzaniem Lyra.

– Też byś to zobaczyła, gdybyś nie była taka skupiona na sobie.

– Wcale nie jestem – odparowała odruchowo, ale sama musiała przyznać, że nie zabrzmiało to przekonująco. – Ale przecież... Nie jest dla niej za stary?

– Najwyraźniej ona tak nie uważa. Poza tym wątpię, żeby on odwzajemniał to uczucie.

– Jej dajmon ci powiedział?

– Nie musiał.

Lyra była wstrząśnięta, chociaż nie do końca rozumiała dlaczego, bo w całej sytuacji nie było przecież niczego niezwykłego. To był... to był doktor Polstead.

Chociaż trzeba mu było przyznać, że się zmienił. Nawet ubierał się inaczej. W domu, w Pstrągu, nosił kraciatą koszulę z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi złociste włoski na przedramionach, kamizelkę z moleskinu i sztruksy. Bardziej przypominał farmera niż akademika i sprawiał wrażenie, jakby doskonale czuł się tutaj, w świecie rzecznych przewoźników i robotników rolnych, kłusowników i komiwojażerów. Krzepki, spokojny i dobroduszny pasował do Pstrąga, jakby spędził w nim pół życia.

Co oczywiście było prawdą. Nie należało się dziwić, że z taką wprawą podaje drinki, z równą swobodą zagaduje bywalców, jak i obcych, i z ogromną łatwością rozwiązuje pojawiające się problemy. Kiedy poprzedniego wieczora dwaj klienci omal nie pobili się przy kartach, wyprowadził ich na dwór, zanim Lyra na dobre zorientowała się w sytuacji. Nie wiedziała jeszcze, czy ten nowy Malcolm bardziej jej odpowiada niż dawny doktor Polstead, rozumiała jednak, że przynajmniej należy mu się szacunek. Ale żeby się w nim zakochać?

Postanowiła więc nie poruszać jego tematu w rozmowach z Pauline. Lubiła ją i nie chciała wprawiać jej w zakłopotanie.

Kiedy Malcolm tuż przed szóstą wieczorem przybył do Ogrodu Botanicznego, tylko w jednym oknie budynku biurowego paliło się światło. Wszystkie inne były ciemne. Okienko portiera także było zakryte żaluzją. Malcolm zastukał w nią delikatnie.

W środku coś się poruszyło i zza skraju żaluzji wyciekła odrobina światła, jakby z drugiej strony podszedł ktoś z lampą.

– Ogród jest zamknięty – zabrzmiał głos z wewnątrz.

– Wiem o tym, ale jestem umówiony na spotkanie z profesorem Arnold. Kazała mi pytać o Salę Linneusza.

– Pańska godność?

– Polstead. Malcolm Polstead.

– A tak, zgadza się. Głównym wejściem, do schodów. Sala Linneusza jest na piętrze, drugie drzwi na prawo.

Główne wejście do budynku było od strony ogrodu. Prowadziło do niego kilka stopni, nad drzwiami świeciła słaba lampa. Sala Linneusza znajdowała się w tym samym korytarzu co gabinet dyrektora, w którym dzień wcześniej spotkał się z profesorem Arnold. Zapukał do drzwi. Dobiegający ze środka szmer rozmów ucichł.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Lucy Arnold. Na jej widok Malcolm przypomniał sobie słowa Hannah o „tragicznej nucie” – taką właśnie miała w tej chwili minę. Zorientował się, że Arnold wie już o znalezieniu zwłok doktora Hassalla.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłem.

– Nie, proszę wejść. Nie zaczęliśmy jeszcze, ale już na nikogo więcej nie czekamy.

Przy stole konferencyjnym siedziało jeszcze pięcioro innych ludzi. Światło dwóch nisko zawieszonych lamp jantarycznych nie sięgało kątów sali, które kryły się w półmroku. Dwie z tych osób były Malcolmowi znajome: ekspert od polityki azjatyckiej z St Edmund Hall oraz duchowny nazwiskiem Charles Capes – teolog,

o którym Hannah twierdziła, że jest cichym sprzymierzeńcem Oakley Street.

Zajął swoje miejsce. Lucy Arnold również usiadła i zabrała głos.

– To już komplet – powiedziała. – Zaczynamy więc. Tych, którzy jeszcze o tym nie słyszeli, śpieszę poinformować, że wczoraj policja wyłowiła z rzeki ciało mężczyzny, którego następnie zidentyfikowano jako Rodericka Hassalla.

Próbowała sobie narzucić surową samokontrolę, ale Malcolm i tak miał wrażenie, że słyszy drżenie w jej głosie. Jedna, może dwie z siedzących przy stole osób zamamrotały coś pod nosem, wyrażając w ten sposób swoje zaskoczenie lub współczucie.

– Zaprosiłam was tutaj – ciągnęła profesor Arnold – ponieważ uważam, że powinniśmy podzielić się posiadaną wiedzą i podjąć jakieś decyzje odnośnie do dalszych działań w tej materii. O ile się nie mylę, nie wszyscy się tu znamy, dlatego będę prosiła, żebyście się pokrótce przedstawili. Charlesie, zaczniesz?

Charles Capes – niski, schludnie odziany człowieczek w wieku około sześćdziesięciu lat – nosił księżą koloratkę i miał dajmona w ciele lemura.

– Charles Capes, profesor teologii w katedrze Thackeraya. Jestem tutaj, ponieważ znałem Rodericka Hassalla osobiście i spędziłem nieco czasu w rejonie, w którym prowadził badania.

Siedząca obok niego kobieta, mniej więcej rówieśnica Malcolma, była bardzo blada i wyraźnie poruszona.

– Annabel Milner – powiedziała – Katedra Roślinoznawstwa. Współpracowałam z doktorem Hassallem przy sprawie róż, zanim... zanim wyjechał nad Łob-nor.

Przyszła kolej na Malcolma.

– Malcolm Polstead, jestem historykiem. Znalazłem na przystanku autobusowym torbę z dokumentami, wśród których był dokument tożsamości doktora Hassalla i jego identyfikator uczelniany. Dlatego przyniosłem torbę tutaj. Podobnie jak profesor Capes, również miałem okazję pracować w tamtych okolicach, stąd moja ciekawość.

Dalej siedział szczupły, śniady mężczyzna po pięćdziesiątce. Jego dajmon był jastrzębiem. Mężczyzna skinął Malcolmowi głową i powiedział:

– Timur Ghazarian, specjalizuję się w historii i polityce Azji Środkowej. Odbyłem wiele rozmów z doktorem Hassallem, zanim udał się w tamte rejony.

– Nazywam się Brewster Napier – zabrał głos blondyn mówiący ze szkockim akcentem. – Jestem jednym z autorów pierwszego opublikowanego artykułu na temat przydatności olejku różanego w mikroskopii; drugim jest moja współpracownica Margery Stevenson. Ze względu na dalszy rozwój wydarzeń dzisiejsza wiadomość od Lucy poruszyła mnie i ogromnie zaintrygowała. Podobnie jak profesor Ghazarian, ja również miałem okazję spotkać się i porozmawiać z doktorem Hassallem podczas jego ostatniego pobytu w Oksfordzie. Jestem wstrząśnięty wieścią o jego śmierci.

Ostatni był mężczyzna niewiele starszy od Malcolma, o rzadkich jasnych włosach, pociągłej szczęce i poważnym wyrazie twarzy.

– Lars Johnsson. Byłem kierownikiem ośrodka naukowego w Taszbułaku przed Tedem Cartwrightem. Tam właśnie pracował Roderick.

– Dziękuję – powiedziała profesor Arnold. – Przejdę do rzeczy. Dziś rano policja zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc w identyfikacji zwłok wyłowionych z rzeki. Od wewnętrznej strony koszuli... denat... miał naszywkę z nazwiskiem. Dzięki niej trafili do Ogrodu Botanicznego; nietrudno jest zdobyć listę zatrudnionego u nas

personelu. Poszłam z nimi i tak, rzeczywiście, to było ciało Rodericka. Nie chciałabym nigdy więcej tego robić. Został zamordowany, to nie ulega wątpliwości, ale, co ciekawe, okoliczności morderstwa nie wskazują na napad rabunkowy. Wczoraj rano doktor Polstead – w tym miejscu spojrzęła na Malcolma – znalazł przy Abingdon Road torbę, w której znajdował się między innymi portfel Rodericka, i przyniósł ją do mnie. Powiem szczerze, że policja niezbyt się tym faktem zainteresowała, dla nich to po prostu zupełnie bezsensowna napaść. Zaprosiłam was tutaj, ponieważ każde z was dysponuje częstką wiedzy, która połączona w całość może się okazać kluczowa dla... zrozumienia, co się właściwie stało. To jest... moim zdaniem... wygląda na to, że wkraczamy na niebezpieczny teren. Poproszę teraz każde z was o wypowiedź, a następnie przeprowadzimy ogólną... Brewster? Mógłbyś powiedzieć, jak to się zaczęło z twojego punktu widzenia?

– Naturalnie. Dwa lata temu zatrudniona w moim laboratorium technik zgłosiła problemy z jednym z mikroskopów i poprosiła mnie, żebym na niego zerknął. Jego obiektyw rzeczywiście zachowywał się nietypowo. Na pewno znacie to uczucie, kiedy na okularach macie plamę tłuszczu albo brudu i pole widzenia jest częściowo rozmyte, ale to wyglądało inaczej: zaobserwowaliśmy kolorową obwódkę wokół preparatu, chociaż całe pole obrazowe było bardzo wyraźne. Żadnego rozmycia, żadnej utraty ostrości, obraz jak brzytwa i tylko ta dodatkowa obwódka, która... no... poruszała się. I mieniła światłem. Przeprowadziliśmy małe śledztwo i okazało się, że poprzedni użytkownik mikroskopu badał pod nim okaz pewnego gatunku róży z Azji Środkowej i kiedy przez przypadek dotknął nim do obiektywu, na szkle została odrobina olejku różanego. Nie popisał się, jeśli chodzi o korzystanie ze sprzętu, ale trzeba przyznać, że uzyskał ciekawy efekt. Sprawa na tyle mnie zaintrygowała, że wymontowałem obiektyw i odłożyłem do dalszych badań, a potem pod wpływem przecucia poprosiłem moją przyjaciółkę Margery Stevenson, żeby rzuciła nań okiem. Margery, która jest specjalistką od fizyki cząstek, w jednej z naszych wcześniejszych rozmów wspomniała, że zajmuje się badaniem tak zwanego pola Rusakowa. Dlatego pomyślałem, że to by ją mogło zainteresować.

Malcolm zauważył, że wokół stołu przeszedł wyraźny dreszczyk napięcia, być może dlatego, że sam również go odczuł. Nikt się jednak nie odezwał.

– Niektórzy z was zapewne pierwszy raz słyszą tę nazwę – podjął Napier – Otóż pole Rusakowa i związane z nim cząstki to dwa aspekty zjawiska znanego pod nazwą Prochu, o którym naturalnie nie wolno wspominać bez wyraźnego zezwolenia ze strony Magisterium. Lucy zapewniła mnie, że wszyscy macie świadomość tego, w jaki sposób fakt ten ogranicza nasze możliwości działania. I jaki ma wpływ na nasze rozmowy.

To mówiąc, spojrzął Malcolmowi w oczy.

Malcolm z obojętną miną skinął potakująco głową.

– Odkryliśmy z Margery – mówił dalej Napier – że olejek na soczewce obiektywu pozwala obserwować pewne aspekty pola Rusakowa, których istnienie wcześniej przewidziano wyłącznie teoretycznie. Od mniej więcej dziesięciu lat chodziły słuchy, że już wcześniej obserwowano takie zjawisko, ale wszelkie wzmianki na ten temat były systematycznie uciszane przez... no, wszyscy wiemy przez kogo. Pojawiło się więc nowe pytanie: czy utajnić nasze odkrycie, czy też przeciwnie, upublicznić je. Sprawa wydawała się nazbyt poważna, żeby ją po prostu przemilczeć, lecz zarazem

mogła być zbyt niebezpieczna, by trąbić o niej na prawo i lewo. Gdzie zatem publikować? Instytut Mikroskopii w Lejdzie nie jest, prawdę powiedziawszy, instytucją szczególnie wpływową i publikacje w jego „Przeglądzie Prac” zwykle przechodzą niezauważone. Wysłaliśmy więc artykuł właśnie do nich, a oni go opublikowali. Od tamtej pory minęły dwa lata. Długo nie było żadnej reakcji, ale w ostatnim czasie doszło do włamań zarówno do mojej pracowni, jak i do laboratorium Margery. Obu dokonano z wielką wprawą. Oboje też zostaliśmy przesłuchani przez ludzi pracujących, jak się domyślamy, na zlecenie wywiadu albo służb bezpieczeństwa. Byli bardzo dyskretni, ale i nadzwyczaj dociekliwi. Wyglądało to dość niepokojąco. Powiedzieliśmy im tylko i wyłącznie prawdę. Na tym chyba mógłbym skończyć... Dodam jeszcze, że Margery pracuje obecnie w Cambridge i od dwóch tygodni nie mam z nią kontaktu. Ani jej mąż, ani koledzy z pracy nie wiedzą, gdzie jej szukać. Bardzo się o nią martwię.

– Dziękuję, Brewster – powiedziała Lucy Arnold. – To bardzo cenne informacje. Jednoznaczne i niepokojące. Doktorze Pol-stead, czy mógłby pan teraz zapoznać nas z faktami z pańskiej perspektywy?

Malcolm skinął głową.

– Jak już powiedziała profesor Arnold...

Przerwało mu ciche, pośpieszne pukanie do drzwi.

Wszyscy odwrócili się w stronę wejścia, Lucy Arnold odruchowo wstała.

– Tak? – zapytała, nagle pobladła.

Drzwi się otworzyły i do sali szybkim krokiem wszedł portier.

– Jacyś ludzie chcą się z panią widzieć, pani profesor. Podejrzewam, że mogą być z KSD. Powiedziałem, że ma pani spotkanie w Sali Humboldta, ale wkrótce dotrą i tutaj. Nie mają nakazu, ale mówią, że nie jest im potrzebny.

– Gdzie jest Sala Humboldta? – spytał bez chwili wahania Malcolm.

– W drugim skrzydle – odparła ledwie słyszalnie profesor Arnold. Cała się trzęsła.

Nikt się nie poruszył.

– Świetnie się spisałeś – pochwalił Malcolm portiera. – A teraz wyprowadź wszystkich tu obecnych oprócz mnie, Charlesa i pani dyrektor do ogrodu i wypuść ich boczną furtką, zanim tamci zorientują się, co jest grane. Dasz radę?

– Tak, proszę pana...

– Świetnie. Proszę, idźcie za nim. Nie hałasujcie, pośpieszcie się.

Charles Capes obserwował Malcolma, a pozostała czwórka wstała od stołu i wyszła z portierem. Profesor Arnold chwyciła się framugi drzwi i odprowadzała ich wzrokiem, gdy znikali w głębi korytarza.

– Proszę do nas wrócić – odezwał się Malcolm. – Usiądźmy.

Poprzszywał krzesła, jakby żadne z nich nie było odsuwane od stołu.

– Zgrabnie to pan załatwił – przyznał Capes. – O czym będziemy rozmawiali, kiedy przyjdą?

– Co to w ogóle za ludzie? – Dyrektorka była wyraźnie podenerwowana. – Myślicie, że naprawdę są z Konsystorskiego Sądu Dyscyplinarnego? Czego mogą chcieć?

– Spokojnie – powiedział Malcolm. – Ani pani, ani my nie zrobiliśmy i nie robimy niczego sprzecznego z prawem, nie zajmujemy się również sprawami, które mogłyby stać się przedmiotem zainteresowania KSD. Powiemy, że spotkaliśmy się

tutaj, ponieważ po tym, jak przyniosłem pani torbę, byłem ciekaw, czy ma pani jakieś nowiny na temat Hassalla. Nie skojarzyłem go z ciałem wyłowionym z rzeki, dopóki pani mi o nim nie powiedziała, co nastąpiło dosłownie przed chwilą. Charlesa przyprowadziłem ze sobą, ponieważ i tak zamierzałem się z nim spotkać, żeby porozmawiać o Łob-nor. Kiedy wspomniałem mu o torbie Hassalla, przyznał, że go znał, dlatego przyszliśmy razem.

– Co cię zainteresowało w Łob-nor? – zapytał Capes, zachowując niewzruszony spokój.

– Tak się składa, że dokładnie to, o czym opowiedziałbyś wszystkim na tym spotkaniu, gdyby nam nie przerwano. Co zamierzałeś powiedzieć?

– O pewnej środkowoazjatyckiej tradycji ludowej. Tamtejsi szamani wiedzą o tych różach.

– Naprawdę? Co dokładnie?

– Pochodzą... mam na myśli róże... pochodzą z samego serca pustyni Karamakan. Tak przynajmniej głosi legenda. Nie rosną nigdzie indziej. Kiedy zakropić sobie oko odrobiną uzyskanego z nich olejku, doznaje się wizji, ale trzeba do tego sporej determinacji, bo olejek wściekle szczypie. Tak słyszałem.

– Ale sam nie próbowałeś?

– Nie. Z tą pustynią jest pewien problem: nie można się na nią zapuścić, nie rozdzielwszy się uprzednio ze swoim dajmonem. To jedno z tych niezwykłych miejsc... Drugie takie jest, zdaje się, gdzieś na Syberii, trzecie w górach Atlas... w których przebywanie jest dla dajmonów przykre lub wręcz bolesne. Jak widzicie, za zdobycie tych róż płaci się wysoką cenę, zarówno finansową, jak i osobistą.

– Myślałam, że człowiek umiera, kiedy odłączy się od dajmona – wtrąciła Lucy Arnold.

– Najwidoczniej nie zawsze. Ale jest to proces okrutnie bolesny.

– Czy właśnie to było przedmiotem badań Hassalla? – zapytał Malcolm.

Oczywiście wiedział, jak brzmi odpowiedź, ale był ciekaw, czy profesor Arnold również to wie. I czy zechce się do tego przyznać.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi (znacznie głośniejsze niż to wcześniejsze, gdy przyszedł portier), które następnie otworzyły się, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

– Profesor Arnold? – zapytał mężczyzna w ciemnym płaszczu i filcowym kapeluszu z wąskim rondem. Za jego plecami stało dwóch kolejnych, podobnie ubranych.

– Zgadza się – potwierdziła Lucy Arnold. Tym razem głos jej nie drżał. – Kim panowie jesteście i czego chcecie?

– Powiedziano nam, że znajdziemy panią w Sali Humboldta.

– Woleliśmy usiąść tutaj. Co panów sprowadza?

– Chcemy zadać kilka pytań.

Mężczyzna wszedł za próg, jego dwaj towarzysze również.

– Chwileczkę – odezwał się Malcolm. – Nie odpowiedzieliście panowie na pytanie profesor Arnold. Kim jesteście?

Intruz wyjął portfel i otworzył go machnięciem ręki. W środku znajdowała się wizytówka w kolorze ochry z wypisanymi granatowym atramentem drukowanymi literami KSD.

– Nazywam się Hartland – odparł. – Kapitan Hartland.

– W czym możemy pomóc? – spytała Lucy Arnold.

– O czym państwo rozmawiacie?

– O tradycji ludowej – odparł Charles Capes.

– Ktoś pana pytał? – zdziwił się Hartland.

– Wydawało mi się, że pan.

– Ją pytam.

– Rozmawiamy o tradycji ludowej – odparła beznamiętnym tonem profesor Arnold.

– Dlaczego?

– Dlatego że jesteśmy naukowcami. Mnie interesuje rola kwiatów i innych roślin w tradycji ludowej, profesor Capes specjalizuje się między innymi w tej dziedzinie, a doktor Polstead, który jest historykiem, podziela nasze zainteresowania.

– Co pani wie o niejakiem Rodericku Hassallu?

Profesor Arnold na chwilę przymknęła oczy.

– Był moim kolegą po fachu – odparła. – I przyjacielem. Dziś rano musiałam zidentyfikować jego zwłoki.

– Znał go pan? – zwrócił się Hartland do Capesa.

– Owszem, znałem.

– A pan? – To było do Malcolma.

– Nie.

– Dlaczego w takim razie przyniósł pan tu wczoraj jego rzeczy?

– Zorientowałem się po nich, że tu pracuje.

– Dlaczego nie poszedł pan z nimi na policję?

– Nie wiedziałem, że pan Hassall nie żyje. Skąd miałbym wiedzieć? Pomyślałem, że przez nieuwagę zapomniał zabrać torbę i że najprościej będzie odstawić mu ją do pracy.

– Gdzie teraz są te rzeczy?

– W Londynie – odparł Malcolm.

Lucy Arnold zamrużyła ze zdumienia.

Tylko spokojnie, pomyślał Malcolm.

Jeden z pozostałych intruzów, stojący przy dalszym krańcu stołu, oparł się rękami o blat i w skupieniu pochylił do przodu.

– Gdzie w Londynie? – pytał dalej Hartland. – Kto je ma?

– Po tym, jak przejrzeliśmy je wspólnie z profesorem Arnold, a ja dowiedziałem się, że pan Hassall zaginął, doszliśmy do wniosku, że poprosimy specjalistę z Królewskiego Instytutu Etnologicznego o opinię na ich temat. Wiele materiałów nawiązywało do tradycji ludowej, na której słabo się znam, przekazałem je więc przez znajomego do Londynu.

– Jak się nazywa ten znajomy? Czy potwierdzi pańskie słowa?

– Zrobiłby to, gdyby tu był. Udał się jednak w dalszą drogę, do Paryża.

– A ten specjalista z... Co to miało być?

– Królewski Instytut Etnologiczny.

– Jak się nazywa?

– Richards... Richardson... jakoś tak. Nie znam go osobiście.

– Nader swobodnie sobie poczynacie z tymi rzeczami, nie uważa pan?

Zważywszy że doszło do morderstwa.

– Jak już mówiłem, wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Bo gdybyśmy wiedzieli, to oczywiście bezzwłocznie zanieśliśmy je na policję. Tyle że profesor Arnold twierdzi, że kiedy rozmawiała z policją, wcale nie byli nimi zainteresowani.

– A panowie dlaczego tak się nimi interesujecie? – wtrącił Charles Capes.

– Taka praca – odparł Hartland. – Interesują mnie różne rzeczy. Co Hassall robił w Azji Środkowej?

– Prowadził badania botaniczne – odparła Lucy Arnold.

Ktoś zapukał, cicho i niepewnie, drzwi się uchyliły i portier zajrzał do sali.

– Przepraszam, pani profesor, myślałem, że jest pani w Sali Humboldta. Wszędzie pani szukałem, ale widzę, że panowie już panią znaleźli.

– Tak, Johnie, dziękuję ci. Właśnie kończymy. Odprowadzisz panów do wyjścia?

Hartland posłał Malcolmowi jeszcze jedno podejrzliwe spojrzenie, skinął powoli głową i wyszedł wraz ze swoją asystą. Nie zamknęli za sobą drzwi.

Malcolm przytknął palec do ust: „Cicho”. Odliczył w myślach do dziesięciu, zamknął drzwi i na paluszkach podszedł do drugiego końca stołu, do miejsca, w którym jeden z intruzów opierał się o blat. Skinął na pozostałą dwójkę, a gdy podeszli bliżej, przykucnął, zajrzał pod stół i wskazał im czarny, matowy przedmiot wielkości stawu męskiego kciuka, tkwiący – najprawdopodobniej przyklejony – na spodniej stronie blatu.

Lucy Arnold zaparło dech w piersi. Malcolm jeszcze raz położył palec na ustach. Czubkiem ołówka szturchnął czarny obiekt, który odsunął się gwałtownie i wtulił w kąt pomiędzy nogą stołu i blatem. Drugą ręką Malcolm wyjął chusteczkę, strzepnął ją i podsunął pod osobliwego insekta, po czym podważył go ołówkiem i strącił na podstawioną dłoń. Złapał go i mocno zawinął w chusteczkę. Insekt brzęczał wściekle.

– Co to jest? – spytała szeptem profesor Arnold.

Malcolm zsuł jeden but, położył zawiniątko na stole i z całej siły grzmotnął w nie obcasem.

– Mucha szpiegowska – odparł półgłosem. – Krzyżuje się je w taki sposób, że są coraz mniejsze i mają coraz lepszą pamięć. Podszuchałyby naszą rozmowę, a potem wróciła do tamtych i powtórzyła im ją słowo w słowo.

– Takiej małej jeszcze nie widziałem – przyznał Charles Capes.

Malcolm upewnił się, że mucha nie żyje, i wyrzucił ją przez okno.

– Myślałem o tym, żeby ją zostawić – powiedział. – Niech potem tracą czas na odsłuchiwanie naszych rozmów. Tylko że wtedy trzeba by się stale mieć na baczności, co się tutaj mówi, a to na dłuższą metę jest męczące. Poza tym taka mucha może się przemieszczać, więc nigdy nie mieliśmy pewności, gdzie akurat jest. Lepiej, żeby pomyśleli, że się popsują.

– Pierwszy raz usłyszałem o Królewskim Instytucie Etnologicznym – przyznał Capes. – O co właściwie chodzi z tymi dokumentami? I gdzie naprawdę są?

– W moim gabinecie – odparła Lucy Arnold. – Są tam też okazy, nasiona i cała reszta.

– Nie mogą tu zostać – orzekł Malcolm. – Kiedy ci ludzie wrócą, to już z nakazem przeszukania. Mogę zabrać papiery.

– Może ja to zrobię? – zasugerował Capes. – Pomijając wszelkie inne względy, chętnie bym je przejrzał. A w naszych piwnicach w Wykeham jest mnóstwo

dogodnych kryjówek.

– Dobrze – zgodziła się profesor Arnold. – Zgoda. Dziękuję wam. Nie wiem, co robić.

– Za pozwoleniem... – wtrącił Malcolm. – Chętnie wziąłbym ten tomik tadżyckiej poezji. Chcę coś sprawdzić. Znasz *Dżahana i Ruchsanę*? – zapytał Capesa.

– Hassall miał to przy sobie? Ciekawe.

– Owszem, miał, a ja chcę się dowiedzieć dlaczego. Wracając do KSD... Kiedy się zorientują, że Królewski Instytut Etnologiczny nie istnieje, od razu przyjdą do mnie. Do tego czasu zdążę jednak coś wymyślić. Na razie chodźmy zabrać te rzeczy.

Po południu Lyra poszła na przechadzkę nad rzekę. Nadąsany Pan towarzyszył jej bez entuzjazmu. Chwilami zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale Lyra wolała pogrążyć się w lodowatym odosobnieniu, więc ostatecznie włókł się po prostu za nią tak daleko, jak tylko mógł bez wzbudzania podejrzeń, i milczał.

Popołudniowe światło gęstniało pod drzewami w półmrok wieczoru, a wszechobecna mgła niemal przechodziła w mżawkę, gdy Lyra złapała się na tym, że po powrocie ze spaceru miała nadzieję zastać Malcolma w Pstrągu. Chciała go zapytać o... no, nieważne, zapomniała o co, ale sobie przypomni. I chciała zobaczyć, jak Pauline zachowuje się w jego obecności, żeby się przekonać, czy w wariackiej teorii Pantalaimona jest ziarenko prawdy.

Malcolma jednak nie było, a ona wolała nie pytać, gdzie jest, na wypadek gdyby... gdyby... Sama nie wiedziała dlaczego. Sfrustrowana i rozżalona położyła się spać. Nie miała nawet ochoty na czytanie. Sięgnęła po *Hiperchorezmijczyków* i otworzyła ich na chybił trafił, ale osobliwa intensywność przeżyć płynących z lektury, która wcześniej bez reszty ją zauroczyła, gdzieś się ulotniła.

W dodatku Pan nie mógł usiedzieć na miejscu: snuł się po pokoiku, wskakiwał na parapet, nasłuchiwał pod drzwiami, myszkował w szafie.

– Na litość boską, Pan! – nie wytrzymała w końcu. – Połóżże się spać!

– Nie jestem śpiący. Ty zresztą też nie.

– To może przestałbyś się chociaż tak kręcić?

– Dlaczego tak ciężko jest z tobą porozmawiać, Lyro?

– Ze mną?!

– Muszę ci coś powiedzieć, ale cały czas mi to utrudniasz.

– No przecież słucham.

– Wcale nie. Nie tak jak należy.

– Nie wiem, co mam zrobić, żeby słuchać jak należy. Może powinnam użyć wyobraźni, której nie mam?

– Nie o to mi chodziło. Zresztą...

– Ależ oczywiście, że o to ci chodziło. Wyraziłeś się jasno.

– Od tamtej pory dużo o tym myślałem. Kiedy w nocy wyszedłem...

– Nie chcę o tym słyszeć. Wiedziałaś, że wychodzisz, wiem również, że z kimś rozmawiałeś, i nie jestem tym zainteresowana.

– Lyro, to ważne. Wysłuchaj mnie, proszę.

Pan wskoczył na nocny stolik. Lyra nic nie powiedziała, opadła tylko na poduszkę i wbiła wzrok w sufit.

– No? – rzekła w końcu.

– Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś w takim nastroju.

– Robisz się niemożliwy.

– Staram się znaleźć najlepszy sposób na...

– Mówże!

Cisza.

Pan westchnął ciężko.

– Jak wiesz – zaczął – w plecaku, wśród mnóstwa innych rzeczy, znaleźliśmy też...

– Tak?

– Notatnik z nazwiskami i adresami.

– Co w związku z tym?

– Przeoczyłaś w nim nazwisko, które mnie wpadło w oko.

– Czyje?

– Sebastiana Makepeace'a.

Lyra usiadła na łóżku.

– Gdzie było?

– W notatniku, mówiłem. Jedyne oksfordzki adres.

– Kiedy je zauważyłaś?

– Kiedy go kartkowałam.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Spodziewałem się, że sama je dostrzeżesz. Poza tym ostatnio trudno jest się do ciebie z cokolwiek przebić.

– Nie wygłupiaj się, mogłeś mi powiedzieć. Gdzie jest ten notes? Malcolm go ma?

– Nie. Schowałem go.

– Dlaczego? I gdzie?

– Dlatego, że chciałem się dowiedzieć, dlaczego pan Makepeace znalazł się w tym spisie. Dlatego wymknąłem się wczoraj w nocy i zaniósłem mu notes.

Lyra omal nie zadławiła się ze złości. Przez chwilę naprawdę nie mogła zaczerpnąć tchu. Dygotała na całym ciele. Pan, który doskonale to widział, zeskoczył ze stolika na fotel.

– Jeżeli nie będziesz mnie słuchać, Lyro, nie zdołam ci przekazać, co powiedział pan Makepeace...

– Ty wstrętny, mały szczurze! – prawie wyszlochała Lyra. Nie poznawała własnego głosu, nie umiała się powstrzymać od mówienia tych okropnych rzeczy, nie wiedziała nawet, dlaczego właściwie je mówi. – Ty oszuście! Złodzieju! Nie dość, że tamtej nocy sprawiłeś mi zawód, pozwoliłeś, żeby dajmon zobaczył cię z portfelem, to jeszcze teraz w tajemnicy przede mną...

– Bo nie chciałaś mnie słuchać! I teraz też nie chcesz!

– Nie chcę, bo wiem, że nie mogę ci już ufać. Jesteś dla mnie obcy, Pan. Obcy, do diabła, rozumiesz?! Nie umiem wyrazić słowami, jak bardzo cię nienawidzę, kiedy robisz coś takiego...

– Gdybym go nie zapytał, nie dowiedziałbym się...

– Pomyśleć, że tak ci... tak ci ufałam... Byłeś dla mnie wszystkim, byłeś jak skała, jak opoka, mogłabym... a ty mnie tak zdradziłeś...

– Ja cię zdradziłem?! Posłuchaj samej siebie! To ty zdradziłaś mnie w krainie umarłych! Myślisz, że kiedykolwiek ci to wybaczę?!

Lyra poczuła się, jakby ktoś kopnął ją w samo serce. Opadła na poduszkę.

– Przestań – wyszeptała.

– To była najgorsza rzecz, jaką zrobiłaś w życiu.

Dokładnie wiedziała, co Pantalaimon ma na myśli. W okamgnieniu wróciła pamięcią do krainy umarłych i tamtej straszliwej chwili, w której zostawiła go za sobą, na brzegu rzeki, udając się na poszukiwanie ducha swojego przyjaciela, Rogera.

– Wiem – powiedziała. Ledwie słyszała własny głos, tak mocno waliło jej serce. – Wiem, że tak było. A ty wiesz, dlaczego to zrobiłam.

– Już wcześniej wiedziałas, że to zrobisz, ale mi nie powiedziałaś.

– Wcale nie! Skąd miałam wiedzieć? Dopiero w ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że nie możesz iść z nami. Zawsze byliśmy razem i myślałam, że zawsze będziemy. Tak myślałam, tego właśnie chciałam: razem na zawsze. Ale potem ten starzec powiedział, że nie możesz dalej pójść... Will, który nawet nie wiedział, że ma dajmona, musiał zrobić to samo: porzucić część siebie. Pan, nie myślisz chyba, że to zaplanowałam? Naprawdę uważasz, że jestem aż tak okrutna?

– To dlaczego nigdy mnie o to nie zapytałaś? Dlaczego nigdy się nie zainteresowałaś, co ja wtedy czułam?

– Przecież rozmawialiśmy o tym.

– Tylko kiedy to ja poruszyłem ten temat. Ciebie to nigdy nie interesowało.

– To nie fair, Pan...

– Nie chciałaś się z tym zmierzyć.

– Byłam zawstydzona. Musiałam to zrobić i było mi okropnie wstyd z tego powodu, ale tak samo byłoby mi wstyd, gdybym tego nie zrobiła. Od tamtej pory stale dręczą mnie wyrzuty sumienia i jeśli o tym nie wiesz...

– Kiedy płynęliście z tym starcem w mrok, czułem się, jakby coś próbowało rozedrzeć mnie na dwoje – powiedział drżącym głosem Pantalaimon. – Omal mnie to nie zabiło, ale jeszcze gorsza, gorsza od wszelkiego bólu, była świadomość, że mnie porzuciłaś. Że mogłaś mnie tam zostawić samego. Nie masz pojęcia, jak wypatrywałem sobie oczy, jak cię nawoływałem, jak za wszelką cenę próbowałem nie stracić cię z oczu, gdy z wolna przepadałaś w ciemności. Ostatnią rzeczą, najostatniejszą, jaką widziałem, były twoje włosy, patrzyłem na nie do samego końca, dopóki mrok ich nie pochłonął. I byłbym gotowy się tym zadowolić, ten błysk twoich włosów, ta ledwie widoczna plamka światła, która była tobą, byłaby mi wystarczyla, gdybym tylko mógł ją cały czas oglądać. I mógłbym tam zostać, zostać na zawsze, mógłbym tam tkwić po dziś dzień, wiedząc, że tam jesteś i że cię widzę. Dopóki ona by trwała, trwałbym i ja tam, na tym brzegu...

Zawiesił głos. Lyra szlochała.

– Myślisz, że ja... – Zdławiony głos uwiązał jej w gardle. – Roger – zdołała jeszcze wykrztusić, ale to było wszystko. Rozszlochała się na dobre.

Siedzący na stoliku Pan przez chwilę jej się przyglądał, po czym gwałtownym, konwulsyjnym ruchem odwrócił się do niej tyłem, jakby i nim wstrząsnął płacz. Żadne jednak nie odezwało się ani słowem, żadne nie próbowało wyciągnąć ręki do

tego drugiego.

Lyra zwinęła się w kłębek, nakryła głowę rękami i długo płakała, zanim w końcu się uspokoiła. Wtedy znów usiadła, otarła łzy z policzków i zobaczyła Pana, który, roztrzęsiony, cały czas leżał zwrócony do niej tyłem.

– Pan... – przemówiła głosem ochrypłym od płaczu. – Zdaję sobie sprawę, co zrobiłam. Wtedy się za to nienawidziłam i będę się nienawidziła do końca życia. Nienawidzę każdej cząstki mnie, która nie jest tobą, i będę musiała z tym żyć. Czasem wydaje mi się, że gdybym mogła popełnić samobójstwo, nie zabijając przy tym ciebie, to chyba bym to zrobiła, tak bardzo czuję się nieszczęśliwa. Nie zasługuję na szczęście, wiem. Wiem, że... kraina umarłych... to, co zrobiłam, to było coś potwornego, ale zostawienie tam Rogera też byłoby złe i... Tak. To najgorsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu. Masz całkowitą rację. Przepraszam cię, Pan. Z całego serca cię przepraszam. Naprawdę.

Nie poruszył się. W nocnej ciszy słyszała, że on także płacze.

– Nie chodzi tylko o to, co zrobiłaś wtedy; także o to, co robisz teraz. Powiedziałem ci to niedawno: swoim nowym sposobem myślenia zabijasz nas oboje. Żyjesz w świecie pełnym barw, a koniecznie chcesz go oglądać w czerni i bieli. Tak jakby Gottfried Brande okazał się jakimś czarownikiem, który kazał ci zapomnieć o wszystkim, co niegdyś kochałaś, o wszystkim, co tajemnicze, o wszystkich tych miejscach, które skrywa cień. Jak możesz nie dostrzegać pustki światów opisywanych przez niego i Talbota? Przecież wcale nie uważasz, że wszechświat jest taki jałowy, niemożliwe, żebyś naprawdę tak myślała. Musieli rzucić na ciebie czar. Zły urok. Nie ma innego wyjścia.

– Pan – mruknęła Lyra, ale tak cichutko, że miała nadzieję, że jej nie usłyszy – magia nie istnieje.

– Tak jak nie istnieje kraina umarłych, domyślam się, a to wszystko było tylko dzieciennym snem: inne światy, delikatny nóż, więdźmy... We wszechświecie, w który chcesz wierzyć, nie ma dla nich miejsca. Jak myślisz, jak działa alethiometr? Powiesz pewnie, że jego symbole mają tak wiele znaczeń, że można z nich wyczytać cokolwiek się zechce, więc w gruncie rzeczy są pozbawione wszelkiego znaczenia. A ja? Ja jestem tylko złudzeniem, sztuczką twojego umysłu, świstem wiatru w pustej czaszce. Wiesz co, Lyro? Naprawdę mam dość.

– Co masz na myśli?

– Nie chuchaj na mnie. Śmierdzisz czosnkiem.

Odwróciła się do niego plecami, upokorzona i nieszczęśliwa.

Leżeli w ciemności i popłakiwali cicho.

Kiedy rano Lyra się zbudziła, Pantalaimona przy niej nie było.

11

Węzeł

Mgła i pajęczyny – było ich pełno w jej głowie, w całym pokoju i we śnie, z którego się przebudziła.

– Pan – przemówiła. Z trudem rozpoznała swój głos. – Pan?

Nie usłyszała odpowiedzi, nie było chrobotu pazurków na podłodze, nikt lekko jak piórko nie wskoczył na łóżko.

– Pan, co ty wyrabiasz? Gdzie jesteś?

Podbiegła do okna, gwałtownym ruchem odgarnęła zasłonę. Po drugiej stronie rzeki wyrastały ruiny klasztoru skąpane w perłowym blasku poranka. Świat istniał w najlepsze, bez mgieł, bez pajęczyn... Bez Pana.

Może jest gdzieś w pokoju. Pod łóżkiem, w kredensie, na szafie? Nie, oczywiście, że nie. To nie była zabawa.

Jej wzrok padł na leżący przy łóżku plecak. Nie położyła go tam. Na plecaku leżał mały czarny notatnik Hassalla, o którym wspominał Pantalaimon.

Wzięła go do ręki. Był powycierany, poplamiony, miał liczne ośle uszy. Kartkując go teraz powtórnie, dostrzegła to, co już wcześniej zwróciło uwagę Pantalaimona: nazwiska i adresy układały się w ślad wędrówki z tajemniczego Chorezmu do domu w Edynburgu, przy Lawnmarket. Było tam również nazwisko Sebastiana Makepeace'a, tak jak twierdził Pan, wraz z adresem: Juxon Street, Oksford. Dlaczego wcześniej nie wpadło jej w oko? Dlaczego nie zauważyła, że Pan ukrył notatnik? Ile tysięcy innych rzeczy przeoczyła?

Nagle z notatnika wypadła karteczka. Chwyciła ją w drżące dłonie.

Pazurki Pana nie były stworzone do trzymania ołówka, ale był w stanie jako tako pisać, trzymając go w pyszczku. Liścik brzmiał:

POSZEDŁEM SZUKAĆ TWOJEJ WYOBRAŹNI

Tyle.

Usiadła. Czowała się nieważka, przezroczysta, odcieleśniona.

– Jak możesz być taki... – wyszeptwała i zawiesiła głos. Nie wiedziała, jak zakończyć to pytanie. – Jak mam żyć w takim...

Budzik wskazywał pół do siódmej. W pubie było jeszcze cicho. Państwo Polsteadowie wkrótce wstaną, żeby palić w piecach, szykować śniadanie i wykonywać wszystkie inne czynności niezbędne o poranku. Jak miała im o tym powiedzieć? Mogłaby powiedzieć Malcolmowi, ale jego nadal nie było. Kiedy wróci?

Pewnie niedługo, robota czeka. Tak, na pewno wkrótce przyjdzie.

Ale jak ja mam im o tym powiedzieć?, pomyślała znowu. Jak mogę się im tak pokazać? To by było żenujące, chyba bym się spaliła ze wstydu.

Ludzie, których praktycznie nie znała, przyjęli ją pod swój dach, ona zaczęła ich lubić i miałyby im się teraz narzucać w takim stanie, jako monstrum? Półczłowiek? Pauline, Alice, Malcolmowi... Malcolm wprowadzie by zrozumiał, ale i tak wydałaby mu się pewnie odrażająca. I jeszcze ten odór czosnku...

Rozpląkałaby się, gdyby strach jej nie sparaliżował.

Uciekaj, pomyślała. Ucieknij dokądś i się ukryj.

Jej umysł miotał się na wszystkie strony, cofał się, wybiegał w przyszłość, wracał, znów nurkował w przeszłość, aż w końcu wyłowił z otchłani pamięci drogą twarz człowieka, któremu mogła zaufać: twarz ojczulka Corama.

Był już stary i na krok nie ruszał się z Moczarów, ale zachował dawną bystrość i żwawość. Pisywali do siebie od czasu do czasu i na pewno zrozumiałby jej trudną sytuację. Tylko jak miała do niego dotrzeć? Jej pamięć, trzepocząca pomiędzy kolejnymi obrazami jak uwięziony w pokoju ptak, natrafiła na scenę w White Horse, sprzed wieczora lub dwóch: Dick Orchard w zawiązanej na szyi gipskiej apaszcze. Wspomniał coś o tym, że jego dziadek, Giorgio... jakiś tam... będzie w tym tygodniu w Oksfordzie. Sam Dick pracował w sortowni na nocną zmianę, więc w ciągu dnia powinien być w domu.

Tak.

Pośpiesznie włożyła najcieplejsze ubranie, trochę swoich rzeczy wrzuciła jeszcze do plecaka wraz z czarnym notesem i innymi drobiazgami, rozejrzała się po pokoiku, w którym nauczyła się już czuć jak w domu, i po cichu zeszła na parter.

Na znalezionej w kuchni kartce napisała ołówkiem krótki liścik:

Przepraszam, naprawdę bardzo mi przykro. Dziękuję za wszystko, ale muszę odejść. Nie mogę wyjaśnić. Lyra.

Dwie minuty później znalazła się nad rzeką. Szła ze wzrokiem wbitym w ścieżkę przed sobą, w kapturze naciągniętym głęboko na głowę. Gdyby kogoś zobaczyła, musiałaby udać, że go nie zauważa. Ludzie często nosili swoje dajmony (o ile tylko były odpowiednio małe) w wewnętrznej kieszeni okrycia wierzchniego, więc i ona mogła robić podobnie. Wcale nie musiała wyglądać podejrzanie.

Było wcześniej, szła szybko, ale droga do Botley, gdzie mieszkała rodzina Dicka, i tak zajęła jej prawie godzinę. Ponad Port Meadow niósł się przykry dźwięk miejskich dzwonów wybijających... którą to, pół do ósmej? Pół do dziewiątej? Nie, jeszcze nie. Na pewno nie. Zastanawiała się, o której kończy się nocna zmiana w sortowni: jeżeli Dick zaczynał pracę o dziesiątej wieczorem, niedługo powinien wracać do domu.

Skreśliła w Binsey Lane i zwolniła kroku. Zapowiadał się jeden z rzadkich pogodnych dni. Słońce świeciło jasno, powietrze było rześkie. Binsey Lane łączyła łąkę z Botley Road, główną drogą prowadzącą do Oksfordu od zachodu. Ludzie właśnie wstawali z łóżek, szykowali się do wyjścia do pracy. Miała nadzieję, że będą mieli dość własnych spraw na głowie, żeby nie zwracać na nią uwagi. Liczyła na to, że stanie się zupełnie nijaka, tak jak potrafił to robić Will. I tak jak robiły to wiemy,

kiedy chciały się stać niewidzialne: ludzie obrzucali je przelotnym spojrzeniem i zaraz zapominali o ich istnieniu. Właściwie sama mogłaby być wiedźmą, której dajmon przemierza tundrę setki mil od niej.

Takie myśli zaprzętały ją aż do skrzyżowania z Botley Road, gdzie musiała rozejrzeć się na boki, by bezpiecznie przejść przez jezdnię i znaleźć właściwą przecznicę po drugiej stronie. Była wcześniej w domu Orchardów ze trzy, może cztery razy. Mogła nie pamiętać numeru, ale zapamiętała, jak wyglądają drzwi wejściowe.

Zapukała. Dick powinien być już w domu... Prawda? A jeśli go nie ma i będzie musiała się tłumaczyć przed jego rodzicami, którzy byli wprawdzie całkiem sympatyczni, ale... Niewiele brakowało, żeby okręciła się na pięcie i odeszła, gdy wtem drzwi się otworzyły i w progu stanął Dick. Wyglądał na zmęczonego, jakby rzeczywiście dopiero co wrócił z pracy.

– Lira! Co ty tu robisz? Wszystko w porządku?

– Jesteś sam, Dick? Jest ktoś jeszcze w domu?

– Ale o co chodzi? Co się stało? Jesteśmy tylko ja i babcia... Chodź, wejdz. Czekać...

Lisi dajmon Dicka schował się za nim i zakwilił cicho. Dick wziął go na ręce i wtedy zorientował się, w czym rzecz.

– Gdzie Pan? Lyro, co się dzieje?

– Mam kłopoty. – Lira nie była w stanie zapanować nad drzeniem głosu. – Mogę wejść? Proszę.

– Jasne, oczywiście. Wchodź, wchodź...

Dick się cofnął, robiąc jej miejsce w wąskim przedpokoju, a gdy tylko przeszła przez próg, zamknął za nią drzwi. W jego oczach malował się lęk i konsternacja, ale nawet się nie wzdrygnął.

– Pan odszedł, Dick – odparła. – Zostawił mnie.

Dick przytknął palec do ust i spojrzał na schody na piętro.

– Chodź do kuchni – powiedział półgłosem. – Babcia nie śpi, a łatwo ją wystraszyć. Nie rozumie wielu rzeczy.

Spojrzał na Lyrę takim wzrokiem, jakby nie był pewien, z kim ma do czynienia, po czym zaprowadził ją wąskim korytarzem do kuchni, cieplej i pachnącej smażonym bekonem.

– Przepraszam cię, Dick. Potrzebuję pomocy i pomyślałam...

– Siadaj. Napij się kawy?

– Chętnie, dzięki.

Napełnił czajnik i postawił go na piecu kuchennym. Lira usiadła na drewnianym fotelu z boku kominka, przyciskając do piersi plecak. Dick zajął miejsce naprzeciwko. Jego dajmon, Bindi, wskoczył mu na kolana i, drżąc, wtulił się w niego.

– Przykro mi, Bindi – powiedziała Lira. – Strasznie mi przykro. Nie wiem, dlaczego odszedł. Chociaż właściwie to wiem, tylko po prostu... trudno to wyjaśnić. My...

– Zawsze się zastanawialiśmy, czy to potraficie – wtrącił Dick.

– O co ci chodzi?

– Rozdzielić się. Nigdy nie widzieliśmy, żebyście to robili, ale dało się wyczuć, że jeżeli ktoś miałby to potrafić, to właśnie wy. Kiedy sobie poszedł?

– Dziś w nocy.

- Nie zostawił żadnej wiadomości? Nic?
- No niezupełnie... Posprzeczałyśmy się... To były trudne chwile...
- Nie wolałaś poczekać? Może wróci?
- Na pewno nie wróci przez długi czas. A może nawet nigdy.
- Tego nie wiesz.
- Wydaje mi się, że muszę wyruszyć na poszukiwanie go.

Z piętra dobiegł słaby okrzyk. Dick obejrzał się na drzwi do kuchni.

- Zajrzę do niej – powiedział. – Zobaczę, czego chce. Zaraz wracam.

Bindi pierwsza wybiegła za drzwi, Dick za nią. Lyra przymknęła oczy i spróbowała uspokoić oddech. Kiedy Dick wrócił, woda już się gotowała. Po łyżeczce kawowej esencji do kubka, kropelka mleka, pytanie o cukier, a potem napełnił oba kubki wodą i podał jeden Lyrze.

- Dzięki. Z babcią wszystko w porządku?

– Ma swoje lata. Jest zdezorientowana i źle sypia, dlatego ktoś musi przy niej stać. Nigdy nie wiadomo, czy nie wstanie z łóżka i nie zrobi sobie krzywdy.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio w White Horse, wspomniałeś o dziadku... To jego żona?

- Nie. To jest mama taty. Gipcjan mam w rodzinie ze strony mamy.

- Mówiłeś też, że dziadek jest w Oksfordzie, prawda?

– Jest, owszem, przywiózł zamówienie do warsztatu szkutniczego w Castle Mill. Ale niedługo wyjeżdża. Czemu pytasz?

- Czy mógłby... Myślisz, że mogłabym się z nim spotkać?

- Pewnie, jeśli chcesz... Pójdę z tobą, tylko musimy poczekać, aż mama wróci.

Lyra wiedziała, że matka Dicka jest sprzątaczką w Kolegium Worcester.

- Kiedy to będzie? – zapytała.

– Koło jedenastej, może ciut później, gdyby wracając, robiła jakieś zakupy. Dlaczego chcesz się widzieć z moim dziadkiem?

– Muszę się udać na Moczary. Jest tam ktoś, z kim powinnam się spotkać. I chcę zapytać twojego dziadka, jak najlepiej się tam dostać, nie dając się złapać ani nie rzucając się w oczy... Chciałabym zasięgnąć jego rady.

Dick pokiwał głową. W tej chwili nie wyglądał na Gipcjanina, miał rozczochrane włosy i oczy zaczerwienione ze zmęczenia. Pociągnął łyk kawy.

- Nie chciałabym i ciebie wciągnąć w kłopoty – zastrzegła się Lyra.

– Ma to coś wspólnego z tym morderstwem nad rzeką, o którym mi wtedy opowiadałaś?

- To możliwe, ale na razie nie widzę takiego związku.

- Benny Morris wciąż nie wrócił do pracy, nawiasem mówiąc.

- A, ten ze zranioną nogą... Nie rozповідаłeś chyba, o czym rozmawialiśmy?

– Jak to nie? Wywiesiłem wielgachną tablicę na ścianie w stołówce. Serio, za kogo ty mnie masz? W życiu bym cię nie sypnął, dziewczyno.

- Wiem. Naprawdę.

- Ale dzieje się coś poważnego, tak?

- Bardzo.

- Ktoś jeszcze wie?

– Tak, doktor Polstead, Malcolm Polstead, akademik z Kolegium Durham. Kiedyś, dawno temu, był moim nauczycielem, a teraz wie o wszystkim, bo... Ojej,

Dick, to skomplikowane. W każdym razie ufam mu. Wie o różnych rzeczach, o których nikomu innemu nie mówiłam, ale nie mogę mu powiedzieć o odejściu Pana. Po prostu nie mogę. Klóciliśmy się z Panem już od jakiegoś czasu. To było coś okropnego, nie dogadywaliśmy się we wszystkich ważnych sprawach. Jakby coś rozcięło mnie na dwoje... A potem zdarzyło się to morderstwo i nagle znalazłam się w niebezpieczeństwie. Wydaje mi się, że ktoś wie o tym, że Pan był świadkiem. Przez ostatnie dwa dni nocowałam w pubie rodziców doktora Polsteada, ale...

– Co to za pub?

– Pstrąg. W Godstow.

– Wiedzą, że Pan... zniknął?

– Nie, dziś rano wyszłam, zanim ktokolwiek zdążył wstać. Muszę się pilnie dostać na Moczary, Dick, naprawdę. Pomożesz mi się skontaktować z dziadkiem? Proszę...

Z góry znów dobiegł krzyk, ale tym razem towarzyszył mu głuchy łoskot, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę. Dick pokręcił głową i wybiegł.

Lyra nie była w stanie usiedzieć spokojnie na miejscu. Wstała i wyjrzała przez kuchenne okno na schludne podwóreczko, brukowaną dróżkę i rabatę ziół, zerknęła na kalendarz ścienny ze zdjęciem zmiany warty przed pałacem Buckingham, przeniosła wzrok na odstawioną na ociekacz patelnię, na której tężał tłuszcz z bekonu. Chciało jej się płakać. Wzięła trzy głębokie oddechy i ze złością zamrugnęła powiekami.

Drzwi się otworzyły, Dick wrócił do kuchni.

– No, teraz obudziła się na dobre – mruknął. – Szlag by to... Będę jej musiał zanieść owsiankę. Na pewno nie zostaniesz? Nawet na chwilę? Nikt się nie dowie.

– Nie. Naprawdę powinnam iść.

– No dobrze... W takim razie weź to.

Dick podał Lyrze zawiązaną w skomplikowany węzeł niebiesko-białą apaszkę w grochy, tę samą, którą miał w pubie, albo inną, bardzo do niej podobną.

– Dziękuję, ale... po co mi ona?

– Chodzi o węzeł. To taki gipski szyfr. Oznacza, że potrzebujesz pomocy. Pokaż ją mojemu dziadkowi. Jego łódź to Portugalska Dziewica. Dziadek jest wysoki, silny, przystojny, tak jak ja... Na pewno go rozpoznasz. Nazywa się Giorgio Brabant.

– Dobra. Dziękuję ci, Dick. Życz babci powrotu do zdrowia.

– Biedaczka... To się może skończyć tylko w jeden sposób.

Lyra pocałowała Dicka. Lubiała go.

– Do zobaczenia... kiedy wrócę.

– Długo zamierzasz zabawić na Moczarach?

– Tyle, ile będzie trzeba. Mam nadzieję.

– A jak się nazywa ten człowiek? Ten... doktor?

– Malcolm Polstead.

– A tak, faktycznie. – Dick odprowadził ją do wyjścia. – Idź Binsey Lane – poradził jej. – Za ostatnim domem po prawej jest ścieżka wśród drzew, zaprowadzi cię prosto nad rzekę. Przejdź po starym drewnianym mostku i idź dalej, aż dotrzesz do kanału. Na ścieżce holowniczej skręć w lewo, a dojdiesz do Castle Mill. Powodzenia. Tylko opatul się dobrze, to może pomyślał, że... no wiesz.

CMoknął ją, objął i przytulił na chwilę, a potem otworzył jej drzwi. Widząc współczujące spojrzenie Bindi, Lyra żałowała, że nie może pogłaskać ślicznej lisiczki – ot tak, żeby znów poczuć dotyk dajmona. Było to jednak wykluczone.

Z góry dobiegło drżące nawoływanie staruszki. Dick zamknął drzwi. Lyra znów znalazła się pod gołym niebem.

Cofnęła się do Botley Road, na której cały czas panował spory ruch, przeszła na drugą stronę i skierowała się ku rzece. Narzuciła kaptur, szła ze spuszczoną głową i wkrótce dotarła do ścieżki wśród drzew i starego drewnianego mostka, o którym mówił Dick. Po obu stronach leniwie rozlewała się rzeka – w górze jej biegu rozpościerała się Port Meadow, w dole znajdowały się Oxpens i miejsce zabójstwa. W zasięgu wzroku nikogo nie było. Lyra przeszła po mostku i błotnistą ścieżką przez podmokłą łąkę dotarła nad kanał, gdzie cumował cały sznur łodzi – niektóre dymyły z blaszanych kominów, a na jednej wściekle ujadł pies, przynajmniej dopóki Lyra nie podeszła bliżej, bo wtedy wyczuł, że coś jest nie w porządku i, skomląc, skulił się przy przeciwniejszej burcie.

Kawałek dalej dostrzegła kobietę zajętą rozwieszaniem prania na sznurze przeciągniętym przez całą długość łodzi.

– Dzień dobry, szanowna pani – powiedziała. – Szukam Giorgia Brabandta z Portugalskiej Dziewicy. Nie wie pani, gdzie cumuje?

Kobieta odwróciła się w jej stronę. Jej naturalną podejrzliwość wobec nieznamym łagodził fakt, że Lyra użyła właściwego gipskiego zwrotu grzecznościowego.

– Dalej – odparła – na wysokości warsztatu skutniczego. Ale dziś miał odpłynąć, możesz go już nie zastać.

– Dziękuję.

I Lyra ruszyła żwawo przed siebie, nie czekając, aż kobieta nabierze dalszych podejrzeń.

W warsztacie skutniczym zajmującym obszerny plac na drugim brzegu kanału, pod samą dzwonnica kościoła Świętego Barnaby, panował spory ruch. Był tam składzik handlowy, w którym Malcolm dwadzieścia lat wcześniej szukał czerwonej farby, były warsztaty i pracownie rzemieślników, suchy dok, kuźnia i sporo ciężkiej maszynierii wszelkiej maści. Gipcjanie i ładowcy pracowali ramię w ramię: łąkali kadłuby, malowali dachy, montowali stery. Najdłuższa – i zdecydowanie najpiękniej przyozdobiona – z cumujących tam łodzi nosiła nazwę Portugalska Dziewica.

Lyra przeszła po żelaznym mostku i podeszła do łodzi. Wysoki, barczysty mężczyzna w koszuli, której podwinęte rękawy odsłaniały wytatuowane przedramiona, klęczał w kokpicie z kluczem francuskim w ręce i majstrował przy silniku. Nie podniósł wzroku na Lyrę, gdy przystanęła obok łodzi, ale jego dajmon – czarno-srebrzysty wolfszpic – wstał, nastroszył sierść jak lew grzywę i zawarczał groźnie.

Lyra podeszła bliżej: cicho, ostrożnie, ale bez wahania.

– Dzień dobry, panie Brabandt – powiedziała.

Kiedy zadarł głowę, dostrzegła w jego rysach ślad twarzy Dicka – starszej, większej i grubo ciosanej, ale nie do pomylenia z żadną inną. Nic nie powiedział, zmarszczył tylko brwi i przymrużył oczy.

Lyra wyjęła z kieszeni apaszkę i wyciągnęła ją przed siebie w obu rękach, pokazując węzeł. Na jego widok wyraz twarzy mężczyzny zmienił się z podejrzliwego na gniewny. Ciemny rumieniec wypłynął mu na policzki.

– Skąd ją masz?

– Pół godziny temu dał mi ją pański wnuk, Dick. Spotkałam się z nim, ponieważ mam kłopoty i potrzebuję pomocy.

– Schowaj ją i wejdź na pokład. Nie rozglądaj się na boki, po prostu przestąp nad nadburciem i schowaj się w kabinie.

Wytań rękę w brudną od smaru szmatę, a gdy Lyra zniknęła w kabinie, wszedł za nią i zamknął drzwi.

– Skąd znasz Dicka? – zapytał.

– Przyjaźnimy się.

– To on ci wcisnął ten kłopot do brzucha?

Lyra nie od razu zorientowała się, co Brabandt ma na myśli. Dopiero po chwili oblała się rumieńcem.

– Nie! To nie o taki kłopot chodzi, umiem o siebie zadbać. Rzecz w tym, że... mój dajmon...

Nie była w stanie skończyć zdania. Czuła się potwornie bezbronna, jakby jej przypadłość nagle stała się obrzydliwa i dla wszystkich widoczna. Wzruszyła ramionami, rozpięła płaszcz, rozchyliła jego poły i rozłożyła ręce. Brabandt zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Cofnął się odruchowo, zbladł jak ściana i złapał się framugi drzwi.

– Nie jesteś wiedźmą?

– Nie. Jestem zwykłym człowiekiem.

– W takim razie co ci się stało, na Boga?

– Straciłam dajmona. Przypuszczam, że ode mnie odszedł.

– I co ja miałbym na to poradzić?

– Nie wiem, panie Brabandt, ale muszę się dyskretnie przedostać na Moczary, na spotkanie ze starym przyjacielem. Nazywa się Coram van Texel.

– Ojczulek Coram jest twoim przyjacielem?!

– Dziesięć lat temu udałam się do Arktyki razem z nim i lordem Faa. Ojczulek Coram był przy mnie, gdy spotkaliśmy Iorka Byrnisona, króla niedźwiedzi.

– Jak się nazywasz?

– Lyra Złotousta. To imię nadał mi król niedźwiedzi, wcześniej nazywałam się Lyra Belacqua.

– To czemu od razu tak nie powiedziałaś?

– Właśnie mówię.

Przez moment Lyra bała się, że Brabandt spoliczkuje ją za bezczelność, on jednak rozpogodził się i krew na nowo napłynęła mu do policzków. Rzeczywiście był przystojny, tak jak to zapowiadał Dick, w tej chwili było jednak widać, że jest zaniepokojony, może nawet zalekniony.

– Ten twój... kłopot... Kiedy ci się przytrafił? – zapytał.

– Dziś rano. W nocy jeszcze przy mnie był, ale okropnie się pokłóciliśmy i kiedy się obudziłam, zniknął. Nie wiedziałam, co robić, ale potem przypomniałam sobie o Gipcjanach, Moczarach i ojczulku Coramie i pomyślałam, że on na pewno mnie nie skrzytykuje, ale zrozumie i może zdoła mi pomóc.

– Gipcjanie do dziś wspominają tę waszą podróż na północ. Lord Faa już zmarł, ale to była wielka rzecz, wielka wyprawa, bez dwóch zdań. Ojczulek Coram rzadko opuszcza dziś łódź, na której mieszka, ale zachował bystrość umysłu i pogodę ducha.

– Miło mi to słyszeć. Obawiam się jednak, że mogę i na niego ściągnąć kłopoty.

– Nie przejmie się tym. Ale chyba nie zamierzałaś podróżować w takim stanie, co? Jak chcesz gdziekolwiek się dostać bez dajmona?

– To będzie trudne, wiem, ale nie mogę zostać tam, gdzie mieszkam, gdzie mieszkałam, znaczy się, bo... Nie chcę, żeby tamci ludzie mieli przeze mnie problemy. W pubie panuje ruch, mnóstwo gości się przewija i nie zdołałabym się długo ukrywać. Poza tym byłoby to nie fair w stosunku do nich, bo obawiam się, że grozi mi także niebezpieczeństwo ze strony KSD. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności usłyszałam, jak Dick wspominał, że jest pan akurat w Oksfordzie, i pomyślałam, że może... Nie wiem. Nie mam gdzie się podziąć.

– To oczywiście. Pomyślmy... – Brabandt wyjrzał przez okno na nabrzeże, gdzie panowała ożywiona krzątanina, po czym przeniósł wzrok na swojego dajmona-wolfszpica, który odpowiedział niewzruszonym spojrzeniem. – John Faa przywiózł z tamtej wyprawy gromadę gipskich dzieci, których inaczej nigdy byśmy już nie zobaczyli. Z tego powodu mamy u ciebie dług wdzięczności. Nasz lud zaprzyjaźnił się też z wiedźmami, to było coś nowego. A ja i tak nie mam nic lepszego do roboty przez najbliższe dwa tygodnie. Handel kiepsko idzie. Pływałaś kiedyś na gipskiej łodzi? Na pewno...

– Popłynęłam na Moczary z Mamą Costą i jej rodziną.

– Z Mamą Costą, powiadasz? No, ona nie daje sobie w kaszę dmuchać. Umiesz sprzątać i gotować?

– Umiem.

– W takim razie witaj na pokładzie, Lyro. Chwilowo pływam sam, po tym, jak moja ostatnia dziewczyna uciekła na ląd i nie wróciła. Nie bój się, nie szukam dla niej zastępstwa, zresztą i tak jesteś dla mnie za młoda: wolę kobity z ciut większym przebiegiem. Ale jeśli będziesz gotować, zmywać i sprzątać, a przy okazji nie pokazywać się ładowcom, to pomogę ci i zawiozę cię na Moczary. Co ty na to?

Brabandt wyciągnął brudną od smaru dłoń. Lyra uściśnięła ją bez chwili wahania.

– Umowa stoi – powiedziała.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy Lyra i Giorgio Brabandt ściskali sobie dłonie, Marcel Delamare siedział w swoim gabinecie w La Maison Juste i czubkiem ołówka trącał małą buteleczkę: obracał ją dookoła, przesuwając, przestawiając. Dzień był pogodny, promienie słońca padały na mahoniowe biurko i rozświetlały buteleczkę. Miała długość małego palca mężczyzny, była zakorkowana i zalakowana czerwonym woskiem, który ściekł do połowy jej wysokości.

Wziął ją do ręki i podniósł do światła. Jego gość – wychudzony, ogorzały i wyglądający jak Tatar, ale odziany w niechlujny europejski strój – czekał w milczeniu.

– To jest to? – spytał Delamare. – Ten słynny olejek?

– Tak mi powiedziano, mój panie. Ja tylko powtarzam słowa kupca.

– Czy to on się do ciebie zwrócił? Skąd wiedział, że będziesz zainteresowany?

– Udałem się do Akczy w poszukiwaniu olejku. Rozpytywałem wśród kupców, handlarzy wielbłądów, pośredników, aż w końcu do mojego stolika podszedł pewien

mężczyzna...

– Do twojego stolika?

– Tam się handluje w herbaciarniach. Należy zająć stolik i dać do zrozumienia, że przybyło się sprzedać lub kupić jedwab, opium, herbatę albo inne towary. Podawałem się za przedstawiciela profesji medycznej. Zaczepiali mnie sprzedawcy ziół, dekoktów, olejków, owoców, nasion... Niektóre z nich nabyłem, aby nie wyjść z roli. Zachowałem wszystkie rachunki.

– Ale skąd wiesz, że to jest właśnie olejek, o który ci chodziło? Przecież to może być cokolwiek.

– Bez urazy, panie Delamare, ale to na pewno jest olejek różany z Karamakan. Z przyjemnością poczekam na zapłatę do czasu, aż sam pan go przebadasz i się przekonasz.

– O tak, możesz być pewien, że go przebadamy. Powiedz mi jednak, co cię przekonało?

Gość wrócił na krzesło, na którym wcześniej siedział, okazując przy tym zaledwie cięń maskowanego cierpliwością znużenia. Jego dajmon – wąż piaskowoszarej barwy z deseniem z czerwonych rombów po bokach – owijał mu się wokół dłoni, na przemian to płacząc się w jego palcach, to się z nich wyplątując. Delamare wychwycił w jego zachowaniu starannie skrywane ożywienie.

– Osobiście go wypróbowałem – powiedział jego gość. – Zgodnie z instrukcją sprzedawcy wylałem maciupęnką kropelkę na czubek małego palca i przytknąłem go do oka. Ból był natychmiastowy, przejmujący, dlatego zresztą sprzedawca nalegał, żebyśmy uprzednio przenieśli się z herbaciarni do mojego pokoju w hotelu. Krzyknąłem z bólu i zaskoczenia i miałem ochotę jak najszybciej przemyć oko, ale sprzedawca kazał mi się nie ruszać i go nie dotykać. Płukanie tylko wzmogłoby ból, powiedział. Wygląda na to, że tak właśnie postępują szamani, którzy używają tego olejku. Po jakichś dziesięciu, może piętnastu minutach ból zaczął słabnąć i wtedy zobaczyłem efekt opisywany w poemacie *Dżahan i Ruchsana*.

W tym momencie Delamare, który na bieżąco spisywał słowa gościa, przerwał mu, podnosząc dłoń.

– Co to za poemat? – zapytał.

– *Dżahan i Ruchsana* opowiada o dwojgu kochankach szukających ogrodu, w którym rosną róże. Kiedy po przejściu wielu prób wkraczają w końcu do ogrodu, prowadzeni przez króla ptaków, zostają pobłogosławieni różnymi wizjami, które rozwijają się przed nimi jak kolejne płatki róży, odsłaniając jedną prawdę po drugiej. Od niemal tysiąca lat historia ta jest otaczana powszechną czcią w tych rejonach Azji Środkowej.

– Czy poemat został przełożony na jakiś europejski język?

– Na francuski, o ile się nie mylę. Aczkolwiek przekład uchodzi za niezbyt wierny.

Delamare coś sobie zanotował.

– Co zobaczyłeś, będąc pod wpływem tego olejku?

– Sprzedawcę otaczała aureola, nimb złożony z roziskrzonych okruchów światła, drobniejszych niż mąka. Nieprzerwany strumień tych drobin łączył go także z dajmonem, który miał postać jaskółki. Przepływały w jedną i drugą stronę, bez przerwy. Patrząc tak, poczułem, że doświadczam czegoś niezwykle głębokiego

i prawdziwego, czemu nigdy w przyszłości nie będę w stanie zaprzeczyć. Wizja pomału zblakła, a ja, ponieważ miałem już pewność, że olejek jest prawdziwy, zapłaciłem sprzedawcy i przybyłem tutaj. Mam rachunek zakupu...

– Połóż na biurku. Rozmawiałeś z kimś jeszcze na ten temat?

– Nie, *monsieur*.

– I bardzo dobrze. A ta miejscina, w której kupiłeś olejek... Pokaż mi ją na mapie.

Delamare wstał, przyniósł leżącą na stole złożoną mapę i rozpostarł ją przed gościem. Obejmowała obszar mierzący mniej więcej czterysta na czterysta kilometrów, od północy i południa ograniczony górami.

Gość nałożył wiekowe okulary w drucianej oprawce, spojrzął na mapę i wskazał punkt przy samej jej zachodniej krawędzi. Delamare zapamiętał go, przeniósł spojrzenie na wschodni skraj mapy i zmierzył ją wzrokiem.

– Pustynia Karamakan jest kawałek dalej na południowy wschód – powiedział gość. – Ta mapa jej nie obejmuje.

– Jak daleko z tego miasteczka, o którym mówiłeś? Z Akczy?

– Około pięciuset kilometrów.

– Zatem olejkiem różanym handluje się daleko na zachód od niej.

– Rozpuściłem wici, czego szukam, i byłem gotowy czekać. – Gość zdjął okulary.

– Sprzedawca przyjechał specjalnie dla mnie. Mógł sprzedać olejek na miejscu firmie farmaceutycznej, ale był uczciwym człowiekiem.

– Firmie farmaceutycznej? Której?

– Jest ich trzy lub cztery, wszystkie zachodnie. Płacą fortunę, ale udało mi się zdobyć tę próbkę. Rachunek...

– Dostaniesz swoje pieniądze, ale wcześniej mam jeszcze kilka pytań. Kto zalakował tę buteleczkę?

– Ja.

– I przez całą podróż miałeś ją przy sobie?

– Towarzyszyła mi na każdym kroku.

– Czy ten olejek ma jakąś datę przydatności do użycia, jeśli można się tak wyrazić? Czy jego walory słabną z czasem?

– Nie wiem.

– Kto go kupuje? Kim są inni klienci twojego sprzedawcy?

– On sprzedaje nie tylko olejek, *monsieur*. Ma także inne towary, ale takie bardziej zwyczajne, rozumie pan: zioła lecznicze, przyprawy kuchenne, tego typu rzeczy... Wszyscy je kupują. Olejkiem, o ile mi wiadomo, interesują się głównie szamani, ale jest też instytut badawczy w Taszbułaku... – Okulary wróciły na nos. –

To też poza mapą, ale blisko. Mój sprzedawca kilka razy dostarczał olejek tamtejszym naukowcom. Bardzo im zależało na dostawie i szybko płacili, chociaż mniej niż farmaceuci. Właściwie powinienem powiedzieć, że instytut do niedawna był w Taszbułaku.

Delamare wyprostował się na krześle, choć niezbyt gwałtownie.

– Był, powiadasz? Mów dalej.

– Wiem to od sprzedawcy. Powiedział, że kiedy ostatni raz odwiedził placówkę, zastał jej pracowników ogarniętych zgrozą po tym, jak ktoś zagroził im śmiercią, jeżeli nie przerwą prowadzonych badań. Pakowali się i szykowali do wyjazdu. Kiedy jednak byłem w drodze z Akczy do Oksfordu, doszły mnie wieści, że instytut został

zniszczony, a ci, którzy nie zdążyli wcześniej wyjechać, zarówno naukowcy, jak i miejscowi robotnicy, albo puciekali, albo zostali zgładzeni.

– Kiedy się o tym dowiedziałaś?

– Niedawno. Nowiny szybko podróżują traktem.

– Kto miał zniszczyć instytut?

– Ludzie z gór. Tyle wiem.

– Z których gór?

– Tam są góry na północy, południu i zachodzie. Na wschodzie ciągnie się tylko pustynia, najstraszliwsza na świecie. Przełęcze górskie powinny być bezpieczne, bo tamtejsze szlaki są bardzo uczęszczane, ale to się mogło zmienić. Same góry zaś są niebezpieczne. Któż może wiedzieć, jacy ludzie je zamieszkują? W górach żyją duchy i potwory; człowiek żyjący wśród nich z pewnością jest dziki i okrutny. I jeszcze te ptaki, *oghâb-gorg*. To, co się o nich opowiada, przeraziłoby najdzielniejszego wędrowca.

– Mnie interesują ludzie. Co się o nich mówi? Jak są zorganizowani? Mają jakiegoś wodza? Wiadomo, dlaczego zniszczyli instytut w Taszbułaku?

– O ile się orientuję, prowadzone w nim badania uważali za bluźnierstwo.

– Jaką zatem wyznają religię? Co jest dla nich bluźnierstwem?

Kupiec pokręcił głową i bezradnie rozłożył ręce.

Delamare pokiwał w zadumie głową i ołówkiem wskazał stosik wielokrotnie poskładanych, poplamionych papierków.

– To rachunki potwierdzające twoje wydatki?

– Tak. Plus, oczywiście, faktura za olejek. Byłbym wdzięczny...

– Jutro się rozliczymy. Zatrzymałeś się w hotelu Rembrandt, tak jak ci poleciłem?

– Tak.

– Nie ruszaj się stamtąd, posłaniec wkrótce przyniesie ci pieniądze. A ja przypominam ci, jaką umowę zawarliśmy wiele długich miesięcy temu.

– No tak...

– Właśnie. Jeżeli dowiem się, że rozmawiałeś z kimś na ten temat, powołam się na zawartą w niej klauzulę poufności i będę cię ścigał we wszystkich sądach świata, aż wydrę ci nasze pieniądze i nie tylko.

– Pamiętam tę klauzulę.

– Wobec tego dalsze słowa są zbędne. Miłego dnia życzę.

Gość uklonił się i wyszedł. Delamare schował buteleczkę do szuflady, którą następnie zamknął na klucz, i zaczął analizować zasłyszane nowiny. W spojrzeniu kupca, kiedy opowiadał, było coś szczególnego: zaskoczenie, może odrobina sceptycyzmu, może szczypta zwątpienia... Delamare nie do końca potrafił to zinterpretować. W rzeczywistości wiedział już całkiem sporo o owych „ludziach z gór”, a gdy wypytywał o nich swojego gościa, to tylko po to, by zorientować się, jak dużo wiedzą inni.

Mniejsza z tym. Sporządził szybką notatkę adresowaną do rektora Kolegium Badań Teofizycznych, a potem skoncentrował się na wydarzeniu bez precedensu, które zaprzętało większość jego uwagi: zbliżającym się kongresie całego Magisterium. Olejek różany i wydarzenia, do których doszło w Taszbułaku, miały być jednym z głównych tematów debaty na kongresie, chociaż niewielu uczestników zdawało sobie z tego sprawę.

Uczelniane obowiązki zajęły Malcolmowi większość dnia, ale gdy po południu niebo zaczęło się chmurzyć, mógł w końcu zamknąć pokój na klucz i ruszyć w drogę do Godstow. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie Lyrze o spotkaniu w Ogrodzie Botanicznym i o wszystkim, czego się na nim dowiedział. Chciał zobaczyć jej minę, gdy będzie przetrawiała wszystkie implikacje nowych faktów. Ulegała emocjom z taką łatwością i gwałtownością, że zdawała się harmonizować ze światem lepiej niż ktokolwiek inny, kogo znał – sam nie do końca wiedział, co przez to rozumie, i nikomu by tego nie powiedział, a już na pewno nie Lyrze, ale był to urzekający widok.

Oziębiło się, chłodne powietrze niosło nawet zapowiedź śniegu. Kiedy otworzył drzwi Pstrąga i wszedł do środka, ciepło i para owionęły go w serdecznym powitaniu. Jednakże na twarzy matki, gdy spojrzała na niego sponad wałkowanego ciasta, malowało się napięcie i niepokój.

– Widziałeś się z nią? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Z Lyrą? Co masz na myśli?

Ruchem głowy wskazała pozostawiony przez Lyrę liścik, który nadal leżał na środku stołu. Chwycił go, przebiegł wzrokiem, po czym przeczytał drugi raz, już wolniej.

– To wszystko? – zapytał.

– Na górze zostało trochę jej rzeczy, ale wygląda tak, jakby zabrała tyle, ile zdołała unieść. Musiała się wymknąć bardzo wcześnie, zanim wstaliśmy.

– Wczoraj coś mówiła?

– Sprawiała wrażenie zaaferowanej. Albo, jak twierdzi ojciec, nieszczęśliwej. Było widać, że robi dobrą minę do złej gry. Niewiele mówiła i wcześnie się położyła.

– A kiedy zniknęła?

– Wcześnie rano. Kiedy wstaliśmy, zastaliśmy na stole ten liścik. Myślałam, że poszła do ciebie do Durham, albo może do Alice...

Malcolm wbiegł na piętro, do zajmowanego przez Lyrę pokoju. Książki – przynajmniej niektóre – leżały na stoliku, łóżko było posłane, w jednej szufladzie zostało trochę ubrań. Nic więcej.

– Psiakrew – zaklął.

– Tak się zastanawiam... – odezwała się Asta, która przysiadła na parapecie.

– Nad czym?

– Czy odeszli oboje z Pantalaimonem, czy też on zniknął, a ona pomyślała, że ją zostawił i poszła go szukać. Oboje wiemy, że nie... że się nie... nie byli ze sobą szczęśliwi.

– Ale dokąd Pan miałby pójść?

– Powłóczyć się samotnie, wiemy przecież, że robił tak już wcześniej. To przy okazji jednej z takich eskapad pierwszy raz go zobaczyłam.

– Ale... – Malcolm był skonsternowany i rozzłoszczony. Nie pamiętał też, kiedy ostatni raz tak bardzo się niepokoił.

– Tylko że do tej pory Lyra zawsze wiedziała, że Pan wróci – dodała Asta. – Może tym razem było inaczej.

– Alice! – powiedział Malcolm. – Musimy do niej iść.

W saloniku w mieszkaniu kamerdynera Alice sączyła poobiednie wino.

– Dobry wieczór, doktorze Polstead. – Kamerdyner wstał na powitanie. – Napije się pan z nami? Może porto?

– Z przyjemnością, panie Cawson, ale kiedy indziej. Mam pilną sprawę. Mogę zamienić słówko z panią Lonsdale?

Widząc jego minę, Alice zerwała się na równe nogi i razem wyszli przed budynek, na dziedziniec. Stanęli pod lampą na schodach auli.

– Co się stało? – spytała przyciszonym głosem Alice.

Malcolm opisał jej pokrótce sytuację i pokazał liścik.

– Co ze sobą wzięła?

– Plecak, trochę ubrań... Nie wiem co poza tym. Widziałas się z nią ostatnio?

– Nie, niestety nie. Zmusiłabym ją, żeby powiedziała mi prawdę o sobie i swoim dajmonie.

– No tak... Widziałem, że coś tam jest nie w porządku, ale to nie był temat do rozmowy. Zawsze były ważniejsze sprawy. Więc zorientowałaś się, że nie są ze sobą szczęśliwi?

– Szczęśliwi? Nie mogli się nawzajem znieść, aż przykro było patrzeć. A jak jej się układało w Pstrągu?

– Wszyscy widzieli, w jakim jest stanie, ale nikt nic nie mówił. Wiedziałaś o tym, że Lyra i Pantalaimon mogą się rozdzielać?

Ben, dajmon Alice, warknął i przytulił się do jej nóg.

– Nigdy o tym nie mówiła – odparła Alice – ale widziałam, że z tej północy wrócili jacyś odmienieni. Lyra wyglądała jak nawiedzona. Albo udęczona. Czemu pytasz?

– Mam przeczucie, że może Pan sam gdzieś sobie poszedł, a ona ruszyła go szukać.

– Musiałaby dojść do wniosku, że zapuścił się wyjątkowo daleko. Gdyby chciał sobie po prostu bryknąć do lasu, to przed ranem by wrócił.

– Też mi się tak wydaje. W każdym razie gdyby się do ciebie odezwała albo gdybyś czegoś się o niej dowiedziała...

– To się wie.

– Jak myślisz, jest jeszcze ktoś w kolegium, z kim mogłaby rozmawiać?

– Nie – orzekła stanowczo Alice. – Nie po tym jak ten nowy mistrz, drań jeden, praktycznie wyrzucił ją z domu.

– Dzięki, Alice. Wracaj, nie stój tak na zimnie.

– Powiem staruszkowi Ronniemu Cawsonowi, że zniknęła. Lubi ją. Cała służba ją lubi, przynajmniej ta stara, oryginalna. Bo Hammond sprowadził nowych gnojzków, którzy z nikim się nie zadają. To miejsce nie jest już takie jak dawniej, Mal.

Objęli się pospiesznie i Malcolm sobie poszedł.

Dziesięć minut później pukał do drzwi domu Hannah Relf.

– Malcolm! Wejdz, proszę. Co się...

– Lyra zniknęła. – Malcolm wszedł i zamknął za sobą drzwi. – Wyszła dziś rano, zanim mama i tato wstali. Czyli bardzo wcześnie. Zostawiła taki liścik. Nikt nie wie, gdzie się mogła podziać. Widziałem się już z Alice, pytałem ją...

– Należ nam obojgu sherry i usiądź. Czy zabrała ze sobą alethiometr?

– Chyba tak. Nie znalazłem go u niej w pokoju.

– Gdyby zamierzała wrócić, mogłaby go zostawić. O ile tylko uznałaby, że to bezpieczne.

– Wydaje mi się, że czuła się tam bezpiecznie. Zamierzałem z nią dziś wieczorem porozmawiać, opowiedzieć o spotkaniu w Ogrodzie Botanicznym... Tobie też nie zdążyłem jeszcze nic powiedzieć, prawda?

– Czy to się jakoś łączy ze sprawą Lyry?

– Owszem.

I Malcolm opowiedział o spotkaniu, płynących z niego wnioskach i odwiedzinach ludzi z KSD.

– Zgadzasz się – przytaknęła Hannah – to z całą pewnością jest sprawa dla Oakley Street. Będziesz się z nią jeszcze widział?

– Z Lucy Arnold? Tak. Z pozostałymi też. Ale chciałem cię o coś prosić, Hannah. Czy mogłabyś poszukać Lyry za pomocą swojego alethimetru?

– Oczywiście, tylko że to potrwa. Lyra może być już daleko stąd. Ile czasu upłynęło od jej zniknięcia, dwanaście godzin? Chętnie spróbuję, ale na początku uzyskam tylko zgrubną ideę. Łatwiej będzie zapytać, dlaczego zniknęła, niż dokąd się udała.

– Jak uważasz. Jeśli to nam może pomóc, zrób tak.

– A może zgłosić zaginięcie na policję?

– Nie. Im mniej będą na nią zwracać uwagę, tym lepiej.

– Pewnie masz rację. Czy ty się w niej podkochujesz, Malcolmie?

Tym pytaniem Hannah zupełnie zbiła go z pantałyku.

– A co to za... Skąd ten pomysł?

– Widzę, jak o niej mówisz.

Malcolm poczuł, że się rumieni.

– To aż takie oczywiste?

– Tylko dla mnie.

– Nic na to nie poradzę. Absolutnie nic. To niemożliwe, zakazane ze względów moralnych i...

– Kiedyś owszem, ale nie dzisiaj. Oboje jesteście dorośli. A ja chciałam cię tylko ostrzec, żeby twój stosunek do niej nie wpłynął na trzeźwość twoich sądów.

Widział, że Hannah już żałuje, że go o to zapytała. Znał ją przez większość życia i ufał jej bezgranicznie, ale ta jej ostatnia dobra rada była najmniej mądrą rzeczą, jaką kiedykolwiek usłyszał z jej ust.

– Postaram się – odparł.

Śmierć pani Księżyc

Lyra szybko wypracowała sobie wygodną rutynę życia na łodzi Giorgia Brabandta. Dziadek Dicka nie był przesadnym pedantem; jego ostatnia dziewczyna z wyjątkowym zapałem oddawała się czyszczeniu, pucowaniu i polerowaniu i z przyjemnością powitał odmianę w tej kwestii – wystarczyło mu, że przy Lyrze podłogi są zamiecione, a kambuz lśni. Jeśli chodzi o gotowanie, to przyswoiła sobie pewne umiejętności z czasów spędzonych w kuchni Kolegium Jordana i potrafiła przyrządzać solidne gulasze i zapiekanki, a takie właśnie potrawy Brabandt lubił najbardziej, nie przepadał zaś za delikatnymi sosami i wymyślnymi deserami.

– Gdyby ktoś pytał, coś ty za jedna – zapowiedział na początku – będziemy mówili, że jesteś dziewczyną mojego syna, Alberta. Ożenił się z kobietą-ładowcem, mieszkają w Kornwalii, ale Alberto od lat już nie pływa. Nazwiemy cię Annie, tak będzie dobrze. Annie Brabandt, porządne gipskie nazwisko. Jeśli zaś chodzi o dajmona... to nie martwmy się na zapas.

Przydzielił Lyrze małą kabinę na dziobie, w której było okrutnie zimno, dopóki nie wstawił tam piecyka na olej skalny. Nocą, w łóżku, zakutana w koce Lyra w świetle lampy naftowej ślęczała nad alethiometrem.

Nie próbowała nowej metody, która budziła w niej zbytni niepokój – po prostu wpatrywała się w tarczę przyrządu i pozwalała umysłowi swobodnie dryfować, raczej unosić się nad spokojnym morzem, niż rzucić w jego wzburzone fale. Starła się ze wszystkich sił zdławić wszelki świadomy zamiar, o nic nie pytała, nad niczym nie łamała sobie głowy, tylko po prostu przepływała myślami ponad słońcem, księżycem czy bykiem, patrzyła na nie z góry, z równą uwagą chłonęła wszystkie szczegóły ich rysunku i zagłębiała w przepastne głębie studni znaczeń, od tych najwyższych, dobrze znanych, aż po te najgłębsze, ginące w mroku. Dłużej zatrzymała się nad ogrodem. Konotacje i skojarzenia z naturą, ładem, niewinnością, ochroną, płodnością i wiele, wiele innych opływały ją zewsząd niczym przepiękne meduzy, wlokąc miriady złotych, koralowych i srebrnych parzydełek w krystalicznie przejrzystym oceanie.

Czasami odczuwała lekkie szarpnięcia w przepływie świadomości – wiedziała wtedy, że szuka jej młody mężczyzna, którego omyłkowo wzięła za Willa. Nie próbowała z tym uczuciem walczyć ani go ignorować, szybowała tylko swobodnie, całkowicie odprężona, i szarpnięcia wkrótce ustawały, jak mały cień, który zahaczy przelotnie o rękaw wędrowca, ale nie będzie w stanie na dłużej go przytrzymać.

Cały czas rozmyślała o Pantalaimonie. Czy jest bezpieczny? Dokąd się udaje? Co chciał jej przekazać tym krótkim wzgardliwym liścikiem? Bo przecież to niemożliwe, żeby miał na myśli dosłownie to, co napisał. To było okrutne, Pan był okrutny, ona

była okrutna i wszystko się poplątało. Strasznie się poplątało.

Prawie wcale nie myślała za to o Oksfordzie. Przyszło jej do głowy, że mogłaby napisać list do Hannah, ale nie było to łatwe: za dnia rzadko przybijali do brzegu, zatrzymywali się najczęściej nocą, na odludziu, z dala od wiosek, w których mogłaby działać poczta.

Brabandt był ciekaw, dlaczego KSD się nią interesuje, ale kiedy odpowiednio długo tłumaczyła mu, że nie ma pojęcia, zrozumiał w końcu, że nie uzyska żadnej odpowiedzi, i przestał pytać. Miał jej za to sporo do opowiedzenia o Gipcjanach i Moczarach i trzeciego wieczora, gdy mróz ścinał trawę na brzegu, a stary piecyk w kambuzie pałał żarem – Lyra szykowała kolację – Brabandt przyszedł, usiadł i zaczął mówić.

– Ten cały KSD zawziął się na Gipcjan – powiedział – ale boi się nas wkurzyć. Za każdym razem, kiedy próbowali wleźć na Moczary, zwabialiśmy ich w najgorsze bagniska i starorzecza, z których niektórzy już nie wrócili. Kiedyś próbowali najechać Moczary zbrojnie: były ich całe setki, przywieźli karabiny, armaty i tak dalej. Ale błędne ogniki... Słyszałaś o nich, prawda? Zapalają światła na trzęsawiskach i zwodzą niewinnych ludzi z bezpiecznych ścieżek. W każdym razie kiedy się zwiędziały, że idzie KSD, wyległy na Moczary i zaczęły świecić tymi swoimi latarenkami to tu, to tam, i tak zaczarowały tych z KSD, tak ich ogłupiły, że jedna połowa się potopiła, a druga zwariowała ze strachu. To było dawno, będzie już prawie pięćdziesiąt lat...

Lyra nie była do końca przekonana, czy Konsystorski Sąd Dyscyplinarny w ogóle wtedy istniał, ale nie zamierzała się spierać o szczegóły.

– Chce pan powiedzieć, że duchy i upiory są po waszej stronie?

– Przeciw KSD stają ramię w ramię z Gipcjanami, o tak. Nawiasem mówiąc, ci z KSD wybrali zły moment, zły czas w miesiącu. Przyszli w porze nowiu, a wszyscy wiedzą, że podczas nowiu wyłażą z nor wszystkie skrzaty, diabliki i upiory, wylegają ghule, kościeje, straszydła wszelakie i krzywdzą dobrych ludzi: Gipcjan, lądowców, wszystko im jedno. Ją też kiedyś dopadły, wiesz? Dopadły ją i zabiły.

– Kogo?

– Panią Księżyc.

– Kto ją dopadł?

– Straszydła. Niektórzy mówią, że wspięły się pod niebo i ją z niego ściągnęły, ale na Moczarach nie ma się na co wspiąć, nie tak wysoko. Inni powiadają, że zakochała się w Gipcjaninie i zeszła na dół, żeby z nim sypiać. Jeszcze inni utrzymują, że zeszła ot tak, sama z siebie, po tym jak nasłuchiwała się okropnych opowieści o okrucieństwach, jakich dopuszczają się straszydła, kiedy jest w nowiu. Tak czy siak, pewnej nocy zeszła na dół, na mokradła i bagniska, a cała gromada straszylek, hobgoblinów, diablików, złych skrzatów, topielców, ogarów piekielnych, trolli, piksów i niksów, ghuli i ziejących ogniem jaszczurów skradała się za nią na paluszkach w głąb Moczarów, w ich najczarniejsze, najpaskudniejsze rejony, co je nazywamy Czarnym Grzęzawiskiem. Tam pani Księżyc pośliznęła się na obłym kamieniu, ciernie zahaczyły o jej płaszcz i wtedy wszystkie te pełzające ohydztwa się na nią rzuciły, wepchnęły ją do zimnej wody, w głąb starego, ponurego, wstrętnego trzęsawiska, gdzie mieszkają oślizłe, padalcowate okropieństwa, co nawet własnych nazw nie mają. I leżała tak, nieszczęsna, naga i przemarznięta, a jej światło pomalutku gasło.

Traf chciał, że niedługo potem przechodził tamtędy pewien Gipcjanin. W ciemności pobłądził, zszedł ze ścieżki i zaczynał odczuwać strach: nic nie widział, oślizłe dłonie coraz częściej łąpały go za kostki, a szpony drapały po nogach. Nagle coś jednak zobaczył: pod powierzchnią wody lśniło blade światło, całkiem podobne do łagodnej księżycowej poświaty. Na ten widok krzyk musiał mu się chyba wyrwać z ust, bo umierająca pani Księżyc usłyszała go i usiadła, tylko na chwilę, rozsiewając swój blask wszędzie wokół. Wtedy wszystkie te potwory, upiory i straszidła czmychnęły, a Gipcjanin znów ujrzał swoją ścieżkę, wyraźnie jak w dzień. Udało mu się wyjść z Czarnego Grzęzawiska i bezpiecznie wrócić do domu.

Tymczasem światło pani Księżyc zgasło całkowicie, a stwory nocy przywały wielkim kamieniem miejsce, w którym leżała. Gipcjanom żyło się coraz gorzej. Pełzające straszidła wynurzały się z ciemności i porywały niemowlęta i starsze dzieci. Błędne ogniki hulały po mokradłach, bagniskach i lotnych piaskach. Potwory zbyt straszne, żeby je nazwać, truposze i ghule, bezkoście i skórogłowy oblażyły nocą domy, roily się wokół łodzi, oplątywały stery wodorostami, obmacywały paluchami okna i przyciskały ślepią do każdej okruszyny światła sączącej się spod zasłon.

Ludzie poszli więc do mądrej kobiety i zapytali, co mają w tej sytuacji zrobić. „Odnajdźcie księżyc”, powiedziała im, „a wasze kłopoty się skończą”. I wtedy ten mężczyzna, który zabłądził na mokradłach, przypomniał sobie, co mu się przytrafiło, i powiedział: „Wiem, gdzie szukać pani Księżyc! Leży pogrzebana w Czarnym Grzęzawisku!”.

Wyruszyli więc z latarniami, pochodniami i płonącymi żagwiami, całą gromadą, uzbrojeni w szpadle, oskardy i motyki, żeby odkopać księżyc. Zapytali jeszcze tę mądrą kobietę, jak mają szukać księżyc, skoro jego światło zgasło. „Szukajcie”, odparła, „wielkiej kamiennej trumny ze stojącą na wieku świecą”. Kazała im też włożyć sobie po kamieniu do ust, wszystkim, żeby pamiętali, że nie wolno im pisać ani słówka.

Zapuscili się głęboko, głęboko na Czarne Grzęzawisko. Oślizłe łapska poczęły ich łąpać za stopy, w uszach słyszeli przerażające szepty i westchnienia, ale w końcu dotarli do miejsca, w którym leżał ów stary głaz. Na nim stała świeca ulepiona z trupiego łaju.

Podważyli kamienne wieko i znaleźli pod nim martwą panią Księżyc z osobliwie piękną kobiecą twarzą i zamkniętymi oczami. Wtem podniosła powieki i z jej oczu popłynęło jasne srebrzyste światło. Leżała tak dłuższą chwilę, patrząc na zgromadzonych wokół niej Gipcjan z łopatami i motykami, milczących z powodu trzymany w ustach kamieni. „No, chłopcy”, odezwała się w końcu, „pora wstawać. Dziękuję, żeście mnie odszukali”. Zewsząd dobiegło mlaskanie i klaskanie błočka, gdy tysiące paskud i straszdeł czmychnęło do swoich kryjówek w bagiennych głębinach, a chwilę potem księżyc świecił już na niebie. Ścieżka przez mokradła była widoczna jak za dnia.

Takie właśnie są te nasze Moczary i dlatego dobrze mieć tam prawdziwych gipskich przyjaciół. Bo jak tam wejdiesz bez zaproszenia, straszidła cię dopadną. Oj, coś mi się widzi, że nie wierzysz w ani jedno moje słowo...

– Ależ wierzę! – zaoponowała Lyra. – To wszystko brzmi bardzo wiarygodnie.

Oczywiście nie uwierzyła Brabantowi, ale skoro wiara w takie bzdurki dodawała komuś otuchy, to nieuprzejmie byłoby tę wiarę podważać – nawet jeśli autor

Hiperchorezmijczyków miały się pogardliwie zachnąć na takie słowa.

– Młodzi nie wierzą w tajemną wspólnotę – podjął Brabandt. – Dla nich ważna jest chemia i mierzenie wszystkiego, co się da. Wszystko umieją wytłumaczyć. I wszyscy się myślą.

– Co to jest tajemna wspólnota?

– Świat elfów, duchów i błędnych ogników.

– Nigdy nie widziałam ognika, ale duchy widziałam. A elfka karmiła mnie piersią!

– Że co, proszę?!

– Elfka karmiła mnie piersią. To było podczas wielkiej powodzi, dwadzieścia lat temu.

– Jesteś za młoda, żeby to pamiętać.

– To prawda, nic nie pamiętam, ale tak mi powiedział ktoś, kto przy tym był. To była elfka Tamizy. Chciała mnie zatrzymać dla siebie, ale udało się ją przechytrzyć i musiała mnie uwolnić.

– Tamizy, powiadasz... A jak miała na imię, hm?

Lyra wyteżyła pamięć, próbując sobie przypomnieć opowieści Malcolma.

– Diania – odparła.

– Zgadza się! Zgadza się, do diaska. Tak się właśnie nazywa, ale mało kto o tym wie. Ty też byś nie wiedziała, gdyby historia nie była prawdziwa.

– Powiem panu coś jeszcze, tym razem coś, czego dowiedziałam się od Mamy Costy. Powiedziała, że mam w duszy wiedźmi olej. Kiedy byłam mała, bardzo chciałam być Gipcjaną, więc próbowałam mówić jak Gipcjanie. Mama Costa śmiała się ze mnie i powiedziała, że nigdy nie zostanę Gipcjaną, bo jestem człowiekiem ognia i mam w duszy wiedźmi olej.

– No, skoro tak powiedziała, to tak musi być. Nie będę się spierał z Mamą Costą. Co tam pichcisz?

– Duszone węgorki. Pewnie już są gotowe.

– No to nakładaj – rzekł Brabandt i nalał piwa im obojgu.

– Panie Brabandt? – zagadnęła Lyra, kiedy zaczęli jeść. – Zna pan słowo *akterrakeh*?

Pokręcił głową.

– Powiem ci tylko, że to nie jest gipskie słowo – odparł. – Może francuskie? Brzmi trochę z francuska.

– A słyszał pan kiedy o miejscu zwanym Błękitnym Hotelem? Które miałyby coś wspólnego z dajmonami?

– A i owszem, słyszałem. To gdzieś w Lewancie. Tylko że tak naprawdę to nie jest żaden hotel. Tysiąc lat temu, może więcej, to było wielkie, wspaniałe miasto: świątynie, pałace, bazyliki, parki, fontanny, wszystko, co najpiękniejsze. Pewnego dnia ze stepów, z rozciągających się na północy bezkresnych trawiastych równin nadciągnęli Hunowie. Wyrznęli mieszkańców w pień, wszystkich, co do jednego: mężczyźni, kobiety, dzieci. Miasto przez wieki stało puste; ludzie gadali, że jest nawiedzone, i wcale im się nie dziwił. Nikt się tam nie zapuszczał ani z miłości, ani dla pieniędzy, aż pewnego dnia zjawił się tam wędrowiec, być może Gipcjanin. Rozejrzał się po mieście i przyniósł z niego niezwykłą opowieść: otóż miasto istotnie było nawiedzone, nie przez duchy jednak, a przez dajmony. Może tam właśnie

odchodzą dajmony zmarłych, kto wie? Nie wiem, dlaczego nazywają je Błękitnym Hotelem, chociaż pewnie jest jakiś powód.

– Ma to jakiś związek z tajemną wspólnotą?

– Na pewno.

Na takich rozmowach upływał im czas, gdy Portugalska Dziewica zbliżała się do Moczarów.

Przebywający w Genewie Olivier Bonneville był coraz bardziej sfrustrowany. Mimo stosowanej przez niego nowej metody odczytu alethiometr odmawiał ujawnienia wszelkich informacji na temat Lyry. Nie zawsze tak było, wcześniej kilkakrotnie udało mu się ją wytropić, teraz jednak połączenie zostało zerwane, jakby poluzowany przewód przestał kontaktować.

Coraz lepiej poznawał jednak nową metodę – okazało się na przykład, że działa ona wyłącznie w czasie teraźniejszym, jeśli można tak to ująć. Ujawniała wydarzenia, ale nie odsłaniała ich przyczyn ani skutków. Metoda klasyczna dawała szerszą perspektywę, ale za cenę dłuższego czasu analizy i mozolnych dociekań. Wymagała również swoistego talentu interpretacyjnego, do którego Bonneville nie miał cierpliwości.

Tymczasem uwaga jego pracodawcy, Marcela Delamare'a, bez reszty koncentrowała się na zbliżającym się kongresie wszystkich instytucji wchodzących w skład Magisterium. Delamare, pomysłodawca zjazdu, zamierzał ukryć jego prawdziwy cel, a zarazem zaaranżować jego przebieg w taki sposób, by uzyskać pożądane skutki. Wymagało to wielkiego skupienia i licznych skomplikowanych zabiegów politycznych, dzięki czemu Bonneville był pozostawiony prawie bez nadzoru.

Postanowił więc spróbować innego podejścia do nowej metody. Od Delamare'a dostał fotogram Lyry, zrobiony przy okazji jakiejś akademickiej uroczystości i przedstawiający ją w grupie dziewcząt ubranych w studenckie mundurki. Stały w jasnym słońcu i patrzyły w obiektyw aparatu. Wyciął z fotogramu sylwetkę Lyry, a ścinki wyrzucił; nie było sensu ich trzymać, bo pozostałe dziewczyny wyglądały zbyt angielsko, by mogły ująć za atrakcyjne. Liczył jednak na to, że gdy ślęcząc nad alethiometrem, będzie miał przed sobą zdjęcie Lyry, łatwiej przyjdzie mu się skoncentrować na pytaniu o miejsce jej pobytu.

Nałykał się więc pigułek na chorobę lokomocyjną (na wypadek gdyby znów dopadły go mdłości) i wieczorem, gdy w mieście zapalały się latarnie, rozsiadł się wygodnie w swoim mieszkanku, nastawił wszystkie trzy wskazówki alethiometru na wizerunek sowy i skupił się na wyciętej z fotogramu postaci Lyry.

Sposób ten nie przyniósł jednak spodziewanych efektów. Przed oczami Bonneville'a przewalała się prawdziwa zawierucha obrazów, z których każdy wyostrzał się na ułamek sekundy, by po chwili rozmazać się i rozpląnąć – i każdy bez wątpienia przedstawiał Lyrę.

Zmrużył oczy, usiłując powstrzymać obrazy przed rozpląnięciem się i jednocześnie walcząc z nieuchronnymi zawrotami głowy. Wizerunki przypominały

fotogramy: czarno-białe, czasem wyblakłe, kiedy indziej pogniecione, utrwalone na papierze fotograficznym lub powielone w gazecie, profesjonalnie doświetlone i wykonane albo nieoficjalne, amatorskie, jakby zrobił je ktoś nienawykły do posługiwania się aparatem, każąc w dodatku Lyrze mrużyć oczy przed słońcem. Kilkaście z nich wyglądało na zrobione z zaskoczenia: przedstawiały zadumaną Lyrę siedzącą w kawiarni, idącą za rękę z chłopakiem, roześmianą, rozglądającą się na boki przed przejściem przez ulicę, była na nich Lyra z różnych okresów dzieciństwa, a także z ostatnich lat. I zawsze był przy niej jej dajmon – z najnowszych zdjęć wynikało, że przybrał postać jakiegoś dużego gryzonia. Więcej Bonneville nie umiał powiedzieć.

Nagle odczuł szarpnięcie, jakby spadał w przepaść, i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą najprawdziwsze fotogramy, które ktoś poprzypinał do tablicy. Przy jej górnej krawędzi było widać odgarniętą fałdę materiału, tak jakby na co dzień zdjęcia były nim zasłonięte. Stopniowo wyłaniały się szczegóły tła. Tablica stała oparta o ścianę wyłożoną tapetą w delikatny kwiatowy deseń, przy oknie zaciągniętym zasłoną z połyskliwego zielonego jedwabiu. Przy niej stało biurko, na nim zaś lampa jantaryczna stanowiąca jedyne źródło światła. Czyimi oczami oglądał to wszystko? Wyczuwał istnienie czyjejś świadomości, ale...

Coś się poruszyło, czyjaś ręka. Znow odczuł szarpnięcie i tym razem omal nie zwymiotował. Wizja zawirowała mu przed oczami, jakby obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, i przez pole widzenia przemknął mu biały skrzydlaty kształt, aż fotogramy na tablicy zadrżały od podmuchu powietrza. Ta biała sylwetka... prędką, rozmazaną, niewyraźną... ptak... tak, ptak, biała sowa... pojawiła się na moment i zaraz zniknęła...

Delamare!

Sowa była dajmonem Delamare'a. Ręka, która się poruszyła, była jego ręką. Tapeta w kwiaty, zielona jedwabna zasłona, tablica za zdjęciami – to wszystko znajdowało się w jego apartamentach. Z jakiegoś powodu Bonneville nie mógł zobaczyć samej Lyry, ale udało mu się zobaczyć jej fotogramy – dlatego, że nie koncentrował się na niej, lecz właśnie na jej zdjęciu.

Całe to olśnienie spłynęło na niego w ułamku sekundy. Zapadł się w fotelu, zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać, żeby uśmierzyć nudności.

Marcel Delamare zebrał dziesiątki zdjęć Lyry. Ciekawe, że nigdy o tym nie wspominał.

I nikt o tym nie wiedział. Bonneville przypuszczał, że zainteresowanie jego chlebodawcy osobą Lyry ma charakter czysto zawodowy, jeśli można tak powiedzieć, ewentualnie polityczny, ale to? To było coś dziwnie osobistego. To była obsesja.

Warto o tym wiedzieć.

Następne pytanie: dlaczego?

Niewiele wiedział o Delamarze – głównie dlatego, że nieszczęśliwie się nim interesował. Może nadszedł czas, żeby dowiedzieć się więcej. Nowa metoda niezbyt mu w tym pomoże, poza tym przyprawiający o mdłości ból głowy chwilowo zniechęcał go do korzystania z alethiometru. Będzie musiał iść, popytać wśród ludzi. Zabawić się w detektywa.

Malcolm i Asta, którzy nadal nie mieli pojęcia, dokąd udała się Lyra, wrócili pamięcią do rozmowy, jaką odbyli z nią w La Luna Caprese przy Little Clarendon Street.

– Benny Morris... – powiedziała Asta. – W którymś momencie przewinęło się to nazwisko.

– Rzeczywiście, masz rację. Miało to jakiś związek z...

– Z kimś, kto pracował w sortowni.

– Zgadza się! Tak się nazywał ten pracownik, który zranił się w nogę.

– Spróbujmy przekreću z odszkodowaniem – zaproponowała Asta.

Pogrzebali w oksfordzkich książkach telefonicznych i rejestrach wyborców i znaleźli adres przy Pike Street, w St Ebbes, w cieniu gazowni. Następnego dnia po południu Malcolm – podający się za urzędnika z działu kadr Poczty Królewskiej – zapukał do drzwi.

Chwilę czekał, nikt nie odpowiedział. Nastawił ucha, ale było słychać tylko turkot wagonów towarowych przetaczanych na bocznicy po przeciwnej stronie gazowni.

Zapukał drugi raz, ale i tym razem nie było reakcji. Węgiel z wagonów z łoskotem wysypywał się do zsypu poniżej linii kolejowej.

Malcolm odczekał, aż cały pociąg przejedzie i miejsce odległego grzmotu wysypywanego węgla znów zajmie metaliczny szcęk toczących się wagonów. Wtedy zapukał po raz trzeci... i tym razem usłyszał dobiegające z wnętrza ciężkie, nierówne kroki. Drzwi się otworzyły.

Stojący w progu mężczyzna był krępy, miał przekrwione oczy i mocno zalatywał alkoholem. Jego dajmon – kundel mający w sobie coś z mastyfa – przyczał się za jego plecami i zaszczekał dwukrotnie.

– Pan Morris? – zapytał Malcolm z uśmiechem.

– A kto pyta?

– Pan Morris? Benny Morris?

– A jeśli tak, to co?

– Pracuję w dziale kadr Poczty Królewskiej i...

– Nie mogę pracować, mam zaświadczenie od lekarza. Widzisz pan, w jakim jestem stanie.

– Nie podważamy faktu pańskiej kontuzji, panie Morris, w żadnym razie. Przeciwnie, należy się panu odszkodowanie. Musimy tylko wyjaśnić pewne szczegóły.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie.

– Odszkodowanie?

– Otóż to. Wszyscy nasi pracownicy są ubezpieczeni od wypadków, część pensji idzie na opłacenie składki, i później mają prawo do odszkodowania. Należy w tym celu wypełnić odpowiedni formularz. Mogę wejść?

Morris odsunął się na bok, a Malcolm wszedł do wąskiego przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Alkoholowy opar zmieszał się z odorem gotowanej kapusty, potu i gryzącą wonią ziela fajkowego.

– Możemy gdzieś usiąść? – zaproponował Malcolm. – Muszę wyjąć dokumenty.

Morris otworzył drzwi, za którymi znajdował się zakurzony, zimny salonik, i zapalił gazowy kinkiet. Sączące się z niego żółtawe światło miało zbyt mało energii, żeby daleko sięgnąć. Morris odsunął stojące przy rozchwierutanyim stole krzesło i usiadł, teatralnie podkreślając towarzyszące tej procedurze trudność i ból.

Malcolm usiadł na krześle naprzeciwko, wyjął z aktówki plik papierów i zdjął skuwkę z pióra.

– Zaczniemy od precyzyjnego ustalenia natury pańskiego urazu – zagaił pogodnym tonem. – Jak do niego doszło?

– Dobrze. No więc pracowałem w sortowni, na dziedzińcu, czyściłem rynny, i mi się drabina obśliznęła.

– Nie podparł jej pan dobrze?

– Podparłem, zawsze podpieram. Z rozsądku, nie?

– I mimo to się obśliznęła?

– No. Dzień był deszczowy. Właśnie dlatego czyściłem rynny, bo było w nich pełno mchu i błota i woda nie spływała jak trzeba. Lała się strugami nad oknem w kuchni.

Malcolm coś zanotował.

– Ktoś panu pomagał?

– Nie. Sam robiłem.

– Ach tak... – Malcolm zacmokał z troską. – Widzi pan, jeżeli odszkodowanie ma zostać wypłacone w pełnej wysokości, musimy mieć pewność, że nasz klient, czyli w tym wypadku pan, zabezpieczył się przed wypadkiem na wszelkie dostępne mu sposoby. Kiedy ktoś pracuje na drabinie, standardowym zabezpieczeniem jest pomoc drugiej osoby, która tę drabinę trzyma.

– Aha... No tak, jasna sprawa. Więc pomagał mi Jimmy, mój kumpel. Jimmy Turner. Tak, był wtedy ze mną, tylko chyba na chwilę wszedł po coś do środka.

– Rozumiem. – Malcolm znów coś zapisał. – Może mi pan podać adres pana Turnera?

– Ehm... tak. Pewnie. Mieszka przy Norfolk Street... Numeru nie pamiętam.

– Norfolk Street. To wystarczy, znajdziemy go. Czy to pan Turner sprowadził pomoc po tym, jak spadł pan z drabiny?

– Taa... To całe... no... odszkodowanie... Ile to może wynieść?

– Po części zależy to od natury urazu, za chwilę do tego przejdziemy. A także od tego, ile potrwa pańska absencja.

– No rozumiem. Jasne.

Dajmon Morrisa tulił się jak mógł do nóg jego krzesła. Bacznie obserwowany przez Astę, zaczął nerwowo się wiercić i uciekać wzrokiem w bok. Kiedy w głębi jego gardła zrodził się warkot, Morris odruchowo sięgnął ręką i złapał psa za uszy.

– Jakie są zalecenia lekarza w tej kwestii? – zapytał Malcolm. – Jak długo powinien pan siedzieć w domu?

– Ze dwa tygodnie, tak mniej więcej. To zależy, czy się będzie szybko goić, czy nie.

– Naturalnie. Przejdźmy teraz do szczegółów. Jaki był charakter pańskiej kontuzji?

– Kontuzji?

– Co pan sobie zrobił?

– A, o to chodzi... Na początku to w ogóle myślałem, że złamałem nogę, ale lekarz powiedział, że tylko coś sobie naciągnąłem.

– Nogę... Którą część?

– Ehm... kolano. Tak, lewe kolano.

– Naciągnął pan kolano?

– Tak jakby je... skręciłem. Przy upadku, nie?

– Rozumiem. Lekarz porządnie pana przebałał?

– O tak. Jimmy, ten mój kumpel, pomógł mi wejść do budynku i zaraz pobiegł po lekarza.

– I ten lekarz zbadał pański uraz?

– Tak. Tak było.

– I powiedział, że to naciągnięcie?

– No tak.

– Muszę przyznać, że jestem odrobinę zdezorientowany... Z moich informacji wynikało, że miał pan poważnie rozciętą nogę.

Asta zauważyła, że dłoń Morrisa zaciska się na uszach dajmona.

– Rozciętą... No tak, właściwie to tak...

– Czyli doszło do naciągnięcia i rozcięcia jednocześnie?

– Tam wszędzie było rozsypane szkło. Tydzień wcześniej szkliłem okno, szkło walało się dookoła... A w ogóle to skąd ma pan takie informacje?

– Od pańskiego przyjaciela. Powiedział, że ma pan głęboko rozciętą nogę pod kolanem. Muszę przyznać, że nie do końca rozumiem, jak mogło dojść do takiego urazu.

– Co to za przyjaciel? Jak się nazywa?

Malcolm miał znajomego w oksfordzkiej policji, przyjaciela z dawnych czasów, który z potulnego, uroczego dzieciaka wyrósł na porządnego, uczciwego mężczyznę. Malcolm zapytał go – bez wdawania się w szczegóły – czy zna policjanta z posterunku przy St Aldate's obdarzonego basowym, chrypliwym głosem i mówiącego z liverpoolskim akcentem. Przyjaciel doskonale wiedział, o kogo chodzi, a jego mina niedwuznacznie wskazywała, co myśli na jego temat. Podał Malcolmowi nazwisko.

– George Paston – powiedział Malcolm.

Dajmon Morrisa zaskomlał i gwałtownie się poderwał. Asta też zerwała się na równe łapy i powoli przemiatała ogonem z boku na bok. Malcolm siedział nieruchomo, miał jednak pełną świadomość, gdzie znajduje się jaki przedmiot, ile może ważyć stół i w którą nogę ranny jest Morris. Tylko częściowo opierał ciężar ciała na siedzisku krzesła, bo częściowo przeniósł go na nogi, gotowy do skoku. Oboje z Astą usłyszeli bardzo słabe, jakby dobiegające z wielkiej odległości i tylko przez krótką chwilę, szczekanie sfory psów.

Twarc Morrisa, wcześniej mocno zaczerwieniona, zbielała jak płótno.

– Zaraz, zaraz... nie rozumiem... George Pas... Nie znam żadnego George'a Pastona. Co to za jeden?

Zapewne już wcześniej eksplodowałby gniewem i rzucił się na intruza, ale spokojna, zatroskana mina Malcolma zbiła go z pantałyku.

– Mówił, że dobrze pana zna – odparł Malcolm. – Powiem więcej: twierdzi, że był z panem, kiedy odniósł pan tę ranę.

– Wcale nie... Przecież mówiłem, byłem wtedy z Jimmym Turnerem – upierał się Morris. – George Paston? Pierwsze słyszę. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Widzi pan – zaczął Malcolm, obserwując go uważnie, lecz dyskretnie – pan Paston przyszedł do nas specjalnie po to, żeby nas poinformować, że naprawdę odniósł pan poważną kontuzję. Nie chciał, żeby stracił pan zarobki. Powiedział też, że rana jest paskudna, mówił coś o nożu, ale, dziwna rzecz, słowem nie wspomniał o drabinie. Ani o żadnym naciągnięciu.

– Coś pan za jeden? – zapytał gniewnym tonem Morris.

– Dam panu wizytówkę.

I Malcolm wyjął z kieszeni na piersi wizytówkę przedstawiającą go jako Arthura Donaldsona, rzeczoznawcę ubezpieczeniowego Poczty Królewskiej.

Morris obejrzał ją z marsową miną i odłożył na stół.

– To co właściwie ten cały George Paston powiedział?

– Że odniósł pan poważne obrażenia i że pańska absencja w pracy jest usprawiedliwiona. Że nie próbuje pan nikogo naciągnąć. A ponieważ jest policjantem, uwierzyliśmy mu, ma się rozumieć.

– Poli... Nie, nie znam człowieka. Pomylił mnie z kimś innym.

– Jego relacja była nadzwyczaj szczegółowa. Twierdzi, że pomógł się panu oddalić z miejsca, w którym został pan zraniony, i dotrzeć do domu.

– Ale to się zdarzyło tutaj! Spadłem z drabiny, do diaska!

– W co był pan wtedy ubrany?

– A co to ma do rzeczy? W to, co zawsze.

– Na przykład te spodnie, które ma pan teraz na sobie?

– Nie! Spodnie musiałem wyrzucić.

– Ponieważ były całe zakrwawione?

– Nie, nie, nie, nic pan nie rozumie. To wyglądało zupełnie inaczej, byliśmy tylko ja i Jimmy Turner...

– A ten trzeci?

– Nie było żadnego trzeciego!

– Pan Paston wypowiadał się na ten temat bardzo stanowczo. Nie wspominał o żadnej drabinie. Powiedział, że przystanęliście panowie na pogawędkę, a wtedy zostaliście zaatakowani przez intruza, który zadał panu poważną ranę.

Morris przetarł twarz dłońmi.

– Proszę posłuchać – powiedział – nie prosiłem się o żadne odszkodowanie. Dam sobie radę bez niego. A pan wszystko miesza. Ten cały Paston z kimś mnie pomylił, nie mam pojęcia, o czym pan mówi. To wszystko kłamstwa.

– Sąd to rozstrzygnie.

– Jaki sąd?

– Kryminalny. Wystarczy, że podpisze pan ten formularz, i będziemy mogli uruchomić procedurę.

– Nie ma potrzeby. Proszę o tym zapomnieć. Nie chcę odszkodowania, jeśli ma się wiązać z mnóstwem takich głupich pytań. Nie prosiłem o to.

– Istotnie, nie prosił pan – przyznał Malcolm łagodnym, beznamietnym tonem. –

Obawiam się jednak, że po tym, jak machina urzędowa została wprawiona w ruch, nie da się jej tak łatwo zatrzymać. Załatwmy sprawę tego trzeciego mężczyzny, napastnika z nożem. Znał go pan?

– Nigdy go... Nie było żadnego trzeciego mężczyzny!

– Sierżant Paston twierdzi, że obaj byliście panowie zaskoczeni, kiedy tamten stawiał opór.

– Nie jest żadnym sierżantem, tylko zwykłym poste... – Morris ugryzł się w język.

– Tu cię mam – powiedział Malcolm.

Ciemny rumieniec rozlał się powoli w górę szyi Morrisa i sięgnął policzków. Jego oparte o stół zaciśnięte pięści drżały. Jego dajmon warczał coraz głośniej, ale Asta wiedziała doskonale, że nie zaatakuje: był śmiertelnie przerażony.

– Nie je... – wychrypiał Morris. – Nie jesteś z poczty.

– Masz tylko jedną szansę. Jeżeli wszystko mi teraz opowiesz, wstawię się za tobą. W przeciwnym razie zostaniesz oskarżony o morderstwo.

– Nie jesteś z policji.

– Nie, reprezentuję inną organizację, ale niech cię to nie zwiedzie. Wiem dość, żeby cię posadzili za morderstwo. A teraz mów, co wiesz o George’u Pastonie.

Morris stracił rezon, a jego dajmon odsunął się od Asty najdalej, jak mógł. Kotka tylko odprowadziła go wzrokiem.

– Jest... skorumpowany. Niby policjant, ale zdolny do wszystkiego: wszystko robi, wszystko załatwi, wszystko ukradnie, każdego skrzywdzi. Wiedziałem, że już wcześniej zabijał ludzi, ale nigdy nie widziałem, jak to robi. Aż do...

– To Paston zabił tamtego człowieka?

– Tak! Ale gdyby nie on, mogłoby być po mnie, bo tamten zdążył mnie już chlasnąć w nogę. Leżałem na ziemi, nie mogłem się ruszyć.

– Kim była ofiara?

– Bo ja wiem... Nie interesuje mnie to. Wtedy też mnie nie interesowało.

– Dlaczego Paston się na niego zasadził?

– Domyślam się, że dostał taki rozkaz.

– Rozkaz? Od kogo?

– Paston... No, ma kogoś, kto mu rozkazuje, zleca różne robótki... Ale ja nie wiem, kto to jest.

– Nie domyślasz się? Paston nigdy o nim nie mówił?

– Nie. Wiem tylko tyle, ile mi powie, a on trzyma karty przy orderach. Mnie to nie przeszkadza, wolę nie wiedzieć za dużo, tylko same kłopoty by z tego były.

– Dla ciebie już są.

– Ale ja go nie zabiłem! Naprawdę! Nie taki był plan. Mieliśmy go tylko trochę poobijać i zabrać mu torbę, plecak czy co tam będzie miał przy sobie.

– I co, zabraliście?

– Nie, bo nic nie miał. Mówię do George’a, musiał coś przecież mieć, nie? Może zostawił na dworcu? Albo komuś oddał?

– Kiedy tak powiedziałaś? Zanim go zabiliście czy już potem?

– Nie pamiętam. To był wypadek, nie chcieliśmy go zabić.

Malcolm pisał coś przez minutę, dwie, trzy. Morris siedział zupełnie nieruchomo. Oklapł na krześle, jakby wszystkie siły go opuściły. Skulony na podłodze mastyf skomlał, Asta miała się jednak na baczności. Przysiadła czujnie i nie spuszczała go z oka.

– A ten człowiek, który wydaje polecenia Pastonowi... – odezwał się zniecka

Malcolm.

– No?

– Paston coś o nim mówił? Wspomniał jakieś nazwisko?

– To akademik, tyle wiem.

– Nieprawda. Wiesz coś więcej.

Morris nie odpowiedział. Jego dajmon przywarł na płask do podłogi i kurczowo zacisnął powieki. Ledwie jednak Asta zrobiła krok w jego stronę, zerwał się na równe łapy i cofnął za krzesło Morrisa.

– Nie! – Morris też się wzdygnął.

– Jak się nazywa? – nie ustępował Malcolm.

– Talbot.

– Talbot? Tylko tyle?

– Simon Talbot.

– Kolegium?

– Kardynalskie.

– Skąd wiesz?

– Od Pastona. Twierdził, że wie coś na temat Talbota.

– Ma na niego haka?

– Tak.

– Powiedział, co ma na myśli?

– Nie. Pewnie się tylko przechwalał.

– Powiedz wszystko, co wiesz.

– Nie mogę, Paston by mnie zabił. Ty go nie znasz. Nikt więcej tego nie wie, tylko ja, więc jak odkryje, że ty też wiesz, to od razu będzie wiedział, że się wygadałem i... I tak już za dużo powiedziałem. A tak w ogóle to kłamałem. Nic ci nie powiedziałem.

– W takim razie będę musiał porozmawiać z Pastonem. Dopilnuję, żeby się dowiedział, jak bardzo byłeś mi pomocny.

– Nie, nie, nie, proszę cię, nie rób tego! To straszny człowiek, nawet sobie nie wyobrażasz, do czego jest zdolny. Zabić to dla niego jak splunąć. Kiedy zamordował tego człowieka nad rzeką, to jakby pacnął muchę, tyle to dla niego znaczyło.

– Nadał za mało powiedziałeś mi o tym Talbocie z Kolegium Kardynalskiego. Poznałeś go osobiście?

– Nie no, co ty... Jak miałbym to zrobić?

– A skąd Paston go zna?

– Jest oficerem łącznikowym dla całej grupy kolegów. Jeżeli któryś z akademików z jakiegoś powodu chce się skontaktować z policją, to rozmawia właśnie z Pastonem.

Zdaniem Malcolma brzmiało to sensownie, wiele kolegów miało podobny układ z policją. Tak zwani proktorzy, funkcjonariusze policji uniwersyteckiej, egzekwowali wewnętrzne przepisy dyscyplinarne, ale do dobrego obyczaju należało utrzymywanie nieformalnych stosunków z policją miejską.

Kiedy Malcolm wstał, Morris aż skulił się na krześle ze zgrozy. Malcolm zwrócił na to uwagę, a Morris wiedział, że jego zachowanie zostało zauważone.

– Piśnij Pastonowi słówko o naszej rozmowie – ostrzegł Malcolm – a dowiem się o tym. Wtedy będzie po tobie.

Morris nieporadnie złapał go za rękaw.

– Proszę... – wyjęczał. – Nie mów mu, on jest...

– Puszczaj.

Morris opuścił rękę.

– Jeżeli nie chcesz się narazić Pastonowi, musisz trzymać gębę na kłódkę, jasne?
– dodał Malcolm.

– Coś ty za jeden? Ta wizytówka to pic, nie jesteś z poczty.

Malcolm udał, że nie słyszy, i wyszedł. Dajmon Morrisa zaskomlał.

– Simon Talbot? – zagadnął Malcolm Astę, gdy drzwi się za nimi zamknęły i zaczęły się oddalać od domu. – No, no...

13

Zeppelin

Pantalaimon zdawał sobie sprawę, że będzie musiał ukrywać się za dnia i przemieszczać tylko nocą, to było oczywiste. Musiał również podążać z biegiem rzeki, bo w ten sposób dotrze do centrum Londynu, a potem do portu. Wiedział też, że nad rzeką znajdzie liczne kryjówki i że znacznie trudniej byłoby o nie przy głównych drogach. Poruszaniem się w mieście będzie się martwił, kiedy już do niego dotrze.

Było trudniej, niż się spodziewał. Mógł się wałęsać w księżycową noc po Oksfordzie, gdzie znał każdy kąt, szybko odkrył jednak, że brakuje mu Lyry z jej zdolnością do zadawania pytań, zdobywania informacji i funkcjonowania w świecie ludzi. Z początku brak ten był boleśniejszy nawet od wspomnienia jej miękkiego ciała, zapachu jej ciepłych włosów, gdy dopominały się o mycie, albo dotyku jej dłoni – a tego wszystkiego brakowało mu okrutnie. Pierwszej nocy po odejściu nie zmrugnął oka, chociaż umościł się wygodnie w omszałym rozwidleniu gałęzi starego dębu.

Ale sytuacja była nie do zniesienia, nie mogli dłużej mieszkać razem. Lyra stała się nieznośna, z tym swoim niewzruszonym, dogmatycznym przeświadczeniem o własnej słuszności i protekcyjnym uśmiechem, którego nie potrafiła ukryć, gdy próbował jej mówić o rzeczach, na których dawniej jej zależało, albo krytykował tę odrażającą powieść, która nieodwracalnie zdeformowała jej postrzeganie świata.

Chwilowo to właśnie *Hiperchorezmijczycy* stali się dla niego celem wyprawy. Znał nazwisko autora: Gottfried Brande. Wiedział, że Brande jest (a w każdym razie był) profesorem filozofii w Wittenberdze – na tym jego znajomość faktów się kończyła i taka wiedza musiała mu wystarczyć. Za to w świecie snów, myśli i wspomnień czuł się jak w domu i był absolutnie pewny swojej diagnozy: ktoś skradł wyobraźnię Lyry, a on zamierzał ją odnaleźć, gdziekolwiek była, i odnieść właścicielce.

– Co wiemy o tym Simonie Talbocie? – zapytała Glenys Godwin.

Znajdowała się w mieszkaniu Charlesa Capesa w Kolegium Wykeham. Towarzyszyli jej sam Capes, Hannah Relf i Malcolm. Poranek był pogodny i rześki, przez otwarte okno promienie słońca padały na cętkowaną sierść leżącego na biurku sparaliżowanego dajmona dyrektorki Oakley Street. Godwin i Capes zdążyli się już zapoznać ze skopiowanymi przez Malcolma dokumentami i z zainteresowaniem wysłuchali jego relacji z rozmowy z Morrisem.

– Jest filozofem – odparł Capes. – Tak zwanym filozofem. Nie wierzy w istnienie obiektywnej rzeczywistości. To modne podejście wśród studentów, których czeka napisanie eseju. Ma lekkie pióro, pisze dowcipnie, o ile tylko komuś odpowiada takie poczucie humoru, jest bardzo popularny jako wykładowca. Cieszy się też niejaką popularnością wśród młodszych akademików.

– Niejaką popularnością? – powtórzyła Hannah. – Ja bym go wprost nazwała „gwiazdą”.

– Wiemy, co by go mogło łączyć z Genewą? – zapytał Malcolm.

– Nie – odparł szeptem dajmon Godwin. – Jeżeli Talbot naprawdę myśli to, co mówi i pisze, to nie widzę wielkich możliwości porozumienia z Genewą.

– Jego atutem może być teza, że nic nie ma większego znaczenia – zauważył Capes. – Z takim podejściem łatwo udawać poparcie dla Magisterium. Nie sądzę jednak, żeby mu zaufali.

– A ta sprawa z oficerem łącznikowym... – wtrąciła Godwin. – Talbot jest w Kolegium Kardynalskim, zgadza się?

– Tak – potwierdziła Hannah. – Kolegia łączą się w niewielkie grupy i wspólnie nawiązują tego rodzaju współpracę z policją. W tej grupie są jeszcze Foxe, Broadgates i Oriel.

– Domyślałam się, że w każdym z tych kolegów jest akademik, który w razie konieczności odpowiada za kontakty z policją?

– Zgadza się – przytaknął Capes. – Zwykle prodziekan albo ktoś w tym rodzaju.

– Sprawdź to, Charlesie, proszę cię. I zobacz, czego uda ci się dowiedzieć na temat Talbota i Pastona. Malcolmie, ty skup się na sprawie olejku różanego. Chcę wiedzieć o nim wszystko. I jeszcze ten instytut w Azji Środkowej. Czym jest? Kto nim kieruje? Co odkryli w związku z olejkami, jeśli w ogóle coś odkryli? Dlaczego tych róż nie można hodować nigdzie indziej? Czym jest ta niezwykła czerwona budowla pośrodku pustyni, pilnowana przez strażników mówiących po łacinie, z której pochodzą róże? A może to jakieś deliryczne urojenie? Chcę, żebyś udał się tam osobiście, gdy tylko będzie to możliwe. Znasz okolicę, język... Mam rację?

– Tak – potwierdził Malcolm.

Nic więcej nie był w stanie wykrztusić. Takie polecenie oznaczało, że nie będzie miał żadnych szans na odnalezienie Lyry, nawet gdyby wiedział, gdzie jej szukać.

– Aha, jeszcze to całe zamieszanie na wschodzie: spróbuj ustalić jego przyczyny. Czy źródłem jest Łob-nor i zamęt rozprzestrzenia się znad jeziora ku zachodowi? I czy ma coś wspólnego z tymi różami?

– Zauważyłem ciekawą rzecz... – powiedział Malcolm. – Strauss w swoim dzienniku wspomina o tym, że miejsca położone w pobliżu stacji badawczej zostały zaatakowane, ogrody różane spalone i tak dalej, i jest tym zaskoczony, ponieważ sądził, że tego rodzaju wydarzenia mają miejsce tylko w Azji Mniejszej, ściśle rzecz biorąc w Turcji i Lewancie. Może źródło zamieszania nie leży zatem w Azji Środkowej, tylko na zachód od niej? Bliżej Europy?

Glenys Godwin pokiwała głową, coś sobie zapisując.

– Dowiedz się jak najwięcej – powiedziała. – Hannah? Ta młoda kobieta, Lyra Żłotousta: wiesz, gdzie zniknęła?

– Na razie nie, ale alethiometr z natury nie działa zbyt szybko. Wydaje mi się, że jest bezpieczna; nic więcej na jej temat nie umiem powiedzieć. Będę szukać dalej.

– Chciałabym poznać pokrótce jej historię, zrozumieć, dlaczego jest taka ważna. Bo na razie nie umiem ocenić, czy jest dla tej sprawy kluczowa, czy raczej marginalna. Mogłabyś coś takiego na szybko sprokurować?

– Oczywiście.

– W Mauzoleum są jej akta – wtrącił dajmon Godwin.

Miał na myśli tę część archiwów Oakley Street, w której przechowywano materiały nieaktywne. Malcolm i Asta wiedzieli o tym, ale i tak wzdrygnęli się lekko na wspomnienie zatęchłego, gnijącego cementarza, na którym Malcolm zabił Gerarda Bonneville'a, aby uratować Lyrę.

– Doskonale – powiedziała dyrektorka. – Przejrzę je po powrocie. A tymczasem w Genewie coś się dzieje. Znasz szczegóły, Charlesie?

– To zjazd, a właściwie „kongres”, bo tak to nazywają. Po raz pierwszy od stuleci spotkają się wszystkie instytucje wchodzące w skład Magisterium. Nie wiem, jaki jest powód tego zgromadzenia, ale nie brzmi to dobrze. W tej chwili naszą najlepszą bronią przeciwko nim są targające nimi wewnętrzne spory. Jeżeli znajdą jakiś powód, by zewrzeć szeregi, a następnie go zinstytucjonalizują, staną się groźniejsi niż kiedykolwiek przedtem.

– Mógłbyś się jakoś tam wkłęcić?

– Wydaje mi się, że mógłbym, ale ostrzegano mnie, że jestem na cenzurowanym. Dopilnowaliby, żebym się za dużo nie dowiedział. Znam jednak ze dwie osoby, które na pewno dowiedzą się więcej i chętnie by się tą wiedzą podzieliły. Przy takich wydarzeniach zawsze kręci się sporo dziennikarzy i akademików z całego świata.

– W porządku, zrób, co w twojej mocy. Nie zapominajmy przy tym o najważniejszym: Magisterium desperacko dąży do zawładnięcia różami i wytwarzaniem z nich olejkiem. Działaniom tym przewodzi organizacja znana jako La Maison Juste i jej sekretarz Marcel Delamare. Wiesz coś na ich temat, Charlesie? Na przykład, skąd ta nazwa?

– La Maison Juste to nazwa budynku mieszczącego ich główną siedzibę. Prawdziwa nazwa organizacji brzmi Liga na rzecz Instauracji Świętego Zamierzenia.

– Instauracji? – powtórzyła Glenys Godwin. – Nie bardzo pamiętam, co to znaczy... O ile kiedykolwiek wiedziałam.

– Odnowa. Przywrócenie.

– A czym jest to „Święte Zamierzenie”? Nie, czekaj, domyślam się: chcą wzmocnić swoje poczucie prawości. Z radością powitaliby wybuch wojny i te róże z jakiegoś powodu dają im przewagę. Musimy poznać naturę tej przewagi i ją zneutralizować albo, o ile tylko będzie to możliwe, przejąć i wykorzystać do własnych celów. Nie zapominajmy o tym.

– Oakley Street nie bardzo może toczyć wojnę – zauważyła Hannah.

– Nie jestem bynajmniej jej orędowniczką, natomiast jeśli rozegramy to inteligentnie i skutecznie, może uda nam się jej zapobiec. Wiesz, Malcolmie, dlaczego posyłam właśnie ciebie. Nikogo innego bym o to nie poprosiła.

Malcolm wiedział, wiedziała to również Hannah, nie wiedział natomiast Capes, który posłał Malcolmowi pytające spojrzenie.

– Ja i mój dajmon możemy się rozdzielić – wyjaśnił Malcolm.

– Aha. – Capes pokiwał głową.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Coś załśniło na biurku: promień słońca padł na ostrze srebrnego nożyka do listów. Malcolm poczuł znajomą obecność maleńkiego świetlistego punkciku, nie większego od atomu, który stawał się coraz lepiej widoczny, a potem rósł i rósł, tworząc migotliwą pętlę światła, którą Malcolm na własny użytek nazywał roziskrzonym pierścieniem. Asta przyglądała mu się uważnie: ona również wyczuwała istnienie pierścienia, chociaż go nie widziała. Wiedział, że przez najbliższe kilka minut nie powinien się na niczym innym skupiać – mniej więcej tyle czasu potrzebował pierścień, by osiągnąć rozmiary, przy których dało się przez niego patrzeć na wylot. Odprężył się więc i myślał o czterech zebranych w pokoju istotach ludzkich – liberalnych, cywilizowanych, tolerancyjnych – i o reprezentowanej przez nie organizacji.

Widziana z takiej szerszej perspektywy Oakley Street wydawała się czymś niedorzecznym: twór, którego istnienie musiało być utrzymywane w tajemnicy przed państwem, które miał za zadanie chronić; którego coraz mniej liczni agenci w większości osiągnęli lub nawet przekroczyli wiek średni; który dysponował tak skromnymi środkami, że jego dyrektorka przyjeżdżała z Londynu pociągiem osobowym w wagonie trzeciej klasy, a Malcolm będzie musiał z własnych środków sfinansować wyprawę na Karamakan. Co też strzeliło do głowy tej lichej, podupadłej i cierpiącej na braki kadrowe organizacji, że uparła się stawić czoło całemu Magisterium?

Pozostała trójka rozmawiała przyciszonymi głosami. Przybliżająca się do Malcolma lśniaca, świetlista pętla obejmowała ich po kolei: Charles Capes – szczupły, łysy, w nieskazitelnym ciemnym garniturze z czerwoną poszetką, z oczami zdradzającymi głęboki, subtelny intelekt; Glenys Godwin o ciepłych, ciemnych oczach i schludnie przyciętych siwych włosach, jedną ręką nieustannie czule głaszcząca kalekiego dajmona; Hannah Relf, którą kochał tylko odrobinę mniej niż własną matkę, drobna, siwa, krucha, z umysłem przepełnionym wielką wiedzą. Widziani z tej nowej perspektywy, w świetle roziskrzonego pierścienia, wydawali mu się wręcz niesamowicie wartościowi.

Siedział więc i słuchał, a pierścień rozrastał się i płynął ku niemu, aż w końcu wyminął go i zniknął.

Charles Capes miał rację: rzeczywiście był to pierwszy od wieków zjazd hierarchów Magisterium.

W Magisterium obowiązywała pewna hierarchia – poszczególne tworzące je ciała i osoby były ważniejsze lub mniej ważne, cieszyły się większą lub mniejszą estymą, nie były to jednak podległości tak ścisłe jak przed panowaniem papieża Jana Kalwina, który odrzucił prymat urzędu papieskiego i podzielił jego wpływy pomiędzy kilka organizacji. Po jego śmierci tron papieski pozostał już na zawsze nieobsadzony, a nurt wiążącej się z nim władzy rozdzielił się na wiele drobniejszych strużek niczym rzeka, która – w górach wartka i rwąca – po wypłynięciu na równiny rozlewa się szeroko i rzeźbi w nich liczne nowe koryta.

Nie było więc jasno określonej hierarchii dowodzenia. Zamiast tego wykielkowała

mnożność rozmaitych bytów, rad, kolegiów, komitetów i sądów, które albo rozkwitły pod przywództwem ambitnych i utalentowanych liderów, albo czeły ze szczętem, gdy ich szefom zabrakło prawdziwej odwagi i wizjonerskiego rozmachu. Twór znany pod nazwą Magisterium był skłębioną masą konkurencyjnych, podejrzliwych i zazdrosnych o siebie nawzajem organizacji, połączonych tylko niepokromioną ambicją i żądzą władzy.

Przywódcy wszystkich tych odłamów – prezes Konsystorskiego Sądu Dyscyplinarnego, dziekan Kolegium Biskupów, przewodniczący Komisji Propagowania Prawdziwej Wiary, sekretarz generalny Stowarzyszenia na rzecz Promocji Cnoty Celibatu, rektor Czerwonej Komnaty, dziekan Szkoły Logiki Dogmatycznej, prezes Sądu Ładu Powszechnego, przeorysza zakonu sióstr subordynatek, archimandryta klasztoru Łaski Pańskiej i inni, wielu innych – przybyli na kongres, ponieważ bali się nie przybyć, albowiem wówczas można by ich nieobecność zinterpretować jako przejaw buntu. Zjechali się z całej Europy, a także z dalekich krain na południu i północy, wschodzie i zachodzie. Niektórzy wprost rwali się do waśni, innym na samą myśl o sporach robiło się niedobrze; jedni przybyli rozochoceni jak ogary zwabione piżmową atmosferą polowania na heretyków, inni z najwyższą niechęcią zamienili swoje spokojne klasztory i kolegia na środowisko wszechobecnej niezgody, gniewów i zagrożenia. Łącznie pięćdziesięcioro troje ludzi zebrało się w wyłożonej boazerią Sali Rady w Sekretariacie Świętej Obecności, którego prefekt miał przywilej przewodzenia zgromadzeniu.

– Bracia i siostry! – zagaił. – Zostaliśmy tu wezwani w imieniu i pod auspicjami Najwyższego, aby przedyskutować sprawę o pałaco pilnym charakterze. W ostatnim czasie nasza wiara została poważnie zagrożona i wystawiona na najcięższą próbę w dziejach. Herezja kwitnie, bluźnierstwo uchodzi płazem, doktryna, która pozwoliła nam przetrwać dwa tysiące lat, jest otwarcie podważana i wykpiwana na całym świecie. Nadszedł czas, aby ludzie wiary zebrali się i przemówili wspólnym głosem o niepodważalnej mocy. Zarazem na wschodzie otwierają się dla nas możliwości tak niezwykle, tak obiecujące, że nawet najbardziej przygnębieni znajdą w nich pociechę. Mamy oto okazję do umocnienia swojej pozycji i wywarcia przemożnego wpływu na tych wszystkich, którzy w przeszłości opierali się dobroczynnym wpływom Świętego Magisterium i czynią to nadal.

Przynosząc wam tę nowinę, której szczegóły zostaną przedstawione później, muszę zarazem usilnie prosić was o żarliwe modły w intencji nas wszystkich, aby w tych nowych, niespodziewanych okolicznościach nie zbrakło nam mądrości. Pierwsze pytanie, które musimy sobie zadać, brzmi następująco: czy zebrana tutaj reprezentacja naszej wiekowej organizacji, pięćdziesięcioro troje ludzi wielkiej wiary i absolutnej prawości, nie jest zbyt liczna? Czy jej rozmiary nie paraliżują zdolności do podejmowania szybkich decyzji oraz prędkiego i skutecznego działania? Czy nie powinniśmy rozważyć korzyści płynących z powierzenia kwestii najwyższej wagi innemu, skromniejszemu gremium, które byłoby mniej liczne, za to żwawsze, bardziej stanowcze w swoich działaniach i zdolne przeprowadzić nas wszystkich przez dzisiejsze trudne czasy?

Reprezentujący La Maison Juste Marcel Delamare z zadowoleniem słucał słów prefekta. Nikt nigdy nie miał się tego dowiedzieć, ale to on napisał prefektowi to przemówienie. Zagwarantował sobie również – poprzez dyskretne rozpytywanie,

szantaże, przekupstwa, pochlebstwa i groźby – że wniosek o powołanie rady w zmniejszonym składzie zostanie zgłoszony i uzyska poparcie. Ustalił także skład owej rady oraz wybrał jej przewodniczącego.

Teraz siedział wygodnie z założonymi na piersi rękami. Rozpoczęła się debata.

Na obrzeżach Moczarów zapadał zmierzch. O tej porze Giorgio Brabandt zwykle zaczynał się rozglądać za dogodnym miejscem do zacumowania na noc, ale ponieważ znaleźli się już prawie na jego rodzinnych wodach, kusiło go, żeby mimo padającego deszczu płynąć dalej. Znał każdy zakręt i każdy zakamarek tego wodnego labiryntu. Kiedy kazał Lyrze wywiesić latarnie na dziobie i rufie, czynił to raczej z uprzejmości dla innych wodnych podróżników niż z konieczności rozświetlenia sobie szlaku.

– Kiedy wpłyniemy na Moczary, panie B? – zagadnęła.

– Właściwie już na nich jesteśmy. Nie ma tu granic, posterunków celnych, nic z tych rzeczy... W jednej chwili jesteś jeszcze poza Moczarami, a w następnej już na nich.

– A skąd pan wie kiedy?

– Czuję to. Dla Gipcjanina to jest jak powrót do domu. A kto nie jest Gipcjaninem, czuje się nieswojo, denerwuje się, boi się, że z wody obserwują go rozmaite diabluki i straszyci. Ty też masz takie wrażenie?

– Nie.

– Aha. To znaczy, że jeszcze nie jesteśmy na Moczarach. Albo że za mało ci o nich opowiadałem.

Brabandt – w sztormiaku i zydwestce – stał przy sterze, a Lyra siedziała przy drzwiach do kajuty, zakutana w jego stary płaszcz. Lampa na rufie obrysowywała jego krępa sylwetkę żółtym konturem i rozświetlała nieustannie spadające z nieba krople deszczu. Lyra pamiętała o ziemniakach gotujących się na naftowej maszynie w kambuzie za jej plecami. Zamierzała tam za chwilę zejść i skroić kilka plasterków bekonu do przysmażenia.

– Jak pan myśli, kiedy dotrzemy do Zaalu? – zapytała, mając na myśli wielką salę zgromadzeń, centrum życia społecznego Gipcjan.

– To akurat łatwo określić.

– To znaczy?

– Kiedy zbliżymy się na tyle, że go zobaczymy, będziemy prawie na miejscu.

– Bardzo pomocna wskazówka, trzeba...

Brabandt uciszył Lyrę pośpiesznym gestem. W tej samej chwili jego dajmon zadarł łeb i spojrział w niebo. Brabandt naciągnął zydwestkę niżej na czoło, osłaniając oczy, i też spojrział do góry. Lyra poszła za ich przykładem. Niczego nie zobaczyła, usłyszała natomiast dobiegający z chmur basowy pomruk.

– Biegnij na dziób – polecił jej Brabandt. – Zgaś lampę.

Odpuścił przepustnicę, a drugą, wolną ręką sięgnął do latarni na rufie.

Lampa na dziobie oświetlała dach kajuty, więc Lyra bez problemu przebiegła po nim przez całą długość łodzi i zeskoczyła na pokład dziobowy. Kiedy sięgnęła do lampy i skręciła knot, pomruk z nieba przybrał na sile i po chwili dostrzegła jego

źródło: nieco z tyłu, z prawej strony, poniżej pułapu chmur sunęła biała, jajowata sylwetka zeppelinu z wygaszonymi światłami.

Po omacku wróciła do kokpitu. Brabandt skierował tymczasem Portugalską Dziewicę na skraj kanału i zdławił silnik do cichego pomruku. Szarpnęło, gdy kadłub poszorował o trawiasty brzeg.

– Widzisz go? – spytał półgłosem Brabandt.

– Widzę jeden. Jest ich więcej?

– Jeden wystarczy. Śledzi nas?

– Nie. Wątpię, żeby dostrzegli nasze światła, nie w tym deszczu. A przy łoskocie własnego silnika nie mają szans usłyszeć naszego.

– W takim razie popłyniemy dalej.

Brabandt uchylił szerzej przepustnicę, silnik zamruczał basowo, łódź przyśpieszyła.

– Jakim cudem cokolwiek pan widzi? – zdumiała się Lyra.

– Instynkt. A teraz buzia w ciup, muszę słyszeć, co się dzieje.

Lyra przypomniała sobie o ziemniakach i zbiegła do kajuty, gdzie zdjęła je z ognia i odcedziła. Stara, ciepła, wygodna kabina, czysty kambuz, kłęby pary, zapach gotowanych ziemniaków – wszystko to zdawało się stanowić zaporę przed niebezpieczeństwem, które zawisło jej nad głową, ale nie miała złudzeń co do skuteczności tej zapory: dobrze wymierzona bomba w jednej chwili zgładziłaby ją i Brabandta i posłała Portugalską Dziewicę na dno.

Przemknęła po kabinie od jednego końca do drugiego i sprawdziła rolety na wszystkich oknach: nigdzie nie było najmniejszej szparki. Na koniec zgasiła światło w kambuzie i wyszła do kokpitu.

Ryk silnika zeppelinu stał się przez ten czas bardzo głośny, tak jakby wehikuł zawisł dokładnie nad łodzią. Kiedy jednak Lyra zadarła głowę i mrużąc oczy w zacinającym deszczu, spojrzała w niebo, niczego tam nie zobaczyła.

– Ćśś – syknął Brabandt. – Spójrz w prawo.

Wstała i wyteżyła wzrok, nie bacząc na deszcz ściekający do oczu, i tym razem dostrzegła słabe, zielonkawe światło: na przemian przygasało i rozpalalo się jaśniej, chwilami znikало zupełnie na sekundę lub dwie, ale zawsze znów się pojawiało. I poruszało się.

– To jakaś inna łódź?

– Nie, to błędny ogień. Chochlik z latarnią.

– Tam jest jeszcze jeden!

Nieopodal pierwszego światełka błyskało drugie, tym razem czerwone. Zbliżyły się do siebie, zetknęły, zgasły... i zapłonęły ponownie, już w pewnym oddaleniu.

Portugalska Dziewica płynęła spokojnym, równym tempem. Brabandt rozglądał się na boki, nasłuchiwał, mrużył oczy, nawet unosił głowę i węszył. Deszcz jeszcze się wzmógł. Bagienne ogniki dotrzymywały kroku łodzi, a Lyra nagle zdała sobie sprawę, że zeppelin skierował się w ich stronę, jakby zaciekawiony, czym są. Jego silnik rozbrzmiewał teraz bardzo blisko i bardzo głośno. Ciekawe, pomyślała Lyra, czy pilot cokolwiek widzi w tych ciemnościach. Dziewica płynęła z wygaszonymi światłami i nie zostawiała żadnego śladu na wodzie.

– O, następny! – zauważyła.

Trzeci ognek dołączył do dwóch pierwszych i razem zaczęły wirować w dziwnym, szarpanym, chwiejnym tańcu. Ich zimna, drżąca poświata przyprawiała Lyrę o dreszcze. Tylko lity pokład pod stopami i krzepiąca obecność Giorgia Brabandta pomagały jej odeprzeć mdlący strach przed wszystkim tym, co czai się tam, na zewnątrz, w ciemnościach, poza zasięgiem rozumu.

– Leci w ich kierunku – zauważył Brabandt.

I rzeczywiście, zeppelin jak ciągnięty na sznurku przemieszczał się w prawo, w stronę błędnych ogników.

Brabandt jeszcze dodał gazu i wąska łódź wyraźnie przyspieszyła. W słabutkiej poświacie bagiennych ogników było widać, jak sternik wyteża wszystkie zmysły. Anneke, jego dajmon, wskoczyła na dach kabiny i kręciła łbem na boki, łowiąc wszelkie zapachy, które zwiastowałyby mieliznę albo nieoczekiwany skręt.

Lyra już, już miała zapytać, czy może jakoś pomóc, ale gdy tylko otworzyła usta, zdała sobie sprawę, że gdyby Brabandt miał dla niej jakieś zadanie, to by jej o tym powiedział. Usiadła więc znowu w drzwiach kajuty. Tkwiła tam nieruchomo i spoglądała za prawą burzę. Płomyki jarzyły się coraz jaśniej.

Ognisty promień wystrzelił znieacka ze skłębionych chmur, uderzył w wodę i eksplodował kwiatem żółto-pomarańczowych płomieni. Chwilę później do uszu Lyry dobiegł krótki świst i dudniący grzmot wybuchu.

Błędne ogniki pogasły.

– Stało się – powiedział Brabandt. – Złamali prawo. Mogą przelatywać nad Moczarami, ale czegoś takiego nie wolno im robić.

Stojąca na dachu kajuty Anneke z gniewnym warkotem wpatrywała się w dogorywającą poświatę po wybuchu.

Chwilę później tuzin błędnych ogników rozbłysnął jednocześnie: poruszały się bardzo szybko, skakały to tu, to tam, wznosiły się i opadały. Płomyki buchały wprost z ziemi i zaraz gasły.

– To je rozzłościło – zauważył Brabandt. – Kłopot w tym, że w ich świetle będzie nas widać.

Pomrukując silnikiem, Portugalska Dziewica zagłębiała się w mrok, ale Gipcjanin miał rację: bagienne ogniki płonęły teraz z tak wścieklą jasnością, że – choć niewielkie – oświetlały calusienki kadłub łodzi, który ociekał deszczówką i mienił się w świetle.

– Ogniki nas nie lubią – powiedział Brabandt. – Wprawdzie o wiele bardziej nie lubią zeppelinów, ale za nami też nie przepadają. Nie przejęłyby się zbytnio, gdyby łajba została roztrzaskana i poszła na dno razem z nami.

Nagle Anneke szczerknęła głośno, wyraźnie zaniepokojona. Zadarła łeb. Lyra również spojrzała w górę i zobaczyła, jak coś małego odrywa się od zeppelina i spada na spadochronie. Wiatr natychmiast pochwycił obiekt w objęcia i cisnął nim wstecz, ale po chwili widoczny pod czaszą spadochronu czarny przedmiot eksplodował oślepiającym blaskiem.

– Race świetlne – powiedział Brabandt, gdy zapłonęła druga flara.

Rozjuszony błędny ognek zareagował błyskawicznie. Pojawiało się ich coraz więcej i wszystkie zbiegały się ku racy, a gdy spadła w końcu do wody, opadły ją rojem, stłamsiły jej żar swoimi zimnymi płomykami i ostatecznie zatopiły ją w obłoku dymu, przy wtórze chóru wilgotnych mlaśnień i wrzasków.

Lyra zerwała się ze swojego miejsca i wpadła do kajuty, gdzie po omacku dotarła do swojej wydzielonej kabiny na dziobie. Namacała koję, stolik, przesunęła dłońmi po książce, po lampie, aż w końcu natrafiła na aksamitną sakiewkę z alethiometrem. Ściskając ją w obu rękach, cofnęła się przez całą długość kadłuba, nieustannie świadoma ledwie uchwytnych poruszeń łodzi reagującej na ster i przepustnicę w rękach Brabandta, dobiegającego gdzieś z góry jazgotu silnika zeppelinina i zawodzenia wiatru. Już z kambuza dostrzegła sylwetkę Gipcjanina rysującą się na tle migotliwej poświaty błędnych ogników, a potem wyszła do kokpitu i przysiadła na ławce, z której mogła patrzeć w gwiazdy.

– Wszystko w porządku? – zagadnął Brabandt.

– Tak. Zobaczę, czy uda mi się czegoś dowiedzieć.

Poruszyła pokrętłami alethiometru, mrużąc oczy i wyteżając wzrok, żeby w migoczącym świetle dostrzec symbole na tarczy – ale na próżno: rysunki były praktycznie niewidoczne. Ścisnęła przyrząd w dłoniach i patrzyła ze złością na błędne ogniki, boleśnie świadoma sprzeczności, która niemal rozdzierała jej umysł na dwoje. Zamierzała się odwołać wprost do owej tajemnej wspólnoty, o której opowiadał jej Brabandt – a zarazem wmawiała sobie, że to wszystko bzdury i nonsensy, przesady i nic nieznaczące wymysły.

Przed nimi zeppelin zawracał powoli, sondując szperaczem ulewę i gęste mroki bagien. Za minutę, może dwie odwróci się do nich dziobem, a gdy pochwyci Portugalską Dziewicę w promień światła, będą zgubieni.

Pan, Pan, Pan, pomyślała Lyra. Jesteś mi teraz potrzebny, ty mały draniu. Ty zdrajco.

Próbowała sobie wyobrazić, że zgarnia wszystkie ogniki w jedno miejsce, jakby zaganiała stado owiec, ale było to zadanie skrajnie trudne, bo (jak powiedział Pan) brakowało jej wyobraźni. Jak mogłaby dopiąć swego? Wyteżyła umysł, próbowała zobaczyć się w roli pasterki światełek, z Panem u boku, który – jako pies pasterski – na wydany w myślach rozkaz biegałby po mokradłach w tę i z powrotem, przysiadł, nieruchomiał, zrywał się do skoku, pędził i wyszczekiwał krótkie polecenia.

Jakie to głupie, myślała jednocześnie. Jakie dziecinne. Przecież te płomyki to zwykły metan albo coś w tym rodzaju. Zjawisko naturalne, pozbawione głębszego sensu.

Zdekoncentrowała się.

Szloch wydarł jej się z gardła.

– Co robisz, dziewczyno? – zainteresował się Brabandt.

Udała, że go nie słyszy, zazgrzytała zębami i wbrew sobie ponownie przywołała nieobecnego Pantalaimona, tym razem pod postacią ogara z pałającymi ogniem ślepiami i ociekającym śliną pyskiem. Przerażone błędne ogniki najpierw się rozpierzchnęły, potem zbiły w gromadkę i zaczęły zataczać kręgi. Zimny promień światła z reflektora był coraz bliżej. Ani wiatr, ani turkot silnika nie były już w stanie zagłuszyć bębnienia deszczu o potężny dziobo-pysk zeppelinina.

Poczula, jak coś w niej wzbiera, coś wypływającego z samego sedna jej istoty, jak przewala się fala za falą, na przemian piętrzy się, opada i znów przybiera, za każdym razem wyżej niż poprzednio. Rozpalał się w niej gniew, wzmagająca się żądza.

– Co one robią? – zdumiał się Brabandt. – Na Boga, spójrz...

Poruszające się coraz szybciej światełka wznosiły się wyżej, po czym z impetem

spadały do wody tuż przed plamą światła ze szperacza zeppelin. W końcu rozległ się zwierzęcy wrzask i coś oderwało się od bagna w tym miejscu, coś, co nie było skrzatem z latarenką ani błędnym ognikiem, lecz dużym ptakiem – czapłą, może nawet bocianem. Białe ptaszysko zerwało się ociężale do lotu prosto w snop światła i wzbijało się dalej, spłoszone i ponaglone przez zielone płomyki, które opadły je ze wszystkich stron, próbowały kąsać po nogach, roiły się jak szerszenie wokół masywnego ciała. Przerażony ptak wzlatywał coraz wyżej i wyżej, zmierzając prosto w stronę zeppelin...

– Trzymaj się mocno – wychrypiał Brabandt do Lyry. Snop światła omiatał wodę tuż przed dziobem łodzi.

Nagle nastąpił wybuch i czapla – w burzy ognia, krwi i białych piór – wpadła wprost w prawy silnik zeppelin.

Statkiem powietrznym szarpnęło, odbił ostro w lewo, przechylił się, przekrzywił i zaczął opadać na bok. Prawy silnik jazgotał przeraźliwie, popchnięta podmuchem wiatru rufa utraciła stabilność, a cały zeppelin nieubłaganie obniżał lot. Znajdował się coraz bliżej powierzchni bagniska i zarazem coraz bliżej Portugalskiej Dziewicy, a przy tym zdawał się osuwać tak łagodnie, jakby układał się na łóżku. Porywisty wiatr niósł przytłumione urywane krzyki i zaraz zwiewał je w dal. W świetle błędnych ogników, a także ognia, który swobodnie rozprzestrzeniał się po całym zeppelinie, Lyra i Brabandt patrzyli ze zgrozą, jak najpierw jedna sylwetka, potem druga i trzecia wyskakują z kabiny i przepadają w ciemności. W następnej chwili olbrzymi zewłok sterowca spadł do wody nie dalej niż pięćdziesiąt jardów przed nimi, wzbijając kłęby pary, dymu i ognia. Tysiące bagiennych światełek skakały i hasały w dzikim triumfie. Żar pożaru parzył w twarz. Brabandt ściągnął zydwestkę jeszcze niżej na czoło.

Widok był makabryczny, ale Lyra nie potrafiła oderwać oczu od płonącego zeppelin. Jego szkielet odcinał się czarnym konturem na tle pożogi, dopóki nie popękał i nie runął w dół w fontannie iskier i dymu.

– Nie mogli tego przeżyć – powiedział Brabandt. – Na pewno zginęli.

– To straszne.

– Fakt.

Brabandt przestawił dźwignię przepustnicy. Łódź wyszła na środek toru wodnego i zaczęła powoli przyśpieszać.

– Ta czapla... – mówiła Lyra drżącym głosem. – Błędne ogniki ją spłoszyły i ścigały. Zmusiły ją, żeby wleciała w silnik. Wiedziały, co robią.

Tak jak i ja wiedziałam, dodała w myślach. To ja do tego doprowadziłam.

– Czapla, powiadasz? Być może. Chociaż mnie się zdawało, że to jakieś latające straszdyło. Bo niektóre z tych diablików umieją latać, wydają wtedy taki jakby warkot... Mogliśmy go nie słyszeć, tyle się działo. Ale tak właśnie sobie myślę, że to był jakiś latający elf albo wodny duszek, w każdym razie stwór z tajemnej wspólnoty, o której ci opowiadałem. Spójrz: widzisz je teraz?

Błędne ogniki całymi dziesiątkami otoczyły zgłiszczca zeppelin: to doskakiwały do nich, to się cofały, roztańczone i migoczące.

– Co one robią?

– Sprawdzają, czy ktoś przeżył. Jak kogoś znajdą, to wciągną pod wodę i wykończą. Ziemniaki gotowe?

– Ehm, ziemniaki... Tak, gotowe.

– Trzeba je zjeść, zanim wystygną. W szafce powinna być konserwa wołowa: skrój ją do ziemniaków i podsmaż to razem. Mam ochotę na jakiś konkret.

Lyra targnęły mdłości. Nie mogła przestać myśleć o ludziach z zeppelinu, spalonych żywcem, utopionych albo uśmierconych w jeszcze inny, gorszy sposób, i o pięknym białym ptaku, bez litości wepchniętym wprost w łopatki silnika. Zupełnie straciła apetyt.

Kiedy jednak zabrała się do gotowania, stwierdziła, że jedzenie pachnie smakowicie i źle byłoby je zmarnować. Przełożyła posiłek na dwa talerze i wyniosła do kokpitu.

Brabandt nabrał na widelec porcję mięsa z ziemniakami i wyrzucił ją za burtę.

– To dla błędnych ogników – wyjaśnił.

Lyra zrobiła to samo, po czym zaczęli jeść kolację, osłaniając talerze przed deszczem.

Café Cosmopolitain

Tego samego wieczora Dick Orchard wszedł do baru w Pstrągu. Znał wiele oksfordzkich pubów, ale – jak każdy – miał swoje ulubione, a Pstrąg znajdował się zbyt na uboczu, żeby warto było częściej go odwiedzać.

Piwo mieli jednak zacne. Zamówił dużą szklankę i ostrożnie się rozejrzał. Żaden z klientów nie wyglądał na akademika: przy kominku starsi panowie grali w karty, dwóch gości wyglądających na robotników rolnych toczyło przeciągły, choć beznamiętny spór o celowość groduzenia pastwisk, dwie pary młodych ludzi zamawiały coś do jedzenia – ot, zwykły spokojny wieczór w tradycyjnym nadrzecznym pubie.

Kiedy młodzi klienci złożyli zamówienie, wzięli coś do picia i usiedli przy stoliku, Dick zagadnął barmana, krzepkiego mężczyznę około sześćdziesiątki o rzednących rudych włosach i miłym wyrazie twarzy:

– Najmocniej przepraszam... Szukam niejakiego Malcolma Polsteada. Zna go pan?

– To mój syn – przytaknął barman. – Jest w tej chwili w kuchni, je kolację. Chce pan z nim porozmawiać?

– Niech zje spokojnie, nie ma pośpiechu.

– Właściwie to ma pan szczęście, że jeszcze go pan zastał. Wyjeżdża niedługo. Za granicę.

– Naprawdę? To rzeczywiście szczęściarz ze mnie.

– Taaa... Musi jeszcze uporządkować jakieś swoje sprawy na uczelni, a potem wsiada w pociąg i jazda. I to prędko, myślę, najdalej jutro wieczorem. Proszę usiąść tam, w kącie, napić się czegoś, a ja mu dam znać, że pan przyszedł. Zajrzy do pana przed wyjściem. Jak pańska godność?

– Dick Orchard, ale to nazwisko nic mu nie powie. Chodzi o... o Lyreę.

Barman otworzył szerzej oczy, nachylił się nad kontuarem i zapytał, zniżając głos:

– Wie pan, gdzie ona jest?

– Nie, ale to od niej usłyszałem o Malcolmie Polsteadzie i...

– Pójdę po niego.

Dick wziął swoje piwo i usiadł przy stoliku w kącie sali. Było w zachowaniu barmana coś takiego, co kazało mu żałować, że nie przyszedł do Pstrąga wcześniej.

Po niespełna minucie przysiadł się do niego wysoki mężczyzna, nie tak barczysty jak jego ojciec-barman, ale jednak dość krzepki, by Dick dwa razy się zastanowił, czy wdawać się z nim w przepychankę. Miał na sobie brązowy sztruksowy garnitur, a w jednej ręce trzymał filiżankę herbaty. Jego dajmon – duża, ruda kotka – i Bindi,

lisica Dicka, uprzejmie szturchnęły się nosami na powitanie.

Dick wyciągnął dłoń. Polstead uściśnął ją mocno.

– Wie pan coś na temat Lyry?

Polstead mówił cicho, ale bardzo wyraźnie. Miał dźwięczny, niski głos, nadawałby się na piosenkarza. Dick nie wiedział, co o nim myśleć: malująca się na twarzy jego rozmówcy inteligencja zdradzała, że jest akademikiem, ale Polstead sprawiał również wrażenie człowieka bywałego w świecie.

– Tak – potwierdził Dick. – Wiem. Jesteśmy... Przyjaźnimy się. Wczoraj rano przyszła do mnie. Powiedziała, że ma kłopoty i poprosiła mnie o pomoc. Bo widzi pan, chciała się dostać na Moczary, a tak się złożyło, że mój dziadek, Gipcjanin, był akurat w Oksfordzie, więc dałem jej... No, doradziłem jej, jak ma z nim rozmawiać. Przypuszczam, że to właśnie zrobiła: znalazła go i odpłynęła razem z nim. Opowiedziała mi o czymś, co wydarzyło się nad rzeką, niedaleko Oxpens, więc...

– Co to było?

– Była świadkiem zabójstwa.

Chłopak przypadł Malcolmowi do gustu: denerwował się trochę, ale nie przeszkadzało mu to mówić szczerze i bez ogródek.

– Skąd zna pan moje nazwisko? Od Lyry?

– Powiedziała, że pan wie o tym zdarzeniu nad rzeką i że mieszkała tutaj, w Pstrągu, ale teraz musi wyjechać, bo...

Dick miał kłopot z ubraniem swojej wiedzy w słowa. Malcolm czekał. Chłopak rozejrzał się, pochylił nad stołem, w końcu zniżył głos niemal do szeptu i wykrztusił:

– Była jakaś... jej dajmon, Pan... on... zniknął. Nie było go przy niej. Po prostu zniknął.

No tak, pomyślał Malcolm. Oczywiście. To wszystko zmienia.

– Nigdy kogoś takiego nie widziałem – ciągnął półgłosem Dick. – No wie pan, kogoś rozdzielonego z dajmonem. Lyra się bała, myślała, że wszyscy będą się na nią gapić albo i gorzej. Mówiła, że zna kogoś na Moczarach, jakiegoś starego Gipcjanina, i że u niego będzie bezpieczna. Pomyślała, że może mój dziadek mógłby ją bezpiecznie tam przewieźć.

– Jak on się nazywa?

– Kto, mój dziadek? Giorgio Brabandt.

– A ten człowiek z Moczarów?

– Nie wiem, nie powiedziała mi.

– Miała coś przy sobie?

– Tylko plecak.

– O której to było godzinie?

– Wcześniej rano, ledwie wróciłem z roboty. Pracuję na nocną zmianę w sortowni pocztowej.

– To od pana Lyra się dowiedziała o Bennym Morrisie?

– Tak, ode mnie.

Dick miał ochotę zapytać, czy Polsteadowi udało się czegoś dowiedzieć na temat Morrisa, ale ugryzł się w język.

Malcolm wyjął notes, ołówek, coś zapisał i wyrwał kartkę.

– Tym dwóm kobietom może pan zaufać – powiedział. – Dobrze znają Lyrę i chętnie dowiedzą się, dokąd się udała. Byłbym panu bardzo zobowiązany, gdyby

mógł im pan powtórzyć to, co przed chwilą powiedział pan mnie. A jeżeli znajdzie pan czas, żeby tu podskoczyć, moi rodzice chętnie usłyszą ewentualne nowiny na jej temat. Ale nikomu innemu proszę o niczym nie wspominać.

Podał Dickowi kartkę, na której zapisał nazwiska i adresy Alice i Hannah.

– Słyszałem, że wyjeżdża pan za granicę?

– Zgadza się – przytaknął Malcolm – chociaż wolałbym tego nie robić. Proszę posłuchać: może się u pana pojawić Pantalaimon, dajmon Lyry. Jemu również będzie groziło niebezpieczeństwo, ale jeżeli pana zna, to może zrobić to co ona i zwrócić do pana z prośbą o pomoc.

– Myślałem, że jak się człowieka rozdzieli z dajmonem, to ten ktoś umiera. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy do mnie przysła.

– Nie zawsze tak się dzieje. Pozwoli pan, że zmienię temat: zna pan niejakiego Simona Talbota?

– Nie, pierwsze słyszę. Ma coś wspólnego z tą sprawą?

– To nie jest wykluczone. Nawiasem mówiąc, gdzie pan mieszka?

Dick podał swój adres. Malcolm go zapisał.

– Na długo pan wyjeżdża? – zapytał Dick.

– W tej chwili trudno mi powiedzieć. Aha, jeszcze jedno: jedna z tych dwóch kobiet, których nazwiska panu podałem, Hannah Relf, byłaby również zainteresowana wszelkimi informacjami na temat Benny’ego Morrisa. On niedługo wróci do pracy.

– Widział się pan z nim?

– Tak.

– To on to zrobił?

– Twierdzi, że nie.

– A pan... Nie jest pan z policji, prawda?

– Nie, jestem zwykłym akademikiem. Proszę posłuchać, na mnie już czas, mam mnóstwo spraw do załatwienia przez wyjazdem. Dziękuję, że pan przyszedł. Po powrocie postawię panu drinka.

Malcolm wstał i podali sobie ręce na pożegnanie.

– To do zobaczenia – powiedział Dick i odprowadził wzrokiem Malcolma, gdy ten wychodził z baru.

Zwinnie się porusza, pomyślał, jak na takiego dryblasa.

Mniej więcej w tym samym czasie Pantalaimon, przyczajony w cieniu zrujnowanego magazynu na nabrzeżu w pobliżu ujścia Tamizy, patrzył, jak trzech marynarze kradną śrubę napędową.

Z nieba padało niewiele światła – nieliczne gwiazdy wyzierały zza poszarpanych chmur, księżyc był gdzie indziej. Zawieszona na ścianie magazynu jantaryczna lampa rzuciła słabą poświatę, ale poza tym jedyne źródło światła stanowiła lampa naftowa na dziobie szalupy, która, zataczając się na boki, odbiła od burty Elsy, starego, wysłużonego szkunera zacumowanego nieco dalej przy nabrzeżu. Jego kapitan przez cały dzień pił jedno piwo za drugim i namawiał swojego pierwszego oficera, żeby ten pomógł mu zwędzić śrubę napędową z pokładu cumującego nieopodal kabotażowca –

równie zaniedbanego jak Elsa, na pierwszy rzut oka pozbawionego załogi i składającego się głównie z rdzy, jeśli nie liczyć czterystucetnarowej fosforobrazowej śruby przytwierdzonej do pokładu na dziobie. Przez wiele godzin oglądali potencjalną zdobycz przez kapitańską lornetkę ze stłuczonym szkłem i dyskutowali o tym, ile byłaby warta w dyskretnej, tolerancyjnej stoczni. Dwaj marynarze uprzątały tymczasem pokład Elsy, nieśpiesznie wyrzucając za burtę połamane deski i kawałki sznura – pozostałości przewożonego na pokładzie i źle umocowanego ładunku, który uległ zniszczeniu podczas sztormu przy przechodzeniu przez kanał La Manche i nie przyniósł spodziewanych zysków.

Zaczął się przyptyw i wszelkie śmieci płynęły z wolna w górę rzeki. Podnosząca się bezgłośnie woda zakrywała gnijący szkielet rzecznej barki, potłuczone butelki i tkwiące w błocie puszki, przechylony kabotażowiec zanurzał się coraz głębiej i wracał do pionu. Pantalaimon w napięciu obserwował rozwój sytuacji. Zainteresował się Elszą już poprzedniego wieczora, zaraz po tym, jak przybył do małego zapuszczonego portu i podsłuchał prowadzoną po niemiecku rozmowę na jej pokładzie. O ile dobrze rozumiał, szkuner miał wyjść w morze w porze odpływu, przepłynąć przez kanał La Manche i skierować się na północ, do leżącego niedaleko Hamburga portu w Cuxhaven. Wtedy właśnie Pan postanowił popłynąć z nimi: Cuxhaven leżało u ujścia Łaby, a miasto Wittenberga, w którym mieszkał Gottfried Brande, znajdowało się nad tą samą rzeką, tyle że wiele mil dalej w głąb lądu. Lepszej okazji nie mógł sobie wymarzyć.

Załoga Elsy czekała na jakiś ładunek, ale albo dostawca wystawił ich do wiatru, albo – co Pantalaimonowi wydało się bardziej prawdopodobne – kapitan zwyczajnie pomylił datę dostawy. Przez cały dzień kapitan i pierwszy oficer kłócili się na pokładzie, pijąc piwo i wyrzucając za burtę kolejne butelki, aż w końcu, gdy kapitan zgodził się podzielić zyski pół na pół, pierwszy ustąpił i obiecał, że pomoże mu odbić śrubę napędową z niewoli.

W tych planach Pan dostrzegł dla siebie okazję do przekradnięcia się na Elbę. Kiedy szalupa ruszyła w stronę kabotażowca, przemknął przez nabrzeże i wbiegł po trapie na pokład. Poza kapitanem i pierwszym oficerem w skład załogi wchodziło jeszcze czterech marynarzy. Jeden w tej chwili wiosłował w szalupie, dwaj spali pod pokładem, a czwarty stał oparty o reling i śledził przebieg eskapady. Elsa musiała być starsza, niż Pan przypuszczał; poszycie było wielokrotnie łatane, tandetne żagle zetlałe i podarte, pokład oskorupały brudem i rdzą. Musiało być na niej mnóstwo dogodnych kryjówek.

Usiadł w cieniu sterówki i patrzył, jak złodzieje próbują się dostać na pokład kabotażowca. Ostatecznie to pierwszy oficer – młody, szczupły, o długich kończynach – pierwszy wspiął się na górę. Kapitan – po sześćdziesiątce, brzuchaty, krzywonogi i zalany w pestkę – zaliczył dwie nieudane próby, ale nie zamierzał rezygnować. Stanął w kolebiącej się szalupie, oparł się jedną ręką o burtę statku i chrapliwym głosem wydawał rozkazy oficerowi, który próbował obrócić najbliższy zardzewiały żurawik i wywiesić go nad wodę. Kapitan bluzgał przekleństwami bez chwili przerwy, aż w końcu pierwszy oficer wychylił się z góry i coś mu odwar knął. Jego dajmon zaskrzeczał szyderczo. Oczywiście Pan znał niemiecki w takim samym stopniu jak Lyra, łatwo było jednak z grubsza ogarnąć charakter tej wymiany zdań.

W końcu udało się uruchomić żurawik i wciągnąć kapitana na górę. Pierwszy

oficer poszedł obejrzeć śrubę, kapitan dla orzeźwienia sączył rum z butelki, a jego dajmon, półprzytomna papuga, przysiadł na nadburciu i wczepił się w nie pazurami. Oleista woda podnosiła się bez jednego choćby dźwięku, niosąc sterty śmiecia i na wpół rozłożone zwłoki jakiegoś zwierzęcia.

Pan spojrział na marynarza, który obserwował wydarzenia z pokładu Elsy, i na jego dajmona, parchatego szczura, który siedział przy nim i czyścił sobie wąsiki. Znowu przeniósł wzrok na scenę po drugiej stronie kanału: marynarz w szalupie przysypiał nad wiosłami, pierwszy oficer z kluczem francuskim w garści majstrował przy śrubie, kapitan jedną ręką trzymał się liny zwieszającej się z żurawika, a drugą podnosił butelkę do ust. Pantalaimonowi przypomniła się scena z działek niedaleko Oxpens: sortownia pocztowa po drugiej stronie łączki, unoszące się nad bocznkami kolejowymi smużki pary, nagie drzewa nad rzeką, odległy szcęk stalowej linki oplecionej na pachołku cumowniczym, srebrna, spokojna, śliczna noc. Nagle przeszył go dreszcz uniesienia na myśl o tym, jak przepiękne są te wszystkie rzeczy i jak bardzo wszechświat jest ich pełen. Pomyślał o tym, jak bardzo kocha Lyrę i jak okropnie za nią tęskni, za jej ciepłem i dotykiem; o tym, jak bardzo chciałaby też tu być i razem z nim patrzeć, co się dzieje; jak szepotaliby między sobą, zwracali sobie nawzajem uwagę na różne szczegóły; jak jej oddech pieściłby delikatną sierść na jego uszach.

Co on najlepszego robił? I co ona robiła bez niego?

To pytanie nie dawało mu spokoju, wgryzało mu się w umysł, ale je z niego wyrzucił. Wiedział, co robi. Coś uodporniło Lyrę na zachwyty takim nocnym pięknem, okradło ją z tego szczególnego postrzegania, ale on je odnajdzie, zwróci jej i od tej pory już nigdy nie będą się rozdzielać, tylko zostaną razem aż do śmierci.

Pierwszy oficer odkręcił tymczasem śrubę od pokładu i właśnie owijał ją kolejnymi zwojami liny, nie zwracając uwagi na chrypliwe uwagi kapitana. Wioślarz letargicznymi ruchami korygował pozycję szalupy, żeby utrzymać ją w pobliżu żurawika. Pantalaimon bardzo chciał zobaczyć, co się stanie, gdy opuszczą śrubę do łódki, był ciekaw, czy szalupa nie zatonie pod jej ciężarem, ale był również zmęczony, więcej niż zmęczony, niemal nieprzytomny z wyczerpania. Przekradł się do zejściówki, zszedł pod pokład, w trzewia Elsy, znalazł ciemny zakamarek, zwinął się w kłębek i natychmiast zasnął.

Przemówienia długie i krótkie, wnioski o przyjęcie, wnioski o odrzucenie, sprzeciwy, zastrzeżenia, poprawki, protesty, wota zaufania, kolejne przemówienia, spory i dalsze przemówienia wypełniły pierwszy dzień Konferencji Magisterium. W Sali Rady Sekretariatu Świętej Obecności zapanował ciepły zaduch.

Marcel Delamare wysłuchał wszystkich przemów do ostatniego słowa – cierpliwie, czujny, nieprzenikniony. Jego sowi dajmon raz i drugi przymknął oczy, ale wyłączył po to, żeby coś przemyśleć, nie żeby zasnąć.

O siódmej zarządzono przerwę na nabożeństwo wieczorne, po którym przyszła pora na kolację. Nie wyznaczono ogólnie miejsc przy stole. Stronnicy usiedli razem, a samotnicy i delegaci świadomi skromnych wpływów swoich organizacji

pozajmowali pozostałe wolne miejsca. Delamare bezustannie obserwował, liczył i porównywał, a równocześnie witał się z gośćmi, tu zamienił z kimś parę słów, tam rzucił żart, cały czas wspomagany przez dajmona, który szeptem sugerował mu, kiedy lepiej będzie poklepać kogoś przyjaźnie po ramieniu, a kiedy wystarczy porozumiewawcze mrugnięcie. Szczególną (choć dyskretną) uwagę poświęcił przedstawicielom wielkich korporacji odpowiedzialnych za finansowanie (również w sposób dyskretny, a przy tym nieskazitelny z etycznego punktu widzenia) wybranych aspektów zjazdu – takich jak, na przykład, ubezpieczenie medyczne.

Kiedy sam zasiadł do stołu, znalazł się pomiędzy dwojgiem najmniej wpływowych i zarazem najbardziej onieśmielonych delegatów: wiekowym patriarchą Wysokiej Porty w Konstantynopolu i przeoryszą zakonu Świętego Juliana, malutkiego zgromadzenia sióstr zakonnych, które za sprawą kaprysu historii zarządzały potężną fortuną w akcjach firm i obligacjach rządowych.

– Jak ocenia pan dzisiejszą dyskusję, *monsieur* Delamare? – zagadnęła przeorysza.

– Moim zdaniem była bardzo rzeczowa i szczerą – odparł – a argumenty przekonujące i płynące z serca.

– A jaka jest opinia pańskiej organizacji w tej kwestii? – zainteresował się patriarcha Papadakis, przez zwyczajową uprzejmość nazywany Świętym Symeonem.

– Poprzemy stanowisko większości delegatów.

– A jak pańskim zdaniem zagłosuje większość?

– Mam nadzieję, że tak jak ja – odparł Delamare jowialnym tonem, który w połączeniu z pobłażliwą miną niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że żartuje.

Jego sąsiedzi uśmiechnęli się uprzejmie w odpowiedzi.

Odblask świec na długich dębowych stołach, aromat pieczonej sarniny, szczęk sztucców uderzających o wykwintne porcelanowe talerze, upajające ciepło płynące ze szkarłatnego i złotego wina, żwawa i dyskretna obsługa – wszystko to tworzyło nadzwyczaj przyjemną atmosferę. Nawet przeorysza, prowadząca na co dzień skromny tryb życia, złapała się na tym, że aprobuje tę ekstrawagancję.

– Trzeba przyznać, że Sekretariat Świętej Obecności umie zadbać o gości – zauważyła.

– Zawsze można polegać na...

– Delamare! – zabrzmiał gromki głos i czyjaś ciężka dłoń spoczęła mu na ramieniu. – Tu jesteś.

Jeszcze zanim się odwrócił, wiedział, kogo zobaczy. Tylko jeden człowiek wtrącał się do cudzych rozmów tak nagle – i tak nieuprzejmie.

– Pierre – wycedził beznamiętnie Delamare. – Czym mogę służyć?

– Nie zostaliśmy poinformowani o porządku obrad ostatniej sesji plenarnej – powiedział Pierre Binaud, Najwyższy Sędzia KSD. – Czyżby została odwołana?

– Nie, skądże. Zapytaj kogoś z Biura Ceremoniału, wszystko ci wyjaśni.

– Hm... – mruknął Binaud i odszedł, marszcząc brwi.

– Proszę o wybaczenie – zwrócił się Delamare do przeoryszy. – Mówiliśmy o Sekretariacie: zawsze możemy polegać na naszym prefekcie, *monsieur* Houdebercie. Jak nikt inny umie dopilnować, by przy takich okazjach nic nie mąciło spokoju uczestników.

– Interesuje mnie pańska opinia, *monsieur*, na temat przyczyny naszych ostatnich

kłopotów w Lewancie – odezwał się patriarcha.

– Kłopotów, powiada pan... – Delamare dołał mu wina. – Doskonały dobór słowa: mocniejsze niż „niepokoje”, zarazem nie tak dramatyczne jak „obawa” czy „trwoga”. Mam rację?

– Być może, z perspektywy Genewy...

– Nie, Wasza Promienność, nie zamierzam umniejszać ich powagi. To rzeczywiście kłopot, ale kłopot tego rodzaju, który zmusza nas, byśmy mówili jednym głosem i działali zjednoczeni we wspólnym celu.

– To właśnie nadzwyczaj trudno jest nam osiągnąć. Dla nas, przedstawicielei Kościołów wschodnich, świadomość poparcia ze strony Magisterium byłaby prawdziwym błogosławieństwem. Zwłaszcza że czasy są coraz trudniejsze, *monsieur*. Nigdy wcześniej nie obserwowałem takiego niezadowolenia wśród naszego ludu, i to dosłownie wszędzie, w miastach, wioskach, na targach... Pojawiła się nowa doktryna, która wydaje im się niezwykle atrakcyjna. Usiłujemy dać jej odpór, ale... – Patriarcha bezradnie rozłożył ręce.

– Oto zadanie wprost wymarzone dla nowej rady przedstawicielskiej – odparł Delamare ze szczerą serdecznością w głosie. – Proszę mi wierzyć, jest to prosta droga do zwiększenia skuteczności Magisterium. Nasza prawda jest, rzecz jasna, wieczna i niezmienna, jednakże na przestrzeni wieków nasze działania napotykały rozliczne utrudnienia: ustawiczne konsultacje, wysłuchiwanie dobrych rad, ugłaskiwanie tych i owych... Tymczasem w obecnej sytuacji najważniejsza jest szybka reakcja. I nowa rada będzie jej gwarantem.

Patriarcha z namaszczeniem pokiwał głową, a Delamare zwrócił się do przeoryszy:

– Pozwól, matko, że doleję ci wina... Powiedz mi, proszę, jak twoje siostry oceniają wasze miejsce w hierarchii Magisterium?

– Bardzo to miłe z pańskiej strony, dziękuję... Prawdę mówiąc, nie mamy wyrobionych opinii na ten czy ów temat. To nie nasza rola. Jesteśmy po to, by służyć.

– I wiernie pełnicie waszą służbę. Nie pytałem jednak o opinię, matko, raczej o wasze... odczucia. Do zmiany poglądów zawsze można kogoś przekonać; uczucia tkwią głębiej i są prawdziwsze.

– Bez wątpienia, *monsieur*. Nasze miejsce w hierarchii? Jeśli chodzi o nasze odczucia w tej materii, to z pewnością jednym z nich będzie skromność. A także... wdzięczność. I pokora. Nie śmiemy odczuwać niezadowolenie z naszego losu.

– Słusznie. Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewałem. Powiem więcej: wiedziałem, że taka właśnie będzie odpowiedź. Prawdziwie dobra kobieta nie mogłaby odpowiedzieć inaczej. Przypuśćmy jednak – Delamare zniżył głos i nachylił się lekko ku przeoryszy – że ten kongres miałby rzeczywiście wyłonić radę przedstawicielską. Czy święte siostry byłyby zadowolone, gdyby ich przełożona w niej zasiadła?

Dobra kobieta zaniemówiła. Otworzyła usta, zamknęła je, otworzyła drugi raz, znów zamknęła, zamrugęła, zarumieniła się, zaczęła kręcić głową, znieruchomiła i prawie, prawie skinęła potakująco.

– Według mnie istnieje pewna szczególna odmiana świętości, która jest niedostatecznie reprezentowana w Magisterium. Mam na myśli świętość, która służy, tak jak czynią to twoje siostry, matko. Służy z prawdziwą, nieudawaną, skromnością.

Fałszywa skromność byłaby ostentacyjna, nieprawdaż? Demonstracyjnie odrzucałaby publiczne zaszczyty i urzędy, a zarazem dyskretnie o nie zabiegała, a gdy w końcu dałaby je sobie wcisnąć, protestowałaby hałaśliwie i powoływała się na swoją marność. Z pewnością znane ci są, matko, takie postawy. Osoba prawdziwie skromna pogodziłaby się z faktem, że może zapełnić odpowiednie dla siebie miejsce; że jej talenty są faktem, nie złudzeniem; że błędem byłoby odwrócenie się plecami do zadania, które potrafiłaby dobrze wykonać. Jakie jest twoje zdanie, matko?

Przeorysza uśmiechnęła się serdecznie i pociągnęła łyk wina – zbyt duży, jak się okazało, bo gwałtownie się zakrztusiła. Delamare taktownie odwrócił wzrok.

– Jest pan bardzo wielkoduszny, *monsieur* – powiedziała, zniżywszy głos niemal do szeptu.

– Nie wielkoduszny, matko, tylko po prostu *juste*.

Dajmon przeoryszy – mysz o ślicznym srebrnym futerku – dyskretnie przycupnął jej na ramieniu, kryjąc się przed wzrokiem sowiego dajmona Delamare’a, który wyczuł jego podenerwowanie i w ogóle na niego nie patrzył. Teraz jednak ośmielona mysz wychyliła zwieńczony wąsikami pyszczek, na co sowa odwróciła się w jej stronę i powoli skinęła łbem. Mysz obserwowała ją bacznie oczami błyszczącymi jak dwa paciorki, ale nie cofnęła się, tylko przekradłszy się na drugie ramię przeoryszy, odpowiedziała ukłonem na ukłon sowy.

Delamare wdał się tymczasem ponownie w rozmowę z patriarchą: dodawał mu otuchy, pochlebiał, objaśniał, współczuł... A w myślach doliczył sobie kolejne dwa głosy poparcia.

Pierwszy dzień obrad kongresu dobiegł końca. Część delegatów udała się do swoich pokojów, żeby tam oddać się lekturze, pomodlić albo po prostu przespać. Inni zebrali się w mniejszych grupkach, żeby jeszcze porozmawiać o wydarzeniach z całego dnia – niektórzy spotkali się ze starymi przyjaciółmi, inni z nowymi znajomymi, którzy wydali im się sympatyczni, podobnie myślący albo lepiej zorientowani w zakulisowych grach politycznych.

Jedna z takich grup z kieliszkami brantwijnu w dłoniach rozsiadła się przy ogromnym kominku w Salon des Étrangers. Fotele były wygodne, nastroje nadspodziewanie łaskawe, a przemysłne podświetlenie pokoju w naturalny sposób tworzyło skupiska foteli, pomiędzy którymi zalegał półmrok – każda z grup była przez to wyodrębniona w sposób podkreślający jej tożsamość i sprzyjający komfortowi rozmów. Sekretariat Świętej Obecności dysponował nie tylko pieniędzmi, lecz także zespołem utalentowanych i doświadczonych projektantów wnętrz.

Grupa przy kominku uformowała się niemal przez przypadek, wkrótce jednak jej członkowie odkryli, że łącząca ich wspólnota poglądów niewiele różni się od jednomyślności spiskowców. Rozmawiali o postaciach, które odcisnęły najsilniejsze piętno na dotychczasowych obradach. Jedną z takich osobistości był, naturalnie, gospodarz kongresu – Prefekt Sekretariatu.

– Emanuje spokojem – powiedział dziekan Sądu Arcybiskupiego. – I roztacza aurę władzy.

– Jest także bywały w świecie – dodał preceptor Szpitalników Świątynnych. – Ma pan pojęcie, jak wielki jest majątek Sekretariatu?

– Prawdę mówiąc, nie.

– O ile mi wiadomo, jego wartość szacuje się na dziesiątki miliardów. Sekretariat zawdzięcza go w znacznej mierze kontaktom i obyciu prefekta w środowisku bankowym.

Odpowiedzią był powszechny pomruk podziwu.

– Jest jeszcze ktoś, kto się wyróżnił – wtrącił kapelan Synodu Diakonów – aczkolwiek w inny nieco sposób. Mam na myśli Świętego... Świętego... Chodzi mi o patriarchę Konstantynopola. Prawdziwie święty człowiek.

– W rzeczy samej – przytaknął dziekan. – Święty Symeon. Mamy szczęście, że jest wśród nas.

– Stoi na czele swojej organizacji od, bagatela, pięćdziesięciu lat – powiedział mężczyzna, którego nikt z rozmówców nie znał: wytworny Anglik w idealnie skrojonym tweedowym garniturze i muszce. – Z wiekiem bez wątplenia przybywa mu mądrości, ubywa zaś co najwyżej sił fizycznych, a i to w niewielkim stopniu. Jego autorytet moralny pozostaje zaś niezachwiany.

Potakujące skinienia głów.

– Nie inaczej – zgodził się dziekan. – Obawiam się, szanowny panie, że chyba się nie znamy... Którą z organizacji pan reprezentuje?

– Nie jestem delegatem – odparł Anglik. – Nazywam się Simon Talbot i relacjonuję przebieg kongresu na zlecenie „Przeglądu Filozofii Moralnej”.

– Zdaje się, że czytałem jakąś rzecz pańskiego autorstwa – wtrącił kapelan – nadzwyczaj dowcipnie napisaną. Traktowała o... hm... o relatywizmie.

– Bardzo to uprzejme z pana strony – odparł Talbot.

– Przyszłość należy do młodych – orzekł mężczyzna w ciemnym garniturze, jeden z dyrektorów Thuringia Potash, wielkiej firmy farmaceutycznej będącej jednym ze sponsorów kongresu. – Takich jak sekretarz generalny La Maison Juste.

– Marcel Delamare.

– Nie kto inny. Nadzwyczaj utalentowana postać.

– To prawda, *monsieur* Delamare to niezwykle człowiek – przyznał preceptor. – Bardzo mu zależy na utworzeniu tej nowej rady.

– Prawdę mówiąc, nam również – powiedział dyrektor. – Naszym zdaniem dobrze by było, gdyby sam *monsieur* Delamare także wszedł w jej skład.

– Trzeźwość myślenia – mruknął Simon Talbot. – Ostrość percepcji.

Marcel Delamare mógł być zadowolony z dobrze przepracowanego dnia.

Znajdująca się naprzeciwko dworca kolejowego w Genewie Café Cosmopolitain mieściła się w podłużnej, prostokątnej sali, kiepsko oświetlonej, nieprzesadnie czystej, o ścianach zbrązowiakach od dymu i przyozdobionych obtłuczonymi emaliowanymi tablicami i wyblakłymi plakatami reklamującymi aperitify i mocne alkohole. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się obity blachą ocynkowaną bar. Obsługę dobrano chyba specjalnie pod kątem wstrętu wobec takich krępujących konwenansów jak uprzejmość

i kompetencja. Kto się chciał upić, mógł to zrobić tutaj nie gorzej niż gdzie indziej, kto zaś planował wyrefinowaną kolację w przyjemnej atmosferze – źle trafił.

Café Cosmopolitain miała jednak jedną niezaprzeczalną zaletę: była niezrównanym centrum wymiany informacji. Dzięki bliskości odległej o kilkaset metrów agencji prasowej, a także kilku ważnych instytucji rządowych, katedry i – ma się rozumieć – linii kolejowej, dziennikarze, szpiedzy i detektywi policyjni mogli z wielką łatwością wykonywać tu swoje obowiązki. Podczas kongresu Magisterium w lokalu było tłoczno.

Olivier Bonneville usiadł przy barze i zamówił ciemne piwo.

– Kogo szukamy? – zapytał szeptem jego dajmon.

– Matthiasa Sylberberga. Ponoć zna Delamare’a ze szkoły.

– Ktoś taki nie pojawiłby się chyba w takim miejscu?

– On sam nie, ale ludzie, z którymi pracuje, jak najbardziej.

Bonneville napił się piwa i rozejrzał po barze.

– Czy ten tam nie jest przypadkiem współpracownikiem Sylberberga? – zagadnął dajmon. – Ten gruby z siwym wąsem, przed chwilą przyszedł.

Gość odwiesił kapelusz i płaszcz na wieszak stojący przy lustrze, po czym odwrócił się i przywitał z dwoma mężczyznami siedzącymi przy najbliższym stoliku.

– Gdzie myśmy go wcześniej widzieli? – zapytał Bonneville.

– W galerii Tenniera, na wernisażu Rovellego.

– Rzeczywiście!

Bonneville odwrócił się tyłem do baru i oparty łokciami o blat patrzył, jak łysy wąsacz dosiada się do pozostałej dwójki i pstryka na jednego z bardziej przysadzistych kelnerów, który wysłuchał zamówienia, skinął krótko głową i się ulotnił.

– A pozostali dwaj, to kto? – mruknął Bonneville.

– Nie przypominam sobie, żebym widziała któregoś z nich. Chociaż ten siedzący plecami do nas to mógłby być Pochinsky.

– Pochinsky? Ten artysta?

– Krytyk.

– Faktycznie, to może być on...

Kiedy mężczyzna odwrócił się lekko i przesunął wraz z krzesłem, jego twarz przez moment mignęła w lustrze.

– Tak, na pewno – potwierdził Bonneville. – Masz rację.

– A grubas nazywa się Rattin.

– Co za pamięć!

– Nadzwyczaj wąły związek...

– Lepszego nie mamy.

– Co zrobimy?

– Jak to, co zrobimy? Podejźmy i się przedstawimy.

Bonneville dopił piwo, odstawił szklankę na kontuar i pewnym krokiem przeszedł przez zatłoczoną salę wprost do zajmowanego przez trzech mężczyzn stolika przy lustrze. Udał, że potyka się o czyjeś odsunięte znienacka krzesło i wpadł na kelnera, który byłby upuścił tacę, gdyby Bonneville zręcznie jej nie złapał.

Okrzyki zaskoczenia i podziwu ze strony trójki gości przy stoliku, oburzone warknięcie kelnera, ożywione wymachiwanie rękami i wzruszenie ramion człowieka,

który rzekomo sprokurował całą sytuację poprzez odsunięcie krzesła.

– To chyba wasze drinki, panowie – powiedział Bonneville.

Postawił tacę na stoliku, zupełnie ignorując kelnera i jego dajmona-jaszczurkę, który siedział w kieszeni fartucha i głośno protestował.

– Cóż za chwyt! – powiedział Rattin. – Nadałby się pan na bramkarza. A może już pan nim jest?

– Nie. – Bonneville uśmiechnął się i oddał pustą tacę kelnerowi.

– Uratował pan nasze napitki – ciągnął Rattin. – Musimy postawić panu drinka.

– Absolutnie – zawtórował mu jeden z pozostałej dwójki.

– To bardzo hojne z panów strony... Ciemne piwo – rzucił Bonneville do kelnera, który zmarszczył brwi i odszedł.

Bonneville sięgnął po krzesło, ale zanim jeszcze usiadł, przyjrzał się badawczo mężczyźnie z siwym wąsem, jakby dopiero teraz go rozpoznał.

– Czy to nie... *monsieur* Rattin?

– Zgadza się, to ja, ale...

– Poznaliśmy się dwa tygodnie temu w galerii Tenniera, na wernisazu Rovellego. Pan może tego nie pamiętać, ja jednak muszę przyznać, że pańska opinia na temat tego artysty wydała mi się fascynująca.

Jedną z rzeczy, które Bonneville odkrył w życiu, był fakt, że starsi mężczyźni – nawet niekoniecznie homoseksualni – bywają nadzwyczaj podatni na pochlebstwa ze strony młodszych, jeśli tylko zostaną wyrażone szczerze i z zaangażowaniem. Najważniejsze było przedstawienie poglądów seniora w taki sposób, by wyrazić prosty, autentyczny podziw młodzika, który pewnego dnia mógłby stać się jego uczniem. Krogulczy dajmon Bonneville'a, jakby gotowy podkreślić wagę pochlebstw, przeskoczył na oparcie krzesła Rattina, by porozmawiać z wylegającym się tam dajmonem-wężem.

Bonneville zwrócił się tymczasem do Pochinsky'ego:

– A pan, jeśli się nie mylę, to Alexander Pochinsky, prawda? Od lat czytuję pańskie felietony w „Gazette”.

– Owszem, to ja – przytaknęła krytyk. – Jest pan przedstawicielem świata sztuk wizualnych?

– Zaledwie skromnym amatorem. W zupełności wystarczy mi lektura opinii najlepszych krytyków w branży.

– Pracuje pan dla Marcela Delamare'a. – Trzeci z mężczyzn pierwszy raz zabrał głos. – Zdaje się, że widziałem pana w La Maison Juste. Nie mylę się chyba?

– Ma pan całkowitą słuszość, ja zaś służbę takiemu pracodawcy poczytuję sobie za zaszczyt. – Bonneville wyciągnął rękę do powitania. – Olivier Bonneville.

Mężczyzna uścisnął podaną dłoń.

– Tak... Miałem okazję odwiedzić La Maison Juste raz i drugi. Interesy, rozumie pan. Eric Schlosser.

Wreszcie Bonneville go skojarzył: Schlosser był bankierem.

– Mój pracodawca jest naprawdę niezwykłym człowiekiem. Wie pan o tym, że obecnie trwa kongres Magisterium?

– Czy *monsieur* Delamare przyłożył rękę do jego zorganizowania? – zainteresował się Rattin.

– Owszem, odegrał kluczową rolę – przytaknęła Bonneville. – Zdrowie panów!

Napił się piwa. Jego towarzysze również spełnili toast.

– O tak, na co dzień obcuje z człowiekiem, którego intelekt jest wprost olśniewający... Muszę przyznać, że trudno nie odczuwać odrobiny lęku w jego obliczu.

– Czym się zajmuje La Maison Juste? – zapytał Pochinsky.

– Nieustannie poszukujemy sposobu na pogodzenie życia doczesnego z duchowym – odparł gładko Bonneville.

– I ten kongres ma wam w tym jakoś pomóc?

– Żywię szczerą nadzieję. Byłoby dobrze, gdyby przydał wyrazistości działaniom Magisterium i pomógł jednoznacznie określić przyświecający mu cel.

– A czym właściwie jest La Maison Juste? – spytał Rattin. – Elementem wymiaru sprawiedliwości?

– Liga na rzecz Instauracji Świętego Zamierzenia, bo tak brzmi oficjalna nazwa, została założona przed stu laty i bardzo długo zwyczajnie ciężko pracowała. Jednakże dopiero niedawno, pod wodzą *monsieur* Delamare'a, stała się prawdziwie potężną dobroczynną siłą w łonie Magisterium. Oczywiście zawsze powinno się używać jej prawdziwej nazwy, ale budynek mieszczący naszą siedzibę jest tak piękny, że posługując się zamiast tego jego mianem, w pewnym sensie składamy mu hołd. Przed wiekami zajmowano się w nim badaniem herezji i przesłuchiowaniem heretyków, stąd nazwa.

Bonneville wyczuł wprawdzie, że jego dajmon odkrył jakiś istotny fakt, ale na razie nie dał nic po sobie poznać i zwrócił się do krytyka:

– Proszę mi powiedzieć, *monsieur* Pochinsky, co pan, jako znawca sztuk wizualnych, sądzi o tym miejscu?

Na ten temat Pochinsky potrafił rozwódzić się godzinami. Bonneville rozsiadł się wygodnie. Sącząc piwo, słuchał pilnie i z uwagą i wyczekiwał właściwego momentu, żeby się pożegnać. W odpowiedniej chwili wstał, podziękował za fascynującą konwersację i wyszedł, pozostawiając rozmówców pod wrażeniem uprzejmości, skromności, fachowości i uroku osobistego młodszego pokolenia.

Gdy tylko wyszli na dwór, dajmon sfrunął mu na ramię.

– Mów – rzekł Bonneville i ruszył do swojego mieszkania na poddaszu.

– Jak pamiętasz, Rattin jest współpracownikiem Sylberberga, a Sylberberg zna Delamare'a ze szkoły i nadal utrzymuje z nim kontakty. Dajmon Rattina twierdzi, że Delamare miał starszą siostrę, którą wprost uwielbiał. Była ważną postacią w Magisterium, założyła organizację, której celów działania Rattin nie mógł sobie wprawdzie przypomnieć, ale pamiętał, że miała niezwykle szerokie wpływy. Była też podobno piękną kobietą. Wyszła za Anglika nazwiskiem Courtney, Coulson albo jakoś podobnie, później jednak wybuchł skandal, bo miała dziecko z innym mężczyzną. Około dziesięciu lat temu przepadła bez śladu. Delamare był zdruzgotany. Obwinia dziecko za zniknięcie siostry, chociaż Rattin nie umiał powiedzieć, dlaczego właściwie tak myśli.

– Dziecko! Chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka.
- Kiedy to było?
- Mniej więcej dwadzieścia lat temu. To Lyra Belacqua.

15

Listy

Kiedy Lyra i Giorgio Brabandt dotarli do gipskiego osiedla na Moczarach – ogromnego zbiorowiska łodzi i labiryntu cumowisk i ścieżek okalających Byanzaal – dochodziło południe. Lyra zaczynała się obawiać, że napotkani ludzie mogą być mniej tolerancyjni niż jej przewoźnik wobec człowieka bez dajmona.

– Nie ma powodu do obaw – zapewnił ją Brabandt. – W ostatnich latach, od czasu tej wielkiej bitwy na północy, zdarza się, że odwiedzają nas wiedźmy. Wiemy, czego się po nich spodziewać; będziesz po prostu udawała jedną z nich.

– Rzeczywiście, mogłabym spróbować. Wie pan, gdzie cumuje łódź ojczulka Corama?

– W odnodze Ringland, to w tamtą stronę. Radziłbym ci jednak najpierw złożyć wizytę młodemu Orlando Faa. Tak nakazuje uprzejmość.

„Młody” Orlando miał dobrze po pięćdziesiątce i był synem słynnego Johna Faa, który przed laty poprowadził wielką ekspedycję na północ. Był drobniejszej postury niż ojciec, ale odziedziczył po nim jakąś szczególną uroczystą powagę, z którą teraz powitał Lyrę.

– Wiele o tobie słyszałem, Lyro. Tato często opowiadał o tobie, o tamtej wyprawie, o bitwie, w której ocaliliście dzieciaki... Ilekroć słyszałem tę historię, żałowałem, że mnie przy tym nie było.

– Bez Gipcjan nie byłoby to możliwe – odparła. – Lord Faa był wielkim wodzem. I znakomitym wojownikiem.

Usiedli przy stole w sali rady i Orlando obrzucił Lyrę badawczym spojrzeniem. Było oczywiste, czego szuka.

– Masz kłopoty, pani – zauważył łagodnym tonem.

Jego uprzejmość wzruszyła Lyrę do tego stopnia, że ścisnęło ją w gardle i przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Skinęła głową i z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Właśnie dlatego muszę się spotkać z ojczulkiem Coramem – odparła w końcu.

– Staruszek Coram już trochę słabuje. Nie rusza się z miejsca, ale wszystko słyszy i wszystko wie.

– Nie wiedziałam, dokąd indziej mogłabym się udać.

– Taaak... Zostań z nami do czasu, aż będziesz gotowa ruszyć w dalszą drogę. Mama Costa na pewno chętnie cię zobaczy.

I rzeczywiście: prosto od Orlando Lyra udała się do Mamy Costy, która bez chwili wahania zagarnęła ją w ciepłe objęcia i przytuliła mocno w zalanym słońcem kambuzie. Długo kołysały się w tym uścisku.

– Coś ty ze sobą zrobiła? – zagadnęła w końcu, wypuściwszy Lyrę z objęć.

– On... to znaczy, Pan... właściwie to nie wiem... Pan był nieszczęśliwy. Oboje byliśmy nieszczęśliwi. Aż w końcu sobie poszedł.

– Biedactwo ty moje... Pierwszy raz o czymś takim słyszę.

– O wszystkim ci opowiem, obiecuję, ale najpierw muszę się spotkać z ojczulkiem Coramem.

– Byłaś już u młodego Orlando Faa?

– Od niego zaczęłam. Przypląnęłam dzisiaj rano z Giorgiem Brabandtem.

– Ze starym Giorgiem? Ladaco... Ale o swojej podróży opowiesz mi przy innej okazji, a na razie mów, co u ciebie. W życiu nie widziałam drugiej tak zagubionej dziewczyny. Gdzie się chcesz zatrzymać?

Lyra nie wiedziała, co powiedzieć. Nagle zdała sobie sprawę, że zupełnie się nad tym nie zastanawiała.

Nie uszło to uwagi Mamy Costy, która gładko podjęła wątek:

– W takim razie zostaniesz tutaj ze mną, gąsko. Co ty sobie myślałaś, że pozwolę ci nocować na skarpie nad wodą?

– Nie będę przeszkadzać?

– Za chuda jesteś, żeby przeszkadzać. Damy sobie radę.

– Nie wiem, czy pamiętasz, Mamo Costa, ale powiedziałaś kiedyś, dawno temu, że w mojej duszy płynie wiedźmi olej. Co miałaś na myśli?

– Nie mam zielonego pojęcia, dziewczyno, ale wygląda na to, że miałam rację – odparła z powagą Mama Costa. Otworzyła kredens i wyjęła z niego małą puszkę na ciastka. – Weź, wczoraj upiekłam. Dasz je ojczulkowi Coramowi, kiedy się spotkacie. Uwielbia pierniczki.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Lyra pocałowała Mamę Costę na pożegnanie i udała się na poszukiwania odnogi Ringland. Był to kanał węższy od innych, w którym stało kilkanaście łodzi trwale przycumowanych do południowego brzegu. Mijani ludzie oglądali się za nią z zaciekawieniem, ale – na ile potrafiła to ocenić – bez wrogości. Przemykała dyskretnie, skromnie spuściwszy wzrok, i próbowała myśleć jak Will, by stać się niewidzialną.

Ojczulek Coram musiał się cieszyć wielką estymą wśród swojego ludu, ponieważ ścieżka prowadząca do jego cumowiska była zadbane, obłożona kamieniami i obsadzona nagietkami, a na dodatek biegła wzdłuż rzędu topól, które w tej chwili były wprawdzie bezlistne, ale latem rzucały zapewne przyjemny cień na ten odcinek kanału.

W końcu Lyra znalazła łódź Corama – schludną, zadbaną, pomalowaną w jaskrawe kolory, tchnącą życiem i energią. Zapukała w dach kabiny, po czym zeszła do kokpitu i przez okienko w drzwiach zajrzała do środka. Jej stary przyjaciel z kolanami przyrzuconymi pledem drzemał na bujanym fotelu. Jego dajmon – Sophonax, duża kotka o sierści barwy jesieni – grzał mu stopy.

Lyra zastukała w szybkę. Coram zamrugał, ocknął się i przysłoniwszy dłonią oczy, spojrział w kierunku wejścia. Kiedy rozpoznał Lyrę, gestem zaprosił ją do środka, a jego stara twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Lyro, moje dziecko! Ach, co też ja wygaduję, nie jesteś już dzieckiem, tylko młodą damą. Witaj, Lyro... Ale, ale... Co ci się stało? Gdzie Pantalaimon?

– Odszedł – odparła drżącym głosem Lyra. – Niedawno, parę dni temu.

Obudziłam się któregoś ranka, a jego nie było.

Tego było zbyt wiele dla jej udręczonego serca: wybuchnęła płaczem i rozszołała się jak nigdy w życiu. Osunęła się na kolana obok fotela starca, który nachylił się ku niej, objął ją i tuląc delikatnie, gładził po włosach. Wczepiona w jego pierś, płakała, jakby pękła w niej jakaś tama i nastąpiła powódź. Coram mamrotał ciche słowa pociechy. Sophonax wskoczyła mu na kolana, by znaleźć się bliżej Lyry, i pomrukiwała współczująco.

W końcu burza przeminęła, źródło łez wyschło, stary człowiek rozluźnił objęcia i Lyra odsunęła się od niego. Otarła oczy i chwiejnie wstała.

– A teraz usiądź tutaj – zarządził ojczulek Coram – i wszystko mi opowiedz.

Lyra pochyliła się i go pocałowała. Pachniał miodem.

– Proszę, Mama Costa dała mi pierniczki dla ciebie. Żałuję, ojczulku, że nie pomyślałam o tym wcześniej i nie mam dla ciebie żadnego prawdziwego prezentu; przyjdzie w odwiedziny z pustymi rękami wydaje mi się takie niegrzeczne... Chociaż udało mi się przynajmniej zdobyć ziele fajkowe: niewiele, tylko tyle mieli na pocztie w miasteczku, w którym zrobiliśmy z panem Brabandtem ostatni postój. Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałam gatunek.

– Pamięć cię nie zawiodła: Old Ludgate, mój ulubiony. Dziękuję pięknie! A zatem przypląnęłaś tu na Portugalskiej Dziewicy, tak?

– Zgadza się. Ach, ojczulku, tyle czasu upłynęło, chwilami mam wrażenie, że całe życie...

– A dla mnie cały ten czas był jak mgnienie oka. Jakby to się wydarzyło wczoraj. Zanim zaczniesz, wstaw wodę, proszę. Sam bym się tym zajął, ale mam świadomość swoich ograniczeń.

Lyra zaparzyła kawę i postawiła kubek na stoliku z prawej strony bujanego fotela. Sama usiadła na ławie naprzeciwko.

Zrelacjonowała ojczulkowi Coramowi większość wydarzeń, które miały miejsce, odkąd ostatni raz się widzieli. Opowiedziała mu także o morderstwie nad rzeką, o Malcolmie, o tym, jak odkryła swoją przeszłość i jak bardzo czuła się w tej chwili zagubiona i bezradna.

Słuchał jej w milczeniu, dopóki nie doszła do chwili terażniejszej i przybycia do gipskiej osady.

– Młody Orlando Faa... – powiedział. – Nie udał się z nami na północ, bo musiał zostać tutaj, na wypadek gdyby John nie wrócił. Zawsze tego żałował. To dobry chłopak, porządny. John, jego ojciec... to był wielki człowiek. Prosty, szczery, a przy tym mocarny jak dębowa belka. Wielki człowiek. Dziś już się takich nie robi. Orlando to dobry chłopak, bez dwóch zdań, ale czasy się zmieniły, Lyro. To, co niegdyś było bezpieczne, dziś już takie nie jest.

– Też mam takie wrażenie.

– Wracając do młodego Malcolma... Opowiadał ci o tym, jak pożyczył swoje kanoe lordowi Asrielowi?

– Coś tam wspominał, ale... Byłam tak bardzo poruszona innymi sprawami, że nie zwróciłam na to uwagi.

– Malcolm jest bardzo lojalny. Zresztą od dziecka, jako chłopiec też taki był. I wielkoduszny: nie zawahał się oddać kanoe lordowi Asrielowi, chociaż nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek je zobaczy. Dlatego kiedy Asriel poprosił mnie, żebym mu

je zwrócił, zostawił mi też trochę pieniędzy na jego odnowienie. Mówił ci Malcolm o tym?

– Nie. O mnóstwie rzeczy nie zdążyliśmy porozmawiać.

– To była zgrabna, zadbana łódeczka, ta *Bell Savage*. Inna nie dałaby rady. Dobrze pamiętam tamtą powódź, odsłoniła rzeczy, które od stuleci pozostawały ukryte. Może nawet dłużej.

Ojczulek mówił o Malcolmie w taki sposób, jakby mieli okazję spotkać się później niż przy okazji powodzi. Lyra miała ochotę go o to zapytać, ale zarazem bała się to zrobić, jakby załęczniona, że odpowiedź Corama mogłaby za dużo ujawnić. Wiele rzeczy napawało ją niepewnością.

– Słyszałeś kiedy określenie „tajemna wspólnota”, ojczulku? – spytała zamiast tego.

– Skąd je znasz?

– Od pana Brabandta. Opowiadał mi o błędnych ognikach i tym podobnych.

– Tajemna wspólnota, tak... Rzadko się dziś o niej słyszy. Kiedy byłem młody, każdy krzak, każdy kwiat i każdy kamień miał własnego ducha. Trzeba było umieć się przy nich znaleźć, prosić o wybaczenie albo o pozwolenie, dziękować... Ot tak, żeby dać do zrozumienia, że się o nich pamięta, o tych duchach, i traktuje je z respektem. Bo na to zasługiwały.

– Malcolm opowiadał, że elfka mnie uprowadziła i niewiele brakowało, żeby zatrzymała mnie na zawsze. Na szczęście udało mu się ją okpić.

– Takie właśnie są. Nie są naprawdę złe ani niegodziwe, ale nie są też całkiem dobre. Po prostu są i zasługują na szacunek.

– A słyszałeś kiedy o mieście nazywanym Błękitnym Hotelem? Jest ponoć zrujnowane i puste, zamieszkują je tylko dajmony.

– Jak to, dajmony? Ludzkie dajmony? Bez ludzi?

– Bez.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. To tam udał się Pan?

– Nie wiem, co myśleć, ale to możliwe. A znałeś kogoś, kto umiałby się rozdzielać ze swoim dajmonem? Nie licząc wiedzń, naturalnie.

– O tak, wiedzńmy to potrafiać. Tak jak moja Serafina.

– A ktoś inny? Słyszałeś o Gipcjanach, którzy by to potrafili?

– A wiesz, był taki człowiek...

Zanim jednak ojczulek Coram zdążył powiedzieć coś więcej, łódź zakołysała się, jakby ktoś wszedł na pokład, a po chwili rozległo się pukanie. Lyra podniosła wzrok i zobaczyła dziewczynę w wieku około czternastu lat: w jednej ręce balansowała tacą, drugą właśnie otwierała drzwi. Lyra doskoczyła do niej i pomogła jej zejść do kajuty.

– Wszystko w porządku, ojczulku? – zapytała dziewczyna, mierząc Lyre podejrzliwym spojrzeniem.

– To Rosella, moja stryjeczna wnuczka – przedstawił ją Coram. – Rosello, to jest Lyra Żłotousta. Wiele razy ci o niej opowiadałem.

Rosella postawiła mu tacę na kolanach i z zakłopotaniem podała Lyrze rękę, onieśmielona i zaciekawiona jednocześnie. Była bardzo ładna. Jej dajmon, zając, chował się za jej nogami.

– Przyniosłam kolację ojczulkowi – wyjaśniła – ale dla panienki też wystarczy. Mama Costa mówiła, że panienka będzie głodna.

Na tacy leżał świeży chleb, masło i marynowane śledzie, stała też butelka piwa i dwie szklanki.

– Dziękuję – powiedziała Lyra, a gdy Rosella uśmiechnęła się i wyszła, zwróciła się do ojczulka Corama: – Zacząłeś mówić o człowieku, który umiał się rozdzielić z dajmonem...

– Istotnie. To było w Moskwie. Ten człowiek wyprawił się na Syberię, do miejsca, do którego udają się wiedźmy, i zrobił to samo, co one. Miał kochankę wiedźmę i myślał, że jeżeli nauczy się tej sztuczki, stanie się tak samo długowieczny jak one. Tylko że nic z tego nie wyszło. Jego kochanka wcale nie spojrzała na niego życzliwiej, a on i tak wkrótce zmarł. Ale był jedynym znanym mi człowiekiem, który to potrafił. I który w ogóle tego chciał. Dlaczego o to pytasz, Lyro?

Opowiedziała o dzienniku znalezionym w plecaku mężczyzny, który został zamordowany nad rzeką. Coram słuchał w bezruchu, z kawałkiem śledzia nadzianym na widelec.

– Malcolm o tym wie? – zapytał, gdy skończyła.

– Tak.

– Wspominał ci o Oakley Street?

– Oakley Street? Taka ulica? Gdzie to jest?

– To nie ulica, tylko organizacja. Nie mówił ci? Hannah Relf też nie?

– Nie. Może by i powiedzieli, gdybym nie wyjechała tak nagle... Nie wiem. W ogóle mało wiem, ojczulku. Czym jest Oakley Street?

Staruszek odłożył widelec i napił się piwa.

– Dwadzieścia lat temu – zaczął – podjąłem pewne ryzyko i kazałem młodemu Malcolmowi powtórzyć słowa „Oakley Street” w rozmowie z Hannah Relf. Chciałem ją w ten sposób upewnić, że z mojej strony nic mu nie grozi. Miałem nadzieję, że sama mu wyjaśni, czym jest Oakley Street, i tak też się stało. Jeżeli Malcolm nigdy o tym nie wspominał, to dlatego, że chłopak jest godny zaufania. Można powiedzieć, że Oakley Street to nazwa wydziału tajnych służb. Wydział wcale się tak nie nazywa, to raczej taki szyfr, zwłaszcza że jego siedziba wcale nie mieści się przy Oakley Street, która, nawiasem mówiąc, znajduje się w Chelsea. Został założony za czasów króla Ryszarda, który stawił stanowczy opór Magisterium, zagrażającemu mu wówczas ze wszystkich stron. Oakley Street, zawsze niezależna, podlegała pod Kancelarię Premiera, nie Ministerstwo Wojny. Cieszyła się pełnym poparciem króla i Rady Królewskiej, była finansowana bezpośrednio z Rezerwy Żłota i odpowiadała przed właściwą komisją parlamentarną. Kiedy jednak na tronie zasiadł król Edward, akcenty w polityce inaczej się rozłożyły, rzec by można. Powiał inny wiatr. Londyn i Genewa zaczęły posyłać sobie nawzajem ambasadorów, legatów, komisarzy i innych dostojników. Wtedy właśnie KSD zdobył przyczółek w naszym kraju i wszystko się zmieniło w sposób, który dziś znamy: rząd nie ufa obywatelom, obywatele boją się rządu i jedni i drudzy szpiegują się nawzajem. KSD ma zbyt małe wpływy, żeby aresztować tylu ludzi, ilu by chcieli, a obywatele nie są dość dobrze zorganizowani, żeby otwarcie wystąpić przeciwko KSD. Patowa sytuacja, można by powiedzieć, gdyby nie pewien szczegół. Tamci mają siłę, której nam brakuje, energię wypływającą z przeświadczenia o swojej słuszności. Ktoś, kto ma taką pewność, będzie gotowy zrobić absolutnie wszystko, aby zrealizować swój cel. To odwieczny dylemat ludzkości, Lyro, nieprzewyciężona różnica pomiędzy dobrem i złem. Dobro ma

skrupuły, zło nie. Zła nic nie powstrzyma przed realizacją jego pragnień, dobro zawsze ma jedną rękę przywiązaną za plecami. Gdyby dobro zrobiło to, co konieczne do zwycięstwa, samo stałoby się złem.

– Ale... – Lyra zamierzała zaoponować, nie wiedziała jednak, od czego zacząć. –

A jak było, kiedy Gipcjanie, więdźmy, pan Scoresby i Iorek Byrnison zniszczyli Bolvangar? Wtedy przecież dobro zatriumfowało nad złem, prawda?

– Owszem, to było małe zwycięstwo... no dobrze, to było wielkie zwycięstwo, jeśli wziąć pod uwagę, ile dzieciaków udało się ocalić i sprowadzić do domu. To był ogromny triumf, lecz bynajmniej nie ostateczny. KSD jest dziś silniejszy niż kiedykolwiek, Magisterium tętni życiem, a małe agencje, takie jak Oakley Street, cienko przędą: brakuje im funduszy, a na ich czele stoją starzy ludzie, którzy swoje najlepsze dni mają dawno za sobą. – Ojczulek Coram dopił piwo. – Co zamierzasz? Co ci chodzi po głowie?

– Sama jeszcze niedawno nie wiedziałam, dopóki nie przyśnił mi się ten sen. Śniło mi się, że bawiłam się z dajmonem. To nie był mój dajmon, ale bardzo się kochaliśmy... Przepraszam. – Lyra musiała na chwilę zawiesić głos i otrzeć oczy. –

Wiedziałam, co muszę zrobić po przebudzeniu: udać się na pustynię Karamakan i wejść do stojącej tam budowli, dlatego że może tam znów spotkam tego dajmona i... No, właściwie to nie do końca wiem dlaczego, ale najpierw muszę znaleźć Pantalaimona, bo tam nie można wejść bez dajmona i...

Zaczęła gubić wątek własnej opowieści, między innymi dlatego, że sama nie do końca ją sobie przepowiedziała, zanim zaczęła ubierać ją w słowa na użytek ojczulka Corama, który na dodatek zaczynał przysypiać.

– Pójdę już – powiedziała.

– Tak, tak, kiedyś nie musiałem drzemać w ciągu dnia. Przyjdź wieczorem, będę zwawszy. Mam parę pomysłów, które mogą ci się spodobać.

Lyra pocałowała go i zabrała tacę na łódź Mamy Costy.

Mama Costa rzadko ostatnio podróżowała. Rodzina miała cumowisko nieopodal Byanzaalu, które – jak nadmieniła w rozmowie z Lyra – prawdopodobnie będzie jej ostatnim. Do szczęścia wystarczała jej uprawa warzyw i paru kwiatków na skrawku ziemi przy cumowisku i z przyjemnością była gotowa odstąpić wolne łóżko Lyrze, jak długo będzie jej potrzebne. A gdyby Lyra miała chęć, może czasem pogotować.

– Stary Giorgio powiedział mi, że całkiem gracko radzisz sobie w kuchni – rzekła. – Tylko duszone węgorze ci ponoć nie wychodzą.

– Co było nie tak z moimi duszonymi węgorzami? – zaperzyła się odrobinę Lyra. – Mnie nic nie powiedział.

– Kiedy będę je następny raz przyrządzać, patrz i ucz się. Powiem ci, czasem całego życia mało, żeby nauczyć się je robić jak należy.

– W czym tkwi sekret?

– Musisz je pokroić na skos. Nie pomyślałabyś pewnie, że to cokolwiek zmieni, ale tak właśnie jest – odparła Mama Costa i wyszła z koszem na targ.

Lyra usiadła na dachu kajuty, skąd odprowadziła wzrokiem Mamę Costę idącą

brzegiem w stronę ogromnego, krytego strzechą Byanzaalu i sąsiadującego z nim targowiska. Wielokolorowe daszki straganów były zdecydowanie najjaśniejszym akcentem w szarym krajobrazie, w którym odległości do widnokregu można było się tylko domyślać w błędnym świetle zimowego dnia.

Nawet gdybym przeżyła tu resztę życia i nauczyła się robić duszone węgorki jak należy, pomyślała Lyra, to nie jest i nigdy nie będzie mój dom. Już dawno się o tym przekonałam.

Nie wiedziała, jak długo zostanie na Moczarach, nie wiedziała, po czym miałyby poznać, że może bezpiecznie ruszać w dalszą drogę, właściwie wiedziała tylko jedno: że nie pasuje do tego miejsca – i ta świadomość była okrutnie męcząca. Wstała znużona z zamiarem zejścia pod pokład i ucięcia sobie drzemki, ale zanim zdążyła zrobić choćby krok, w kanale pojawiła się mała puchówka. Płynął nią chłopak, który mógł mieć około czternastu lat; jego kaczy dajmon pracowicie przebierał łapkami, płynąc obok łódki. Chłopiec był silny i z wielką wprawą prowadził łódeczkę. Na widok Lyry opuścił drogę do wody, żeby wyhamować, po czym skręcił lekko w lewo i przybił do łodzi Costów. Jego dajmon zamachał skrzydłami i wskoczył na pokład.

– Panienska Złotousta? – zawołał chłopak.

– Tak.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni zielonej jak woda kurtki.

– Mam dla panienski list – powiedział i podał Lyrze kopertę.

– Dziękuję.

Obróciła list w dłoniach i odczytała wypisany na maszynie adres: „Panna Lyra Złotousta, u Corama van Texela”. Ojczulek Coram (albo ktoś inny) przekreślił nazwisko adresata i zamiast niego odręcznie wpisał „Pani Costa, Perska Królowa”. Koperta była z grubego, drogiego papieru.

Lyra najpierw zdała sobie sprawę, że chłopak na coś czeka, a zaraz potem dotarło do niej, na co czeka. Dała mu drobną monetę.

– Panienska rzuci drugie tyle i będziemy kwita.

– Za późno – odrzekła. – Mam już list.

– Zawsze warto spróbować – odparł chłopak. Wrzucił monetę do kieszeni i odpłynął z taką prędkością, że przed puchówką tworzyły się najprawdziwsze fale dziobowe.

Koperta była zbyt ładna, żeby ją podrzeć, dlatego Lyra zeszła do kajuty i rozcięła papier nożem kuchennym. Usiadła przy stoliku w kambuzie, żeby przeczytać list. Miał nagłówek „Kolegium Durham, Oksford”, za to nadrukowany dalej adres uniwersytetu został przekreślony. Nie wiedziała, co by to miało oznaczać, ale pod listem widniał podpis: Malcolm P. Była ciekawa charakteru pisma Malcolma i z przyjemnością odkryła, że jest zamaszysty, wdzięczny i czytelny. Malcolm pisał wiecznym piórem i granatowoczarnym atramentem.

Droga Lyro,

Dick Orchard powiedział mi o Twoich kłopotach i o tym, dokąd się udałaś. Dokonałaś najwłaściwszego z możliwych wyborów, obierając Moczary na swoje schronienie, a Coram van Texel najlepiej Ci doradzi, co powinnaś dalej począć. Zapytaj go o Oakley Street. Mieliśmy Ci z Hannah

sami o tym powiedzieć, ale wydarzenia potoczyły się zbyt szybko.

Bill, portier z Jordana, twierdzi, że po kolegium krążą plotki, jakobyś została aresztowana przez KSD i przepadła bez śladu w ich systemie penitencjarnym. Służący są wściekli i mają pretensje do mistrza. Przebąkują nawet o pierwszym w historii Jordana strajku służby, wątpię jednak, by do niego doszło, ponieważ i tak nie mógłby doprowadzić do Twojego powrotu. Stosunki pomiędzy mistrzem i personelem kolegium pozostają jednak dość napięte.

Najlepszą rzeczą, jaką możesz w tej chwili zrobić, byłoby dowiedzenie się od Corama van Texela jak najwięcej na temat Oakley Street. Ja dopiero zaczynałem rozmawiać z Tobą o rzeczach naprawdę ważnych, wyczuwam jednak, że i beze mnie wiesz – może dzięki alethiometrowi, a może także z innych źródeł – że istnieje więcej niż jeden czy dwa sposoby postrzegania spraw i ich prawdziwych znaczeń. Jest ich znacznie więcej. W świetle tego stwierdzenia tym większej wagi nabiera trop środkowoazjatycki, na który natrafiliśmy po śmierci nieszczęsnego Rodericka Hassalla.

Pozdrów ode mnie Corama i powiedz mu tyle, ile uznasz za stosowne, o Hassallu i o Karamakan. Tam właśnie udam się w następnej kolejności.

Na zakończenie jeszcze jedna rzecz: wybacz mi, proszę, nieco napuszony charakter tego listu; wiem, że tak właśnie wypadł, ale wcale tego nie chciałem.

Hannah też do Ciebie napisze, bardzo chciałaby się dowiedzieć, co u Ciebie słychać. List powierzony w gipskie ręce trafi do celu niechybnie i szybko, chociaż nie mam pojęcia, jak to się odbywa.

Z wyrazami serdecznej przyjaźni,

Malcolm P.

Przeczytała list pośpiesznie, a potem drugi raz, wolniej. Zarumieniła się przy wzmiance o napuszoności, ponieważ dokładnie tak myślała o Malcolmie – tyle że wcześniej, ma się rozumieć, w czasach przed zabójstwem nad rzeką. Malcolm, którego od tamtej pory coraz lepiej poznawała, nie miał w sobie nic z bufona.

Dopóki Mama Costa była na targu, Lyra miała całą Perską Królową dla siebie. Wyrwała kartkę z notatnika i zaczęła pisać.

Drogi Malcolmie,
dziękuję za list. Chwilowo jestem tu bezpieczna, ale

Zawahała się. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, na dobrą sprawę w ogóle nie wiedziała, jak rozmawiać z Malcolmem. Wstała, wyszła na pokład, przeszła na rufę, rozejrzała się, przesunęła palcami po rumplu, wciągnęła chłodne powietrze głęboko do płuc i wróciła do kajuty i pisania listu:

wiem, że wkrótce będę musiała ruszać dalej. Muszę znaleźć Pana.

Zamierzam w tym celu podążyć każdym dostępnym mi tropem, choćby najbardziej nedorzecznym lub nieprawdopodobnym. Takim, na przykład, jak dziennik doktora Straussa i wzmianka o miejscu zwanym Błękitnym Hotelem. Przypuszczam, że to jakieś schronienie. Postanowiłam udać się tam i zobaczyć, co się wydarzy. Muszę znaleźć Pana, bo jeśli nie

Znów przerwała, wykreśliwszy ostatnie słowa, i oparła głowę na zaciśniętej pięści. Pisząc, czuła, jakby mówiła w pustkę. Po dłuższej chwili znów sięgnęła po pióro.

Jeżeli go tam znajdę, razem udamy się na Karamakan. Spróbujemy przemierzyć pustynię i dotrzeć do tej czerwonej budowli. Rzecz w tym, że gdy pierwszy raz przeczytałam o niej w relacji doktora Straussa, dużo o niej myślałam i te myśli wpłynęły na mnie, jak czasem potrafi wpłynąć sen, który uczepli się człowieka i trwa przy nim jeszcze przez wiele godzin po przebudzeniu. Wizja wydała mi się znajoma, choć nie umiałabym powiedzieć dlaczego. Chyba powinnam coś wiedzieć na temat tej budowli, ale utraciłam tę wiedzę i nie umiem jej osiągnąć. Najprawdopodobniej będzie mi się musiała znowu przyśnić.

Może tam właśnie się spotkamy.

Jeśli nie wrócę, chcę Ci w tym miejscu podziękować, że zaopiekowałeś się mną podczas powodzi, kiedy byłam niemowlęciem. Żałuję, że nie można sięgnąć pamięcią dość daleko wstecz; chciałabym wszystko sobie przypomnieć, a tak pamiętam tylko drzewka ze światełkami i przepełniające mnie poczucie szczęścia. Chociaż to również mógł być sen, rzecz jasna. Chciałabym Mam nadzieję, że pewnego dnia uda nam się jeszcze porozmawiać, wyjaśnię Ci wtedy wszystkie powody, dla których się tu znalazłam. Prawdę mówiąc, sama nie wszystko rozumiem, ale Pan twierdził, że coś skradło mi wyobraźnię. Właśnie dlatego odszedł: zamierzał ją odnaleźć. Może Ty zrozumiesz, co miał na myśli i dlaczego tak trudno było mi to znieść.

Przekaż, proszę, Hannah i Alice moje najserdeczniejsze pozdrowienia. Pozdrów także Dicka Orcharda. I swoich rodziców też. Krótko ich znam, ale zdążyłam ich ogromnie polubić. Byłoby

Skreśliła ostatnie słowo.

Żałuję

Skreśliła także i to, by ostatecznie napisać:

*Bardzo się cieszę, że się zaprzyjaźniliśmy.
Uściski,*

Zanim zdążyła pożałować napisania listu, włożyła go do znalezionej w szufladzie koperty, zakleiła i zaadresowała do doktora Malcolma Polsteada, Kolegium Durham, Oksford. Oparła kopertę o solniczkę i znów wyszła na pokład.

Kręciła się niespokojnie. Nie miała co robić, nie mogła znaleźć sobie sensownego zajęcia, a zarazem nie była w stanie usiedzieć na miejscu. Zeszła na brzeg i poszła na spacer wzdłuż kanału, świadoma zaciekawionych spojrzeń mieszkańców łodzi, w szczególności młodych mężczyzn. Na kanałach i całym Byanplats panował ożywiony ruch i wkrótce zaczęła jej dokuczać świadomość, że śledzi ją nazbyt wiele par oczu. I jeszcze ci młodzieńcy: gdyby Pan był przy niej, patrzyłaby im śmiało w oczy, tak jak w przeszłości robiła to setki razy – albo, co byłoby jeszcze lepsze, zupełnie nie zwracałaby na nich uwagi. Wiedziała, że wcale nie są aż tak pewni siebie, jak wyglądają, i że mogłaby na kilka sposobów wprawić ich w zakłopotanie, ale ta wiedza nie przekładała się na możliwość działania w tym konkretnym momencie. Byle co ją rozstrajało i to było przerażające. Miała ochotę się schować.

W końcu poddała się, wróciła na Perską Królową i wyciągnęła się na swojej koi. Wkrótce potem zasnęła.

Pantalaimon również spał, ale nerwowo i z przerwami. Co rusz budził się zniecierpliwiony, uświadamiał sobie, gdzie jest, i leżał – nasłuchując turkotu silnika, jęków i skrzypienia belek i wręg starego szkunera oraz chlupotania fal, od których dzieliło go zaledwie kilka cali grubości kadłuba – by po chwili znów zapaść w płytką drzemkę.

Coś znów wyrwało go ze snu: gdzieś bardzo blisko rozlegał się zgrzytliwy szept, w którym Pantalaimon od razu rozpoznał głos ducha. Zacisnął mocniej powieki i wtulił się jeszcze głębiej w mrok ładowni, ale szept nie ustawał – a właściwie nie szept, lecz szepty, bo głosów było więcej i wszystkie czegoś od niego chciały, ale nie mogły tego powiedzieć wprost.

– To tylko sen – wyszeptał. – Idźcie sobie. Odejdźcie!

Duchy napierały nań ze wszystkich stron. Ich syczące, chrobotliwe głosy wznosiły się ponad nieustający łoskot fal.

– Nie zbliżajcie się do mnie – powiedział Pantalaimon. – Odsuńcie się.

Zdał sobie sprawę, że duchy wcale nie próbują mu zagrozić. Rozpaczliwie garnęły się do bijącej od jego ciała odrobiny ciepła. Nagle ogarnął go bezmiar współczucia dla nieszczęsnych przemarzniętych zjaw. Patrzył spod zamkniętych powiek i próbował wyraźniej dostrzec ich twarze, ale nie było w nich niczego wyraźnego. Morze wygładziło je i zmętniło.

A on w dalszym ciągu nie był pewien, czy to sen, czy jawa.

Nagle rozległ się szcęk otwieranej zasuwy. Wszystkie duchy zwróciły blade, puste twarze ku górze, po czym – gdy snop jantarycznego światła przeszył ciemność – zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Pantalaimon wczołgał się głębiej w cień, skulił

i wstrzymał oddech. Teraz na pewno nie spał, nie miał co do tego wątpliwości. Musiał otworzyć oczy.

Zobaczył drabinę i schodzącego po niej człowieka, a właściwie nawet dwóch ludzi. Przynieśli ze sobą deszcz, obficie ściekający z ich sztormiaków i zydwestek. Pierwszy niósł latarkę. Drugi wyciągnął rękę do góry i zamknął właz. Jednym z mężczyzn był marynarz, którego Pan widział poprzedniej nocy przy relingu, skąd obserwował, jak kapitan i pierwszy oficer kradną śrubę.

Pierwszy z mężczyzn powiesił latarkę na gwoździu. Bateria musiała być na wyczerpaniu, bo latarka dawała słabe, nierówne światło, ale Pantalaimon widział, że przybysze biorą się za przestawianie skrzyń i worków, które byle jak zwalono na dno ładowni. Większość skrzynek musiała być pusta, po chwili jednak natrafili na taką, w której szczęknęły butelki.

– Aha! – Pierwszy mężczyzna zdarł tekturowe wieko skrzynki. – No kurde, zobacz tylko! Jak pech, to pech!

I podniósł do światła butelkę keczupu.

– Tu są kartofle – powiedział drugi, otwarłszy worek. – Może nam przynajmniej usmażyć frytek. Chociaż nie jestem pewien...

Ziemniaki, które wyjmował z worka, wypuściły długie, blade pędy. Niektóre zwyczajnie zgniły.

– Nadadzą się – uspokoił go pierwszy. – Zrobi się je na oleju napędowym i nie poczujesz różnicy. Patrz, tu jest kapusta kiszona. I peklowana kiełbasa. Prawdziwa uczta, brachu.

– Nie wracajmy jeszcze. Niech poczekają. Tutaj jest sucho, nie pada, można zapalić...

– Dobry pomysł.

Zrzucili dwa worki z mąką pod ścianę, rozsiedli się na nich, wyjęli fajki i ziele. Ich dajmony – szczur i wróbel – wyszły zza kołnierzy sztormiaków i zaczęły myszkować im pod nogami w poszukiwaniu smakowitych kąsków.

– Co stary zamierza zrobić z tą przeklętą śrubą? – zapytał jeden z mężczyzn, gdy już zapalił fajkę. – Przecież jak tylko kapitan portu ją zobaczy, zaraz wezwie gliny.

– A kto jest kapitanem portu w Cuxhaven?

– Ten dziadyga Hessenmüller. Wścibski wieprz.

– Flint spróbuje się jej pewnie pozbyć wcześniej, na Borkum. Jest tam złomowisko naprzeciw latarni morskiej.

– A jaki niby ładunek zamierza wziąć na pokład w Cuxhaven?

– Nie ładunek, tylko pasażerów.

– Jaja sobie robisz! Kto by chciał płacić za rejs tym starym pudłem?

– Słyszałem, jak rozmawiał o tym z Hermanem. To wyjątkowi pasażerowie.

– Co w nich wyjątkowego?

– Nie mają paszportów ani w ogóle żadnych dokumentów.

– A pieniądze? Mają kasę?

– Nie, pieniędzy też nie mają.

– To co stary będzie z tego miał?

– Jest dogadany z właścicielem dużej farmy w Essex. Coraz więcej ludzi przypląwa rzekami z południa, nie wiem skąd dokładnie, może z Turcji. W Niemczech nie ma dla nich roboty, ale ten farmer wykombinował sobie, że chętnie

przyjmie do pracy gromadę frajerów, którym nie będzie musiał płacić. Domyślam się, że będzie musiał im zapewnić jakiś kąt do spania i dać coś do żarcia, ale kasy nie dostaną, ani grosza. Tacy... niewolnicy, normalnie. A uciec nie będą mogli, bo nie mają papierów.

– To niby jak, od teraz przewozimy niewolników?

– Też mi się to nie podoba, ale cokolwiek się stanie, Hans Flint wyjdzie na swoje. Zawsze spada na cztery łapy.

– Porąbany krzywonóg.

Przez kilka minut palili w milczeniu, w końcu pierwszy z mężczyzn wystukał popiół z fajki i wdeptał go w wodę przelewającą się w zęcie.

– Chodź – powiedział. – Weź kartofle, ja spróbuję znaleźć jakieś piwo. O ile coś jeszcze zostało.

– Wiesz, co ci powiem? Rzygam już tym wszystkim. Jak tylko dostanę wypłatę, spadam stąd.

– Wcale ci się nie dziwię. Oczywiście Flint nam nie zapłaci, dopóki nie sprzeda śruby, potem powie, że najpierw musi dostać dolę od farmera, a potem wymyśli jeszcze coś innego. Pamiętasz starego Gustawa? Nie doczekał się obiecanej kasy. Pewnego dnia po prostu uznał, że ma dość, i zwiął.

Podnieśli pokrywę luku i wygramolili się w deszcz. Pantalaimon został sam na sam z mrokiem, zimnem i samotnością. Nawet duchy zostawiły go w spokoju. Może jednak mu się przyśniły.

Lignum vitae

Lyra obudziła się wczesnym wieczorem przygnębiona, pełna niepokoju i bynajmniej nie wypoczęta. Zjadła z Mamą Costą obiad, na który złożyły się omułki z purée ziemniaczanym, poopowiadała jej trochę o życiu w szkole i na uniwersytecie, po czym – pomna rady ojczulka Corama – poszła drugi raz się z nim zobaczyć. Czekał na nią przy zapalonym świetle, z błyskiem w oku i chętny do rozmowy, jakby zamierzał jej zdradzić jakąś tajemnicę. Zanim jednak przeszedł do rzeczy, poprosił, żeby dorzuciła polano do żeliwnego piecyka i naląła im obojgu po szklaneczce jenniveru.

Usiadła na drugim fotelu i pociągnęła łyk zimnego, bezbarwnego alkoholu.

– Powiem tak – zagaił ojczulek Coram. – Może sprawiły to twoje słowa, może moje, a może ani jedno, ani drugie, ale tak sobie zacząłem rozmyślać o tej twojej podróży... I o wiedźmach.

– Właśnie! – wykrzyknęła Lyra. – Ciekawa jestem, czy pomyśleliśmy o tym samym. Jeżeli ludzie będą mnie brali za wiedźmę, nie będą się...

– W rzeczy samej! Gdyby wiedźma zapuściła się tak daleko na południe, tak jak kiedyś uczyniła to moja Serafina...

– I straciła swoją gałąź sosny chmurnej... Nie pamiętam dokładnie, zgubiła ją? Ktoś ją ukradł?

– Otóż to. W każdym razie była przykuta do ziemi, dopóki nie znalazła innego sposobu, żeby wrócić na północ. Rzeczywiście myślimy w taki sam sposób, dziewczyno. Tylko że to nie takie proste. Kiedy podasz się za wiedźmę, będzie to tłumaczyło nieobecność Pantalaimona, ale nie zapominaj, że ludzie boją się wiedźm. A niektórzy ich nienawidzą.

– Będę zatem musiała zachować ostrożność. To nic trudnego, potrafię być ostrożna.

– Przyda ci się też łut szczęścia, ale powiem ci, że to się faktycznie może udać... Przynajmniej w kontaktach ze zwykłymi ludźmi. A co będzie, jak spotkasz prawdziwą wiedźmę?

– Co by wiedźma miała robić w Azji Środkowej?

– Mieszkańcy okolic, w które się udajesz, znają wiedźmy. Przemierzają ogromne odległości, są wśród nich wędrowni kupcy, uczeni, dyplomaci... Musisz sobie dobrze przemyśleć, co chcesz im powiedzieć, a szczególnie dobrze, co powiesz napotkanej prawdziwej wiedźmie.

– Powiem, że jestem bardzo młodą wiedźmą, dopiero co rozdzieliłam się z dajmonem w tym ich miejscu na Syberii...

– W Tungusce.

– Właśnie. I tak naprawdę dopiero się uczę, co to znaczy być wiedźmą. Tylko że wcale nie wyglądam jak wiedźma i to może być problem.

– Nie byłbym taki pewien. Ile wiedźm widziałaś na północy?

– Setki.

– To prawda, ale wszystkie były z klanu Serafiny, spokrewnione ze sobą. To naturalne, że wyglądały podobnie, ale nie wszystkie wiedźmy tak wyglądają. Są wiedźmy jasnowłose i jasnookie, jak Skandynawki, są też kruczowłose, o oczach innego kształtu. Moim zdaniem, gdyby chodziło tylko o wygląd, bez problemu uszłabyś za wiedźmę.

– Mama Costa powiedziała kiedyś, że w mojej duszy płynie wiedźmi olej.

– No proszę! – Pomysł, choć absolutnie szalony, wyraźnie przypadł Coramowi do gustu.

– Pozostaje kwestia języka – zauważyła Lyra. – Nie znam żadnego języka wiedźm.

– Po kolei, wszystko w swoim czasie. Podaj mi, proszę, atlas z regału.

Atlas był stary, zacytany i kartki trzymały się na resztkach szycia. Ojczulek Coram położył go sobie na kolanach i od razu otworzył na stronach przedstawiających daleką północ.

– Tutaj – powiedział, przytknąwszy palec do jednej z map Oceanu Arktycznego.

– Co tu jest? – Lyra stanęła za jego fotelem, żeby zajrzeć mu przez ramię.

– Nowokijewsk. Stąd pochodzisz. Tę małą wysepkę naprawdę zamieszkuje klan wiedźm, nadzwyczaj nieliczny, ale tym bardziej przez to dumny i zawzięty. Wymyślisz tylko jakąś bajeczkę, co takiego się stało, jaki szczytny cel ci przyświeca, że zapuściłaś się tak daleko na południe. W dzieciństwie umiałaś opowiadać takie historie całymi godzinami, bez końca. Ludzie słuchali cię jak zaczarowani i wierzyli niemal w każde twoje słowo.

– Rzeczywiście, umiałam to robić – przyznała Lyra i przez chwilę poczuła w sercu znajome uniesienie, rozpierające ją za każdym razem, gdy opowiadała takie historie. Oczy zabłyśły jej dawnym blaskiem. – Ale już nie umiem. To były czyste zmyślenia, zwykłe bajanie. Nie było w nich nic z prawdy. Może Pan miał rację, może naprawdę nie mam krzty wyobraźni i po prostu bajerowałam ludzi.

– Co robiłaś?!

– Nauczyłam się tego zwrotu od pana Scoresby'ego. Mówił, że są ludzie prawdomówni, którzy muszą znać prawdę, żeby o niej mówić; są kłamcy, którym znajomość prawdy potrzebna jest do tego, by ją zmieniać lub jej unikać; i są bajeranci, których prawda nic a nic nie obchodzi. Po prostu się nią nie interesują. Ich słowa nie są ani prawdą, ani kłamstwem, tylko właśnie bajerowaniem, a ich samych interesuje wyłącznie ich własny występ. Pamiętam, jak mi o tym powiedział, ale dopiero dużo później, już po powrocie z krainy umarłych, zdałam sobie sprawę, że te słowa odnosiły się do mnie. Historia, którą opowiedziałam tam duchom dzieci, była prawdziwa; nikogo nie bajerowałam i dlatego harpie mnie słuchały. Ale wszystkie inne moje opowieści? Czyste bajerowanie. Nie potrafię już tego robić.

– A niech mnie! Bajerowanie! – Ojczulek Coram zaśmiał się lekko. – Ale mniejsza z tym. Musisz utrzymać kontakt z Hannah Relf i młodym Malcolmem. Odezwiesz się do nich przed wyruszeniem w drogę?

– Tak. Kiedy od ciebie wróciłam, dostałam list...

Lyra opowiedziała Coramowi o liście od Malcolma i swojej odpowiedzi.

– Pisz, że wyrusza do Azji Środkowej? Może być tylko jeden powód: Oakley Street go wysłała. Z pewnością nie bez przyczyny, ale... No nic, coś na pewno wymyśli, żeby się z tobą skontaktować. Powiem ci coś jeszcze: agentów i przyjaciół Oakley Street można znaleźć w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Malcolm na pewno uprzedzi ich o twojej sytuacji, więc będą cię wypatrywali.

– Jak ich rozpoznam?

– Zostaw to młodemu Malcolmowi. Coś wymyśli.

Lyra spróbowała sobie wyobrazić podróż: kilka tysięcy mil samotnej – naprawdę samotnej – wędrowni i nieustanne ryzyko, że ktoś nie da się nabrać na jej przebranie więdźmy.

Ojczulek Coram, który przechylił się w bok ponad oparciem fotela i w tej chwili grzebał w dolnej szufladzie stojącej obok komódki, wyprostował się z wysiłkiem.

– Proszę – powiedział. – Jeśli się nie mylę, to nigdy przedtem nie próbowałem ci rozkazywać; prawdę mówiąc, nie sądziłem, że się na to poważę. Teraz jednak masz zrobić, co każę. Bez sprzeciwu. Weź to.

Podał jej skórzaną sakiewkę zawiązaną sznurkiem.

Zawahała się.

– Bierz, powiedziałem! – burknął. – Nie kłóć się ze mną.

Pierwszy raz w życiu Lyra poczuła, że się go boi. Wzięła woreczek do ręki i po jego ciężarze zorientowała się, że monety, które zawiera, muszą być złote.

– Czy to...

– Słuchaj. Powiem ci, co masz robić. Jeżeli nie chcesz posłuchać ojczulka Corama, to może posłuchasz wysokiego funkcjonariusza Oakley Street. Daję ci to, ponieważ bardzo cenię ciebie, Hannah Relf i młodego Malcolma. Otwórz.

Lyra otworzyła sakiewkę i wysypała monety na dłoń. Pochodziły z tuzina albo i więcej krajów i miały najróżniejsze kształty – większość oczywiście była okrągła, ale trafiły się też kwadraty z zaokrąglonymi rogami, a także monety siedmio-, ośmio- i jedenastokątne. Niektóre miały otwór w środku, inne były oberżnięte albo zdeformowane, ale wszystkie miały ciężar i blask prawdziwego złota.

– Nie mogę...

– Cicho bądź. Pokaż mi je tutaj.

Lyra posłusznie podsunęła dłoń Coramowi, który drżącym palcem poobracał monety, wybrał cztery z nich i schował do kieszeni kamizelki.

– Tyle mi wystarczy. Cokolwiek by się działo, więcej nie będę potrzebował. Reszta jest twoja. Pilnuj ich, ale nie trzymaj wszystkich w jednej kieszeni. Jeszcze jedna rzecz: pamiętasz więdźmy, które spotkałaś? Nosiły takie cieniutkie wianki z kwiatków, malutkich, tycuciuchnych arktycznych kwiatków. Pamiętasz?

– Niektóre rzeczywiście nosiły, między innymi Serafina. Ale nie wszystkie.

– Królowe zawsze je noszą, niektóre inne więdźmy czasem też. Nie zaszkodziłoby, gdybyś sobie coś takiego uplotła, taki zwyczajny wianek, prościutki, mógłby być nawet z kordonku. Przydałby ci odpowiedniej aury. Nie musi być drogi; więdźmy są ubogie, lecz noszą się jak wielkie damy i królowe. Nie są bynajmniej zarozumiałe ani wyniosłe, nic z tych rzeczy, ale emanują majestatem, swoistą dumą, atmosferą wspaniałości... Nie umiem znaleźć właściwych słów, ale ta ich cecha wcale

nie kłóci się ze skromnością, choć może się to wydać dziwne. Ubierają się skromnie, a mimo to wyglądają jak pantery. Też byś tak mogła. Ba, ty już to nawet masz w sobie, tylko o tym nie wiesz.

Kiedy Lyra poprosiła, żeby Coram opowiedział jej więcej o Oakley Street, zgodził się powiedzieć jej kilka potencjalnie użytecznych rzeczy – zdradził jej, na przykład, w jaki sposób poznać, czy człowiek jest godny zaufania. Wypytywała go również o wiedźmy: o detale z ich życia, nawyki, sposoby zachowania i o wszystko, co tylko przyszło jej do głowy. Była z siebie zadowolona, ponieważ w końcu podjęła decyzję. Znowu sama decydowała o swoim losie.

– Ojczulku Coramie, doprawdy, nie wiem, co powiedzieć... Dziękuję ci.

– Jeszcześmy nie skończyli. Widzisz tę zamykaną szafkę nad regałem? Zajrzyj no do środka.

W szafce Lyra znalazła gruby plik zeszytów, ciężki zwój w miękkim skórzanym pokrowcu, ozdobny skórzany pas i trochę drobiazgów, którym nie mogła się dokładnie przyjrzeć, dopóki ich nie wyjęła.

– Czego szukam?

– Krótkiej, grubej pałki, szerniałej ze starości. W przekroju nie jest okrągła, tylko graniasta. Siedmiokątna.

Lyra wyciągnęła wymacaną pod zeszytami pałkę. Rzeczywiście, była prawie czarna i zdumiewająco ciężka, jakby odlana z brązu, ale także ciepła i delikatnie oleista w dotyku, co dowodziło, że jednak jest z drewna.

– Co to?

– Pałka. Przydatna w walce. Nazywa się Pequeña.

– Co to znaczy?

– „Mała”, w przybliżeniu. Mała Pałka.

W najszerszym miejscu pałka miała grubość trzech lub czterech złączonych palców Lyry, po czym stopniowo zwężała się ku rękojeści, ciasno owiniętej jakąś twardą taśmą i niewiele grubszej od kciuka. Na długość mieściła się między zgięciem łokcia Lyry i wnętrzem jej dłoni.

Lyra zważyła ją w ręce, machnęła lekko w jedną stronę, w drugą. Pałka była znakomicie wyważona, jakby stanowiła przedłużenie jej ciała.

– Co to za drewno? – zainteresowała się.

– *Lignum vitae*. Gwajakowiec. Najtwardsze drewno na świecie.

– W środku jest wypełniona ołowiem?

– Nie, samo drewno tyle waży. Zdobyłem ją... Gdzież to było? A tak, w Wysokiej Brazylii. Handlarz niewolników, który mnie nią zaatakował, nie był dostatecznie szybki. Jego dajmon, stara mała, spał się strasznie. Zabraliśmy mu pałkę i od tej pory jest moja.

Lyra wyobraziła sobie pałkę w rękach silnego mężczyzny: z pewnością można by nią roztrzaskać człowiekowi czaszkę.

– Pequeña, tak? – powtórzyła. – Niech będzie Pequeña. – Nadanie pałce imienia zdawało się ją ożywiać. Lyra zważyła ją w obu rękach. – No cóż, dziękuję ci, ojczulku Coramie. Wezmę ją, chociaż mnie przeraża. Nie pomyślałam o tym, że może będę musiała walczyć. Nigdy się do tego nie przygotowywałam.

– Nie dziwota. Po powrocie z tamtego innego świata nie było takiej potrzeby, prawda?

– Myślałam, że niebezpieczeństwo minęło... Że wszystko już za mną, że to, co dobre, i to, co złe, skończyło się raz na zawsze i zostało mi już tylko uczyć się i... No, właściwie to nic więcej.

Spuściła wzrok. Coram zmierzył ją czułym spojrzeniem.

– Ten chłopiec – rzekł.

– Will.

– Pamiętam, co powiedziała mi Serafina, kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni. Powiedziała, że ten chłopak ma więcej talentu do stawania się niewidzialnym niż wiedźma, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Naśladuj go, Lyro, przy każdej okazji. Miej oczy dookoła głowy. Strzeż się chłopców i mężczyzn, zwłaszcza starszych mężczyzn. Jest czas, kiedy należy błysnąć swoją mocą, ale jest i czas, gdy lepiej nie rzucać się w oczy: wtedy cię nie zauważą, a gdyby nawet zauważyli, to chwilę później o tobie zapomną. Tak to robił Will. Tym właśnie zaimponował Serafinie.

– Dobrze, będę o tym pamiętać. Dziękuję, ojczulku Coramie.

– Nigdy tak naprawdę nie pożegnałaś się z Willem. Mam rację?

– Co dzień o nim myślę. Ba, co godzinę! Całe moje życie kręci się wokół niego.

– Obaj z Johnem to widzieliśmy. Już wtedy. Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy pozwolić wam spać obok siebie, tak jak to robiliście. Ile wyście wtedy mieli lat, dwanaście? Trzyście? Niepokoiło nas to. Długo o tym rozmawialiśmy.

– Ale nie próbowaliście nas rozdzielić.

– Nie.

– A my w ogóle... Jakoś nigdy się nie... Tylko się całowaliśmy, raz po raz, bez przerwy, jakbyśmy mieli nigdy nie przestać. I to nam wystarczyło. Gdybyśmy byli starsi... Nie wiem, pewnie by nie wystarczyło. A tak było w sam raz.

– Myśmy chyba wyczuli, że tak to będzie wyglądało, tak sobie myślę... Dlatego nic nie powiedzieliśmy.

– To była najlepsza decyzja.

– W końcu będziesz musiała się z nim rozstać, Lyro.

– Naprawdę tak myślisz?

– O tak. Serafina mnie tego nauczyła.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu.

Nie mam teraz Pana, rozmyślała Lyra. Gdybym musiała jeszcze pożegnać się z Willem... Wiedziała, że to wcale nie jest Will, tylko jego wspomnienie, ale niczego lepszego nie miała. Czy naprawdę będzie umiała kiedykolwiek o nim zapomnieć?

Łódź zakołysała się lekko i Lyra rozpoznała znajome już kroki Roselli. Chwilę później drzwi się otworzyły i rzeczywiście Rosella weszła do kajuty.

– Czas na gorący napój, ojczulku.

Staruszek był zmęczony. Lyra wstała i cmoknęła go na dobranoc.

– Umiesz robić duszone węgorki, Rosello? – zagadnęła dziewczynę.

– Umiem. To była pierwsza rzecz, jakiej nauczyła mnie mama, kiedy jeszcze byłam małą.

– Na czym polega sekret ich przyrządzenia?

– Sekret... Nie wiem, czy powinnam ci mówić.

– Śmiało, moje dziecko – zachęcił Rosellę Coram. – Jej możesz powiedzieć.

– No więc moja mama tak robi, i moja babcia też... Wiesz, jak zagęszcza się sos mąką?

– Wiem – przytaknęła Lyra.

– Trzeba tę mąkę najpierw lekko podprażyć, na suchej patelni, tak żeby złapała trochę koloru, ale nie za dużo. Mama mówi, że to najważniejsza rzecz.

– W życiu nie jadłem lepszych duszonych węgorzy – potwierdził Coram.

– Dziękuję – powiedziała Lyra. – To na pewno to. Pójdę już, ojczulku. Dziękuję za wszystko. Wpadnę jutro.

Zapał zmrok. Dookoła było widać rozświetlone okna gipskich łodzi, z kominów wznosił się dym z palonego drewna. Paru gipskich chłopaków stało przed sklepem z alkoholem, paląc papierosy. Byli mniej więcej w wieku Lyry. Na jej widok umilkli i wlepili w nią zaciekawione spojrzenia. Kiedy ich mijała, jeden coś powiedział i pozostali parsknęli śmiechem. Udała, że nie słyszy, ale nagle z nową mocą zdała sobie sprawę z obecności ukrytej pałki i wyobraziła sobie, jak Pequeña leżałaby jej w dłoni, gdyby musiała użyć jej w gniewie.

Była niespokojna, poza tym nie zamierzała kłaść się spać o tak wczesnej porze, poszła więc odwiedzić Giorgia Brabandta po raz ostatni przed jego wyjazdem. Mżyło, gdy błotnistą ścieżką zmierzała na cumowisko Portugalskiej Dziewicy.

Zastała Brabandta przy pracy: przyświecając sobie latarnią, odławiał ciągnące się, ociekające wodą zielsko oplątujące śrubę napędową. W kabinie ktoś się krzątał – było słychać szcęk naczyń, a w kambuzie paliło się światło.

Brabandt podniósł na nią wzrok.

– Co słysząc? – powiedział. – Masz ochotę połowić glony?

– Dla mnie to pewnie za trudne. Wolałabym popatrzeć, jak pan pracuje, i robić notatki.

– To nie wchodzi w grę. Zajrzyj do kambuza, przywitaj się z Betty i przynieś mi herbatę.

– Kto to jest Betty? – zapytała jeszcze Lyra, ale Brabandt pochylił się już nad śrubą i sięgnął prawą ręką pod wodę.

Zeszła do kokpitu i otworzyła drzwi. Buchające ze środka ciepło, para i smakowite zapachy sugerowały, że Betty (nowa ukochana-kucharka Giorgia, jak zdążyła się już domyślić Lyra) gotuje ziemniaki do stojącej przy piecyku duszonej wołowiny.

– Cześć, jestem Lyra. A ty musisz być Betty.

Betty była blondynką po czterdzieście, przy kości, o chwilowo zaróżowionej twarzy i rozwichrzonych włosach. Natychmiast się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę na powitanie. Lyra z przyjemnością uścisnęła jej ciepłą dłoń.

– Giorgio dużo mi o tobie opowiadał – powiedziała Betty.

– W takim razie na pewno mówił ci też, że ni w ząb nie umiem przyrządzać duszonych węgorzy. Na czym polega sekret?

– Nie ma żadnego sekretu... Ale dodałaś jabłko?

– Jakie jabłko?

– Takie na przetwory. Węgorze wyjdą mniej tłuste. Jabłko się rozpadnie i rozgotuje, ale sos będzie bardziej gładki i zyska cierpką nutę.

– Zapamiętam. Dziękuję.

– Gdzie moja herbata? – zawołał Giorgio.

– O rety! – zafrasowała się Betty.

– Zaniose mu – zaofiarowała się Lyra.

Betty wsypała trzy łyżeczki cukru do wielgachnego kubka z herbatą, który Lyra następnie zaniósła do kokpitu. Giorgio zamykał właśnie klapkę, pod którą znajdowała się śruba.

– Co porabiasz? – zagadnął.

– Uczę się różnych rzeczy. Od Betty dowiedziałam się właśnie, jak należy przyrządzać duszone węgorze.

– Najwyższy czas.

– Mama Costa mówi, że do tego trzeba prawdziwej Gipcjanki, ale mnie się wydaje, że to i tak za mało.

– Naturalnie. Wspomniała ci, że to muszą być księżycowe węgorze?

– Jak to księżycowe? Co to znaczy?

– A co by miało znaczyć? Złowione przy pełni księżyca. Takie są najlepsze. Nic nie może się z nimi równać.

– O proszę, znów się czegoś nauczyłam. Wcześniej pan o tym nie wspominał. A jeszcze opowiadał mi pan o tajemnej wspólnocie, to też była dla mnie nowa wiedza.

Brabandt spoważniał, zerknął na ścieżkę w jedną stronę, w drugą, po czym zniżył głos i powiedział:

– Więcej rozwagi, dziewczyno. Są rzeczy, o których można swobodnie rozmawiać, takie jak węgorze, i są sprawy, przy których lepiej zawczasu ugryźć się w język. Takie jak tajemna wspólnota.

– To już wiem. Tak mi się w każdym razie wydaje.

– Weź to sobie do serca. Kiedy wyruszysz w głąb łądu, będziesz się spotykała z różnymi ludźmi. A różni ludzie, wiadomo, miewają różne opinie. Niektórzy traktują gadanie o tajemnej wspólnocie dosłownie; pomyślą, że ty też masz takie zdanie na jej temat i wezmą cię za głupią. Inni tylko prychną drwiąco, jakby wiedzieli, że to wszystko blaga. Jedni i drudzy są durniami. Unikaj tych nazbyt dosłownych i ignoruj kpiarzy.

– Co wobec tego należy myśleć o tajemnej wspólnocie, panie Brabandt?

– Powinnaś o niej myśleć w taki sposób, jakbyś chciała ją zobaczyć. A że powinno się na nią patrzeć z ukosa, kątem oka, to i myśleć też należy o niej podobnie: kątem umysłu. Ona istnieje i jednocześnie nie istnieje, jest i zarazem jej nie ma. Gdybyś chciała zobaczyć błędne ogniki, to najgorszą rzeczą, jaką mogłabyś zrobić, byłoby zapuszczenie się na mokradła z latarką. Jeśli zabierzesz ze sobą takie diabelnie wielkie, silne źródło światła, wszystkie chochliki, ogniki, skierki pochowają się pod wodą. Jeżeli chcesz o nich myśleć, w żadnym razie nie powinnaś sporządzać ich spisów i tabel, analizować ich i klasyfikować. Dostaniesz wtedy tylko mnóstwo bezużytecznego śmiecia, pozbawionego wszelkiego sensu. Dlatego jedynym właściwym sposobem myślenia o tajemnej wspólnocie jest opowiadanie o niej. Innego nie ma. – Brabandt podmuchał na herbatę, żeby ją ostudzić. – Tak to wygląda. A właściwie po co ty się tego wszystkiego uczysz, ha?

– Mówiłam panu o Karamakan?

– Pierwsze słyszę. Co to takiego?

– Pustynia w Azji Środkowej. Problem z nią polega na tym, że... no, dajmony nie mogą zapuścić się w jej głąb.

– A po co ktoś miałby się pchać dokądś, dokąd jego dajmon nie może pójść?

– Żeby się dowiedzieć, co tam jest. Uprawia się tam róże.

– Gdzie, na pustyni?

– Musi tam być jakieś sekretne miejsce, w którym rosną. To wyjątkowe róże.

– Nie dziwota. – Brabandt głośno siorbnął herbaty i wyciągnął starą, szerniałą fajkę.

– Panie B, czy tajemna wspólnota istnieje tylko w Brytonii, czy na całym świecie?

– Na całym świecie, ma się rozumieć. Chociaż przypuszczam, że w innych miejscach ludzie inaczej ją nazywają. Na przykład w Holandii błędne ogniki to *dwaallichts*. A we Francji *feux follets*.

Lyra przetrwała słowa Brabandta.

– Pamiętam, że kiedy byłam młodsza i wyprawiłam się z Gipcjanami na północ, Tony Costa opowiadał mi o duchach z tamtejszych lasów: niedychaczach i wysiejach. Domyślałam się, że należą do północnej tajemnej wspólnoty.

– Ma się rozumieć.

– Później, już gdzie indziej, zobaczyłam Widma. Były zupełnie inne, to był w ogóle inny świat, więc może tajemna wspólnota jest wszędzie.

– Wcale bym się nie dziwił.

Przesiedzieli w milczeniu minutę albo i dwie. Kiedy Gipcjanin nabijał fajkę, Lyra podpiła mu herbaty.

– Dokąd się pan teraz wybiera, panie B? – zagadnęła.

– Na północ. Miła, spokojna robótka: transport kamienia, cegieł i cementu na budowę mostu kolejowego, przez który wszyscy stracimy robotę.

– To czym się pan wtedy będzie zajmował?

– Wrócę tu i będę łowił węgorze. Czas się usatkwować. Nie jestem młodzieniaszkiem, rozumiesz.

– Ojej... Nie miałam pojęcia.

– Wiem, wiem, wcale tego po mnie nie widać.

Lyra wybuchnęła śmiechem.

– Z czego się śmiejesz?

– Jest pan podobny do wnuka.

– O tak, wiele się nauczyłem od młodego Dicka. A może było odwrotnie? Nie pamiętam... Przyzwoicie cię traktował?

– Nadzwyczaj przyzwoicie.

– To dobrze. Bywaj, Lyro. Powodzenia.

Podali sobie ręce, Lyra zajrzała jeszcze do kajuty, żeby pożegnać się z Betty, i zeszła na ląd.

Mama Costa spała już w dziobowej kajucie Perskiej Królowej, więc Lyra ostrożnie weszła na pokład. Starając się stąpać lekko i nie hałasować, zaczęła się przygotowywać do snu.

Po czym, gdy zakutana w ciepłe koce wyciągnęła się na koi w blasku małej lampki naftowej ustawionej na nocnej półeczce, stwierdziła, że zupełnie nie jest śpiąca. Pomyślała o tym, że mogłaby jeszcze raz napisać do Malcolma, o tym, że mogłaby napisać do Hannah, a także o czymś, co nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy: że dobrze się czuje w towarzystwie starszych mężczyzn, takich jak Giorgio Brabandt i ojczulek Coram.

Zaintrygowana, zaczęła się nad tym zastanawiać. Bardzo lubiła tych dwóch, tak jak lubiła doktora Carne'a, dawnego mistrza Kolegium Jordana, i pana Cawsona,

kamerdynera. A także Sebastiana Makepeace'a, alchemika. Lubiła ich znacznie bardziej od większości młodych mężczyzn. Nie chodziło o to, że ze względu na wiek nie interesowali się nią w kontekście erotycznym, dzięki czemu nie czuła się przy nich zagrożona. Pan Cawson był znanym kobieciarzem, a Giorgio Brabandt szczerze mówił o swoich kolejnych dziewczynach, chociaż faktycznie przyznał, że z tak niskim przebiegiem Lyra nie kwalifikuje się do ich grona.

Ale w gruncie rzeczy chodziło o coś pokrewnego... Tak, to było to: wcale nie dlatego lubiła przebywać w ich towarzystwie, że mogła im się wydać atrakcyjna. Po prostu przy nich nie musiała się obawiać, że to oni wydadzą jej się pociągający. Chciała pozostać wierna wspomnieniu Willa.

A jak się miał do tego Dick Orchard? Dlaczego ich przelotny romans nie kwalifikował się do kategorii niewierności? Najprawdopodobniej dlatego, że żadne z nich ani razu nie wypowiedziało takich słów jak „kocham cię”. Dick nie krył się z tym, czego chciał, i wystarczająco znał się na rzeczy, żeby Lyra była zadowolona nie mniej od niego. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że mu się podoba, a jej odpowiadał dotyk jego warg na jej skórze. Nie było w ich związku ani krzty tamtej nieokiełznanej, wszechogarniającej namiętności, jaką odczuwali oboje z Willem, każde po raz pierwszy. Ona i Dick byli po prostu dwojgiem zdrowych młodych ludzi, którzy dali się zauroczyć złotej letniej porze, i w zupełności im to wystarczało.

A tamten sen... Ten, w którym bawiła się z dajmonem Willa na oblanej księżycowym blaskiem trawie, dotykała go, głaskała i szeptała do siebie, wzajemnie zniewoleni. Na to wspomnienie jej ciało w dalszym ciągu dygotało, roztopiało się i tęskniło za czymś niemożliwym, nienazwanym, nieosiągalnym. Za czymś takim jak Will – albo jak czerwona budowla na pustyni. Celowo dała się unosić leniwemu nurtowi tęsknoty, ale nie trwało to długo: nie była w stanie przywołać tamtego snu. Tęsknota pozostała niezaspokojona, Lyra nadal nie mogła zasnąć, a wspomnienie snu blakło coraz bardziej.

W końcu – zmęczona i poirytowana – sięgnęła po swój egzemplarz *Nieustającego oszustwa* Simona Talbota. Rozdział, który czytała, zaczynał się następująco:

O nieistnieniu dajmonów

Dajmony nie istnieją.

Może nam się wydawać, że jest inaczej. Możemy do nich przemawiać, tulić je i szeptać im na uszko nasze tajemnice. Możemy oceniać innych ludzi przez pryzmat ich dajmonów, które – jak nam się wydaje – widzimy; w oparciu o ich domniemaną postać wnioskować o atrakcyjności lub nieatrakcyjności człowieka, którą rzekomo ucieleśniają.

Nie zmienia to jednak faktu, że dajmony nie istnieją.

Niewiele jest dziedzin życia, w których rodzaj ludzki przejawiałby równie wielką skłonność do samooszukiwania się. Od najwcześniejszego dzieciństwa zachęca się nas, abyśmy udawali, że poza naszym ciałem istnieje inny byt, który – choć zewnętrzny – stanowi część nas. Ci widmowi towarzysze zabaw to najdoskonalsze narzędzie, jakie nasz umysł stworzył, by dostarczyć dowodu na istnienie niematerialnego. Wieloaspektowa presja społeczna

utwierdza nas w wierze w ich istnienie, nawyki i zwyczaje narastają jak stalagmity i utrwalają wizję miękkiej sierści, wielkich brązowych oczu, wesołych figli w behawioralnej skalnej jaskini. Nieprzebrana mnogość form przybieranych przez to urojenie jest zaś niczym więcej, jak tylko przejawem losowych mutacji komórek w mózgu...

Nie mogła przestać czytać, chociaż miała ochotę zaprzeczyć każdemu słowu. Talbot na wszystko miał gotowe wytłumaczenie. Na przykład umiejętność zmiany kształtów przez dajmony dzieci dowodziła po prostu większej plastyczności dziecięcego i młodzieńczego umysłu. Fakt, że najczęściej (choć wcale nie zawsze) przyjmowały płęć przeciwną do płci człowieka, miał być skutkiem nieświadomej projekcji niekompletności, której doświadczał podmiot ludzki: tęskniąc za swoim przeciwieństwem, umysł ucieleśniał dopełniający go składnik płciowy poprzez wykreowanie istoty niestanowiącej zagrożenia seksualnego i dzięki temu zdolnej odegrać niezbędną rolę bez wzbudzania pożądania erotycznego czy zazdrości. Niemożność oddalenia się dajmona od człowieka była prostym psychologicznym wyrazem poczucia całości i jedności. I tak dalej.

Miała ogromną ochotę opowiedzieć o tym wszystkim Panowi i przedyskutować niezwykłą sytuację, w której bystremu umysłowi prawie, prawie udaje się przekonująco zaprzeczyć oczywistej rzeczywistości. Było już jednak na to za późno.

Odłożyła książkę i spróbowała wczuć się w sposób myślenia Talbota. Jego metoda sprowadzała się głównie do stwierdzeń typu: „X jest [tylko, wyłącznie, zaledwie, jedynie, po prostu, ni mniej, ni więcej etc.] Y”, co pozwalało mu łatwo formułować następujące wypowiedzi: „To, co nazywamy rzeczywistością, jest zaledwie zbiorem miernych podobieństw spajanych siłą przyzwyczajenia”.

W niczym to nie pomagało, chociaż argumentację Talbota bez wątpienia wzbogaciłyby liczne przykłady, cytaty i argumenty (wszystkie całkowicie rozsądne i na pozór niezaprzeczalnie słuszne), po przyswojeniu których czytelnik znalazłby się o krok bliżej zaakceptowania jego głównej tezy – niedorzecznej i groteskowej – że dajmony nie istnieją.

Słowa Talbota wytrąciły ją z równowagi w nieco podobny sposób, jak nowa metoda odczytywania wskazań alethiometru. Rzeczy, które dotąd były niewzruszone, nagle stawały się płynne i niustalone. Grunt drżał jej pod nogami, grożąc przyprawieniem o zawroty głowy.

Odłożyła *Niustające oszustwo* i pomyślała o drugiej książce, która tak złościła Pantalaimona: *Hiperchorezmijczykach* Gottfrieda Brandego. Nagle dotarło do niej, że ci dwaj autorzy mają ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczała. Słynne ostatnie zdanie *Hiperchorezmijczyków* – „Był tylko tym, czym był, niczym więcej” – brzmiało jak żywcem wyjęte z Talbota. Dlaczego wcześniej uchodziło to jej uwagi?

Przypomniała sobie, że Pan próbował jej o tym powiedzieć.

Chciała o tym porozmawiać. Wzięła kartkę i zaczęła pisać list do Malcolma. Musiała być jednak zmęczona, bo streszczenie argumentacji Talbota wyszło jej topornie i nieprzekonująco, a opisując *Hiperchorezmijczyków* pogubiła się i w treści książki, i we własnych refleksjach na jej temat. Brakowało jej swobody i przekonania o swojej słuszności, kolejne zdania po prostu padały na papier nieruchome i bez życia.

Poddała się jeszcze przed końcem pierwszego akapitu.

Przyszło jej do głowy, że gdyby takie byty jak Widma – przerażające pasożyty żerujące na mieszkańcach Cittàgazze – naprawdę istniały, to tak właśnie czułaby się w ich mocy. Od czasu pierwszego spotkania z nimi dorosła, a Pan uzyskał trwałą postać. Dziś byłaby wobec nich tak samo bezbronna jak tamtejsi dorośli. Simon Talbot nie mógł być w Cittàgazze, dlatego w *Nieustającym oszustwie* nie wspominał o Widmach, ale z pewnością znalazłby gładkie, przekonujące argumenty na rzecz ich nieistnienia.

Odłożyła pióro i podała kartkę.

Prawdziwe pytanie, pomyślała, brzmi: czy wszechświat jest żywy, czy martwy?

Z oddali, znad mokradeł, dobiegło pohukiwanie sowy.

Co to oznacza?, pomyślała odruchowo i natychmiast wyobraziła sobie nieuchronną odpowiedź Talbota: „Nic. Zupełnie nic”. Przed laty w Oksfordzie spotkała dajmona więdzmy; spotkanie to zapoczątkowało przygodę, po której nauczyła się myśleć, że wszystko ma jakiś sens. Wtedy wszechświat wydawał jej się żywy. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, dostrzegała ukryte wiadomości i przekazy. Wówczas takie wydarzenie jak krzyk sowy na bagnach wprost ociekałoby możliwymi znaczeniami.

Czy to znaczy, że wtedy niewłaściwie odczuwała świat? Czy że była niedojrzała, naiwna, sentymentalna? Jedno i drugie, odparłby Simon Talbot, choć wyraziłby to inaczej: uroczo, dowcipnie, delikatnie. Druzgocąco.

Nie знаła odpowiedzi. Lyra – maleńka iskierka świadomości w oceanie nocy, pozbawiona dajmona, który (gdziekolwiek zawędrował) był tylko projekcją nieświadomej części jej umysłu i w rzeczywistości wcale nie istniał – czuła się nieszczęśliwa i samotna jak nigdy w życiu.

– Ale gdzie ona jest? – zapytał Marcel Delamare z bezgraniczną cierpliwością.

Światło lampy – umieszczonej z boku za jego plecami i wycelowanej prosto w twarz Oliviera Bonneville’a – ujawniało warstewkę potu na skórze, lekką błądź i wyraźny niepokój młodego człowieka. Delamare był bardzo zadowolony z tych objawów. Jeszcze przed zakończeniem przesłuchania zamierzał przyprawić Bonneville’a o znacznie większe zaniepokojenie.

– Nie mogę jej dokładnie namierzyć – odparował Bonneville. – Alethiometr nie działa w taki sposób. Wiem, że jest w drodze, i wiem, że udaje się na wschód. Więcej nikt nie umiałby powiedzieć.

– Dlaczegoż to? – Nadzwyczaj cierpliwie.

– Dlatego, *monsieur* Delamare, że stara metoda, której poleciłeś mi używać, jest metodą statyczną. Opiera się na sieci powiązań i skojarzeń, które bywają nadzwyczaj złożone, ale są niezmiennie.

Bonneville wstał.

– Dokąd się wybierasz? – zdumiał się Delamare.

– Mam dość tego przesłuchania z lampą wycelowaną w oczy. Usiądę tutaj. – Bonneville opadł na sofę przy kominku. – Gdybyś zgodził się na zastosowanie nowej

metody, znalazłbym ją w trymiga. – Oparł nogi na tapicerowanym taborecie. – Bo to metoda dynamiczna, uwzględniająca ruch. A to kluczowa różnica.

– Zdejmij nogi ze stołka i odwróć się do mnie. Chcę widzieć, czy nie kłamiesz.

W odpowiedzi Bonneville wyciągnął się na sofie. Głowę oparł na jednym jej podłokietniku, nogi na drugim. Spojrzał przelotnie na Delamare'a, a potem zwiesił głowę w tył, zagapił się w sufit i zaczął obgryzać paznokiec.

– Źle wyglądasz – zauważył sekretarz generalny. – Jakby cię kac dręczył. Czyżbyś za dużo popijał?

– Miło, że pytasz.

– No więc?

– No więc co?

Delamare westchnął ciężko.

– Kłopot w tym – podjął – że się nie przepracowujesz. Twój ostatni raport nie zawierał praktycznie żadnej zdanej do użytku treści. Nasza umowa wygaśnie w najbliższy piątek, jeżeli do tego czasu nie dokonasz jakiegoś znaczącego, rzeczywistego odkrycia.

– Jaka umowa? O czym ty mówisz?

– Umowa, na mocy której korzystasz z alethiometru. Ten przywilej może z łatwością zostać...

– Chcecie mi go zabrać? Nic wam z tego nie przyjdzie, nie ma nikogo, kto byłby choć w połowie tak szybki jak ja, nawet przy użyciu starej metody. Jeżeli...

– Nie chodzi już tylko o szybkość. Ja ci po prostu nie ufam, Bonneville. Z początku zanosilo się na to, że twoja osoba będzie dla nas atutem. Jednakże poprzez swoje niezdolne pozerstwo i próżniactwo roztrwonileś ten potencjał. Ta cała Belacqua wciąż nam się wymyka, a ty najwyraźniej nie masz żadnego...

– Dobrze. – Bonneville wstał. Był jeszcze bledszy niż wcześniej. – Jak chcesz. Oddam alethiometr, przyślij kogoś rano, niech go zabierze. Ale pożałujesz tego. Będziesz mnie przeproszał, będziesz błagał i się przymilał, a ja wtedy nie kiwnę palcem. Mam dość.

Wziął leżącą na sofie poduszkę, jakby zamierzał nią rzucić (najprawdopodobniej do kominka), ale ostatecznie tylko wypuścił ją z ręki na podłogę i nieśpiesznie wyszedł.

Delamare zabębnił palcami w blat biurka. Spotkanie nie poszło po jego myśli i miał o to do siebie pretensje. Po raz kolejny Bonneville go przechytrzył – czy raczej, ściśle rzecz biorąc, „przeimpertynencił”. Na dodatek niestety miał rację: żaden z pozostałych alethiometrystów nie mógł się z nim równać pod względem prędkości i precyzji odczytów, żaden również nie opanował nowej metody. Delamare osobiście jej nie ufał, ale musiał przyznać, że wielokrotnie dawała zdumiewające rezultaty. Przepuszczał również, że Bonneville – wbrew zakazowi – nadal z niej korzysta.

Być może, pomyślał, uzależnienie się od alethiometru było błędem. Stare metody szpiegowskie działały doskonale od setek lat, a sieć wywiadowcza Magisterium, wpływowa i dalekosiężna, miała uszpionowanych agentów rozsianych zarówno po całej Europie i Azji Mniejszej, jak i dalej na wschodzie. Może przyszedł czas, by ich obudzić. Zapowiadało się gwałtowne przyspieszenie biegu wydarzeń w Lewancie; może więc warto by postawić szpiegów w stan gotowości?

Wezwał sekretarkę i podyktował jej kilka listów, a potem narzucił płaszcz, włożył

kapelusz i wyszedł.

Marcel Delamare prowadził skrajnie dyskretne życie prywatne. Było wiadomo, że nie jest żonaty, domniemywano, że nie jest homoseksualistą, ale na tym wiedza powszechna się kończyła. Miał niewielu przyjaciół i nie miał żadnych hobby: nie kolekcjonował ceramiki, nie grywał w brydża, nie chadzał do opery. Mężczyzna w jego wieku i stanie zdrowia powinien mieć kochankę lub od czasu do czasu odwiedzać domy publiczne, a jednak powtarzane szeptem plotki nigdy nie łączyły jego nazwiska z czymś takim. Jako zwyczajny, szary urzędnik zatrudniony w mało znanym wydziale Magisterium nie był atrakcyjnym obiektem dla dziennikarzy i gazety dawno już porzuciły nadzieję zdobycia nowych czytelników poprzez opisywanie życia *monsieur* Delamare'a.

Nikt więc go nie śledził, gdy wyszedł na wieczorny spacer. Nikt też nie widział, jak dzwoni do drzwi dużego domu na spokojnych przedmieściach i jak otwiera mu kobieta w zakonnym habicie. Lampka, która zapaliła się nad wejściem tuż przed tym, jak drzwi się otworzyły, dawała wyjątkowo mizerne światło.

– Dobry wieczór, *monsieur* Delamare – powiedziała zakonnica. – Pani czeka.

– Jak się czuje?

– Mamy nadzieję, że organizm oswaja się z nowym lekarstwem, *monsieur*. Mniej cierpi.

– To dobrze. – Delamare oddał jej płaszcz i kapelusz. – Pójdę od razu na górę.

Wszedł po wyłożonych dywanem schodach na piętro, w łagodnie rozświetlony korytarz, i zapukał do drzwi. Czyjś głos zaprosił go do środka.

– *Maman* – powiedział, pochylając się nad leżącą w łóżku starą kobietą.

Podstawiła mu policzek do całusa. Jej pomarszczony jaszczurczy dajmon, leżący na poduszce, cofnął się nieco, jakby istniało niebezpieczeństwo, że Delamare jego także zechce pocałować. W pokoju było gorąco i duszno, w powietrzu unosił się mocny zapach lilii, gryząca woń olejku do nacierania ciała i słaby odór rozkładu. *Madame* Delamare – skrajnie szczupła przez wzgląd na wymogi mody – dawniej była piękną kobietą. Przerzedzone żółtawe włosy miała teraz sztywno ufryzowane, nosiła też idealny makijaż – chociaż odrobina szkarłatnej szminki spłynęła w odchodzące od ust bruzdy, a żadna ilość kosmetyków nie była w stanie zamaskować dzikiego wyrazu jej oczu.

Delamare usiadł na krześle przy łóżku.

– No i co? – spytała matka.

– Na razie nic.

– A gdzie widziano ją po raz ostatni? I kiedy?

– W Oksfordzie, kilka dni temu.

– Będziesz się musiał bardziej postarać, Marcelu. O wiele bardziej. Cały ten kongres nadmiernie zaprzęta twoją uwagę. Kiedy się kończy?

– Kiedy załatwię sprawy po mojej myśli – odparł spokojnie Delamare.

Zachowanie matki dawno już przestało go irytować, a jeszcze dawniej przerażać. Wiedział, że może bezpiecznie rozmawiać z nią o różnych swoich przedsięwzięciach,

ponieważ nikt nie ufał jej na tyle, by jej uwierzyć, gdyby zaczęła o nich rozpowiadać, a zarazem jej opinie były użytecznie bezlitosne.

– O czym dzisiaj dyskutowaliście? – zagadnęła, strząsnąwszy wyimaginowany pyłek z gołębioszarej nocnej koszuli.

– O doktrynie ucieleśnienia. Gdzie przebiega granica pomiędzy duchem i materią? Co je różni?

Była zbyt dobrze wychowana, by uśmiechnąć się szyderczo, dlatego jej usta pozostały zaciśnięte. Za to jej oczy zapałały wzgardliwym blaskiem.

– Można by pomyśleć, że to akurat jest całkiem oczywiste – powiedziała. – Wdawanie się w takie niedorosłe, naiwne spekulacje, Marcelu, to strata czasu.

– Bez wątpienia. Ale skoro dla ciebie to takie oczywiste, *maman*, to na czym polega różnica?

– Materia jest nieożywiona, to jasne, dopiero duch daje jej życie. Bez ducha, albo bez duszy, wszechświat byłby jałowym, cichym pustkowiec. O czym zresztą wiesz równie dobrze jak ja, nie rozumiem więc, dlaczego zadajesz sobie to pytanie. Czyżby kusiło cię to, co te róże zdają się ujawniać?

– Kusiło? Nie, nie odbieram tego jako pokusy. Uważam jednak, że powinniśmy mieć się na baczności.

– Mieć się na baczności? A cóż to ma niby znaczyć?

Zawsze najbardziej się ożywiała, gdy mogła sączyć swój jad. Teraz, gdy była już stara i schorowana, Delamare lubił ją prowokować, tak jak mógłby drażnić się ze skorpionem, który jest bezpiecznie zamknięty za szkłem.

– Musimy się zastanowić, co w tej sprawie należy zrobić – wyjaśnił. – Mamy kilka możliwości. Po pierwsze, poprzez surowe i drobiazgowe przesłuchania oraz bezwzględne użycie siły moglibyśmy powstrzymać rozpowszechnianie wszelkich informacji na ten temat. Przez pewien czas byłoby to skuteczne, ale wiedza jest jak woda: zawsze znajdzie jakieś szpary, przez które wycieknie. Za dużo jest ludzi, gazet i ośrodków naukowych, które już coś na ten temat wiedzą.

– Powinniście byli zadziałać wcześniej.

– Z pewnością masz rację. Druga możliwość to udać się do źródła problemu i go wyrugować. Ta pustynia w Azji Środkowej skrywa jakąś tajemnicę: te róże nie chcą rosnąć nigdzie indziej, a my nie wiemy dlaczego. Moglibyśmy, rzecz jasna, wysłać wojsko i zniszczyć to miejsce, czymkolwiek jest. Dotychczas dotarły do nas nadzwyczaj niewielkie ilości tamtejszego olejku różanego, a gdyby jego źródło zostało zlikwidowane, problem umarłby śmiercią naturalną. To rozwiązanie wymagałoby większych nakładów finansowych od pierwszego, byłoby także bardziej czasochłonne, ale jest wykonalne i załatwiłoby sprawę raz na zawsze.

– Moim zdaniem to absolutne minimum, jakie powinniście zrobić w obecnej sytuacji. Twoja siostra by się nie zawahała.

– Wiele rzeczy wyglądałoby lepiej, gdyby Marisa żyła, ale jest, jak jest. Jest również trzecie wyjście.

– Mianowicie?

– Moglibyśmy pogodzić się z faktami.

– A to co znowu za wymysł? Jakimi faktami?

– Róże istnieją i dowodzą istnienia czegoś, co zawsze negowaliśmy; czegoś, co stoi w sprzeczności z wyznawanymi przez nas najgłębszymi prawdami na temat

Absolutu i Jego dzieła. To fakt niepodważalny. Moglibyśmy go więc potwierdzić, odważnie odrzucić tysiącletnią tradycję nauczania i zacząć głosić nową prawdę.

Stara kobieta zadygotała z obrzydzeniem. Jej dajmon się rozpląkał, skrzecząc cicho ze zgrozy i rozpaczy.

– Marcelu... Natychmiast odwołaj te słowa. Nie słyszałam ich. Odwołaj je. Nie życzę sobie słuchać tych herezji.

Patrzył na nią bez słowa, rozkoszując się jej wzburzeniem. Jej oddech przyspieszył, stał się płytki i chrapliwy. Skinęła trzepoczącą dłonią, a wtedy rękaw koszuli opadł do łokcia i odsłonił przedramię, cienką jak papier skórę opiętą na kościach i poznaczoną śladami po igłach. Jej oczy pałały złem.

– Gdzie pielęgniarka? – wyszeptała. – Zawołaj ją.

– Pielęgniarka nie pomoże na herezję. Uspokój się, to jeszcze nie jest starcze zdziecinnienie. Poza tym nie powiedziałem ci o czwartej możliwości.

– Słucham.

– Ujawnienie faktów w sposób przeze mnie przedstawiony byłoby nieskuteczne. Istnieje zbyt wiele nawyków, utartych schematów myślowych, instytucji poświęconych temu, jaki jest i zawsze był świat i prawda zostałyby w okamgnieniu zmiecione z powierzchni ziemi. Dlatego powinniśmy delikatnie, subtelnie podważać samą ideę prawdy. Ideę faktów. Kiedy zachwiejemy powszechną wiarą w prawdziwość wszystkiego, nasze możliwości staną się wprost nieograniczone.

– „Delikatnie i subtelnie” – powtórzyła drwiącym tonem matka. – Marisa umiałaby użyć siły. Pokazać charakter. Była mężczyzną, jakim ty nigdy nie będziesz.

– Moja siostra nie żyje, ja zaś mam się doskonale i zajmuję stanowisko, które pozwala mi wpływać na bieg wydarzeń. Opowiedam ci o tym, co zamierzam zrobić, bo tego nie dożyjesz.

Pociągnęła nosem.

– Dlaczego tak do mnie mówisz? – zaskomliła płacząco. – Jesteś taki okrutny.

– Całe życie marzyłem o tym, żeby móc cię tak traktować.

– Cały ty: dosłownie pławisz się w dzieciennych żalach. – Głos jej drżał. Otarła oczy i nos koronkową chusteczką. – Mam wpływowych przyjaciół, Marcelu. Nie dalej jak przed tygodniem odwiedził mnie Pierre Binaud. Miarkuj swoje słowa i czyny.

– Jakbym słyszał głos Binauda... Sypiałaś z tym starym capem, kiedy byłem dzieckiem. Dzisiaj musicie stanowić piękną parę, nie ma co.

Z jękiem dzwignęła się na łóżku i usiadła prosto. Delamare nie próbował jej pomóc. Jaszczurczy dajmon leżał na poduszce i dyszał ciężko.

– Natychmiast wezwij pielęgniarkę – zażądała. – Ja cierpię. Wprost nie umiem wyrazić słowami, jaka jestem przez ciebie nieszczęśliwa. Przychodzisz tylko po to, by mnie dręczyć.

– Nie zostanę długo. Powiem pielęgniarce, żeby podała ci dekokt nasenny.

– Och nie, tylko nie to! Te przerażające sny!

Jaszczurka zaskrzeczała ze zgrozą i spróbowała wtulić się w pierś *maman*, ale kobieta ją odepchnęła.

Delamare wstał i rozejrzał się po pokoju.

– Naprawdę powinno się tu przewietrzyć.

– Nie bądź niemiły.

– Co zamierzasz zrobić z dziewczyną, kiedy już ją dla ciebie znajdę?

– Wycisnąć z niej prawdę. Ukarać ją. Niech żałuje. A gdy już złamię jej wolę, zajmę się jej edukacją. Wpoję jej zrozumienie tego, kim naprawdę jest i co powinno być dla niej najważniejsze. Ukształtuję z niej kobietę, jaką powinna stać się jej matka, gdyby żyła.

– A Binaud? Jaką rolę będzie miał do odegrania w tym przedsięwzięciu edukacyjnym?

– Jestem zmęczona, Marcelu. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cierpię.

– Chcę wiedzieć, jakie są plany Binaud odnośnie do dziewczyny.

– To nie ma z nim nic wspólnego.

– Ależ oczywiście, że ma. Binaud jest do cna zdemoralizowany, na odległość cuchnie ukradkową kopulacją.

– Pierre Binaud jest mężczyzną. Nie masz pojęcia, co to znaczy. Poza tym mnie kocha.

Delamare wybuchnął śmiechem. Rzadko mu się to zdarzało.

Jego matka uderzyła kościstymi pięściami o łóżko. Jej dajmon czmychnął na nocny stolik.

– Czyżby szykował się nam ślub na łożu śmierci? – zapytał Delamare. – Wtedy Binaud dostanie nie tylko dziewczynę, lecz także twoje pieniądze. Obawiam się, że niecierpiące zwłoki obowiązki nie pozwolą mi wziąć udziału w uroczystości.

Otworzył okno na oścież. Powiało zimnym nocnym powietrzem.

– Nie, Marcelu! Nie! Proszę! Nie bądź taki nikczemny! Umrę z zimna!

Pochylił się nad nią, żeby pocałować ją na do widzenia. Wykręciła głowę w bok.

– Do zobaczenia, *maman* – powiedział. – Niech Binaud nie zwleka zbyt długo.

Olivier Bonneville nie mówił całej prawdy, co nie było u niego niczym niezwykłym. Nie znalazł Lyry, dlatego że nowa metoda – nie wiedzieć czemu – mu na to nie pozwalała. Lyra w niewyjaśniony sposób stale mu się wymykała. Był to kolejny powód, by być na nią złym – i zarazem coraz bardziej nią zaintrygowanym.

Podejrzliwy z natury i przyzwyczajenia, nie trzymał alethiometru u siebie w mieszkaniu. Dobry złodziej, zwłaszcza wynajęty przez La Maison Juste, mógłby z łatwością włamać się do jego dwóch i pół pokoju i ukraść wszystko, co znajdzie. Dlatego wołał trzymać przyrząd w prywatnej skrytce depozytowej w Banque Savoyarde, miejscu tak dyskretnym, że prawie niewidzialnym. Mosiężna tabliczka przy wejściu od Rue de Berne anonsowała jedynie B. Sav. i celowo nie była nigdy polerowana.

Wcześniej rano następnego dnia udał się do banku, gdzie podał nazwisko (fałszywe) i hasło urzędnikowi, który otworzył mu drzwi skarbcza ze skrytkami i zostawił go samego. Bonneville do jednej kieszeni schował alethiometr, do drugiej zaś gruby zwitek banknotów. Jedynym przedmiotem, który zostawił w skrytce, był nieopisany w żaden sposób klucz, otwierający inną skrytkę w innym banku.

Dwadzieścia minut później kupował już bilet na Gare Nationale. Naturalnie nie przejął się zakazem Delamare'a dotyczącym nowej metody i regularnie ją stosował, ale to ostatniej sesji wedle starej metody, z księgami, zawdzięczał odkrycie, że Lyra

zmierza na wschód i że – najprawdopodobniej – podróżuje sama. Nowa metoda nie ujawniła mu żadnych nowych faktów, a w dodatku towarzyszące jej (podobnie jak u Lyry) zawroty głowy i nudności były prawie nie do zniesienia. Doszedł do wniosku, że lepiej chyba będzie konsultować się z alethiometrem rzadziej i przez krótszy czas.

Zwłaszcza że stara metoda nie wymagała takich poświęceń. Gdy tylko dotrze pociągiem do Monachium, wynajmie pokój w tanim hoteliku i zacznie rzetelne poszukiwania Lyry. Oczywiście gdyby miał wszystkie niezbędne księgi, z pewnością poszłoby mu szybciej (choć nie aż tak szybko jak przy zastosowaniu nowej metody), ale miał przynajmniej dwie z nich: iluminowany rękopis *Clavis Symbolorum* Andreasa Rentzingera i jedyny istniejący egzemplarz *Alethiometrica Explicata* Spiridiona Trepki, który jeszcze do niedawna znajdował się w bibliotece genewskiego opactwa Świętego Jeremiasza. Trepka był pozbawiony ozdobnej skórzanej oprawy, która została na bibliotecznym półce wypełniona nienadającymi się do czytania, lecz za to wydanymi w identycznym formacie wspomnieniami jednego z napoleońskich generałów, które Bonneville nabył u bukinyisty. Prędzej czy później (prawdopodobnie prędzej) kradzież ksiąg zostanie zauważona, ale miał szczerą nadzieję, że zanim to nastąpi, on zdąży triumfalnie powrócić do Genewy.

Ktoś nią potrząsał.

– Lyro! Lyro!

Głos należał do pochylającej się nad koją Mamy Costy. Światło z kambuza wpadało przez otwarte drzwi, obok Mamy Costy stał ktoś jeszcze. Ojczulek Coram. Jego głos również usłyszała.

– Zbudź się! Zbudź się, dziewczyno! Szybko!

– O co chodzi? Co się stało?

– KSD – odparła Mama Costa. – Naruszyli postanowienia traktatu, pchają się na Moczary z tuzinem statków albo więcej i...

– Musimy cię stąd zabrać – przerwał jej Coram. – Dalej, ubieraj się. Prędko.

I wycofał się do kambuza.

Lyra wygramoliła się z koi, Mama Costa zrobiła jej miejsce.

– Ale jak się... skąd wiedzą... – próbowała pytać Lyra.

– Nieważne. Masz, narzuć to na piżamę.

Mama Costa wepchnęła jej do rąk sukienkę. Lyra naciągnęła ją przez głowę, po czym, wciąż na wpół śpiąca, zgarnęła wszystkie rozrzucone rzeczy i wepchnęła je do plecaka.

– Coram sprowadził motorówkę, już na ciebie czeka. Jej właściciel nazywa się Terry Besnik. Możesz mu zaufać.

Lyra rozejrzała się półprzytomnie, czy na pewno niczego nie zapomniała – ale nie: miała niewiele rzeczy i wszystkie zabrała. A Pan? Gdzie był Pan?!

Przypomniała sobie i serce na moment przestało jej bić. Zamrugała i pokręciła głową.

– Przez całe życie nic, tylko sprowadzam na Gipcjan kłopoty – wybełkotała głosem ochrypłym z rozespania. – Tak mi przykro...

– Dość tego. – Mama Costa chwyciła ją w ramiona i uściskała z taką siłą, że Lyra nie mogła oddychać. – A teraz uciekaj. Nie ma czasu do stracenia.

Stojący w kambuzie ojczulek Coram wspierał się na dwóch laskach. On również wyglądał, jakby dopiero co się obudził. Z zewnątrz dobiegał cichy pomruk silnika czekającej motorówki.

– Terry Besnik to porządny człowiek – powiedział Coram. – Rozumie sytuację. Zabierze cię do King’s Lynn, zna wszystkie pomniejsze kanały i boczne odnogi. Tam będziesz mogła wsiąść na prom, ale musisz się śpieszyć, Lyro. Bardzo śpieszyć. Masz rzeczy, które ci dałem?

– Tak, mam. – Lyra objęła go mocno. Wyraźnie wyczuwała dotykiem jego kruche kości. – Ojczulku Coramie...

– No, zmykaj już – ponagliła ją Mama Costa. – Słyszać strzały.

– Dziękuję wam, dziękuję.

Lyra wyskoczyła z kabiny i smyrnęła za burtę, gdzie czekała na nią pomocnie wyciągnięta ręka, która pomogła jej zejść na pokład innego rodzaju łodzi – pozbawionej wszelkiego oświetlenia motorówki z ciemnego drewna.

– Pan Besnik? – upewniła się.

– Trzymaj się mocno – odparł tylko.

Nie widziała za dobrze jego twarzy. Był krępy, ubrany w grubą kurtkę i ciemną wełnianą czapkę. Kiedy dodał gazu, silnik zaryczał jak tygrys i motorówka ruszyła z kopyta.

17

Górnicy

W Cuxhaven Pantalaimon zszedł z pokładu Elsy, korzystając z chwili nieuwagi załogi. Zgodnie z przewidywaniami jednego ze swoich ludzi kapitan Flint sprzedał śrubę na wyspie Borkum, a następnie odmówił pierwszemu oficerowi równego udziału w zyskach, ponieważ – jak twierdził – jako kapitan ponosił znacznie większe ryzyko. W odpowiedzi pierwszy ukradł mu butelkę whisky i obrażony zaległ w hamaku. Godzinę za Borkum tuleja wału napędowego Elsy rozpadła się na kawałki, woda wdarła się do maszynowni i ledwie dowlekli się do Cuxhaven; dwóch ludzi niezmordowanie wypompowywało wodę, gdy nieopodal pierwszy oficer dąsał się w najlepsze. Zafascynowany Pan śledził z bliska rozwój wypadków – na takim statku jak Elsa nietrudno było się ukryć.

Wieczorem przybili do nabrzeża z rozsypującym się kamiennym magazynem. Ukrywający się w magazynie „pasażerowie” nie mogli się zaokrętować, dopóki tuleja wału nie zostanie wymieniona, ponieważ cała ta „pasażerska” transakcja opierała się na dyskrecji i milczeniu. Trudno było jednak stwierdzić, jak długo potrwa naprawa – Flint wprawdzie znał handlarza, który sprzedałby mu niezbędną część zapasową, lecz ten chwilowo przebywał albo poza miastem, albo w więzieniu, a jego pomagier, który żywił do Flinta zadawnioną urazę, z pewnością zażądałby astronomicznej ceny.

Gdy tylko zrobiło się ciemno, Pan przemknął na trapie na ląd i przepadł w portowych mrokach. Teraz pozostało mu już tylko znaleźć rzekę i ruszyć w górę jej biegu do Wittenbergi.

Tymczasem Lyra siedziała w zatłoczonej wieloosobowej sali na dziobie promu płynącego do Vlissingen na wybrzeżu Holandii. Wolałaby siedzieć na zewnątrz, na pokładzie, w samotności, ale było przenikliwie zimno, musiała więc znosić przytłaczający upał i mieszaninę odorów oleju maszynowego, nieświeżego jedzenia, ziela fajkowego, piwa i brudnych ubrań z uporczywą nutą wymiocin w tle. Jantaryczne świetlówki migotały nieprzyjemnie, sięgając we wszystkie kąty natrętym, bladym światłem. Musiała przepchnąć się przez ścisk w przejściu i mocno przeć przed siebie, żeby przebić się do wolnego miejsca w kącie.

Początkowo jej brak dajmona nie wzbudzał aż takiego zaniepokojenia, jak się spodziewała. Większość załogi i pasażerów miała własne sprawy na głowie, próbowała uciszać płaczące dzieci albo była zmęczona i zubożona. Ci nieliczni,

którzy zauważyli w niej coś niezwykłego, zadowalali się ukradkowym spojrzeniem, wymamrotaniem paru słów albo gestem odczyniającym zły urok. Udawała, że niczego nie widzi, i starała się nie rzucać w oczy.

Wśród pasażerów znajdowało się pół tuzina mężczyzn, po których było widać, że podróżują razem: nosili podobne ubrania – ciepłe, zwyczajne, ale dobrej jakości, między sobą mówili po walijsku, emanowali swobodą i pewnością siebie. Lyra obserwowała ich z uwagą, bo dwaj z nich otaksowali ją wzrokiem, gdy przepychała się przez tłum przy wejściu, wymienili parę zdań i znów zaczęli się jej przyglądać. Ich towarzysze zamawiali tymczasem drinki (i to nietanie) i głośno się śmiali. Gdyby był przy niej Pan, mogliby zabawić się w detektywa i próbować odgadnąć profesję Walijszczyków. Najpierw musieliby jednak odnowić swoje dawne, normalne stosunki, a na to było już chyba za późno.

Ale nawet będąc sama, mogła podjąć tę zabawę, prawda? Udając, że przysypia, dyskretnie obserwowała mężczyzn.

Byli przyjaciółmi albo przynajmniej kolegami z pracy, w każdym razie trzymali się razem. Mogli mieć po trzydzieści parę, czterdzieści lat i wyglądali raczej na robotników niż na ludzi, którzy całe dni spędzają w biurze: byli krzepcy i z niewymuszoną swobodą utrzymywali równowagę na rozkołysanym pokładzie, niczym wytrenowani sportowcy albo wręcz gimnastycy. Czyżby byli żołnierzami? Było to całkiem możliwe, dopóki Lyra nie zwróciła uwagi, że mają nieco przydługie włosy i są dość bladzi: raczej nie pracowali na dworze. Ich ubrania i napitki dowodziły, że nieźle zarabiają. Byli też dość niscy, a żołnierze to częściej jednak chlopy na schwał...

Mniej więcej w tym miejscu jej rozważania przerwał zwalisty mężczyzna w średnim wieku, sadowiac się obok niej. Próbowała się przesunąć, zrobić mu więcej miejsca, ale z drugiej strony na ławce spała gruba kobieta, która nawet nie drgnęła, gdy Lyra sprzedała jej kuksańca pod żebro.

– Się pani nie przejmuję – rzekł mężczyzna. – Odrobina ciasnoty nikomu tutaj nie przeszkadza. Daleko pani podróżuje?

– Nie – odparła obojętnie, nie patrząc na niego.

Dajmon współpasażera – mała, dziarska biało-brązowa suczka – z zaciekawieniem obwąchiwał leżący na podłodze plecak Lyry.

Lyra wzięła plecak na kolana i mocno przycisnęła do piersi.

– A gdzie pani dajmon? – zapytał mężczyzna.

Lyra zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

– Po co od razu taka zagniewana mina? – zdziwił się natręt.

Dziewięć lat temu, kiedy Pantalaimon towarzyszył jej podczas wyprawy do Arktyki, bez większego wysiłku zmyśliłaby bajeczkę o tym, dlaczego natręt powinien zostawić ją w spokoju: jest nosicielką choroby zakaźnej, udaje się na pogrzeb matki, jej ojciec jest mordercą i właśnie jej szuka... Ta ostatnia historia sprawdziła się kiedyś wyjątkowo dobrze.

Teraz jednak brakowało jej pomysłowości, energii lub brawury. Była zmęczona, samotna, wystraszona, bała się nawet tego zadowolonego z siebie intruza i jego głupiutkiego dajmona, który w tej chwili obskakiwał go i ujadła głośno.

– O co chodzi, Bessy?

Mężczyzna wziął suczkę na kolana, żeby okazać jej zainteresowanie i wysłuchać,

co chce mu szepnąć na ucho. Lyra odwróciła się od niego, ale doskonale wiedziała, co robi: rozmawiając z dajmonem, nie przestawał jej się przyglądać. Psina zakwiliła cicho, próbując jednocześnie odsunąć się od Lyry i wtulić w poję płaszcz mężczyzny. Zdegustowana takim tchórzowskim dopominaniem się o uwagę Lyra zamknęła oczy i udała, że śpi. Przy barze ktoś się z kimś kłócił, było słychać podniesiony głos mówiący po walijsku, wywiązała się jakaś szarpanina, ale zamieszanie ucichło równie szybko, jak wybuchło.

– Coś tu jest nie w porządku – odezwał się jej zwalisty sąsiad. Nie mówił jednak do niej. – Bardzo nie w porządku.

Otworzyła oczy. Jedna, potem druga głowa zwróciły się w jej stronę. Na wszystkich ławkach tłoczyli się pasażerowie: siedzieli, spali, jedli, pili. W powietrzu niósł się przenikający wszystko nieustanny basowy turkot silników pod pokładem, szum fal i zawodzenie wiatru na zewnątrz dokładały kolejną warstwę dźwiękową, na którą nakładały się jeszcze dobiegające z bliska rozmowy i nieco bardziej odległe wybuchy śmiechu przy barze, ale głos zwalistego natręta ponownie wzniósł się ponad ten zgiełk:

– Powiedziałem, że coś tu jest nie w porządku. Coś jest nie tak z tą młodą kobietą.

Tym razem jego dajmon zaskowyczał jak się patrzy: piskliwy, rozedrgany dźwięk przyprowadził Lyrę o zimny dreszcz na kręgosłupie. Coraz więcej ludzi się jej przyglądało. Śpiąca kobieta po lewej stronie zaczynała się budzić, wiercić i bezgłośnie poruszać ustami.

– Trzymam dajmona za pazuchą płaszcz – odparła Lyra. – Źle się czuje. To nie pańska sprawa.

– O nie, nie, nie, to nie przejdzie. Mnie się wydaje, że ty w ogóle nie masz dajmona. Moja Bess nigdy się nie myli w takich sprawach.

– Nie ma pan racji, mój dajmon jest nieswój. Nie zamierzam go niepokoić tylko z powodu pańskich przesądów.

– Miarkuj się, młoda damo, nie życzę sobie, żebyś zwracała się do mnie takim tonem. W takim stanie nie powinnaś się pokazywać publicznie. Jest z tobą coś nie w porządku. I to bardzo.

– O co chodzi? – zainteresował się mężczyzna z ławki naprzeciwko. – Czego pan tak gardłujesz?

– Ona nie ma dajmona! Mówię jej, że nie wypada się tak pokazywać publicznie, że to nie jest w porządku...

– To prawda? – spytał ten drugi. Jego dajmon, gawron, siedział mu na ramieniu, trzepotał skrzydłami i głośno krakał.

Lyra zdała sobie sprawę, że pytanie było skierowane do niej.

– Oczywiście, że nie – odparła najspokojniej jak umiała. – Jak mogłabym podróżować bez dajmona?

– No to gdzie on jest? – zapytał pierwszy mężczyzna tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie pański interes – odparowała Lyra, zaniepokojona powszechną uwagą, jaką ściągnał na nią ten nedorzeczny incydent.

– Ludzie, którzy są tak oszpeconi, powinni mieć zakaz wstępu do miejsc publicznych – upierał się tamten. Jego dajmon znowu zawył. – Straszdyło. Nie powinnaś chodzić między ludzi, są odpowiednie miejsca dla takich jak ty...

Siedzące obok dziecko się rozplakało. Matka ostentacyjnym gestem wzięła je na rękę, pilnując przy tym, by jego płaszczyk nie dotknął przypadkiem plecaka Lyry, jakby ten był skażony. Dajmon chłopca zmieniał postać: był myszką, ptakiem, szczeniakiem i niechcący coraz bardziej oddalał się od dziecka, przez co oboje darli się jak opętani, dopóki dajmon matki, mastyf, nie chwycił tamtego za kark i mocno nim nie potrząsnął.

Lyra przycisnęła plecak do piersi i spróbowała wstać, ale okazało się, że zwałisty sąsiad trzyma ją za rękaw płaszczka.

– Proszę mnie puścić!

– Mowy nie ma, nie będziesz tak sobie chodzić samopas!

Mężczyzna rozejrzał się w poszukiwaniu poparcia. Widząc, że coraz więcej osób zdaje się z nim sympatyzować, nabrał przekonania, że przemawia w imieniu wszystkich.

– Nie będziesz chodzić, gdzie chcesz, nie w takim stanie. Straszysz dzieci. Stanowisz zagrożenie dla porządku publicznego. Dlatego pójdiesz teraz ze mną, oddam cię w ręce...

– Nie trzeba – zabrzmiał inny głos, również męski, ale z walijskim akcentem.

Lyra podniosła wzrok i rozpoznała dwóch mężczyzn z grupy przy barze: spokojnych, pewnych siebie, odrobinę zarumienionych, może nieco wstawionych.

– My się nią zajmiemy – dodał jeden z nich. – Bez nerwów. Proszę ją nam zostawić.

Sąsiad Lyry nie zamierzał rezygnować z wyróżnionej pozycji w centrum powszechnej uwagi, ale Walijszczyki byli od niego młodszy i silniejsi. Puścił ją.

– Pójdiesz z nami – powiedział pierwszy Walijszczyk. Wyglądał jak człowiek, któremu jeszcze nikt nigdy nie odmówił ani nie okazał nieposłuszeństwa. – No chodźże – ponaglił Lyrę, gdy się nie poruszyła.

Drugi taksował ją wzrokiem. Nikt się za nią nie wstawił, zewsząd otaczały ją twarze zamknięte, zimne, obojętne albo pałające nieskrywaną nienawiścią. Wszystkie dajmony w zasięgu wzroku wspinały się, podfrwały albo podpełzały do swoich ludzi, żeby poczuć się bezpieczniej w obliczu tej upiornej, wstrząsającej istoty, która miała czelność wejść pomiędzy nie bez dajmona.

Ruszyła za Walijszczykami, klucząc wśród nóg i bagażu innych pasażerów.

Więc tak szybko się to skończy?, pomyślała. Nie, nie pozwolę na to. Zaatakuję na pokładzie.

W lewym rękawie miała Pequeñę, z łatwością mogła jej dobrać prawą ręką. Już nawet podjęła decyzję, gdzie i kiedy wymierzy pierwszy cios: prosto w skroń bliższego z mężczyzn, gdy tylko drzwi się za nimi zamkną.

Dotarli do drzwi, odprowadzani narastającym pomrukiem niezadowolonych pasażerów i zgodnym, wyrażającym aprobatę kiwaniem głów Walijszczyków przy barze. Wszyscy wiedzieli, co ci dwaj zamierzają zrobić, i nikt się nie sprzeciwił. Lyra strząsnęła pałkę nieco niżej, tak żeby rękojeść znalazła się w jej dłoni, a potem byli już na zewnątrz, chłostani zimnym wiatrem, i drzwi z trzaskiem zamknęły się za ich plecami.

Pokład ociekał deszczówką i morską wodą, promem bujało wściekle, wiatr chlasnął Lyrę po twarzy, gdy wyjęła pałkę... i nagle znieruchomiała.

Walijszczyki cofnęli się przed nią, unosząc wyciągnięte przed siebie ręce

z otwartymi dłońmi. Ich dajmony – borsuk i kanarek – przysiadły nieruchomo i spokojnie: jeden na pokładzie, drugi na ramieniu swojego człowieka.

– Spokojnie, proszę pani – powiedział wyższy z mężczyzn. – Musieliśmy tylko panią stamtąd wyciągnąć.

– Dlaczego? – spytała, ciesząc się w duchu, że przynajmniej głos jej nie drży.

Drugi Walińczyk wyciągnął rękę i coś jej podał: aksamitną sakiewkę z alethiometrem.

Na moment straciła równowagę, zachwiała się, jakby ktoś ją uderzył.

– Ale co to ma... Jak wam się...

– Widzieliśmy, jak jeden facet włożył ci rękę do plecaka, kiedy weszłaś do sali, i coś z niego wyjął. Był bardzo szybki. Popatrzyliśmy, gdzie usiądziesz, popatrzyliśmy też, gdzie on pójdzie i dorwaliśmy go, zanim zdążył się ulotnić. Nie stawiał długo oporu. Zabraliśmy mu to, a kiedy potem przyczepił się do ciebie ten dureń z ujadającym dajmonem, pomyśleliśmy, że upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Lyra wzięła sakiewkę i zajrzała do środka: złoty blask i znajomy ciężar w dłoni podpowiadały, że alethiometr jest bezpieczny.

– Dziękuję – powiedziała. – Jestem wam bardzo wdzięczna.

Kanarek – dajmon wyższego z mężczyzn, siedzący mu na ramieniu – odezwał się:

– *Duw mawr, dydi hi ddim yn ddewines, ydi hi?*

Walińczyk pokiwał głową.

– Jesteś wiedźmą, prawda? – zwrócił się znów do Lyry. – Wiem, niegrzecznie tak pytać, ale...

– Skąd wiesz? – weszła mu w słowo Lyra. Tym razem nie udało jej się zapanować nad drżeniem głosu.

– Widywaliśmy już twoje krewniaczki – wyjaśnił drugi mężczyzna.

Zawieszona na ścianie lampa rzucała żółte światło na ich twarze, nie mniej niż twarz Lyry wystawione na deszcz i wiatr. Cofnęli się jeszcze o krok.

– Stanęliśmy na nawietrznej – zauważył pierwszy. – Chodźcie, z drugiej strony powinno mniej wiać.

Walińczycy ruszyli przez odsłonięty pokład dziobowy. Idąca za nimi Lyra z trudem utrzymywała równowagę, ale w końcu dotarli pod przeciwległą burłę, gdzie ściana zbiorowej sali za plecami i podwieszona do żurawika szalupa zapewniały jakąś osłonę od deszczu i wiatru. Nieco dalej, pod kolejną mdłą lampą, stała nawet prawie sucha ławka.

Mężczyźni usiedli: ściśnięci przy jednym końcu ławki zostawili mnóstwo wolnego miejsca i postawili kołnierze dla ochrony przed wiatrem. Lyra wsunęła pałkę z powrotem w głąb rękawa i przysiadła się do nich. Jeden z nich wyjął z kieszeni wełnianą czapkę i ją założył.

Lyra odrzuciła kaptur i podniosła twarz do światła, żeby było ją dobrze widać.

– Ja jestem Gwyn – powiedział pierwszy Walińczyk – A to Dafydd.

– Nazywam się Tatiana Asrielowna – odparła Lyra, *ad hoc* utworzywszy patronimik od imienia ojca.

– I jesteś wiedźmą, prawda? – spytał Dafydd.

– Owszem, jestem. Podróżuję w takim stanie z przymusu, z własnej woli nigdy bym się tak nie wypuściła w podróż.

– To zrozumiałe – powiedział Gwyn. – Nie weszłabyś przecież prosto w takie skupisko durniów jak ta wspólna sala, gdybyś nie musiała.

Nagle Lyra coś sobie uświadomiła.

– Jesteście górnikami? – zapytała.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Dafydd.

– Domyśliłam się. Dokąd płyniecie?

– Wracamy do Sali – odparł Gwyn. – To w Szwecji. Jest tam kopalnia srebra.

– Tam właśnie spotkaliśmy kiedyś wiedźmę – wyjaśnił Dafydd. – Przybyła kupić srebro i utknęła. Jej drzewo, wiesz, ta... gałąź, no nie...

– Sosna chmurna.

– O to, to. Ktoś ją jej ukradł. Więc ją dla niej odzyskaliśmy.

– Najpierw nam pomogła – wtrącił Gwyn – więc mieliśmy u niej dług. Pomogliśmy jej, nie, i przy okazji dużo się dowiedzieliśmy o ich życiu i w ogóle.

– Dokąd się wybierasz, Tatiano? – zainteresował się Dafydd.

– Daleko na wschód. Szukam pewnej rośliny, która występuje tylko w Azji Środkowej.

– Do czego ci ona, do jakiegoś zaklęcia?

– Jest składnikiem leku. Moja królowa zachorowała. Umrze, jeżeli nie uda mi się sprowadzić tej rośliny.

– Dlaczego podróżujesz tak zwyczajnie: morzem, lądem? Przecież to dla ciebie niebezpieczne.

– Miałam pecha – odparła Lyra. – Straciłam swoją sosnę chmurną w pożarze. Górnicy pokiwali głowami.

– W każdym razie lepiej podróżować pierwszą klasą – poradził jej Gwyn. – O ile cię na nią stać.

– Dlaczego?

– Bogaci ludzie są inni niż my, mniej wścibscy. Nie zadają tylu pytań. Ci tutaj, we wspólnej sali, na przykład ten głupi grubas... Takich, za przeproszeniem, dupków jest wszędzie pełno. Albo takich jak ten złodziej. Za to gdybyś płynęła pierwszą klasą i trzymała się tak trochę, tego, no, z boku jakby, nie, jak to się mówi...

– Na dystans – odpowiedział Dafydd.

– No, może. Dumna taka jakbyś była. Wyniosła. Wtedy ludzie mieliby się na bacności i baliby się cię zagadywać.

– Tak myślisz?

– Pewno. Możesz mi wierzyć.

– Azja Środkowa – powtórzył Gwyn. – To daleko.

– Dam radę. Ale powiedzcie mi co innego: dlaczego walijscy górnicy pracują w Szwecji?

– Bo jesteśmy najlepsi na świecie – powiedział Dafydd. – Obaj kończyliśmy Coleg Mwyngloddiaeth.

– A co to takiego?

– Szkoła Górnicza w Blaenau Ffestiniog.

– Wydobywacie srebro, tak?

– W Sali tak – przytaknął Gwyn. – Specjalizujemy się w metalach szlachetnych.

– Ten przedmiot, który dla ciebie odzyskaliśmy... – zainteresował się Dafydd. – Co to takiego, jeśli wolno zapytać? Ciężki jest, jakby ze złota.

– Jest ze złota. Chcecie zobaczyć?

– Nawet bardzo – przyznał Gwyn.

Lyra otworzyła plecak. Czy zwariowała? Dlaczego, u licha, postanowiła zaufać tym dwóm obcym?

Dlatego że jej pomogli.

Przysunęli się, gdy otworzyła aksamitny woreczek i wytrząsnęła alethiometr na dłoń. Był ciężki. Łowił wszystkie fotony padające nań z lampy i odbijał je wzmocnione.

– *Duw* – powiedział Dafydd. – Co to właściwie jest?

– Alethiometr. Wykonano go chyba ze trzysta lat temu. Umielibyście powiedzieć, skąd pochodzi złoto?

– Musiałbym go dotknąć – odparł Gwyn. – Tak na oko też mógłbym co nieco powiedzieć, ale musiałbym go wziąć do ręki, żeby mieć pewność.

– A co umiesz powiedzieć tak na oko?

– Nie jest to dwudziestoczekaratowe złoto, ale to było do przewidzenia: dwudziestoczekaratowe jest za miękkie, żeby zrobić z niego działający mechanizm. Dlatego trzeba je łączyć z innymi metalami. W tym świetle nie umiem stwierdzić, jakiego metalu użyto w tym przypadku, widzę tylko, że wygląda dziwnie. Prawie jak czyste złoto, ale tylko prawie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Czasem można poznać po smaku – dodał Dafydd.

– Mogę go dotknąć? – zapytał Gwyn.

Lyra podała mu alethiometr. Wziął go od niej i powiódł kciukiem po krawędzi.

– To nie miedź – orzekł. – Ani nie srebro. Coś innego.

Podniósł przyrząd i delikatnie dotknął nim skóry na policzku.

– Co robisz?

– Próbuję go poczuć. Różne fragmenty skóry są różnie unerwione, rozumiesz, wrażliwe na różne bodźce. To dziwne, bardzo dziwne, nie chce mi się wierzyć...

– Daj – powiedział Dafydd – ja spróbuję. – Podniósł alethiometr do ust i musnął obudowę koniuszkiem języka. – Prawie czyste złoto, a ta domieszka... Nie, ja też nie wierzę.

– A jednak – odezwał się kanarek, którzy przysiadł mu nadgarstku. – Teraz już wiem. To tytan.

– No właśnie – przytaknął Gwyn. – Też mi się tak wydawało, ale to przecież niemożliwe. Tytan został odkryty dopiero ze dwieście lat temu, nie więcej. W dodatku nigdy nie słyszałem o stopie tytanu ze złotem.

– Jest diabelnie trudny w obróbce – dodał Dafydd. – Ale to coś w dotyku jest jak tytan, bez dwóch zdań. Z czego są zrobione wskazówki?

Trzy wskazówki poruszane za pomocą pokręteł były zrobione z jakiegoś czarnego metalu, a igła, która obiegała tarczę sama z siebie, miała jaśniejszy kolor, jakby burzowo szary. Lyra z Willem zwrócili uwagę na jej podobieństwo do tworzywa, z którego było wykonane ostrze delikatnego noża, niczego więcej nie udało im się jednak dowiedzieć. Nawet Iorek Byrnison, który przekuł nóż po tym, jak ten został złamany, przyznał, że nie ma pojęcia, z czego jest zrobiony.

Ponieważ takie wyjaśnienia zabrałyby mnóstwo czasu, Lyra odparła krótko:

– Tego chyba nikt nie wie.

Dafydd oddał jej alethiometr, a ona schowała go do plecaka.

– W muzeum w Coleg Mwyngloddiaeth mają próbkę metalu – powiedział Gwyn – która wygląda jak ułomek ostrza, jakby kawałek noża czy czegoś takiego. Nikomu nie udało się odkryć, co to za metal.

– Tajemnica, ot co – dodał Dafydd.

– Ten kawałek wygląda identycznie jak ta igła. Skąd to cudo pochodzi?

– Z Czech.

– Czesi mają dobrych metalurgów – przyznał Gwyn. – Jeżeli to naprawdę jest stop tytanu i złota, to nie było łatwo go uzyskać. Powiedziałbym wręcz, że do niedawna było to po prostu niemożliwe. Ale fakty są, jakie są, widzieliśmy na własne oczy. Czy to jakiś wiedźmi przedmiot?

– Nie. Jestem jedyną wiedźmą, która miała coś takiego w rękach. O ile nam wiadomo, na świecie istnieje tylko sześć alethiometrów.

– Do czego służy?

– Zadaje mu się pytania i odczytuje odpowiedzi. Problem polega na tym, że zrozumienie tych odpowiedzi wymaga wielu lat nauki, a na dodatek potrzebne są stare księgi zawierające opisy symboli. Moje księgi zostały na Nowokijewsku, bez nich niczego nie jestem w stanie odczytać.

– To po co go ze sobą nosisz? Nie byłoby bezpieczniej zostawić go w domu?

– Raz już mi go ukradziono i odzyskanie go kosztowało mnie wiele zachodu. Mam wrażenie... – Lyra zawiesiła niepewnie głowę.

– Tak? – zainteresował się Dafydd.

– Mam wrażenie, że przyciąga złodziei. Tak jak teraz. Wielokrotnie był kradziony. Kiedy go dostałam, myślałam, że kradzieże się skończyły, ale, jak widać, myliłam się. Od tej pory będę jeszcze ostrożniejsza. Jestem waszą dłużniczką.

– Właściwie to my tak jakby spłacamy dług – odparł Gwyn. – Ta wiedźma, o której ci mówiliśmy... Pomogła nam, kiedy chorowaliśmy. Wybuchła epidemia, jakaś choroba płuc. Przyszła z kopalń położonych dalej na północ niż Sala. Obu nas rozłożyło. Wiedźma znalazła jakieś zioła, po których poczuliśmy się lepiej. A potem jakiś miejscowy głupek ukradł jej sosnę chmurną, więc pomogliśmy jej ją odzyskać.

Jego dajmon, mały borsuk, który dotąd kręcił się niespokojnie po pokładzie, nagle znieruchomiał i spojrzał w stronę rufy. Gwyn zagadnął go cicho po walijsku i borsuk odpowiedział w tym samym języku.

– Ktoś idzie – przełożył Dafydd na angielski.

Lyra nikogo nie widziała, ale bliżej rufy było ciemniej, a wiatr zwiewał jej włosy na oczy. Ostrożnie włożyła plecak pod ławkę i namacała pałkę. Widziała, że Walijszczyki szykują się do walki, wyglądali wręcz na takich, których cieszy perspektywa bójki, ale zanim do niej doszło, dwaj intruzi weszli w krąg światła lampy.

Mieli na sobie mundury, których nie rozpoznała: czarne, elegancko skrojone, z symbolem na czapkach, którego dobrze nie widziała. Nie wyglądali jak marynarze, tylko jak żołnierze.

– Dokumenty podróżne – zażądał jeden z nich.

Gwyn i Dafydd sięgnęli do kieszeni. Dajmony mundurowych – duże, wilczurowate psy – mierzyły Lyrę zawziętymi, skupionymi spojrzeniami.

Ten z żołnierzy, który zdawał się dowodzić patrolem, wyciągnął rękę po bilet Gwyna. Gwyn jednak ani drgnął.

– Przede wszystkim – powiedział – to nie jesteście pracownikami Północnoholenderskiej Kompanii Promowej. Nie znam tych mundurów. Najpierw powiedzcie mi, coście za jedni. Potem się zastanowię, czy pokazać wam bilet.

Dajmon tamtego zawarczał. Gwyn położył dłoń na karku borsuka.

– Przyjrzyj się dobrze – odparł mundurowy.

Zdjął czapkę i podsunął ją Gwynowi, żeby ten mógł obejrzeć widniejącą na niej odznakę. Teraz Lyra zobaczyła, że przedstawia ona złotą lampę rozsiewającą na wszystkie strony czerwony blask.

– Będziecie ją widywać coraz częściej – ciągnął mężczyzna w mundurze. – Wkrótce się przyzwyczaiacie i przestaniecie się dopytywać. To odznaka Biura Prawego Obowiązku, a my jesteśmy jego funkcjonariuszami i mamy prawo sprawdzać dokumenty wszystkich podróżnych przybywających do Europy kontynentalnej. Między innymi.

Nagle Lyra coś sobie przypomniała, coś, o czym opowiadał jej Malcolm...

– Liga Świętego Aleksandra – powiedziała. – Świetnie się spisaliście. Możesz włożyć czapkę.

Mundurowy rozdziawił usta, jakby chciał coś powiedzieć, zrezygnował, zamknął je, po czym znów otworzył i zapytał:

– Słucham panią?

– Chcę was uchronić przed popełnieniem omyłki – wyjaśniła Lyra. – Wasza organizacja jest nowa, prawda?

– No, niby tak, ale...

Uciszyła go gestem uniesionej dłoni.

– Rozumiem. Nic się nie stało. Nie mieliście jeszcze czasu przyswoić sobie wszystkich nowych przepisów. Coś wam pokażę, może dzięki temu na przyszłość będziecie wiedzieli, jak się zachować.

To mówiąc, wyjęła apaszkę, na której w dalszym ciągu tkwił sporządzony przez Dicka Orchardę węzeł. Pokazała im go przez chwilę, nie więcej, po czym schowała apaszkę.

– Co to ma...

– To odznaka mojej agencji. Oznacza, że ja i towarzyszący mi ludzie realizujemy interesy Magisterium. Powinniście o tym wiedzieć. Dam wam dobrą radę: kiedy zobaczycie taki węzeł, najlepiej odwróćcie wzrok i zapomnijcie o człowieku, który go wam pokazał. W tym wypadku macie zapomnieć także o moich kompanach.

Mundurowi byli wyraźnie zdezorientowani. Jeden z nich rozłożył ręce.

– Nikt nam nie powiedział... Co to za agencja, mówiła pani?

– Nie podałam nazwy, ale teraz to zrobię i na tym poprzestaniemy: La Maison Juste.

Kojarzyli tę nazwę wystarczająco, by z powagą pokiwać głowami.

Lyra przytknęła palec do ust.

– Jakbyście nas nigdy nie widzieli – dodała.

Jeden z tamtych skinął głową, drugi zasalutował do czapki, po czym odeszli razem ze swoimi potulnymi, cichymi dajmonami.

– *Duw annwyl* – powiedział po chwili Gwyn. – To było niezłe.

– Mam wprawę – odparła Lyra. – Chociaż dawno już nie musiałam robić czegoś takiego. Cieszę się, że wciąż to potrafię.

– To znaczy jak, naprawdę o nas zapomną? – spytał Dafydd. Jemu również Lyra zaimponowała.

– Najprawdopodobniej nie, ale przez pewien czas będą woleli o tym nikomu nie mówić, na wypadek gdyby miało się okazać, że faktycznie powinni byli coś wiedzieć. Na pewno zdążymy bezpiecznie zejść na ląd.

– A niech mnie...

– Co takiego im powiedziałaś? – zainteresował się Gwyn. – To po francusku...

– La Maison Juste. To wydział Magisterium, tyle wiem. Musiałam odwrócić ich uwagę, żeby nie zaczęli mnie wypytywać o dajmona.

– A właśnie, wcześniej nie chciałem pytać, bo to nieuprzejme, ale... Gdzie jest twój dajmon?

– Z tysiąc mil stąd albo więcej. Leci do domu, żeby przekazać, jak daleko dotarłam.

– Nawet sobie nie wyobrażam, jak to jest, nie mieć dajmona przy sobie – powiedział Dafydd.

– To nigdy nie jest łatwe. Niektóre rzeczy po prostu są, jakie są.

Lyra postawiła kołnierz i naciągnęła kaptur na głowę.

– Na Boga, ależ ziąb – mruknął Gwyn. – Chcesz spróbować wrócić do środka? Będziemy przy tobie.

– Moglibyśmy pójść do drugiej kabiny wieloosobowej – zaproponował Dafydd. – Tam jest ciszej. A byłoby trochę cieplej.

– Dobrze – zgodziła się Lyra. – Dziękuję wam.

Wstała i poszła za nimi do sali na rufie, zajmowanej głównie przez starszych ludzi, którzy smacznie spali. Było tu ciemniej niż w kabinie na dziobie, bar był zamknięty i niewielu pasażerów czuwało: jedna grupka grała w karty, inni czytali.

Zegar zawieszony nad barem wskazywał pół do drugiej. Do celu mieli dotrzeć o ósmej.

– Możemy usiąść tutaj. – Gwyn przystanął obok ławki pod ścianą, gdzie było miejsce dla całej trójki. – Ty się możesz zdrzemnąć – dodał pod adresem Lyry. – Nic się nie bój, będziemy mieć oko na wszystko.

– To bardzo miłe z waszej strony. – Usiadła na ławce, położyła sobie plecak na kolanach i oparła na nim ręce. – Nie zapomnę wam tego.

– W porządku – odparł Gwyn. – Zbudzimy cię, kiedy będzie trzeba wsiadać.

Zamknęła oczy i zmęczenie natychmiast się o nią upomniało. Zapadając w sen, słyszała, jak siedzący na lewo od niej górnicy rozmawiają cicho po walijsku. Na podłodze ich dajmony robiły to samo.

W Gasthaus Eisenbahn w Monachium Olivier Bonneville zjadł na kolację wieprzowinę z kluseczkami i udał się prosto do swojego nędznie oświetlonego pokoju, żeby spróbować odszukać Lyrę. Zauważył w nowej metodzie coś ciekawego, trudno to było ująć w słowa... Problem polegał na tym, że w żaden sposób nie pozwalała mu namierzyć Lyry, a przecież wcześniej udawało mu się ją podejrzeć bez większego wysiłku. Coś się musiało zmienić. Czyżby znalazła sposób na to, żeby się

przed nim ukryć? Oby nie. Niech go diabli wezmą, gdyby miał się teraz poddać.

Było też coś jeszcze, jakby... szturchnięcie? Jakby alethiometr dawał mu wskazówkę. Nie przypuszczał, że alethiometr jest od udzielania wskazówek, ale coś nie dawało mu spokoju.

Ponieważ światło jedynej gołej żarówki było mizerne, druk w kradzionych księgach mikroskopijny, a on znał rysunki na tarczy na pamięć, postanowił nie próbować metody klasycznej. Usiadł w wyściełanym fotelu i jeszcze raz skoncentrował wszystkie myśli na dziewczynie. Spróbował wyobrazić sobie jej twarz. Niezbyt mu to wyszło: nijaka blondynka. Może ciemna blondynka. A może w ogóle nie blondynka. Jasna szatynka? Nic nie widział. Nie widział nawet jej dajmona.

A właściwie to jaką postać miał jej dajmon? Jakiejś... łasicy? Fretki? Coś w tym rodzaju. Tylko mu mignął, ale Bonneville zapamiętał szeroki łebek, rudobrązową sierść, jaśniejszą plamę na szyi...

Coś zaszeleściło wśród gałązek.

Wyprostował się na fotelu. Zamknął oczy i jeszcze raz się skoncentrował. Było ciemno – to zrozumiałe, była przecież noc – ale skądś padała słaba poświata. Podszycie leśne, bezlistne cierniowe zarośla, woda... Przetarł oczy i nic się nie zmieniło. Odprężył się, walcząc z nudnościami; kluseczki nie pomagały.

Następnym razem nie żryj tyle, upomniał się w duchu.

Znowu ten szelest, tym razem także widoczny ruch...

I natychmiastowe mdłości. Ledwie zdążył dopaść umywalki, zanim zwymiotował. Ale prawie mu się udało! Tak niewiele zabrakło!

Przepłukał usta wodą ze szklanki i znów rozsiadł się w fotelu.

Problem polegał na tym – czy raczej pytanie brzmiało – z czyjego punktu widzenia oglądał tę scenę? Czyimi oczami patrzył? Niczymi. Punkt widzenia był zawieszony w powietrzu, to dlatego tak skakał po całej okolicy. Gdyby tkwił nieruchomo, nie byłoby żadnych mdłości... Ale przecież tam nie było żadnych oczu. Nie było kamery. Nie było powodu, dla którego punkt widzenia miałby się znajdować tutaj, a nie tam.

No dobrze, tym razem spróbuj nie patrzeć, pomyślał, tylko słuchać albo węszyć. Albo jedno i drugie naraz. Słuch i węch są mniej uzależnione od punktu odniesienia.

Wygasił więc obraz przed oczami wyobraźni i skoncentrował się na dwóch innych zmysłach.

Od razu lepiej. Usłyszał szum lekkiego wiatru wśród krzewów i szurnięcia zwierzęcych łap o opadłe – ale nie suche – liście. Czuł woń wilgoci, a także (silniejszy i bardziej odległy) zapach rzeki. Słyszał chlupot drobnych fal uderzających o brzeg, w ogóle słyszał coraz więcej, słyszał całą otaczającą go noc. Dźwięki niosły się nad wodą z dużej odległości: duży silnik spalinowy, chlupotanie kilwateru, odległe głosy. Pohukiwanie sowy. I znowu szelest w podszyciu.

Siedział absolutnie nieruchomo i zamkniętymi oczami wpatrywał się w bezdenną ciemność. Ponownie odezwała się sowa, tym razem bliżej. Z prawej strony przepływała jakaś łódź. Nagle z bardzo bliska zaleciała go silna zwierzęca woń.

Zaskoczony spojrzął w tym kierunku i przez ułamek sekundy mignęła mu sylwetka dajmona dziewczyny obrysowana ciemnym tłem szerokiej rzeki. Dziewczyny nie było nigdzie widać. Dajmon był sam.

Bonneville natychmiast zamknął oko wyobraźni, zanim ogarnęły go mdłości.

Triumfował. Czekał, aż wizja wyblaknie, mrugał zawzięcie i uśmiechał się od ucha do ucha.

To dlatego nie mógł jej zobaczyć! Ona i jej dajmon się rozdzielili! No i teraz już wiedział, jak działa nowa metoda: nie wskazywała osoby, lecz jej dajmona. Tyle nowych odkryć!

Kiedy w apartamencie Delamare'a zobaczył jej fotogramy, to widział je tylko dlatego, że na każdym był także jej dajmon. Teraz zaś wiedział już, że jej dajmon podróżuje samotnie i znajduje się nad jakąś dużą rzeką. Wystarczyło teraz ustalić, co to za rzeka – a to nie potrwa długo.

Summa summarum, bardzo udany wieczór.

Malcolm w Genewie

Malcolm miał kłopot z oczami. Roziskrzony pierścień, który nauczył się traktować jako swoją osobistą aurorę, od wielu dni drżał na skraju jego pola widzenia. Nie utrzymywał się tam przez cały czas, ale jednak trwał znacznie dłużej niż kiedykolwiek przedtem, a zarazem nigdy do końca się nie ukazywał, jakby latarnia magiczna rzuciła obraz świata na ekran, który nie został solidnie umocowany. Nawet Asta, która w odróżnieniu od Malcolma nigdy nie widziała pierścienia, odczuwała osobliwy dyskomfort przy patrzeniu.

Dotarli do Genewy późnym popołudniem wietrznego dnia, gdy niebo ciemniało zarówno od zbliżającego się wieczoru, jak i nadciągających chmur burzowych. W mieście panowała gorączkowa krzątanina, ponieważ zbliżało się zakończenie kongresu Magisterium. Prawdę powiedziawszy, Malcolm wcale nie musiał jechać przez Genewę, ba, przyjazd tutaj można by wręcz uznać za lekkomyślność z jego strony, ale uznał, że warto się dowiedzieć, o czym dyskutowano na kongresie, zwłaszcza że wiedział, iż uczestniczy w nim Simon Talbot i chciał spróbować się z nim spotkać.

Zamierzał wyjechać z miasta pociągiem, przybył natomiast autobusem, bo policja nie pilnowała przystanków autobusowych z taką uwagą, jaką poświęcała dworcom kolejowym. Wysiedli z Astą na ponurym przedmieściu wśród niewielkich fabryczek, gospodarstw warzywnych, tartaków i tym podobnych przedsięwzięciach. Droga przez krótki czas biegła nad jeziorem. W gęstniejącym zmroku widzieli światła po drugiej stronie wody, w modnych dzielnicach, i wznoszące się za nimi okryte śniegiem góry, upiorne i widmowe pod bezksiężycowym niebem. Musiała też znajdować się tam jakaś przystań jachtowa, bo porywy wiatru przynosiły z tamtej strony odgłos stukotania lin o maszty: brzmiał jak tysiąc tykających szwajcarskich zegarków.

Przeszli kawałek pieszo, zanim Malcolm przystanął i przetarł oczy.

– Też to czuję – powiedziała Asta.

– Jakby to cholerstwo pękło i iskierki rozproszyły się na wszystkie strony. Niech się lepiej zdecyduje, czego chce, bo jak nie, to będę musiał się położyć, a wolałbym tego nie robić.

– Talbot.

– Otóż to. Chcę... Zaraz, zaczekaj.

Zapatrzył się na zardzewiałą, zamkniętą na kłódkę furtkę w kamiennym murze okalającym duży dom.

– O co chodzi? – Asta przeskoczyła mu na ramię.

– Coś tam jest...

Było prawie zupełnie ciemno, ale na furtce coś mieniło się i trzepotało. W pierwszej chwili Malcolm pomyślał, że to listek uwięziony w pajęczynie, zaraz potem, że może jednak świetlik, aż w końcu obiekt przybrał znajomy kształt roziskrzonego pierścienia. Migotał w półmroku tuż powyżej masywnej kłódki i przyciągał go jak wędkarz, który nawija na kołowrotek żyłkę z rybą na haczyku.

Nie stawiał oporu. Asta jak zwykle niczego nie zobaczyła, ale odczuwała przepełniające go znajome podniecenie.

Wyciągnął rękę w stronę rozmigotanej, skręcającej się wizji. Chciał ją złapać w dłoń i przytrzymać, chociaż wiedział, że to niemożliwe. Kiedy jednak dotknął kłódki, jej pałąk z gładkim szczęknięciem wysliznął się z korpusu, jakby mechanizm został świeżo naoliwiony, i kłódka zwisała luźno na skoblu.

– No cóż – powiedziała Asta – teraz już musimy tam wejść.

Rozejrzeli się na boki, a gdy nikogo nie dostrzegli, Malcolm zdjął kłódkę i otworzył furtkę. Roziskrzony pierścień cały czas migotał mu przed oczami. Furtka skrzypnęła, ale bez problemu dała się otworzyć, szorując po chwastach, które poprzerastały żwir na ścieżce. Okna wysokiego domu były zabite deskami i ciemne, bluszcz piął się po ścianach. Główne wejście znajdowało się od strony jeziora. Malcolm zamknął furtkę i ruszyli w stronę budynku.

– Okropnie zaniedbany – zauważył. – Bardzo nie po szwajcarsku. Widzisz to? – Wskazał za dom, na drzewa rosnące na skraju ogrodu, nad samym jeziorem. – Czyżby hangar na łodzie?

– Chyba tak. Tak, na pewno.

Ludzkie oczy Malcolma ledwie rozeznały ciemny prostokąt, ale roziskrzony pierścień od razu go okolił, świetlisty i jednoznaczny. Weszli na prowadzącą do hangaru ścieżkę. Tu również żwir gęsto poprzerastał trawą i zielskiem, dzięki czemu nie robili zbyt wiele hałasu.

Drzwi hangaru też były zamknięte na kłódkę, ale drewno, w którym osadzono skobel, spróchniało i rozmiękło i Malcolm bez trudu go wyszarpnął. Weszli do środka. Asta szła przodem, bo tak było bezpieczniej, gdy niezwykle jasna ślepa plamka przesłaniała Malcolmowi niemal całe pole widzenia.

– Stój – poleciała mu kotka. – Zostań przy drzwiach. Ja się rozejrzę. Jest tu łódź, jakaś szalupa albo mały jacht... ma maszt... i wiosła... Nazywa się *Mignonne*.

Oparłszy się o ścianę, Malcolm osunął się na drewniany pomost, po czym na oślep namacał nadburcie łodzi. Poczuł, jak zakolebała się lekko na fali, która wlała się do hangaru pod wrotami, a potem bujnęło nią drugi raz, kiedy Asta wskoczyła na pokład.

– Co robisz? – zdziwił się.

– Rozglądam się. W środku łódź jest sucha jak pieprz. Żadnych przecieków. Widzisz już cokolwiek?

– Trochę. Jak wygląda maszt i takielunek?

– Nie umiem stwierdzić, czy czegoś nie brakuje, ale wszystko, co jest, jest w dobrym stanie.

Roziskrzony pierścień rósł w oczach i w znajomy sposób wybiegał na spotkanie Malcolmowi, który poza nim zaczynał znów normalnie widzieć. Rozeznawał już zarys łodzi we wpadającej z zewnątrz słabiutkiej poświacie.

– Miło cię poznać, *Mignonne* – powiedział.

Przesunął dłońmi po nadburciu, wstał i pozwolił dajmonowi wyprowadzić się na dwór. Ponieważ fragment framugi, w którym tkwił skobel, przestał istnieć, przymknął drzwi i podparł je kamieniem, żeby się nie otwierały. Asta znów wskoczyła mu na ramię, żeby się rozejrzeć.

– To on nas tu przywiódł – powiedziała, gdy wrócili na ścieżkę prowadzącą do drogi.

– Oczywiście.

– Był taki... bezczelny.

– Niegrzecznie byłoby udać, że go nie widzę.

Z plecakiem na grzbiecie i małą walizką w ręce Malcolm ruszył w stronę miasta. Niezmordowana Asta truchtała przodem.

@

Na kongresie Magisterium trwała ostatnia sesja plenarna. Dyskusja była szczegółowa i wyczerpująca, ostatecznie przeważał jednak duch zgody i jedności i wybór członków nowej rady przedstawicielskiej przebiegł sprawnie i bez przeszkód. Zakrawało na cud, jak zauważył jeden z delegatów w rozmowie z innym, że wszystko udało się tak gładko załatwić, bez urażonych, podejrzliwych i zazdrosnych szeptów. Zupełnie jakby sam Duch Święty natchnął całe zgromadzenie. Prefekt Sekretariatu Świętej Obecności, którego personel zajął się organizacją tego przedsięwzięcia, zasłużył na najwyższe pochwały.

Tożsamość przewodniczącego Rady Najwyższej, bo tak nazwano to nowo powstałe ciało, zaskoczyła wszystkich. Po podjęciu najściślejszych środków bezpieczeństwa i przeprowadzeniu serii głosowań uroczystie obwieszczono, że zwycięzcą w wyborach został Święty Symeon Papadakis, patriarcha Wysokiej Porty.

Fakt ten zaskoczył zgromadzonych, ponieważ patriarcha był bardzo... stary. Aczkolwiek wszyscy zgadzali się jednocześnie, że jest człowiekiem absolutnie świętym i wielce uduchowionym, jakby spływało na niego boskie światło (co zresztą potwierdziły starannie wywołane fotogramy). Nie było człowieka, który uosabiałby świętość całego Magisterium lepiej niż skromny, życzliwy, mądry, uczony i... tak, uduchowiony Święty Symeon.

Wiadomość o jego wyborze, podana na konferencji prasowej, stała się przedmiotem licznych dyskusji odbywających się (między innymi) w Café Cosmopolitain. Ze swoich wcześniejszych pobytów w Genewie Malcolm zapamiętał ten lokal jako najlepsze miejsce dla zasłyszania najświeższych ploteczek polityczno-dyplomatycznych. Po przybyciu na miejsce zastał w barze tłum gości, kleryków, korespondentów zagranicznych, urzędników ambasad, akademików i delegatów na kongres wraz z towarzyszącymi im orszakami. Niektórzy czekali na pociąg, inni kontynuowali rozpoczęte przy firmowym lunchu przyjazne konwersacje z przedstawicielami prasy, serwisów informacyjnych, a może także agencji wywiadowczych. Kongres miał wyrzucić przemożny i trwały wpływ na stosunki międzynarodowe, a z pewnością także na równowagę sił w Europie. Nic więc dziwnego, że cały świat chciał się o nim wszystkiego dowiedzieć.

Przy okazji poprzednich misji Malcolmowi zdarzało się (z powodzeniem) udawać dziennikarza. Kiedy rozejrzał się teraz po wnętrzu Café Cosmopolitain, stwierdził, że nie wyróżnia się z tłumu korespondentów, a wkrótce udało mu się wypatrzyć człowieka, którego szukał: rozmawiał z mężczyzną i kobietą, w których Malcolm

rozpoznał dwoje dziennikarzy literackich z Paryża.

Skierował się do ich stolika i tuż przed nim stanął jak wryty, udając zaskoczonego.

– Pan profesor Talbot, prawda? – zagadnął.

Simon Talbot podniósł wzrok. Istniało pewne ryzyko, że rozpozna Malcolma (było nie było – akademika szanowanego uniwersytetu), ale Malcolm był skłonny je podjąć. Miał zresztą pewność, że nie zrobił, nie powiedział ani nie opublikował niczego, co mogłoby zwrócić uwagę Talbota.

– Zgadza się – przytaknął Talbot przyjaznym tonem. – Przykro mi, ale ja pana nie znam.

– Matthew Peterson, „Baltimore Observer” – przedstawił się Malcolm. – Nie chcę przeszkadzać, ale...

– My już chyba skończyliśmy – wtrącił Francuz.

Jego koleżanka skinęła głową i zamknęła notes. Talbot pochylił się ponad stolikiem, podając obojgu dłoń na pożegnanie, i z serdecznym uśmiechem wręczył im po wizytówce.

– Mogę? – Malcolm wskazał puste krzesło.

– Naturalnie – odparł Talbot. – Przyznam, że nie kojarzę pańskiego czasopisma, panie Peterson. „Baltimore...”?

– „...Observer”. Miesięcznik literacko-kulturalny, którego nakład, około osiemdziesięciu tysięcy egzemplarzy, dystrybuowany jest głównie za oceanem, a ja jestem jego europejskim korespondentem. Chciałem zapytać, jak ocenia pan pokłosie kongresu, panie profesorze.

– Intrygujące – odparł Talbot z kolejnym ze swojej kolekcji uśmiechów.

Był szczupły i wytworny, miał około czterdziestu lat i oczy, które zdawały się błyszczeć na zawołanie. Słuchając jego pogodnego, melodyjnego głosu, Malcolm domyślał się, że Talbot bryluje w salach wykładowych. Jego dajmon był niebieską arą.

– Śmiałem twierdzić – podjął Talbot – że wielu obserwatorów będzie zaskoczonych wyborem patriarchy na to nowe stanowisko, wiążące się przecież z ogromną władzą, ale miałem okazję z nim porozmawiać i muszę przyznać, że jest prawdziwym uosobieniem dobroci. Moim zdaniem powierzenie przewodnictwa Magisterium świętemu, zamiast biurokracie, to dobry pomysł.

– Świętemu? Zwróciłem uwagę, że bywa nazywany Świętym Symeonem. Czy to tylko tytuł grzecznościowy?

– Patriarsze Wysokiej Porty tytuł świętego przysługuje *ex officio*.

– Czy przewodniczący nowej rady naprawdę będzie pierwszym przywódcą całego Kościoła, od czasu gdy Kalwin zrzekł się papieżstwa?

– Bez wątplenia. Po to właśnie powołano radę.

Słuchając Talbota, Malcolm udawał, że stenografuje. W rzeczywistości wypisywał w notatniku przypadkowe słowa w tadżyckim alfabecie.

Talbot podniósł pusty kieliszek i ponownie odstawił go na stół.

– Najmocniej przepraszam – zmitygował się Malcolm. – Mogę postawić panu drinka?

– Nie odmówię. Poproszę kirsch.

Malcolm gestem przywołał kelnera.

– Czy uważa pan – zwrócił się znowu do Talbota – że jednoosobowe przywództwo to najlepsza dla Magisterium forma władzy?

– Na przestrzeni dziejów wszelkie formy rządów to pojawiają się, to znikają. Nie śmiałybym ich oceniać i stawiać jednych wyżej niż innych, to raczej domena dziennikarzy, jeśli można tak powiedzieć, niż ludzi nauki.

Uśmiech Talbota stał się szczególnie ujmujący.

Nachmurzony kelner przyjął zamówienie Malcolma. Talbot zapalił przycięte cygaro.

– Czytałem *Nieustające oszustwo* – odezwał się znowu Malcolm. – Książka odniosła wielki sukces. Spodziewał się pan tak entuzjastycznego przyjęcia?

– Nie, skądże. W żadnym razie. Wydaje mi się jednak, że trąciłem czułą strunę, zwłaszcza wśród ludzi młodych.

– W nadzwyczaj wyrazisty sposób przedstawił pan ideę uniwersalnego sceptycyzmu. Jak pan sądzi, czy to właśnie przyczyniło się do powodzenia książki?

– Doprawdy, nie umiałbym powiedzieć.

– Proszę mnie zrozumieć: intryguje mnie, że człowiek o tak stanowczych poglądach chwala innego człowieka za jego dobroć.

– Ale patriarcha naprawdę jest po prostu dobrym człowiekiem. Wystarczy go bliżej poznać.

– Nie powinien pan uczynić jakiegoś zastrzeżenia?

Kelner przyniósł drinki. Talbot rozsiadł się wygodnie i wydmuchnął dym z cygara.

– Zastrzeżenia? – powtórzył.

– Na przykład mógłby pan stwierdzić, że patriarcha jest człowiekiem bezwzględnie dobrym, lecz sama idea dobra i dobroci jest problematyczna.

Głośnik zatrzeszczał i w trzech językach zapowiedział odjazd pociągu do Paryża za piętnaście minut. Część klientów dopijała drinki, wstawała od stolików, narzucała płaszcze, rozglądała się za swoim bagażem. Talbot sączył kirsch i patrzył na Malcolma tak, jak mógłby patrzeć na obiecującego ucznia.

– Zakładam, że moi czytelnicy potrafią sami wychwycić ironię – powiedział. –

Poza tym piszę teraz do „Przeglądu Filozofii Moralnej” artykuł, który ujmuje te kwestie w sposób bardziej zniuansowany, niż gdybym pisał na przykład do „Baltimore Observer”.

Blask w jego oku, towarzyszący temu przeblyskowi niedoszłego akademickiego humoru, nieoczekiwanie zdegradował bon mot do rangi pospolitej kpiny. Malcolm z zainteresowaniem odnotował fakt, że Talbot zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

– Jak pan ocenia jakość debaty kongresowej? – zapytał.

– Była dokładnie taka, jakiej można było się spodziewać. Większość delegatów stanowiły osoby duchowne, toteż w naturalny sposób dominowała tematyka klerykalna: zawłóści prawa kościelnego, szczegóły liturgii, tego typu sprawy. Chociaż trafiali się prelegenci, którzy zaimponowali mi rozmachem swojej wizji, na przykład doktor Alberto Tiramani, który jest, zdaje się, szefem jednej z reprezentowanych na kongresie organizacji. Wyrafinowany intelekt, bez dwóch zdań, który akurat w jego wypadku łączy się z wyjątkową klarownością wypowiedzi. Z pewnością zgodzi się pan ze mną, że nie jest to częste połączenie.

Malcolm przez dłuższą chwilę notował zapamiętałe.

– Czytałem niedawno artykuł – odezwał się, gdy skończył – którego autor w interesujący sposób zestawiał, z jednej strony, pańskie uwagi na temat prawdziwości i arbitralnej natury języka, z drugiej zaś fakt składania w sądach przysięgi zobowiązującej nas do mówienia prawdy.

– Naprawdę? Fascynujące... – Ton głosu Talbota sugerował popis ironisty na użytek niemądrych maluczkich. – Jak nazywa się ten autor?

– George Paston.

– Nigdy o nim nie słyszałem – powiedział Talbot.

Malcolm bacznie go obserwował, ale reakcja profesora była idealna: siedział w swobodnej pozie, spokojny, lekko rozbawiony i rozkoszował się cygarem. Zareagował natomiast siedzący na jego ramieniu dajmon: ara przestąpiła z nogi na nogę, obróciła łebek w bok, żeby spojrzeć na Malcolma, i odwróciła wzrok.

Malcolm znów coś zanotował i zapytał:

– Uważa pan, że mówienie prawdy jest w ogóle możliwe?

Oczy Talbota znów zabłysły.

– Ha! Od czego mam zacząć? Jest tyle...

– Proszę sobie wyobrazić, że rozmawia pan z czytelnikami „Baltimore Observer”, prostymi ludźmi, którzy lubią proste odpowiedzi.

– Naprawdę? Jakie to przygnębiające... Jak brzmiało pytanie?

– Czy można powiedzieć prawdę?

– Nie. – Talbot się uśmiechnął. – Powinien pan objaśnić czytelnikom paradoks zawarty w tej odpowiedzi. Z pewnością będą zachwyceni, gdy ujmie pan swoje wyjaśnienia w proste słowa.

– Czy zatem stając przed sądem, nie czułby się pan zobowiązany przysięgą do mówienia prawdy?

– Zapewniam pana, że zrobiłbym, co w mojej mocy, by nie naruszyć prawa.

– Zaintrygował mnie w *Nieustającym oszustwie* rozdział poświęcony dajmonom – zmienił temat Malcolm.

– Bardzo miło mi to słyszeć.

– Zna pan *Hiperchorezmijczyków* Gottfrieda Brandego?

– Słyszałem o tej książce. Jest bestsellerem, prawda? Chyba nie dałbym rady się z nią zmierzyć.

Ara była wyraźnie zaniepokojona. Asta siedziała bez ruchu na kolanach Malcolma, ze wzrokiem utkwionym w papugę. Malcolm czuł przenikające ją napięcie.

Talbot dopił drinka i zerknął na zegarek.

– No dobrze, rozmowa była fascynująca, ale czas na mnie. Nie chcę spóźnić się na pociąg. Miłego wieczoru, panie Peterson.

Wyciągnął rękę. Malcolm wstał, żeby ją uścisnąć, patrząc przy tym na arę. Spojrzała na niego przelotnie, ale natychmiast znów odwróciła wzrok.

– Dziękuję, panie profesorze – powiedział Malcolm. – *Bon voyage*.

Talbot zamaszystym gestem narzucił rdzawobrunatny płaszcz, sięgnął po sporych rozmiarów teczkę, krótko skinął Malcolmowi głową i wyszedł.

– Remis – orzekła Asta.

– Czy ja wiem... Moim zdaniem on wygrał. Chodź, zobaczymy, dokąd naprawdę pójdzie.

Malcolm spędził chwilę w szatni, żeby nałożyć masywne okulary i czarny beret, i z dajmonem na ramieniu wymknął się na deszczową ulicę. Mżyło obficie, większość przechodniów szła szybkim krokiem, kryjąc głowy pod kapeluszami i w głębi postawionych kołnierzy. Czarne grzyby kilkunastu parasoli przesłoniły Malcolmowi widok, ale błękitnej ary nie dało się łatwo ukryć.

– Tam jest – powiedziała Asta.

– Oddała się od dworca, tak jak się spodziewaliśmy.

W świetle witryn sklepowych ara była widoczna jak na dłoni, ale Talbot szedł zwawo i Malcolm musiał nieźle wyciągać nogi, żeby nie stracić go z oczu. Profesor robił dokładnie to, co robiłby sam Malcolm, gdyby wiedział, że jest śledzony: wypatrywał w szybach witryn odbicia ulicy za plecami, zniecierliwał, by po chwili równie niespodziewanie przyśpieszyć, przechodził przez ulicę w ostatniej chwili przed zmianą świateł.

– Może się rozdzielimy? – zaproponowała Asta.

Łatwiej było kogoś śledzić we dwoje, niezależnie, ale Malcolm pokręcił głową. Na ulicy panował ożywiony ruch, zanadto rzucaliby się w oczy.

– Widzę go – powiedział.

Talbot skręcał właśnie w wąską uliczkę, przy której, jak wiedział Malcolm, znajdował się La Maison Juste. Chwilę potem zniknął im z oczu. Nie poszli za nim.

– Naprawdę uważasz, że wygrał? – zapytała Asta.

– Jest znacznie cwańszy od Benny’ego Morrisa. Nie powinienem był próbować go przyłapać.

– A jednak ara go zdradziła.

– Może w takim razie wyszło na remis... Chociaż raczej uważam, że wygrał o włos. Chodź, złapiemy sobie pociąg. Tu nie będzie dla nas bezpiecznie.

– Nazywa się Matthew Polstead – powiedział Talbot. – Jest akademikiem, pracuje w Kolegium Durham. Od razu go rozpoznałem. Niemal na pewno jest ich agentem. Wiedział, że coś mnie łączy z tą policyjną gnidą, która spartoliła... ehm... incydent nad rzeką. A to oznacza, że tamta strona zdążyła już położyć łapę na notatkach Hassalla i innych jego rzeczach.

Marcel Delamare słuchał z obojętną miną, mierząc go wzrokiem ponad lśniącem blatem biurka.

– Zdradził się pan z czymś?

– Raczej nie. Jest w miarę bystry, ale to jednak wsium.

– Słucham? Nie znam tego słowa.

– Chłopek-roztropek.

Delamare zdawał sobie sprawę, że w filozofii Talbota nie ma żadnych pewników, ale nie próbował kwestionować jego słów. Gdyby w ich świecie istniało określenie „pozyteczny idiota”, precyzyjnie oddawałoby jego opinię na temat Talbota. Niebieska ara patrzyła na białą sowę Delamare’a, stroszyła piórka, kiwała łebkiem i przestępowała z nogi na nogę. Sowa siedziała z zamkniętymi oczami i nie zwracała na nią najmniejszej uwagi.

Delamare przysunął sobie notatnik i wziął do ręki srebrny ołówek.

– Może go pan opisać?

Talbot zrobił to, nie szczędząc szczegółów, które w większości zgadzały się z prawdą.

Delamare zapisywał wszystko pilnie i szybko.

– Skąd wiedział o pańskich związkach z niekompetentnym policjantem? – zapytał, gdy Talbot skończył.

– Warto by się tego dowiedzieć.

– Jeżeli istotnie jest wsiunem, to nie umieliście panowie zachować swojego układu w tajemnicy. Jeśli zaś dobrze się z nim kryliście, to żaden z niego wsiun. Którą wersję pan wybiera?

– Może trochę przesadziłem z jego...

– Mniejsza z tym. Dziękuję za przybycie, profesorze. Obowiązki wzywają.

Delamare wstał i podali sobie ręce na pożegnanie. Talbot zabrał płaszcz i teczkę i wyszedł. Dręczyło go wrażenie upokorzenia, choć nie umiałby powiedzieć, czym dokładnie zostało spowodowane. Na szczęście szybko się ulotniło w obliczu jego filozofii.

Na dworcu Malcolm zastał tłum zdezorientowanych, sfrustrowanych podróżnych, którym przedstawiciel kolei tłumaczył, dlaczego – wbrew ich i swoim oczekiwaniom – nie mogą wsiąść do pociągu jadącego do Wenecji i Konstantynopola. Pociąg był już zatłoczony, a w ostatniej chwili cały jeden wagon został zarekwirowany na wyłączny użytek nowego przewodniczącego Rady Najwyższej. Pasażerowie, którzy mieli wykupione miejsca w tym wagonie, mieli czekać na pociąg odjeżdżający w dniu następnym. Przewoźnik, który początkowo usiłował dołączyć do składu dodatkowy wagon (bez powodzenia), był obecnie zajęty poszukiwaniem miejsc w hotelach dla rozczarowanych pasażerów zmuszonych spędzić noc w Genewie.

Wszyscy wokół Malcolma głośno narzekali.

– Cały wagon!

– Miał być takim pokornym, skromnym człowiekiem. A tu proszę, dali mu tytuł i nagle stał się aroganckim potworem.

– Nie można mieć pretensji do niego. To jego orszak upiera się przy tych wszystkich nowych przywilejach.

– Podobno polecenie wydał prefekt Sekretariatu.

– To naprawdę zdumiewające, zważywszy na fakt, jak świetnie wszystko było zorganizowane.

– To niedorzeczne! I skrajnie nieodpowiedzialne!

– Jutro mam w Wenecji niezwykle ważne spotkanie! Czy pan wie, kim ja jestem?!

– Powinni byli wcześniej o tym pomyśleć.

– Po co mu cały wagon, na Boga?

I tak dalej. Malcolm zerknął na rozkład jazdy, ale na wieczór zaplanowano już tylko połączenia lokalne, do pobliskich miasteczek, oraz jeden pociąg do Paryża tuż przed północą. A on się do Paryża nie wybierał.

Asta rozejrzała się po hali.

– Nikt tu nie wygląda zbyt groźnie – stwierdziła. – Talbot chyba nie zamierzał wsiadać do tego pociągu, prawda?

– Prędzej wyruszy w przeciwnym kierunku: nocnym do Paryża.

– Czekamy, aż ci tam znajdą nam jakiś hotel?

– Mowy nie ma. – Malcolm patrzył, jak trzech kolejnych urzędników kolei śpieszy na spotkanie tłumu z ulotkami, notatnikami i plikami papierów. – Zaraz spiszą nazwiska wszystkich obecnych i odnotują, gdzie kto został ulokowany. Lepiej pozostać anonimowym.

Z walizką w ręce, plecakiem na plecach i Astą drepczącą bezszelestnie tuż obok dyskretnie wymknął się z dworca i ruszył na poszukiwanie noclegu.

Przewodniczący Rady Najwyższej Magisterium, patriarcha Wysokiej Porty, Święty Symeon Papadakis z pokorą przyjął wieść, że jest powodem całego tego zamieszania i z najwyższym zaniepokojeniem zajął miejsce w przeznaczonym dla niego wagonie.

– Bardzo mi się to nie podoba, Michaelu – zwrócił się do swojego kapelana. – To niesprawiedliwe. Próbowiałem protestować, ale nikt mnie nie słuchał.

– Wiem, ale to wszystko dla ochrony i wygody Waszej Promienności.

– One nie powinny mieć znaczenia. Nie mogę znieść myśli, że stałem się przyczyną niewygód tylu innych pasażerów. To wszystko porządni ludzie, którzy przybyli do miasta w świętych sprawach; mają zaplanowane przesiadki, umówione spotkania... Uważam, że to niewłaściwe.

– Jednakże jako nowo mianowany przewodniczący...

– Sam nie wiem. Powinienem być postawić na swoim, Michaelu. Od początku kroczyć swoją drogą. Skromność zamiast ostentacji. Czy nasz błogosławiony Zbawiciel zgodziłby się podróżować osobno od swoich współpasażerów? Powinni byli mnie zapytać, rozumiesz, zanim narobili tego zamieszania. Powinienem być tupnąć nogą.

Kapelan odruchowo spojrział na stopy przełożonego i zaraz odwrócił wzrok. Patriarcha włożył kalosze na znoszone czarne buty, w których chodził na co dzień, i było widać, że coś go dręczy. Nie mógł znaleźć wygodnej pozycji dla nóg.

– Czy Waszej Świętobliwości jest niewygodnie?

– Te kalosze mi przeszkadzają. Chyba nie powinienem...

Nie chodziło jednak wcale o kalosze. Jak wszyscy asystenci Jego Promienności, kapelan wiedział o dręczącym patriarchę uporczywym bólu w nodze. Święty Symeon nigdy o tym nie wspominał i starał się nie kuleć, ale kiedy się zmęczył, nie był w stanie ukrywać swojej przypadłości. Kapelan zastanawiał się, czy powinien porozmawiać na ten temat z lekarzem.

– Naturalnie. Pomogę je zdjąć Waszej Świętobliwości, nie będą potrzebne, dopóki nie będziemy wysiadać.

– Byłoby to nadzwyczaj uprzejme z twojej strony. Bardzo ci dziękuję.

– Proszę pamiętać, Wasza Świętobliwość – mówił dalej kapelan, ostrożnie

ściągnąć gumowe nakładki z butów patriarchy – że wagon kolejowy zarezerwowany dla przewodniczącego Rady Najwyższej na dobrą sprawę niewiele odbiega od ceremoniału i rytuału Kościoła Świętego. Podkreśla naturalny dystans pomiędzy...

– Ależ nie, nie, nie. W żadnym razie. Nie ma porównania. Składniki kościelnego ceremoniału, cała liturgia, muzyka, szaty, ikony są święte z natury. Stanowią ucieleśnienie świętości, która przez pokolenia pozwoliła nam zachować wiarę. To zupełnie co innego, Michaelu, niż zarekwirowanie całego wagonu i zostawienie tamtych nieszczęśników na deszczu. To coś złego, zrozum. Coś takiego nie powinno mieć miejsca.

Młody, gładko uczesany asystent w ciemnym garniturze czuwał nieopodal, w narzuconej przez względy szacunku odległości, a gdy patriarcha został bezpiecznie pozbawiony kaloszy, wystąpił naprzód i uklonił się.

– Nazywam się Jean Vautel, Wasza Promienność. Zostałem pobłogosławiony przydziałem do Waszej Świątobliwości jako nowy sekretarz do spraw Rady Najwyższej. Jeżeli można, chciałbym przedyskutować organizację uroczystości upamiętniającej wybór Waszej Promienności na przewodniczącego. Następnie...

– Uroczystości? Jakiej znowu uroczystości?

– Chodzi o to, by lud mógł w naturalny sposób wyrazić swoją radość z tej decyzji. Byłoby to stosowne...

– O rety. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

Za plecami nowego sekretarza krzętałi się inni ludzie, nieznani patriarsze, zajęci układaniem pudeł, teczek i walizek na półkach bagażowych. Wszyscy emanowali tą samą żarliwą fachowością, która *monsieur* Vautelowi wprost wpływała wszystkimi porami skóry.

– Co to za ludzie? – zapytał Święty Symeon.

– Personel podlegający Waszej Świątobliwości. Gdy pociąg ruszy, przedstawię ich. Dołożyliśmy wszelkich starań, by stworzyć nadzwyczajnie utalentowany zespół.

– Ale ja już mam swoich ludzi...

Patriarcha spojrział bezradnie na kapelana, który bez słowa rozłożył ręce.

Pociąg ruszył. Na peronie w dalszym ciągu kłębił się tłum pasażerów.

Niedaleko jeziora Malcolm znalazł tani hotel Rembrandt. Zameldował się pod jednym ze swoich fałszywych nazwisk, znalazł przydzielony mu pokój na trzecim piętrze i wyszedł coś zjeść. W walizce nie miał żadnych obciążających materiałów, ale na wszelki wypadek wyrwał sobie włos i wsunął go pomiędzy drzwi i futrynę, żeby móc stwierdzić, czy podczas jego nieobecności ktoś myszkował po pokoju.

Po sąsiedzku znalazł niewielką knajpkę. Wszedł i zamówił *pot-au-feu*.

– Szkoda, że...

– Zgadza się – weszła mu w słowo Asta. – Ale jednak to zrobiła.

– „Poszedłem szukać twojej wyobraźni”. Nie chciałbym przeczytać takich słów. Jak sądzisz, co miał na myśli?

– Dokładnie to, co napisał. Czuł, że jej sposób myślenia... nie wiem, jak to powiedzieć... umniejsza ich oboje? Jakby jakaś część niej zniknęła. Może pod

wpływem Talbota, między innymi, Lyra przestała wierzyć w swoją wyobraźnię, dlatego on udał się na jej poszukiwanie.

– Przecież to niemożliwe, żeby dała się zwieść takiemu szarlatanowi. Nie mam racji?

– Wielu jest takich, którzy dali się oszukać. Jego sposób myślenia jest destrukcyjny, wręcz demoralizujący. Gość postuluje uniwersalną nieodpowiedzialność! Píše coś konkretnego na temat wyobraźni?

– Nie. Od czasu do czasu wspomina o „bujnej wyobraźni” jako cesze dyskredytującej człowieka; jakby za każdym razem brał ją w cudzysłów, żeby czytelnicy „Baltimore Observer” mogli poznać, że ironizuje. Co czułaś, rozmawiając z nim w Oksfordzie? Mówię o Pantalaimonie.

– *Le soleil noir de la Mélancolie*. Nie mówił o tym wprost, ale było to ewidentne.

– Odniosłem to samo wrażenie, kiedy spotkaliśmy ją teraz, po latach. Młodsza bywała zawzięta, uparta, chwilami nawet bezczelna, ale nawet wtedy emanowała osobliwą melancholią, nie uważasz?

Kelner przyniósł jedzenie. Malcolm przysunął się do stolika i zwrócił uwagę na mężczyznę siedzącego samotnie w kącie: w średnim wieku, szczupły, kruchej budowy, niechlujnie ubrany, w wielokrotnie naprawianych okularach w drucianej oprawce. Wyglądał tak, że mógłby pochodzić z Azji Środkowej. Widząc, że Malcolm mu się przygląda, odwrócił się.

– Ciekawe... – mruknęła Asta. – Rozmawia z dajmonem po tadżycku.

– Delegat na kongres?

– Możliwe. Ale jeżeli rzeczywiście przyjechał na kongres, to nie sprawia wrażenia zadowolonego z rezultatów. Wracając jednak do Talbota... Wydaje mi się, że jedną z przyczyn jego popularności jest fakt, że bardzo łatwo można by naśladować jego styl w studenckim eseju.

– Zapewne jest też świetnym mówcą. Poza tym wydaje mi się, że czytał *Hiperchorezmijczyków*, tylko nie chciał się do tego przyznać.

– Popularność tej powieści już trudniej wytłumaczyć.

– Wcale nie. To porywająca historia, która przekonuje czytelnika, żeby nie miał wyrzutów sumienia z powodu swojego egoizmu. Ludzie to kupią.

– Jesteś pewien, że nie coś takiego właśnie trafiło do przekonania Lyrze?

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogła w to uwierzyć. Ale ci dwaj goście do spółki w jakiś sposób z pewnością jej zaszkodzili. Jej i Pantalaimonowi.

– Na pewno złożyły się na to jeszcze inne czynniki.

Asta wyciągnęła się na stole w pozie sfinksa z półprzymkniętymi oczami. Porozumiewali się z Malcolmem półszepem, pół-myślą i żadne z nich nie umiałoby stwierdzić, które z padających stwierdzeń są czyjego autorstwa. *Pot-au-feu* było smaczne, wino znośne, pokój ciepły i wygodny. Pokusa, żeby się odprężyć, była silna, ale nawzajem pobudzali się do czujności.

– Znów nas obserwuje – mruknęła Asta.

– Wcześniej też już to robił? Myślałem, że to my obserwowaliśmy jego.

– Robił, robił. Jest zaciekawiony. Ale i podenerwowany. Zagadniemy go?

– Nie. Jestem szanowanym szwajcarskim komiwojażerem, który prezentuje próbki swoich towarów miejscowym detalistom. Nie mam powodu, żeby się nim interesować. Miej na niego oko, ale dyskretnie.

Tadżyk jadł skromny posiłek najwolniej, jak tylko się dało – takie przynajmniej wrażenie odniosła Asta.

– Może przyszedł się ogrzać – zasugerował Malcolm.

Tadżyk nie ruszył się z miejsca i odprowadził wzrokiem Malcolma, gdy ten wstał od stolika, uregulował rachunek i wyszedł. Zamykając za sobą drzwi, Malcolm posłał mu jeszcze jedno przelotne spojrzenie. Ich oczy się spotkały. Tadżyk miał bardzo poważną minę.

Malcolm był zmarznięty i zmęczony. Stwierdził, że nikt nie próbował otwierać drzwi do pokoju, i położył się do łóżka. Asta drzemała przy nim na poduszce, gdy przed snem podczytywał jeszcze *Dżahana i Ruchsanę*.

O drugiej w nocy ktoś zapukał do drzwi. Malcolm i Asta natychmiast się obudzili, mimo że pukanie było bardzo ciche.

Malcolm w sekundę zerwał się z łóżka, doskoczył do drzwi i zapytał szeptem:

– Kto tam?

– Musimy porozmawiać, *monsieur*.

To był Tadżyk z restauracji, bez wątplenia. Podobnie jak Malcolm znał francuski, ale tego akcentu nie dało się z niczym pomylić, nawet kiedy przybysz szeptał z drugiej strony drzwi.

– Chwileczkę.

Malcolm naciągnął koszulę i spodnie i najciszej jak się dało otworzył drzwi. Rzeczywiście, za progiem stał Tadżyk. Był wyraźnie przestraszony. Owinięty wokół jego szyi dajmon-wąż patrzył w bok, w głąb słabo oświetlonego korytarza. Malcolm zaprosił go do środka i zaoferował mu jedyne krzesło, a sam usiadł na łóżku.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Mehrzad Karimow. Czy pan Polstead?

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Chcę pana ostrzec przed Marcelem Delamare'em.

– Skąd pan zna Delamare'a?

– Połączyły nas interesy. Nie zapłacił mi, a dopóki tego nie zrobi, nie mogę wyjechać.

– Powiedział pan, że chce mnie ostrzec. Przed czym?

– Delamare wie, że jest pan w mieście. Kazał pilnować wszystkich dróg wyjazdowych, dworca i terminala promowego. Chce pana schwytać. Usłyszałem o tym od zaprzyjaźnionego człowieka w La Maison Juste, któremu zrobiło się mnie żal. Powinien pan jak najszybciej stąd zniknąć. Widziałem przez okno, że policja przeszukuje okoliczne domy. Nie wiem, co robić.

Malcolm podszedł do okna, stanął z boku i odsunął przetartą zasłonkę tylko na tyle, by wyjrzieć przez szparę. Dostrzegł jakieś poruszenie przy końcu ulicy i trzech ludzi w mundurach rozmawiających pod latarnią.

Puścił zasłonkę i odwrócił się.

– *Monsieur* Karimow, uważam, że... którą to mamy? Pół do trzeciej w nocy to doskonała pora na opuszczenie Genewy. Zamierzam ukraść łódź. Pójdzie pan ze mną?

Profesor od pewników

Pantalaimon nigdy nie czuł się taki odsłonięty i bezbronny, jeśli nie liczyć tamtych okropnych pierwszych godzin po rozdzieleniu się z Lyrą na brzegu krainy umarłych – ale nawet tam nie był zupełnie samotny, bo towarzyszył mu dajmon Willa, który nic o sobie nie wiedział, ba, nie wiedział nawet, że istnieje, dopóki nie został wydarty z serca chłopca. Gdy mała łódź uwoziła Lyrę i Willa w mrok, dwa dajmony drżały na omglonym brzegu, tuląc się do siebie w poszukiwaniu ciepła, a Pan usiłował wytłumaczyć wszystko przerażonej istocie, która nie wiedziała ani jak ma na imię, ani jaką ma postać, ani nawet że może tę postać zmienić.

Wędrując w górę Łaby przez miasta, lasy i zadbane pola uprawne, często wracał pamięcią do tamtych beznadziejnie smutnych chwil i z czułością wspominał swoją ówczesną towarzyszkę. Jakże bardzo w tej chwili brakowało mu towarzystwa! Nawet Lyra nie byłaby taka zła, gdyby tylko mogli odbyć tę podróż razem. Przeżyliby wielką, ekscytującą przygodę, pełną miłości... Co on jej zrobił? Jak ona się teraz musiała czuć? Ciekawe, czy nadal mieszka w Pstrągu w Godstow? A może go szuka? Czy jest bezpieczna?

Niewiele brakowało, żeby zawrócił – ale nie, przecież robił to dla niej. To ona była niepełna, to jej coś skradziono i on zamierzał to dla niej odzyskać. To dlatego przekradał się brzegiem rzeki, prześlizgiwał obok elektrowni, podróżował na gapę na pokładzie barek wyładowanych ryżem, cukrem, dachówką albo guanem, przemycił przez stocznie, po skarpach i nabrzeżach; starał się przemieszczać nocami, trzymać się w cieniu, w gąszczu zarośli, wyczulony na zagrożenie ze wszystkich stron. Koty nie odważały się go niepokoić, ale kilkakrotnie był zmuszony uciekać przed psami, raz przed wilkami, a zawsze i wszędzie musiał mieć się na baczności przed ludźmi i ich dajmonami.

W końcu jednak dotarł do Wittenbergi, gdzie przyszło mu się zmierzyć z innym, jeszcze trudniejszym problemem: jak znaleźć dom Gottfrieda Brandego?

Co zrobiłaby Lyra? Na początek, pomyślał, poszłaby pewnie do biblioteki i pogrzebała w miejskich informatorach i książkach adresowych, a gdyby to nie przyniosło rezultatów, zaczęłaby rozpytywać. Adresy znanych ludzi nigdy nie są tajemnicą – zna je poczta, znają zapewne także lokalni dziennikarze, nawet przechodnie na ulicy i przekupnie na bazarze miałby zapewne jakieś takie pojęcie o miejscu zamieszkania lokalnej sławy. A Lyra była świetna w wypytywaniu ludzi o różne rzeczy.

Tyle że w przypadku samotnego dajmona takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

Barka, którą przyplłynął, zacumowała do boi na rzece, ponieważ przy najbliższym

nabrzeżu nie było wolnych miejsc. Odczekał, aż całkiem się ściemni, po czym zsunął się za burtę do lodowatej wody i przepłynął na ląd, na skrawek nagiej ziemi w cieniu drzew. Ziemia była twarda, zmrożona, powietrze nieruchome i ciężkie od zapachów węgla i drewna i słodkiej woni czegoś, co mogło być melasą. Dalej w dole rzeki, tuż za murami miasta, barka przepływała obok terenu zastawionego namiotami, budami i szopami, gdzie ludzie gotowali posiłki na ogniskach, a nocą kulili się pod płóciennymi derkami albo daszkami z tektury. Wciąż widział poświatę tamtych ognisk i czuł dym z palonego drewna, odczuł nawet przelotną pokusę, żeby pójść się tam rozejrzeć, ale ostatecznie tylko otrząsnął się z wody i pobiegł w głąb miasta, oddalając się od rzeki. Trzymał się blisko muru i miał oczy szeroko otwarte.

W wąskich uliczkach miękkie światło gazowych latarni budziło rozmyte cienie. Pan posuwał się z wprost obsesyjną ostrożnością. Przemykał po obrzeżach placów i targów, nie ważył się wychynąć z mroku zaułka albo cienia kaplicy, dopóki nie był absolutnie pewny, że nikt nie patrzy. Przechodniów było niewiele, najwyraźniej trafił do grzecznego miasta, którego mieszkańcy wcześniej kładli się spać i krzywo patrzyli na nocne hulanki. Było bardzo czysto, nawet śmieci wystawiane za kuchenne drzwi segregowano do precyzyjnie opisanych pojemników zakładu oczyszczania miasta.

Zadanie wydawało się go przerastać. Jak miał się dowiedzieć, gdzie mieszka Brande, jeśli nie mógł nikogo o to zapytać? A nie mógł z nikim porozmawiać, bo jako dajmon bez człowieka potwornie rzucałby się w oczy. Ogarniały go coraz większe wątpliwości, gdy wtem zaprzątnęła go inna myśl: co właściwie zamierzał zrobić, stanąwszy oko w oko z autorem *Hiperchorezmijczyków*? I dlaczego wcześniej się nad tym nie zastanowił?

Przycupnął pod krzakiem bukszpanu na trójkątym skwerku na skrzyżowaniu trzech ulic. Był w dzielnicy mieszkalnej: zgrabne wysokie domy, kaplica z wieżą, jakiś budynek w dużym ogrodzie. Drzewa były wciąż bezlistne, minie jeszcze trochę czasu, zanim wiosna je obudzi. Pantalaimon – zmarznięty, zmęczony i zniechęcony – jak nigdy przedtem zatęsknił za Lyrą, jej objęciami, piersią, kolanami. Zachował się skrajnie lekkomyślnie i niemądrze, naburmuszył się, uniósł dumą i postąpił samolubnie. Nie podobało mu się to, co zrobił, i teraz się za to nienawidził.

Nad murem ogrodu po drugiej stronie ulicy wisiała tablica informacyjna. Znajdowała się w cieniu wysokiego iglaka, a w pobliżu nie było żadnej latarni, ale akurat przejeżdżał tramwaj i w blasku jego reflektorów i świetle padającym z wnętrza Pan odczytał słowa:

St. LUCIA SCHULE FÜR BLINDE

Szkoła dla niewidomych!

Gdy tylko tramwaj skręcił za róg, Pan przebiegł przez ulicę, wskoczył na szczyt muru, stamtąd przeskoczył na sosnę i po minucie mościł się już w wygodnym rozwidleniu gałęzi. Zasnął natychmiast.

O świcie udał się na zwiad, żeby lepiej poznać szkołę i ogród. Teren nie był duży, ale zadbane, schludny i czysty jak całe miasto. Główny budynek – zbudowany z cegły w prostym, oszczędnym, niemal surowym stylu – tak bardzo przypominał Kolegium Świętej Zofii, że na jego widok Pana zakłuło w sercu z tęsknoty. Z jego drugiej strony rozciągał się wypielęgnowany ogród, o tej porze nagi, z fontanną w małej sadzawce i żwirowym podjazdem prowadzącym do głównej bramy.

Nie bardzo wiedział, co dalej robić, ale na początek uznał, że nierzucanie się w oczy będzie równie dobre jak prawdziwa niewidzialność, a gdy coś się zacznie dziać – będzie improwizował. Z boku krótko przystrzyżonego trawnika znalazł gąszcz krzewów, z którego mógł mieć na oku główny gmach szkoły. Rozsiadł się więc wygodnie i czekał.

Była to żeńska szkoła z internatem. Pan całkiem nieźle orientował się w dziennym rozkładzie zajęć w tego rodzaju miejscach, spokojnie poczekał więc na dzwonek obwieszczający pobudkę i śniadanie. Niedługo później rozległy się głosy dziewcząt i szczęk noży i widelców o porcelanowe talerze, napłynęły znajome wonie kawy i tostów. Okiennice w sypialniach zostały otwarte na oścież, wpadające do środka światło dnia odsłoniło sylwetki krzątających się dorosłych, a potem śniadanie się skończyło i z innej części budynku dobiegł chór młodych głosów śpiewających hymn. Pan znał to wszystko doskonale.

Spodziewał się więc również, że w którymś momencie uczennice wyjdą na dwór, żeby się przewietrzyć i poćwiczyć i wtedy właśnie zamierzał szukać swojej szansy. Tymczasem postanowił jeszcze trochę się rozejrzeć. Za krzakami znalazł ciąg dalszy tego samego muru, który pokonał, żeby dostać się do środka, a z którego drugiej strony dobiegały odgłosy ruchu ulicznego. Gdyby musiał, mógłby tędy uciec, chociaż wolałby nie skakać z góry wprost w tłum przechodniów. W poszukiwaniu dyskretnego kąta, w którym mógłby się ukryć i nie rzucać w oczy, odkrył wąski zakamarek na tyłach drewnianej szopy na narzędzia ogrodnicze.

Na razie jednak w krzakach było mu najlepiej, wrócił więc tam i po drodze dokonał ciekawego odkrycia: ktoś zbudował szałas z ulistnionych gałęzi opartych o pień grubej sosny od strony niewidocznej ze szkoły. Prowadząca do niego ścieżka zarosła i dorosły miałby kłopot, żeby nią przejść, ale dla młodej osóбки, zwłaszcza szczupłej, nie powinno to stanowić problemu. W szałasie znalazł blaszane pudełko zagrzebane w stercie suchych liści. Było zamknięte na kluczyk i miało ciężar grubej książki. Czyjś sekretny dziennik? Ale jak niewidoma miałaby pisać?

Usłyszał dzwonek i odłożył pudełko na miejsce, po czym wspiął się na sosnę i czekał.

Przyszła niedługo potem. Miała około czternastu lat, była szczupła i ciemnowłosa, ubrana w spódnicę i bluzkę z niebieskiej bawełny oraz poplamiony farbą fartuch. Odsłonięte kolana miała paskudnie podrapane, z pewnością przez krzewy, przez które musiała się przedrzeć, żeby ukryć pudełko. Jej dajmon miał postać szynszyli.

Pan patrzył, jak dziewczynka po omacku szuka w liściach, wyjmując pudełko i otwiera je kluczykiem noszonym na łańcuszku wokół nadgarstka. Wyjęła z niego sfatygowaną książkę i usiadła oparta plecami o drzewo, żeby poczytać. Książka była dokładnie tak gruba i ciężka, jak się Pantalaimon spodziewał, nie przewidział tylko, że jej grubość wynika z faktu wydrukowania jej w alfabecie złożonym z wypukłych punkcików, który niewidomi potrafią czytać palcami. Wodząc dłonią po kartce,

dziewczynka szeptała do siedzącego jej na ramieniu dajmona, czytając mu w ten sposób na głos. Nie minęła minuta, gdy opowiadana w książce historia pochłonęła ich bez reszty.

Pan źle się czuł z tym, że ich szpieguje. Zszedł więc po pniu drzewa, rozmyślnie chrobocząc przy tym pazurkami o korę, żeby było go słychać. Oboje go usłyszeli i z niepokojem zwrócili się w jego kierunku.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzekł po niemiecku. Przez lata toczyli wspólnie z Lyrą heroiczne boje z językiem niemieckim, dopóki nie zaczęli uczyć się niemieckich wierszy na pamięć.

– Kim jesteś? – spytała szeptem dziewczynka.

– Zwykłym dajmonem – odparł Pan. – Moja dziewczyna jest nieopodal, patrzy, czy ktoś nie idzie.

– Czyli nie jesteście niewidomi! Co tu robicie?

– Rozglądamy się po okolicy. Nazywam się Pantalaimon. A wy?

– Anna Weber. A to jest Gustavo.

– Mogę się do was na chwilę dosiąść?

– Tak, jeśli mi powiesz, jaką masz postać.

– Jestem... – Pan nie znał właściwego niemieckiego słowa.

Szynszyla była równie niewidoma jak Anna, ale pozostałe zmysły miała niezwykle wyczulone. Dotknęła nosem do nosa Pantalaimona, wciągnęła powietrze, zastrzygła uszami i szepnęła coś do Anny, która skinęła głową.

– *Marder* – powiedziała.

– Aha. Po angielsku to jest *marten*. Kuna leśna. Co czytacie?

Anna oblała się rumieńcem. Ciekawe, czy wie, że ja to widzę, pomyślał Pan.

– To opowieść o miłości – odparła Anna – ale nie powinniśmy jej czytać, bo jest... taka jakby bardziej dla dorosłych. Dlatego trzymam ją tutaj. Pożyczyłam ją od przyjaciółki.

– My z Lyrą dużo czytamy.

– Co za osobliwe imię!

– Czytaliście *Hiperchorezmijczyków*?

– Nie! Bardzo byśmy chcieli przeczytać, wprost nie możemy się doczekać, ale w szkole ta książka jest zakazana. Jedna starsza dziewczyna przyniosła ją i miała przez to okropne kłopoty. Wiesz, że jej autor mieszka tutaj, w naszym mieście?

Pan zadrżał z emocji. Szczęście mu dopisywało.

– Naprawdę? – spytał. – A wiecie gdzie?

– O tak, to sławne miejsce. Ludzie z całego świata przyjeżdżają je odwiedzić.

– Gdzie jest jego dom?

– Na tyłach Stadtkirche. Podobno w ogóle stamtąd nie wychodzi, z domu, znaczy się. Jest taki sławny, że przechodnie co rusz zagadują go na ulicy.

– Dlaczego szkoła zabrania wam czytania jego książki?

– Bo jest niebezpieczna. Wielu ludzi tak uważa, ale mnie się wydaje taka ekscytująca! Czytaliście ją z... Lyrą?

– Tak. Posprzeczaliśmy się o nią.

– Okropnie bym chciała usłyszeć, co Lyra o niej sądzi! Czy naprawdę jest taka niezwykła, jak ludzie mówią?

– Owszem, jest niezwykła, ale...

Zadzwonił dzwonek. Anna natychmiast zamknęła książkę i sięgnęła po pudełko.

– Muszę wracać – wyjaśniła. – Przerwy są krótkie. Przyjdiesz jeszcze z nami porozmawiać?

– Jeśli tylko będę mógł, to tak, chętnie. Wiecie może, jak wygląda dom Brandego? A nie, przepraszam, to było głupie pytanie.

– Oczywiście, że nie wiem, jak wygląda, ale nazywa się Kaufmannshaus. Wszyscy go znają. – Anna szybko, z wprawą zamknęła pudełeczko na klucz i wepchnęła je w stertę liści. – To cześć! – powiedziała jeszcze i czmychnęła w gąszcz.

Pan miał wyrzuty sumienia, że ją oszukał. Jeżeli kiedykolwiek pogodzą się z Lyrą, dopilnuje, żeby tu wrócili, spotkali się z Anną i przynieśli jej więcej książek.

Ależ miał szczęście! Czuł się jak wtedy w arktycznym miasteczku Trollesund, gdy spotkali aeronautę Lee Scoresby'ego i pancernego niedźwiedzia Iorka Byrnisona, najlepszych sojuszników, jakich mogli sobie wymarzyć. Wtedy mieli wrażenie, jakby zostali pobłogosławieni; jakby jakaś siła wyższa się nimi opiekowała. Teraz było podobnie.

Po cichutku przekradł się przez ogród do szopy z narzędziami, wskoczył na dach, skąd przedostał się na szczyt muru. Wąska uliczka po drugiej stronie była całkiem pusta, słyszał jednak odgłosy ruchu ulicznego dobiegające z głównej arterii za szkołą. Wiedział, że dla bezpieczeństwa powinien poczekać do wieczora, ale odczuwał nieprzepartą pokusę, żeby po prostu zeskoczyć z muru i pognać przed siebie...

Tylko w którą stronę? Anna mówiła o Stadtkirche, kościele miejskim. Rozejrzał się, ale wśród wysokich domów wzrok nie sięgał daleko. Skulił się i przemknął do miejsca, w którym poprzedniej nocy zakradł się na teren szkoły. Pomiędzy nagimi gałęziami drzew na skwerku było widać dwie wieże z jasnego kamienia zwieńczone czarnymi kopułami z latarniami. To mogło być to.

Nie namyślając się wiele, zeskoczył z muru i wypadł na ulicę tuż po tym, jak na jej środku minęły się dwa tramwaje. Ze dwaj przechodnie zauważyli go, zamrugali ze zdumienia, z niedowierzaniem pokręcili głowami, ale Pan przemknął na tyle szybko, że nie było go zbyt wyraźnie widać, a po drugiej stronie wspiał się po pniu starego cedru i zniknął. Kiedy ostrożnie spojrzął z góry na dół, stwierdził, że przechodnie zachowują się zupełnie normalnie, jakby nic się nie wydarzyło. Może doszli do wniosku, że to wzrok płata im figle.

Obszedł pień z drugiej strony, wypatrując wież Stadtkirche, i wkrótce znów je zobaczył.

Może udałoby mu się do nich dostać po dachach. Wysokie i wąskie domy przylegały do siebie bez żadnych przerw, a u dołu wyrastały wprost z chodnika, pozbawione typowych dla angielskiej zabudowy piwniczek. Przebiegł przez uliczkę, wpadł w zaułek, wspiał się po pionowej rynnie i wśliznął do poziomej, biegnącej wzdłuż krawędzi dachu. Stąd wygramolił się na połąć dachu i dalej na kalenicę. Teraz widział już wieże kościelne oświetlone słabym blaskiem słońca, jak również wiele innych wysokich budynków, sam zaś pozostawał niewidoczny. Czuł się prawie tak, jak dawno, dawno temu na dachu Kolegium Jordana. Ułożył się do snu przy ciepłym kominie. Śniła mu się Lyrą.

– Wittenberga! – wykrzyknął triumfalnie Olivier Bonneville.

Nie mógł się powstrzymać, zresztą nie miało to żadnego znaczenia, bo był sam w swojej kajucie na pokładzie starego parowca rzeczno-jezernego, która znajdowała się dokładnie ponad maszynownią. Szczęk, świst i dudnienie silnika wystarczały z nadatkiem, by zagłuszyć jego głos, nawet gdyby ktoś nasłuchiwał pod drzwiami.

Śledził Pantalaimona za pomocą alethiometru, odkąd pierwszy raz zobaczył go wtedy nad rzeką (w krótkich sesjach, żeby nie narażać się na ataki mdłości) i dość szybko zdał sobie sprawę, że dajmon Lyry zmierza w górę Łaby. Natychmiast udał się pociągiem do Drezna, miasta leżącego wyżej nad Łabą od miejsca, w którym znajdował się Pantalaimon, i tam zarezerwował sobie kabinę na bliskim złomowaniu parowcu, który z mozołem pokonywał trasę z Pragi do Hamburga i z powrotem. Znajdował się akurat w Miśni, gdy w jednej z wizji zobaczył Pantalaimona wspinającego się po ścianie domu i spoglądającego ponad dachami w stronę kościoła z dwiema wieżami. Ten widok był mu dobrze znajomy: w gabinecie Marcela Delamare'a wisiała rycina przedstawiająca słynny Stadtkirche w Wittenberdze.

Pośpiesznie przeszukał leżący na koi stos papierów i znalazł rozkład rejsu parowca: Miśnię od Wittenbergi dzieliło sześć godzin żeglugi. Niedużo.

Po dachach! Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Stare domy stały jeden przy drugim, tylko czasem dzieliły je wąziutkie przejścia, a przechodnie rzadko spoglądali w górę, bo ich uwaga skupiała się na poziomie gruntu, wśród ruchu ulicznego, kafejek i witryn sklepowych. Pan czuł się swobodnie na dużej wysokości, stapał pewnie, dachy były dla niego idealne.

Przeczesał całą dzielnicę, a jej mieszkańcy nie widzieli go i nawet nie podejrzewali jego obecności. Wczesnym popołudniem znalazł w końcu obiecujący dom, dokładnie za Stadtkirche, tak jak zapowiedziała dziewczyna, a zsunąwszy się po rynnie i spojrzawszy z drugiej strony ulicy, zdołał nawet odczytać wypisaną gotykiem nazwę „Das Kaufmannshaus” na mosiężnej tabliczce przy drzwiach. Uliczka był cicha, spokojna, panował na niej niewielki ruch. Zaryzykował i przebiegł na drugą stronę, kierując się w zaułek trzy, cztery domy dalej. Potem jeszcze jedna wspinaczka i już był na dachu domu Gottfrieda Brandego.

Dach był bardziej stromy niż sąsiednie, ale dachówki zapewniały Panowi dostateczną przyczepność. Przeszedł na drugą stronę kalenicy, wyminął pęk wysokich ceglanych kominów i znalazł się na tyłach domu.

W ogrodzie ktoś się bawił.

Samo istnienie ogrodu było zaskakujące, bo wszystkie inne domy, które do tej pory widział, miały co najwyżej małe wybrukowane podwóreczko. Tymczasem Kaufmannshaus miał własny kwadracik trawnika, dwa lub trzy drzewa i altankę, w której jakaś dziewczyna bawiła się piłką: odbijała ją od drewnianej ściany, po czym okręcała się w miejscu i próbowała ją złapać. Pan słyszał regularne uderzenia piłki

i ciche sapnięcia satysfakcji, gdy dziewczynie udało się chwycić piłkę, oraz syknięcia niezadowolenia, gdy nie zdążyła. Jej dajmon był tak mały, że Pan nie mógł rozeznaczyć jego kształtów, widział tylko, że coś drobnego przemyka w trawie. Prawdopodobnie mysz.

Czy było na co czekać? Oczywiście nie. Wychylił się z rynny, spojrzął w dół i z zadowoleniem stwierdził, że całą tylną ścianę domu porasta bluszcz. Chwilę później już zsuwał się bezszelestnie wśród liści, nie spuszczać dziewczyny z oka. Nie zauważyła go. Kiedy stanął na zwirowej ścieżce u stóp ściany, kolejny raz rzuciła piłkę, zrobiła piruet... i tym razem znieruchomiała w pół obrotu, bo zobaczyła Pantalaimona.

Piłka trafiła ją w bark i spadła w trawę. Dziewczyna zakłęła nieładnie, podniosła piłkę i zamierzyła się do kolejnego rzutu, zupełnie ignorując Pana.

Pan nie ruszał się z miejsca, w którym szedł na ziemię, tuż pod wysokim oknem, i patrzył, jak dziewczyna raz po raz rzuca i łapie piłkę, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Przekradł się cicho na drugą stronę ścieżki, podszedł i przysiadł na trawie w cieniu domu zaledwie kilka stóp od dziewczyny. Widziała go, nie musiała nawet odwracać głowy, żeby na niego spojrzeć, a mimo to bawiła się w najlepsze, udając, że go tam nie ma.

Miała około piętnastu lat, jasne włosy, szczupłą sylwetkę i wyraz niezadowolenia na twarzy, który wyglądał, jakby zamierzał tam zostać do końca jej życia. Dwie wyraźne zmarszczki już przecinały jej czoło. Była ubrana w odświętną białą sukienkę z bufiastymi rękawami, a włosy miała ułożone i podpięte w nadzwyczaj wyrafinowany sposób. Sukienka była dla niej za młoda, fryzura zaś za stara. Wyglądała, jakby wszystko było w niej nie takie, jak należy – i jakby o tym wiedziała.

Rzut. Trach! Obrót. Chwył.

Jej dajmon-mysz dostrzegł Pantalaimona, ale kiedy tylko wykonał taki ruch, jakby chciał do niego podejść, dziewczyna syknęła. Mysz zatrzymała się i cofnęła.

Rzut. Trach! Obrót. Chwył.

– Czy to dom Gottfrieda Brandego? – zapytał Pantalaimon.

– A jeśli tak, to co? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna, podnosząc piłkę z ziemi.

– Przybyłem z daleka, żeby się z nim zobaczyć.

– Nie będzie chciał z tobą rozmawiać.

– Skąd wiesz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, rzuciła piłkę i znów ją złapała.

– Dlaczego bawisz się jak małe dziecko? – indagował dalej Pan.

– Bo mi za to płaci.

– Jak to? Dlaczego?

– Przypuszczam, że sprawia mu to przyjemność. Patrzy na mnie z okna. W tej chwili pracuje, ale lubi słyszeć ten dźwięk.

Pan obejrzał się na dom. Nie było w nim widać żadnego ruchu, ale na parterze okno wychodzące na ogródek było lekko uchylone.

– Słyszysz, jak rozmawiamy?

Kolejne wzruszenie ramion, kolejny rzut i złapanie piłki.

– A dlaczego nie będzie chciał ze mną rozmawiać?

– Nawet na ciebie nie spojrzy. A tak w ogóle, to co ty tu robisz sam? To wbrew

naturze. Gdzie twoja osoba?

- Szukam jej wyobraźni.
- I myślisz, że on ją ma?
- Myślę, że ją ukradł.
- Po co miałyby to robić?
- Nie wiem. Przyszedłem go o to zapytać.

Dziewczyna zmierzyła Pana pogardliwym spojrzeniem. Resztki wodnistego słonecznego światła ledwie muskały czubki drzew w ogródku. W cieniu domu robiło się chłodno.

- Jak ci na imię? – zapytał Pantalaimon.
- Nie twoja sprawa. Zresztą, to wszystko jest dla mnie zbyt dziwne.

Dziewczyna odrzuciła piłkę, odwróciła się i zgarbiona usiadła na schodkach altany. Dajmon wbiegł jej po ręce na szyję i wtulił pyszczek w jej włosy.

- Płaci ci za zabawę przez cały dzień? – pytał dalej Pan.
- Zrezygnował ze wszystkiego innego.

Pan zastanawiał się, co mogą znaczyć takie słowa. Dziewczyna z pewnością nie zamierzała mu udzielać jasnych odpowiedzi.

- Jest teraz w domu?
- A gdzie ma być? Nigdy nie wychodzi.
- Gdzie go znajdę? W którym pokoju?
- Na litość boską! – zachnęła się. – W gabinecie, gdzieżby indziej? Tam, gdzie jest otwarte okno.

- Jest tam ktoś jeszcze?
- Służba, ma się rozumieć. Ale nic ci z tego nie przyjdzie, mówię ci.
- Skąd ta pewność?

Dziewczyna westchnęła ciężko, jakby tak głupie pytanie nie zasługiwało na odpowiedź. Odwróciła się, pochyliła i oparła głowę na złożonych przedramionach. Dwa czarne paciorki oczu śledziły Pana z twierdzy jej włosów.

– Idź sobie – usłyszał jej stłumiony głos. – Za dużo tych duchów. Myślisz, że jesteś pierwszy? Wszystkie wracają, a on nigdy nic nie mówi.

Pan nie był pewny, czy się nie przesłyszał. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej na temat niezadowolonej dziewczyny. Lyra też byłaby nią zainteresowana – tyle że ona umiałaby z nią porozmawiać, a on tego nie potrafił.

- Dzięki – mruknął tylko.

Wrócił biegiem pod dom. W gabinecie zapaliło się już światło – a może było włączone już wcześniej, a on zauważył je dopiero teraz, w gęstniejącym zmierzchu. Widząc drugie otwarte okno, na piętrze, wspinał się do niego po bluszczu i wśliznął do wnętrza domu.

Znalazł się w sypialni surowej jak mnisia cela: gołe deski na podłodze, żadnych obrazków ani regałów na książki, jedno wąskie łóżko starannie zasłane cieniutką pościelą, nocny stolik, na nim szklanka wody. To wszystko.

Drzwi były uchylone. Wyszedł przez nie i po stromych schodach zszedł do ciemnego przedpokoju, skąd najbliższe drzwi prowadziły (sądząc po zapachu gotowanej kapusty) do kuchni. Zza kolejnych dolatywał silny aromat ziela fajkowego. Przytulił się do ściany, przekradł pod te drugie drzwi, starając się nie chrobotać pazurkami o wypolerowaną drewnianą podłogę, i znieruchomiał.

Brande (to musiał być on: mówił dźwięcznie, autorytatywnie, precyzyjnie) brzmiał tak, jakby wygłaszał wykład:

– ...w sposób oczywisty dalsze przykłady są zbędne. Tak oto królestwo głupoty wchodzi w swoją ostatnią fazę, którą z początku charakteryzuje narastająca dekadencja, potem zaś rozkwit przesadnej, bojaźliwej, ukradkowej pobożności. W tym momencie...

– Przepraszam, panie profesorze – zabrzmiał kobiecy głos. – Jakiej pobożności?

– Przesadnej, bojaźliwej i ukradkowej.

– Dziękuję. Przepraszam.

– Nie pracowała pani wcześniej dla mnie, prawda?

– Nie, panie profesorze. W agencji powiedziano mi...

– Ciąg dalszy. W tym momencie sytuacja dojrzewa do pojawienia się silnego przywódcy. Kwestią tą zajmiemy się w następnym rozdziale.

Brande zawiesił głos. Cisza trwała kilka sekund.

– To wszystko – powiedział w końcu. – Proszę, z łaski swojej, przekazać agencji, że byłbym im wdzięczny, gdyby zechcieli mi jutro przysłać inną stenotypistkę.

– Przepraszam, panie profesorze, nikogo innego nie było...

– Pani mnie przeprasza? Jeżeli to pani wina, to istotnie, ma pani za co przepraszać. Ale jeżeli nie ponosi pani żadnej winy, to i przeprosiny są zbędne. Może być pani winna omyłek, nie braku umiejętności.

– Mam świadomość, że nie jestem przyzwyczajona... Kształciłam się w środowisku handlowo-biznesowym, nie jestem zaznajomiona z używaną przez pana terminologią. Wiem, że zależy panu na ścisłości...

– Umiem o to zadbać.

– Naturalnie. Przepraszam.

– Żegnam panią.

Szurnęło odsuwane krzesło, zaszeleściły odkładane papiery, trzasnęła zapalana zapalka. Chwilę później z pokoju wyszła młoda kobieta. Narzuciła sfatygowany płaszczyk, usiłując przy tym nie wypuścić z rąk pliku papierów i piórnika, ale bez powodzenia, bo ostatecznie wysypały jej się spod pachy. Jej dajmon – papuga – przysiadł na słupku poręczy schodów i mruknął coś z pogardą. Udała, że go nie słyszy, schyliła się, żeby pozbierać swoje rzeczy, i w tej samej chwili zauważyła Pantalaimona, który nie miał się gdzie schować i tkwił nieruchomo pod ścianą.

Wytrzeszczyła oczy, zaparło jej dech w piersi. Jej dajmon zaskrzeczał ze zgrozą.

Pan spojrzął jej w oczy i pokręcił głową.

– To niemożliwe – wyszeptwała.

– Owszem – przytaknął. – Niemożliwe.

Papuga pojękiwała żałośnie. Zza drzwi gabinetu mocniej zapachniało ziołem fajkowym. Kobieta zgarnęła papiery, pośpieszyła do drzwi i wyszła, nie założywszy nawet porządnie płaszcza. Papuga pofrunęła przodem. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Nie było na co czekać: Pan wszedł przez uchylone drzwi do gabinetu. Pod ścianami ciągnęły się regały z książkami, powietrze było ciężkie od dymu z cygar, a Gottfried Brande siedział sztywno wyprostowany za dużym biurkiem i patrzył prosto na Pantalaimona.

Był grubokościsty, wychudzony, miał krótkie siwe włosy i bardzo jasne niebieskie

oczy. Był w garniturze, jakby gotowy wygłosić wykład na uczelni. Na jego twarzy malowała się paniczna zgroza.

Pan rozejrzał się w poszukiwaniu jego dajmona: ogromny owczarek niemiecki leżał na dywanie u stóp profesora i spał – albo tylko udawał, że śpi. Sprawiał wrażenie, jakby próbował się maksymalnie skurczyć.

Brande się nie poruszył, przeniósł tylko wzrok w kąt pokoju. Trudno było stwierdzić, czy to jego naturalny wyraz twarzy, czy też w dalszym ciągu jest śmiertelnie przerażony, w każdym razie Pan był zbity z tropu. Takiej reakcji na pewno się nie spodziewał.

Podszedł bliżej i wskoczył na biurko.

Brande zamknął oczy i obrócił się w bok na fotelu.

– Ukradł pan wyobraźnię Lyry – powiedział Pan.

Filozof nic nie powiedział. Nie poruszył się.

– Ukradł ją pan – podjął Pantalaimon – albo zepsuł. Albo zatrzał. Z pańskiej winy stała się mała i nieżyczliwa. Przybyłem tutaj, żeby kazać panu naprawić dokonane szkody.

Drżącą ręką Brande namacał popielniczkę i odłożył cygaro. Nie otwierał oczu.

– Co pan przed chwilą dyktował?

Bez odpowiedzi.

– Nie brzmiało to jak powieść. Czyżby zarzucił pan pisanie beletrystyki?

Brande zatrzepotał powiekami, uchylił je dosłownie na ułamek cała (Pan stwierdził, że próbuje spojrzeć na niego z ukosa), po czym znów zamknął oczy.

– Kim jest ta dziewczyna w ogrodzie? Dlaczego płaci jej pan za głupie zabawy? –

Mówiąc to, Pan zdał sobie sprawę, że odkąd zostawił dziewczynę samą, nie słyszał ani jednego odbicia piłki o ścianę altanki. – Jak ma na imię? Ile jej pan płaci?

Brande westchnął, ale dyskretnie, ukradkiem, jakby starał się z tym nie zdradzić.

Pan usłyszał ruch na podłodze, jakby dajmon profesora się wiercił. Kiedy po chwili z dołu dobiegło stłumione skamlenie, podszedł do skraju biurka i spojrzął z góry na psa. Było w nim coś dziwnego i nie chodziło tylko o to, że takie duże, silne zwierzę okazuje tak wielki strach. Niepokojące zachowanie dajmona przypomniało Panowi słowa dziewczyny z ogródka.

Obejrzał się na Brandego.

– Mówiła, że tu są duchy – powiedział. – Że jest ich za dużo i że wracają. Myśli pan, że jestem duchem? Tak właśnie się panu wydaje?

Powieki Brandego pozostały kurczowo zaciśnięte. Zachowywał się jak człowiek, który myśli, że jeśli będzie tkwił w całkowitym bezruchu, stanie się niewidzialny.

– Kto by pomyślał, że wierzy pan w duchy? – ciągnął Pan. – Spodziewałbym się raczej, że wydrwi pan samą ideę duchów; że pogardza pan ludźmi, którzy w nie wierzą. W *Hiperchorezmijczykach* rozpiął się pan o tym na całą stronę. Nie pamięta pan własnych słów?

W dalszym ciągu żadnej odpowiedzi.

– Czy pański dajmon jest duchem? Dziwnie się zachowuje. Ach tak, zapomniałem: pan nie wierzy w dajmony. A on próbuje udąć, że wcale go tu nie ma. Tak samo jak pan zresztą. Za dużo duchów, powiedziała dziewczyna. Miała na myśli dajmony? Takie jak ja? Przychodzą nocą czy za dnia? Czy gdyby teraz otworzył pan oczy, też by je pan widział? Co robią? Mówią do pana? Dotykają pana i próbują siłą

otworzyć panu oczy? A może wciskają się panu pod powieki? Jest pan w stanie zasnąć, kiedy przez całą noc na pana patrzę?

W końcu Brande się poruszył: otworzył oczy i obrócił się w fotelu, żeby spojrzeć na swojego dajmona. Widząc morderczy wyraz jego twarzy, Pan po raz pierwszy leciutko się go przestraszył.

Ale Brande tylko zawołał do dajmona:

– Cosima! Chodź, Cosima.

Dajmon niechętnie wstał i ze spuszczonego łbem i podkulonym ogonem przemknął pod ścianą w stronę drzwi. Brande również wstał, szykując się do wyjścia, lecz w tej samej chwili drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem.

Do pokoju wpadła dziewczyna z ogródka. Brande spiorunował ją wzrokiem, owczarek skulił się i przypadł do ziemi, a Pan usiadł na biurku i patrzył.

– Ach! – Dziewczyna skrzywiła się i pokręciła głową. – Pełno ich w tym pokoju. Powinieneś je stąd wyrzucić, zamiast pozwalać im...

– Cicho bądź! – burknął Brande. – Nie będziemy rozmawiać o takich sprawach. Cierpisz na chorobę mózgu...

– Nie! Nie! Jestem tym zmęczona!

– Sabine, jesteś niezdolna do racjonalnej oceny sytuacji. Idź do swojego pokoju.

– Nie! Nie pójdę! Nie mam takiego zamiaru! Przybyłam tutaj, bo myślałam, że mnie pokochasz i będziesz mną zainteresowany, a tymczasem jedyna rzecz, która sprawia ci przyjemność, to ta głupia zabawa z piłką. A ja jej nie cierpię. Nienawidzę!

Czyli miała na imię Sabine i spodziewała się, że Brande ją pokocha. Skąd ten pomysł? Czy mogła być jego córką? Pan doskonale pamiętał gwałtowną wymianę zdań Lyry z lordem Asrielem w wybudowanym przez pancerne niedźwiedzie luksusowym więzieniu. Echa wypowiedzianych wtedy słów dźwięczały mu w głowie.

Dziewczyna cała się trzęsła. Zalana łzami wyciągała szpilki z włosów i potrząsała głową tak gwałtownie, że precyzyjnie ułożona koafiura rozsypała się w burzliwym blond chaosie.

– Sabine, opanuj się. Nie życzę sobie takich scen. Rób, co ci każe, i...

– Spójrz na niego! – wrzasnęła Sabine, wskazując Pantalaimona. – Kolejny duch z ciemności! Pewnie znów udawałeś, że go nie widzisz, tak jak wszystkich pozostałych. Nienawidzę życia tutaj. Dłużej tego nie zniosę. Nie dam rady!

Jej dajmon zmienił się w strzyżyka i fruwał dookoła jej głowy, popiskując żałośnie. Pan znów spojrzał na dajmona Brandego: owczarek leżał zwrócony tyłem do Sabine i jedną łapą nakrywał łeb. Sam Brande miał skrajnie nieszczęśliwą minę.

– Sabine – powiedział – uspokój się. To urojenia. Wyrzuć je z głowy. Nie mogę z tobą rozsądnie rozmawiać, kiedy się tak zachowujesz.

– Nie chcę twojego rozsądku! Nie chcę! Pragnę miłości, czułości, odrobiny zyczliwości! Czy ty jesteś zupełnie niezdolny do...

– Mam tego dość. Cosima? Cosima! Wychodzimy.

Psi dajmon wstał i strzyżyk natychmiast rzucił się na niego jak pocisk. Pies zaskowyczał i czmychnął z pokoju, a Sabine krzyknęła wniebogłose. Pan doskonale ją rozumiał: odczuwała przeszywający serce ból, gdy jej dajmon rzucił się w pościg za psem i się od niej oddalił. A Brande po prostu stał bezradnie i patrzył, jak dziewczyna przyciska ręce do piersi i osuwa się, omdlała, na dywan... Pan nie mógł się nadziwić: Brande i jego dajmon potrafili się rozdzielać! Naukowiec nie okazywał żadnych

oznak cierpienia, które wyrwało z piersi Sabine okrzyk bólu i kazało jej desperacko wyciągać ręce do małego ptaszka, jakby chciała go złowić w locie.

W końcu dajmon wrócił i spadł w jej ręce. Przez ten czas Brande wyminął ją i wyszedł z gabinetu w ślad za owczarkiem, kierując się ku schodom. Pan ruszył za nim, zostawiając zapłakaną Sabine na podłodze.

Brande i jego dajmon umieli się rozdzielać!

Zdezorientowany Pan raz po raz powtarzał to sobie w myślach, pędząc za nimi na górę. Czy to znaczyło, że między nimi układało się tak samo jak między nim i Lyrą? Też nienawidzili się nawzajem? Ale nie, to nie tak wyglądało. Tu działo się coś innego.

Brande wszedł do znanej już Panowi spartańskiej sypialni, ale zanim zdążył zamknąć drzwi, Pan wemknął się za nim. Psi dajmon kulił się na podłodze przed pustym kominkiem. Brande stanął obok niego i odwrócił się do Pana. W tej chwili wyglądał miał wybitnie nędzny, wręcz tragiczny.

– Interesuje mnie Proch – oznajmił Pan.

Zaskoczony Brande otworzył usta, jakby zamierzał odpowiedzieć, po czym przypomniał sobie, że przecież usiłuje ignorować Pana, i znów odwrócił wzrok.

– Niech mi pan powie, co o nim wie – kontynuował Pantalaimon. – Wiem, że mnie pan słyszy.

– Nie ma czegoś takiego – mruknął Brande ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Nie ma czegoś takiego jak Proch?

– Nie ma... czegoś... takiego – powtórzył z naciskiem Brande.

– No, przynajmniej odzyskał pan mowę – zauważył Pan.

Filozof spojrział na łóżko, na okno, na wciąż niezamknięte drzwi.

– Cosima – odezwał się.

Dajmon nie zareagował.

– Cosima – powtórzył łamiącym się głosem Brande. – Proszę cię.

Suka jeszcze bardziej nakryła łeb łapami. Brande jęknął – brzmiało to, jakby naprawdę cierpiał – i znów spojrział na Pantalaimona, prawie jakby błagał o łaskę.

– Mógłby pan udawać – powiedział Pan – że mnie widzi, słyszy i ze mną rozmawia. Powinno się udać.

Brande zamknął oczy i westchnął głęboko, po czym odwrócił się do drzwi i wyszedł. Dajmon został przed kominkiem, a Pan ruszył za Brandem, który przeszedł przez podest, wspiął się po kolejnych schodach, ciemniejszych i bardziej stromych niż główne, po czym otworzył zasuwkę w drzwiach prowadzących na nieurządzony strych. Pan deptał mu po piętach i gdy tylko filozof przekroczył próg pomieszczenia, wśliznął się za nim, nim drzwi się zamknęły.

– Czy pan się mnie boi? – zapytał.

Brande odwrócił się do niego.

– Niczego się nie boję. Nie uznaję strachu, to nie jest wartościowe uczucie. Pasożytuje na ludzkiej energii.

Przez trzy małe okna wpadały resztki dziennego światła. Gołe deski, odsłonięte belki i krokwie, gęste kłęby pajęczyn, i kurz – zwyczajny, wszechobecny drobny pył.

– Skoro już może pan mówić, proszę mi opowiedzieć o Prochu – powiedział Pantalaimon.

– To jest proch. – Brande przesunął dłonią po belce stropowej i zdmuchnął z niej kurz. Drobiniki zawirowały bez ładu i składu w powietrzu i powoli opadły na podłogę.

– Wie pan, o jaki Proch mi chodzi. Po prostu nie chce pan w niego uwierzyć.

– On nie istnieje. Wiara i niewiara nie mają tu nic do rzeczy.

– A co z naukowcami, którzy go odkryli? Co z Rusakowem? Co z polem Rusakowa?

– To oszust. Ludzie, którzy twierdzą, że dokonali takich odkryć, albo dali się zwieść, albo są nieuczciwi.

Emanująca od Brandego wzgarda była jak lampa lutownicza, której płomień zamienia wszystkie rzeczy w lód. Pan bał się wprowadzić jej mocy, ale nawet nie drgnął. Walczył w imieniu Lyry.

– A wyobraźnia?

– Co wyobraźnia?

– Wierzy pan w nią?

– Jakie to ma znaczenie, kto w co wierzy? Fakty są obojętne na wiarę.

– Ale wyobraził pan sobie historię opowiedzianą w *Hiperchorezmijczykach*.

– Wyprowadziłem ją z zasad podstawowych. Stworzyłem pewną historię, by zilustrować logiczne konsekwencje przesądów i głupoty. Każdy fragment tej książki został skomponowany w sposób beznamiętny, racjonalny i w stanie pełnej świadomości, nie w jakiejś chorobliwej krainie snów.

– Czy to dlatego jej bohaterowie w ogóle nie przypominają prawdziwych ludzi?

– Lepiej niż ty znam się na ludziach. Większość jest słaba, głupia i łatwo daje sobą manipulować. Tylko nieliczni są zdolni wybić się na oryginalność.

– Ale tamci są zupełnie inni niż ludzie w rzeczywistym świecie. Wszystko, co sprawia, że człowiek jest interesujący... Tego wszystkiego w tej książce po prostu nie ma.

– Chciałbyś, żeby słońce opisywało cienie. A przecież słońce nigdy nie widziało cienia.

– Ale świat jest pełen cieni!

– To nie jest interesujące.

– Czy Sabine jest pańską córką?

Brande nie odpowiedział. Podczas całej rozmowy spojrzał na Pantalaimona wszystkiego ze trzy razy, a teraz odwrócił się do niego tyłem, by kontemplować pogłębiający się mrok w głębi strychu.

– Zatem jest – stwierdził Pan. – Jak nauczył się pan rozdzielać ze swoim dajmonem... jak ona się nazywa... z Cosimą?

Filozof powoli opuścił głowę, aż brodą dotknął piersi. Znowu nie odpowiedział.

– Przybyłem tutaj – ciągnął Pan – bo po przeczytaniu pańskiej powieści Lyra nabrała przekonania, że rzeczy, w które wierzyła, są fałszem. Stała się przez to ogromnie nieszczęśliwa, tak jakby ukradł jej pan wyobraźnię i wraz z nią odebrał wszelką nadzieję. Chciałem je znaleźć i oddać Lyrze, dlatego przyszedłem z panem porozmawiać. Czy mam jej coś od pana przekazać, gdy wrócę?

– Wszystko jest tym, czym jest, i niczym więcej – odparł Brande.

– I już? Tylko tyle ma pan do powiedzenia?

Brande stał całkowicie nieruchomo. W półmroku przypominał posąg porzucony po złupieniu muzeum.

– Kocha pan córkę? – zapytał Pan.

Bezruch i cisza.

– Mówiła, że tu przybyła – ciągnął Pan. – Gdzie mieszkała wcześniej?

Żadnej odpowiedzi.

– Kiedy się zjawiała? Od jak dawna tu jest?

Być może barki filozofa ledwie dostrzegalnie drgnęły, był to jednak ruch zbyt nikły, by nazwać go wzruszeniem ramion.

– Mieszkała z matką? W innym mieście?

Brande odetchnął głęboko i leciuteńko przy tym zadygotał.

– Kto dobiera jej ubrania? Kto ją czesze? Czy to pan chce, żeby tak wyglądała?

Cisza.

– Czy ona sama ma coś do powiedzenia w tej kwestii? Pytał ją pan o zdanie? Czy chodzi do szkoły? Co z jej edukacją? Ma koleżanki? Pozwala jej pan wychodzić poza ogród?

Brande poruszył się z miejsca, ale przemieszczał się jak przygnieciony ciężkim brzemieniem. Szurając stopami, powlókł się w najdalszy kąt, gdzie było już prawie zupełnie ciemno. Tam usiadł na podłodze, podciągnął kolana pod brodę i ukrył twarz w dłoniach. Zachowywał się jak dziecko, któremu wydaje się, że gdy zakryje oczy, nikt go nie będzie widział. Pan poczuł wzbierającą mu w piersi falę współczucia. Próbował się jej oprzeć, pamiętał bowiem, jak przedstawione przez tego człowieka idee skrzywdziły Lyrę, gdy nagle zdał sobie sprawę, że ona również odczuwałaby to samo współczucie, co świadczyło o klęsce idei Brandego.

Drzwi na strych były cały czas otwarte. Pan cichutko wyszedł i zszedł na parter. U stóp głównych schodów, w holu, siedziała Sabine: darła kartkę papieru na małe kawałeczki i rozrzucała je w powietrzu jak płatki śniegu.

Podniosła wzrok, kiedy Pan przechodził obok niej.

– Zabiłeś go?

– Nie. Oczywiście, że nie. Dlaczego jego dajmon się tak zachowuje?

– Nie mam pojęcia. Oboje są głupi. Wszyscy są głupi. Nienawidzę tego miejsca.

– To dlaczego stąd nie odejdziesz?

– Nie mam dokąd pójść.

– Gdzie twoja matka?

– Nie żyje, jakżeby inaczej?

– Nie masz innych krewnych?

– Nie twój zakichany interes. Właściwie to nie wiem, po co się z tobą zadaję. Spadaj.

– Tylko otwórz mi drzwi.

Prychnęła ze wzgardą i otworzyła drzwi. Pantalaimon zszedł po schodkach na ulicę. Gazowe latarnie rozświetlały gęstniejącą mgłę. Gdyby ktoś tędy przechodził, odgłos jego kroków byłby przytłumiony, kontury sylwetki niewyraźne, a cień pełen możliwości, gróźb i obietnic – ale oczywiście słońce żadnej z tych rzeczy by nie dostrzegło.

Nie wiedział, dokąd pójść.

Zaledwie kilka przecznic dalej Olivier Bonneville schodził właśnie z pokładu statku.

Lyra znajdowała się tymczasem w pociągu na obrzeżach Pragi. Bez trudu kupiła w Paryżu bilet, nie budząc niczyich podejrzeń. Naśladowanie Willa i jego sposobu na niewidzialność najwyraźniej szło jej doskonale – albo to, albo mieszkańcy europejskich miast, przez które przejeżdżała, byli niezwykle obojętni lub osobliwie uprzejmi. Chociaż mogli też mieć inne sprawy na głowie. Na ulicach wyczuwało się napięcie, widywała też więcej takich mundurowych jak tamci dwaj na promie: ludzie w czarnych uniformach pilnowali ważnych gmachów, zbici w grupki dyskutowali na rogach ulic, wypadali z podziemnych parkingów za kierownicami radiowozów z jazgotliwymi, chłodzonymi powietrzem silnikami.

A może po prostu widok człowieka bez dajmona wcale nie był niewyobrażalny. W Amsterdamie widziała kobietę pozbawioną dajmona – piękną, ubraną zgodnie z najnowszą modą, pewną siebie, wręcz arogancką, a przy tym absolutnie obojętną na ciekawość przechodniów. Pewien mężczyzna w Brugii również nie miał dajmona, on jednak dodatkowo pogarszał swoją sytuację, gdy z zażenowaniem, nieśmiało, z nieszczęśliwą miną przemykał po ruchliwej ulicy pod ścianami domów, trzymając się w cieniu. Lyra wyciągnęła wnioski z obu tych przypadków i nosiła się skromnie, z chłodną pewnością siebie. Nie było to łatwe, w żadnym razie, i od czasu do czasu popłakiwała w samotności, ale o tym już nikt nie wiedział.

Do Pragi trafiła wiedzona ulotnym wspomnieniem, które nawiedziło ją na widok tej nazwy w rozkładzie jazdy. Wiele lat temu spędzili z Panem cały wieczór, ślęcząc nad starym planem miasta (w końcu to właśnie tam wynaleziono alethiometr) i tworząc w wyobraźni jego obraz, budynek po budynku. Kiedy teraz znów przeczytała napis „Praga”, wywołany przezeń przebłysk wspomnień uznała za przejaw działania tajemnej wspólnoty. Stawała się coraz bardziej wyczulona na te na wpół szeptane podpowiedzi, coraz lepiej odróżniała prawdziwe wskazówki od zwykłych zgadywanek.

Jednakże w Pradze czekało ją podjęcie ważkiej decyzji. Miasto było węzłem komunikacyjnym Środkowoeuropejskiej Kompanii Kolejowej, z którego jedne tory, o węższym rozstawie szyn, biegły na północ i wschód do Kijowa i Moskwy, a drugie, szersze, prowadziły na południe przez Austro-Węgry i Bułgarię do Konstantynopola. Droga północna byłaby dla niej naturalnym wyborem, gdyby zamierzała udać się prosto do Azji Środkowej i na Karamakan – tyle że na razie nic by jej z tego nie przyszło. Musiała znaleźć Pana, zanim spróbuje odszukać miejsce, w którym rosną róże.

A Pan był... No właśnie, gdzie? Jedyńm jej tropem był Błękitny Hotel, którego

arabska nazwa sugerowała, że leży daleko na południe od Moskwy. Gdyby udała się na północ, mogłaby przesiąść się w Kijowie i podążyć na południe inną trasą, do Odessy, dalej promem przez Morze Czarne do Trapezuntu i stamtąd do krajów arabskich. Droga przez Konstantynopol była mniej skomplikowana, ale podróż nią mogła trwać dłużej – albo krócej. Tak czy inaczej, Lyra nie wiedziała, dokąd właściwie zmierza. Jediną wskazówką była arabska nazwa Al-Chan al-Azraq.

Co gorsza, alethiometr nieszczególnie jej pomagał. Z nową metodą odczytu wiązały się tak przykre skutki uboczne, że po pierwszej udanej próbie użyła jej jeszcze tylko raz – i niczego się nie dowiedziała. Mogłaby wprowadzić odkryć co nieco na podstawie posiadanej wiedzy na temat symboli, ale bez ksiąg byłoby to jak nawlekanie igły w rękawicach bokserskich.

Jedyny jej pomysł na to, co robić dalej, gdy już odszuka Pantalaimona, wiązał się z Jedwabnym Szlakiem, starożytnym traktem wielbłądzych karawan wiodącym prosto do Azji Środkowej – tyle że po Jedwabnym Szlaku nie jeździły pociągi. Ba, nie była to nawet jedna konkretna droga, lecz cały pęk osobnych marszrut. Ten odcinek podróży nie zapowiadał się łatwo ani szybko, posuwałyby się naprzód z prędkością miejscowego wierzchowca (najprawdopodobniej wielbłąda). Wędrówka byłaby więc długa, a gdyby przed jej rozpoczęciem nie zdołali się z Panem pogodzić – z pewnością także bardzo ciężka.

Rozmyślała nad tym od dłuższego czasu. Odkąd w Brugii pożegnała się z walijskimi górnikiem, z nikim nie rozmawiała, jeśli nie liczyć kelnerów i pracowników kolei. Tęskniła za swoim dajmonem, nawet nieprzyjazny jej Pan z ostatnich miesięcy byłby przynajmniej dodatkowym głosem, dodatkowym punktem widzenia. Jakże trudno się człowiekowi myśli, gdy jest go tylko połowa!

Ściemniło się, zanim pociąg wjechał na dworzec w centrum Pragi. Lyra była z tego faktu zadowolona. Spodziewała się, że nikt nie będzie się dziwił podróżującej samotnie młodej kobiecie, ponieważ Praga była wyrafinowanym miastem, do którego ściągali studenci muzyki i innych sztuk pięknych z całej Europy Środkowej i nie tylko.

Oddała bilet przy wyjściu z peronu i odłączyła się od kłębiącego się w godzinach szczytu tłumu pasażerów, żeby poszukać biura informacji, gdzie miała nadzieję dostać rozkład jazdy, a przy odrobinie szczęścia także plan miasta. Hala dworca została zbudowana i ozdobiona w krzykliwym barokowym stylu: posągi nagich bogów i bogiń podpierały wszystkie okna i lampy gazowe, kamienne rośliny oplatały kolumny, wszystkie ściany miały ozdobne wnęki i pilastry, praktycznie nie było skrawka wolnej powierzchni, którą pozostawiono by pustą i gładką. Lyrze bardzo to odpowiadało, bo w środowisku takiego zamętu wizualnego czuła się bezpieczniej.

Przybrała stanowczą minę, utkwiała wzrok w przypadkowym punkcie na wprost (było obojętne, czy trafi jej się akurat stoisko z kawą, czy schody do części biurowej – musiała po prostu wyglądać, jakby codziennie podróżowała na tej trasie), i z determinacją, pewnym krokiem ruszyła przed siebie.

Udało jej się. Nikt nie przystawał na jej widok, nikt się na nią nie gapił, nikt nie wyrzekał ze złością i strachem na dziwadło bez dajmona. Właściwie wyglądało to tak, jakby nikt, zupełnie nikt jej nie zauważył. Doszła do końca hali i zaczęła rozglądać się za kasą biletową, gdzie miała nadzieję znaleźć kogoś, kto mówi po angielsku.

Zanim jednak znalazła kasę, ktoś położył jej dłoń na ramieniu.

Aż podskoczyła ze strachu – i natychmiast zbeształa się w myślach. Nie powinna okazywać lęku.

Mężczyzna, który jej dotknął, sam odruchowo się cofnął, widząc gwałtowność jej reakcji. Był w średnim wieku, nosił ciemny garnitur, dyskretny krawat i okulary, w ręce trzymał aktówkę: wypisz, wymaluj praworządny, szanowany obywatel.

Powiedział coś po czesku.

Lyra wzruszyła ramionami, zrobiła żalostną minę i pokręciła głową.

– Angielski? – zapytał.

Niechętnie skinęła głową i nagle doznała wstrząsu jeszcze większego niż przed chwilą, bo zdała sobie sprawę, że mężczyzna, który ją zagadnął, nie ma dajmona. Wyrzeszczyła oczy, otworzyła usta, jakby zamierzała się odezwać, obejrzała się do tyłu, rozejrzała na boki i w końcu zamknęła usta, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Tak – potaknął półgłosem mężczyzna – oboje nie mamy dajmonów. Chodź ze mną, tylko spokojnie, nikt nie zwróci na nas uwagi. Udawaj, że się znamy. Że rozmawiamy.

Pokiwała głową i ruszyła obok niego, gdy zaczął się przeciskać przez tłum w stronę głównego wyjścia.

– Jak się pan nazywa? – spytała cicho.

– Vaclav Kubiček.

Zabrzmiało to znajomo, ale wrażenie to ulotniło się równie szybko, jak się pojawiło.

– A pani?

– Lyra Złotousta. Skąd pan wiedział, że ja... Po prostu zobaczył mnie pan i instynktownie postanowił zagadnąć?

– Spodziewałem się pani przybycia. Nie znałem pani nazwiska, w ogóle nic o pani nie wiedziałem, poza tym, że jest pani jedną z nas.

– Jedną z nas... Jakich „nas”? I jak to możliwe, że się mnie pan spodziewał?

– Pewien mężczyzna potrzebuje pani pomocy. To od niego się dowiedziałem, że pani przyjedzie.

– Ale ja... Zanim stąd wyjdziemy, muszę wziąć rozkład jazdy.

– Mówi pani po czesku?

– Ani słowa.

– W takim razie ja to załatwię. Dokąd chce pani jechać?

– Przede wszystkim potrzebne mi są godziny odjazdów pociągów do Moskwy. Oprócz tego także odjazdy na drugiej linii, do Konstantynopola.

– Proszę pójść ze mną, zapytam. Za tymi drzwiami jest informacja – powiedział Kubiček, wskazując róg hali.

Weszli do biura informacji, gdzie mężczyzna powiedział coś bardzo szybko do pracownika, który odpowiedział pytaniem. Kubiček zwrócił się do Lyry:

– Czy jeśli pojedzie pani na południe, to interesują panią połączenia aż do samego Konstantynopola?

– Tak, do końca.

– Do Moskwy podobnie?

– Nawet dalej. Dokąd ta linia się ciągnie? Biegnie przez Syberię?

Kubiček przełożył jej odpowiedzi pracownikowi informacji, który wysłuchał go, okręcił się na obrotowym krześle i wziął dwie ulotki ze stojaka za plecami.

– Nie jest zbyt pomocny – powiedział po angielsku Kubiček. – Ale ja wiem, że linia moskiewska biegnie aż nad Bajkał, do Irkucka.

– Rozumiem – powiedziała Lyra.

Pracownik z niewidzącym, zmęczonym wzrokiem podsunął im ulotki po blacie biurka i wrócił do przerwanych zajęć. Lyra schowała ulotki do plecaka i wyszła w ślad za Kubičkem. Dochodziła do wniosku, że jej przewodnik jest wprawnym adeptem sztuki niewidzialności Willa. Może mogłaby się czegoś od niego nauczyć.

– Dokąd idziemy, panie Kubiček?

– Na stare miasto, do mojego domu. Wyjaśnię po drodze.

Wyszli z dworca i znaleźli się na skraju ruchliwego placu. Witryny sklepów były jasno oświetlone, w kawiarniach i restauracjach tłoczyli się goście, tramwaje przejeżdżały z cichym buczeniem biegnących górą przewodów jantarycznych.

– Zanim powie pan cokolwiek więcej... – odezwała się Lyra. – O co chodziło z tym, że jestem „jedną z was”? Kogo miał pan na myśli?

– Ludzi opuszczonych przez dajmony.

– Nie miałam pojęcia... – zaczęła Lyra, ale w tej samej chwili światło się zmieniło i Kubiček żwawym krokiem wszedł na jezdnię. Musiała poczekać, aż znajdzie się po drugiej stronie. – Do niedawna nie zdawałam sobie sprawy, że to się komukolwiek zdarza. Komukolwiek poza mną, naturalnie.

– Czuła się pani samotna?

– Rozpaczliwie samotna. Umieliśmy się z moim dajmonem rozdzielać. Oczywiście trzymaliśmy to w tajemnicy, na ile tylko było to możliwe, ale w ostatnich miesiącach... Nie wiem, jak to panu opisać. W ogóle pana nie znam.

– Jest w Pradze trochę takich jak my. Niezbyt wielu. Spotykamy się przez przypadek, czasem dowiadujemy się o sobie poprzez ludzi, którzy się nas nie boją. Bo paru przyjaciół jeszcze nam zostało. Odkryliśmy też podobne... siatki... w innych miastach. To swoista tajna organizacja, rzecz by można. Jeżeli powie mi pani, dokąd się udaje, będę mógł podać pani nazwiska i adresy paru takich osób w tamtym mieście. Zrozumiem, a w razie potrzeby pomogą pani. Ale jeśli mógłbym coś zasugerować... Odejdźmy lepiej od tej latarni.

Lyra skinęła głową i ruszyła za Kubičkem. Nie mogła się nadziwić jego słowom.

– Nie miałam pojęcia – powtórzyła. – Nie wiedziałam, że można tak żyć. Byłam przekonana, że wszyscy to od razu zauważą i mnie znienawidzą. Z niektórymi rzeczywiście tak to wyglądało.

– Wszyscy tego doświadczamy.

– Kiedy pański dajmon odszedł? A może to niegrzeczne pytanie? Widzi pan, jak ja mało wiem?

– Między sobą rozmawiamy o tym zupełnie otwarcie. Jedno mogę powiedzieć od razu: zanim odeszła, wiedzieliśmy, że możemy się rozdzielić.

Kubiček zerknął przelotnie na Lyrę, która pochwyciła to spojrzenie i pokiwała głową.

– To chyba powszechne zjawisko wśród nas – podjął. – Tak mi się wydaje. Przydarza się jakaś sytuacja awaryjna, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, pojawia się jakiś neodparty powód i wtedy rozdzielamy się po raz pierwszy. Ból jest okrutny, ale do przeżycia, prawda? Potem jest już łatwiej. My akurat nie zgadzaliśmy się w wielu kwestiach i stwierdziliśmy, że jesteśmy ze sobą nieszczęśliwi.

– O tak...

– Pewnego dnia uznała najwidoczniej, że będzie mniej nieszczęśliwa, jeśli się rozstaniemy. Może nawet w jej wypadku rzeczywiście tak właśnie było. Tak czy inaczej, odeszła. Może istnieje takie tajne stowarzyszenie dajmonów jak nasze, może pomagają sobie nawzajem tak jak my. Może nas obserwują, a może po prostu o nas zapomniały. Jakoś z tym żyjemy. Jesteśmy dyskretni, nie zwracamy na siebie uwagi. Nikomu nie robimy krzywdy.

– Próbował pan jej szukać?

– Za każdym razem, gdy otwieram oczy, mam nadzieję, że będzie przy mnie. Przemierzyłem wszystkie ulice, uliczki i zaułki, szukałem we wszystkich parkach, ogrodach, kościołach, nawet kawiarniach. Wszyscy to robimy, wszyscy od tego zaczynamy. Dręczy mnie lęk, że zobaczę ją kiedyś z innym mężczyzną, który jest mną. Moim sobowtórem. Na razie jednak... nic. No, ale nie po to pani szukałem, żeby opowiadać o sobie. Na początku tego tygodnia coś się wydarzyło: pewien człowiek przybył do naszego miasta i przyszedł do mnie. Spróbowałbym go opisać, ale nie znajduję odpowiednich słów ani po czesku, ani po angielsku, ani w łacinie. To najbardziej osobliwy człowiek, jakiego w życiu spotkałem, w dodatku znalazł się w koszmarnych tarapatach. Wie o pani i twierdzi, że będzie mu pani mogła pomóc. Zgodziłem się zaprosić panią do siebie, żeby go pani wysłuchała.

– Powiedział, że będę... Ale skąd w ogóle o mnie wie? – zdziwiła się Lyra.

Jak mogła liczyć na to, że przemierzy całą Europę i pół Azji przez nikogo niezauważona i o nic niepodejrzewana?

– Nie wiem. Ma wiele tajemnic. Również stracił dajmona, choć w innych okolicznościach. Nadzwyczaj trudno to opisać, naprawdę, ale zrozumie pani, gdy tylko go zobaczy. Chociaż i wtedy może pani nie uwierzyć własnym oczom. Być może nam, prażanom, łatwiej w to uwierzyć niż przybyszom z innych miast. Świat ukryty istnieje naprawdę, zajęty swoimi sprawami i targany swoimi namiętnościami. Od czasu do czasu coś z niego przecieka do widzialnego świata. Nie wiem, może w Pradze zasłona rozdzielająca światy jest cieńsza niż gdzie indziej.

– Tajemna wspólnota... – powiedziała Lyra.

– Tak? Nie znałem tego wyrażenia.

– Jeżeli będę mogła mu pomóc, oczywiście zrobię to. Ale moim najpilniejszym zadaniem jest podróż na wschód.

Szli w stronę Wełtawy. Kubiček wyjaśnił Lyrze, że to właśnie rzeką najwięcej ludzi przybywa do miasta i najwięcej je opuszcza, chociaż kolej zaczynała rywalizować z nią o palmę pierwszeństwa. Jego dom znajdował się na drugim brzegu, w Malej Stranie.

– Słyszała pani o Złotej Uliczce?

– Nie, co to takiego?

– Ulica, na której wedle powszechnego mniemania alchemicy wytwarzali złoto. To bardzo blisko mojego mieszkania.

– Ludzie nadal wierzą w alchemię?

– Wykształceni ludzie nie wierzą i wskutek tego uważają alchemików za głupców dążących do nieistniejącego celu. Dlatego nie zauważają ich i nie widzą tego, czym alchemicy naprawdę się zajmują.

W głowie Lyry zadźwięczał dzwoneczek: Sebastian Makepeace, oksfordzki

alchemik, cztery lata wcześniej powiedział jej niemal dokładnie to samo.

Dotarli nad rzekę. Kubiček rozejrzał się na wszystkie strony, zanim skierował się na most – szeroką, wiekową konstrukcję, na obu krawędziach ozdobioną posągami królów i świętych. Domy na drugim brzegu były stare, stłoczone, porozdzielane wąskimi uliczkami i koślawymi zaułkami, a nad tym wszystkim wznosił się oświetlony reflektorami zamek. Mimo chłodnego dnia na moście i uliczkach kłębiły się tłumy. Witryny sklepów i gospód były jasno oświetlone, pomiędzy posągami na moście świeciły gazowe latarnie.

Na drugim brzegu tuż przy moście znajdowała się przystań, do której właśnie ostrożnie podpływał napędzany kołem łopatkowym parowiec. Zbliżywszy się, Lyra z Kubićkiem ujrzeli sporą grupę pasażerów czekających na opuszczenie trapu, po którym mogliby zejść na ląd. Nie byli turystami, taszczyli ogromne walizy, plecaki, kartony obwiązane sznurkiem, wypchane kosze i torby na zakupy. Wyglądali, jakby uciekali przed jakąś katastrofą.

– Czy mężczyzna, o którym pan mówił, przyplłynął takim właśnie statkiem? – zainteresowała się Lyra.

– Tak.

– Skąd przybywają ci wszyscy ludzie?

– Z południa, znad Morza Czarnego i dalszych krain. Statki kursują stąd na północ, do miejsca, gdzie Wełtawa wpada do Łaby, i dalej do Hamburga i Oceanu Niemieckiego.

– Wszystkie statki, które tu przybijają, przywożą takich pasażerów? Ci wyglądają jak uchodźcy.

– Z każdym dniem ich przybywa. Magisterium zachęca prowincje kościelne do zaprowadzenia na swoim terytorium rządów silnej ręki. W Czechach nie jest jeszcze tak źle, są gorsze miejsca. U nas uchodźcy wciąż mogą liczyć na azyl. Ale to nie może trwać wiecznie, wkrótce my także będziemy zmuszeni odprawiać ich z kwitkiem.

Podczas krótkiego spaceru przez miasto Lyra zdążyła już zauważyć kilkoro ludzi kulących się po bramach lub śpiących na ławkach. Wzięła ich za żebraków i zrobiło jej się przykro, że takie wspaniałe miasto nie dba o swoich ubogich. W tej chwili patrzyła, jak ze statku na przystani wysiada rodzina: stara kobieta o lasce, matka z dzieckiem na rękę i czworo kolejnych dzieci, na oko sądząc poniżej dziesiątego roku życia. Każde z mozołem dźwigało jakiś karton, torbę albo walizkę. Za nimi szli jeszcze stary mężczyzna i nastoletni chłopiec, razem niosący zrolowany materac.

– Dokąd stąd pójdą? – spytała Lyra.

– Najpierw do Biura Azyłowego. A potem, jeśli nie mają pieniędzy, na ulicę. Chodź, tu skręcamy.

Oboje przyspieszyli kroku. Po przejściu przez most zagłębili się w labirynt zaułków u stóp zamku, w którym Kubiček tak kluczył, że Lyra wkrótce zupełnie się zgubiła.

– Pomoże mi pan potem wrócić na dworzec? – upewniła się.

– Naturalnie. Już niedaleko.

– Może mi pan powiedzieć coś więcej o człowieku, z którym mam się spotkać?

– Nazywa się Cornelis van Dongen. Jest Holendrem, jak zapewne się pani domyśla. Wolałbym, żeby resztę powiedział pani sam.

– A jeśli nie zdołam mu pomóc? Co wtedy zrobi?

- Wtedy kłopoty będę miał ja, wszyscy mieszkańcy Malej Strany i nie tylko.
- Składa pan na moje barki wielką odpowiedzialność, panie Kubiček.
- Wiem, że ją pani udźwignie.

Lyra nie odpowiedziała, za to nagle zdała sobie sprawę, jak wielkie głupstwo zrobiła, zapuszczając się w tę plataninę starych domów i wąskich uliczek w towarzystwie nieznanego mężczyzny.

Tu i ówdzie blask kinkieta gazowego padał na wilgotną ulicę, bruk, okiennice. Zgiełk ruchu ulicznego, turkot metalowych obręczy kół na kamieniu, buczenie tramwajów jantarycznych – wszystko to cichło, w miarę jak coraz bardziej zagłębiali się w czeluście starego miasta. Mijali coraz mniej ludzi, chociaż zdarzało im się przechodzić obok mężczyzn niedbale opartych o framugi drzwi i kobiet stojących pod latarniami, którzy kwitowali ich obecność mruknięciem, suchotniczym kasznięciem albo po prostu westchnieniem.

- Już niedaleko – powtórzył Kubiček.
- Zupełnie zabłądziłam – przyznała Lyra.
- Bez obaw, odprowadzę panią z powrotem.

Jeszcze raz skręcili na skrzyżowaniu, po czym Kubiček wyjął z kieszeni klucz i otworzył grube dębowe drzwi wysokiego domu. Wszedł pierwszy, zapalił zapałkę, a potem lampę naftową, żeby przyświecić Lyrze kluczącej wśród stosów książek piętrzących się po obu stronach wąskiego korytarza. Były tam też normalne regały, i to sięgające sufitu, ale Kubiček dawno zdążył je zapełnić i z następnymi książkami musiał przenieść się na podłogę. Książki stały nawet po bokach stopni schodów biegnących na piętro, w ciemność. Powietrze było zimne i zatęchłe, wonie skórzanych opraw i starego papieru nakładały się na zapachy gotowanej kapusty i smażonego bekonu.

– Tędy, proszę – powiedział Kubiček. – Mój gość jest poza domem. Handluje książkami i... Za niespełna minutę wszystko stanie się dla pani jasne.

Idąc z lampą przodem, zaprowadził Lyrę do niewielkiej kuchni, czystej, schludnej i wolnej od książek, jeśli nie liczyć trzech małych stosików na stole, na który gospodarz odstawił także lampę. Otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz.

- Proszę – powiedział. – Tędy.

Pełna obaw Lyra posłusznie ruszyła za nim. Zostawił lampę w kuchni i podwóreczko na tyłach domu byłoby zupełnie ciemne, gdyby nie rozjaśniająca niebo luna świateł miasta i...

Zaparło jej dech w piersi.

Od stojącego na podwórku mężczyzny w topornie uszytym ubraniu bił taki żar, że nie mogła do niego podejść. Był jak rozpalony piec. Grymas cierpienia wykrzywił mu wynędzniałą twarz, a Lyra aż sapnęła, gdy płomyki wymknęły mu się spod powiek. Natychmiast starł je gniewnym gestem ręki, jak dwie łyzy. Jego oczy pałały jak rozżarzone węgle, czarne i dyszące wewnętrzną czerwienią. Nie miał dajmona, a przynajmniej Lyra go nie widziała.

Powiedział coś do Kubička i ogień wylał mu się z ust. Jego głos miał w sobie coś z cichego, bulgotliwego ryku pożogi hulającej w przymałym kominku, żaru, który grozi podpaleniem komina.

– To Lyra Złotousta – powiedział Kubiček po angielsku. – Panno Złotousta, pozwoli pani, że przedstawię Cornelisa van Dongena.

– Nie mogę podać pani ręki – powiedział van Dongen – ale pozdrawiam panią i błagam o pomoc.

– Pomogę panu, jeśli tylko zdołam, ale... jak? Co mogę dla pana zrobić?

– Proszę znaleźć mojego dajmona. Jest gdzieś w pobliżu. Jest w Pradze. Proszę go dla mnie odszukać.

Lyra przypuszczała, że van Dongen ma na myśli poszukiwania za pomocą alethiometru. Musiałyby skorzystać z nowej metody, a wtedy powaliłyby ją mdłości.

– Muszę wiedzieć... – zaczęła, ale ostatecznie tylko pokręciła bezradnie głową.

Mężczyzna płonący niczym piec stał przed nią z rękami wyciągniętymi w błagalnym geście i dłońmi zwróconymi ku górze. Kiedy spod paznokci jego lewej dłoni trysnął rząd małych ogników, nakrył je prawą i zdławił.

– Co musi pani wiedzieć? – Jego głos brzmiał jak szum palnika gazowego.

– Wszystko! Bo ja wiem... Czy pański dajmon jest... taki jak pan?

– Nie. Ja jestem ogniem, ona jest wodą. Tęsknię za nią, a ona za mną...

Ogniste łzy spłynęły mu obficie po policzkach. Schylił się, nabrał garść ziemi i tak długo wcierał ją w oczy, aż ugasił płomienie. Lyra patrzyła na niego, zdjęta litością i zgrozą. Nieco lepiej go widziała, odkąd jej wzrok przywykł do ciemności. Jego twarz przypominała pysk zranionego zwierzęcia, świadomego swojego cierpienia, ale nieumiejącego go wytłumaczyć, jakby cały wszechświat był współwinny jego bólu i zgrozy. Mimochodem odnotowała, że ubranie mężczyzny jest uszyte z tkaniny azbestowej.

Musiał zobaczyć jej minę, bo skulił się i cofnął z zażenowaniem, potęgując w ten sposób jej zakłopotanie. Co powinna zrobić? Co mogła zrobić?

Nie mogła go tak zostawić.

– Muszę się o niej dowiedzieć więcej – powiedziała. – Na przykład: jak ma na imię? Dlaczego się rozdzieliliście? Skąd jesteście?

– Nazywa się Dinessa. Pochodzimy z Republiki Holenderskiej. Mój ojciec zajmuje się filozofią naturalną, matka zmarła, kiedy byliśmy młodzi. Razem z moim dajmonem uwielbiliśmy pomagać ojcu w laboratorium, gdzie pracował nad swoim *magnum opus*: wyizolowaniem podstawowych składników materii.

Kiedy mówił, bijące z jego ciała fale ciepła stawały się jeszcze gorętsze i Lyra instynktownie się odsunęła. Kubiček stał w drzwiach, z szacunkiem przysłuchując się rozmowie. Podwórko na tyłach było wspólne dla kilku sąsiednich domów, których okna także na nie wychodziły. Kiedy Lyra odruchowo odwróciła twarz przed żarem, mignęły jej rozświetlone okna i poruszające się za nimi pojedyncze sylwetki. Nikt jednak nie wyglądał na zewnątrz.

– Proszę mówić dalej – rzekła.

– Powiedziałem, że uwielbiliśmy z Dinessą pomagać mu w pracy. To było dla nas ważne, to było wspaniałe. Wiedzieliśmy tylko tyle, że odbywał spotkania i rozmawiał z nieśmiertelnymi duchami, ale to, co miały do powiedzenia, dalece przerastało nasze możliwości zrozumienia. Pewnego dnia opowiedział nam o żywiołach ognia i wody... – Van Dongen urwał w pół zdania, bezradnie szlochając kłębami płomieni.

– Van Dongen – zaniepokoił się Kubiček. – Proszę cię, miejże umiar...

Nerwowym spojrzeniem obrzucił okna sąsiednich budynków.

– Jestem człowiekiem! – wykrzyknął człowiek-piec. – Nadal jestem istotą ludzką!

Zakrył oczy dłońmi i zaczął się kołysać w przód i w tył. W tej chwili najbardziej potrzebował uścisku ramion drugiego człowieka – i właśnie na taki kontakt nie mógł liczyć.

– Co się stało? – dopytywała się obezwładniona litością Lyra.

– Ojca interesowała zmiana – odparł po chwili van Dongen. – Jak to się dzieje, że niektóre rzeczy się przeobrażają, a inne pozostają niezmiennie? Ufaliśmy mu, naturalnie, nie sądziliśmy, że z jego działań może wyniknąć coś złego. Byliśmy dumni, że przykładamy rękę do tak wspaniałego dzieła. Dlatego kiedy powiedział, że chce popracować nad nami i łączącym nas związkiem, a było to w czasie, gdy Dinessa mogła jeszcze zmieniać postać, zgodziliśmy się bez wahania. Procedura była długa i wyczerpująca, ale nie ustawaliśmy w wysiłkach i wypełnialiśmy wszystkie zalecenia ojca. Niepokoił się o nasze bezpieczeństwo, o wszystko się niepokoił, bo naprawdę kochał nas, nie mniej niż ukochał wiedzę. Podczas jednego z doświadczeń udało mu się upodobnić esencję naszych bytów do natury żywiolów: moją do ognia, a Dinessy do wody. A potem stwierdził, że nie umie tej przemiany cofnąć. Efekt jest trwały. Ja wyglądam tak, a mój dajmon nie może oddychać powietrzem i musi żyć w wodzie.

Płomień wykwitł mu na czole. Van Dongen starł go ruchem ręki.

– Dlaczego się rozdzieliliście?

– Po przemianie pozostaliśmy dla siebie nawzajem jedynym źródłem pociechy i otuchy, ale nie mogliśmy się już dotknąć, objąć, przytulić. To była męka. Musieliśmy ukrywać się w ogrodzie: mój dajmon w sadzawce, a ja w szopie skleconej z arkuszy blachy. Służba została przekupiona, żeby o nas nie wspominać. Ojciec robił, co w jego mocy, żeby zapewnić nam kryjówkę, ale słono za to płacił. Wyprzedawał dosłownie wszystko, co tylko mógł, żeby pokrywać wydatki. Nie wiedzieliśmy o tym, bo i skąd? W ogóle nic nie wiedzieliśmy. Pewnego dnia przyszedł w końcu do mnie i powiedział: „Przykro mi, moje dziecko, ale nie stać mnie na to, by dalej trzymać was w ukryciu. Plotki na wasz temat doszły do uszu Magisterium. Jeżeli ci ludzie odkryją prawdę, mnie aresztują, a was zabiją. Zmuszony jestem zasięgnąć rady wielkiego czarownika, jutro przyjdzie się z wami zobaczyć. Może będzie mógł wam pomóc”. Ach, co za fałszywe słowa! Żłudne nadzieje i fałszywe słowa!

Kaskady ognia spływały van Dongenowi po policzkach, ich poświata rozjaśniła ściany domów i rzuciła ostrzejsze cienie na mury. Lyra mogła tylko stać i bezradnie na to patrzeć. Otarł twarz rękawem azbestowej bluzy i strząsnął na ziemię mrowie iskierki, które zwijały się jak żywe, rozbłyскиwały i szybko gasły.

Kubiček podszedł nieco bliżej.

– Proszę cię, van Dongen, nie ekscytuj się tak. To jedyne miejsce, w którym możemy bezpiecznie rozmawiać, bez obaw, że dom zajmie się ogniem, ale wystarczy, że ktoś wyjrzy przez okno...

– Wiem, wiem. – Van Dongen westchnął ciężko. Obłok ognia i dymu buchnął mu z ust i rozpląnął się w powietrzu. – Wybacz.

Osunął się na kolana, skręcił ciało i usiadł po turecku. Spuścił głowę, ręce położył na kolanach.

– Czarownik istotnie przybył. Nazywał się Johannes Agrippa. Obejrzał nas oboje z Dinessą, po czym udali się z moim ojcem do pracowni, żeby porozmawiać w cztery oczy. Agrippa złożył ojcu propozycję: zapłaci duże pieniądze za mojego dajmona, ale zabierze tylko jego, mnie nie. Ojciec się zgodził. Oddał Dinessę temu człowiekowi,

jakby była zwierzęciem albo blokiem marmuru. Oddał mojego dajmona, moją jedyną towarzyszkę, jedyną istotę, która w pełni rozumiała nędzę naszego istnienia. Błagała go, by zmienić zdanie, ja również płakałam i prosiłam, ale był od nas silniejszy, zawsze był silniejszy, i dopiął swego: sprzedał mojego dajmona czarownikowi, który poczynił następnie przygotowania do przewiezienia Dinessy do Pragi, gdzie mieszkał. Rozstaniu towarzyszył nieopisany ból. Zostałem siłą przetrzymany w zamknięciu, dopóki Agrippa z Dinessą się nie oddalili, ale gdy tylko odzyskałem wolność, natychmiast ruszyłem na poszukiwania. Wiem, że ona gdzieś tu jest, i najchętniej zburzyłbym wszystkie mury i spalił wszystkie domy, sprowadziłbym na miasto pożogę, przy której wszystkie przeszłe pożary wydałyby się niewinnymi igraszkami. Wiem jednak, że Dinessa by wtedy zginęła i ja również zostałbym unicestwiony, zanim bym ją ponownie ujrzał. Muszę ją odnaleźć, panno Złotousta, i wierzę, że pani może mi w tym pomóc. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest mój dajmon.

– Skąd pan o mnie wie?

– W świecie duchów jest pani sławna.

– Czym właściwie jest ten świat duchów? Nic o nim nie wiem. Nie wiem, co to takiego „duch”.

– Materia czyni ducha.

Ta odpowiedź zbiła Lyrę z pantafelku. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Może chodzi o tę pani tajemną wspólnotę – odpowiedział Kubiček.

– Wie pan, jak działa alethiometr? – zwróciła się Lyra do van Dongena.

Gdy zdumiony Holender rozłożył bezradnie ręce, we wnętrzach jego dłoni od razu zapłonęły ogniki. Zgasił je, tłukąc rękami o ziemię.

– Alethio... – Pokręcił głową. – Nie znam tego słowa. Co oznacza?

– Myślałam, że chce pan, bym go użyła. Alethiometru. Pozwala odkryć prawdę, chociaż bardzo trudno jest wyczytać z niego odpowiedź. Na pewno nie to miał pan na myśli?

Znowu przeczący ruch głowy. Drobne łzy płynęły po policzkach Holendra jak krople lawy.

– Nie wiem! – wykrzyknął. – Nie wiem! To ty powinnaś wiedzieć! To ty!

– Ale ja nic więcej nie mam... Nie, zaraz. Jest jeszcze to.

Lyra miała przy sobie sfatygowany notatnik przywieziony przez Hassalla z dalekiej Azji Środkowej, w którym Pan zostawił swój okrutny liścik. Nagle uświadomiła sobie, że to właśnie w nim widziała wcześniej nazwisko Kubička. To dlatego wydało jej się znajome, gdy się przedstawił. Wyjęła notes z plecaka i pośpiesznie go przekartkowała w poszukiwaniu wpisu poświęconego Pradze.

Było ciemno i niewiele widziała, musiała więc przykucnąć obok człowieka-pieca i czytać przy blasku jego pałających wściekle oczu. I rzeczywiście, znalazła Kubička i jego adres w Malej Stranie. Znalazła łącznie pięć nazwisk przypisanych do praskich adresów; każdy był wpisany innym piórem i innym charakterem pisma. Ostatnie nazwisko, na które natrafiła, wpisano ołówkiem, na marginesie i obrócone bokiem, żeby zmieściło się na stronicy: „doktor Johannes Agrippa”.

– Mam! – zawołała, wyteżając wzrok. Żar bijący z oczu van Dongena był jednak zbyt silny. Wstała i podsunęła notatnik Kubičkowi. – Nie mogę odczytać adresu, może panu się uda.

Zaciekawiony van Dongen również wstał i zaczął klaskać, otrząsając z rąk iskry,

które wirowały w powietrzu jak wyrzucane z wiatraczka fajerwerki. Jedna spadła na dłoń Lyry i zakłuła jak igłą, aż zaparło jej dech w piersi. Zgasiła ją drugą ręką i pośpiesznie się odsunęła.

– Och, przepraszam! – zmitygował się Holender. – Przepraszam. Czytaj, proszę. Czytaj.

– Ciszej! – odezwał się Kubiček. – Błagam, van Dongen, nie tak głośno. Adres, adres... A tak, już widzę.

– Co to za miejsce? Gdzie on mieszka? – Z gardła van Dongena dobył się stłumiony ryk płomieni.

– Stary Żelazniczy Most czterdzieści trzy. To niedaleko. Pod starym mostem kolejowym jest takie skupisko... pracowni i warsztatów, powiedzmy. W życiu bym nie pomyślał...

– Pójdziemy od razu – powiedział van Dongen. – Zaprowadź mnie tam!

– Może bym ci powiedział, gdzie to jest... albo narysował plan...

– Nie! To nie wchodzi w grę. Musisz mi pomóc. Panienska też pójdzie z nami. Przynajmniej panią będzie traktował z szacunkiem.

Lyra raczej w to powątpiewała, ale musiała z nimi pójść, jeśli chciała, żeby później Kubiček odprowadził ją na dworzec. Skinęła głową. Była ciekawa rozwoju wypadków i odczuwała wyraźną ulgę, że oszczędzono jej sesji nowej metody.

– Dobrze – powiedział Kubiček. – Van Dongen: nie hałasuj i nie mów zbyt wiele. Jesteśmy trojgiem zwyczajnych mieszkańców, którzy wracają do domu.

– Tak, tak. Chodźmy już.

Kubiček przeprowadził ich z powrotem przez dom i wyprowadził na ulicę. Holender z największą ostrożnością przeszedł pomiędzy stosami książek. Lyra trzymała się od niego z daleka.

Ciemne uliczki i kręte zaułki Malej Strany były praktycznie puste, co najwyżej czasem jakiś polujący kot albo uciekający szczur czmychały przed trójką pieszych. Pierwszych ludzi zobaczyli dopiero na skrawku nieużytków przy wysokim murze fabryki, gdzie grupa mężczyzn zebrała się wokół koksownika: siedzieli na skrzynkach i stertach worków, palili i gapili się na troje przechodniów. Zignorowali wymamrotane przez Kubička uprzejme powitanie. Lyra wyraźnie czuła na sobie brzemie ich zainteresowania, gdy odprowadzali ją wzrokiem, idącą po nierównym gruncie i próbującą nie wpaść w żadną dziurę i nie wdepnąć w którąś z oleistych kałuż. Za to van Dongenem zupełnie się nie zainteresowali, on zaś chyba w ogóle ich nie zauważył, bez reszty skoncentrowany na coraz bliższych kamiennych łukach starego mostu kolejowego.

– To tam? – zapytał. – To jest to miejsce?

Struga ognia buchnęła mu nad głowę, rozděła się jak balon i zgasła. Lyra wyraźnie usłyszała przerażone stęknienie kogoś z mężczyzn przy koksowniku.

Most wznosił się wysoko ponad niezagospodarowanym terenem. Pod każdym łukiem znajdowały się drzwi – niektóre z drewna, inne z pordzewiałej stali, jeszcze inne po prostu z grubszej tektury. Większość z nich była zamknięta na kłódkę, ale dwoje stało otworem i padające z wnętrza światło lamp naftowych rozlewało się żółtą kałużą przed wejściem. Za jednymi drzwiami znajdował się warsztat, w którym mechanik składał silnik; jego dajmon w ciele mały podawał mu kolejne części. Drugie prowadziły do sklepiku, gdzie starsza kobieta sprzedawała paczuszkę ziół

drugiej, młodszej i wyniszczonej, która mogła być w ciąży.

Van Dongen chodził w tę i z powrotem wzdłuż rzędu drzwi, szukając numeru 43.

– Nie ma! – powiedział. – Nie ma czterdziestki trójki! – Wraz ze słowami wypływał kolejne jęzory płomieni.

Mechanik znieruchomiał z gaźnikiem w ręce i spojrzął na nich podejrzliwie.

– Van Dongen... – upomniął Holendra Kubiček.

Van Dongen zamknął usta. Dyszał ciężko, jego oczy płonęły jak dwa reflektory.

– Numery są nie po kolei – zauważyła Lyra.

– W Pradze domy numeruje się według kolejności wybudowania – wyjaśnił szepem Kubiček. – Z tymi warsztatami jest tak samo. Musicie sprawdzić wszystkie.

Co rusz oglądał się na siedzących wokół koksownika mężczyzn. Kiedy Lyra na nich spojrzała, stwierdziła, że dwóch z nich wstaje i przygląda im się z zainteresowaniem. Van Dongen pędził od drzwi do drzwi i obrzucał je po kolei przelotnym spojrzeniem, zostawiając za sobą pasmo zwęglonej trawy. Lyra ruszyła za nim, z większą uwagą przyglądając się drzwiom. Niektóre numery – topornie wymalowane na biało albo nagryzmołone kredą – były łatwe do odczytania, ale inne złuszczyły się lub wyblakły i stały się praktycznie nieczytelne.

Nagle wpadły jej w oko drzwi wyraźnie solidniejsze od pozostałych, dębowe, zawieszane na masywnych żelaznych zawiasach. Obok, na ceglanej podporze mostu, przytwierdzono odlaną z brązu lwią maskę. Na środku drzwi wydrapano jak gwoździem numer 43.

Cofnęła się spod nich i zawołała półgłosem:

– Panie Kubiček! Panie van Dongen! To tutaj!

Przybiegli jednocześnie, chociaż Kubiček ostrożnie kluczył wśród kałuż, a van Dongen pędził na złamanie karku. Lyra nie bardzo wiedziała, jak do tego doszło, ale wyglądało na to, że w tej chwili to ona tu dowodzi.

Zapukała stanowczo do drzwi.

– Kim jesteście? – zapytał odlany z brązu lew.

– Podróżnikami – odparła. – Sława wielkiego mędrca, doktora Johannes Agrippy, sięga daleko. Przybyliśmy prosić go o radę.

Dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdała sobie sprawę, że lew przemówił po angielsku, a ona odruchowo odpowiedziała w tym samym języku.

– Mistrz jest zajęty – powiedział lew. – Przyjdźcie w przyszłym tygodniu.

– Wtedy już nas tu nie będzie. Dlatego musimy się z nim zobaczyć teraz. Mam dla niego... wiadomość z Republiki Holenderskiej.

Kubiček ścisnął Lyrę za rękę, van Dongen ocierał płomyczki wykwitające mu wokół ust. Czekali.

– Mistrz Agrippa poświęci wam pięć minut – przemówił po krótkiej chwili lew. – Wejdźcie i czekajcie.

Drzwi się otworzyły i że środka buchnęło powietrze przesycone dymem i gęste od aromatów ziół, przypraw i minerałów. Van Dongen próbował przepchnąć się obok Lyry i chciał pierwszy wejść do środka, ale złapała go i powstrzymała. Natychmiast tego pożałowała: jakby dotknęła rozpalonego do czerwoności żelaza.

Przycisnęła rękę do piersi, stłumiła okrzyk bólu i weszła do pracowni. Kiedy jej towarzysze także przestąpili próg, drzwi się za nimi zamknęły. Ceglane ściany i betonową podłogę ledwie, ledwie oświetlała pojedyncza perła zwieszająca się na

nitce z sufitu i pulsująca blaskiem w rytmie przypominającym oddech żywej istoty. W jej świetle zobaczyli...

Niczego nie zobaczyli. Wnętrze było puste.

– Dokąd mamy iść? – zapytała Lyra.

– Na dół – dobiegł ich szept z powietrza.

– Tam! – Van Dongen wskazał w kąt pomieszczenia.

Wielki, skłębiony jęzor ognia buchnął mu z ust, rozlał się pod sufitem i zaraz zgasł, ale w jego świetle zdążyli zobaczyć klapę w podłodze. Van Dongen pośpieszył w jej stronę, gotowy złapać za żelazny pierścień, żeby ją otworzyć.

– Nie! – powstrzymała go Lyra. – Niech pan niczego nie dotyka. W ogóle najlepiej niech pan nie schodzi na dół, proszę zostać tutaj i czekać na mój znak. Panie Kubiček, proszę go pilnować.

– Już niedługo – powiedział Kubiček do Holendra. – Niedługo.

Cofnęli się w przeciwny kąt pomieszczenia. Lyra podniosła klapę.

Tuż pod nią zaczynały się drewniane schody prowadzące w głąb piwnicy oświetlonej ostrym blaskiem ognia. Lyra zeszła po schodach i zatrzymała się u ich stóp, żeby się rozejrzeć. Sklepienie pomieszczenia przez wieki poczerniało od dymu. Na samym środku stał ogromny piec nakryty miedzianym okapem, który wyżej przechodził w komin i przebijał sufit. Tysiące rozmaitych przedmiotów wisiały na ścianach, zwieszały się spod sklepienia albo stały na podłodze: retorty i tygły, ceramiczne dzbany, otwarte skrzynki z solą, barwnikami i suszonymi ziołami, książki w różnym wieku i najróżniejszych formatach (niektóre otwarte, inne poutykane na półkach), przyrządy filozoficzne, cyrkiel, karuzelowy stojak na fotogramy, *camera lucida*, stojak z butelkami lejdejskimi, generator Van de Graaffa, bezładny stosik kości (niektóre mogły być ludzkie), rozmaite rośliny pod przykurzonymi szklanymi kloszami i mnóstwo innych rekwizytów.

Makepeace!, pomyślała od razu Lyra. Ta pracownia do złudzenia przypominała jej laboratorium oksfordzkiego alchemika.

Przy piecu, widoczny w czerwonej poświacie żarzących się węgli, stał mężczyzna w prostym roboczym ubraniu. Mieszał w kotle, którego gotująca się zawartość emanowała gryzącą woń, i recytował – być może po hebrajsku – słowa czegoś, co mogło być zaklęciem. Na ile Lyra mogła go ocenić w tym świetle, był w średnim wieku, a jego twarz zdradzała dumny charakter, niecierpliwość, siłę i nieprzeciętny intelekt. Na razie chyba jej nie zauważył.

Przelotnie przypomniał jej się ojciec, zaraz jednak odsunęła od siebie tę myśl i przeniosła wzrok na drugi duży obiekt w piwnicy: sięgającą jej do pasa kamienną wannę o wymiarach sześć na dziesięć stóp, pełną wody, w której pływał dajmon Cornelisa van Dongena. Dinessa, wodny duch, miała postać syreny i pozostawała w nieustannym ruchu: pływała od jednego skraju zbiornika do drugiego, w tę i z powrotem, skręcając przy tym całe ciało, wijąc się z wdziękiem jak powój oplatający gałązkę drzewa, naga, piękna i doskonała w każdym calu. Czarne włosy snuły się za nią niczym arcydelikatne wodorosty. Była prześliczna. Zawróciwszy przy przeciwnym brzegu zbiornika, dostrzegła Lyrę i rzuciła się w jej stronę niczym najszybsza z ryb.

Zanim jednak zdążyła wyskoczyć ponad powierzchnię wody, Lyra przytknęła palec do ust i wskazała czarownika zajętego rzucaniem zaklęcia. Dinessa zrozumiała,

znieruchomiła i utkwiała w niej błagalne spojrzenie. Lyra skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć, gdy wtem zobaczyła zawieszoną nad wanną wielką, skomplikowaną maszynę z mnóstwem żelaznych tłoków, zaworów, korbowodów, kół, zębatek, popychaczy i innych części, których nazw nie знаła, a przeznaczenia nie potrafiła się domyślić.

Usłyszała za plecami krzyk i podmuch gorąca przypalił jej włosy. Kiedy się odwróciła, van Dongen był już w połowie schodów, a próbujący go zatrzymać Kubiček deptał mu po piętach i krzywił się z bólu. Oparzona dłoń przypomniała o sobie pulsującym bólem.

W następnej chwili obaj znaleźli się na dole, w piwnicy.

Wybuchło zamieszanie. Zawieszony pod sufitem wypchany krokodyl zaczął się szarpać w łańcuchach, więc spazmatycznie, smagać powietrze ogonem i ryczeć. Ustawione w rzędzie przykurzone szklane słoje, jednogalonowe i większe, zawierające osobliwe okazy przyrodnicze, płody, homunkulusy i głowonogi, zaśniły światłem, gdy znajdujące się w nich martwe stwory zaczęły bić pięściami w szkło, szlochać z wściekłości albo miotać się na boki. Metalowy ptak w zakurzonej klatce rozśpiewał się krzykliwie. Woda w zbiorniku Dinessa cofnęła się przed van Dongenem, uniosła w postaci wielkiej fali i rozedrgana znieruchomiła w powietrzu. Wodny dajmon tkwił zamknięty w jej wnętrzu jak insekt unieruchomiony w bursztynie, ale na widok swojego człowieka wyciągnął do niego ręce.

– Cornelis! – zawołała Dinessa. – Cornelis!

Wszystko działo się zbyt szybko, żeby ktokolwiek mógł to zatrzymać.

– Dinessa! – wykrzyknął van Dongen.

Skoczył wprost w wezbraną falę. Dinessa wyrwała się z niej i rzuciła mu w ramiona.

Zderzyli się w eksplozji ognia i pary. Przez moment Lyrze mignęły ich twarze, świetliste i oczarowane, gdy zwarli się w ostatnim uścisku, a potem zniknęli.

Machina nad zbiornikiem ożyła. Strugi przegrzanej pary wciskały się do cylindrów, poruszane przez nie tłoki wprawiały w ruch popychacze, które z kolei obracały ogromnym kołem. Wszystko poruszało się z gładkim tykaniem dobrze naoliwionej maszynierii.

Oniemiali Lyra z Kubičkem mogli tylko stać i patrzeć, zanim w końcu Lyra przeniosła wzrok na czarownika, który akurat zamykał trzymaną w rękach księgę. Miał minę człowieka, który właśnie zakończył długie, żmudne zadanie.

– Co pan zrobił? – wykrztusiła.

– Uruchomiłem mój silnik – odparł Agrippa.

– Ale jak? I gdzie oni się podziali, człowiek i jego dajmon?

– Wypełniają przeznaczenie, dla którego zostali stworzeni.

– To na pewno nie było ich przeznaczeniem!

– Nic nie wiesz na ten temat. To ja doprowadziłem do ich narodzin, i to ja sprowadziłem tutaj dajmona, by uczestniczył w moim dziele. Jego chłopiec początkowo mi się wymknął, ale to już bez znaczenia: zaaranżowałem wszystko tak, żebyś go odszukała i sprowadziła do mnie. Twoja rola dobiegła końca. Możesz odejść.

– Najpierw ojciec ich zdradził, a teraz pan zrobił im coś takiego!

– To ja jestem ich ojcem.

Machina wyraźnie przyśpieszyła, oszołomiona Lyra czuła, jak cała piwnica dygocze od jej mocy. Krokodyl znieruchomiał, jeśli nie liczyć powolnego zamiatania ogonem z boku na bok. Zamknięte w butlach homunkulusy przestały krzyczeć i walić pięściami w szkło i z błogością pławiły się w zalewającej je cieczy, która pałała teraz słabą i równą czerwoną poświatą. Złote pióra metalowego ptaka w klatce mieniły się ozdobną emalią i szlachetnymi kamieniami, a on sam śpiewał słodko niczym słowik.

Agrippa stał spokojnie, z księgą w ręce, jakby czekał, aż Lyra zada mu jakieś pytanie.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego zrobił pan to w ten sposób? Po co poświęcać dwa istnienia? Nie można było rozpaścić ognia w normalny sposób?

– To nie jest zwyczajny ogień.

– Dlaczego? – powtórzyła Lyra. – Niech mi pan powie.

– To nie jest zwyczajny silnik, zwyczajny ogień ani zwyczajna para.

– Tym właśnie dla pana byli: innym rodzajem pary? Para to tylko para.

– Nic nie jest tylko sobą.

– To nieprawda. Rzeczy są tylko tym, czym są, i niczym więcej – odparła Lyra.

Czuła się trochę nieswojo, cytując Gottfrieda Brandego.

– Widzę, że dałaś się zwieść temu kłamstwu.

– Uważa pan, że to kłamstwo?

– Jedno z największych kłamstw w dziejach. Nie sądziłem, że dasz się na nie nabrać. Myślałem, że masz więcej wyobraźni.

Zaskoczyły ją te słowa.

– A co pan o mnie wie?

– Wiem tyle, ile trzeba.

– Czy odnajdę swojego dajmona?

– Tak, ale nie w taki sposób, jak myślisz.

– Co to znaczy?

– Wszystko jest ze sobą połączone.

Lyra przetrwała te słowa.

– A jaki jest mój związek z tą sprawą? – zapytała.

– Ta sprawa przywiodła cię do jedyne go człowieka, który może ci powiedzieć, czy w następnym etapie swojej podróży powinnaś wyruszyć na wschód, czy na południe.

To było niemożliwe, a jednak działo się naprawdę. Lyrze aż zakręciło się w głowie.

– W takim razie słucham – powiedziała. – Dokąd powinnam się udać?

– Zajrzyj do swojej *clavicula*. – Agrippa wskazał notes przywieziony przez Hassalla.

Lyra otworzyła go na stronie, na której widniał poczyniony ołówkiem dopisek. Poniżej nazwiska i adresu Agrippy dostrzegła coś, co wcześniej uszło jej uwagi: „Kaź jej jechać na południe”.

– Kto to napisał?

– Ten sam człowiek, który wpisał tam moje nazwisko i adres: pan Sebastian Makepeace.

Lyra musiała się mocno chwycić krawędzi kamiennej wanny.

– Skąd on...

– Dowiesz się tego w swoim czasie. Nie ma sensu, żebym teraz ci to objaśniał, i tak byś nie zrozumiała.

Czując lekkie dotknięcie w ramię, Lyra odwróciła się i spojrzała w twarz bladego, podenerwowanego Kubička.

– Jedną chwileczkę – powiedziała i znów zwróciła się do Agrippy: – Proszę mi opowiedzieć o Prochu. Wie pan, o czym mówię?

– Oczywiście. Słyszałem o Prochu, o polu Rusakowa... Co ty myślisz, że tkwię w siedemnastym wieku? Czytam wszystkie periodyki naukowe; niektóre są nadzwyczaj zabawne. Ale powiem ci coś innego. Masz alethiometr, prawda?

– Tak, mam.

– Otóż alethiometr nie jest jedynym narzędziem do czytania z Prochu. Ba, nie jest nawet najlepszym.

– Jakie są inne?

– Powiem ci tylko o jednym. To talia kart.

– Ma pan na myśli tarot?

– Bynajmniej. Tarot to bezczelne współczesne oszustwo mające na celu wyłudzenie pieniędzy od naiwnych romantyków. Ja mówię o talii kart z obrazkami, zwykłymi rysunkami. Zorientujesz się, kiedy je zobaczysz.

– A co może mi pan powiedzieć o czymś, co nazywa się tajemną wspólnotą?

– To jedna z nazw świata, z którym mam do czynienia, świata ukrytych rzeczy i ukrytych związków. To przyczyna, dla której nic nie jest tylko sobą.

– Jeszcze dwa pytania. Szukam miejsca zwanego Błękitnym Hotelem, Al-Chan al-Azraq. Słyszał pan o nim?

– Owszem. Czasem nazywany jest inaczej: Madinat al-Qamar. Miasto Księżyca.

– Gdzie się znajduje?

– Pomiędzy Seleucją i Aleppo. Można się do niego dostać z obu tych miast. Jednakże odszukanie dajmona będzie dla ciebie ogromnie trudne i bolesne, a on nie będzie mógł z tobą wrócić, jeżeli nie zgodzisz się na wielkie poświęcenie. Jesteś na to gotowa?

– Tak. Moje drugie pytanie brzmi: co oznacza słowo *akterrakeh*?

– Skąd je znasz?

– Słyszałam je w kontekście opowieści o miejscu zwanym Karamakan. To musi być jakiś sposób przemieszczania się albo coś tym rodzaju. Mówi się o podróżowaniu *akterrakeh*.

– To z łaciny.

– Naprawdę? Jak to?

– *Aqua terraque*.

– Woda, ziemia...

– Wodą i lądem.

– Aha. To znaczy... co właściwie?

– Są na świecie takie wyjątkowe miejsca, do których można dostać się tylko, wędrując oddzielnie od swojego dajmona. Jedno musi podążyć wodą, drugie lądem.

– Ale to miejsce leży pośrodku pustyni! Tam nie ma żadnej wody.

– Mylisz się. Miejsce, o którym mówisz, leży pomiędzy pustynią i ruchomym jeziorem. Chodzi o słone mokradła i płytkie strumienie wpadające do Łob-nor, których koryta zmieniają się w nieprzewidywalny sposób.

– Ach tak! Teraz rozumiem.

Słowa Straussa skreślone na wystrzępionych stronicach znalezionych w plecaku Hassalla nabrały sensu. Tyle rzeczy nagle się wyjaśniło! Podróż do czerwonej budowli wymagała rozdzielenia człowieka i dajmona. Dajmon Straussa dotarł na miejsce bez przeszkód, dlatego oboje mogli wejść do środka. Tymczasem dajmonowi Hassalla się nie udało – chociaż później jakoś zdołali się odnaleźć. Tak to więc wyglądało: nie zdoła wejść do czerwonego gmachu, jeżeli Pan nie zgodzi się przejść przez Łob-nor, gdy ona będzie przemierzała pustynię. Gdy nowa wiedza rozwiewała zalegające w jej umyśle mgły wątpliwości, Lyra przypomniała sobie pierwsze wrażenie po przeczytaniu dziennika Straussa: była wtedy przekonana, że wie, co znajduje się we wnętrzu budowli. Ta wiedza skrzyła się teraz i mieniła obiecująco niczym miraż, lecz nadal pozostawała tuż, tuż poza jej zasięgiem.

Stojąc pośrodku zadymionej piwnicy, wsłuchana w pewny, miarowy rytm tłoków, popychaczy i zaworów dowodzący ostatecznego zespolenia Cornelisa i Dinessa, spróbowała znów skoncentrować się na osobie Agrippy.

– Skąd pan o tym wszystkim wie? – zapytała. – Odbył pan tę podróż?

– Wystarczy tych pytań. Ruszaj.

Kubiček pociągnął Lyrę za rękaw i razem podeszli do schodów. Obejrzała się jeszcze raz na tętniącą życiem piwnicę, w której trwała realizacja wielkich i tajemniczych planów. Agrippa sięgnął po skrzynkę z ziołami, uprzątnął kawałek blatu roboczego i zdjął z półki wagę. Maszyna parowa pracowała cicho, rytmicznie, z mocą. Czarownik wyciągnął rękę i pochwycił małe pudełko, które jakby samo z siebie podpłynęło do niego w powietrzu. Światelka zapłonęły nad rozlicznymi słojami, butelkami i pudłami na półkach, a także obok dwóch szuflad ogromnej mahoniowej komody. Agrippa wyjmował coś kolejno z podświetlonych w ten sposób pojemników, a odpowiedzialny za światelka duch (Lyra nie umiała znaleźć innego słowa) przefrunął przez pomieszczenie i dołączył do swojego kompana siedzącego na blacie. Wszystko w piwnicy zdawało się żywe i złączone dążeniem do wspólnego celu, Agrippa zaś – bez reszty pochłonięty pracą, spokojny i pewny swoich działań – sprawiał wrażenie człowieka spełnionego, który nie może się doczekać, by przejść do kolejnego etapu swojego projektu.

Wyszła za Kubićkiem po schodach na górę i przez drzwi na pustkowie pod mostem. Mężczyźni wokół koksownika zniknęli, płomień przygasł. Z ulgą wciągnęła w płuca zimne powietrze, czując nagłą łączność z nocnym niebem, jakby chłonęła wiatr wiejący z milionów gwiazd.

– Wiemy już, że musimy złapać pociąg na południe – powiedziała. – Zdążymy na dworzec?

Dzwon pobliskiej katedry wybił drugą.

– Zdążymy – przytaknął Kubiček – jeżeli się pośpieszymy.

Przemierzali stare miasto, dotarli nad rzekę i przeszli przez most. W niektórych łodziach płonęły światła. Ogromna barka, wyładowana potężnymi sosnowymi pniami, spływała z biegiem rzeki w stronę Łaby, Hamburga i Oceanu Niemieckiego. Na przeciwnym brzegu zaturkotał przejeżdżający tramwaj, w jego jasno oświetlonym wnętrzu jechało trzech nocnych pasażerów.

Przez całą drogę nie rozmawiali, dopiero na dworcu Kubiček zaproponował:

– Pomogę pani kupić bilet. Ale najpierw chciałbym zobaczyć pani *clavicula*.

Szybko przekartkował notatnik.

– Aha! – westchnął z satysfakcją.

– Czego pan szuka?

– Adresu kogoś ze Smyrny. W Konstantynopolu nie ma nikogo takiego jak my, ale jeżeli później trafi pani do Smyrny, ta dama udzieli pani pomocy.

Lyra schowała notes i podała Kubičkowi rękę na pożegnanie. Poniewczasie przypomniała sobie, że ma boleśnie oparzoną dłoń.

– Spędziła pani w Pradze osobliwy wieczór – powiedział Kubiček, gdy ruszyli w stronę jedyne oświetlonego okienka kasowego.

– Osobliwy – potwierdziła Lyra – ale bardzo cenny. Dziękuję za pomoc.

Pięć minut później siedziała już w przedziale sypialnym – samotna, wyczerpana, z obolałą ręką, ale cała, żywa i rozradowana. Wreszcie wiedziała, dokąd jedzie, i miała jasno wyznaczony cel. Kiedy po kolejnych pięciu minutach pociąg ruszył, spała jak kamień.

Pojmanie i ucieczka

Marcel Delamare rzadko się złościł. Jego rozczarowanie przybierało raczej formę spokojnych, precyzyjnych kar wymierzanych bez emocji tym, którzy go zirytowali. Działał tak subtelnie, że ofiarom z początku pochlebiał fakt ściągnięcia na siebie jego uwagi – dopóki nie zdały sobie sprawy z przykrych następstw.

Jednakże to, co zrobił Olivier Bonneville, było czymś więcej niż irytującym wybrykiem – było wyraźnym i rażącym przejawem nieposłuszeństwa i wymagało przykładowego ukarania. Ponieważ Konsystorski Sąd Dyscyplinarny wprost idealnie nadawał się do załatwiania takich właśnie spraw, Delamare dopilnował, żeby dotarły do niego wszelkie informacje niezbędne do wytropienia, aresztowania i przesłuchania Bonneville'a, włącznie z faktami z jego przeszłości, o których sam Bonneville nie miał pojęcia.

Młody człowiek nie był aż tak przebiegły, jak mu się wydawało, i wcale nietrudno było go śledzić. Kupiony w Dreźnie bilet upoważniał go do podróży w dół rzeki aż do Hamburga, dlatego ludzie KSD obserwowali wszystkie przystanki na tej trasie. Gdy tylko zszedł w Wittenberdze na ląd, został dostrzeżony i rozpoznany przez jedyne tamtejszego agenta, który niezwłocznie wysłał do leżącego kilka godzin dalej w dół rzeki Magdeburga wiadomość z prośbą o posiłki.

Bonneville nie zdawał sobie sprawy, że jest śledzony – był w końcu amatorem. Jego tropiciel-profesjonalista bez większych trudności ustalił, że poszukiwany zameldował się w obskurnym pensjonaciku, po czym usiadł w knajpce naprzeciwko i czekał na przybycie kolegów po fachu z Magdeburga. Wynajęli motorówkę, więc oczekiwanie nie powinno potrwać zbyt długo.

Wcześniej Bonneville spędził większość dnia w swojej dusznej kajucie, gdzie zgarbiony nad alethiometrem śledził ruchy Pantalaimona po mieście – od rozmowy z dziewczyną ze szkoły dla niewidomych, przez wędrówkę po dachach, po spotkanie z drugą dziewczyną, znacznie ładniejszą od pierwszej. W tym jednak momencie młodości stały się nie do zniesienia i Bonneville musiał wyjść na pokład się przewietrzyć. Zanim wrócił do ślęczenia nad przyrządem, dajmon Lyry zdążył już zacząć rozmowę z jakimś starszym mężczyzną o filozofii. Sytuacja była dla Bonneville'a podwójnie trudna: od patrzenia robiło mu się niedobrze, a z samej treści rozmowy nie wynikało, gdzie dajmon się znajduje. Gdyby nie zerkał chociaż od czasu do czasu, niczego by się nie dowiedział.

Pokój w pensjonacie okazał się tak samo duszny jak kabina na statku, a jedyną zmianą był wszechobecny odór kapusty, który zastąpił smród oleju. Zamiast więc prowokować kolejny atak nudności, Bonneville postanowił się przejść po

wieczornych ulicach i trochę ochłonać. Przy odrobinie szczęścia i tak mógł przypadkiem napatoczyć się na dajmona.

Siedzący w knajpce agent KSD patrzył, jak Bonneville nieśpiesznie wychodzi na przechadzkę z siedzącym mu na ramieniu dajmonem-krogulcem. Miał przy sobie niedużą torbę, nie niósł natomiast walizki, co sugerowało, że zamierza wrócić.

Agent zostawił na stoliku kilka monet i ruszył za nim.

Pantalaimon przebywał tymczasem w ogrodzie szkoły dla niewidomych, zwinięty w kłębek w znalezionej rankiem kryjówce na drzewie. Nie spał. Przez rozświetlone okna podglądał wieczorne działanie szkoły, licząc na to, że Anna przyjdzie jeszcze zajrzeć do swojej książki – czego jednak, oczywiście, nie zrobiła. Wieczór był zimny i wilgotny i Anna wolała pewnie zjeść kolację z koleżankami w cieplej stołówce. Ich głosy niosły się nad pogrążonym w mroku trawnikiem.

Pomyślał o Gottfriedzie Brandem i Sabine. Pewnie cały czas byli w tym wysokim domu z pustym poddaszem i nadal się kłócili. Miał do siebie pretensje: należało zadać Brandemu inne pytania, porozmawiać z jego dajmonem, Cosimą, a nade wszystko okazać więcej cierpliwości Sabine, która pod wieloma względami bardzo przypominała Lyrę...

Na tę myśl odczuł niemal fizyczne ukłucie tęsknoty. Przypuszczał, że Lyra w dalszym ciągu przebywa w Pstrągu. Wyobraził sobie, jak rozmawia z Malcolmem, jak Asta, piękna złoto-ruda kotka, włącza się do ich rozmowy i jak Lyra ostrożnie wyciąga rękę, żeby jej dotknąć, wiedząc doskonale, co ten gest oznacza. Ale nie, to było niemożliwe. Natychmiast odegnał tę myśl.

Był niespokojny. Nie mógł przecież do niej wrócić bez tego, czego szukał. Pierwszy raz zaczął się zastanawiać, co właściwie miał na myśli, mówiąc o wyobraźni Lyry. Nie wiedział tego, ale nie zamierzał bez niej wracać.

No nie, już nigdy nie uda mu się zasnąć. Był zanadto poirytowany swoim zachowaniem. Wstał, przeciągnął się, zeskoczył na mur i porzucił szkolny ogród na rzecz ciemnych ulic miasta.

Bonneville bez pośpiechu szedł w stronę Stadtkirche. Po drodze zaglądał we wszystkie bramy, zerkał w głąb wszystkich zaułków i rozglądał się po wszystkich dachach. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, dlatego postanowił udawać turystę albo studenta architektury. Przyszło mu do głowy, że może warto by mieć szkicownik i ołówek, ale w gęstniejącej mgłę nikt rozsądny nie bawiłby się w rysowanie.

W torbie oprócz alethiometru niósł także siatkę z węglodwajbium, niezwykle mocną i lekką, w którą zamierzał złapać dajmona, by następnie przenieść go w jakieś odosobnione miejsce i tam przesłuchać. Doskonale wyobrażał sobie tę scenę, ponieważ wielokrotnie ją ćwiczył, a siatką posługiwał się nadzwyczaj zręcznie i szybko. Prawdę mówiąc, aż żałował, że nikt nie będzie mógł podziwiać go w akcji.

Zajrzał do knajpki przy głównym placu miejskim. Wziął sobie piwo i usiadł. Rozglądał się, słuchał prowadzonych w pobliżu rozmów i sam rozmawiał półgłosem ze swoim dajmonem.

– A ten starszy mężczyzna? – zagadnął. – Ten ze strychu?

– Słyszeliśmy już wcześniej takie argumenty i podobne sformułowania. To może być ktoś sławny.

– Staram się go umiejscowić...

– Myślisz, że dajmon w dalszym ciągu jest u niego?

– Nie. Nie rozmawiali zbyt przyjaźnie. Dajmon go o coś oskarżał.

– O coś, co miało związek z nią.

– Właśnie...

– Sądzisz, że jeszcze tam wróci?

– To możliwe. Szkoda, że nie wiemy, gdzie jest ten dom.

– Moglibyśmy z nim porozmawiać.

– Czy ja wiem... Jeżeli dajmon zniknął, staruszek wcale nie musi wiedzieć, dokąd poszedł. Nie zaprzyjaźnili się.

– Ta druga dziewczyna mogłaby coś wiedzieć – podsunął dajmon. – Może to jego córka?

Ta sugestia bardziej przypadła Bonneville'owi do gustu, z dziewczynami też nieźle sobie radził. Ostatecznie jednak pokręcił głową.

– Za dużo tych domysłów. Musimy skupić się na nim, spróbuję czegoś...

Sięgnął do torby.

– Nie, nie, nie! – próbował powstrzymać go dajmon, który tak samo jak on cierpiał z powodu mdłości. – Nie teraz.

– Nie będę patrzył. Tylko posłucham.

Krogulec wstrząsnął głową i odwrócił się od niego. W restauracji było jeszcze paru innych klientów, głównie mężczyzn w średnim wieku, którzy rozmawiali, palili, grali w karty i wyraźnie szykowali się do spędzenia w lokalu reszty wieczoru. Żaden nie interesował się siedzącym w kącie młodym człowiekiem.

Położył sobie alethiometr na kolanach, przytrzymując go obiema rękami. Dajmon przefrunął z oparcia krzesła na stół, a Bonneville zamknął oczy i skupił myśli na Pantalaimonie.

Napłynęły wizerunki Pantalaimona, ale nic ponadto.

– Nie, nie – mruknął krogulec.

Bonneville odetchnął głęboko i spróbował ponownie. Tym razem nie zamykał oczu, utkwiał je w na wpół pustym kufle i nasłuchiwał chrobotania pazurów na bruku, szumu pojazdów, zgiełku ruchliwych miejskich ulic. Nic z tego. Słyszał tylko żałobne zawodzenie syreny przeciwmgłowej.

Zdał sobie sprawę, że ryk syreny dobiega z otaczającej go rzeczywistości, gdy dwaj z gości przy innych stolikach spojrzeli w kierunku rzeki, coś do siebie powiedzieli i pokiwali głowami. Dźwięk się powtórzył, lecz tym razem dobiegł do umysłu Bonneville'a skądinąd, a towarzyszył mu zgrzyt pazurków, męskie głosy, chlupotanie fal i głucho uderzenie, gdy coś dużego i ciężkiego uderzyło w drugi obiekt, równie duży i nieruchomy. Skrzypnęły liny owinięte wokół wilgotnego drewna. Czyżby parowiec cumujący przy nabrzeżu?

Zatem dajmon Lyry wyruszał w dalszą drogę!

– To jest to. – Bonneville wstał i spakował alethiometr. – Jeżeli się pośpieszymy, może uda nam się go złapać przy wejściu na pokład. Wtedy będzie nasz.
Pośpiesznie zapłacił rachunek i wyszedł.

Pantalaimon siedział w cieniu kasy biletowej i patrzył. Z zawieszzonego na ścianie rozkładu wynikało, że statek płynie w górę rzeki aż do Pragi. Na początek wystarczy.

Kłopot w tym, że przystań była jasno oświetlona i dopóki tłumy przewalały się po trapie w tę i z powrotem, nie miał co liczyć na to, że uda mu się tą drogą przekraść na pokład, nawet w tej mgle, która zacierała wszystkie kontury. Pozostawała więc droga wodna. Niewiele myśląc, wybiegł zza budynku kasy i pognął w stronę nabrzeża. Nie przebiegł jednak nawet połowy drogi, gdy coś spadło mu na głowę... jakaś sieć...

Zatrzymała go w pół skoku. Upadł, przeturlał się, przeszorował po kamiennej nawierzchni. Szarpał się, skręcał, kłapał zębami, darł i drapał, ale sieć była mocna, a trzymający ją młody mężczyzna bezlitosny. Pan poczuł, jak unosi się w powietrze, mignęła mu ciemnooka i bezwzględna twarz napastnika, twarze zdumionych, znieruchomiałych pasażerów... A potem wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Usłyszał warkot silnika małej motorówki, która na wstecznym biegu przybiła do nabrzeża, pokrzykiwania pasażerów, ordynarne przekleństwo człowieka z siecią, tupot biegnących stóp na bruku i na koniec basowy męski głos:

– Olivierze Bonneville, jesteś aresztowany!

Sieć opadła na ziemię. Pan szarpał się coraz mocniej i coraz bardziej się w niej plątał. Był tak zaaferowany, że nie miał czasu się rozglądać, ale zdawał sobie sprawę z obecności ludzi nadbiegających od strony motorówki, głośnych protestów młodego mężczyzny (Bonneville... Nazywał się Bonneville!), słowa „dajmon” wypowiedzianego różnymi głosami wyrażającymi szok i strach, a w końcu – ohydnygo dotyku obcej dłoni na karku. Dłoń podniosła go do męskiej twarzy z makabrycznie wybałuszonymi przekrwionymi oczami, od której zalatywało piwem, ziołem fajkowym i tanią wodą kolońską.

W dalszym ciągu był oplątany siecią. Usiłował ją przegryźć, ale dłoń zaciskała mu się na karku niczym żelazna obręcz. Jak przez mgłę słyszał rozeźlony głos młodego mężczyzny:

– Ręczę wam, że mój pracodawca, Marcel Delamare z La Maison Juste, nie będzie zadowolony. Zabierzcie mnie w jakieś dyskretne miejsce, to wyjaśnię...

Więcej Pan nie usłyszał. Zemdlał.

Mignonne zapowiadała się na łódeczkę równie lekką i zwinną jak *La Belle Sauvage*, kanoe, którym Malcolm pływał w dzieciństwie, ale żagiel, który do niej znalazł, był zetlały i na wpeł przegniły, co do tego nie mógł mieć wątpliwości nawet po ciemku: płótno rozłaziło mu się w rękach.

– W takim razie powiosłujemy – orzekł.

Zdawał sobie sprawę, że wiosłowanie łodzią, którą dobrze się żegluje, może być udawką, ale nie mieli wyboru. Zresztą żagiel był (przynajmniej kiedyś) biały i w ciemną noc z daleka rzucały się w oczy.

Przyświecając sobie zapalką, stwierdził, że wrota hangaru również są zamknięte na kłódkę, a po chwili przekonał się, że trudniej ją wyłamać niż tę przy wejściu od strony lądu. W końcu jednak mu się udało i przed nimi rozpostarło się jezioro.

– Gotowy, *monsieur*? – zapytał, przytrzymując łódeczkę przy pomoście, żeby jego towarzysz mógł do niej wsiąść.

– Tak, gotowy. Z wolą Bożą.

Malcolm odepchnął się od pomostu, odczekał chwilę, aż łódź oddali się nieco od brzegu, po czym zainstalował wiosła w dulkach i zaczął wiosłować. Hangar znajdował się w niewielkiej zatoczce osłoniętej przez skalisty cypel i Malcolm spodziewał się, że po wypłynięciu z jego cienia spokojna dotąd woda się wzburzy, ale ku jego zdumieniu nawet gdy rozciągnęła się przed nimi cała zakrzywiona połać jeziora, tafla pozostała gładka jak szkło.

Panował upiorny bezruch. Powietrze kleiło się do skóry i zdawało się stawiać fizyczny opór, kiedy przez nie brnęli. Malcolm rozkoszował się okazją do rozruszania mięśni po długim okresie podróży, ale w gruncie rzeczy czuł się jak w zamknięciu. Złapał się na tym, że zwracając się do Karimowa, odruchowo zniża głos.

– Wspomniał pan, że miał do czynienia z Marcelem Delamare’em – powiedział. – Robiliście jakieś interesy?

– Zlecił mi sprowadzenie olejku różanego z pustyni Karamakan, ale wciąż mi nie zapłacił. Zacząłem się obawiać, że zwleka z płatnością, by zatrzymać mnie w Genewie i wyrządzić mi krzywdę. Dawno bym wyjechał, ale jestem bez grosza.

– Proszę mi opowiedzieć o tym olejkę.

Karimow powiedział Malcolmowi to samo, co wcześniej Delamare’owi, po czym dodał:

– Zauważyłem coś ciekawego. Kiedy powiedziałem mu o zniszczeniu instytutu badawczego w Taszbułaku, nie był zaskoczony, chociaż udawał, że jest. Potem zaczął mnie wypytywać o ludzi z gór, którzy zaatakowali instytut. Odpowiadałem zgodnie z prawdą, ale znów miałem wrażenie, że wie, jakich odpowiedzi się spodziewać. Dlatego jedną rzecz przemilczałem.

– Mianowicie? Czego mu pan nie powiedział?

– Ludzie z góry nie zniszczyli instytutu całkowicie. Zostali zmuszeni do ucieczki przez... Trudno w to uwierzyć, *monsieur*, ale tak właśnie było: zostali zmuszeni do ucieczki przez monstrualnego ptaka.

– Simurgha?

– Skąd pan wie? Nie zamierzałem użyć tej nazwy, ale...

– Czytałem o nim w pewnym wierszu.

Rzeczywiście, w tadżyckim poemacie gigantyczny ptak zaprowadził Dżahana i Ruchsanę do ogrodu różanego. Tyle że Malcolm również nie powiedział całej prawdy: nazwę „Simurgh” zapamiętał także z dziennika doktora Straussa, który Hassall przywiózł ze sobą z Taszbułaku. Czen, poganiacz wielbłądów, tłumaczył wędrówcom, że miraże, które widzieli na pustyni, są aspektami Simurgha.

– Czytał pan *Dżahana i Ruchsanę*? – spytał z niedowierzaniem Karimow.

– Tak, czytałem. Oczywiście uznałem, że to bajka. Chce pan opowiedzieć, że coś

takiego jak Simurgh istnieje naprawdę?

– Istnieje wiele form egzystencji. Nie upieram się, że to była właśnie ta, tamta czy jeszcze jakaś inna, może taka, o której nic nie wiemy.

– Rozumiem... I nie wspomniał pan o tym Delamare'owi, tak?

– Nie, nie wspomniałem. Obserwowałem go uważnie podczas rozmowy i uważam, że wie bardzo dużo na temat ludzi z gór, ale próbował to przede mną ukryć. Dlatego boję się, że zechce mnie aresztować i uwięzić, jeśli nie gorzej, i że właśnie dlatego trzyma mnie w mieście jak w potrzasku. Kiedy dowiedziałem się o pańskiej sytuacji, *monsieur*, uznałem, że jestem zobowiązany podzielić się z panem swoją wiedzą.

– Bardzo się cieszę, że pan to zrobił.

– Mogę zapytać, czego z kolei *monsieur* Delamare chce od pana?

– Uważa mnie za wroga.

– Słusznie?

– Owszem, zwłaszcza w sprawie Taszbułaku i olejku różanego. Spodziewam się, że chciałby wykorzystać olejek do niecznych celów, i zamierzam mu w tym przeszkodzić, jeśli tylko zdołam. Najpierw jednak muszę się o nim jak najwięcej dowiedzieć. Wiem, że spotykał się pan z kupcem, który go sprzedaje. Dużo się nim handluje?

– Niespecjalnie. Olejek jest niezwykle drogi. W przeszłości bywał chętnie używany, ludzie wierzyli w szamanów, którzy potrafią przeniknąć do świata duchów. Dzisiaj mało kto w to wierzy.

– A jest przydatny do czegoś jeszcze? Na przykład, czy można go przyjmować dla przyjemności?

– To żadna przyjemność, *monsieur* Polstead. Ból jest straszliwy, a podobne efekty wizualne można łatwiej uzyskać za pomocą innych środków. O ile się nie mylę, są medycy, którzy zalecają stosowanie go w leczeniu różnych przewlekłych chorób ciała i ducha, ale tylko najbogatszych stać na takie lekarstwo. Właściwie tylko naukowcy z Taszbułaku się nim interesowali, a większość ich badań jest utajniona.

– Był pan kiedyś w instytucie w Taszbułaku?

– Nie, *monsieur*.

Malcolm wiosłował. Zalegająca nad jeziorem cisza dźwięczała w uszach, powietrze było duszne, zupełnie jakby ktoś wyssał z niego cały tlen.

– Dokąd płyniemy? – zainteresował się po jakimś czasie Karimow.

– Widzi pan ten zamek?

Malcolm wskazał skalisty brzeg niedaleko przed nimi. Na grani stała budowla, której masywne wieże ledwie, ledwie rysowały się na tle bezkłęskowego nieba.

– Wydaje mi się, że coś tam widzę – odparł Karimow.

– Stoi na granicy francuskiej. Kiedy go minimy, powinniśmy być bezpieczni, bo dalej genewska jurysdykcja nie sięga, ale...

Pomiędzy „a” i „e” w tym ostatnim słowie całe niebo rozświetliło się na moment i zaraz znów poczerniało. Drugi błysk, chwilę potem, był jeszcze jaśniejszy. Tym razem Malcolm i Karimow zobaczyli zygzakowatą, rozwidloną błyskawicę, która dźgnęła ziemię w tym samym momencie, w którym pierwsze grube, ciężkie krople deszczu chlusnęły im w twarze. Zdażyli postawić kołnierze i mocniej naciągnąć czapki, zanim rozległ się grzmot, ogłuszający huk, który zdawał się rozłupywać im

czaszki. Przewalił się nad jeziorem i odbił echem od gór. Malcolmowi zadzwoniło w głowie.

Wiatr już się wzmagął, wzburzał wodę, spieniał fale, a następnie porywał tę pianę i chłostał nią twarz Malcolma z większym nawet impetem niż deszcz. Malcolm, który w przeszłości żeglował już po jeziorach, zdawał sobie sprawę, że zdarzają się na nich niespodziewane burze, ale ta była wyjątkowa. Nie było sensu próbować dotrzeć na wysokość zamku.

Skręcił ostro w prawo i ze wszystkich sił powiosłował do najbliższego brzegu. Drogę oświetlały mu pioruny, które niczym świetliste bicze smagały ziemię i rzucały upiorną poświatę na góry. Grzmoty przetaczały się tuż za ich plecami, łódeczka aż się trzęsła. Asta wśliznęła się Malcolmowi za pazuchę i skuliła się tam ciepłutka i odprężona, emanując pewnością siebie, która jemu także się udzielała. Wiedział, że taki właśnie miała zamiar, i był jej za to ogromnie wdzięczny.

Malutka *Mignonne* miotała się na wszystkie strony i szybko nabierała wody. Karimow futrzaną czapą wybierał wodę najszybciej, jak tylko mógł, a Malcolm wyteżał mięśnie ramion i grzbietu, głęboko orał toń wiosłami i robił wszystko, żeby wiatr i fale nie wypchnęły łódki z powrotem na środek jeziora. Oglądając się przez ramię, widział właściwie tylko ciemność i głębszą ciemność, tyle że głębsza ciemność rozpostarła się już teraz także nad ich głowami: to był las, który w tym miejscu schodził do samego brzegu. Zawodzącego wśród sosen wiatru nie tłumilo nawet ogłuszające bębnienie deszczu i tytaniczny łoskot gromów.

– Już niedaleko! – krzyknął Karimow.

– Będę płynął prosto na brzeg. Niech pan łapie jakąś gałąź.

Malcolm poczuł wstrząs i usłyszał zgrzyt, gdy drewniany kadłub *Mignonne* uderzył o kamienie. Nie dało się tego uniknąć: w ciemnościach nic nie widział, a w tym miejscu nie było piaszczystej plaży, na której można by łagodnie wylądować. Kamienie, kamienie, coraz więcej kamieni, aż w końcu – po ostatnim szurnięciu i szarpnięciu – *Mignonne* znieruchomiała. Karimow próbował wstać i chwycić się jakiejś gałęzi, ale co rusz tracił równowagę.

Trzymając się burty, Malcolm zszedł do wody, która w tym miejscu sięgała mu do pól uda. Kamienie na dnie miały nieregularne kształty, ale przynajmniej były dostatecznie duże, żeby nie przetaczać się pod jego ciężarem i nie grozić mu skruceniem kostki.

– Gdzie pan jest? – zawołał Karimow.

– Już prawie na brzegu. Proszę się nie ruszać, zaraz nas do czegoś przywiążę.

Malcolm po omacku przeszedł przed dziób łodzi i namacał faleń. Kiedy odcumowywał *Mignonne* w hangarze, zwrócił uwagę, że linka jest stara i sfatygowana, ale – spleciona z solidnych włókien manili – powinna zachować jeszcze część dawnej siły.

Asta wspięła mu się na ramię.

– U góry po prawej – powiedziała.

Wyciągnąwszy rękę w tym kierunku, namacał zwieszającą się nisko gałąź. Wydawała się dość solidna, by jej zaufać, niestety faleń do niej nie sięgał.

– Karimow! – zawołał Malcolm. – Proszę wysiąść, ja przytrzymam łódź. Musimy dobrnąć do brzegu w bród, i tak jesteśmy już przemoczeni. Proszę zabrać wszystko, co niezbędne, i ruszać. Tylko ostrożnie.

Piorun uderzył gdzieś bardzo blisko i oświetlił okolicę jak błysk reflektora. Brzeg – stromy i gęsto zarośnięty krzewami – znajdował się zaledwie o jard, może dwa od dziobu łodzi.

Karimow ostrożnie spuścił nogę za burtę, usiłując namacać dno.

– Nie sięgam... nie mogę znaleźć...

– Niech się pan mocno trzyma burty i po prostu wysiądzie z łódki.

Kolejna błyskawica.

Jak należy się zachowywać podczas burzy w lesie?, zastanawiał się tymczasem Malcolm. Rzecz najważniejsza, to unikać wysokich drzew, ale co robić, jak człowiek nic nie widzi?

Uderzenie pioruna wywołało nowy epizod z roziskrzonym pierścieniem: świetlista pętla skręcała się przed oczami Malcolma na tle chłostającej go wiatrem i wodą czerni.

W tej samej chwili natrafił dłonią na gałąź znajdującą się w zasięgu falenia.

– Do mnie! – zawołał. – Proszę iść w moją stronę. Tu jest brzeg.

Karimow brnął przez wodę w jego kierunku. Malcolm złapał go za rękę i mocno trzymając, najpierw przeprowadził go w stronę zarośli, a potem pomógł mu wyjść na brzeg.

– Ma pan wszystko, czego potrzebuje?

– Tak mi się wydaje. Co robimy?

– Musimy trzymać się razem, wspiąć się na skarpe i oddalić od wody. Przy odrobinie szczęścia może znajdziemy jakieś schronienie.

Malcolm wywlókł z łodzi swój plecak i walizkę, zataszczył je na brzeg i rzucił w gęszcz. Miał wrażenie, że znajdują się u stóp stromego zbocza, może nawet urwiska... Może udałoby im się schronić pod jakąś przewieszoną skałą?

Po zaledwie minucie wspinaczki znaleźli coś znacznie lepszego.

– Wydaje mi się... tutaj, za tym głazem...

Pchnął przed siebie walizkę, wyciągnął rękę w dół do Karimowa i pomógł mu się wspiąć wyżej.

– Co tam jest? – zapytał Tadżyk.

– Jaskinia – odparł Malcolm. – Sucha jaskinia! A nie mówiłem?

Funkcjonariusze KSD zabrali Oliviera Bonneville'a na najbliższy posterunek policji i zażądali dostępu do pokoju przesłuchań. Ściśle rzecz biorąc, KSD nie utrzymywał żadnych oficjalnych stosunków z policją w Wittenberdze (ani nigdzie indziej w Niemczech), ale odznaka organizacji otwierała wszystkie drzwi.

– Jak śmiecie mnie tak traktować?! – oburzał się (jakżeby inaczej) Bonneville.

Dwaj agenci bez pośpiechu rozsiedli się na krzesłach po drugiej stronie stołu. Ich dajmony (lis i sowa) przyglądały się dajmonowi Bonneville'a z nieprzyjemną przenikliwością.

– Co zrobiliście z tamtym dajmonem? – pytał dalej Bonneville. – Ścigałem go na pilny rozkaz La Maison Juste. Przybyłem tu za nim z Anglii! Radziłbym wam go nie zgubić, bo jeśli się dowiem...

– Pełne imię i nazwisko – przerwał mu agent, który pierwszy go zobaczył. Drugi robił notatki.

– Olivier de Lusignan Bonneville. Co zrobiliście z...

– Gdzie się pan zatrzymał w Wittenberdze?

– Nie wasz...

Agent miał długie ręce. Teraz wyciągnął jedną z nich ponad stołem i zanim Bonneville zdążył zareagować, wymierzył mu policzek. Krogulczy dajmon wrzasnął głośno. Od czasów szkoły podstawowej nikt nie uderzył Bonneville'a, który bardzo wcześniej nauczył się, że istnieją lepsze sposoby uprzykrzania ludziom życia niż przemoc fizyczna. Wyprostował się na krześle. Uderzenie go zaskoczyło, ból nim wstrząsnął, zaparło mu dech w piersi.

– Zadałem ci pytanie – przypomniał agent.

Bonneville zamrugał. Oczy mu łzawiły. Jedna połowa jego twarzy przybrała intensywnie czerwony odcień, druga zbielała.

– Jakie pytanie? – wykrztusił.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W pensjonacie.

– Adres.

Bonneville wyteżył pamięć.

– Friedrichstrasse 17. Radziłbym wam jednak...

Ta sama długa ręka znów wystrzeliła w przód: tym razem złapała Bonneville'a za włosy i zanim zdołał stawić opór, wyrznęła jego twarzą o blat. Jego dajmon znów krzyknął, zatrzepotał skrzydłami, podfrunął i opadł bezwładnie.

Agent puścił Bonneville'a, który usiadł prosto, drżąc na całym ciele. Krew obficie płynęła mu z rozbitego nosa. Któryś z funkcjonariuszy musiał uruchomić dzwonek, bo drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł policjant. Agent od notatek wstał i półgłosem zamienił z nim kilka zdań. Policjant skinął głową i wyszedł.

– Nie będziesz udzielał mi rad – powiedział agent przesłuchujący Bonneville'a. – Mam nadzieję, że alethiometr nie został uszkodzony.

– Ja na pewno bym go nie uszkodził – wybełkotał Bonneville. – Obchodzę się z nim nadzwyczaj ostrożnie, wiem o nim wszystko, odczytuję jego wskazania lepiej niż ktokolwiek inny. Jeżeli uległ uszkodzeniu, to nie z mojej winy. Jest własnością La Maison Juste, a ja używam go na wyraźne polecenie sekretarza generalnego *monsieur* Marcela Delamare'a.

Był zły na siebie, że nie potrafi powstrzymać drżenia głosu i rąk. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przytknął ją do twarzy. Nos bolał go jak wszyscy diabli, koszula na piersi przesiąkała krwią.

– A to bardzo ciekawe – powiedział agent – zważywszy że to właśnie *monsieur* Delamare zgłosił zaginięcie alethiometru i podał nam twój rysopis.

– Udowodnij to – burknął Bonneville, którego oszołomiony umysł pomału otrząsał się z chaosu. We mgle szoku i bólu zaczynały majaczyć zarysy nowego planu działania.

– Widzę, że nadal nie rozumiesz – odparł z uśmiechem przesłuchujący go funkcjonariusz. – Ja pytam, ty odpowiadasz. Za chwilę znów ci przyłożę, tak dla odświeżenia pamięci, a ty znów się nie zorientujesz, z której strony oberwałeś. Gdzie jest Matthew Polstead?

– Jaki Matthew Polstead? – zdumiał się Bonneville. – Kto to jest, do cholery?

– Nie prowokuj mnie. To człowiek, który zabił twojego ojca. Gdzie jest?

Bonneville nagle odniósł wrażenie, jakby jego umysł oddzielał się od ciała. Jego dajmon, który tymczasem znów usadowił mu się na ramieniu, mocniej zacisnął szpony. Bonneville zrozumiał ostrzeżenie.

– Nie znałem go pod tym nazwiskiem – odparł. – Ale macie rację, szukałem go. Co zrobiliście ze złapanym przeze mnie dajmonem? Miał mnie zaprowadzić do tego całego Polsteada.

– Ta fretka czy inna szynszyla grzecznie leży związana w sąsiednim pokoju. Domyślam się jednak, że nie jest dajmonem Polsteada. Więc czym?

– Dziewczyny, która ma alethiometr należący do mojego ojca. Jeżeli to genewski analityk odkrył dla was aż tyle, to muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Zwykle nie jest taki szybki.

– Analityk? Jaki znowu analityk?

– Alethiometrysta. Posłuchajcie, nie mogę się skupić, kiedy tak krwawię. Potrzebuję lekarza. Znajdźcie kogoś, kto mnie opatrzy. Potem porozmawiamy.

– A to co znowu, próbujesz stawiać warunki? Na twoim miejscu bym tego nie robił. Co łączy dajmona tej dziewczyny z Polsteadem? I jak to możliwe, że gania samopas po mieście? To odrażające. Wbrew naturze.

– Nie tak szybko, niektóre aspekty tej sprawy są tajne. Jakie macie uprawnienia?

– Znowu zaczynasz zadawać pytania. A ja cię ostrzegąłem. Lada chwila znów dostaniesz w papę.

– To nic nie da – powiedział Bonneville, który wreszcie zdołał zapanować nad drżeniem głosu. – Chętnie opowiem wam, czym się zajmuję, bo przecież gramy w jednej drużynie, ale, jak już powiedziałem, muszę wiedzieć, jakie macie certyfikaty dostępu do informacji niejawnych. Jeżeli mi powiecie, może będę mógł wam pomóc.

– Pomóc? W czym? Jak ci się wydaje, jakie jest nasze zadanie? Szukaliśmy ciebie, chłoptasiu, i cię znaleźliśmy. Dlaczego niby teraz mielibyśmy ci pójść na rękę?

– Nie znacie kontekstu. Wiecie, dlaczego mnie szukaliście?

– Wiemy, ptysiu malinowy, to proste: szef nam kazał.

Opuchlizna zaczynała zachodzić Bonneville'owi na oczy.

Musiał mi solidnie obić kości policzkowe, oczodoły albo jeszcze coś innego, pomyślał. Nieważne. Nie okazuj bólu. Nie daj się zbić z tropu. Zachowaj spokój.

Siedział nieruchomo.

– Mój ojciec, jego praca, jego śmierć, ten cały Polstead i ta dziewczyna, Lyra Belacqua, są ze sobą powiązani. Rozumiecie? *Monsieur* Delamare polecił mi zbadać tę sprawę bliżej, ponieważ umiem posługiwać się alethiometrem i już całkiem sporo udało mi się odkryć. Po pierwsze: ten związek ma coś wspólnego z Prochem. Kapujecie? Rozumiecie, co to znaczy? Mój ojciec był naukowcem, tak się dziś nazywa takich ludzi. Teologiem doświadczalnym. Badał Proch: skąd pochodzi, co oznacza, jakie niesie zagrożenia. Został zabity, a jego notatki i alethiometr skradzione. Belacqua wie coś na ten temat, podobnie jak Polstead. Dlatego tu jestem. Tym się właśnie zajmuję. I dlatego lepiej byście zrobili, pomagając mi, niż tracąc czas na bzdury.

– To dlaczego *monsieur* Delamare kazał cię aresztować?

– Na pewno tak właśnie powiedział?

Agenta na moment zamurowało. Pierwszy raz było widać, że się waha.

– Znam nasze rozkazy – odparł. – Nigdy przedtem nie dochodziło do pomyłek.

– A co się ostatnio dzieje w Genewie, hm?

– Jak to?

– Normalnie. Pytam, co się dzieje w mieście? Dlaczego wszędzie jest pełno księży, biskupów, mnichów i tak dalej? Trwa kongres, prawda? O tym mówię. Najważniejsze od stuleci wydarzenie w Magisterium. To chyba nic dziwnego, że środki bezpieczeństwa zostały zaostrzone.

– No i?

– Wiadomości się szyfruje, polecenia przekazuje różnymi kanałami, stosuje się hasła... A czasem wprowadza się celowe przekłamania. Weźmy na przykład tego Polsteda: podali wam jego rysopis?

Agent spojrzął na swojego kolegę-protokolanta.

– Tak – potwierdził tamten. – Wysoki, rude włosy.

– I właśnie o tym mówię – odparł Bonneville. – Nie wszystkie informacje są publicznie dostępne. Znam prawdziwe nazwisko Polsteda i wiem, że wcale tak nie wygląda. Ale rude włosy i wysoki wzrost mówią mi o nim coś innego.

– Co?

– Tego nie mogę wam powiedzieć, rzecz jasna, dopóki nie wiem, jakie macie certyfikaty. Zresztą nawet gdybym je znał, mogłoby się okazać, że to nie jest wiedza dla was.

– Poziom trzeci – powiedział protokolant.

– Obaj?

Przesłuchujący Bonneville'a agent kiwnął głową.

– W takim razie nic z tego – powiedział Bonneville. – Ale mam propozycję: dajcie mi porozmawiać z tym dajmonem. Możecie być przy tej rozmowie, będziecie wszystko słyszeć.

Rozległo się pukanie i drzwi się otworzyły. Policjant wysłany z zadaniem przeszukania pokoju w pensjonacie przyniósł plecak Bonneville'a.

– Jest w środku? – zapytał agent.

– Nie – odparł policjant. – Przeszukałem cały pokój, niczego więcej nie znalazłem.

– Interesuje was alethiometr? – wtrącił Bonneville. – Trzeba było od razu tak mówić. Mam go przy sobie, to chyba jasne.

Wyjął przyrząd z kieszeni i położył przed sobą na stole. Kiedy agent wyciągnął rękę, Bonneville zabrał alethiometr.

– Możecie popatrzeć, ale nie dotykajcie – powiedział. – Pomiędzy przyrządem i jego analitykiem wytwarza się specyficzna więź, którą łatwo naruszyć.

Obaj agenci z uwagą i wyraźnym zaciekawieniem przyglądali się alethiometrowi.

Gdybym go teraz dźgnął nożem w oko, pomyślał Bonneville, dostałby nauczkę.

– Jak można coś z niego wyczytać?

– Poprzez symbole. Trzeba znać wszystkie znaczenia każdego z tych obrazków. Niektóre mają i ponad setkę znaczeń, więc nie da się tego opanować ot tak, z marszu. Ten alethiometr jest własnością Magisterium i wróci do niego, gdy tylko zakończę zleconą mi misję. Dlatego powtarzam: dajcie mi porozmawiać z tym dajmonem, zanim wymyśli jakąś przekonującą bajeczkę.

Jeden agent spojrzął na drugiego, po czym obaj wstali, przeszli w kąt i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami, tak że Bonneville nic nie słyszał. W tej chwili przerwy napięcie, które pomogło mu się skupić i zapanować nad drżeniem rąk, zaczęło ustępować. Czując to, siedzący mu na ramieniu dajmon zacisnął szpony z taką siłą, że zranił go do krwi.

Tego właśnie Bonneville potrzebował. Kiedy agenci się do niego odwrócili, znów był spokojny, opanowany i nie myślał o krwawej miazdze w miejscu nosa.

– W porządku – powiedział ten, który go przesłuchiwał. Drugi otworzył drzwi.

Bonneville wziął alethiometr, plecak i wyszedł za funkcjonariuszami KSD, którzy rozmawiali już z policjantem. Ten wyjął z kieszeni pęk kluczy i zaczął szukać tego właściwego.

– Będziemy obserwować – uprzedził agent – i notować każde twoje pytanie i każdą jego odpowiedź, słowo w słowo.

– Naturalnie – zgodził się Bonneville.

Policjant otworzył drzwi... i stanął jak wryty.

– Co się stało? – zapytał agent.

Bonneville odepchnął go, wyminął policjanta i wszedł do pomieszczenia. Był taki sam pokój jak ten obok, ze stołem i trzema krzesłami. Na stole leżała pogryziona na strzępy węglodajwadna sieć. Okno było otwarte. Pantalaimon uciekł.

Bonneville z nieudawaną furią odwrócił się do agentów KSD. Z zakrwawionymi ustami i podbródkiem, na wpół ślepy z bólu, zwyzywał zarówno ich, jak i policję za upór, tępotę i niewybaczalną niedbałość, a także zagroził im gniewem całego Magisterium w życiu doczesnym oraz pewnością trafienia do piekła po śmierci.

Dał piękny występ – a już na pewno sam tak uważał, gdy kilka minut później siedział na wygodnym fotelu pod opieką policyjnego lekarza, a wkrótce potem dyskretnie przemykał w stronę dworca kolejowego z nietkniętym bagażem i nienaruszoną dumą osobistą. Bandaż na nosie był jak order za ranę odniesioną na polu bitwy. Pantalaimon przestał się liczyć – od teraz Bonneville miał nowy cel, tak frapujący i tak niespodziewany, że jego pojawienie się nosiło znamiona najprawdziwszej epifanii. Słowa dudniły mu pod czaszką niczym dźwięk dzwonu: człowiek, który zabił jego ojca, wysoki mężczyzna o rudych włosach, nazywał się Matthew Polstead.

Zamach na patriarchę

Lyra przybyła do Konstantynopola zmęczona i zaniepokojona. Nie mogła przestać myśleć o tym, co zdarzyło się w Pradze, ale nie potrafiła też tego zrozumieć. Jej determinacja i pewność siebie okazały się ulotne i miała teraz wrażenie, że została wykorzystana przez jakieś ukryte siły, tak jakby wszystkie wydarzenia, do których doszło podczas podróży (a także na długo przedtem), zostały starannie zaplanowane, a temu, kto je zaaranżował, przyświecał jeden, jedyny cel – cel, który nie miał z nią nic wspólnego i którego nigdy nie zrozumie, nawet gdyby udało jej się go poznać. Czy takie myślenie zdradzało początki obłądu?

Jedyną pocięchą było ćwiczenie nierzucania się w oczy. Miała w głowie listę pytań do odhaczenia. Gdzie patrzę? Jak się poruszam? Czy okazuję jakieś uczucia? Myślała o wszystkim, co mogłoby zwracać na nią uwagę, i po kolei eliminowała te czynniki. Dzięki temu była już w stanie praktycznie niezauważona przejść zatłoczoną ulicą. Z mieszaniną smutku i rozbawienia wspominała, jak zaledwie kilka miesięcy wcześniej bywała obiektem podziwu lub pożądania, które ignorowała wyniosłe, jednocześnie bawiąc się dawaną przez nie władzą. Teraz musiało jej wystarczać bycie niewidzialną.

Znacznie trudniejszy do zniesienia był brak Pantalaimona. Miała świadomość pewnych związanych z nim faktów: nie groziło mu niebezpieczeństwo, był w drodze i zmierzał do jakiegoś celu, który sobie wytyczył, ale na tym jej wiedza się kończyła. Chociaż kilkakrotnie brała alethiometr do ręki – w samotności pokoju hotelowego albo przedziału w wagonie sypialnym – zawsze po chwili odkładała go z powrotem. Młodości po użyciu nowej metody były nie do zniesienia. Owszem, próbowała też metody klasycznej: dumiała nad symbolami, próbowała przypomnieć sobie po kilka, kilkanaście ich znaczeń i formułować pytania, ale uzyskiwane odpowiedzi były zagadkowe, sprzeczne albo zwyczajnie niezrozumiałe. Zdarzało jej się odczuć gwałtowny przypływ strachu, żalu albo złości i wiedziała wtedy, że Pan czuje to samo, nie miała jednak pojęcia, dlaczego tak jest. Pozostawało jej tylko nie tracić nadziei i to właśnie robiła, mimo dręczących ją lęku i samotności.

Trochę czasu zajmowało jej pisywanie do Malcolma. Opowiadała mu o wszystkim, co widziała i słyszała. Zrelacjonowała wydarzenia z udziałem płonącego Holendra i alchemika, przekazała też, jakiej rady udzielił jej Agrippa w kwestii dalszej podróży. Listy wysyłała na jego nazwisko, na adres Pstrąga w Godstow, ale nie wiedziała ani czy docierają do adresata, ani czy będzie mogła liczyć na odpowiedź.

Czuła się bardzo samotna. Miała wrażenie, jakby jej życie weszło w swoisty stan hibernacji, jakby jakaś jej część zasnęła i – być może – wszystko poza tym jej się

śniło. Zachowywała się zupełnie biernie, godząc się z tym, co przynosi los. Kiedy okazało się, że uciekł jej prom do Smyrny i będzie musiała czekać dwa dni na następny, przyjęła tę nowinę ze spokojem, znalazła sobie tani hotel i poszła dyskretnie powłóczyć się po mieście. Obejrzała kaplice, muzea i wspaniałe domy kupieckie nad morzem, posiedziała w jednym z wielu parków pod bezlistnymi jeszcze drzewami, kupiła anglojęzyczną gazetę, którą następnie przeczytała od deski do deski, zasiedziała się nad kawą w ciepłej i zadymionej kawiarni nieopodal ogromnego kościoła Świętej Mądrości, który niczym gigantyczny kamienny bąbel wznosił się ponad okoliczne zabudowania.

Z gazety dowiedziała się o napaściach na wiejskie posiadłości na prowincji, o niszczeniu i paleniu ogrodów różanych i o mordowaniu ogrodników i ich rodzin, którzy próbowali bronić miejsc pracy. Podobne ataki notowano na obszarze sięgającym aż po Antalyę na południu i Erywań na wschodzie. Nikt nie wiedział, co je wywołało. Napastników określano po prostu mianem „ludzi z gór”. Z niektórych doniesień wynikało, że kazali ofiarom wyrzec się swojej religii i przyjąć inną, nową, ale brakowało jakichkolwiek szczegółów na ten temat. Zresztą niektóre depesze zupełnie pomijały kwestię religijną, wspominając tylko o rabunkach, zniszczeniach i niewytłumaczalnej nienawiści napastników wobec róż i ich zapachu.

Inne artykuły dotyczyły zbliżających się uroczystych obchodów wyboru patriarchy, Świętego Symeona Papadakisa, na stanowisko przewodniczącego Rady Najwyższej Magisterium. Po długim nabożeństwie w kościele Świętej Mądrości z udziałem ponad stu wysokiej rangi dostojników kościelnych z całej prowincji zaplanowano procesję po mieście. Przewidziano także konsekrację nowej ikony Maryi Dziewicy, która w cudowny sposób objawiła się w grobowcu męczennika z czwartego stulecia. Towarzyszyły jej liczne znaki dowodzące jej nadprzyrodzonej proveniencji: zakwitnięcie porastającego grobowiec powoju, rozchodzenie się słodkich woni w powietrzu, dźwięk niebiańskich fletów i tym podobne.

Słodkie wonie, pomyślała Lyra. Dla ludzi z gór takie rzeczy były niepojętym obrzydliwstwem, dla kościelnej hierarchii zaś – dowodem łaski niebios. Jeżeli miało dojść do schizmy w świecie religii, to było całkiem prawdopodobne, że jej przyczyną stanie się taki drobiazg jak zapach róży.

Malcolm na pewno by wiedział, co się dzieje. W następnym liście mu o wszystkim napisze. Ach, jakże okrutnie samotność dawała się jej we znaki.

Zmusiła się do dalszej lektury tekstu o nowej Radzie Najwyższej. Okazało się, że uroczystości na cześć patriarchy odbywają się właśnie teraz, tego samego dnia, od rana, postanowiła więc pójść popatrzeć. Zawsze to jakieś zajęcie.

Kiedy Lyra o nim myślała, Święty Symeon wiercił się niespokojnie w marmurowej wannie i rozważał tajemnicę Wcielenia. Jego dajmon, obdarzona słodkim głosem Philomela, przysypiała tuż obok na swojej złotej żerdce. Prądy wzbudzone przez ciało świętego w brudnej wodzie stały się nieprzyjemnie zimne.

– Chłopcze! – zawołał. – Chłopcze!

Nigdy nie potrafił zapamiętać imion chłopców, ale nie miało to żadnego

znaczenia. Wszyscy byli do siebie podobni. Jednakże stopy, które przybyły w odpowiedzi na jego wezwanie, nie należały do chłopca: były ciężkie, powolne i szurały po podłodze, zamiast mknąć jak strzała.

– Kto to? – zaniepokoił się święty. – Kto to?

– Kaloumdżijan – odpowiedział jego dajmon.

Patriarcha wyciągnął drżącą rękę, zadarł głowę i zmierzył wzrokiem zwałistą postać eunucha.

– Pomóż mi, Kaloumdżianie – polecił. – Gdzie chłopiec?

– W nocy jego pan, diabeł, upomniał się o niego i go zabrał. Skąd mam wiedzieć, gdzie jest chłopiec? Nie ma żadnego chłopca.

W przyćmionym świetle lampy Kaloumdżijan był widoczny tylko jako ogromny cień, ale jego łagodnego, miódopłynnego głosu nie dało się pomylić z żadnym innym. Eunuch podźwignął patriarchę, postawił go, ociekającego wodą, na drewnianej kratce i szorstkim gestem opatulił splachciem czystej, świeżej bawełny.

– Ostrożnie – powiedział święty. – Jak będziesz tak mną potrząsał, to się przewrócę. Chłopiec byłby bardziej delikatny. Gdzież on się podział?

– Nikt nie wie, Wasza Łaskawość. – Eunuch zaczął go wycierać z mniejszym zapalem. – Wkrótce przybędzie nowy.

– Nie wątpię. Powiem ci, że woda stygnie jakoś szybciej niż dawniej. Coś się zepsuło. Może to olejek... Myślisz, że mogłaby szybciej tracić ciepło z powodu olejku? A może problem polega na tym, że to nowy olejek? Pachnie inaczej, jest jakby ostrzejszy. Widzisz, gdyby skład chemiczny odrobinę się zmienił, cząsteczki ciepła mogłyby łatwiej przenikać przez warstwę olejku. Tak, jestem pewien, że tak to się właśnie odbywa. Muszę poprosić Świętego Mehmeta, żeby się tym zainteresował.

Dajmon Kaloumdżijana, gęś, nachylił się nad wanną i powąchał wodę.

– Musieliśmy nabyć inny olejek – wyjaśnił eunuch – po tym, jak kupiec, który wcześniej nam go dostarczał, stanął przed Sądem Trojga Okien.

– Naprawdę? A to łotr! Co takiego zrobił?

– Popadł w długi, Wasza Łaskawość. Nie mógł dłużej liczyć na kredyt u dostawców, którzy, nawiasem mówiąc, mają własne kłopoty i sami mogą zbankrutować.

– A mój olejek różany?

– To podlejszy gatunek, z Maroka. Niczego lepszego nie udało nam się kupić.

Święty Symeon mruknął z dezaprobatą. Kaloumdżijan przyklęknął ciężko i zaczął wycierać święte podudzia. Patriarcha wsparł drżącą dłoń na jego ramieniu.

– Nie ma chłopców, nie ma olejku... Ku czemu ten świat zmierza, co, Kaloumdżianie? Mam nadzieję, że przynajmniej chłopcu nic nie grozi. Polubiłem tego małego łobuziaka. Jak myślisz, czy oni prostu uciekają?

– Któż to wie, Wasza Łaskawość? Może się przestraszył, że chcą z niego zrobić eunucha?

– To chyba nie jest wykluczone. Biedaczysko... Oby nic mu się nie stało. Dopilnuj, aby woda była sprzedawana po niższej cenie niż wcześniej. Nieuczciwe byłoby sugerować ludziom, że otrzymują produkt tej samej jakości co dawniej. Nie żartuję.

Wodę z kąpieli patriarchy, uświęconą poprzez kontakt z jego osobą, rozlewano do butelek i sprzedawano przy bramie rezydencji. Święty Symeon był chyba jedynym

człowiekiem w pałacu, który nie wiedział o tym, że dworscy urzędnicy traktowali ją jak lek homeopatyczny i wielokrotnie rozcieńczali – ale też nikt nie oczekiwał po świętym, że będzie zwracał sobie głowę tak przyziemnymi sprawami. Kiedy poprzedni patriarcha wyraził zdumienie na widok całych galonów wody różanej sprzedawanej wiernym, zapewniono go, że uświęcona woda powiększa swoją objętość, a poprzez swoją sakramentalną intensywność rozsadza napełniane nią butelki.

– Bądź tak dobry, Kaloumdżijanie, i podaj mi kalesony.

Wsparty na miękkiej opoche ramienia eunucha patriarcha wśliznął się w jedwabną bieliznę i poczekał, aż Kaloumdżijan zasznurowuje mu kalesony na lekko pękatym brzuchu. Przy tej okazji eunuch obejrzał z bliska ropiejący wrzód na prawej piszczeli świętego, który musiał go przyprawiać o prawdziwe męki, chociaż Symeon nigdy się na niego nie skarżył.

Pożyje z nim najwyżej pół roku, pomyślał eunuch, pomagając patriarsze naciągnąć podkoszulek i wzuć kapcie na wilgotne, kościste stopy.

Święty Symeon był w gruncie rzeczy wdzięczny, że to Kaloumdżijan, a nie chłopiec-służący pomaga mu się ubrać – chociażby dlatego, że chłopiec nie miał pojęcia, którą stroną obrócić kapę, a raz zdarzyło mu się zapiąć trzydzieści pięć guzików podkoszulka, zanim odkrył, że ostatni nie ma pasującej do niego dziurki. Musiał je wszystkie rozpiąć i zacząć od początku, a święty był zmuszony osobiście pokierować tą procedurą, co było męczące. Kaloumdżijan nie wymagał nadzoru, dzięki czemu patriarcha mógł ponownie oddać się rozważaniom na temat tajemnicy Wcielenia. To jednak również było męczące, chociaż w inny sposób. Przestał więc o tym myśleć i odezwał się ponownie:

– Powiedz mi, Kaloumdżijanie, ci ludzie z gór, o których tyle się ostatnio słyszy... Co o nich wiemy?

– Najbliżsi mojego dalekiego krewniaka z Erywanii, Wasza Łaskawość, zostali wymordowani przez bandytów, którzy żądali od nich wyrzeczenia się Kościoła Świętego, a w szczególności doktryny Wcielenia.

– Wstrząsające! – orzekł starzec. – Czy ci heretycy zostali odnalezieni i ukarani?

– Niestety nie, Wasza Łaskawość.

– Zginęła cała rodzina?

– Prawie. Ocalał mój kuzyn Sarkisian, który w tym czasie był akurat na bazarze, i młoda służąca, która ocalała życiem obietnicą uwierzenia w to, co kazali jej napastnicy.

– Nieszczęsne dziecko! – Zmętniałe oczy świętego zaszklily się od łez na myśl o młodej dziewczynie, która teraz pójdzie do piekła. – Jak myślisz, Kaloumdżijanie, czy to ludzie z gór uprowadzili chłopca?

– To całkiem możliwe, Wasza Łaskawość. Proszę mnie wziąć za rękę.

Święty posłusznie chwycił dużą, miękką dłoń, która się przed nim pojawiła, i z pomocą eunucha przyjął brzemię swojego dajmona-słowika, który z mozołem wgramolił mu się na ramię, choć w rzeczywistości ważył nie więcej niż garść płatków kwiatu. Poprzedzani przez gęs Kaloumdżijana przeszli z komnaty łaźiebnej do zakrystii, gdzie przygotowane zostały wierzchnie szaty patriarchy. Należało je nie tyle przywdziać, co wczougać się w nie od wewnątrz, zwłaszcza że konstrukcja najbardziej zewnętrznej warstwy przypominała tipi albo jurte, ze stelażem z listewek, na którym patriarcha mógł się wesprzeć podczas długiej i wyczerpującej liturgii. Pomyślano

nawet o sprytnie umieszczonym naczyniu na mocz, żeby naturalne potrzeby patriarchy (którego pęcherz, podobnie jak u wielu starszych mężczyzn, z wiekiem coraz bardziej kaprysił) nie wymagały przerwania nabożeństwa.

Eunuch oddał świętego pod opiekę trzech subdiakonów. Patriarcha niechętnie puścił jego dłoń.

– Dziękuję ci, drogi Kaloumdzianie. Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej na temat, o którym rozmawialiśmy. Byłbym ci wielce zobowiązany.

Kaloumdzijan dostrzegł coś, co uszło uwagi Świętego Symeona: niewysoki brat Mercurius posłał patriarsze bystre, docieklive, współczujące spojrzenie spod uroczym potarganej grzywki, przeniósł wzrok na eunucha i znów spojrzał na patriarchę. Ciężkie spojrzenie Kaloumdzijana zatrzymało się na subdiakonie dostatecznie długo, by ten poczuł się nieswojo, złożył dłonie w pobożnym geście i skromnie skupił uwagę na patriarsze.

Staruszek odmówił pierwszy pacierz i włożył sutannę. Brat Mercurius pośpiesznie przyklęknął, jego palce zatrzepotały przy guzikach i przygładziły jedwab. Udał, że poprawia ułożenie materiału, a w rzeczywistości wypatrywał odruchowego wzdrygnięcia się patriarchy przy dotknięciu prawej pizszeli. Oho, gorzej niż ostatnio! Cenna informacja.

Kolejne pacierze towarzyszyły założeniu piuski, kaptura, komży, stuły, cingulum oraz osobno każdej z ozdobnych nakładek na gładkie rękawy komży. Każdy element stroju był tak gęsto haftowany złotem i obsyty klejnotami, że patriarcha drżał pod ich połączonym ciężarem i coraz bardziej przypominał część wiekowej mozaiki, coraz mniej zaś istotę ludzką.

– Już niedługo, Święty – wymamrotał brat Mercurius. – Już niedługo.

Znów przyklęknął i przytrzymał rąbek szaty, gdy od góry na ramiona patriarchy nakładano obszerną, wszechogarniającą kapę osadzoną na sztywnej konstrukcji z rozpór i poprzeczek.

– Bracie... – przestrzegł go starszy subdiakon.

Brat Mercurius skromnie uchylił się i usunął w bok. Tym jednym gestem udało mu się wyrazić zarazem pokorną usłużność, jak i żalną dezaprobatę dla samego siebie: jak mógł zapomnieć, że to zadanie brata Ignatiusa? Głupiec! Jego dajmon, skoczek pustynny, też usłużnie uskoczył na bok.

– Bracie... Bracie... Młody bracie... – odezwał się patriarcha. – Bądź tak dobry i przytnij knoty w lampach w korytarzu prowadzącym do Sali Rady. Już dwa razy omal się tam nie potknąłem.

– Naturalnie, Wasza Łaskawość.

Brat Mercurius skłonił się nisko, by ukryć rozczarowanie. Teraz to pozostali dwaj diakoni będą asystować Świętemu Symeonowi podczas wejścia.

Wymknął się z zakrystii i natknął na stojącego na korytarzu eunucha – może na coś czekał, a może po prostu tam stał, tak czy inaczej, widok był niepokojący. Ta jego gęba, jak wielgachny księżyc z surowego ciasta! Brat Mercurius posłał mu przelotny, dyskretny uśmiech i zabrał się za przycinanie knotów, które (jak doskonale wiedział) bynajmniej nie wymagały przycięcia. Te na samym końcu, bliżej Sali Rady, były zawieszane nieco wyżej od pozostałych, mógł więc zabawić przy nich dłużej, niż to konieczne (zajmując się nimi z przesadną, teatralną niezdarnością), i przy okazji ponasłuchiwać strzępów prowadzonych w sali rozmów.

Tylko że oni byli cwani, ci wszyscy biskupi, arcybiskupi i archimandryci. Młody, śliczny arcydiakon o ujmującym uśmiechu nie mógł przechytryć przebiegłych mężów stanu, którzy od dwóch tysięcy lat szlifowali subtelności sprawowania władzy. Za drzwiami, pod którymi podstępnie się przyczaił, trzej syryjscy duchowni rozmawiali o... rodzinach. Pozostali uczestnicy synodu, w liczbie stu czterdziestu siedmiu, rozproszeni po całej sali prowadzili inne równie niezobowiązujące konwersacje. Nie zaczęła rozmawiać o niczym ważnym, dopóki dźwięk Dzwonu Opustoszenia nie obwieści, że wszyscy poza nimi opuścili pałac.

Słyszając odgłos otwieranych drzwi do zakrystii, brat Mercurius odwrócił się od lampy, przy której majstrował, przyglądał szatę na szczupłym ciele i pokornie usunął się z drogi, gotowy w każdej chwili skoczyć naprzód i otworzyć drzwi wielkiej sali.

– Odsuń się, głupcze. Odsuń się! – zabrzmiał dobrze znany szept.

Arcydiakon Phalarion, który właśnie wyszedł z zakrystii, miał nadzorować przebieg ceremonii i otwarcie drzwi do Sali Rady należało do jego wyłącznych kompetencji. Brat Mercurius skłonił się i na paluszkach cofnął korytarzem, trzymając się tak blisko ściany, że posuwał się praktycznie bokiem, jak krab. I właśnie dlatego, że przemieszczał się w taki sposób i znajdował się mniej więcej w połowie długości korytarza, miał ze wszystkich najlepszy widok na to, co się wydarzyło.

Zaczął się od tego, że stojący przy drzwiach dajmon eunucha zagęgał zniecka, bardzo głośno: rozdzierający gęsi krzyk strachu i zagrożenia.

Kaloumdżijan obejrzał się na dajmona, zaciekawiony, co go tak przeraziło. W następnej chwili bułał ściał mu głowę, która z głuchym łoskotem spadła na ziemię. Długą sekundę albo dwie później tryskające obficie krwią ciało eunucha poszło w jej ślady. Jego dajmon już się rozwiął.

Arcydiakon Phalarion rzucił się na przepychające się przy wyjściu z zakrystii postaci i błyskawicznie został powalony. Wspierany przez dwóch subdiakonów patriarcha był zbyt sztywny, żeby odwrócić się i spojrzeć, i zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć. Subdiakoni, rozdarci między obezwładniającą zgrozą i pragnieniem ochrony świętego starca, też nie ruszyli się z miejsca i zginęli w chwili, gdy obejrzel się przez ramię. Osunęli się na boki jak połówki formy posągu odlanego z brązu, martwe, sztywne przedmioty, których jedynym celem było zabezpieczenie i przechowanie dzieła sztuki w tej oto chwili pierwszy raz ukazującego się w całej swojej wspaniałości.

Patriarcha, bo to on był tym dziełem sztuki, prezentował się nadzwyczajnie w ceremonialnych szatach wspartych na wszytym od wewnątrz stelażu. Jego twarz (brat Mercurius widział ją bardzo dobrze w blasku lamp na korytarzu) była twarzą człowieka, który właśnie odkrył i zrozumiał rozwiązanie poważnego, złożonego problemu, być może samej tajemnicy Wcielenia. Jednakże w przeciwieństwie do eunucha i subdiakonów nie miał tyle szczęścia, by zginąć od pierwszego zadanego mu ciosu. Napastnicy – było ich trzech – rąbali, dźgali i rznąli sztywną, na wół drewnianą postać Świętego Symeona, którego przerażony dajmon podfrunął do góry, spadł, zderzył się ze ścianą i zakręcił w miejscu na podłodze, rozsiewając przy tym na wszystkie strony krople płynnej melodii.

Sam Święty Symeon wymachiwał tymczasem rękami jakby w zwolnionym tempie, jak obrócony na grzbiet żuk, zupełnie obojętny na fakt, że stracił już jedną dłoń. Po chwili śpiew słowika ucichł, a stary człowiek zwiotczał w podtrzymujących

go szatach, niezdolny upaść.

Brat Mercurius patrzył, jak trzej uzbrojeni w szable napastnicy w pierwotnie białych – a teraz intensywnie czerwonych – szatach przewracają patriarchę, żeby upewnić się, że nie żyje. Patrzył, jak rozglądają się dookoła i spoglądają za siebie, skąd dobiegały teraz gniewne pokrzykiwania, tupot stóp i szcęk broni. Patrzył, jak ich twarze o jastrzębich rysach zwracają się w jego stronę, i poczuł wstrząsające piękno ich spojrzeń. Omal nie zemdleł, gdy ruszyli w jego kierunku, ale myślał o drzwiach za plecami, o drzwiach, które...

Otwierały się do wewnątrz, w głąb korytarza, więc gdyby zaparł się o nie plecami i czekał, aż intruzi go rozsiekają, może zdołałby ich zatrzymać dostatecznie długo, żeby przybiegli strażnicy z gwardii pałacowej. Zdał sobie z tego sprawę w najkrótszym możliwym ułamku sekundy, ale tak samo zdawał sobie sprawę z tego, że takie zachowanie nie leży w jego naturze, bo z natury jest sympatyczny, zgodny, uczynny i przydatny. Takim stworzył go Bóg. Za późno na zmiany.

Dlatego w tej samej chwili, zanim zabójcy zdążyli przemierzyć choćby pół długości korytarza, brat Mercurius okręcił się na pięcie, pociągnął za kłamkę i otworzył ogromne drzwi. Słyszac dobiegające od strony zakrystii krzyki i odgłosy walki, przerażeni dostojnicy już wcześniej stłoczyli się jak owce w stadko pośrodku wielkiej sali. Po otwarciu drzwi zabójcy mogli bez przeszkód rzucić się na nich i zaszlachtować ich tuzin albo więcej, zanim dopadną ich strażnicy.

Brat Mercurius nie miał ochoty oglądać zwłok patriarchy, ale wiedział, że będzie to dobrze widziane, jeśli ktoś go zastanie modlącego się przy nich. Dlatego gdy dobiegające z Sali Rady odgłosy mordu, wrzaski, wilgotne chrzęsty, łoskoty, zgrzyty i lamenty wypełniły mu uszy, ostrożnie wycofał się do powalonej konstrukcji zawierającej resztki świętego i uklęknął. Dopilnował, żeby umazać się największą ilością krwi, jaką zdołał znieść, po czym rozbeczał się jak dziecko.

Nieprawdziwe byłoby twierdzenie, że Mercurius już w tej chwili wyobrażał sobie ikony, na których w swoim czasie przedstawione zostanie męczeństwo Świętego Symeona Papadakisa, i dbał o to, by kluczowym, wręcz definicyjnym elementem tej sceny była obecność młodego, pobożnego subdiakona zbryzganego krwią męczennika i modlącego się przy jego ciele z oczami wzniesionymi ku niebu.

Istotnie, miał taką wizję przed oczami, lecz nie na pierwszym planie, bo bardziej frapowała go w tej chwili kwestia sukcesji na stanowisku przewodniczącego Rady Najwyższej, wielka polityka, która w najbliższych tygodniach miała zdominować życie Magisterium, a także możliwość awansu po tym, jak dwaj pozostali łąziebni subdiakonowie zostali zgładzeni. Do tego dochodziło to zniewalające spojrzenie pięknych oczu zabójców, gdy rzucili się w jego stronę. Nigdy w życiu nie widział czegoś równie ekscytującego.

Tymczasem w głównej nawie wielkiej katedry, dokąd nie dobiegły odgłosy zamachu na Świętego Symeona, pod ogromną kopułą setki wiernych (wśród nich Lyra) czekały na rozpoczęcie nabożeństwa. Męski chór śpiewał hymn, którego długość i powolny rytm nieodparcie kierowały umysł ku rozmyślaniom o wieczności.

Elementem stosowanej przez Lyrę polityki dyskrecji było niezadawanie pytań i nieinicjowanie rozmów, musiały jej więc wystarczyć informacje wychwycone z zachodzących dookoła niej wydarzeń. Poddała się cierpliwemu, podobnemu do transu bezruchowi wiernych dodatkowo wspomaganemu muzyką, gdy wtem jeden ze śpiewaków zafalszował.

Brzmiało to tak, jakby przy wyciąganiu najwyższej nuty został ugodzony w samo serce. Po czymś na kształt stęknienia albo kasznięcia, które złamało linię melodyczną, rozległy się niepewne westchnienia pozostałych chórzystów. Po mniej więcej minucie śpiewacy opanowali sytuację i podjęli pieśń – tylko po to jednak, by przerwać po następnym taktie albo dwóch, mimo że w sposób oczywisty nie był to jeszcze koniec hymnu.

Chóru nie było widać, toteż nikt z zebranych nie potrafił stwierdzić, co było przyczyną tej nagłej przerwy. Podniosła atmosfera ulotniła się w okamgnieniu i spójne zgromadzenie wiernych rozpadło się na kilkaset podenerwowanych jednostek. Ludzie rozglądali się, wyciągali szyje, żeby spojrzeć ponad głowami tych w pierwszych rzędach, a gdy po chwili chór znów dał znać o sobie, zamiast śpiewu dobiegły z jego strony krzyki, jęki, szcęk stali, a nawet jeden wystrzał, na dźwięk którego tłum w katedrze zgodnie podskoczył, upodabniając się na moment do łanu pszenicy smagniętego podmuchem wiatru.

W pierwszym odruchu ludzie odsunęli się od ścian i skupili bliżej środka przepastnej nawy. Lyra wzięła przykład z tłumy. Niewiele widziała, pilnie za to nasłuchiwała dobiegającej zza ikonostasu wrzawy i odgłosów walki. Kilkanaście osób zaczęło się głośno, rozpaczliwie modlić, dodatkowo potęgując zgiełk.

Odwróciła się do Pana, żeby coś mu szepnąć – tyle że Pana oczywiście przy niej nie było i znów poczuła bolesne ukłucie osamotnienia. Wzięła się w garść i zaczęła odhaczać w głowie kolejno wszystkie rzeczy, przez które mogłaby zwrócić na siebie uwagę, i po chwili, już całkiem opanowana, wyglądała jak najpotulniejszy, najbardziej bierny i najmniej zdeterminowany z przypadkowych widzów, osoba absolutnie niewarta zainteresowania.

Przywdziawszy tę maskę pokory, skierowała się najpierw do skraju olbrzymiej pustej przestrzeni, a potem wzdłuż ściany do wyjścia. Pierwsi ludzie już pośpiesznie wychodzili. Zdawała sobie sprawę, że gdy będzie ich więcej, droga do wyjścia może zostać zatarasowana. Zamiast więc czekać i dać się zamknąć w katedrze jak w potrzasku, tak długo rozpychała się łokciami i przeciskała przez ciżbę, aż znalazła się na zewnątrz, na marmurowych stopniach, oślepiona słońcem i spychana w dół schodów przez wylewający się przez wrota i rozplywający po placu tłum.

Panowało ogólne zamieszanie, plotki o zamachu i krwawej rzezi szerzyły się jak pożar lasu. Lyra mogła się co najwyżej domyślać, o czym mowa, dopóki nie usłyszała wypowiedzianych po angielsku słów i nie odwróciła się w stronę mówiącego.

Wychudzony mężczyzna z tonsurą, w prostej, surowej, jakby klasztornej szacie tłumaczył coś pośpiesznie Anglikom obojga płci w średnim i starszym wieku, którzy wyglądali na wystraszonych i zasmuconych.

Stojąca na obrzeżu grupki kobieta o miłej twarzy była wyraźnie zaaferowana. Jej dajmon, dzwonic, patrzył współczująco na Lyrę.

– Co się dzieje? – zapytała ją Lyra, łamiąc jedną ze swoich zasad. – Ktoś wie?

Słyszając, że mówi po angielsku, kobieta zwróciła się do niej:

– Podobno go zabili, patriarchę... ale nikt nie wie na pewno...

– Co dokładnie widziałeś? – zawołał do mnicha ktoś z grupy.

Mnich przyłożył dłoń do czoła w geście rozpaczliwej bezradności i odparł, podnosząc głos:

– Widziałem ludzi z szablami... ubranych na biało... mordowali wszystkich duchownych... Jego Świątobliwość patriarcha zginął pierwszy...

– Nadal tam są?

– Nie wiem... uciekłem, ze wstydem przyznaję... uciekłem, zamiast zostać i zginąć jak inni...

Łzy płynęły mu po policzkach, wargi drżały, piskliwy głos co rusz się łamał.

– To bardzo ważne, dać świadectwo – zauważył ktoś.

– Nie! – wykrzyczał mnich. – Powinienem być zostać! Było mi przeznaczone męczeństwo, tymczasem okazałem się tchórzem!

Jego dajmon, mała małpoksztalna istotka, biegał w tę i z powrotem po jego ramieniu, tał piąstkami oczy i zawodził żałośnie.

– Nie, nie. – Zagadnięta przez Lyrę kobieta ze zgrozą pokręciła głową i odwróciła się do niej plecami. Wtedy jednak jej dajmon szepnął jej coś na ucho i znów spojrzała na Lyrę. – Ty... wybac mi, proszę, ale... chyba się nie mylę, prawda? Twój dajmon...

– Nie myli się pani – potwierdziła Lyra. – Mój dajmon... odszedł.

– Biedaczko... – odparła kobieta z autentycznym współczuciem.

Kompletnie zaskoczona tą reakcją Lyra w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jest pani... ehm... – wykrztusiła. – Jest pani z tej grupy?

– Nie, skądże. Usłyszałam po prostu, że ktoś mówi po angielsku, więc... Byłaś w katedrze? Wiesz, co się dzieje?

– Nie. W pewnej chwili chór umilkł, a potem... Proszę spojrzeć, ktoś stamtąd wychodzi.

Na schodach, w tłumie przed wejściem zrobiło się zamieszanie, jakby ktoś odpychał ludzi na boki, po czym z katedry wynurzyło się czterech lub pięciu gwardzistów w galowych mundurach Straży Patriarchy. Kwadratowym kordonem ochronnym otaczali młodego mężczyznę w szatach duchownego, którego zakrwawiona twarz i błyszczące oczy zdawały się – nawet w ten słoneczny poranek – rozświetlone niczym reflektorem, tak wyraźne były zachodzące w nich zmiany: od smutku i żalu, poprzez cierpliwą odwagę, aż po radosną akceptację męczeńskiej śmierci świętego. Coś mówił, śpiewnym tonem wygłaszał słowa, które musiały być jakąś powszechnie znaną litanią, bo bezładna dotąd ciżba przeobraziła się nagle w tłum wiernych wypowiadający stosowne formułki, gdy tylko młody ksiądz zawiesił głos.

– Chyba pierwszy raz w życiu widzę tak bezwstydnego oportunistę – szepnęła kobieta. – Świetnie wyjdzie na tej tragedii.

Lyra podzielała jej zdanie. Fircyk udał, że mdleje, i uczepił się ramienia najprzystojniejszego z gwardzistów, który zarumienił się i go podtrzymał. Dajmon księdza powiedział coś, na co najbliżej stojący słuchacze odpowiedzieli zbiorowym westchnieniem życzliwego współczucia.

Lyra odwróciła wzrok.

– Zaczekaj – powiedziała kobieta, z którą rozmawiała.

Lyra pierwszy raz należycie jej się przyjrzała i zobaczyła całkiem zwyczajną, życzliwą twarz dobrze zakonserwowanej kobiety w średnim wieku, zarumienioną nie tylko od słońca.

– Nie mogę tu zostać – odparła.

Prawdę mówiąc, nie było żadnego powodu, dla którego faktycznie nie mogłaby zostać, zwłaszcza że (z punktu widzenia Oakley Street) była w tej chwili świadkiem najważniejszych wydarzeń. Tym bardziej powinna więc zostać i robić notatki.

– Daj mi pięć minut – poprosiła kobieta. – Zapraszam cię na kawę.

– W porządku, niech będzie kawa. Dziękuję.

Nad placem poniosło się zawrodoenie syreny karetki. Tłum gęstniał z każdą chwilą: rzeka ludzi cały czas wylewała się z katedry, a nowi wciąż przybywali wszystkimi czterema schodzącymi się na placu ulicami. Po chwili już dwie karetki próbowały wspólnymi siłami torować sobie drogę w tej ciżbie. Na schodach świątyni młody ksiądz (cały czas wczepiony w gwardzistę) rozmawiał z trzema, czterema osobami, które pilnie notowały jego słowa.

– Już są reporterzy – zauważyła kobieta. – Chłopak ma swoje pięć minut.

Odwróciła się i zaczęła energicznie przepychać się przez ludzkie masy. Lyra ruszyła za nią. Wychodziły z placu, gdy wycie innych syren zapowiedziało przybycie pierwszych radiowozów policyjnych.

Pięć minut później siedziały w ogródku kawiarenki w jednej z bocznych uliczek. Lyra bardzo się cieszyła, że ma towarzystwo.

Kobieta przedstawiła się jako Alison Wetherfield, nauczycielka języka angielskiego w angielskiej szkole w Aleppo. Przyjechała do Konstantynopola na ferie.

– Nie jestem pewna, jak długo szkoła jeszcze przetrwa – przyznała. – Miasto jakoś się trzyma, ale na wsiach narasta podenerwowanie.

– Czuję, że powinnam wiedzieć, co się dzieje – powiedziała Lyra. – Dlaczego ludzie się denerwują?

– Atmosfera jest bardzo napięta. Dzisiejsza tragedia tylko to potwierdza. Ludzie czują się odczłowieczeni przez prawo, wykorzystywani przez przełożonych, dyskryminowani przez struktury społeczne, których nie mają jak zmienić. To nic nowego, taka sytuacja utrzymuje się od lat, ale ziarno paniki różanej padło na podatny grunt...

– Paniki różanej?

– To taka nowa odmiana fanatyzmu. Ludzie z gór, bo tak się ich nazywa, prześladują hodowców róż, palą ich ogrody albo równają je z ziemią. Utrzymują, że róża jest zniewagą dla Absolutu. Nie miałam jednak pojęcia, że sięga to tak daleko.

– Skutki odczuwalne są nawet w Oksfordzie – odparła Lyra.

Opowiedziała o problemie z dostępnością wody różanej w Kolegium Jordana. W przyszłości mogła jeszcze pożałować, że sprzeciwiła się swoim żelaznym zasadom i ujawniła, skąd pochodzi, ale ulga i czysta przyjemność płynące z rozmowy z kimś, kto ją rozumiał, stanowiły zbyt silną pokusę.

- Co cię rzuciło w te strony? – zdumiała się Alison Wetherfield. – Przyjechałaś do pracy?
- Jestem tu przejazdem. Udaję się do Azji Środkowej i czekam na prom.
- W takim razie masz jeszcze przed sobą szmat drogi. Co będziesz tam robić?
- Zbierać materiały do mojej pracy naukowej.
- Na jaki temat?
- Historia, z grubsza rzecz biorąc. Chciałam zobaczyć na własne oczy niektóre rzeczy, których nie uświadczysz w bibliotece.
- A to, co... zwróciło moją uwagę...
- Że nie mam dajmona?
- Właśnie. Czy to też ma coś wspólnego z twoją podróżą?
- Lyra kiwnęła głową.
- Czy to jej najważniejszy aspekt? – indagowała Alison.
- Lyra z westchnieniem odwróciła wzrok.
- Udajesz się do Madinat al-Qamar – stwierdziła jej rozmówczyni.
- No cóż...
- Nie ma potrzeby się z tym kryć. Nie jestem wstrząśnięta ani zaskoczona. Sama znam człowieka, który się tam wybierał. Nie wiem, co się z nim stało. Powiedziałabym ci, żebyś była ostrożna, ale wyglądasz na tyle rozsądnie, że na pewno sama już na to wpadłaś. Wiesz, jak znaleźć to miejsce?
- Nie.
- W tamtym rejonie wprost roi się od wymarłych wiosek i miast, mogłabyś całymi latami szukać tego właściwego. Dlatego będziesz musiała znaleźć przewodnika.
- To znaczy, że Madinat al-Qamar naprawdę istnieje?
- O ile mi wiadomo, tak. Chociaż kiedy pierwszy raz o nim usłyszałam, pomyślałam, że to legenda albo opowiadka o duchach. Powiem szczerze: większość tego typu historii wydaje mi się... czy ja wiem... nieprzekonująca. Albo inaczej: nieistotna. Na świecie i bez tego jest dostatecznie dużo problemów, chorych, którymi trzeba się opiekować, dzieci, które trzeba uczyć, biedy i ucisku, z którymi trzeba walczyć. Nie ma sensu zawracać sobie głowy tym, co nadprzyrodzone. Ale z drugiej strony, ja po prostu mam fart. Dobrze czuję się na tym świecie, jestem szczęśliwa ze swoim dajmonem i zadowolona ze swojej pracy. Zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy mają tyle szczęścia. Dlaczego twój dajmon odszedł?
- Nie dogadywaliśmy się. Nie miałam pojęcia, że tak to się skończy, nie sądziłam, że to możliwe. Rzadko ze sobą rozmawialiśmy, aż pewnego dnia on po prostu zniknął.
- To musiało być bolesne przeżycie.
- Jeszcze jak! Ale najgorsze jest to, że nie mam z kim porozmawiać. Nie ma nikogo, kto by mi czasem udzielił dobrej rady.
- Jak sądzisz, co by ci dziś powiedział?
- O mojej podróży? Czy o tym, co się dziś wydarzyło?
- O tym, co się wydarzyło.
- Nie ufałby temu młodemu księdzu.
- Bardzo słusznie.
- I kazałby mi wszystko zapisywać.
- Byłby z niego dobry dziennikarz.

– I od razu zaprzyjaźniłby się z pani dajmonem. To jedna z rzeczy, których najbardziej mi brakuje.

Dajmon Alison, dzwonec, który z uwagą przysłuchiwał się rozmowie, zaświergotał współczująco. Lyra doszła do wniosku, że czas zmienić temat, zanim powie za dużo.

– A co pani sądzi o tej nowej Radzie Najwyższej? – zapytała. – Jaka będzie jej rola?

– Tego chyba jeszcze nikt nie wie, jej powołanie było sporym zaskoczeniem. Oby tylko się nie okazało, że jest to zapowiedź zaostrzenia ortodoksyjnego kursu Magisterium. System, który istnieje od setek lat, ma swoje wady, nikt nie twierdził, że jest idealny, ale jego niepodważalną zaletą jest pewne ograniczone pole do sprzeciwu i dyskusji. Gdyby zamiast tego miał zabrzmieć jeden głos, którzy narzuci nam swoją wolę... Obawiam się, że to do niczego dobrego nie doprowadzi.

Syreny zawodziły już bez przerwy, a w tej chwili dołączył do nich inny dźwięk: dobiegający z pobliskiej dzwonnicy donośny grzmot dzwonu. Kiedy po kilku sekundach odpowiedział mu inny, Lyra przypomniała sobie dzwony oksfordzkie i nagle zatęskniła za domem, ale trwało to tylko moment. Rozdzwoniły się dzwony w wielu okolicznych kościołach, lecz chwilę potem przebił się przez nie kolejny, jeszcze inny odgłos: ostry, dudniący łoskot żyroptera.

Lyra z Alison zadarły głowy i zobaczyły najpierw jedną latającą maszynę, a potem dwie kolejne krążące nad kopułą kościoła Świętej Mądrości.

– Wygląda mi to na pierwsze objawy urzędowej paniki – powiedziała Alison. – Niedługo, lada chwila, patrol policyjne zaczną domagać się od przechodniów okazania dokumentów i będą aresztować każdego, kto im się nie spodoba. Na przykład ciebie, moja droga. Dam ci dobrą radę: wróć prosto do swojego hotelu i nie wychodź z niego do czasu odpłynięcia promu.

Nagle Lyra poczuła się ogromnie zmęczona.

Och, Pan!, pomyślała, ale siłą woli zmusiła się do wstania i podania Alison ręki.

– Dziękuję za rozmowę – powiedziała. – Będę o pani pamiętać.

Wyszła z kafejki i wróciła do hotelu. Po drodze była świadkiem, jak patrol aresztował młodego mężczyznę, który stawiał zawzięty opór. Na innej ulicy zobaczyła policjantów cofających się przed rozszłoszczonym tłumem, który rwał bruk i obrzucał ich kamieniami. Szła ostrożnie i ze wszystkich sił starała się być niewidzialna; nawet recepcjonistka hotelowa siedząca za obskurnym biurkiem nie zauważyła Lyry, gdy ta przeszła obok niej.

Znalazszy się w swoim pokoju, zamknęła drzwi na klucz.

Nowina o zamachu rozeszła się szybko i sięgnęła daleko. Kilkanaście agencji informacyjnych zwróciło uwagę na fakt, że zmarły męczeńską śmiercią patriarchy, człowiek święty i wiekowy, był również przewodniczącym nowej Rady Najwyższej Magisterium.

W Genewie natychmiast to odnotowano. Rada – a przynajmniej ci z jej członków, którzy mieszkali i pracowali w tym mieście i których liczba cudownym zrzędzeniem

Opatrzności była wystarczająca do uzyskania kworum – bezzwłocznie zebrała się na spotkaniu rozpoczętym od modłów za zabitego Świętego Symeona, którego przewodnictwo trwało tak bardzo krótko.

Zaraz po tym wstrząśnięci delegaci zajęli się kwestią sukcesji. Oczywistym było, że w tak trudnym momencie sprawę należy załatwić jak najszybciej, tak jak oczywistym było, że jedynym możliwym kandydatem na następcę jest Marcel Delamare. Zresztą wielu członków Rady także i w tym fakcie upatrywało działania Opatrzności.

Pogrążony w żalu Delamare został wybrany przez akklamację i bez entuzjazmu przyjął złożoną na jego barki wielką odpowiedzialność, obwieszczając przy tym swoją marność i niegodność tego zaszczytu w zdaniach tak okrągłych i tak perfekcyjnie skomponowanych, że prawie, prawie mogłyby zostać napisane przed okropnymi i całkowicie nieprzewidywalnymi wypadkami w Konstantynopolu.

Jednakże ewidentna niepewność i pokora nie przeszkodziły mu zachować dość spokoju ducha i trzeźwości osądu, by zasugerować kilka drobnych poprawek do konstytucji na rzecz większej stanowczości, determinacji i skuteczności władzy w tych, jak to się mówi, niepewnych czasach. Aby niepotrzebnie nie odrywać Rady Najwyższej od jej świętego dzieła poprzez konieczność organizacji wyborów, kadencję przewodniczącego przedłużono z pięciu do siedmiu lat i zniesiono ograniczenie liczby kadencji dla jednego kandydata. Co więcej, przewodniczącemu nadano również władzę wykonawczą niezbędną do szybkiego i zdecydowanego działania w tych niepewnych, i tak dalej.

Tak oto po raz pierwszy od sześciuset lat na czele Magisterium stanął jeden przywódca, dysponujący całą władzą, która wcześniej była podzielona pomiędzy liczne instytucje. Potęga Kościoła, nieprzykrojona już i niepodzielona, skupiała się bez reszty w urzędzie i osobie Marcela Delamare'a.

Pierwszym, który na własnej skórze miał doświadczyć szybkości nowego systemu i nieprzyjemności wynikających z jego działania, był Pierre Binaud, Najwyższy Sędzia Konsystorskiego Sądu Dyscyplinarnego. Niespełna godzinę później został zdymisjonowany i miał już nigdy nikomu nie wtrącać się do rozmowy.

Podpisując stosowny rozkaz, Marcel Delamare myślał o siostrze, którą tak ogromnie podziwiał. Myślał również o matce i niecierpliwie wyczekiwał kolejnego z nią spotkania.

Prom do Smyrny

Noc w hotelu spędzona na wsłuchiwanie się w wycie syren, krzyki ludzi, brzęk tłuczonych szyb, łoskot krążących w górze żyropterów i rzadkie wystrzały była męczarnią. Lyra czuła się wykończona, ale tego dnia odpływał prom do Smyrny, a poza tym nie mogła ukrywać się w hotelu w nieskończoność.

Zeszła na śniadanie, a potem wróciła do pokoju i przesiadła w nim do końca doby hotelowej. Recepcjonista wyczytał w porannej gazecie, że wszyscy napastnicy zginęli, gdy Straż Patriarchy przypuściła szturm na świątynię, późniejsze zamieszki były zaś dziełem jakichś ludzi z gór (tyle tylko było o nich wiadomo), którzy postanowili wykorzystać ogólną panikę. Ale już jest po wszystkim, zapewnił Lyre. Policja opanowała sytuację.

Obsługa hotelowa była zadowolona, że Lyra się wymeldowuje, bo wszyscy się jej bali. Wyczuwała bijący od nich niepokój i strach, a ponieważ nie było sensu udawać przed nimi niewidzialnej, próbowała rozładować atmosferę życzliwym, przyjaznym zachowaniem. Nie mogła jednak nic poradzić na brak dajmona. Ostatecznie też się ucieszyła, że opuszcza hotel, i skierowała się do portu.

Prom odpływał pod wieczór, by dwa dni później z samego rana dotrzeć do celu. Lyra mogła wykupić miejsce w kabinie, ale po tymczasowym uwięzieniu w hotelu wolała spędzić jak najwięcej czasu na zewnątrz. Pierwszego wieczora zjadła samotną kolację w obskurnej pokładowej restauracji, po czym zakutana w koc usiadła na pokładzie w wygodnym wiklinowym fotelu i patrzyła na gwiazdy, przesuujące się za burtą światła miasta i lampy łodzi rybackich na nocnym połowie.

Myślała o tej kobiecie, Alison Wetherfield. Nauczycielka, porządna, przyzwoita, pewna siebie... Chciałaby być taka jak ona. Przypominała jej Hannah Relf. Miała dokładnie takie same obawy dotyczące nowej Rady Najwyższej, chociaż kiedy rozmawiała o tym z Alison, nie zdążyła ich jeszcze dobrze przemyśleć. Odkąd Pan odszedł, jej myśli kręciły się wyłącznie wokół jej kłopotliwej sytuacji i... Nie, to się zaczęło wcześniej. Kiedy? Przy pierwszym konflikcie z Pantalaimonem? Najprawdopodobniej. Przesadne zainteresowanie własną osobą nigdy nie należało do cech, które podziwiałaby u innych, a tu proszę: sama myśli tylko o sobie. Dobre kobiety, takie jak Hannah czy Alison, miały inne powody do zmartwień albo – jeszcze lepiej – nie miały ich w ogóle. Dobre kobiety...

Jakie to wszystko było skomplikowane. Przypomniało jej się, jak Malcolm opowiadał o zakonnicach z klasztoru w Godstow, które okazały mu niezwykłą życzliwość, gdy był chłopcem, przyjęły Lyre pod swój dach i opiekowały się nią przed powodzią. To, co zrobiły, bez wątpienia było dobre. Większość działań

Magisterium w oczywisty sposób dobra nie była, a przecież siostrzyczki z Godstow przez wzgląd na swoją wiarę były częścią Magisterium... Czy to możliwe, żeby przez swoje zachowanie stanowiły część czegoś zupełnie innego? Myślała, że kiedy wróci z wyprawy na północ, będzie mądrzejsza, ale wszystko, czego się podczas swoich przygód nauczyła, wydawało się teraz skrajnie odległe, zostały jej tylko rozproszone, oderwane od siebie żywe, intensywne wspomnienia szczególnych chwil, wyjątkowych ludzi (takich jak Lee Scoresby albo Mary Malone) i niezwykłych wydarzeń (pojedynek niedźwiedzi), a nade wszystko – wspomnienie tamtej chwili w lasku w świecie mulef, gdy pocałowali się z Willem. Hołubiła w sercu określenie „republika niebieska”, ale nigdy nie zastanawiała się nad tym, co miałoby znaczyć. A kiedy w ogóle o tym myślała, dochodziła do wniosku, że kamieniem węgielnym owej republiki powinna być racjonalność.

To była Lyra, która pisała eseje i zdawała egzaminy. Lyra, która uwielbiała dyskutować z akademikami, wyszukiwać luki w ich argumentacji i efektownie je odsłaniać, ujawniać kryjące się za nimi domniemania i nieprawdy. Lyra, którą fascynowały teksty Gottfrieda Brandego i niepokoiliy dzieła Simona Talbota.

Nie była przygotowana na rewolucję umysłową, którą zgotował jej Giorgio Brabandt opowieściami o tajemnej wspólnotce. Niegdyś zbyłaby takie bajania pogardliwym wzruszeniem ramion, ale kiedy teraz siedziała na pokładzie zawinięta w koc, patrzyła na maleńkie punkciki światła na ciemnym niebie i ciemnym lądzie, czuła wibrację silników i nieustanne łagodne kołysanie promu sunącego po gładkim morzu na południe, zastanawiała się, czy przypadkiem wszystko jej się nie pomyliło.

Następna myśl przyszła zupełnie naturalnie: czy to nie dlatego Pan ją opuścił?

Podczas tej spokojnej nocy na morzu czas jakby stanął w miejscu. Spokojnie, systematycznie cofnęła się pamięcią do pierwszego konfliktu z Pantalaimonem. Wspomnienia posłusznie wypływały z ciemności jak ogniwa długiego łańcucha. Jego złość, gdy była niemila wobec młodszej dziewczynki w szkole – gdy wbrew swojej naturze i nie bacząc na napomnienia Pana, drwiła z jej nieumiejętności rozróżnienia autora od narratora w powieści, którą miały przeczytać na egzamin. Niecierpliwie zachnięcie się na służącą w Świętej Zofii. Szydercza odmowa przyjęcia na wystawę obrazów o tematyce religijnej autorstwa rodzica przyjaciółki. Jej zachwyty, gdy Gottfried Brande rozprawiał się z tradycyjną filozofią, rozbierał ją na czynniki pierwsze i tratował. Jej zachowanie – tak, teraz widziała to doskonale i rumieniła się ze wstydu – wobec Malcolma, w czasie, gdy był dla niej tylko doktorem Polsteadem. Wszystko drobiazgi, bez wątpienia, ale była ich chyba z setka i wciąż przybywało nowych. A jej dajmon wszystko to widział, był coraz bardziej niezadowolony, aż w końcu uznał, że ma dość.

Próbowała się bronić przed tym samozwańczym trybunałem, lecz jej linia obrony była miálka i wkrótce przestała udawać. Było jej potwornie wstyd. Postępowała źle, a jej złe uczynki w jakiś sposób wiązały się z wizją świata, w którym nie było miejsca na tajemną wspólnotę.

Gwiazdy wirowały powoli wokół bieguna niebieskiego. Prom sunął wzdłuż brzegu. Od czasu do czasu na lądzie lśniły światła jakiejś wioski, w odbiciu roztrzaskane na tysiąc złocistych skrawków przez nieprzeliczone poruszenia w wodzie. Raz czy drugi mignęło jej światło innego rodzaju, poświata lampy zawieszanej na dziobie kutra, przy której rybacy szykowali sieci na lufary

i kałamarnice. Ten obraz podsunął jej inne skojarzenie: oto wywabiała potwory kryjące się w mrokach jej jaźni. Przypomniała sobie, co nieżyjący Roger, niegdyś jej najlepszy przyjaciel, powiedział o harpiach z krainy umarłych: wiedzą o wszystkich złych rzeczach, które zrobiłeś w życiu, i bez przerwy ci o nich szepczą. Właśnie miała przedsmak tego, o czym mówił.

Czy harpie też należały do tajemnej wspólnoty? Czy świat umarłych, który zamieszkiwały, był jej częścią? Czy też ona tylko go sobie wyobraziła, dając się zwieść mgłę fałszu?

A czym w ogóle jest ta tajemna wspólnota?, rozmyślała dalej. Stanem istnienia, na który nie było miejsca ani w świecie Simona Talbota, ani w (różnym od niego) świecie Gottfrieda Brandego. Bytem niedostrzegalnym dla zwykłej percepcji. Jeżeli w ogóle istniała, to dawało się ją zobaczyć nie dzięki logice, lecz tylko poprzez wyobraźnię – czymkolwiek była wyobraźnia. Tajemną wspólnotę tworzyły duchy, elfy, bogowie i boginie, nimfy, nocne zmory, diabły, błędne ogniki i inne podobne im istoty. Z natury nie były ani życzliwe, ani nieżyczliwe wobec ludzi, zdarzało się jednak, że przyświecały im cele sprzeczne z ludzkimi. Miały pewną władzę nad ludzkim życiem, ale dawało się je pokonać, tak jak Malcolm oszukał elfkę z Tamizy, która chciała zatrzymać Lyrę przy sobie i nie zamierzała jej oddać...

Steward przeszedł po pokładzie, żeby poinformować przebywających na nim pasażerów (była ich garstka), że zbliża się pora zamknięcia baru. Dwaj mężczyźni wstali z leżaków i schronili się w kabinie.

– Dziękuję – powiedziała Lyra. Tylko tyle umiała po anatolijsku.

Steward skinął głową i poszedł dalej, a ona wróciła do swoich rozmyślań. Czy nocne zmory, elfy, błędne ogniki i inni obywatele tajemnej wspólnoty żyli tylko w jej wyobraźni? Czy istniało logiczne, racjonalne, naukowe wytłumaczenie takich bytów, czy też stanowiły niezgłębianą tajemnicę dla nauki i wieczną zagadkę dla rozumu? Czy w ogóle istniały?

Do „takich bytów” z całą pewnością zaliczały się dajmony, musiały się zaliczać, jeżeli Brande i Talbot mieli co do nich słusność. Dla nich dwóch widok młodej kobiety pozbawionej dajmona nie byłby niczym niezwykłym. Co innego Alison Wetherfield, która od razu zorientowała się, co wyróżnia Lyrę, ale w przeciwieństwie do większości ludzi okazała jej z tego powodu serdeczność i współczucie. U hałaśliwego pasażera na promie w kanale La Manche ten sam fakt wzbudził strach i zapiekłą nienawiść. Większość ludzi z pewnością nie wątpiła w istnienie dajmonów.

Dalej nie mogła się posunąć. Gwiazdziste niebo zdawało się martwe i zimne, świat bez reszty zdeterminowany przez mechaniczne, obojętne interakcje cząstek i cząsteczek, które będą trwały po kres czasu bez względu na to, czy ona będzie żyła, czy nie; czy ludzie będą istotami świadomymi, czy nie. Rozległa, cicha, pusta obojętność pozbawiona wszelkiego znaczenia.

To rozum doprowadził ją do tego stanu. Wysławiała go i wynosiła ponad wszelkie inne przymioty. Skutek był taki, że czuła się teraz nieszczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu.

Ale nie powinniśmy wierzyć w różne rzeczy tylko dlatego, że dają nam szczęście, wytknęła sobie w duchu. Powinniśmy wierzyć w to, co jest prawdziwe, a jeśli prawda nas unieszczęśliwia – trudno, zdarza się, ale nie można mieć o to pretensji do rozumu. Jak poznać, co jest prawdą, a co nie? Prawda ma sens. Jest także bardziej

ekonomiczna od fałszu – brzytwa Ockhama: rzeczy proste są bardziej prawdopodobne od skomplikowanych. Jeżeli istnieje wytłumaczenie, które pomija takie czynniki jak wyobrażenia i emocje, to jest bardziej prawdopodobne od takiego, które je uwzględnia.

Nagle przypomniała sobie, co mówili jej Gipcjanie: należy uwzględnić rzeczy, zamiast je pomijać. Ważny jest kontekst. Niczego nie wolno bagatelizować.

Na to wspomnienie poczuła skromny przypływ nadziei. Kiedy uwierzyła w błędne ogniki, zaczęła widzieć ich coraz więcej. Czy to było urojenie? Wymyślała je – czy naprawdę widziała? Czy w tamtym rozświetlonym lesie zachowała się racjonalnie, podając Willowi mały czerwony owoc i odtwarzając scenę, o której opowiadała Mary Malone, tę, która sprawiła, że się zakochała? Czy rozum kiedykolwiek napisał wiersz, skomponował symfonię, namalował obraz? Fakt, że racjonalny umysł nie widzi takich rzeczy jak tajemna wspólnota, świadczy o tym, że jego postrzeganie jest ograniczone. A tajemna wspólnota naprawdę istnieje. Nie da się jej dostrzec rozumem, tak jak nie da się ważyć przedmiotów mikroskopem: to niewłaściwe narzędzie. Dlatego należy nie tylko mierzyć, lecz także wyobrażać sobie...

Przypomniała sobie wtedy, co Pan powiedział o jej wyobraźni i jaki okrutny liścik zostawił w jej pokoju w Pstrągu. Odszedł i udał się na poszukiwania przymiotu, którego była pozbawiona.

A Proch? Jaką on w tym wszystkim odgrywał rolę? Był tylko metaforą? A może częścią tajemnej wspólnoty? I jeszcze ten płonący Holender! Ciekawe, co rozum miałby do powiedzenia na jego temat Nie mógł przecież istnieć, musiał być urojeniem. Przysnił jej się. Nic z tego nie wydarzyło się naprawdę...

Zanim zdążyła dokładniej przeanalizować tę kwestię, prom w coś uderzył. Poczuła wstrząs na ułamek sekundy przed tym, jak rozległ się głośny trzask i zgrzyt rozdieranego metalu, a chwilę później silniki zagrzmiały basowo, gdy sternik błyskawicznie zasygnalizował całą wstecz. Statek zadrżał, szarpnął się niezdarnie jak koń, który wzdraga się przed skokiem, a ponad szum i bulgot wzburzonej śrubą wody wzniosły się okrzyki bólu albo przerażenia.

Odrzuciła koc i podbiegła do relingu. Z miejsca, w którym się znajdowała – na śródokręciu – bardzo niewiele było widać, pobiegła więc na dziób, co rusz chwytając się poręczy, gdy prom dygotał i bujał się na boki.

Zaciekawieni ludzie wychodzili z baru i z kabin albo – tak jak Lyra – przybywali z zacisznych zakamarków pokładu, w których zamierzali spędzić noc. Sens wielojęzycznego gwaru był oczywisty:

- Co się dzieje?
- Wpadliśmy na mieliznę?
- Słyszę płacz dziecka...
- Niech ktoś włączy reflektor!
- Patrzcie! Tam, w wodzie...

Obracająca się wstecz śruba ciągle jeszcze nie zdołała wyhamować rozpędzonego statku. Spojrzawszy we wskazanym kierunku, Lyra ujrzała deski, odłamki drewna, kamizelkę ratunkową i inne, niezidentyfikowane szczątki rozbitej szalupy. A także ludzi, ciała w wodzie, głowy, twarze, ręce. Krzyczeli, wymachiwali ramionami, szli pod wodę, szamotali się i znów wynurzali. Zdawało się, że przepływają obok promu, ale to prom nadal posuwał się naprzód.

W końcu śruba zwyciężyła i statek się zatrzymał. Dźwięk silników natychmiast

ścichł.

Rozległy się kolejne głosy – dobiegały z pokładu, z mostku, męskie, krzyżące po anatolijsku. Marynarze rzucili się do relingów, zaczęli rzucać za burtę liny i kamizelki ratunkowe i opuszczać podwieszoną na żurawiku szalupę.

Scenę rozgrywającą się w wodzie oświetlał reflektor pośpiesznie zainstalowany na przednim pokładzie oraz światła padające ze wszystkich okien i bulajów na lewej burcie. Wyglądało na to, że prom staranował łódź, która najwyraźniej płynęła bez światła i przewoziła znaczną liczbę pasażerów, znacznie większą, niżby to sugerował jej rozmiar, który stał się oczywisty, gdy światło padło na całą jej jedną burtę unoszącą się na wodzie z tuzinem albo więcej uczeponych do niej ludzi. Jedna z kobiet usiłowała wpełznąć na nią niemowlę, sama zanurzając się w wodzie przy każdej próbie. Dziecko szamotało się i krzychało wniebogłosy. Nikt nie próbował jej pomóc.

– Pomóżcie jej! – wyrwało się Lyrze z piersi. – Niech jej ktoś pomoże!

Rozbitkowie uczeponi dryfującej szalupy lękali się przede wszystkim o własne życie i nie mieli siły, żeby pomóc kobiecie, która po kilku próbach ocalenia dziecka poszła pod wodę; niemowlę jeszcze unosiło się na powierzchni, krztusząc się i krzyżąc coraz ciszej. Lyra, podobnie jak pozostali pasażerowie promu, mogła tylko pokrzykiwać ze zgrozą i pokazywać dziecko wyciągniętą ręką, aż w końcu jeden z mężczyzn puścił się szalupy, złapał niemowlę za ramię i wrzucił je na rozkołysane deski, po czym sam zniknął pod powierzchnią i przepadł w ciemnościach.

Przez ten czas marynarze z promu zdążyli zwodować szalupę. Dwoch usiadło przy wiosłach, a trzeci wychylał się za rufę i wciągał kolejnych rozbitków na pokład. Inni wysunęli trap przez właz w burcie promu. Światło z otworu rozlało się kałużą na wodzie, padło na zdruzgotaną łódź i rozbitków: jedni walczyli jeszcze o życie i próbowali pływać, inni, już potopieni, unosili się bezwładnie na wodzie twarzą w dół.

Lyra doszła do wniosku, że jeżeli prom rozpołowił łódź, to w wodzie po jego prawej stronie również powinni znaleźć się jacyś ludzie. Przebiegła na drugą stronę pokładu, na którym tymczasem zrobiło się tłoczno od gapiów, i stwierdziła, że miała rację: tu również byli rozbitkowie, nie tak liczni, ale wcale nie mniej zdesperowani, i nikt ich jeszcze nie zauważył. Czepiali się żałosnych odłamków poszycia łodzi i wołali o pomoc, ale nikt ich nie słyszał.

Lyra zobaczyła oficera zbiegającego zejściówką z mostku i złapała go za rękaw.

– Proszę spojrzeć: tu też są ludzie! Trzeba spuścić drugą szalupę!

Pokręcił głową: nie rozumiał po angielsku. Pociągnęła go do relingu i wskazała w dół.

Odparł coś krótko, ostrym tonem, i wyrwał się z jej uścisku. Jego dajmon, jakaś odmiana lemura, zalękniony trajkotał mu do ucha, gapiąc się na Lyre i wytykając ją palcem. Oficer spojrzał na nią z odrazą, zauważył, że nie ma dajmona, i warknął coś gniewnie.

– Szalupa! – zawołała. – Spuścić szalupę z prawej burty! Ludzie toną!

Jeden z marynarzy pokładowych usłyszał ją, spojrzał za burtę we wskazanym przez nią kierunku i powiedział coś do oficera, który skinął krótko głową i odszedł. Marynarz doskoczył do szalupy i zaczął przygotowywać żurawik do jej opuszczenia. Drugi ruszył mu na pomoc.

Lyra wbiegła do wnętrza promu i sadząc wielkie susy, po dwa stopnie naraz, popędziła do miejsca, w którym wysunięto trap. Część rozbitków zdążyła już wejść na pokład statku – kulili się teraz i drżeli z zimna, podczas gdy pasażerowie i załoga rozdawali im koce i pomagali rannym. Przepisnęła się przez ciżbę gapiów i wyszła na rozhuśtany trap, żeby pomóc następny. Najwięcej było młodych mężczyzn, ale zdarzały się także kobiety, dzieci i ludzie w podeszłym wieku. Wyglądali na przybyszów z północnej Afryki albo Lewantu. Byli nędznie odziani, większość nie miała żadnego bagażu, tylko nieliczni kurczowo ściskali jakieś plecaki albo torby na zakupy. Być może ich skromny dobytek poszedł na dno wraz z łodzią.

Z prawej strony szalupa też już została zwodowana i marynarze ratowali kolejnych rozbitków. Lyra pomogła wciągnąć na trap dwóch mężczyzn i pięcioro dzieci oraz, na sam koniec, starą kobietę, której towarzyszył chłopiec w wieku około dwunastu lat, będący prawdopodobnie jej wnukiem. Najpierw pomogła jemu, a potem wspólnymi siłami wciągnęli na pokład staruszkę, która trzęsła się z zimna. Wszyscy byli przemarznięci. Nawet Lyra, która przecież miała ciepłą kurtkę i dużo się ruszała, też wkrótce dostała dreszczy. Patrzyła na chlupiącą o burty wodę, na której unosiły się szczątki łodzi, ubrania i niezidentyfikowane przedmioty, które ktoś uznał za dostatecznie ważne, by zabrać je ze sobą podczas ucieczki. Bo wydawało się bardzo prawdopodobne, że ci ludzie przed czymś uciekali.

– Lyra?

Odwróciła się zaniepokojona i zobaczyła Alison Wether-field, serdeczną i zatroskaną. Nie miała pojęcia, że Alison jest na promie.

– Z tej strony chyba już wszystkich wyłowili – powiedziała Lyra.

– Chodź, pomożesz mi. Marynarze nie mają pojęcia, co dalej robić, kiedy już wyciągną ludzi z wody.

Lyra ruszyła za nią.

– Wie pani, co to za ludzie? Wyglądają na uchodźców.

– Bo nimi są. Przypuszczam, że to rolnicy albo hodowcy róz. Uciekają przed ludźmi z gór.

Lyra przypomniała sobie pasażerów schodzących na ląd z pokładu parowca w Pradze. Czy oni również pochodzili z tej części świata? Czy tak było w całej Europie?

Nie miała czasu o tym myśleć. We wspólnej sali zastały sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu ludzi przemoczonych do suchej nitki i przemarzniętych na kość. Dzieci płakały, bezradni starcy leżeli nieruchomo, ich dajmony resztkami sił czepiały się ich przemoczonej odzieży. Rozbitków przybywało z każdą chwilą: chwiejnym krokiem, kulejąc, przybywali do sali, w miarę jak marynarze ratowali ostatnich ocalałych. Zresztą trafiali tu nie tylko uratowani, bo marynarze wyłowili z wody sporo ciał i lamentsy krewnych, którzy co rusz rozpoznawali a to jakąś kobietę, a to dziecko, rozdzierały Lyrze serce.

Alison była wszędzie: rozkazywała załodze, pocieszała przerażoną matkę, otulała dziecko kocem wyrwanym z rąk pasażera, wzywała kuka i domagała się gorących napojów, gorącej zupy, chleba i sera dla rozbitków, z których niektórzy wyglądali na przymierających głodem. Lyra ruszyła jej z pomocą: wypełniała polecenia, rozdawała koce, wzięła na ręce niemowlę, które zdawało się nie mieć opiekuna i było zbyt przerażone lub wstrząśnięte, by choćby zapłakać, i przytuliła je do piersi.

Za sprawą Alison z chaosu pomału wykrystalizował się zgrubny nowy ład. Bywała obcesowa, niegrzeczna i niecierpliwa, ale wyrażała się jasno, wydawała sensowne polecenia, wynajdowała pasażerom promu użyteczne zajęcia, a przy tym emanowała doświadczeniem i pewnością siebie.

– Chcesz jakieś suche rzeczy dla tego dziecka? – zapytała na widok skonsternowanej Lyry obciążonej nowym brzemieniem.

– Ehm... no... tak.

– Tamta kobieta w zielonym płaszczu coś powinna mieć. Będziesz musiała przewinąć dzieciaka. Robiłaś to kiedyś?

– Nie.

– Dasz sobie radę, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Zadbaj o dziecko: obmyj je, przebierz, przewiń. Potem zajmiesz się czym innym.

Lyra z przyjemnością posłuchała Alison i – w swoim mniemaniu – spisała się całkiem chwacko. Kiedy niemowlę (które okazało się chłopcem) zostało już umyte i ciepło opatulone, doszła do wniosku, że warto by je nakarmić. Zaczęła się więc rozglądać za czymś, co taki maluch mógłby zjeść, ale wtedy zaczęła ją kobieta tocząca wokół dzikim wzrokiem, ciągle jeszcze odziana w to samo przemoczone ubranie, w którym wyłowiono ją z wody. Wskazała na dziecko, na siebie i aż rozpląkała się z ulgi. Kiedy Lyra oddała jej chłopca, kobieta od razu przystawiła go do wyziębionej, wilgotnej piersi, którą malec chwilę później zaczął z zapamiętaniem ssać.

Wtedy też Alison zawołała ją do pomocy przy innym problemie. Mała dziewczynka – pięcio-, może sześćoletnia – sama jak palec, ale przynajmniej sucha już i rozgrzana, w ubranku po jakimś innym, starszym dziecku zachowywała się jak zahipnotyzowana albo sparaliżowana zgrozą. Stała nieruchomo, jej roztrzęsiony mysi dajmon tulił się jej do szyi, a ona wpatrywała się niemo w przestrzeń i nie reagowała na to, co się wokół niej dzieje.

– Cała jej rodzina utonęła – wyjaśniła Alison. – Ma na imię Aisza i mówi tylko po arabsku. Z opiekuj się nią.

I odwróciła się, żeby zająć się zapłakany chłopczykiem. Lyra struchlała, nie wiedząc, co robić, ale przestraszone spojrzenie dziecka i przerażenie malujące się w ślepkach dajmona pomogły jej podjąć decyzję. Przykucnęła i ujęła zimną, bezwładną dłoń dziewczynki.

– Aisza – szepnęła.

Dajmon zsunął się w głąb golfu obszernego swetra, który dziewczynka miała na sobie.

Że też cię tu nie ma, Pan, pomyślała Lyra. Ten dajmon cię potrzebuje. Nie powinieneś był mnie porzucać.

– Aisza, *ta'aali* – powiedziała, usiłując sobie przypomnieć arabskie słówka, które akademicy z Jordana przed laty wbijali jej do głowy. – *Ta'aali* – powtórzyła, mając nadzieję, że znaczy to: „Chodź”.

Wstała i lekko pociągnęła za prawie pozbawioną życia rączkę dziecka. Dziewczynka ani jej nie posłuchała, ani nie stawiała oporu: po prostu popłynęła za nią, jakby pozbawiona cielesnej powłoki. Lyra za wszelką cenę chciała ją odciągnąć od płaczu, zgiełku smutnych i zrozpaczonych głosów, widoku ułożonych w rzędach topielców okrytych kocami lub prześcieradłami, całego tego zamieszania i cierpienia.

Wychodząc ze wspólnej sali, wzięła z bufetu okrągły, płaski turecki chlebek i karton mleka. Zaprowadziła dziewczynkę do wiklinowego fotela, na którym sama drzemała, gdy prom zderzył się z łodzią uchodźców. Fotel był dość szeroki dla nich obu, a koc wciąż znajdował się na swoim miejscu. Położyła chleb i mleko na pokładzie, pod ręką, po czym zawinęła się wraz z Aiszą w koc. Skrupulatnie unikała dotknięcia dajmona, który drżał i szeptał do dziewczynki, przyciśnięty do jej szyi, jakby bardziej żywy od samej Aiszy.

Lyra wzięła chleb do ręki.

– Aisza, *khubz* – powiedziała. – *Inti ja'aana?*

Odłamała kawałek i podała dziewczynce.

Aisza nie zareagowała, jakby niczego nie zauważyła ani nie usłyszała. Lyra zaczęła więc sama pogryzać chleb, licząc na to, że dziewczynka zainteresuje się nim, gdy zobaczy, że nie jest szkodliwy, ale i tym razem nie doczekała się żadnej reakcji.

– Jak chcesz – powiedziała szeptem. – Przytulę cię, a chleb będzie tu, na podorędziu, gdybyś zgłodniała. Powiedziałabym ci to po arabsku, ale nie przykładałam się do nauki, kiedy byłam mała. Wiem, że mnie nie rozumiesz, i wiem, że dość już miałaś wrażeń jak na jedną noc, więc nie zamierzam cię dręczyć. Mam nadzieję, że uda mi się cię rozgrzać.

Kruche ciało Aiszy zdawało się emanować potężne fale zimna, gdy tak leżała obok Lyry, objęta jej lewym ramieniem. Dla pewności Lyra jeszcze szczerzej opatulila ją kocem.

– Widzę, że bardzo zmarzłaś, ale to jest duży koc i zaraz się rozgrzejesz. Będziemy grzały się nawzajem. Jeżeli będziesz chciała, możesz się przespać. Nie przejmuj się, że nie rozumiesz, co mówię; gdybyś ty coś powiedziała do mnie, oczywiście też bym nic nie zrozumiała. Będzie nam musiała wystarczyć gestykulacja i robienie min. I pokazywanie palcami. Prędzej czy później uda nam się dogadać. –

Lyra odgryzła następny kawałek chleba. – Posłuchaj, jeśli się nie pośpieszysz, sama zjem wszystko. Pomyśl, jak by to wyglądało, gdybym pożarła chleb przeznaczony dla ciebie i innych rozbitków. Wybuchłby skandal. Trafiałabym do gazet, zrobiono by ze mnie złodziejkę i wyzyskiwaczkę ubogich i opatrzone artykuł naszymi zdjęciami: ja byłabym zawstydzona, a ty patrzyłabyś na mnie z dezaprobatą... Nie, to chyba nie pomaga. Myślałam po prostu, że jeśli będę ci tak szeptać... Już wiem! Zaśpiewam ci coś.

Z przepastnych otchłani pamięci Lyry poczęły się wynurzać dziecinne piosenki, jedna za drugą: skrawki absurdalnych tekstów, rymy, dźwięki i rytmy, które malutka Lyra uwielbiała, nie rozumiejąc ich ni w ząb. Była w jakimś ciepłym miejscu, w czyichś ramionach albo u kogoś na kolanach, a usypiające słowa i proste melodie stanowiły część tego ciepła i bezpieczeństwa. Śpiewała teraz cichutko dziewczynce, udając, że Aisza jest Lyrą, a Lyra... Kto to mógł być? Zapewne Alice, kostyczna, zgryźliwa Alice o miękkiej piersi i ciepłych ramionach.

Po chwili poczuła zimne dotknięcie na szyi: to zagubiony mały dajmon Aiszy zaczął się do niej tulić. Nie przestała śpiewać, ale z najwyższym trudem zapanowała nad drzeniem głosu. Tak bardzo tęskniła do takiego dotyku. Tak bardzo!

Niedługo potem wszyscy troje zasnęli.

Znów przyśnił jej się tamten dajmon, kotka: ocierała jej się o nogi, gdy stały na tym samym trawniku w blasku księżyca. We wszechogarniającej atmosferze miłości i błogości tym razem dało się wyczuć wyraźną nutę zaniepokojenia. Lyra wiedziała, że musi coś zrobić, dokąś pójść. Kotka próbowała ją przekonać, żeby szła za nią: oddalała się na kilka kroków, odwracała do niej, cofała się, znów odchodziła... I teraz Lyra nie była już wcale pewna, czy był to naprawdę dajmon Willa. Światło księżyca odcedzało wszystkie kolory. Świat był czarno-biały.

Próbowała pójść za kotką, ale nie mogła poruszyć nogami. Dajmon dotarł do drzew na skraju trawnika, jeszcze raz obejrzał się wstecz, po czym rozpląnął się w ciemności. Ogarnięta obezwładniającą miłością i żalem po stracie Lyra płakała przez sen.

Obudził je piękny poranek. Słońce nie wychynęło jeszcze zza gór, ale powietrze było rześkie i przejrzyste, a morze gładkie jak szkło. Cichy, miarowy rytm silników zdawał się jedynym dźwiękiem, dopóki Lyra nie usłyszała krzyków morskich ptaków i głosów ludzi.

– Aisza? – szepnęła. – Nie śpisz już? *Sahya*?

Poczuła przerażone, pośpieszne poruszenie – to dajmon dziewczynki, który spał wciśnięty pomiędzy nie, po przebudzeniu zaniepokoił się bliskością obcej osoby. Czmychnął na pierś Aiszy, która wyczuła jego strach, odruchowo zareagowała w taki sam sposób i z cichym zaleknionym jękiem odsunęła się od Lyry.

Lyra spokojnie usiadła i opatuliła dziewczynkę kocem. Przykrycie bardzo się przydało, bo ziąb był przejmujący. Aisza śledziła każdy jej ruch takim wzrokiem, jakby bała się, że Lyra ją zamorduje, jeśli choć na chwilę straci czujność.

– Nie bój się mnie – powiedziała półgłosem Lyra. – Przespałyśmy noc, jest już rano. Masz, proszę. Zjedz kawałek chleba. Trochę szcerstwiał, ale jest smaczny.

Podawała resztę płaskiego chlebka Aiszy, która wzięła go do rąk i zaczęła obgryzać brzeżek, bojąc się spuścić Lyrę z oka. Lyra uśmiechnęła się do niej. Nie doczekała się wprawdzie uśmiechu w odpowiedzi, ale i tak cieszyła się, że Aisza odtajała z hipnotycznego transu wywołanego przez makabryczne nocne wypadki.

– Mamy też mleko – dodała.

Otworzyła karton i podała go małej, która wzięła go i oddała, dopiero gdy napiła się do syta. Taka reakcja sama w sobie napawała optymizmem. Aisza skubała chleb, a Lyra trzymała karton w gotowości.

Wkrótce sobie przypomni, co się stało, pomyślała. Dotrze do niej, że straciła wszystkich bliskich. Co wtedy?

Roztrząsała różne możliwości: Aisza zmierzająca z mozołem na zachód w poszukiwaniu schronienia, w towarzystwie takich samych uchodźców jak ona, głodna, zmarznięta, ograbiona ze skromnego dobytku. Aisza przygarnięta przez rodzinę, która nie zna jej języka, traktuje ją jak niewolnicę, bije ją, głodzi i sprzedaje

mężczyznom, którzy wykorzystują jej małe ciało zgodnie ze swoimi upodobaniami. Aisza poszukująca dachu nad głową w zimową noc i odprawiana z kwitkiem z kolejnych domów. Nie, to niemożliwe. Ludzie nie są przecież aż tacy źli, prawda? Rodzaj ludzki stać na coś więcej, czyż nie?

Jeszcze staranniej owinęła dziecko kocem i tuląc je do piersi, odwróciła głowę, żeby jej łzy nie skapywały na twarz Aiszy.

Dookoła nich statek powoli się budził. Inni ludzie, którzy też spędzili noc na pokładzie zakutani w koce albo zbici w ciasne gromadki, zaczęli się wiercić, siadać sztywno, rozmawiać półgłosem.

Aisza coś powiedziała. Lyra ledwie ją usłyszała, zresztą i tak by jej nie zrozumiała, ale coś w jej ruchach sprawiło, że sens słów stał się oczywisty. Lyra wstała, pomogła wstać dziewczynce (od razu owijając ją kocem, żeby nie marzła) i zaprowadziła ją do łazienki. Na wpół śpiąc, czekała przed drzwiami i nasłuchiwała rozbrzmiewających w pobliżu głosów w nadziei na wychwycenie jakichś znajomych słów. Skrawki, urywki, okruchy sensu – jak latające ryby na moment wyskakujące ponad wodę, zanim znów w niej przepadną. Nic więcej.

Nagle silniki zwolniły rytm i prom zaczął inaczej się poruszać, jakby wchodził w ciasny zakręt.

Znowu?, pomyślała Lyra. Tylko nie to!

Chwilę później statkiem zakołysało i w ciasnym, dusznym korytarzu, z którego nie było widać morza, Lyra poczuła mdłości. Gdy tylko Aisza wyszła z łazienki, wzięła ją za rękę i razem wyszły na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Dziewczynka bez oporów trzymała dłoń Lyry, a jej dajmon był wyraźnie mniej załęczniony i bardziej aktywny niż w nocy. Szeptał jej coś do ucha i cały czas obserwował Lyrę. Aisza odpowiadała mu zdawkowo.

Widząc kolejkę na pokładzie przed wejściem do wspólnej sali, ustawiły się w niej w nadziei na śniadanie – i nie pomyliły się: każdy dostawał świeży chleb i trochę sera. Lyra wzięła jedną porcję i wróciły na fotel. Aisza usiadła, skulona pod kocem, z chlebem w jednej i serem w drugiej ręce, i systematycznie podjadała to jedno, to drugie.

Dopiero teraz Lyra zdała sobie sprawę, że wcześniej rzeczywiście zmienili kurs, a teraz zwalniali coraz bardziej, kierując się do portu na skalistym wybrzeżu jakiejś wysepki.

– Ciekawe, co to za miejsce – powiedziała na głos.

Aisza tylko na nią spojrzała, a potem przeniosła wzrok na wzgórze, miasteczko pomalowanych na biało domków i cumujące w porcie łodzie rybackie.

– I jak sobie radzi nasza mała? – Alison Wetherfield wyrosła obok nich jak spod ziemi.

– Przynajmniej je – odparła Lyra.

– A ty? Jadłaś coś?

– Myślałam, że jedzenie jest dla uchodźców.

– Idź, kup sobie coś na stołwce. Ja tu poczekam. Głodna do niczego mi się nie przydasz.

Lyra wróciła z chlebem i serem dla siebie oraz kawałkiem piernika dla Aiszy. Do picia mieli tylko słodzoną herbatę z miętą, ale przynajmniej była gorąca. Załoczony i zgiełkliwy prom rozbrzmiewał głosami wyrażającymi strach, ciekawość, złość

i smutek. Lyra była z tego powodu bardzo szczęśliwa, ponieważ nagle stała się o wiele mniej interesująca od sytuacji, w której wszyscy się znajdowali, i nikt w tłumie nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Wróciwszy do Aiszy, stwierdziła, że dziewczynka rozmawia z Alison swobodnie, ale ściszym, monotonnym głosem i ze stale spuszczonej oczami. Próbowła jej słuchać, ale bardzo niewiele rozumiała. Może Aisza mówiła dialektem innym niż klasyczny arabski, którego uczono w Kolegium Jordana. A może Lyra po prostu nie uważała na lekcjach.

Kiedy podała Aiszy piernik, ta tylko przelotnie zerknęła na nią, wzięła ciastko i znów spuściła wzrok – i w tej jednej chwili Lyra zrozumiała, że nocne zaufanie przepadło bezpowrotnie. Fakt, że nie miała dajmona, budził teraz w Aiszy dokładnie taki sam lęk jak u każdego przeciętnego człowieka na widok tego okaleczenia.

– Idę się umyć – powiedziała do Alison.

Uszło jej uwagi, że Alison zauważyła zarówno strach w oczach Aiszy, jak i przykrość, jaką sprawił Lyrze.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała po powrocie. Miała nadzieję, że wygląda na odświeżoną. – Co to za miejsce?

– Jedna z greckich wysp, nie wiem dokładnie która. Najprawdopodobniej wysadzimy tu uchodźców, nie spodziewam się, żeby Grecy odmówili ich przyjęcia. Później zostaną przetransportowani na kontynent i z czasem gdzieś się osiedlą.

– Co się z nią stanie?

– Rozmawiałam z kobietą, która zgodziła się nią zaopiekować. Nic więcej nie możemy zrobić, Lyro. Przychodzi taki moment, w którym musimy zaakceptować, że inni mogą więcej.

Aisza – cały czas ze wzrokiem utkwionym w deski pokładu – właśnie kończyła piernik. Lyra miała ochotę pogłaskać ją po włosach, ale się powstrzymała. Nie chciała jej przestraszyć.

Prom przybił do nabrzeża. Na wysokości dziobu i rufy marynarze okładali już cumy na pachółkach. Przy wtórze głośniego chrzęstu łańcuchów spuszczone trap. Na brzegu zebrał się tłumek gapiów, ciekawych, co sprowadza prom do ich portu.

Stojąc przy relingu i śledząc rozwój wydarzeń, Lyra stopniowo popadła w osobliwy trans. Może kiepsko spała, może była wyczerpana, ale stwierdziła, że krok za krokiem zanurza się w labirynt domniemań i snów na jawie wiążących się z dajmonami.

Kiedy w nocy mały mysi dajmon zaczął się do niej tulić – czy to wydarzyło się naprawdę? Była o tym absolutnie przekonana, ale (jak to ostatnio często bywało) prawdziwy sens tego zdarzenia pozostawał zagadką.

A może sensu po prostu nie było? Tak właśnie powiedziałyby Simon Talbot. Lyra poczuła przypływ obrzydzenia i zaraz pomyślała o czym innym: wtedy, w nocy, wydawało jej się, że nieszczęsnego dajmonka przywabiło ciepło jej ciała, spokój i pewność siebie wynikające z dorosłości, sam fakt, że była ważna i przynosiła otuchę. Teraz przyszło jej do głowy inne wytłumaczenie: może dajmon wyczuł jej samotność i przygnębienie i to on chciał jej dodać otuchy, a nie odwrotnie. I udało mu się.

Ta świadomość nią wstrząsnęła – i zarazem ostatecznie ją przekonała. Chciała Aiszy za to podziękować, ale kiedy znów na nią spojrzała, stwierdziła, że wyrażenie wdzięczności nie wchodzi już w grę. Nic ich nie łączyło, nie mogło być mowy

o porozumieniu. Tamta nocna chwila była końcem, nie początkiem.

– Mogę jeszcze jakoś pomóc? – zwróciła się do Alison, gdy kobieta wstała i pomogła wstać dziewczynce.

– Postanowiłam zejść na ląd razem z nimi. Dopilnuję, żeby należycie się nimi zajęto. Nie mam żadnej faktycznej władzy, mogę co najwyżej próbować dyrygować ludźmi, ale jakoś to działa. Poczekam na następny prom, wątpię, żeby kapitan zechciał tracić tu więcej czasu, niż to absolutnie konieczne. Ty zostań na pokładzie, weź się w garść i ruszaj na poszukiwanie swojego dajmona. Bo tego ci właśnie trzeba. Jeżeli zahaczysz o Aleppo, koniecznie spotkaj się z ojcem Józefem ze szkoły angielskiej. Nietrudno go znaleźć, a to bardzo dobry człowiek. Do zobaczenia, moja droga.

Szybkie cmoknięcie w policzek i Alison zabrała Aiszę, i razem odeszły. Dziewczynka ani razu się nie obejrzała. Jej dajmon zmienił się w małego, nieznanego Lyrze ptaszka. Pewnie już nawet zapomniał o tym, co zrobił w nocy. Za to ona wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

Usiadła na swoim wiklinowym fotelu i wkrótce usnęła w ciepłe egejskiego poranka.

Po nocy spędzonej w suchej jaskini Malcolma i Mehrzada Karimowa powitał ciepły, słoneczny poranek. Udało im się, nie wychodząc z lasu, niepostrzeżenie przekroczyć granicę. Kiedy ze swojej ścieżki wśród drzew, biegnącej wysoko na zboczu góry, ujrzeli długie kolejki, jakie utworzyły się po obu stronach posterunku granicznego, spojrzeli po sobie i zgodnie odetchnęli z ulgą. Dalsza podróż przebiegała już bez przeszkód. Malcolm opłacił Karimowowi bilet aż do Konstantynopola, dokąd dotarli dwa dni po śmierci patriarchy.

W mieście panowała atmosfera gorączkowego niepokoju i ich dokumenty podrózne zostały sprawdzone trzykrotnie, zanim choćby wyszli z dworca. Przybrana tożsamość Malcolma (podającego się za naukowca, który przybył do Konstantynopola z zamiarem studiowania dokumentów przechowywanych w tutejszych bibliotekach) została wywrócona na nice – i wytrzymała tę próbę, ponieważ była prawdziwa, a szczegółowe dane wszystkich miejscowych kontaktów i gospodarzy zostały starannie zweryfikowane jeszcze przed opuszczeniem Londynu. Żołnierze oglądający dokumenty byli jednak podejrzliwi i nieprzyjaźni.

Pożegnał się z Karimowem, którego zdążył ogromnie polubić. Tadżyk opowiedział mu wszystko, co wiedział o Taszbułaku, pracach tamtejszych naukowców, pustyni Karamakan, a także o poemacie *Dżahan i Ruchšana*, którego długie fragmenty znał na pamięć. Zamierzał ubić jakiś interes w Konstantynopolu, a następnie dołączyć – na dalszym etapie – do jednej z karawan przemierzających Jedwabny Szlak.

– Malcolmie – powiedział, kiedy podali sobie ręce przed dworcem – dziękuję za wspólną podróż. Niech Bóg ma cię w opiece.

– Oby chronił także ciebie, przyjacielu – odparł Malcolm. – Powodzenia.

Znalazł sobie tani hotel i poszedł odwiedzić starego znajomego, inspektora tureckiej policji i nieoficjalnego przyjaciela Oakley Street. Idąc do komisariatu, zorientował się, że ktoś go śledzi.

Ławo było wypatrzeć idącego za nim młodego mężczyznę w witrynach sklepów i szklanych drzwiach banków i biurowców. Jeżeli chce się kogoś śledzić dyskretnie i skutecznie, należy zlecić tę robotę zespołowi trzech doświadczonych osób, a ten młodzieniec był sam i przez to musiał się trzymać bardzo blisko. Nie patrząc na niego wprost, Malcolm miał aż nadto okazji, żeby dobrze go sobie obejrzeć: był przystojny, ciemnowłosa, szczupły, a jego gwałtowne ruchy i równie nagłe zatrzymania rzucały się w oczy w rozlicznych odbiciach. Nie wyglądał na Turka, raczej na Włocha, chociaż – prawdę mówiąc – mógłby być nawet Anglikiem. Nosił zieloną koszulę,

ciemne spodnie i jasną płócienną marynarkę. Miał paskudnie posiniaczoną twarz i plaster u nasady nosa. Jego dajmon miał postać małego ptaka podobnego do sokoła.

Malcolm stopniowo przemieszczał się ku bardziej ruchliwym ulicom, wiedząc, że w tłoku tamten będzie musiał podejść jeszcze bliżej. Zastanawiał się, czy młody mężczyzna dobrze zna miasto – gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że raczej nie. Znajdowali się w okolicy Wielkiego Bazaru i Malcolm zamierzał wciągnąć intruza w płataninę targowych uliczek. Tam dzielący ich dystans musiałyby się skrócić do minimum.

Przystanął przed łukowato sklepioną kamienną bramą bazaru i przez chwilę ją podziwiał, aby idący za nim mężczyzna zorientował się, dokąd idzie, po czym bez pośpiechu wszedł na teren targowiska i natychmiast, wiedząc, że tamten chwilowo stracił go z oczu, wszedł do pierwszego z brzegu sklepiku z tkaninami i dywanami. Na bazarze krzyżowało się ponad sześćdziesiąt uliczek, przy których znajdowały się setki sklepów. Nietrudno byłoby uciec prześladowcy, ale Malcolm miał inne plany: zamierzał odwrócić sytuację i ze zwierzyny stać się myśliwym.

Kilka sekund później młody człowiek szybkim krokiem przeszedł przez bramę, wyciągnął szyję i zaczął się rozglądać w tłumie na wszystkie strony, zbyt pośpiesznie jednak, by cokolwiek dobrze zobaczyć. Był wyraźnie poruszony. Malcolm, który wśliznął się pomiędzy wiszące dywany i stanął tyłem do uliczki, obserwował jego odbicie w lustrzanej tarczy swojego zegarka. Właściciel sklepu, zajęty innym klientem, posłał Malcolmowi tylko zdawkowe, przelotne spojrzenie.

Kiedy młody mężczyzna ruszył w głąb uliczki, Malcolm wyszedł ze sklepu i poszedł za nim. Założył wyjętą z kieszeni płócienną czapeczkę, żeby ukryć rude włosy. Alejka była jedną z szerszych na bazarze, ale przejście pomiędzy wystawionymi przed sklepy towarami i tak było dość wąskie, a w dodatku wszędzie wisały ubrania, buty, dywany, szczotki, miotły, walizki, lampy, miedziane naczynia kuchenne i tysiące innych przedmiotów.

Szedł krok w krok za młodym mężczyzną, ale starał się nie patrzeć prosto na niego, na wypadek gdyby tamten zniemacka się odwrócił. Podenerwowanie otulało intruza niczym obłok mgły. Siedzący mu na ramieniu krogulec kręcił łebkiem na wszystkie strony, chwilami zdawało się, że niczym sowa odwraca głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Malcolm widział każdy ich ruch i coraz bardziej się przybliżał.

W pewnym momencie chłopak – bo w gruncie rzeczy trudno go było nazwać mężczyzną – obrócił się profilem i powiedział coś do swojego dajmona. Malcolm przez moment nieco lepiej dostrzegł jego twarz, która coś mu przypominała, przywołała z pamięci ducha, widmo innej twarzy... I nagle znów znalazł się w gospodzie rodziców. Był zimowy wieczór. Gerard Bonneville, siedzący przy kominku wraz ze swoim dajmonem-hieną, posłał mu serdeczny, porozumiewawczy uśmiech...

Bonneville!

To był jego syn, słynny alethiometrysta Magisterium.

– Asta? – szepnęła Malcolm.

Dajmon wskoczył mu na ręce i stamtąd na ramię.

– To on, prawda? – mruknął Malcolm.

– Z pewnością.

Alejki były zatłoczone, a Bonneville niepewny, młody i niedoświadczony.

Malcolm wszedł za nim w sam środek bazaru, był coraz bliżej, zbliżał się po trochu, po trochu, przemykał przez tłum jak duch, niewidoczny, niespodziewany, niewyczuwalny, tłumiał swoją jaźń, obserwował bez spoglądania, widział – nie patrząc. A Bonneville – sądząc z jego postury – robił się coraz bardziej przygnębiony: zgubił trop zwierzyny, stracił pewność siebie.

Dotarli do czegoś w rodzaju skrzyżowania, gdzie pod wysokim łukowym sklepieniem znajdował się ozdobny wodopój. Malcolm spodziewał się, że Bonneville przystanie w tym miejscu, żeby się rozejrzeć, i rzeczywiście tak zrobił; Malcolm – odwrócony tyłem – obserwował jego odbicie w tarczy zegarka.

– Pije – poinformowała go Asta.

Musieli działać szybko: chłopak nie zdążył jeszcze podnieść pochylonej do kranu głowy, gdy Malcolm stanął tuż za jego plecami. Krogulec rozejrzał się na boki, po czym zgodnie z przewidywaniami Malcolm'a obejrzał się wstecz i zobaczył go na wyciągnięcie ręki.

Wstrząśnięty Bonneville wyprostował się gwałtownie i okręcił w miejscu. W prawej ręce trzymał nóż.

Asta natychmiast rzuciła się na jego dajmona i wepchnęła go do kamiennego koryta, którym płynęła woda. W tym samym momencie ostry jak brzytwa nóż rozciął lewy rękaw marynarki Malcolm'a i skórę ręki. Wymierzone przez Bonneville'a cięcie było jednak tak zamaszyste, że na ułamek sekundy stracił równowagę. Malcolm zareagował błyskawicznie i z całej siły grzmotnął go prawą pięścią w splot słoneczny. To był cios z rodzaju tych, które w jednej chwili kończą bokserski pojedynek: pozbawiony tchu i sił Bonneville osunął się na wodopój i wypuścił nóż z ręki.

Malcolm odkopnął nóż na bok, złapał chłopaka jedną ręką za koszulę na piersi i postawił do pionu.

– Mój nóż! – stęknął Bonneville po francusku.

– Przepadł – odparł Malcolm w tym samym języku. – Pójdiesz ze mną. Porozmawiamy.

– Jeszcze czego.

Asta, która wczepiła pazury w szyję dajmona Bonneville'a, przycisnęła mocniej. Krogulec krzyknął z bólu. Oba dajmony były zupełnie mokre. Bonneville też przemókł do suchej nitki. Był wystraszony, ale i arogancki zarazem.

– Nie masz wyboru – powiedział Malcolm. – Pójdziemy teraz na kawę i porozmawiamy. Za rogiem jest kawiarnia. Gdybym chciał cię zabić, przez ostatni kwadrans miałem ku temu aż nadto okazji. Krótko mówiąc: ja tu rządzę. A ty będziesz mnie słuchał.

Zadyszany i drżący Bonneville kulił się, jakby miał połamane żebra (co wcale nie było wykluczone). Niespecjalnie mógł stawiać opór. Próbował wprawdzie strząsnąć z ramienia dłoń Malcolm'a, ale zrobił to bez przekonania – i bez powodzenia. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nikt niczego nie zauważył.

Malcolm zabrał Bonneville'a do kawiarni, posadził go w kącie pod ścianą obwieszoną portretami zapaśników i aktorów i zamówił dwie kawy. Zgarbiony Bonneville drżącymi palcami gładził pióra dajmona, wygłaskując z nich wodę.

– Wal się – burknął. – Złamałeś mi coś, skurwielu, może żebro, nie wiem. Coś w piersi.

– Ty chyba walczyłeś na jakiejś wojnie, nie? Skąd inaczej wzięłyby się ten złamany

nos?

– Odpieprz się.

– Co wiesz o zabójstwie patriarchy? Czy to *monsieur* Delamare cię tu przysłał i kazał wszystkiego dopilnować?

– Skąd wiesz... – spytał Bonneville z kiepsko skrywanym zaskoczeniem i ugryzł się w język.

– To ja tu zadaję pytania. Gdzie masz alethiometr? Bo nie przy sobie, to już wiem.

– Nigdy go nie dostaniesz.

– Ja nie. Dostanie go Delamare. Wziąłeś go bez pozwolenia, prawda?

– Wal się, mówię.

– Tak myślałem.

– Nie jesteś taki cwany, jak ci się wydaje.

– Prawdopodobnie masz rację, jestem jednak bardziej cwany, niż przypuszczasz.

Na przykład znam nazwiska i adresy agentów Delamare'a w Konstantynopolu. Skoro już wiesz, że potrafisz cię śledzić, domyślasz się, że niedługo dowiem się, gdzie mieszkasz. Dziesięć minut później dowiedzą się i oni.

– To niby jak się nazywają ci agenci?

– Aurelio Menotti. Jacques Pascal. Hamid Saltan.

Bonneville przygryzł wargę i posłał Malcolmowi nienawistne spojrzenie. Kelner, który podał im kawę, nie mógł nie zauważyć mokrej koszuli chłopaka, plastra na jego nosie i krwi przesączającej się przez rozcięty rękaw marynarki Malcolm'a.

– Czego chcesz? – spytał Bonneville, gdy kelner się oddalił.

Malcolm udał, że nie słyszał pytania. Upił łyk wrzącej kawy.

– Nie wsypię cię przed Menottim i resztą – odparł – jeżeli w tej chwili powiesz mi prawdę.

Bonneville wzruszył ramionami.

– Nie zorientujesz się, jeśli skłamię.

– Kiedy przyjechałeś do Konstantynopola?

– Nie twój interes.

– Dlaczego mnie śledziłeś?

– To moja sprawa.

– Po tym jak ranieś mnie nożem, to także moja sprawa.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Gdzie jest teraz Lyra? – indagował Malcolm.

Bonneville zamrugał. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zmienił zdanie, spróbował napić się kawy, sparzył się, odstawił filiżankę.

– Nie wiesz? – zapytał w końcu.

– Ależ wiem, wiem doskonale. Tak jak wiem, dlaczego ją tropisz, czego od niej chcesz i w jaki sposób używasz alethiometru. A wiesz, skąd to wszystko wiem? Alethiometr zostawia ślad. Pewnie nie miałeś o tym pojęcia, co?

Bonneville zmrużył oczy.

– Od razu to odkryła – ciągnął Malcolm. – Zostawiłeś za sobą ślad długi na całą Europę. Dlatego tamci podążają twoim tropem i w końcu cię dopadną.

W oczach chłopaka błysnęło coś, co mogłoby przerodzić się w uśmiech, gdy zechciał sobie na to pozwolić.

On coś wie, pomyślała Asta do Malcolm'a.

– Od razu widać, jak się na tym znasz – powiedział Bonneville. – Niby jak wygląda ten ślad? Co właściwie masz na myśli?

– Nie powiem ci. Czego chce Delamare?

– Dziewczyny.

– Ale poza tym. Po co mu ta nowa Rada Najwyższa?

Po co Delamare’owi Lyra?, tak właśnie brzmiało jedyne pytanie, które naprawdę chciał zadać Malcolm, ale zdawał sobie sprawę, że jeżeli zapyta wprost, nie uzyska odpowiedzi.

– To proste. Zawsze chodziło mu o władzę – wyjaśnił Bonneville. – A teraz ją ma.

– Opowiedz mi o różach.

– Nic nie wiem o żadnych różach.

– Wiesz, wiesz. Mów.

– Nie obchodzi mnie to, więc się tym nie interesowałem.

– Interesujesz się wszystkim, co może ci dać choć odrobinę władzy, dlatego jestem pewien, że słyszałeś o różach. Powiedz, co wie Delamare.

– Dlaczego miałbym ci cokolwiek powiedzieć? Jaka z tego dla mnie korzyść?

– To właśnie miałem na myśli: jesteś krótkowzroczny. Podnieś wzrok, spójrz w stronę widnokregu. Ogromną korzyścią dla ciebie będzie nie mieć we mnie wroga. Powiedz mi, co Delamare wie o różach.

– Co dostanę w zamian?

– Nie skrećę ci karku.

– Chcę się dowiedzieć więcej o tym śladzie zostawianym przez alethiometr.

– Sam dasz radę to wykombinować. A teraz do rzeczy: róże.

Bonneville łyknął kawy. Ręka już mu tak nie drżała jak przed chwilą.

– Kilka tygodni temu odwiedził go jakiś mężczyzna – zaczął. – Grek, może Syryjczyk, nie wiem dokładnie. Może nawet gdzieś z dalsza na wschodzie. Przywiózł próbkę olejku różanego z jakiejś dziury w Kazachstanie, czy gdzieś tam... Łob-nor. Mówili coś o Łob-nor. Delamare dał tę próbkę do analizy.

– I co?

– To wszystko, co wiem.

– To nie wystarczy.

– Nic więcej nie wiem!

– A spaprana robota w Oksfordzie?

– Nie miałem z nią nic wspólnego.

– A zatem wiesz, o czym mówię. Cenna informacja. Najwidoczniej także za tą sprawą stał Delamare.

Bonneville wzruszył ramionami. Wyraźnie odzyskiwał pewność siebie.

Najwyższa pora znowu nim wstrząsnąć.

– Czy twoja matka wiedziała, jak zginął twój ojciec? – spytał Malcolm.

Chłopak zamrugnął z zaskoczenia, otworzył usta, zamknął, pokręcił głową, podniósł filiżankę i niemal od razu odstawił ją z powrotem, gdy zobaczył, jak drży mu ręka.

– Co wiesz o moim ojcu?

– Wygląda na to, że więcej niż ty.

Krogulczy dajmon strząsnął dłoń Bonneville’a i przysiadł na stole, marszcząc obrus pod pazurkami. Spojrzenie pałających ślepi utkwili w Malcolmie. Asta, siedząca

do tej pory na osobnym krześle, wstała i bacznie obserwowała ptaka.

– Wiem, że go zabiłeś – powiedział Bonneville. – Zabiłeś mojego ojca.

– Nie wygłupiaj się. Miałem wtedy dziesięć czy jedenaście lat.

– Wiem, jak się nazywałeś. Wiem, że go zabiłeś.

– To jak się niby nazywam?

– Matthew Polstead – odparł ze wzgardą Bonneville.

Malcolm wyjął paszport (ten prawdziwy) i pokazał chłopakowi swoje imię.

– Malcolm, widzisz? Nie Matthew. Spójrz też na datę urodzenia: zaledwie jedenaście lat przed śmiercią twojego ojca. Utonął w czasie wielkiej powodzi. A Matthew to mój starszy brat, który znalazł ciało twojego ojca w wodach Tamizy niedaleko Oksfordu. Nie miał nic wspólnego z jego śmiercią.

Schował paszport. Bonneville, choć wciąż w wojowniczym nastroju, był wyraźnie zbity z tropu.

– Skoro znalazł ciało, to na pewno ukradł alethiometr należący do mojego ojca – nadąsał się. – Chcę go odzyskać.

– Słyszałem o jakimś alethiometrze. Tak jak słyszałem o tym, co twój ojciec zrobił swojemu dajmonowi. Wiedziałaś? Bo pomyślałem, że może to u was rodzinne.

Dłoń Bonneville'a spoczęła na karku dajmona, żeby go pogłaskać albo przytrzymać, ale zniecierpliwiony krogulec zatrzepotał skrzydłami i odsunął się na skraj stołu. Wpatrzona w niego Asta wspięła się na tylne łapy i oparła przednie o blat.

– No co? – spytał Bonneville. – Powiedz!

– Najpierw ty mi powiedz to, co chcę usłyszeć. Róże. Oksford. Alethiometr. Dziewczyna. Śmierć patriarchy. Wszystko. Wtedy opowiem ci o twoim ojcu.

Chłopak – spięty, siedzący na brzeżku krzesła, z rękami na stole – spiorunował go wzrokiem, tak jak przed chwilą jego dajmon. Spojrzenie Malcolma pozostało niewzruszone, aż w końcu Bonneville spuścił wzrok, usiadł wygodniej i zaczął obgryzać paznokcie.

Malcolm czekał.

– Od czego mam zacząć? – spytał Bonneville.

– Od alethiometru.

– A dokładnie?

– Jak nauczyłeś się odczytywać jego wskazania?

– W dzieciństwie matka opowiedziała mi o tym, jak ojciec dostał alethiometr od mnichów w Czechach czy gdzieś tam... Trzymali go od stuleci, ale kiedy spotkali mojego ojca, zorientowali się, że mają do czynienia z geniuszem i że należy mu go oddać. Kiedy to usłyszałem, wiedziałem, że pewnego dnia alethiometr będzie mój. Dlatego zacząłem czytać o symbolach i sztuce ich interpretacji. Kiedy pierwszy raz dotknąłem alethiometru należącego do Magisterium, odkryłem, że odczytywanie go przychodzi mi bez wysiłku. A oni nigdy przedtem nie widzieli kogoś, kto odczytywałby jego wskazania szybciej, lepiej i bardziej precyzyjnie ode mnie. Zaczęli mi ufać i tak zostałem ich naczelnym alethiometrystą. Pytałem go o to, co się stało z moim ojcem, jak umarł, gdzie teraz znajduje się jego alethiometr... Dużo było takich pytań. Odpowiedzi zaprowadziły mnie do tej dziewczyny. Ta suka go ma. Ukradła go mojemu ojcu po tym, jak go zamordowali.

– Kto go zamordował?

– Ludzie z Oksfordu. Być może twój brat.

- Twój ojciec utonął.
- Gówno wiesz na ten temat. Miałeś dziesięć lat.
- Opowiedz mi o tej nowej metodzie.
- Niedawno ją odkryłem.
- W jaki sposób?

Bonneville był zbyt próżny, żeby zbyć takie pytanie milczeniem.

– I tak byś nie zrozumiał – odparł. – Nie rozumiałby nikt, kto nie przeszedł rzetelnego klasycznego przeszkolenia. Musiałby się przeciwko niemu zbuntować, odrzucić je i znaleźć coś nowego, tak jak ja to zrobiłem. Z początku przyprawiało mnie to o mdłości, nic nie widziałem i tylko rzygałem jak kot. Ale nie ustępowałem, uparłem się i próbowałem raz po raz. Nie zamierzałem dać się pokonać. W końcu mdłości ustąpiły, a ja zacząłem znacznie szybciej kojarzyć znaczenia. Moja metoda stała się sławna, mówiło się o niej w całej Europie. Inni alethiometryści zaczęli ją wypróbować, ale byli słabi, niepewni, nie dawali sobie z nią rady. I nadal nikt poza mną nie umie jej stosować.

– A dziewczyna? Myślałem, że ona też to potrafi.

– Przyznaję, jest lepsza od większości pozostałych, ale brak jej siły. Do tego trzeba mieć krzepę, wytrzymałość, kondycję. Podejrzewam, że dziewczynom zwyczajnie jej brakuje.

– A dlaczego uważasz, że ma alethiometr, który należał do twojego ojca?

– To nie jest kwestia uważania. Ja to wiem. Głupie pytanie. Równie dobrze mógłbyś zapytać, skąd wiem, że ten obrus jest biały. Do tego nie trzeba wiele kombinowania.

– No dobrze. To teraz opowiedz mi, jak zginął patriarcha Papadakis.

– To było nieuchronne. Staruszek był stracony, odkąd za sprawą Delamare’a stanął na czele tej nowej Rady Najwyższej. Bo widzisz, Delamare zaplanował wszystko od początku do końca. Żeby zostać jedynym przywódcą o niepodważalnej pozycji, musiał najpierw stworzyć strukturę, w której taki przywódca w ogóle istnieje. Takie stanowisko w Magisterium nie istniało od... sam nie wiem... od wieków. Natomiast gdy tylko taki przywódca się pojawił, wystarczyło zaaranżować jego zabójstwo w okolicznościach, które sprzyjałyby wybuchowi masowej paniki, następnie wkroczyć na scenę, opanować tę panikę za pomocą pewnych środków nadzwyczajnych i zaferować swoją skromną osobę w zastępstwie patriarchy. Delamare jest teraz dożywotnim przełożonym Magisterium i ma nieograniczoną władzę. Nie sposób nie podziwiać jego determinacji. Ja jeszcze bym sobie z nim poradził, ale poza mną nie ma nikogo innego, kto mógłby mu stawić czoło.

– To dlaczego uciekasz?

– Co ty pieprzysz? – wybuchł Bonneville. – Nigdzie nie uciekam! Wypełniam tajną misję zleconą osobiście przez Delamare’a!

– Jesteś poszukiwany. Wiesz, że wyznaczili nagrodę za schwytanie cię?

– Ile?

– Więcej, niż jesteś wart. Prędzej czy później ktoś cię zdradzi. A teraz opowiedz mi o różach. Co się stało z tą próbką olejku?

– Została poddana analizie. Olejek pochodzący z tamtego miejsca ma wiele właściwości, których na razie nie udało się rzetelnie przebadać. Potrzebna jest

większa próbka. Sam zdobyłem ociupinę, znam taką jedną dziewczynę z laboratorium w Genewie i w zamian za... Nieważne. Dała mi kawałek bibuły skropiony paroma kropelkami tego olejku. Jedną rzecz odkryłem od razu: chroni przed mdłościami przy stosowaniu nowej metody. Gdyby mieć go dostatecznie dużo, można by z niej korzystać do woli i w ogóle nie cierpieć z powodu skutków ubocznych. No, ale ja miałem tylko tę odrobinę.

– Mów dalej.

– Wiesz, co to jest Proch?

– Oczywiście.

– Olejek pozwala go zobaczyć. Widzisz linie mocy... albo raczej pola. Tak, pola. Ta dziewczyna z laboratorium mówiła o polu. Obserwowali ponoć nie tylko związki chemiczne i światło, ale też interakcje z udziałem ludzi. Powiedzmy, że profesor Abacki dotknął jakiegoś tam okazji, ale nie dotknął innego: można to potem stwierdzić przez porównanie z innymi przedmiotami, których dotykał. Profesor Babacki też zostawiłby swój niepowtarzalny ślad. Co więcej, gdyby Babacki tylko pomyślał o tym okazji albo zaplanował jakiś eksperyment z jego udziałem, również odcisnąłby w tym polu swój ślad.

– Co na to Delamare?

– Musisz zrozumieć, że Delamare nie jest jakimś tam przeciętnym prostaczkiem, lecz człowiekiem nadzwyczaj złożonym, skomplikowanym, subtelnym. Wydaje ci się, że sam sobie zaprzecza, a potem odkrywasz, że w rzeczywistości zaplanował wszystko na kilka ruchów naprzód. A odkąd stoi na czele Rady Najwyższej, ma większe możliwości niż kiedykolwiek przedtem. Zamierza wysłać ekspedycję do miejsca, w którym rosną te róże, Łob-nor czy gdzie to tam jest... Ale to nie będzie karawana handlowa, tylko ekspedycja zbrojna. Zamierzają przejąć róże i olejek na własność. Delamare chce go mieć tylko dla siebie.

– Co wiesz o tej zbrojnej ekspedycji? Kto nią pokieruje?

– Nie wiem, kurna.

Bonneville sprawiał wrażenie zniecierpliwionego i znudzonego całą sytuacją. Malcolm zorientował się już, że chłopak wymaga nieustannej uwagi ze strony słuchacza, bo w przeciwnym razie łatwo się rozprasza i irytuje.

– Jeszcze kawy?

– Chętnie.

Malcolm gestem przywołał kelnera.

Dajmon Bonneville'a przymknął oczy i dał mu się przesadzić na ramię.

– To teraz ta dziewczyna z laboratorium – podjął Malcolm. – Z Genewy.

– Niezłe ciało. Niestety, zbyt uczuciowa.

– Masz z nią kontakt?

W odpowiedzi Bonneville wsunął wyprostowany palec wskazujący prawej ręki w zaciśniętą lewą pięść, wyjął go i kilkakrotnie powtórzył ten gest. Malcolm w lot pojął, czego oczekuje: erotycznego podziwu ze strony starszego mężczyzny. Pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

– Możesz ją poprosić, żeby się czegoś dla ciebie dowiedziała?

– Zrobi dla mnie wszystko. Ale olejku już nie ma, mówiłem ci.

– Nie próbowali go zsyntetyzować?

Bonneville zmrużył oczy.

– Zachowujesz się, jakbyś zamierzał mnie zwerbować na swojego agenta – zauważył. – Dlaczego miałbym ci cokolwiek powiedzieć?

Kelner przyniósł kawę. Malcolm odczekał, aż sobie pójdzie, po czym rzekł:

– Sytuacja się nie zmieniła.

Już się nie uśmiechał.

Bonneville z teatralną przesadą wzruszył ramionami.

– Już dość ci powiedziałem – odparł. – Teraz ty mi coś powiedz. Jak ta cała Belacqua weszła w posiadanie alethiometru mojego ojca?

– O ile mi wiadomo, dostała go od przełożonego kolegium, w którym pracował jej ojciec. Kolegium Jordana w Oksfordzie.

– A on skąd go wziął?

– Nie mam pojęcia.

– Dlaczego jej go dał?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– A skąd w ogóle ją znasz?

– Byłem jej nauczycielem.

– Kiedy? Ile miała wtedy lat? Miała już wtedy alethiometr?

– Mogła mieć jakieś czternaście, piętnaście lat. Uczylem ją historii. Nigdy nie wspominała o alethiometrze, nigdy go nie widziałem, w ogóle nie wiedziałem, że go ma. Dowiedziałem się dopiero niedawno. Czy to dlatego Delamare jej szuka?

– Z pewnością zależy mu na alethiometrze, chętnie przygarnąłby drugi do kolekcji. Nie jestem jego jedynym alethiometrystą, mógłby mnie wtedy wygrywać przeciw innym alethiometrystom. Ale to nie dlatego chce ją znaleźć.

– A dlaczego?

Po Bonneville’u było widać, że walczy z pokusą: wiedział coś, czego nie wiedział Malcolm, i przyjemność z podzielenia się tą wiedzą była zbyt silna, żeby ją zignorować.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? – zapytał.

– Wielu rzeczy nie wiem. O co chodzi w tym wypadku?

– Nie rozumiem, jak mogłeś przeoczyć coś takiego. Najwyraźniej masz kiepskich informatorów.

Malcolm sączył kawę i patrzył, jak znaczący uśmiešek na twarzy Bonneville’a staje się coraz szerszy.

– Najwyraźniej – przytaknął. – Mów.

– Delamare jest jej wujem i uważa, że zabiła jego siostrę, a swoją matkę. Moim zdaniem musiał być w tej siostrze zakochany. W każdym razie ma obsesję na jej punkcie i chce ukarać tę Złotoustą, Belacquę czy jak jej tam... Chce, żeby zapłaciła za tę śmierć.

Malcolm był kompletnie zaskoczony. Nie zdawał sobie sprawy, że pani Coulter, którą miał okazję poznać w domku Hannah Relf w pewne zimowe popołudnie tuż przed wielką powodzią, w ogóle miała jakieś rodzeństwo – ale dlaczego nie? Ludzie miewali przecież braci i siostry. Czy Lyra wiedziała o jej bracie, a swoim wuju? Najchętniej by z nią porozmawiał tu i teraz, w tej chwili, a tymczasem musiał zachować obojętny wyraz twarzy. Nie mógł sobie pozwolić na żadną żywszą reakcję, mógł okazać co najwyżej przelotne zainteresowanie.

– Delamare wie, gdzie jest w tej chwili? – zapytał. – Powiedziałeś mu?

- Twoja kolej – odparł Bonneville. – Opowiedz mi o moim ojcu. Kto go zabił?
- Mówiłem już: nikt go nie zabił. Utonął.
- Nie wierzę ci. Ktoś go zamordował. Kiedy się dowiem, kto to był, zabiję go.
- Wystarczy ci odwagi?
- Z pewnością. Mówiłeś coś jeszcze o jego dajmonie...
- Miał postać hieny. Stracił łapę po tym, jak twój ojciec się nad nim znęcał.

Okrutnie go katował; słyszałem o tym od człowieka, który widział to na własne oczy. Ponoć widok przyprawiał o mdłości.

- Myślisz, że w to uwierzę?
- Kompletnie mnie nie obchodzi, w co wierzysz, a w co nie.
- Spotkałeś go kiedyś?
- Tylko raz. Najpierw zobaczyłem tę jego hienę. Przestraszyłem się. Było ciemno.

Wyszła z zarośli, spojrzała na mnie i nasikała na ścieżkę, którą szedłem. Potem on też wynurzył się z krzaków, zobaczył, co robi hiena, i zaczął się śmiać. A potem oboje przepadli w lesie, a ja bardzo długo stałem i czekałem, zanim odważyłem się ruszyć dalej. To był jedyny raz, kiedy go widziałem.

- Skąd wiedziałeś, jak się nazywa?
- Słyszałem, jak ludzie o nim rozmawiali.
- Gdzie to było?
- W Oksfordzie. Podczas powodzi.
- Kłamiesz.

– A ty się przechwalasz, a w rzeczywistości wcale nie masz takiej władzy nad alethiometrem, jak ci się wydaje. Przy próbach odczytywania go poruszasz się po omacku, musisz zgadywać, a i tak dręczą cię mdłości. Nie ufam ci za grosz, bo jesteś wrednym, oślizłym gnojkiem, ale dałem ci słowo i go dotrzymam: nie powiem Menottiemu i pozostałym, gdzie cię szukać. Jeżeli jednak znów spróbujesz mi zaszkodzić, nie będę sobie zawracał nimi głowy, tylko sam cię znajdę i zabiję.

- Łatwo powiedzieć.
- Łatwo zrobić.
- Kim ty w ogóle jesteś?

– Archeologiem. Wróć do Delamare'a, przeproś go i błagaj o łaskę, a potem siedź cicho i się nie wychylaj. Lepszej rady ode mnie nie dostaniesz.

Bonneville uśmiechnął się szyderczo w odpowiedzi.

– Czy twoja matka nadal żyje? – zainteresował się Malcolm.

Chłopak się zarumienił.

– Gównu cię to obchodzi – odparował. – Nie interesuj się.

Malcolm tylko na niego patrzył. Nic nie mówił.

Upłynęła minuta. Bonneville wstał.

– Mam dość – oznajmił.

Zabrał swojego dajmona i przecisnął się pomiędzy ich stolikiem i sąsiednim. Malcolm zaleciał zapach jego wody kolońskiej, rozpoznał popularny wśród młodych mężczyzn Galleon o silnej cytrusowej nucie. Zatem Bonneville był na bieżąco z wymogami mody, chciał czuć się atrakcyjny i prawdopodobnie taki właśnie był. Oto kolejny fakt, który mógł się jeszcze okazać użyteczny.

Poruszał się ostrożnie, jakby cały czas bolały go żebra. Malcolm odprowadził go wzrokiem: Bonneville wyszedł z kawiarni, wyminął wodopój i zniknął w tłumie.

- Jak myślisz, wie o tym, że Lyra i Pan podróżują osobno? – zapytała Asta.
- Trudno powiedzieć. Ale jest to jedna z informacji, którymi na pewno chciałby się pochwalić, gdyby je posiadał.
- Zabije ją, jeśli ją znajdzie.
- Dlatego musimy znaleźć ją pierwsi.

Księżna Cantacuzino

Prom przybył do Smyrny dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Przez cały dzień Lyra prawie nie ruszała się ze swojego wiklinowego fotela, zastanawiała się, co robić dalej, i przeglądała notesik zwany *clavicula*. Kubiček wpisał do niego nazwisko księżnej Rosamond Cantacuzino. „Rosa” – czyli „róża” – w jej imieniu przeważała: po zejściu na ląd Lyra od razu udała się na poszukiwanie jej domu.

Księżna Cantacuzino mieszkała niedaleko portu, w jednej z dużych rezydencji przy nabrzeżu. Smyrna od dawna cieszyła się sławą wielkiego ośrodka handlowego i tutejsi kupcy dorobili się fortun na handlu dywanami, suszonymi owocami, zbożem, przyprawami i cennymi minerałami. Najbogatsze smyrneńskie rody, zwabione roztaczającym się z wybrzeża widokiem na góry i zawiewającym latem znad morza orzeźwiający zefirkim, wybudowały wspaniałe dworki przy ocienionej palmami promenadzie. Dom rodziny Cantacuzino stał z dala od ulicy, w głębi ogrodu, którego zadbane stan i różnorodność ozdobnych roślin dowodziły znacznej zamożności właścicieli. Lyrze przyszło do głowy, że wielki majątek z pewnością pomaga, kiedy człowiek straci dajmona: można sobie kupić pilnie strzeżoną prywatność.

Wraz z tą myślą przyszła kolejna: czy w ogóle wpuszcza ją do tego domu i pozwoli jej porozmawiać z księżną? Struchlała. Dlaczego właściwie chciała się z nią spotkać? No, to akurat było oczywiste: żeby zasięgnąć rady na temat dalszej podróży. Poza tym skoro Kubiček miał ją na swojej liście, to kiedyś musiała się zgodzić – przynajmniej raz – udzielić pomocy takim jak ona. Odwagi!

Weszła przez furtkę i przeszła wysypaną żwirem ścieżką pomiędzy symetrycznie rozmieszczonymi rabatami mocno przyciętych róż, na których pojawiały się już pierwsze pączki. Pracujący w oddali ogrodnik zobaczył ją, wyprostował się i śledził ją wzrokiem, gdy – z całą pewnością siebie, jaką umiała wykrzesać – skierowała się na marmurowe schody przed wejściem do rezydencji.

Zadzwoiła. Drzwi otworzył starszawy kamerdyner z dajmonem-wroną, która zakrakała chrypliwie na widok Lyry. W oczach mężczyzny pojawił się przelotny błysk zrozumienia.

– Mam nadzieję, że mówi pan po angielsku – zaczęła Lyra – bo ja znam tylko parę greckich zwrotów i ani słowa po anatolijsku. Przybyłam złożyć wizytę księżnej Cantacuzino.

Służący zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Zdawała sobie sprawę, że jest niechlujnie ubrana, ale wzięła sobie do serca radę ojczulka Corama i także w tym względzie starała się naśladować wiedźmy, które w czarnych jedwabnych łachmanach zawsze czuły się tak swobodnie, jakby nosiły najelegantsze suknie wprost ze stolicy

światowej mody.

Kamerdyner skinął głową.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Nazywam się Lyra Złotousta.

Odsunął się na bok i gestem zaprosił ją do holu, gdzie miała zaczekać. Zaczęła się rozglądać: grube ciemne drewno, ozdobne schody, kandelabr, wysokie palmy w terakotowych donicach, zapach wosku pszczelego w preparacie do czyszczenia mebli. Chłód. I cisza. Odgłosy ruchu ulicznego na promenadzie, wiejący na zewnątrz wiatr – wszystko to cichło, przytłumione licznymi warstwami bogactwa i wiekowego obyczaju zwieszającymi się dookoła niczym grube kotary.

Kamerdyner wrócił.

– Księżna przyjmie panią, panno Złotousta – oznajmił. – Proszę za mną.

Przyszedł do holu przez drzwi na parterze, teraz natomiast wszedł na schody. Poruszał się powoli, cicho posapywał, ale posturę miał po żołniersku prostą i prężną. Na piętrze otworzył drzwi i zaanonsował przybycie gościa. Lyra wyminęła go i weszła do pokoju pławiącego się w powodzi światła, z widokiem na zatokę, port i odległe góry. Pokój był olbrzymi i zdawał się pełen życia: tuzin lub więcej fotogramów w srebrnych ramkach stojących na fortepianie barwy kości słoniowej, liczne obrazy nowoczesnych malarzy, białe regały uginające się pod ciężarem książek i eleganckie meble pomalowane w pastelowe barwy. Wystrój od razu przypadł jej do gustu. Przy oknie, na obitym brokatem fotelu, siedziała wiekowa dama odziana w czerń.

Lyra podeszła do niej. Przeszło jej przez myśl, że może powinna dygnąć, ale szybko doszła do wniosku, że wypadłoby to niedorzecznie i zamiast tego powiedziała po prostu:

– Dzień dobry, księżno. To bardzo miłe z pani strony, że zechciała mnie pani przyjąć.

– Czy tak nauczono cię zwracać się do księżnej? – Głos starej kobiety był oschły, kąśliwy, rozbawiony.

– Nie. Moja edukacja w ogóle nie obejmowała takich spraw. Umiem jednak wiele innych rzeczy.

– Cieszę się. Przysuń sobie to krzesło i usiądź tutaj. Niech no ci się przyjrzę.

Lyra posłuchała i bez mrugnięcia okiem zniosła taksujące spojrzenie gospodyni. Księżna wydała jej się zarówno zawzięta, jak i osobliwie bezbronna. Lyra była ciekawa, jaką postać miał jej dajmon, i zastanawiała się, czy zapytanie o to byłoby nieuprzejme.

– Kim byli twoi rodzice? – spytała księżna.

– Mój ojciec nazywał się Asriel, lord Asriel. Moja matka nie była jego żoną i nosiła nazwisko Coulter. Ale skąd pani... To znaczy, dlaczego zapytała pani w czasie przeszłym? Skąd pani wie, że nie żyją?

– Umiem rozpoznać sierotę. Spotkałam kiedyś twojego ojca.

– Naprawdę?

– To musiało być ze trzydzieści lat temu, na przyjęciu w ambasadzie egipskiej w Berlinie. Był bardzo przystojnym młodzieńcem. I nadzwyczaj majątnym.

– Stracił cały majątek, kiedy się urodziłam.

– A to dlaczego?

- Nie był mężem mojej matki. Odbyła się rozprawa sądowa...
- Ach, ci prawnicy! Masz jakieś pieniądze, moje dziecko? Jakiegokolwiek?
- Nie mam nic.
- W takim razie prawnicy nie będą się tobą interesowali. To dobrze. Kto ci podał moje nazwisko?
- Vaclav Kubiček. Z Pragi.
- Ach tak... Szalenie interesujący człowiek. Naukowiec z wyrobionym nazwiskiem, ale zarazem bardzo skromny. Znałaś go wcześniej?
- Nie. Nie miałam pojęcia, że jest więcej takich ludzi, którzy... znaczy, ludzi bez... Ogromnie mi pomógł.
- Dlaczego jesteś w podróży? I dokąd się udajesz?
- Zmierzam do Azji Środkowej, do miejsca, które się nazywa Taszbulak. Jest tam instytut botaniczny. Jadę tam w poszukiwaniu rozwiązania zagadki, czy raczej tajemnicy.
- Opowiedz mi o swoim dajmonie.
- Pantalaimon...
- Porządne greckie imię.
- Ostatecznie przyjął postać kuny leśnej. Wcześniej, kiedy miałam około dwunastu lat, odkryliśmy, że potrafimy się rozdzielić. Nie mieliśmy wyboru, w każdym razie ja nie miałam wyboru: musiałam dotrzymać obietnicy, co wiązało się z koniecznością porzucenia dajmona i udania się do miejsca, do którego nie mógł ze mną podążać. To było najgorsze... prawie najgorsze uczucie w całym moim życiu. Ale po jakimś czasie odnaleźliśmy się i chyba mi wybaczył. Potem już się nie rozstawaliśmy, a umiejętność rozdzielania się trzymaliśmy w najgłębszej tajemnicy. Myśleliśmy, że tylko wiemy tak potrafią. Ale przez ostatni rok, mniej więcej, stale się kłóciliśmy. To było okropne, nie mogliśmy się nawzajem znieść, aż któregoś dnia obudziłam się, a jego nie było. Prawdę mówiąc, cały czas go szukam. Znajduję różne tropy i podążam za nimi, irracjonalne drobiazgi, które właściwie nie mają sensu... W Pradze poznałam czarownika, który też udzielił mi wskazówki. Poza tym wierzę w los. To los zrzucił, że spotkałam pana Kubička.
- Wielu rzeczy mi nie mówisz.
- Nie chcę pani zanudzić.
- Nie myślisz chyba, że moje życie do tego stopnia obfituje w fascynujące wydarzenia, że darowałabym sobie okazję do wysłuchania nieznanym, która jest okaleczona w podobny sposób jak ja?
- To możliwe. Znaczący, że pani życie obfituje w fascynujące wydarzenia. Na pewno jest mnóstwo ludzi, którzy chętnie by się z panią spotkali. Może ma pani przyjaciół, którzy wpadną, żeby pogadać, a może rodzinę...
- Nie mam potomstwa, jeśli o to ci chodzi. Ani męża. Jednakże w pewnym sensie rodzina mnie przytłacza: w tym mieście, ba, w całym kraju wprost roi się od Cantacuzinów. Zamiast rodziny mam więc... Owszem, są jacyś przyjaciele, choć nieliczni. Czują się w mojej obecności niezręcznie, starają się traktować mnie ulgowo, próbują nie poruszać przykrych tematów, są skrupowani, wyrozumieli... W efekcie rozmowa z nimi to męka. Kiedy odwiedził mnie pan Kubiček, prawie umierałam z nudów i rozpacz. Dzisiaj ludzie przysłani przez niego, a także przez dwie czy trzy inne podobne nam osoby z innych miast, są moimi najmilej widzianymi gośćmi.

Napijesz się ze mną herbaty?

– Z przyjemnością.

Księżna zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem leżącym obok niej na stoliku.

– Kiedy przyjechałaś do Smyrny? – zapytała.

– Dzisiaj. Przyszłam tu prosto z portu. Dlaczego pani dajmon panią zostawił?

Księżna uciszyła Lyrę gestem uniesionej dłoni. Dał się słyszeć szcęk otwieranych drzwi, a gdy pojawił się kamerdyner, zaordynowała:

– Herbata, Hamidzie.

Hamid skinął nisko głową i wyszedł. Księżna nasłuchiwała przez chwilę i dopiero gdy stwierdziła, że naprawdę sobie poszedł, zwróciła się do Lyry:

– Był nadzwyczaj pięknym czarnym kotem. Odszedł, bo zakochał się w kimś innym. Zafascynowała go pewna tancerka z klubu nocnego.

Ton jej głosu jednoznacznie sugerował „kogoś niewiele lepszego od prostytutki”. Zaintrygowana Lyra słuchała w milczeniu.

– Zastanawiasz się pewnie – ciągnęła księżna – jak w ogóle udało mu się poznać taką kobietę. Na ogół tacy jak ja i tacy jak ona obracają się w zupełnie rozłącznych kręgach towarzyskich. Miałam jednak brata, którego żądze cielesne były wprost nienasycone, a talent do wchodzenia w niestosowne związki przysporzył rodzinie wiele wstydu. Przyprowadził tę kobietę na jedno z wieczornych przyjęć, zupełnie się z tym nie kryjąc. „Ta młoda dama jest moją kochanką”, tak właśnie przedstawiał ją ludziom. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, była nadzwyczaj ładna i pełna wdzięku. Nawet ja musiałam przyznać, że jest atrakcyjna. A mój biedny dajmon zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

– Biedny dajmon?

– Było mi go okropnie żal: tak beznadziejnie, żałośnie zadurzyć się w kobiecie takiej proveniencji... To był swoisty obłęd, który ja oczywiście doskonale wyczuwałam. Próbowalam z nim o tym porozmawiać, ale nie chciał mnie słuchać. Nie chciał zapanować nad swoimi uczuciami. Osobiście śmiem twierdzić, że nie tyle nie chciał, co nie był w stanie.

– A co na to jej dajmon?

– Był marmozetą albo czymś w tym rodzaju: leniwy, zobojętniały, próżny, niezbyt interesował się tym, co się dzieje. Mój brat uparł się, żeby zabierać tę dziewczynę do opery, na wyścigi, na przyjęcia... Kiedy ja również byłam obecna, obsesja, która opętała mojego dajmona, nakazywała mi szukać jej towarzystwa i doświadczać jego namiętności do niej. To było nie do zniesienia. Podchodził do niej najbliżej, jak tylko mógł, szeptał jej do ucha czułe słówka, a tymczasem jej dajmon puszył się i ziewał nieopodal. W końcu...

Drzwi się otworzyły i księżna zawiesiła głos. Wszedł kamerdyner z tacą, którą postawił na stoliku z prawej strony fotela, po czym uklonił się i wyszedł. Księżna mogła dokończyć zdanie:

– W końcu sprawa stała się głośna. Wszyscy o niej wiedzieli. Nigdy przedtem nie byłam taka nieszczęśliwa.

– Ile miała pani wtedy lat?

– Dziewiętnaście, może dwadzieścia, nie pamiętam dokładnie. Naturalną kolejną rzeczą powinnam przyjąć zaloty dowolnego z licznych akceptowanych przez moich rodziców młodych adoratorów, wyjść za niego za mąż i tak dalej, ale w tej

niedorzecznej sytuacji było to niemożliwe. Stałam się pośmiewiskiem.

Księżna mówiła całkiem spokojnie, bez emocji, jakby tamta dwudziestoletnia kobieta była kimś zupełnie innym. Odwróciła się do stolika z tacą i nalała herbaty do dwóch ślicznych filiżanek.

– Jak to się skończyło? – zapytała Lyra.

– Prosiłam go, błagałam, ale zupełnie zatracił się w swoim szaleństwie. Ostrzegałam go, że jeżeli nie przestanie, oboje umrzemy, w żaden sposób jednak nie mogłam go przekonać, żeby został ze mną. Ba, powiem ci coś jeszcze i niech to będzie dowodem, jak bardzo człowiek może się upodlić: wyprowadziłam się od rodziców i zamieszkałam z nią.

– Z nią? Z tą tancerką?

– To było nierozważne. Udawałam, że się w niej zakochałam, a jej to odpowiadało. Odrzuciłam wszelkie rodzinne zobowiązania i zamieszkałam z nią. Dzieliłam z nią łóżko, stół, a nawet jej żaloszny fach, bo też umiałam tańczyć, też poruszałam się z gracją i nie byłam wcale brzydsza od niej. Przewyższała mnie odrobiną talentu, to wszystko, a razem przyciągałyśmy liczniejszą publikę i odniosłyśmy wielki sukces. Tańczyłyśmy we wszystkich nocnych klubach od Aleksandrii po Ateny. Zaoferowano nam fortunę, żebyśmy zatańczyły w Maroku, a następnie drugą, jeszcze okazańszą, za występy w Ameryce Południowej. Kłopot w tym, że mojemu dajmonowi wciąż było mało. Chciał być jej, nie mój. Jej dajmon popadł w uzależnienie od maku, na które ona pozostała odporna. Wtedy jednak zainteresowała się bliżej moim dajmonem, a gdy on wyczuł, że jego obsesja została odwzajemniona, wiedziałam, że pora odejść. Byłam gotowa na śmierć. Pewnej nocy, to było w Bejrucie, oderwałam się od nich. On był w nią wczepiony, ona mocno go tuliła, wprost miażdżyła go w uścisku, wszyscy troje szlochaliśmy z bólu i zgrozy, ale nie ustąpiłam: oderwałam się od niego i zostawiłam go z nią. Od tamtej pory jestem sama. Wróciłam do rodziny, która uznała moją historię za nieco zabawny element rodzinnych legend. Oczywiście nie mogłam w takim stanie wyjść za mąż, nikt by mnie nie zechciał.

Lyra napiła się herbaty, która miała delikatny jaśminowy aromat.

– A kiedy spotkała pani mojego ojca?

– Rok przed tamtymi wydarzeniami.

Niemożliwe, pomyślała Lyra. Byłby za młody.

– Co najbardziej utkwilo pani w pamięci z życia z tancerką?

– Łatwo odpowiedzieć na to pytanie: gorące noce, wąskie łóżko, jej smukłe ciało, zapach jej skóry. Nigdy tego nie zapomnę.

– Pokochała ją pani? Czy do końca tylko udawała?

– Widzisz, coś takiego można udawać, udawać, aż w pewnym momencie staje się prawdą.

Oczy księżnej, osadzone w spokojnej, głęboko pooranej zmarszczkami twarzy, zdawały się małe, ale pozostały błyszczące i nieruchome.

– A pani dajmon...

– Nie wrócił. Tancerka zmarła dawno temu, ale on mimo to do mnie nie wrócił. Przypuszczam, że udał się do Al-Chan al-Azraq.

– Błękitny Hotel... Więc to prawda, co się o nim opowiada? Naprawdę istnieją ruiny miasta, w których mogą żyć tylko dajmony?

– Ja w to wierzę. Niektórzy z moich gości, mam na myśli ludzi od pana Kubička, wybierali się tam. O ile mi wiadomo, nikt jednak nie wrócił.

Myśli Lyry pomknęły przez góry i pustynie ku miastu ruin, cichemu i posepnemu w blasku księżyca.

– Teraz znasz już moją historię – powiedziała księżna. – W zamian musisz mi opowiedzieć coś naprawdę niezwykłego. Czy podczas swojej podróży widziałaś coś, co mogłoby zainteresować pozbawioną dajmona starą damę?

– Kiedy byłam w Pradze... – zaczęła Lyra. – Mam wrażenie, że od tamtej pory upłynęło mnóstwo czasu, a to przecież było ledwie tydzień temu! Wsiadłam z pociągu na dworcu, ale zanim jeszcze zdążyłam się zainteresować rozkładem jazdy, zagadnął mnie pan Kubiček. Zupełnie jakby na mnie czekał. Okazało się zresztą, że tak właśnie było...

Opowiedziała historię człowieka-pieca. Księżna wysłuchała jej w całkowitym bezruchu i skupieniu, a na koniec westchnęła z zadowoleniem.

– Był synem tego czarownika? – zapytała.

– Tak twierdził Agrippa. Cornelis i Dinessa...

– Agrippa okrutnie zabawił się z nimi obojgiem.

– Też tak uważałam. Ale Cornelis chciał za wszelką cenę odszukać Dinessę i to mu się udało.

– Miłość...

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o Błękitnym Hotelu. Wiem, że to miejsce ma jeszcze inną nazwę: Madinat al-Qamar, Miasto Księżyca. Dlaczego tak się nazywa?

– Tego nikt nie wie. To bardzo stara opowieść. Moja niania opowiadała mi historie o duchach, kiedy byłam małą. Od niej pierwszej usłyszałam o Błękitnym Hotelu. Dokąd zamierzasz się stąd udać?

– Do Aleppo.

– Podam ci kilka nazwisk mieszkańców tego miasta, którzy podzielają nasz los. Któryś z nich może wiedzieć coś więcej. Rzecz jasna, w przeciętnym słuchaczu wzmianka o Błękitnym Hotelu budzi grozę i przesadne lęki. Dlatego lepiej nie wspominać o nim przy ludziach, którzy są kompletni i łatwo ich przestraszyć.

– Naturalnie. – Lyra dopiła herbatę. – Piękny jest ten pokój. Gra pani na fortepianie?

– On gra sam – odparła księżna. – Podejdz do niego i wyciągnij tę kościaną gałkę z prawej strony klawiatury.

Kiedy Lyra tak zrobiła, zamknięty we wnętrzu instrumentu mechanizm zaczął grać, poruszając przy tym klawiszami, jakby naciskały je niewidzialne dłonie. W powietrze popłynęły dźwięki sentymentalnej piosenki miłosnej sprzed pięćdziesięciu lat. Zachwycona Lyra uśmiechnęła się do księżnej.

– *L'Heure bleue* – powiedziała stara dama. – Tańczyłyśmy do tego.

Lyra obejrzała się na fortepian zastawiony mnóstwem fotogramów w srebrnych ramkach i nagle znieruchomiała.

– Co się stało? – spytała księżna, zdumiona wyrazem jej twarzy.

Lyra wcisnęła gałkę na miejsce, żeby uciszyć muzykę, i drżącą ręką sięgnęła po jeden z portretów.

– Kto to jest?

– Przynies mi to.

Księżna wzięła fotogram do ręki i przyjrzała mu się przez binokle.

– To mój siostrzeniec, Olivier. A właściwie daleki kuzyn, należałoby chyba powiedzieć. Olivier Bonneville. Znasz go?

– Tak. To znaczy, nigdy się nie spotkaliśmy, ale... On uważa, że mam coś, co jest jego własnością, i próbuje to odzyskać.

– Ma rację?

– Ten przedmiot należy do mnie, mój ojciec... Dostałam go od ojca. *Monsieur Bonneville* nie ma racji, ale nie chce tego przyjąć do wiadomości.

– Zawsze był nadzwyczaj uparty. Jego ojciec, nicpoń, zginął pewnie gwałtowną śmiercią. Olivier jest ze mną spokrewniony poprzez matkę, która też już nie żyje. A on wiąże ze mną pewne nadzieje. Gdyby nie to, pewnie w ogóle bym go nie widywała.

– Jest teraz w Smyrnie?

– Mam nadzieję, że nie. Jeżeli mnie odwiedzi, nie wspomnę mu o tobie ani słowem. Gdyby zaś zaczął się dopytywać, będę kłamać w żywe oczy. A umiem kłamać.

– Dawniej też umiałam dobrze kłamać – powiedziała nieco uspokojona Lyra. – Kiedy byłam młodsza. Ostatnio przychodzi mi to znacznie trudniej.

– Chodź do mnie, moja droga. – Księżna wyciągnęła do niej rękę. – Pocałuj mnie.

Lyra z przyjemnością spełniła jej prośbę. Przypominająca papier skóra na policzkach starej damy pachniała lawendą.

– Jeżeli udasz się do Al-Chan al-Azraq – powiedziała księżna – i naprawdę okaże się ono miastem ruin zamieszkanym przez dajmony, to gdybyś spotkała tam czarnego kota imieniem Phanourios, powiedz mu, że chętnie zobaczyłabym go jeszcze przed śmiercią. Tylko uprzedź go, że powinien się pośpieszyć.

– Zrobię to.

– Mam nadzieję, że twoja misja się powiedzie i uda ci się rozwikłać twoją tajemnicę. Domyślam się, że chodzi o jakiegoś młodego mężczyznę.

Lyrę zamurowało. Księżna na pewno miała na myśli Malcolma, nikogo innego. Z jej punktu widzenia na pewno był młody.

– Ale nie... – zaczęła.

– Nie, nie, nie. Oczywiście nie mam na myśli mojego siostrzeńca. A gdybyś jeszcze kiedy zawitała do Smyrny, koniecznie mnie odwiedź. Inaczej będę cię nawiedzać i dręczyć.

Księżna odwróciła się do stojącego obok biurczka z połączanego brązu, wyjęła arkusz papieru i pióro wieczne i przez dłuższą chwilę pisała. Potem dmuchnęła na papier, żeby osuszyć atrament, złożyła kartkę na pół i podała ją Lyrze, mówiąc:

– Ktoś z nich na pewno ci pomoże.

– Jestem pani ogromnie wdzięczna. Nie zapomnę nic z tego, co mi pani powiedziała. Do widzenia.

Wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi. Kamerdyner czekał w holu, żeby odprowadzić ją do wyjścia. Kiedy znalazła się poza obrębem ogrodu, przeszła jeszcze kawałek, aż straciła z oczu rezydencję księżnej, po czym przystanąła i oparła się o mur, żeby uspokoić skołatane nerwy.

Widok portretu Bonneville'a wstrząsnął nią niewiele mniej, niż gdyby Bonneville we własnej osobie nagle wszedł do pokoju. Ten człowiek potrafił ją zszokować, nawet

na fotogramie.

Trudno było nie dostrzec w tym ostrzeżenia ze strony tajemnej wspólnoty.

– Strzeż się! – zdawało się wybrzmiewać. – Nigdy nie wiesz, kiedy się pojawi!

I nawet w Smyrnie mógł ją odszukać.

Bractwo świętego zamierzenia

Wieczorem następnego dnia po spotkaniu z Olivierem Bonneville'em Malcolm znalazł się w starożytnej rzymskiej prowincji Pizydia, w mieście położonym trzysta mil na południe od Konstantynopola i będącym stolicą regionu słynnego z uprawy róż. Udał się tam na spotkanie z Bryanem Parkerem, angielskim korespondentem zagranicznym specjalizującym się w kwestiach związanych z bezpieczeństwem, którego poznał przy okazji współpracy z Oakley Street. Kiedy powiedział mu o planowanej podróży do Azji Środkowej i jej przyczynach, Parker natychmiast odparł:

– Musisz dziś wieczorem pójść ze mną na zebranie. Powinno cię zainteresować.

Po drodze do starego teatru, w którym zaplanowano mityng, Parker wyjaśnił, że hodowla i przetwórstwo róż, stanowiące istotny element lokalnej gospodarki, znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie.

– Co jest źródłem kłopotów? – zainteresował się Malcolm, gdy wchodzili do teatru.

– Nikt dokładnie nie wie, skąd pochodzą, ale powszechnie nazywa się ich „ludźmi z gór”: palą ogrody różane, napadają na hodowców, niszczą przetwórnice... A policja nic z tym nie robi.

W sali już było tłoczno, ale znaleźli jeszcze dwa wolne miejsca z tyłu. Na spotkanie przybyło wielu mężczyzn w średnim wieku i starszych, w garniturach i pod krawatem – Malcolm domyślał się, że byli to właściciele ogrodów. Przyszło też trochę kobiet o ogorzałych od słońca twarzach. Parker tłumaczył mu wcześniej, że branża jest nadzwyczaj konserwatywna, a role w procesie uprawy i przetwórstwa róż ściśle określone, także ze względu na płeć. Mężczyźni zajmowali się destylacją wody różanej i produkcją olejku, a to mogły być zbieraczki kwiatów. Poza nimi na widowni zasiedli także zwykli mieszkańcy miasteczka, a wśród nich zapewne dziennikarze lub miejscowi politycy.

Na scenie panował ożywiony ruch, rozwieszano właśnie wielki transparent związku zawodowego, który sponsorował mityng. W końcu wszystkie miejsca siedzące zostały zajęte, a najpóźniej przybyli goście stanęli także z tyłu sali i po bokach, pod ścianami. Tak liczne zgromadzenie stało w sprzeczności ze wszystkimi znanymi Malcolmowi zaleceniami przeciwpożarowymi, ale nie mógł wykluczyć, że tutejsi obywatele po prostu luźniej traktują przepisy. Za to przy każdym wejściu stanęli policjanci – uzbrojeni i, na oko sądząc, wyraźnie podenerwowani. Gdyby wybuchło zamieszanie, ofiar mogło być sporo.

W końcu organizatorzy uznali, że są gotowi. Na scenę wyszła grupa mężczyzn

w garniturach, z aktówkami i pękatymi teczkami w rękach. Niektórych z nich publika rozpoznała i powitała oklaskami i wiwatami. Czterech zasiadło za stołem, a piąty podszedł do pulpitu, żeby coś powiedzieć. Nastąpiło sprzężenie zwrotne, głośniki zawyły przeraźliwie, niedoszły mówca cofnął się o krok i z niepokojem postukał w mikrofon. Jeden z techników pośpieszył na scenę i coś podregulował przy urządzeniu.

Malcolm dyskretnie się rozglądał, obserwując wszystko i wszystkich, i gdy mówca w końcu rozpoczął przemowę, znów zauważył coś ciekawego: uzbrojeni policjanci zniknęli. Wcześniej pilnowali wszystkich sześciu wyjc. W tej chwili żadne z nich nie było obstawione.

Parker szeptem streszczał mu wystąpienie:

– Witam wszystkich... kryzys w branży... za chwilę nastąpi przedstawienie raportów regionalnych... teraz czyta jakieś liczby, mierny z niego mówca... W skrócie: produkcja spada, obroty spadają. Przedstawia pierwszego prelegenta, hodowcę z Baris.

Skromne brawa powitały następnego z mężczyzn, który wstał zza stołu i stanął za pulpitem. Jego poprzednik zachowywał się jak biurokrata i miał usypiający głos, on zaś od początku mówił z gniewem i zaangażowaniem.

– Opowiada, co się wydarzyło w jego przetwórni – wyjaśnił Parker. – Któregoś dnia wczesnym rankiem przyszli ludzie z gór. Spędzili wszystkich pracowników w jedno miejsce i pod groźbą użycia broni kazali im spalić zakład i wylać do ognia zapas cennego olejku. Potem ściągnęli buldożer, dokumentnie rozkopali ogród i polali ziemię trucizną... nie wiem jaką... żeby już nigdy nic na niej nie wyrosło. Patrz, aż płacze z wściekłości. Plantacja należała do rodziny od ponad stu lat, od czasów jego prapradziadka. Zatrudniał w niej wszystkie swoje dzieci, plus trzydzieścioro ośmiorgo innych pracowników.

Z widowni odpowiadały prelegentowi pomruki gniewu, współczucia i zgody. Wielu spośród zebranych musiało mieć podobne doświadczenia.

– Pyta, gdzie była policja. Gdzie wojsko? Kto ochroni uczciwych obywateli takich jak on i jego rodzina? Wychodzi na to, że jego syn zginął w potyczce z tymi ludźmi z gór, którzy potem rozplynęli się bez śladu, nikogo nie złapano, nikt nie został ukarany. A gdzie sprawiedliwość? O tym właśnie teraz mówi.

Hodowca przemawiał głosem podniesionym ze złości i smutku. Słuchacze klaskali, pokrzykiwali z aprobatą, tupali, aż w końcu pokręcił głową i, szlochając, odszedł od pulpitu i usiadł za stołem.

– Jest na sali ktoś z rządu? – spytał Malcolm.

– Jedyjni politycy na widowni to przedstawiciele lokalnej administracji. Nie ma nikogo ze szczebla krajowego.

– Jak w ogóle reaguje rząd?

– Wyraża troskę, naturalnie, współczucie, wydaje surowe ostrzeżenia... Ale słyhać też w ich wypowiedziach osobliwą rezerwę, jakby bali się otwarcie skrytykować wandali.

– Rzeczywiście, to osobliwe.

– I wkurzające. Następny prelegent reprezentuje związek zawodowy hurtowników.

Trzeci mówca okazał się równie nudny jak pierwszy. Parker pokrótce streścił jego

wystąpienie, ale Malcolma bardziej interesowała sytuacja na widowni.

– O co chodzi? – spytał Parker, kiedy to zauważył. – Czemu się tak rozglądasz?

– Dwie rzeczy. Policjanci najpierw się ulotnili, a potem zamknęli wszystkie wyjścia.

Siedzieli na prawym krańcu przedostatniego rzędu, blisko jednego z wyjść. To właśnie odgłos, który dobiegł zza drzwi, zaalarmował Malcolma: brzmiał jak szczęk zamykanej zasuw.

– Mam dalej tłumaczyć, co mówi ten nudziarz?

– Nie. Bądź gotowy pomóc mi wyważyć te drzwi.

– Otwierają się do środka.

– Ale nie są zbyt grube ani mocne. Coś się wydarzy, Bryanie. Dziękuję za zaproszenie tutaj.

Nie musieli długo czekać.

Prelegent jeszcze nie skończył, gdy na scenie za jego plecami pojawiło się trzech uzbrojonych mężczyzn: dwaj mieli karabiny, trzeci rewolwer.

Szmary i rozmowy ucichły jak nożem uciął. Prelegent, który obejrzał się do tyłu, zaintrygowany, co się stało, zbladł i mocniej zacisnął dłonie na pulpicie. Kątem oka Malcolm dostrzegł ruch po drugiej stronie sali. Leciuteńko obrócił głowę, żeby lepiej widzieć, i zobaczył, jak znajdujące się tam drzwi uchylają się na moment i na widownię wchodzi kolejny człowiek z karabinem. Drzwi natychmiast się za nim zamknęły.

Malcolm rozejrzał się dookoła: dokładnie taka sama scena rozegrała się przy wszystkich sześciu wyjściach.

Młody mężczyzna z rewolwerem odepchnął prelegenta od pulpitu i sam zaczął mówić. Miał jasne oczy, długie czarne włosy i gęstą czarną brodę. W jego donośnym, ostrym, dźwięcznym głosie pobrzmiwała spokojna pewność siebie.

Malcolm przechylił głowę w stronę Parkera, który od razu zaczął szeptać:

– Wszystko, co znacie, wkrótce się zmieni. Rzeczy znajome staną się dla was obce i dziwaczne, a rzeczy, których nawet sobie nie wyobrażaliście, będą na porządku dziennym. Ta zmiana zaczyna się wszędzie, na całym świecie, nie tylko w Pizydii...

Dwaj towarzyszący mu ludzie z bronią ustawili się z boków sceny i obserwowali widownię. Nikt się nie poruszał. Malcolm miał wrażenie, że prawie czuje, jak cała publiczność wstrzymała oddech.

– Wy, wasze rodziny i wasi pracownicy o wiele za długo uprawialiście swoje ogrody różane – szeptał dalej Parker. – Absolutnie nie życzy sobie róż. Ich hodowla go irytuje. Jest niezadowolony. Ich zapach napawa go obrzydzeniem, niczym odór diabelskiego gnoju. Hodowcy róż i kupcy handlujący olejkiem i perfumami przypochlebiają się diabłu i znieważają Boga. Przybyliśmy, żeby wam o tym powiedzieć.

Mówca na chwilę zawiesił głos. Hodowca, który wcześniej z wielkim zapalem przemawiał, nie wytrzymał dłużej: zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło. Wszyscy trzej bojownicy na scenie natychmiast zwrócili się ku niemu i wzięli go na cel, mierząc w serce.

Hodowca przemówił.

– Mówi, że to są jakieś nowe nauki – szeptał Parker. – Nigdy przedtem ich nie słyszałem. Jego przodkowie, a także bliźsi i dalsi krewni, którzy hodują róże w sąsiedniej

wiosce, zawsze sądzili, że czynią wolę Boga, doglądając stworzonych przez Niego kwiatów i dbając o zachowanie ich aromatu. Ta nowa doktryna jest jakaś obca, dziwaczna i potwierdzi to każdy, kogo zna, i każdy, kto jest teraz w tej sali.

Odpowiedział mu młody człowiek z rewolwerem. Parker tłumaczył:

– Ta doktryna zastępuje wszystkie inne, ponieważ jest Słowem Bożym. Inne doktryny są zbędne.

Hodowca wyszedł zza stołu i stanął twarzą w twarz z rewolwerowcem. Krępy, barczysty, zaczerwieniony na twarzy i ciskający gromy z oczu stanowił przeciwieństwo szczupłego, spokojnego, opanowanego bojownika. Kiedy ponownie się odezwał, podniósł głos niemal do krzyku:

– Jaki los czeka moją rodzinę i pracowników? Co będzie z kupcami i rzemieślnikami, których byt jest uzależniony od hodowanych przez nas róż? Czy Bóg będzie zadowolony, gdy wszyscy oni zbiednieją i zaczną głodować?

Kiedy młodzieniec z rewolwerem odpowiedział, Malcolm musiał nachylić się do Parkera, żeby usłyszeć jego szept:

– Bóg będzie zadowolony, ponieważ nie będą już brali udziału w tym nieczym procederze. Sprawi mu przyjemność, że odrzucą swoje fałszywe ogrody i zwrócą oczy ku jednemu prawdziwemu: ogrodowi rajskiemu.

Nie poruszając głową, Malcolm zerknął na boki i stwierdził, że uzbrojeni strażnicy przy drzwiach nieustannie wodzą wzrokiem po widowni, od ostatnich rzędów do pierwszych i z powrotem. Ich broń poruszała się w jednym rytmie z oczami. Lufy karabinów znajdowały się na wysokości głów widzów.

– Co wobec tego zrobicie? – zapytał hodowca róż.

– Nie chodzi o to, co my zrobimy. Nie trzeba o to pytać, ponieważ poddajemy się woli Boga, a jej się nie kwestionuje.

– Ja nie widzę woli Boga! Widzę moje róże, moje dzieci i pracowników!

– Niepotrzebnie się trapisz. Zdradzimy ci wolę Boga. Rozumiemy, że wasze życie jest skomplikowane, pełne sprzeczności i zwątpienia. Przybyliśmy, aby wszystko wam wyjaśnić.

Hodowca pokręcił głową, a potem zwiesił ją niczym gniewny byk zbierający siły do szarży. Stanął w rozkroku, jakby chciał mocniej zaprzeć się o ziemię, chociaż znajdował się przecież na drewnianej scenie.

– Jaka zatem jest wola Boga? – zapytał.

Bojownik odpowiedział. Parker przełożył:

– Macie wykopać i spalić wszystkie wasze krzewy różane, co do jednego. Macie zniszczyć całą aparaturę destylacyjną. Macie roztrzaskać wszystkie naczynia zawierające szatański gnój, który nazywacie perfumami i olejkiem. Oto wola Boga. W swoim nieskończonym miłosierdziu przysłał mnie i moich towarzyszy, abyśmy wam ją przekazali i dopilnowali jej wypełnienia. Wtedy wasze kobiety i wasi robotnicy będą mogli wieść życie, które jest miłe Bogu, zamiast napełniać powietrze cuchnącym odorem z trzewi piekła.

Hodowca próbował coś odpowiedzieć, ale młody mężczyzna uniósł broń i z odległości stopy wycelował mu w głowę.

– Kiedy rozpalcie ogień – podjął – który strawi wasze ogrody i przetwórnice, stanie się on latarnią prawdy i czystości, której blask rozleje się po całym świecie. Powinniście się radować, że trafia się wam taka okazja. Moich towarzyszy złączonych

w bractwie tego świętego zamierzenia są tysiące tysięcy. Słowo Boże rozprzestrzenia się niczym pożar lasu, będzie sięgać coraz dalej i dalej, aż cały świat zapłonie miłością Boga i radością z doskonałego posłuszeństwa jego woli.

Przez cały ten czas dajmon hodowcy – siedzący mu na ramieniu grubodzioby stary kruk – rozpościerał skrzydła i klekotał dziobem. Dajmon bojownika z rewolwerem – duży, piękny pustynny kot o piaskowej sierści – stał spięty i czujny przy jego nogach.

– Nigdy nie spalę moich róż! – wykrzyknął hodowca. – Nie wyprę się świadectwa swoich zmysłów! Kwiaty są piękne, ich zapach to prawdziwe tchnienie niebios, a wy jesteście w błędzie!

Kruk rzucił się na kota, który wyskoczył mu na spotkanie. Zanim jednak dajmony zdążyły się spotkać, rewolwerowiec pociągnął za spust i pocisk przeszył głowę starszego mężczyzny. Kruk rozwiął się w powietrzu, a hodowca róż osunął się martwy na scenę. Pulsująca rytmicznie krew wypływała z otworu w jego czaszce.

Widownia zareagowała chóralnym krzykiem, ale dalsze hałasy zostały błyskawicznie uciszone przez strażników z karabinami, którzy zrobili krok w przód i unieśli broń do ramienia. Nikt nic nie mówił, tylko z paru miejsc na widowni dobiegał cichy szloch.

Bojownik z rewolwerem znów przemówił, Parker ponownie tłumaczył:

– To był przykład tego, czego od tej pory nie wolno wam robić, ilustracja tego, co was czeka, gdy nie będziecie nas słuchać...

I dalej w tym stylu.

Malcolm dotknął rękawa Parkera: dość już usłyszał.

– Dokąd prowadzi wyjście dla aktorów?

– Na uliczkę z prawej strony budynku.

– Można z niej wyjść w obie strony? Czy to ślepy zaułek?

– Ślepy zaułek. Wychodzi się z niego przy głównym wejściu do teatru.

Rewolwerowiec skończył przemawiać i wydał nowe rozkazy.

– Zakładnicy – wyjaśnił Parker.

Pozostałym na scenie prelegentom kazano położyć się na brzuchu i spleść dłonie na karku. Dwaj z nich, podstarzali albo schorowani, mieli kłopot z wykonaniem polecenia, ale uzbrojeni strażnicy byli bezlitośni. Kolejny rozkaz był skierowany do sześciu ludzi przy wyjściach: każdy z nich na migi dał znać najbliższemu z widzów, żeby wstał i siedł za nim.

Kobieta siedząca przed Malcolmem zamierzała wykonać polecenie, ale Malcolm wstał pierwszy. Odwrócił się do bojownika z karabinem i wskazał na siebie. Ten w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Kobieta usiadła ciężko.

– Co ty robisz? – zdumiał się Parker.

– Zobaczysz.

Wyszedł z rzędu i podniósł ręce. Inni zakładnicy (wśród których były dwie kobiety) robili to samo i – posłuszni poleceniom bojowników – kierowali się w stronę sceny. Malcolm poszedł za ich przykładem.

Lufa karabinu szturchnęła go w plecy, kiedy dotarł pod scenę. Z obu skrajów prowadziło na nią kilka stopni; wszedł po nich w ślad za innymi. Kiedy pierwsza z kobiet miała przejść obok zabitego hodowcy róż, wokół którego krew rozlewała się coraz szerzej, jej psi dajmon zaskowyczał i za nic nie chciał pójść dalej. Próbowwała go

wziąć na ręce, ale idący za nią bojownik pchnął ją karabinem. Przewróciła się wprost w kałużę krwi i aż krzyknęła ze zgrozy. Jeden z zakładników pomógł jej wstać i przytulił ją, szlochającą i na wpół omdlałą.

Malcolm z zainteresowaniem obserwował rozwój wypadków. Młody dowódca bojowników popełnił poważny błąd. Wystarczyło poczekać, aż jego koci dajmon rozprawi się z krukiem, wtedy w ogóle nie musiałby strzelać. Tymczasem sytuacja komplikowała się z każdą sekundą – śmierć, zakładnicy, uwięzienie wszystkich widzów – a tamten nie miał pomysłu, co z tym fantem zrobić. Na dodatek nie miał kto pilnować publiki, bo każdy z bojowników prowadził swojego zakładnika na scenę. W każdej chwili ktoś mógł się rzucić do wyjścia, a wtedy w tłumie wybuchłaby panika i wszystko mogłoby się wydarzyć. Malcolm patrzył, jak dowódca wszystko obserwuje, dokonuje szybkich kalkulacji, obmyśla plan i ostrym tonem wydaje rozkazy.

Trzej z jego ludzi, którzy przyszli z widowni, odwrócili się do widzów, żeby mieć na nich oko. Pozostała trójka skinęła na sześcioro zakładników, żeby w ślad za dowódcą zeszli za kulisę po lewej stronie. Malcolm był przekonany, że dowódca improwizuje i nie planował brania zakładników, ale trzeba było przyznać, że jest energiczny i stanowczy w swoich reakcjach. Jeżeli ktoś miał go powstrzymać, musiał działać szybko. A Malcolm był jedyną osobą, która mogła to zrobić.

W dzieciństwie – wysoki i powszechnie lubiany – rzadko brał udział w bójkach. Podczas nielicznych podwórkowych przepychanek, do których został zmuszony, starał się walczyć uczciwie i przestrzegać zasad. Oakley Street wyleczyła go z tych nawyków. A gdy teraz znalazł się za kulisą, dopisało mu niewiarygodne szczęście. Oakley Street nauczyła go także, co robić z takimi prezentami od losu: bezzwłocznie je wykorzystywać.

Wszedł w gąszcz długich, czarnych kotar, z których – po potrąceniu przez idących – osypywały się obłoki drobnego pyłu. Młody dowódca bojowników, który zastrzelił hodowcę róż, szedł tuż przed nim z rewolwerem w dłoni i właśnie zbierał się do kichnięcia.

Na ten widok Malcolm mocno szarpnął najbliższą z zasłon. Buchnął z niej tuman kurzu, a zasłona na krótką chwilę odgrodziła jego i dowódcę od reszty idących. Dowódca otworzył usta, pokręcił głową i zamrugnął, oslepiony chmurą pyłu, próbując powstrzymać się od kichnięcia. W tej samej chwili Malcolm z całej siły kopnął go w krocze.

Kichnięcie nastąpiło dokładnie w tym samym momencie. Bezradny bojownik wypuścił broń i wydał zdławione stęknięcie. Malcolm doskoczył do niego, złapał go obiema rękami za włosy i mocno pociągnął jego głowę w dół, jednocześnie wymierzając mu cios kolaniem w twarz. Trzymając go dalej jedną dłonią, drugą złapał go za brodę i szarpnął rękami w przeciwnych kierunkach. Rozległ się głośny trzask i dajmon bojownika rozwiął się, zanim ciało zdążyło upaść na podłogę.

– Tędy! – Przyciszony głos Asty zabrzmiał na wysokości ucha Malcolma.

Spojrzał w jej stronę i stwierdził, że przysiadła na drabince: pomalowane na czarno żelazne szczeble zostały wmurowane w ceglana ścianę. Wspiął się po nich bezszelestnie, wstrzymując oddech, mniej więcej na wysokość głowy dorosłego człowieka. Miał ciemne ubranie i trudno byłoby go dostrzec, nawet gdyby ktoś spojrzał we właściwym kierunku. Na dodatek wszędzie dookoła czarne kotary huśtały

się i falowały chaotycznie, gdy bojownicy z zakładnikami niezbornie przedzierali się przez ich płataninę.

Asta tymczasem wspięła się jeszcze wyżej, na wiszący stalowy pomost, przez którego ażurową podłogę obserwowała panujący na dole zamęt. Część idących zatrzymała się, przestraszeni zakładnicy krzyczeli, ciało dowódcy leżało tam, gdzie upadło, częściowo zasłonięte kotarą. Malcolm ruszył dalej, dotarł do pomostu, znieruchomiał i czekał.

– Co teraz? – spytała szeptem Asta.

– Za minutę znajdą ciało i...

Znaleźli je znacznie szybciej: jeden z bojowników potknął się o nie, przewrócił i krzyknął najpierw z zaskoczeniem i irytacją, a zaraz potem – gdy zdał sobie sprawę, co widzi – z najwyższym niepokojem.

Malcolm obserwował reakcje pozostałych. Z początku nikt nie wiedział, co jest przyczyną alarmu – jedni wołali coś pytającym tonem, inni, znajdujący się bliżej, brnęli naprzód wśród otulających ich kotar i sami niemal przewracali się o zwłoki dowódcy i swojego porażonego zgrozą kompana, który w dalszym ciągu leżał nieruchomo tuż obok. Sytuację dodatkowo komplikowała obecność przerażonych i zdezorientowanych zakładników. Dwóch z nich wykorzystało zamieszanie, by zagłębić się w mroczny labirynt kotar za kulisami. Pozostali próbowali się zbliżyć do gromadki, co tylko spotęgowało zamieszanie, przysporzyło przypadkowych zderzeń i okrzyków przerażenia.

– Nie zaplanowali tego zbyt dobrze – zauważyła Asta.

– My też nie.

Bojownicy wdali się w rozpaczliwą kłótnię. Malcolm nie miał co liczyć na to, że wszyscy zakładnicy jakimś cudownym sposobem znajdą się nagle w bezpiecznym miejscu. Faktów nie mógł zmienić. W którymś momencie bojownicy zorientują się, że jedynym potencjalnym zabójcą ich dowódcy jest ten z zakładników, który zniknął bez śladu. Wtedy zaczną go szukać, znajdą drabinkę, podniosą wzrok i go zastrzelą.

Ale przecież pomost ciągnął się w poprzek sali od jednego krańca sceny do drugiego, więc z drugiej strony też musiała być drabinka. Asta przemknęła na drugi koniec, wróciła i potwierdziła przypuszczenia Malcolma: tak, była tam drabinka. Chwilę później zszedł po niej i znalazł się w podobnie podzielonej kotarami przestrzeni na prawo od sceny.

Nagle ogarnęły go wątpliwości. Jednego był pewien: musiał dołożyć starań, żeby nie zginęli niewinni ludzie. Tylko jak najlepiej się do tego zabrać? Mógłby zapewne niepostrzeżenie wymknąć się z teatru, ale czy nie powinien raczej zostać i spróbować ich uratować?

– Idźmy stąd – ponagliła go szeptem Asta. – Nie ryzykujemy bez potrzeby. Nie mamy rady ich powstrzymać, jeśli nie będziemy mogli z nimi porozmawiać, a przecież nie znamy ich języka. Na zewnątrz będziemy bardziej użyteczni. W jaki sposób pomożesz Lyrze, jeżeli teraz tu zginiesz? A oni cię zastrzelą, gdy tylko cię zobaczą. Ruszaj, Mal.

Miała rację. Przeszedł pod tylną ścianę budynku. Gdzieś tu musiały być drzwi... Rzeczywiście, znalazł je. I nie były zamknięte na zamek. Ostrożnie nacisnął klamkę, otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą. Otoczyła go niemal całkowita ciemność, w słabiućkiej poświacie jantarycznej lampy pożarowej ledwie zdołał

wypatrzeć wąskie schody prowadzące na górę. Zanim jednak na nie wszedł, obejrzał się jeszcze na drzwi, które zgodnie z jego przewidywaniami były wyposażone w zasuwę. Rozlegające się wewnątrz odgłosy kłótni narastały, było słychać pokrzykiwania i tupot na scenie, kolejne głosy dobiegały z widowni.

Najciszej, jak się dało, zamknął zasuwę.

Asta przystanąła przy schodach i spojrzała na niego pytająco.

– Nie – odparł. – Tam dalej są drugie drzwi.

Wyminął schody i zagłębił się w krótki korytarz. Niewiele widział, ale szedł pewnym krokiem: oczy Asty łowiły każdy dostępny foton.

Te drzwi wyglądały jak wyjście pożarowe, zamiast klamki naciskało się w nich biegnącą przez całą szerokość poziomą poręcz.

– Narobią hałasu – zauważył. – Chociaż może uda mi się...

Lewa ręka na pionowym ryglu, prawa na poręczy. Znieruchomiał, nastawił ucha, wyłowił odległe odgłosy zamieszania – były to jednak w dalszym ciągu głosy, nie strzały. Delikatnie nacisnął poręcz i poczuł, jak rygiel przesuwają się pod jego drugą dłoń.

Z ciemności po drugiej stronie powiało zimnem, zapachniało farbą, terpentyną i klejem. Odniósł wrażenie, że znalazł się w ogromnej, wysoko sklepionej przestrzeni.

– Pracownia scenograficzna – domyśliła się Asta.

– W takim razie musi tu być wejście z zewnątrz, dla dostawców. Duże drzwi. Widzisz coś takiego?

– Tuż przed tobą jest stół, warsztat roboczy... w lewo, troszeczkę w lewo... o, tutaj. Teraz idź prosto... jeszcze pięć kroków... Jesteś przy tylnej ścianie.

Namacał ścianę, przesunął się wzdłuż niej w prawo i niemal od razu poczuł pod palcami stalową roletę zamykającą duże wrota, a chwilę potem, tuż obok, zwyczajne drzwi. Niestety, zamknięte.

– Na gwoździu przy drzwiach wisi klucz – poinformowała go Asta.

Klucz pasował do zamka i po chwili znaleźli się na zewnątrz budynku, na małym podwórczku wychodzącym na biegnący obok zaułek. Malcolm nadstawił ucha, ale dobiegły go tylko zwyczajne odgłosy wielkiego miasta. Nie działo się nic niezwykłego – nie wyły syreny policyjne, tłumy nie uciekały z teatru, nikt nie strzelał, nikt nie krzyczał.

Wyszli z zaułka, skręcili w prawo i znaleźli się przed wejściem do teatru.

– Na razie wszystko gra – powiedziała Asta.

Puste foyer tonęło w powodzi światła; Malcolm domyślił się, że obsługa uciekła w panice. Wszedł do środka i znów wyteżył słuch. Asta wbiegła na schody prowadzące na pierwszy balkon. Z widowni dobiegał dźwięk przemieszanych podniesionych głosów, które jednak nie brzmiały gniewnie, błagalnie ani oskarżycielsko. Miało się raczej wrażenie, że obradująca w sali liczna komisja dyskutuje nad jednym z punktów porządku obrad.

Upłynęła minuta i Malcolm zamierzał wejść dalej w głąb teatru, gdy nagle na schodach zamajaczył drobny cień i Asta wskoczyła na ladę w okienku kasowym.

– Nie rozumiem – powiedziała półgłosem. – Ci z karabinami stoją na scenie i spierają się z ludźmi z widowni, głównie pewnie hodowcami, chociaż trudno mieć pewność, zresztą są wśród nich także kobiety. Ktoś przyrzucił dywanikiem ciało zabitego hodowcy, przynieśli też na scenę zwłoki dowódcy i ktoś inny zerwał kotarę,

żeby je również przykryć.

– A co robią ludzie na widowni?

– Nie widziałam za dobrze, ale większość siedzi na swoich miejscach i słucha.

Aha, widziałam też Bryana! Na scenie. Wygląda, jakby robił notatki.

– Nikt nikomu nie grozi? Nikt nie wymachuje bronią?

– Tamci cały czas mają broń, ale do nikogo nie celują.

– Waham się... Może powinienem wrócić?

– Niby po co?

W tych okolicznościach było to bardzo dobre pytanie. Niewiele mógł zrobić.

– W takim razie wracamy do Calviego – powiedział.

W barze Calviego spotkali się z Bryanem wcześniej tego wieczora.

– Niegłupi pomysł – przyznała Asta.

Pół godziny później Malcolm siedział przy stoliku z kieliszkiem wina i talerzem jagnięciny z grilla, gdy – jakby się umówili – do restauracji wszedł Parker. Przysiadł się do Malcolma i skinął na kelnera.

– Co tam się wydarzyło? – zagadnął Malcolm.

– Byli potwornie skonsternowani. Wygonili zakładników z powrotem na scenę. Zorientowaliśmy się, że coś poszło niezgodnie z planem, ale oczywiście nie mieliśmy pojęcia, co dokładnie się wydarzyło. – Parker odwrócił się do kelnera. – Dla mnie to samo, co dla tego pana – powiedział.

Kelner skinął głową i odszedł.

– Co było dalej?

– Dopisało nam szczęście: okazało się, że na widowni jest Enver Demirel. Kojarzysz go? Nie? Konserwatywny polityk, deputowany do parlamentu regionalnego, młody, bardzo inteligentny. Wstał i zabrał głos. Wymagało to sporej odwagi, bo bojownicy byli mocno wystraszeni i spięci, ale zgłosił się do roli moderatora dyskusji, w której mogliby wziąć udział wszyscy zainteresowani. Dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie, że gdzieś po drodze stracili dowódcę, który wcześniej, kiedy przemawiał, nie wyglądał na gościa skłonnego do rozmów. W każdym razie przystali na propozycję Demirela i muszę przyznać, że o ile nigdy go specjalnie nie cenilem, o tyle teraz spisał się na medal. Uspokoił sytuację, wyjaśnił wszystko widzom i w końcu dowiedzieliśmy się, co tak wystraszyło bojowników: ich dowódca został zabity, nikt nie widział, jak do tego doszło, a zabójca zniknął.

– Niesamowite.

– Wtedy właśnie postanowiłem się włączyć w całą sprawę. Zapowiadał się świetny materiał na artykuł. Zgłosiłem się na protokolanta. Demirel mnie rozpoznał i wymógł na tamtych, żeby się zgodzili. I tak po trochu rozładował sytuację i od gróźb przeszliśmy do rozmów.

– Bardzo sprytnie.

– To jeszcze nie koniec. Największą zagadką pozostawało to, kto zabił dowódcę. Znaleźli go z przetrąconym karkiem za kulisami. Przewrócił się? Ktoś go napadł? A jeśli tak, to kto? Kandydata na mordercę nie było, zakładnicy byli nie mniej

przerażeni od bojowników. I wtedy właśnie Demirel podsunął ideę sprawiedliwości bożej, a właściwie, i chcę, żebyś to dobrze zrozumiał, podchwycił pomysł wyrażony mimochodem przez jednego z zakładników i umiejętnie zaczął go podsycać. Niczego nie dodawał od siebie, tylko czekał, aż koncepcja sama dojrzeje i rozkwitnie. Dowódca zastrzelił hodowcę róż. Pomsta nastąpiła tak szybko, że naprawdę mogła mieć charakter nadprzyrodzony.

– To niewykluczone.

– Wtedy ktoś zapytał, czy zakładnicy są w komplecie. Odkryło się liczenie, długie i skomplikowane tak-on-był, nie-on-nie-był, on-też, ona-nie i ostatecznie wszyscy się zgodzili, że z braku innych wyjaśnień należy pogodzić się z faktem, iż wśród zakładników znalazł się anioł zemsty, który ukarał dowódcę za zastrzelenie hodowcy, po czym się ulotnił. Najprawdopodobniej wrócił do nieba.

– Niewątpliwie.

– Albo do Calviego.

– To mało prawdopodobne – odparł Malcolm beznamiętnie.

Kelner przyniósł zamówione przez Parkera jedzenie. Malcolm poprosił go o drugą butelkę wina.

– Tak czy inaczej – podjął Parker – Demirel przekonał ich, żeby złożyli całą broń w jego ręce, w zamian za co będą mogli dyskretnie opuścić teatr i zniknąć. Przedyskutowali to, zgodzili się i zrobili, jak powiedział. Muszę przyznać, że całkowicie zmieniłem opinię na temat tego faceta. Rozegrał to po mistrzowsku. W skomplikowanej sytuacji udało mu się zupełnie zmienić panujące na sali nastroje, przejść od zapiekłej wrogości do zdrowego rozsądku, a wtedy dla wszystkich stało się oczywiste, że rezygnacja z ukarania bojowników i puszczenie ich wolno będą lepsze niż jatka w teatrze. Wszyscy byli zadowoleni. Wszyscy poza tym nieszczęsnym zastrzelonym hodowcą róż, naturalnie.

– W rzeczy samej. Posłuchaj, Bryanie... Ten ich dowódca użył takiego zwrotu: „bractwo świętego zamierzenia”. Słyszałeś go kiedyś?

Parker pokręcił przecząco głową.

– Nie, to był pierwszy raz. Czemu pytasz? Brzmi to jak jeden z wielu sloganów skrojonych w sam raz dla takich fanatyków.

– I pewnie tak właśnie jest. W każdym razie udało ci się dotrzymać obietnicy.

– Jakiej obietnicy?

– Że pokażesz mi coś interesującego. Jeszcze wina?

27

Café Antalya

Popołudnie miało się ku końcowi. Słońce zdążyło już schować się za górami i szybko robiło się coraz chłodniej. Nie było czasu do stracenia, Lyra musiała znaleźć jakiś nocleg. Skierowała się do centrum, weszła pomiędzy budynki mieszkalne, biurowce, gmachy banków i ministerstw. Niedługo potem dzień zgasł do reszty i jedynymi źródłami światła były latarnie naftowe pozawieszane przed sklepami oraz jaśniejsze od nich lampy gazowe, których blask sączył się z okien i otwartych drzwi. W powietrzu zapachniało grillowanym mięsem i grochem, z przyprawami i nagle Lyra zdała sobie sprawę, że jest głodna. W pierwszym hoteliku odprawiono ją z kwitkiem – malująca się na twarzy recepcjonistki przesadna zgroza nie pozostawiała wątpliwości co do przyczyn odmowy. W drugiej sytuacji wyglądała podobnie, choć tutaj odmowie towarzyszyły wylewne przeprosiny i wyrazy żalu. To były małe, rodzinne pensjonaty przy cichych uliczkach, nie skrzące się światłem pałace, w których zatrzymywali się mężowie stanu, plutokraci i zamożni turyści. Lyrze przyszło do głowy, że może w którymś z takich luksusowych hoteli miałaby więcej szczęścia, ale wzdrygnęła się na myśl o tak okazałym wydatku.

Trzeci hotel okazał się bardziej gościnny – a to dlatego, że jego personel po prostu mniej interesował się gośćmi. Młoda kobieta w recepcji z całkowitą obojętnością popatrzyła, jak Lyra wpisuje się do książki meldunkowej i odbiera klucz, po czym natychmiast wróciła do przeglądania jakiegoś pisemka ilustrowanego. Tylko jej dajmon-pies wyglądał na przejętego, skamlał cicho i schował się za krzesłem, gdy Lyra przechodziła obok niego.

Pokój był mały, obskurny i zbyt mocno ogrzewany, ale przynajmniej światło działało, łóżko było czyste, a nieduży balkonik wychodził na ulicę. Lyra stwierdziła, że może tak usadowić się na krześle, żeby znajdować się częściowo w pokoju, a częściowo na balkonie i mieć widok na ulicę w obie strony.

Zamknęła pokój na klucz i wyszła na krótkie zakupy, z których przyniosła porcję grillowanego mięsa, paprykę i chleb w torbie z impregnowanego papieru oraz butelkę oranżady o wściekle pomarańczowej barwie. Usiadła na krześle, żeby zjeść i się napić. Żyłaste mięso i obrzydliwie słodki napój nie sprawiły jej szczególnej przyjemności, ale pocieszała się smętnie, że przynajmniej trochę się wzmocni.

Ulica pod balkonem była wąska, ale czysta i jasno oświetlona. Naprzeciwko hotelu znajdowała się kawiarnia, której ogródek świecił

puszkami, za to w jasno rozświetlonym wnętrzu panował tłok. W sklepach na lewo i prawo od kawiarni sprzedawano artykuły metalowe, buty, gazety, ziele fajowe, tanie ubrania i słodczyce. Panował w nich spory ruch i wyglądało na to, że pozostaną otwarte do późna. Ludzie snuli się niespiesznie, rozmawiali ze znajomymi, siedzieli po kilkoro przy fajce wodnej, targowali się ze sklepikarzami.

Lyra przyniosła sobie koc z łóżka, zgasiła światło i usadowiła się wygodnie, żeby popatrzeć. Chciała oglądać ludzi i ich dajmony, napawać się ich kompletnością. Krępy, niski mężczyzna, łysy, z wąsem, w obszernej niebieskiej koszuli, stał w drzwiach swojego sklepu i ruszał się z miejsca tylko po to, żeby usunąć się z drogi klientom. Jego dajmon miał postać małpy, która trzymała w łapkach torebkę orzeszków ziemnych i wesołym, tubalnym głosem zagadywała zarówno samego sklepikarza, jak i wszystkich znajomych, którzy przystanęli, żeby chwilę pogawędzić. A znajomych mieli mnóstwo. Innym stałym elementem krajobrazu był żebrak siedzący na chodniku: trzymał na kolanach coś w rodzaju lutni, na której od czasu do czasu wygrywał kilka nut jakiejś rzewnej melodii, by za chwilę urwać w pół taktu i prosić o jałmużnę. Kolejnym była kobieta w czarnej chuście na głowie, która wdała się w długą rozmowę z dwiema przyjaciółkami. W tym czasie ich dzieci klóciły się i podkradały łakocie ze straganu za ich plecami.

Lyra patrzyła, jak to robią. Ich dajmony obserwowały kramarza, udając, że wcale się nim nie interesują, po czym w dogodnym momencie – gdy na chwilę się odwrócił – dawały znak dzieciom, które atakowały wtedy szybko niczym węże. Ich matki doskonale zdawały sobie z tego sprawę i nie przerywając rozmowy, przyjmowały podsuwane przez dzieci smakołyki.

Od czasu do czasu uliczką przechodzili dwaj policjanci: z bronią u pasa i hełmami nasuniętymi nisko na oczy obserwowali wszystko i wszystkich. Ludzie starali się nie patrzeć im w oczy. Dajmony policjantów – duże, silne psy – deptały im po piętach.

Lyra wróciła myślami do historii księżnej. Zastanawiała się, jak nazywała się tancerka i czy w archiwum którejś z wychodzących w Lewancie gazet dałoby się znaleźć jej zdjęcie. Co właściwie działo się z człowiekiem, kiedy się zakochiwał? Nasłuchiwała się dość o kłopotach sercowych przyjaciółek, żeby wiedzieć, że obecność dajmonów z początku komplikuje sprawę, ale gdy iskra przeskoczy, pomaga wzmocnić uczucie. Zdarzało się, że dziewczynie podobał się ten czy inny chłopak, a ich dajmony zachowywały się wobec siebie obojętnie lub nawet wrogo. Bywało też odwrotnie: dajmony odczuwały gwałtowny pociąg do siebie nawzajem, a ich ludzie za sobą nie przepadali. Opowieść księżnej odsłaniała trzecią możliwość. Czy jednak naprawdę było możliwe, jak twierdziła stara dama, żeby udawanie miłości przerodziło się z czasem w miłość prawdziwą?

Otuliła się kocem i znów spojrzała z góry na ulicę. Krępy mężczyzna w niebieskiej koszuli palił krótkie cygaro, od czasu do czasu podsuwając je siedzącej mu na ramieniu małpce, i prowadził ożywioną rozmowę z dwoma mężczyznami, których dajmony podjadały orzeszki z torebki: rozgryzały łupiny i wyrzucały je do rynsztoka. Lutnista podchwycił inną melodię i tym

razem udało mu się nawet zwabić publiczność: dwoje dzieci wpatrywało się w niego szeroko otwartymi oczami, trzymając się za rączki; chłopiec i jego dajmon kiwali głowami w przybliżeniu w rytm muzyki. Kobiety z kradnącymi słodycze dziećmi poszły sobie, a kramarz był zajęty zwijaniem kłęбка czerwono-brunatnego toffi.

Lyra siedziała tak i obserwowała życie ulicy i stopniowo jej nastrój zaczął się poprawiać. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że coś ją niepokoi, ale to dlatego, że niepokój był wszędzie, wisiał w powietrzu, tkwił wbudowany w składające się na świat molekuly – takie przynajmniej miała wrażenie. Teraz jednak rozplątywał się, znikał jak ciężkie szare chmury, które rzędą, rozpraszają się i z potężnych wałów oparu rozsnuwają się na niewidzialne pasemka, aż odsłonią pogodne niebo. Czuła się pełna, kompletna, połączona z nieobecny Pantalaimonem, lekka i wolna.

Na pewno przydarzyło mu się coś dobrego, pomyślała.

W następnej chwili złapała się na tym, że myśli o różach i Prochu. Ulica przed hotelem była cała przesycona Prochem. To ludzkie żywoty go tworzyły, same zaś były przezeń podtrzymywane i wzbogacane. Wszystko lśniło od Prochu jak muśnięte złotem. Prawie, prawie go widziała. Emanował odczuciem, którego nie doświadczała od tak dawna, że stało jej się obce, i teraz powitała je z lekką obawą: przenikającym całą rzeczywistość spokojnym przeświadczeniem, że wszystko jest w porządku i że ten świat jest jej prawdziwym domem, tak jakby istniały w nim jakieś wielkie, sekretne moce, które zadbają o jej bezpieczeństwo.

Przesiedziała tak godzinę, nieświadoma upływu czasu, czerpiąc siłę z tego nowego doświadczenia, po czym położyła się do łóżka i natychmiast zasnęła.

Pantalaimon zmierzał na południe. Oraz na wschód. Tylko tyle potrafił powiedzieć. O ile było to możliwe, trzymał się blisko wody: rzeki, jeziora albo morza, bez różnicy – byle tylko w razie potrzeby móc zanurkować i odpłynąć. Unikał wsi i miast, a w miarę jak przemierzał coraz bardziej obcy i coraz dziksz kraj, czuł, że sam z wolna dziczeje, jakby naprawdę był kuną, a nie istotą ludzką.

Był jednak człowiekiem, a przynajmniej częścią człowieka, i czuł się podobnie jak Lyra: nieszczęśliwy, dręczony wyrzutami sumienia i beznadziejnie samotny. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek spotka Lyre, wybiegnie jej na spotkanie, a ona (tak to sobie wyobrażał) schyli się, żeby go przywitać z otwartymi ramionami, po czym przysięgną sobie nawzajem wieczną miłość i obiecają nigdy więcej się nie rozdzielać, i wszystko znów będzie jak dawniej. Zarazem wiedział jednak, że nic już nie będzie jak dawniej, tyle że musiał mieć coś, czego mógłby się ucześcić w ciemne, samotne noce, a nie zostało mu nic prócz wyobrażeń.

Kiedy w końcu ją zobaczył, było gorące popołudnie. Siedziała w cieniu drzewka oliwnego i wyglądała, jakby spała. Serce zabiło mu żywiej, popędził wielkimi susami w jej stronę...

Oczywiście to nie była Lira, lecz dziewczyna kilka lat od niej młodsza, mniej więcej szesnastoletnia, z chustą na włosach, ubrana w przypadkowe fatalaszki, które pierwotnie nie należały raczej do niej, bo stanowiły mieszankę elegancji z tandetą, nowości ze starociami, rzeczy przydużych z za małymi. Była wyczerpana, brudna i sprawiała wrażenie głodnej. Musiała płakać, zanim zasnęła, może nawet płakała przez sen, bo łyzy na jej policzkach jeszcze nie obeschły. Sądząc po wyglądzie, mogła pochodzić z północnej Afryki.

I nie miała dajmona.

Pan ostrożnie, dyskretnie rozejrzał się dookoła, obejrzał dziewczynę ze wszystkich stron, ale nie mylił się: naprawdę była sama. Żaden dajmon, nawet w ciele najdrobniejszej myszy, nie chował się w pobliżu, nie zwinął się w kłębek obok jej głowy, nie leżał na przykurzonym mchu.

W takim razie dziewczyna była w niebezpieczeństwie. Pan bezszelestnie wskoczył na drzewko nad jej głową i wspiął się na samą górę, skąd sięgał wzrokiem daleko we wszystkich kierunkach: błękitny połysk morza, niemal idealna biel skał górskiego zbocza, na którym rosło drzewko, sucha zieleń trawy skubanej przez gromadkę chuderlawych owiec...

Były owce, czyli gdzieś w pobliżu mógł być i pasterz, ale Pan nikogo nie widział. On i śpiąca dziewczyna byli jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku. No cóż, zaopiekuje się nią i będzie udawał jej dajmona. Przynajmniej będzie bezpieczna od podejrzeń.

Zszedł z drzewa, ułożył się przy jej nogach i zasnął.

Niedługo potem dziewczyna się obudziła – powoli, niechętnie, trąc oczy. Po czym na widok Pantalaimona skoczyła na równe nogi i zaczęła się cofać.

Powiedziała coś, ale jej nie zrozumiał. Na pewno zorientowała się, że jest dajmonem i z przerażeniem rozglądała się w poszukiwaniu jego człowieka.

Wstał i ukłonił się na powitanie.

– Jestem Pantalaimon – powiedział, artykułując wyraźnie każdą zgłoskę.
– Mówisz po angielsku?

Zrozumiała. Jeszcze raz rozejrzała się dookoła szeroko otwartymi oczami, senna i nieruchoma, jakby wciąż śniła.

– Gdzie twoja...

– Nie wiem. Szukam jej, a ona zapewne szuka mnie. Gdzie jest twój dajmon?

– Rozbiliśmy się. Nasza łódź poszła na dno. Myślałam, że mój dajmon utonął, ale to niemożliwe, bo przecież ja nadal żyję, ale nie mogę go nigdzie znaleźć. Jak powiedziałaś, że masz na imię?

– Pantalaimon. A ty?

– Nur Huda el-Wahabi. – Kręciło jej się w głowie ze zmęczenia. Powoli usiadła na ziemi. – Strasznie to dziwne.

– To prawda. Ja po prostu miałem więcej czasu, żeby się przyzwyczaić. Rozdzieliliśmy się... No, nie pamiętam, kiedy dokładnie, ale mam wrażenie, że okropnie dawno. Kiedy wasza łódź zatonała?

– Dwie noce temu... nie, trzy... Nie wiem. Moja rodzina, mama, babcia, młodsza siostra, płynęliśmy łodzią, to była mała łódź, wszystko przez ludzi z gór... I taki wielki statek nas staranował. Wszyscy wpadliśmy do wody, wszyscy. Marynarze z tego wielkiego statku próbowali nas ratować, ale niektórych z nas prąd poniosł w dal. Wołałam i wołałam, aż mnie gardło rozboleło, nigdzie nie było mojego dajmona, okropnie się bałam, wszystko sprawiało mi ból, po ciemku nie widziałam nikogo i niczego i byłam pewna, że utonę i że wtedy Dżamal też umrze, gdziekolwiek był, i to była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek czułam w życiu. Potem wzeszło słońce i zobaczyłam góry, więc spróbowałam płynąć w ich kierunku i w końcu dotarłam na plażę, wyczołgałam się na piasek i zasnęłam. Kiedy się obudziłam, musiałam się ukryć przed ludźmi, żeby nie... No wiesz.

– Wiem. To zrozumiałe. Lyra pewnie robi tak samo.

– Ma na imię Lyra? Musiałam ukraść ubrania. I jedzenie. Jestem okropnie głodna.

– Skąd tak dobrze znasz angielski?

– Mój ojciec jest dyplomata. Kiedy byłam młodsza, mieszkaliśmy przez pewien czas w Londynie. Potem został wysłany do Bagdadu. Byliśmy bezpieczni, dopóki nie przyszli ludzie z gór. Mnóstwo mieszkańców wtedy uciekło, ale mój ojciec musiał zostać i tylko nas odesłał.

– Kim są ci ludzie z gór?

– Nikt tego nie wie. Po prostu przychodzą z gór i... – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Ludzie próbują przed nimi uciekać. Płyną do Europy, ale dokąd dokładnie... Nie wiem. Chce mi się płakać, ale wypłakałam już wszystkie łzy. Nie wiem, czy mama żyje, ani tato, ani Aisza, ani Dżida...

– Wiesz przynajmniej, że twój dajmon żyje.

– To prawda. Gdzieś żyje.

– Może uda nam się go znaleźć. Słyszałaś o Błękitnym Hotelu? Al-Chan al-Azraq?

– Nie. Co to takiego?

– To miejsce, do którego udają się dajmony. Dajmony bez ludzi. Ja też się tam wybieram.

– Dlaczego tam idziesz, jeśli twój człowiek jest gdzie indziej?

– Nie wiem, dokąd jeszcze mógłbym pójść. Ale twój dajmon może tam być.

– Jak powiedziałaś, Błękitny Chan?

– Al-Chan al-Azraq. Wydaje mi się, że ludzie boją się tego miejsca.

– To mogłoby być Księżycowe Miasto. Albo może Miasto Księżyca. Nie wiem, jak to powinno być po angielsku.

– Wiesz, gdzie to jest? – spytał podekscytowany Pantalaimon.

– Nie. Gdzieś na pustyni. Kiedy chodziłam do szkoły w Bagdadzie, dzieci rozmawiały czasem o takim miejscu, w którym można spotkać nocne zjawy, ghule, ludzi bez głów i inne okropieństwa. Bałam się, ale potem pomyślałam, że takie miejsce to pewnie wcale nie istnieje. A ty mówisz, że istnieje, tak?

– Nie wiem. Ale zamierzam je znaleźć.

– I naprawdę uważasz, że mój dajmon może tam być?

Przypominała Panowi Lyrę sprzed kilku lat, zanim popadli w konflikt: ochocza, ciekawa wszystkiego, serdeczna, jeszcze na wpół będąca dzieckiem, choć już kładł się na niej cień cierpienia.

– Tak – odparł. – Naprawdę tak uważam.

– Czy mogłabym...

– Może byśmy...

Oboje przemówili jednocześnie... i jednocześnie urwali w pół zdania.

– Moglibyśmy udać się tam razem – zaproponował Pan. – Udawałbym twójego dajmona. Nikt by się nie zorientował, gdybyśmy zachowywali się naturalnie.

– Naprawdę?

– Mnie też by to pomogło, nawet bardzo. Naprawdę.

Gdzieś na zboczu poniżej nich ktoś zagrał na fujarce. Odpowiedziało mu wysokie, melodyjne dźwięczenie dzwonek, gdy owce zareagowały na wezwanie.

– Dobrze – powiedziała Nur Huda. – Zróbmy tak.

Rankiem poczucie wieczornego spokoju i bezpieczeństwa było niczym wspomnienie snu po przebudzeniu: niepełne, ulotne, ale wciąż silne. Lyrą miała nadzieję zachować je na dłużej i w razie potrzeby czerpać zeń siłę.

Zapowiadał się ciepły dzień. Bliskość nadchodzącej wiosny z niewiadomych przyczyn przypomniała jej o jednym z dokumentów znalezionych w portfelu zamordowanego doktora Hassalla: ulotce reklamowej linii żeglugowej z wykazem portów odwiedzanych podczas rejsu Zenobią. Jednym z nich była Smyrna, a przy dacie planowanego przybycia do miasta odręcznie dopisano słowa „Café Antalya, plac Sulejmana, godz. 11.00”. Do tego dnia pozostawało jeszcze kilka tygodni, ale nie zaszkodzi się przejść, obejrzeć Café Antalya, może zjeść tam śniadanie.

Zaczęła od zakupu nowego ubrania: kwiecistej spódnicy, białej bluzki i bielizny. Pomna wymogów etykiety targowała się tak długo, aż cena osiągnęła rozsądny – jej zdaniem – poziom. Sprzedawcą był znany jej z widzenia mężczyzna w niebieskiej koszuli. Jemu samemu było zupełnie obojętne, że klientka nie ma dajmona, za to jego dajmon na jej widok czmychnął na najwyższą półkę. Lyrą zachowywała się jednak tak spokojnie i rzeczowo, że małpka pozostała jedynie lekko zbita z tropu.

Po powrocie do hotelu umyła włosy i z grubsza osuszyła je ręcznikiem, nie próbując ich czesać i układać. Przebrała się w nowe ubranie, opłaciła rachunek w recepcji i ruszyła na poszukiwanie placu Sulejmana.

Powietrze było rześkie i przejrzyste. Kupiła plan centrum miasta i przeszła mniej więcej pół mili dzielące ją od placu obsadzonego drzewami, które właśnie zaczynały się okrywać liśćmi. Na placu wznosił się pomnik tureckiego generała obficie udekorowanego medalami.

Café Antalya okazała się cichym, staroświeckim lokalem z ciemną boazerią i białymi obrusami. W powietrzu unosiła się atmosfera

staroświeckiego męskiego ceremoniału i stylu i samotna młoda kobieta, w dodatku bez dajmona, mogłaby być w takim miejscu niemile widziana, ale starszawy kelner zaprowadził ją do stolika uprzejmie i z atencją. Zamówiła kawę i ciasteczka i zaczęła popatrywać na innych klientów: jacyś biznesmeni, ojciec i matka z małymi dziećmi, dwóch starszych, pedantycznie wystrojonych jegomościów, jeden z nich w fezie na głowie. Był jeszcze jeden mężczyzna, który siedział sam i z zapalem zapisywał coś w notatniku.

Czekając na kawę, postanowiła zabawić się w grę rodem z Oakley Street i obserwowała samotnika, nie patrząc na niego wprost. Miał jasny lniany garnitur, niebieską koszulę, zielony krawat i panamę, którą położył na sąsiednim krześle. Był jasnowłosy, szczupły, silny i sprawiał wrażenie człowieka, który prowadzi aktywny tryb życia. Mógł mieć pod pięćdziesiątkę, może nieco więcej. Wyglądał na dziennikarza.

Kelner przyniósł kawę, talerzyk wymyślnych ciasteczek i karafkę z wodą.

Pan pewnie odradzałby mi zjedzenie więcej niż jednego naraz, pomyślała.

Siedzący w głębi dziennikarz właśnie zamykał notes. Nie patrząc w jego stronę, wiedziała, że jego dajmon – mała biała sowa o wielkich czarnych oczach w żółtych obwódkach – ją obserwuje. Napila się kawy, która była diabelnie gorąca i słodka. Dziennikarz wstał, nałożył kapelusz i ruszył w jej stronę, kierując się do wyjścia. Przed jej stolikiem zatrzymał się jednak, uchylił kapelusza i zagadnął półgłosem:

– Panna Lyra Belacqua?

Zdumiona podniosła głowę. Siedząca na ramieniu dziennikarza sówka piorunowała ją wzrokiem, ale jego twarz miała przyjazny wyraz lekkiej konsternacji, zainteresowania, odrobiny zatroskania, a nade wszystko zaskoczenia. Mówił z akcentem z Nowej Danii.

– Kim pan jest? – zapytała Lyra.

– Nazywam się Schlesinger, Bud Schlesinger. Gdybym wypowiedział słowa „Oakley Street”...

W uszach Lyry zabrzmiał głos ojczulka Corama, który w zaciszu swojej ciepłej, schludnej łodzi udzielał jej wskazówek.

– Gdyby je pan wypowiedział – odparła – musiałabym zapytać: „Gdzie jest Oakley Street?”.

– „Oakley Street nie znajduje się w Chelsea”.

– „To poniekąd prawda”.

– „Poniekąd sięga aż do Tamizy”.

– „Tak słyszałam”... Panie Schlesinger, co tu jest grane, do licha?!

Rozmawiali bardzo przyciszonymi głosami.

– Pozwoli pani, że się na chwilę przysiądę?

– Bardzo proszę.

Schlesinger miał swobodny, nieoficjalny, przyjacielski sposób bycia. Wyglądało na to, że przypadkowe spotkanie zaskoczyło go nawet bardziej niż Lyre.

– Co...

– Jak...

Odezwali się jednocześnie, ale wciąż jeszcze byli zbyt zaskoczeni, żeby

się roześmiać.

– Pan pierwszy.

– Belacqua czy Złotousta?

– Dawniej Belacqua. Obecnie używam tego drugiego nazwiska, wśród przyjaciół, ale... Nieważne, to zbyt skomplikowane. Skąd pan mnie zna?

– Grozi pani niebezpieczeństwo. Od ponad tygodnia pani szukam. Agenci Oakley Street dostali polecenie, żeby pilnie ustalić miejsce pani pobytu po tym, jak Rada Najwyższa Magisterium... Słyszała pani o zmianach w ich statucie? Rada kazała panią aresztować. Wiedziała pani o tym?

Zakręciło jej się w głowie.

– Nie – odparła – pierwsze słyszę.

– Ostatnie wiadomości na pani temat mieliśmy z Buda-Pesthu: ktoś tam panią widział, ale nie zdołał nawiązać kontaktu. Następna informacja była z Konstantynopola, ale tam z kolei nawet nie udało się potwierdzić pani tożsamości.

– Staralam się nie zostawiać śladów. Kiedy... dlaczego... za co Magisterium chce mnie aresztować?

– Za bluźnierstwo. Między innymi.

– Ale bluźnierstwo nie jest sprzeczne z prawem...

– W Brytonii jeszcze nie. Na razie. Zresztą nie podano tego polecenia do publicznej wiadomości, nie wyznaczono oficjalnie ceny za pani głowę, nic z tych rzeczy. Rada dała dyskretnie do zrozumienia, że aresztowanie pani byłoby mile widziane przez Absolut. A w obecnej sytuacji taka sugestia w zupełności wystarczy.

– Jak mnie pan rozpoznał?

Schlesinger wyjął notatnik, a z niego zdjęcie przedstawiające w powiększeniu twarz Lyry wykadrowaną z grupowego fotogramu nowych studentek przyjętych do Kolegium Świętej Zofii.

– Krążą setki takich odbitek – wyjaśnił – powiązanych z nazwiskiem Belacqua. Można powiedzieć, że pani wypatrywałem, chociaż nie dlatego, że spodziewałem się spotkać panią w Smyrnie. Po prostu znam się z Malcolmem Polsteadem i...

– Zna pan Malcolma? Skąd?

– Doktoryzowałem się w Oksfordzie... ech, kiedy to było... ze dwadzieścia lat temu? Mniej więcej w tym okresie, kiedy była ta wielka powódź. Wtedy się pierwszy raz spotkaliśmy, chociaż oczywiście Malcolm był jeszcze dzieckiem.

– Wie pan, gdzie jest teraz?

– Znaczący, w tej chwili? Nie wiem. Ale napisał do mnie niedawno i załączył list adresowany do pani na nazwisko Złotousta. Trzymam go w sejfie w swoim mieszkaniu. Malcolm kazał mi pani wyczekiwać.

– List, powiada pan... Mieszka pan gdzieś w pobliżu?

– Niedaleko. Za chwilę po niego pójdziemy. Wygląda na to, że Malcolm zmierza na wschód. Kroci się jakaś poważna operacja w Azji Środkowej, tyle mi napisał... Ale raporty od naszych ludzi na miejscu zdają się to potwierdzać.

- To prawda i ja chyba wiem, o co chodzi. W Sin Kiangu, niedaleko Łob-nor, jest takie miejsce, które jest... niedostępne dla dajmonów.
- Tunguska – wtrąciła sowa Schlesingera.
- Takie jak Tunguska – zgodziła się Lyra – tylko na południu.
- Tunguska? – powtórzył Schlesinger. – Tam, gdzie udają się wiedźmy?
- Tak, ale to nie jest to samo miejsce, tylko podobne.
- Trudno nie zauważyć...
- Wiem. Każdy zwraca na to uwagę.
- Przykro mi.
- Niepotrzebnie. Zwłaszcza że te sprawy się wiążą. Potrafię robić to samo, co wiedźmy: rozdzielać się z dajmonem. Tyle że w pewnym momencie mój dajmon zniknął bez śladu i zanim zajmę się czymś innym, najpierw muszę go znaleźć. Dlatego udaję się do miejsca nazywanego Błękitnym Hotelem. Albo czasami Miastem Księżycy, Madinat al-Qamar.
- Brzmi znajomo. Co to?
- Taka tam historia albo po prostu bajka, jakich wiele wędrowcy opowiadają sobie przy ognisku. Podobno istnieje zrujnowane miasto zamieszkane przez dajmony. Może to bzdura, a może nie. Tak czy inaczej, muszę spróbować.
- Bądź ostrożna – przestrzegł ją sowa dajmon.
- Nie wiem, co o tym myśleć – przyznała Lyra. – Może mieszkają tam duchy, a nie dajmony? Nawet nie wiem, gdzie dokładnie leży. – Podsunęła Schlesingerowi talerz z ciasteczkami. Poczęstował się. – Panie Schlesinger, gdyby chciał się pan wyprawić Jedwabnym Szlakiem do Sin Kiangu, nad Łob-nor, jak by się pan zabrał do rzeczy?
- Koniecznie chce pani podróżować Jedwabnym Szlakiem zamiast, powiedzmy, koleją do Moskwy i dalej przez Syberię?
- Tak, zależy mi na tym. Mam nadzieję, że po drodze uda mi się usłyszeć wiele nowin, plotek, opowieści, informacji.
- Co racja, to racja. W takim razie najlepiej będzie zacząć w Aleppo. To zachodni przystanek końcowy, jeśli można tak powiedzieć, jednego z głównych traktów Jedwabnego Szlaku. Dołączy tam pani do jakiejś karawany i pojedzie z nią tak daleko, jak zechcą panią zabrać. Polecę pani odpowiedniego człowieka.
- Kto to taki?
- Nazywa się bej Mustafa i jest kupcem. „Bej” to tytuł grzecznościowy. Sam już rzadko podróżuje, ale inwestuje w rozmaite przedsięwzięcia, wyprawy, karawany, miasta i fabryki na całym Jedwabnym Szlaku. To nie jest pojedynczy trakt, o czym pewnie zresztą już pani wie, tylko cały pęk ścieżek, gościńców i dróg; jedne okrążają pustynię albo góry od południa, inne biegną na północ od nich... Wyboru drogi dokonuje szef karawany.
- Czy ten bej Mustafa nie będzie wobec mnie podejrzliwy? Ze względu na to, jaka jestem?
- Nie sędzę. Słabo go znam, ale wydaje mi się, że interesują go wyłącznie pieniądze. Jeżeli będzie pani chciała dołączyć do jednej z jego karawan, wystarczy mu zapłacić.

– Gdzie go znajdzie? Jest znaną postacią w Aleppo?

– Nawet bardzo. Najprędzej znajdzie go pani w kawiarni Marletto, bywa tam co rano.

– Dziękuję, będę o tym pamiętać. A wie pan, dlaczego dzisiaj tu przyszedłam?

– Nie, nie wiem. Dlaczego?

Lyra opowiedziała Schlesingerowi o ulotce linii żeglugowej i adnotacji dotyczącej spotkania w Café Antalya.

– Znalezione ją przy zwłokach mężczyzny, który dopiero co przybył do Oksfordu z Taszbułaku, miejsca, którym Oakley Street żywo się interesuje. Był botanikiem, pracował nad różami. Domyślamy się, że z tego właśnie powodu został zamordowany, ale nie wiemy, kto miał przybyć na to spotkanie: on, ktoś inny czy jedno i drugie naraz.

Schlesinger zapisał datę w notatniku.

– Przyjdę tu w ten dzień – zapowiedział.

– Czy praca dla Oakley Street to pańskie jedyne zajęcie, panie Schlesinger?

– Nie, jestem dyplomata, ale z Oakley Street, poza tym, że wierzę w słusność spraw, o które walczą, łączą mnie więzy dawnej przyjaźni. A Smyrna to swoiste skrzyżowanie szlaków: zawsze jest tu czego wypatrywać albo kogo obserwować, a czasem zdarza się jakaś robótka do wykonania. Proszę mi powiedzieć, co Oakley Street wie na temat pani obecnej sytuacji? Znają pani miejsce pobytu? Wiedzą, że udaje się pani do tego Błękitnego Hotelu, o ile on naprawdę istnieje?

Lyra zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie wiem – odparła po namyśle. – Niejaki Coram van Texel, Gipcjanin z Moczarów i emerytowany agent Oakley Street, wie o wszystkim. To mój stary druh, wiem, że mogę mu zaufać. Ale kiedy tak w świetle dnia myślę o tym całym Błękitnym Hotelu, to zaczynam wątpić, czy to dobry pomysł. Wydaje się to takie nieprawdopodobne... Jak coś w sam raz dla tajemnej wspólnoty.

Użyła tego zwrotu, ciekawa reakcji Schlesingera, który jednak zrobił tylko zdziwioną minę.

– Będę musiał przekazać tę informację wyżej – uprzedził.

– Rozumiem. Jak najlepiej dostać się stąd do Aleppo?

– Dwa razy w tygodniu jest dogodne połączenie kolejowe. Najbliższy pociąg odjeżdża jutro, zdaje się. Proszę posłuchać, panno Złotousta: autentycznie martwię się o pani bezpieczeństwo. Wygląda pani dokładnie tak jak na tym fotogramie. Nie myślała pani o jakimś przebraniu?

– Nie – przyznała. – Spodziewałam się, że nieposiadanie dajmona samo w sobie będzie rodzajem przebrania, bo ludzie nie chcą na mnie patrzeć, odwracają wzrok z lękiem albo niesmakiem. Przyzwyczaiłam się do tego, że jestem niezauważana. Albo nawet niewidzialna, jak więdźmy. Czasem to się nawet sprawdza.

– Mogę coś zasugerować?

– Naturalnie, słucham.

– Moja żona była w przeszłości aktorką. Zna się trochę na charakteryzacji, kilka razy pomagała ludziom zmieniać wygląd. Nic drastycznego, ot, drobne zmiany, które utwierdzą obserwatora w przekonaniu, że ma do czynienia z kimś innym. Proponuję, żebyśmy poszli teraz do mnie, zobaczymy, czy żona będzie mogła pani pomóc. Przy okazji dam pani ten list od Malcolma.

– Zastaniemy pańską żonę w domu?

– Jest dziennikarką, dziś pracuje w domu.

– W takim razie to chyba rzeczywiście dobry pomysł.

Dlaczego zaufała Budowi Schlesingerowi? Dlatego że wiedział o Oakley Street i o tym, że Malcolm zmierza na wschód – chociaż przecież nieprzyjaciel też mógł posiadać taką wiedzę i wykorzystać ją do zwabienia jej w pułapkę. Ale pewną rolę odegrał też jej szczególny nastrój. Poranek aż się skrzył, wszystkie rzeczy były sobą intensywniej niż zwykle, nawet turecki generał na kamiennym postumencie miał szelmowski błysk w oku. Czuła, że może zaufać światu.

I tak oto dwadzieścia minut później wysiadła z trzęsącej i skrzypiącej wiekowej windy w kamienicy, w której mieszkał Schlesinger.

Otworzył jej drzwi.

– Proszę wybaczyć brak luksusów.

Mieszkanie z pewnością było kolorowe: na wszystkich ścianach wisiały kilimy i inne ozdobne materie, do tego dochodziły dziesiątki obrazów i kilka ścian w całości zastawionych książkami. Anita, żona Schlesingera, też była barwną postacią: szczupła, ciemnowłosa, w szkarłatnej koszuli i perskich pantoflach, z dajmonem w ciele wiewiórki.

Kiedy Schlesinger objaśniał sytuację, ona z zaciekawieniem przyglądała się Lyrze, była to jednak zawodowa ciekawość, żywa i połączona z wyrozumiałością. Lyra siedziała na obszernej sofie i starała się nie odczuwać zakłopotania.

– Rozumiem – powiedziała Anita Schlesinger. Ona również była Nowodunką, chociaż mówiła z mniej wyrazistym akcentem. – Mam dla ciebie trzy sugestie, Lyro. Pierwsza jest prosta: okulary. Bezbarwne, bez korekcji, zwykłe szkło. Mam takie. Druga: krótkie włosy, ale takie naprawdę krótkie. I trzecia: farba. Co ty na to?

– Intrygujące – przyznała z rezerwą Lyra. – Czy te trzy rzeczy naprawdę tak dużo zmienią?

– Nie próbujesz oszukać bliskich przyjaciół ani dobrych znajomych i tego nie udałoby ci się w ten sposób osiągnąć. Chodzi raczej o to, żeby człowiek, który ma w głowie zdjęcie jasnowłosej dziewczyny bez okularów, nie obejrzał się za tobą na ulicy. Oni wszyscy będą szukali kogoś, kto wygląda inaczej. Owszem, to są powierzchowne zmiany, ale taka też jest większość naszych interakcji. Wiedzą, że nie masz dajmona?

– Nie jestem pewna.

– Bo to bardzo konkretna wskazówka.

– Wiem o tym. Próbowalam być niewidzialna...

– O rety! Też bym tak chciała! Musisz mnie tego nauczyć, ale najpierw...
Pozwolisz, że obetnę ci włosy?

– Tak. Proszę je też ufarbować. Pani argumenty brzmią bardzo rozsądnie.

Bud przyniósł Lyrze list od Malcolma, a potem musiał wyjść. Podali sobie ręce na pożegnanie.

– Naprawdę grozi pani poważne niebezpieczeństwo – powtórzył. – Proszę o tym nie zapominać. Być może bezpieczniej by było dla pani poczekać w Smyrnie na Mala. U nas znalazłaby pani dyskretne schronienie.

– Dziękuję, wezmę to pod rozwagę.

Lyra nie mogła się doczekać chwili, kiedy przeczyta list, ale chwilowo odłożyła go na bok i skupiła się na Anicie, która dopominała się o opowieści o wiedzmiach sposobach stawania się niewidzialną. Lyra powiedziała jej wszystko, co sama wiedziała. W ten sposób doszła do Willa, który zupełnie nieświadomie nauczył się używać tej samej metody, a następnie – nie wiedząc jak i kiedy – do Malcolma, jego opowieści o powodzi, a także o tym, jak będąc jego uczennicą, nie miała pojęcia, że znali się wcześniej, i jak od tamtej pory inaczej go postrzega. Dawno już nie miała okazji tak z kimś porozmawiać. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej takiej przyjacielskiej pogawędki.

Anita byłaby idealnym oficerem śledczym, pomyślała. Nikt nie byłby w stanie niczego przed nią zataić. Ciekawe, czy często pomaga mężowi przy zleceniach z Oakley Street.

Przez ten czas Anita po kawałku podcinała jej włosy. Co rusz odsuwała się o krok, oceniała krytycznie efekt swojej pracy, oglądała ją w lusterku.

– Usiłujemy zmienić kształt twojej głowy – wyjaśniła.

– To brzmi niepokojąco.

– Spokojnie, obejdzie się bez operacji. Masz gęste, naturalnie pofalowane włosy, które, nawet niezbyt długie, zajmują mnóstwo miejsca. A nam chodzi o to, żeby prezentowały się skromniej. Dyskretniej. Farba pogłębi zmianę, ale i tak efekt, który nazywasz niewidzialnością, w największej mierze zależy od tego, jak się zachowujesz. Wiem, na czym to polega. Występowałam kiedyś w teatrze z Sylwią Martine.

– Naprawdę? Widziałam ją w roli lady Macbeth. Była przerażająca.

– Potrafiła to włączać i wyłączać na zawołanie. Kiedyś po próbie szliśmy razem ulicą. To była zupełnie zwyczajna, ruchliwa ulica w dużym mieście, ruch, tłum przechodniów... Nikt nie zwracał na nas uwagi. I wtedy ona... Wiesz, że naprawdę nazywała się Eileen Butler, prawda? Wtedy powiedziała: „Przywołajmy Sylwią”. Nie zrozumiałam, co ma na myśli. Rozmawiałyśmy wprawdzie o widzach, wielbicielach i tak dalej, ale zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Jej dajmon był kotem, jak zapewne pamiętasz, skoro widziałas ją na scenie, najzwyczajniejszym, pospolitym kotem. Wtedy jednak coś się z nim stało, a może to on sam coś zrobił, w każdym razie nagle stał się... nie wiem, jak to powiedzieć... stał się bardziej widzialny. Jakby padło na niego światło scenicznego reflektora. Ona tak samo: w jednej chwili była Eileen Butler, miłą i ładną, ale jednak całkiem zwyczajną dziewczyną, by

w następnej stać się rozpoznawaną przez wszystkich przechodniów Sylwią Martine: ludzie podchodzili, zagadywali, przechodzili z drugiej strony ulicy, żeby poprosić o autograf. Po minucie otaczał ją wianuszek fanów. To się działo przed hotelem. Przypuszczam, że dokładnie wiedziała, co się stanie, dlatego wybrała takie miejsce, żebyśmy łatwo mogły uciec. Portier nas wpuścił, a wszystkim innym zabronił wstępu. Wtedy Sylwia znów stała się Eileen Butler. Ja byłam niezłą aktorką, ale ona... Ona była gwiazdą. Różnica jest kolosalna. Magiczna. Naprawdę ma w sobie coś nadprzyrodzonego. Byłam zbyt onieśmielona, żeby zapytać, jak to robi, w jaki sposób tak po prostu staje się Sylwią, ale wiem, że jej dajmon miał z tym coś wspólnego. Niewiele mówił, tylko się... no nie wiem... tak jak mówiłam: stawał się bardziej widzialny. Coś niesamowitego.

– Wierzę – powiedziała Lyra. – Wierzę w każde słowo. Ciekawa jestem, czy każdy może się tego nauczyć. A może nie, może jest to umiejętność dostępna tylko nielicznym?

– Tego nie wiem, ale często myślałam sobie, że byłoby okropnie posiadać taką zdolność i nie umieć jej wyłączyć na zawołanie. Sylwia potrafiła sobie z nią radzić, była nadzwyczaj rozsądna, ale gdyby trafiło na kogoś próżnego albo niemądrego... Ktoś taki w końcu by oszalał. Stałby się potworem. Prawdę mówiąc, przychodzi mi do głowy parę takich gwiazd.

– Ja chcę uzyskać przeciwny efekt. Mogę spojrzeć, jak teraz wyglądam?

Anita się odsunęła i Lyra spojrzała w lusterko. Nigdy w życiu nie miała tak krótkich włosów, ale nowa fryzura jej się spodobała, była przyjemnie lekka i przywodziła na myśl ożywionego, czujnego ptaszka.

– To dopiero początek – przypomniała Anita. – Poczekaj, aż położymy farbę.

– Jaki kolor pani proponuje?

– Coś ciemnego. Może nie smolistą czerń, bo nie pasowałaby do twojej karnacji, ale... ciemny kasztan?

Lyra zgodziła się bez zastrzeżeń. Przez całe życie nie przyszło jej do głowy, że mogłaby farbować włosy, i oto na swój pierwszy raz trafiła w ręce kogoś, kto okazał jej szczerze zainteresowanie i naprawdę znał się na rzeczy. To było ciekawe doświadczenie.

Po nałożeniu farby Anita przygotowała lunch – nic szczególnego, ot, chleb z serem, daktyle, kawa – i przy jedzeniu opowiedziała Lyrze o swojej pracy dziennikarskiej. Na zlecenie wychodzącej w Konstantynopolu anglojęzycznej gazety przygotowywała obecnie materiał o stanie teatru w Turcji. Jej dziennikarstwo zazębiało się czasem z dyplomatycznymi obowiązkami męża, dzięki czemu wiedziała teraz co nieco na temat kryzysu w świecie róż, drogocennych olejków i perfum. Opowiedziała Lyrze o znanych sobie przypadkach zniszczenia ogrodów różanych i o handlujących tymi towarami kupcach, którym spalono przetwórnice i magazyny.

– Sytuacja wygląda podobnie także na wschód stąd – podsumowała – ponoć aż do Kazachstanu. To jakiś obłąd.

Lyra zrewanżowała się opowieścią o swojej koleżance Miriam, której ojciec zbankrutował.

– Wtedy pierwszy raz usłyszałam o tej sprawie – wyjaśniła – zaledwie kilka tygodni temu, a mam wrażenie, jakby to było w innym życiu. Naprawdę będę brunetką? Miriam by mnie nie poznała. Zawsze nalegała, żebym zrobiła coś z włosami.

– Przekonajmy się – odparła Anita.

Splukała farbę i umyła Lyrze głowę. Lyra nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy efekt.

– Moim zdaniem wyszło świetnie – orzekła Anita, susząc jej włosy. – Jeszcze tylko... – Przeczesała włosy palcami, ułożyła je lekko, cofnęła się o krok. – Doskonale.

– Chcę zobaczyć! Gdzie jest lusterko?

Z lusterka spojrzała na Lyrę całkiem nowa twarz. Pierwsza, dominująca myśl, jaka przysła jej do głowy, brzmiała: ciekawe, czy Panowi by się spodobało. Gdzieś dalej, w głębi umysłu czaiła się inna refleksja: gdy tylko Olivier Bonneville znajdzie mnie za pomocą alethiometru, będzie wiedział, jak wyglądam. A wtedy całe Magisterium się dowie.

– To jeszcze nie koniec – przypomniała Anita. – Włóż je.

I podała Lyrze okulary w rogowej oprawce. Lyra włożyła je... i teraz naprawdę stała się inną osobą.

– Pamiętaj, żeby cały czas zachowywać się tak, jakbyś chciała być niewidzialna – mówiła dalej Anita. – To się nie zmienia. Musisz wyglądać nijako. Niepozornie. Nieciekawie. Noś zgaszone kolory, żadnych żywych odcieni. I jeszcze jedno – ciągnęła, szcزتkując Lyrze włosy. – Powinnaś nauczyć się inaczej poruszać. Chodzisz takim żywym, sprężystym krokiem. Wyobraź sobie, że jesteś ociężała. Powolna.

W tym momencie wtrącił się jej dajmon, który do tej pory głównie patrzył, rzadko się odzywał, czasem z aprobatą kiwał łebkiem. Teraz przysiadł na oparciu krzesła i zwrócił się bezpośrednio do Lyry:

– Ociężałość ciała to jedno, ale nie wolno ci przy tym zapomnieć o umyśle. Powinnaś sprawiać wrażenie przygnębionej, zgaszonej, znękaney. Wtedy ludzie będą się od ciebie odwracać, bo nikt nie lubi oglądać cierpienia. Kłopot w tym, że udając przygnębienie, bardzo łatwo jest w nie popaść naprawdę. Bądź świadoma tej pułapki. Twój dajmon przestrzegłby cię przed nią, gdyby był przy tobie. Pamiętaj: ciało wpływa na umysł. Masz tylko grać, zamiast być.

– Otóż to – zgodziła się z nim Anita. – Telemachus ma rację.

– To bardzo dobra rada – przyznała Lyra. – Dziękuję. Będę zachowywać się dokładnie odwrotnie do tego, jak zachowywała się Eileen Butler, kiedy przeobrażała się w Sylwią Martine. Ale tylko powierzchownie, nie w głowie.

– Co zamierzasz? – zapytała Anita.

– Kupić sobie bilet do Aleppo i jakieś niepozorne łachy.

– Pociąg do Aleppo odjeżdża jutro. Gdzie będziesz dzisiaj nocować?

– Na pewno nie w tym samym hotelu, co ostatnio. Znajdę inny.

– Mowy nie ma: zostaniesz u nas na noc. A na razie daj te okulary, muszę coś przy nich poprawić. Cały czas zsuwają ci się z nosa.

– Mówi pani poważnie? Z tym nocowaniem, znaczy?

– Jak najbardziej. Bud na pewno chętnie usłyszy, co masz do powiedzenia.

– W takim razie... Dziękuję.

W końcu nowa Lyra wyszła na ulicę w wyregulowanych okularach. Kupiła sobie niepozorną brązową spódnicę i najbardziej nijaki bury sweter, jaki udało jej się znaleźć, nabyła bilet kolejowy do Aleppo, a potem znalazła spokojną kawiarenkę i zamówiła *chocolatl*. Kiedy na stoliku pojawił się gorący napój, w którym powoli tonął kopczyk bitej śmietany, spojrzała na swoje nazwisko na kopercie, wypisane wyraźnym charakterem pisma Malcolma. Nie była to jedna z tych grubych, oficjalnych uniwersyteckich kopert, lecz zwykła, cienka, z chropowatego, pożółkłego papieru. Znaczek miał stempel z Bułgarii.

To niedorzeczne, żeby ręce aż tak jej się trzęsły przy otwieraniu tego listu!

Droga Lyro,

chciałbym, żebyś zatrzymała się na chwilę w swojej podróży, bym mógł Cię dogonić. Sytuacja w regionie z dnia na dzień staje się coraz bardziej niestabilna, ja zaś coraz mniej mogę napisać Ci w liście, kiedy coraz bardziej prawdopodobnym jest, że ktoś inny otworzy go i przeczyta przed Tobą.

Jeżeli natkniesz się w Smyrnie na przyjaciela Oakley Street, możesz na nim bezwarunkowo polegać. Zresztą jeżeli czytasz te słowa, to zdążyłaś się już o tym przekonać.

Najprawdopodobniej jeszcze się nie zorientowałaś, ale jesteś nieustannie obserwowana i śledzona. Teraz Twoi prześladowcy już wiedzą, że zostałaś przed nimi ostrzeżona.

Rozumiem, z jakich powodów wybrałaś tę drogę i dlaczego chcesz przemierzyć tę właśnie część świata. Będę Cię tam szukał, jeżeli nasze drogi nie skrzyżują się wcześniej.

Chciałbym Ci napisać o wielu rzeczach, żadna z nich nie jest jednak przeznaczona dla postronnych oczu, które mogą po drodze przeczytać ten list. Odkryłem wiele nowych faktów, także z dziedziny filozofii, którymi chętnie bym się z Tobą podzielił. Równie chętnie posłuchałbym o wszystkim, co widziałaś i czułaś.

Każdym włóknem mojej istoty żywię gorącą nadzieję, że jesteś cała i zdrowa. Pamiętaj o wszystkim, co powiedział Ci Coram, i miej się na baczności.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,

Malcolm

Rzadko czuła się tak sfrustrowana. Jakież ogólne były te ostrzeżenia! A zarazem Malcolm miał przecież całkowitą rację. Jeszcze raz starannie obejrzała list i tym razem stwierdziła, że koperta była dwukrotnie zaklejona i miejsca sklejenia nie pokrywają się idealnie. Odpisując Malcolmowi – a miała zamiar to zrobić przy

pierwszej okazji, gdy tylko znajdzie pióro i kartkę papieru – będzie musiała zrobić to w podobnie niekonkretnym stylu.

Jeszcze dwa razy przeczytała list od początku do końca, po czym wypila przestudzony *chocolatl* i ruszyła w drogę powrotną (ostrożna, nijaka, świadoma wszystkiego, co się dookoła dzieje) do domu Schlesingerów.

Zanim jeszcze skręciła w cichą uliczkę, przy której stała ich kamienica, usłyszała dźwięk syren i głośny ryk silników wozów policji albo straży pożarnej. Nad dachami wykwił pióropusz brudnego dymu. Wokół niej biegli ludzie. Jazgot samochodów i wycie syren rozbrzmiewały coraz bliżej.

Dotarła do skrzyżowania i wyjrzała zza rogu: kamienica, w której mieszkali Schlesingerowie, stała w płomieniach.

Lyra odwróciła się na pięcie i miarowym (ociężałym i powolnym) krokiem skierowała się do centrum. Zdjęta zgrozą, toczyła w głowie pośpieszny pół-dialog z Panem, chociaż po jej twarzy i postawie niczego nie dało się poznać.

Powinam wrócić... powinam sprawdzić, czy nic im się nie stało... wiem, że nie mogę... pomijając wszystko inne, tylko bym pogorszyła ich sytuację... ale to się stało przeze mnie... podpalacz czeka tam pewnie teraz i patrzy, kto wybiegnie z pożaru albo... napiszę do nich, gdy tylko... nie mogę dłużej zostać w Smyrnie, muszę się jak najprędzej stąd wydostać... Kim jestem? Jakie było moje wiedzmię imię? Tatiana... i jeszcze patronimik: Tatiana Asrielowna... chociaż nie, to by mogło za dużo zdradzić... może Giorgio... w takim razie Georgijewna... szkoda, że nie mam paszportu na to nazwisko... ale przecież wiedzmy nie potrzebują paszportów, a ja jestem wiedzmią, wiedzmią w przebraniu... jak to było? nijakiej dziewczyny, tak, nijakiej i przygnębionej... żeby nie zwracać niczyjej uwagi... Boże, mam nadzieję, że Anicie i Budowi nic się nie stało... może Bud jest jeszcze w pracy i o niczym nie wie... mogłabym pójść mu powiedzieć... tylko że nie wiem, gdzie pracuje... Powinam myśleć jak agentka Oakley Street. Jeżeli to ja byłam celem pożaru, to znaczy, że jestem dla nich niebezpieczna. Co powinam wobec tego zrobić? Wyjechać. Ale pociąg odjeżdża dopiero... No to złap inny! Dokąd jedzie najbliższy pociąg? Nie ma połączeń do Aleppo... jest pociąg do Seleucji... Agrippa wspomniał o tym miejscu! Jedź tam jeszcze dzisiaj i... Błękitny Hotel. Miasto Księżyca. A może lepiej znaleźć najpierw jakieś spokojne miejsce i spróbować nowej metody? Kiedy człowiek oswoi się z morzem, przestaje cierpieć na chorobę morską... może mogłabym spróbować? I spotkać się z Malcolmem! Tak! Tyle że nie wiem, gdzie on jest... list przysłał z Bułgarii, ale teraz może być zupełnie gdzie indziej... mogli go aresztować... siedzi teraz w więzieniu... albo nie żyje... Nie myśl tak... ach, Pan, jeśli nie będzie cię w Błękitnym Hotelu, nie wiem, czy dam radę wędrować dalej... Po co dajmy tam przybywają? Dostałam od księżnej listę nazwisk mieszkańców Aleppo... i jest jeszcze ten kupiec, o którym Bud powiedział mi dziś rano, jakżeż on się nazywa... bej Mustafa, tak. To okropne. Okropne! Zewsząd zagraża mi niebezpieczeństwo, ludzie chcą mnie zamordować... Nawet mistrz Kolegium Jordana chciał mnie tylko przenieść do kanciapy, a nie zabić... Ciekawe, co u Alice? Może nie przepadamy za sobą, Pan, ale przynajmniej stoimy po tej samej stronie. Jeżeli mnie zabiją, to ty... ty też zginiesz, obojętne, czy będziesz w Błękitnym Hotelu, czy gdzie indziej... na pewno masz instynkt samozachowawczy... po co tam się udałeś? Dlaczego właśnie tam? Ktoś cię porwał? Czy to coś w rodzaju obozu jenieckiego?

Będę cię musiała z niego wyciągnąć? Kto cię tam trzyma? Tajemna wspólnota będzie musiała przyjąć mi z pomocą... jeśli tam dotrę... jeśli znajdę Pana... jeśli...

Taka jednostronna konwersacja zaprzętała jej myśli przez część drogi na dworzec. Bardzo trudno było jej jednak zmusić się do zwolnienia kroku, udawania niepozornej i przygnębionej. Każda cząstka jej ciała miała chęć puścić się biegiem, pędzić przez skwery i place, nieustannie się rozglądać... A ona musiała z całej siły trwać przy wizerunku, który chciała prezentować światu. Niewidzialność to ciężka praca, niewdzięczna i niszczyielska dla ducha.

Znajdowała się właśnie w dzielnicy, w której zlokalizowano tymczasowe obozy dla uchodźców ze wschodnich krain. Prawdopodobnie w najbliższych dniach ci ludzie spróbują przedostać się do Grecji, niektórzy z nich zapewne padną ofiarą katastrof morskich i utoną. Dzieci bawiły się w berka na kamienistej ziemi, ojcowie zbierali się w grupki, stali lub siedzieli w ulicznym kurzu, palili i rozmawiali. Matki robiły pranie w ocynkowanych wiadrach albo gotowały strawę na ogniskach. Nie mieli domu, przez co jakby niewidzialna i nienamacalna bariera oddzielała ich od mieszkańców Smyrny. Byli jak ludzie bez dajmonów, pozbawieni niezwykle istotnej części swojego jestestwa.

Miała ochotę przystanąć, wypytać ich o to, jak im się żyje i co doprowadziło ich do obecnego stanu, ale musiała pozostać niewidzialna albo przynajmniej łatwa do zapomnienia. Niektórzy młodzi mężczyźni oglądali się, ale tylko przelotnie; odczuwała ich chwilowe zainteresowanie jak muśnięcie języka węża, który natychmiast się cofał. Udało jej się być nieciekawą.

Na dworcu tak długo zagadywała kasjerów w kolejnych okienkach, aż znalazła takiego, który mówił po francusku (uznała, że francuski będzie bezpieczniejszy od angielskiego). Osobowy do Seleucji zatrzymywał się chyba na wszystkich stacjach i stacyjkach po drodze, ale to akurat jej odpowiadało. Kupiła bilet i wyszła na skąpany w wieczornym świetle peron. Miała nadzieję, że pozostaje zupełnie przezroczysta.

Do odjazdu zostało półtorej godziny. Znalazła pustą ławkę nieopodal dworcowej jadłodajni, skąd mogła obserwować całe otoczenie, usiłując być niewidzialną. Wcześniej przeżyła jeszcze mały wstrząs, gdy zobaczyła swoje odbicie w szybie: co to za ciemnowłosa nieznajoma w okularach?

Dziękuję, Anito, pomyślała.

Kupiła jedzenie i picie na drogę i usiadła na ławce. Jej umysł uparcie wracał do płonącego domu Schlesingerów. A jeżeli Anita nie zauważyła w porę ognia? Jeżeli nie zdążyła się wydostać? Nieproszone myśli pchały jej się do głowy i odsuwały w cień udawaną bierność i obojętność.

Przyjechał jakiś pociąg i wypluł na peron mrowie pasażerów. Było wśród nich trochę rodzin wyglądających niewiele lepiej niż uchodźcy, których widziała w obozie i na ulicach: grubo okutane matki w chustach na głowach, dzieci niosące zabawki, podarte torby na zakupy, a czasami młodszych braci albo siostry, wyczerpani i udręczeni starszankowie z walizami i kartonami pełnymi ubrań. Przypomnił jej się parowiec przybijający do przystani w Pradze i schodzący z niego na ląd uchodźcy. Czy ktoś z tych tutaj dotrze tak daleko?

I dlaczego w Brytonii nic się nie mówiło o przyczynach tej wielkiej migracji? W ogóle o niej nie słyszała. Czyżby prasa i politycy uważali, że taka wędrówka ludów nie będzie miała żadnego wpływu na ich kraj? A ci wszyscy zdesperowani ludzie –

dokąd właściwie mieli nadzieję dotrzeć?

Nie mogła ich o to zapytać. Nie mogła okazać najmniejszego zainteresowania. Jeżeli chciała dostać się do miasta dajmonów i znaleźć Pana, musiała pohamować ciekawość i trzymać język za zębami.

Patrzyła więc, jak nowo przybyli zbierają swój dobytek i tłum powoli się rozprasza. Może udadzą się do portu? A może znajdą schronienie w którymś z obozów. Mieli pewnie ciut więcej pieniędzy niż ludzie uratowani z katastrofy morskiej, dzięki czemu mogli sobie pozwolić na podróż pociągiem. Może będzie ich też stać na godziwy nocleg.

Wkrótce wszyscy wyszli z dworca i na peronie zaczęli się gromadzić pasażerowie ze Smyrny udający się w drogę powrotną z pracy do domu, którzy szybko zaczęli zapelniać podstawiony pociąg do Seleucji. Lyra zdała sobie nagle sprawę, że jeśli chce mieć gdzie siedzieć, to powinna się pośpieszyć. Szybko wsiadła i rzeczywiście zajęła jedno z ostatnich wolnych miejsc – w kącie, przy ścianie – po czym ze wszystkich sił starała się być malutka i niezauważalna.

Pierwszy obok niej usiadł przysadzisty mężczyzna w homburgu na głowie. Obrzucił ją ciekawym spojrzeniem, stawiając pękata teczkę na siedzeniu obok siebie, ale dopiero kiedy jego dajmon (mangusta, owinięta wokół jego szyi i łypiąca na Lyrę spojrzeniem krótkowidza) szepnął mu kilka słów do ucha, zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Rzucił coś ostrym tonem po turecku.

– *Pardon* – mruknęła Lyra, trzymając się francuskiego. – *Excusez-moi*.

Gdyby była dzieckiem, jej dajmon zmieniłby się teraz w szczeniaczka merdającego przypoehlebnie ogonem i próbującego się przypodobać temu wielkiemu, ważnemu panu. Takim właśnie nastawieniem starała się emanować Lyra. Mężczyzna nie był zachwycony, ale ponieważ nie miałby już gdzie usiąść, pozostał na swoim miejscu i tylko odwrócił się z demonstracyjnym niesmakiem.

Inni albo w ogóle nie zwracali na Lyrę uwagi, albo byli zbyt zmęczeni, żeby przejąć się jej stanem. Pociąg turlał się pomalutku w kłębach pary od jednej stacyjki na przedmieściach do drugiej, aż w końcu na dobre wyjechał z miasta. Zatrzymywał się w coraz mniejszych miasteczkach i wioskach, wagon stopniowo pustoszał, przysadzisty mężczyzna z wypchaną teczką również wysiadł. Wcześniej powiedział coś jeszcze – ni to do Lyry, ni to do innych współpasażerów – ale i tym razem nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Przystanki stawały się coraz rzadsze, po mniej więcej godzinie pociąg nieco przyśpieszył. Zbliżał się wieczór. Słońce skryło się za górami, ochłodziło się, a kiedy konduktor przyszedł sprawdzić bilety, musiał zapalić gazowe oświetlenie w przedziale, żeby coś widzieć.

Wagon składał się z wydzielonych przedziałów połączonych korytarzem biegnącym wzdłuż jednej ze ścian. Kiedy ludzie wracający z pracy wysiedli, w przedziale Lyry zostało jeszcze troje pasażerów, którym przyjrzała się w świetle lampy, nie patrząc na nich wprost. Byli to: kobieta po trzydziestce, podróżujący z nią blady chłopiec w wieku około sześciu lat, oraz starszy wąsaty mężczyzna z półprzymkniętymi oczami, w nieskazitelnym jasnoszarym garniturze i fezie. Jego dajmonem była mała, pełna gracji fretka.

Mężczyzna czytał anatolijską gazetę, ale niedługo po tym, jak konduktor włączył światło, nadzwyczaj starannie złożył ją i położył na siedzeniu dzielącym go od Lyry.

Chłopiec przyglądał mu się z poważną miną, kciukiem w ustach i głową opartą o ramię matki. Kiedy wściz splótł dłonie na udach i zamknął oczy, dzieciak – zaspany, skonsternowany i zaniepokojony – zwrócił wzrok na Lyrę. Jego myśli dajmon cały czas prowadził szeptaną rozmowę z dajmonem matki, który miał postać gołębia; oba co rusz zerkały przelotnie na Lyrę i zaraz odwracały wzrok. Matka była chudą, wymizerowaną i nędznie odzianą kobietą, w dodatku wyglądała na udęconą ustawicznym zatroskaniem. Ich jedyna mała walizka, sfatygowana i marnie nareperowana, leżała na półce nad nimi.

Czas płynął. Światło dnia dogasło i świat za oknem skurczył się do odbicia przedziału w szybie. Lyra zgłodniała, otworzyła więc kupioną na dworcu torebkę pierniczków. Widząc łapczywe spojrzenie chłopca, podsunęła opakowanie najpierw jemu, a potem jego matce, która wzdrygnęła się, jakby ze strachu. Było jednak oczywiste, że oboje są głodni, więc kiedy Lyra z uśmiechem skinęła drugą ręką, jakby mówiła: „Proszę się częstować”, najpierw chłopczyk, a potem także jego matka wzięli po pierniczku.

Kobieta podziękowała tak cicho, że ledwie było ją słyszeć, po czym szturchnęła syna, który szeptem powtórzył słowa podziękowania. Błyskawicznie pochłonęli pierniczki. Lyra nie miała cienia wątpliwości, że był to ich pierwszy posiłek od dłuższego czasu.

Starszy pan otworzył oczy i śledził przebieg tej małej transakcji z powagą i troskliwą aprobatą. Kiedy Lyra podsunęła mu torebkę, najpierw się zdziwił, ale po chwili wziął sobie pierniczek i położył go na rozłożonej na kolanach śnieżnobiałej chusteczce. Wypowiedział jakieś zdanie albo dwa po anatolijsku, wyraźnie doceniając gest Lyry, która jednak z konieczności ograniczyła swoją odpowiedź do:

– *Excusez-moi, monsieur, mais je ne parle pas votre langue.*

Skłonił się lekko, uprzejmie, uśmiechnął z godnością i zjadł pierniczek po kawałku.

– Przepyszny pierniczek – powiedział po francusku. – To było bardzo miłe z pani strony.

Zostały jeszcze dwa pierniczki. Lyra nadal czuła głód, ale miała jeszcze chleb i ser, więc zaoferowała ciasteczka matce z dzieckiem. Chłopiec miał ochotę się skusić, ale wyraźnie się bał. Matka w pierwszej chwili zamierzała odmówić, ale wtedy Lyra powiedziała po francusku:

– Proszę je wziąć. Kupiłam za dużo, sama wszystkich nie zjem. Bardzo proszę.

Kiedy starszy pan przełożył jej słowa, kobieta skinęła głową i pozwoliła chłopcu wziąć pierniczek. Za nic jednak nie chciała sama zjeść ostatniego.

Z brązowej skórzanej dyplomatki mężczyzna wyjął termos, jeden z tych, w których rolę zakrętki pełnią dwa kubki. Odkręcił je, postawił na położonej na siedzeniu obok dyplomatce (fretka przytrzymała je, żeby się nie przewróciły) i napełnił gorącą kawą. Najpierw zaoferował kubek kobiecie, która odmówiła, chociaż miało się wrażenie, że chętnie by się napiła. Następnie spojrzał pytająco na chłopca, ale ten z powątpiewaniem pokręcił głową. Ostatecznie mężczyzna podał kubek Lyrze, która przyjęła go z wdzięcznością. Kawa była bardzo słodka.

Lyra przypomniała sobie o kupionej na dworcu oranżadzie: wyjęła ją teraz i wyciągnęła do chłopca, który uśmiechnął się, ale spojrzał podejrzliwie na matkę. Dopiero kiedy ta również się uśmiechnęła i z wdzięcznością skinęła głową, Lyra

odkręciła zakrętkę i dała butelkę chłopcu.

– Udaje się pani w daleką podróż, *mademoiselle*? – zapytał starszy jegomość. Po francusku mówił bezbłędnie.

– Bardzo daleką – potwierdziła Lyra – chociaż tym pociągiem jadę tylko do Seleucji.

– Zna pani miasto?

– Nie. Ale nie zabawię tam długo.

– Nadzwyczaj rozsądnie. O ile mi wiadomo, są tam pewne kłopoty z utrzymaniem ładu publicznego. Nie jest pani chyba Francuzką, prawda, *mademoiselle*?

– Istotnie. Pochodzę z północy.

– Zatem znalazła się pani daleko od domu.

– Owszem, daleko, ale muszę odbyć tę podróż.

– Waham się, czy powinienem o to pytać... Jeżeli wydam się nieuprzejmy, to najgorzej przepraszam, ale wygląda mi pani na jedną z tych kobiet, które zamieszkują daleką północ i nazywane są wiedźmami.

Użył francuskiego słowa *sorcières*. Wyczulona na detale Lyra spojrzała mu badawczo w oczy, ale dostrzegła w nich wyłącznie uprzejme zainteresowanie.

– W rzeczy samej, *monsieur*.

– Podziwiam panią, trzeba wielkiej odwagi, by tak śmiało zapaść się do południowych krain. Ośmielam się tak mówić, ponieważ w swoim czasie dużo podróżowałem i wiele, wiele lat temu miałem szczęście pokochać wiedźmę z dalekiej północy. Byliśmy bardzo szczęśliwi, a ja byłem bardzo młody.

– Takie związki rzeczywiście się zdarzają – przyznała Lyra – nie mogą jednak przetrwać. Taka jest natura rzeczy.

– Niemniej jednak wiele się nauczyłem. Dowiedziałem się sporo o sobie, co z pewnością było przydatne. Moja wiedźma, jeśli mogę ją tak nazywać, pochodziła z Sachalinu na dalekim wschodzie Rosji. Mogę zapytać, jak nazywa się pani ojczyzna?

– Rosjanie nazywają ją Nowokijewskiem. My mamy dla niej własną nazwę, której nie wolno mi wymawiać z dala od naszego kraju. To mała wyspa, ale ogromnie ją kochamy.

– A wolno mi zapytać, co sprowadza panią w nasze strony?

– Królowa mojego klanu zaniemogła. Jedynym lekarstwem na jej chorobę jest roślina rosnąca w rejonie Morza Kaspijskiego. Zastanawia się pan może, dlaczego nie wolałam tam polecieć? Otóż w Sankt Petersburgu napadnięto mnie i spalono moją sosnę chmurną. Mój dajmon pofrunął do domu, żeby powiadomić moje siostry o sytuacji, a ja podróżuję tak, jak pan widzi: powoli, łądem.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że pani podróż przyniesie zamierzony skutek i znajdzie pani lek na przypadłość waszej królowej.

– Bardzo to miłe z pańskiej strony, *monsieur*. Jedzie pan do ostatniej stacji?

– Nie, tylko do Antalyi. Tam mieszkam. Jestem na emeryturze, ale nadal prowadzę pewne interesy w Smyrnie.

Przyglądający się im chłopiec był tak wyczerpany, że nie mógł już nawet spać i Lyra nagle zdała sobie sprawę, że musi być chory. Jak mogła nie zauważyć tego wcześniej? Twarz miał bladą i ściągniętą, skórę wokół oczu ciemną i naprężoną. Potrzebował snu jak niczego innego na świecie, ale własny organizm mu go

odmawiał. Cały czas trzymał w ręce na wpół opróżnioną butelkę oranżady, dopiero teraz matka wyjęła mu ją z bezwładnych palców i zakręciła.

– Opowiem temu młodemu człowiekowi bajkę – zaproponował starszy pan.

Z wewnętrznej kieszeni jedwabnej marynarki wyjął talię kart. Były węższe, bardziej podłużne niż tradycyjne karty do gry, a gdy wyłożył jedną z nich – odwróconą w stronę chłopca – na trzymaną na kolanach dyplomatkę, Lyra stwierdziła, że przedstawiony jest na niej jakiś krajobraz.

Rysunek trącił jakąś strunę w jej pamięci i nagle znów znalazła się w tamtej zadymionej piwnicy w Pradze, a czarownik opowiadał jej o kartach z obrazkami...

W poprzek karty biegł trakt, a w tle rozciągała się woda – rzeka lub jezioro – po której pływała żaglówka. Za wodą było widać skrawek wyspy, gdzie na zalesionym wzgórzu stał zamek. Traktem podążało dwóch żołnierzy odzianych w szkarłatne mundury i dosiadających pięknych rumaków.

Starszy pan zaczął opowiadać, zapewne opisywał scenę, przedstawiał żołnierzy albo mówił, dokąd jadą. Chłopiec przysunął się do matki i skrajnie zmęczonymi oczami wpatrywał się w rysunek. Mężczyzna dołożył drugą kartę do pierwszej. Dwie części krajobrazu pasowały do siebie idealnie: droga biegła dalej, a w bok odchodziła od niej ścieżka wiodąca do domu w zagajniku na skraju wody. Wyglądało na to, że żołnierze zboczyli z traktu, zajechali pod dom i zapukali do drzwi, a żona gospodarza dała im wody ze studni przy ścieżce. Przedstawiając wydarzenia i opisując kolejne, nawet najdrobniejsze elementy historii, mężczyzna wskazywał je na karcie precyzyjnymi ruchami srebrnego ołówka. Chłopiec nachylił się, mrużył oczy i mrugał zawzięcie, jakby miał problem z dostrzeżeniem szczegółów.

Starszy pan rozłożył pozostałe trzymane w dłoni karty w wachlarz rewersami do góry, podsunął je chłopcu i poprosił, by ten wybrał jedną z nich. Kiedy chłopiec to zrobił, mężczyzna położył kartę na dyplomatce i okazało się, że znajduje się na niej ciąg dalszy rysunku z dwóch poprzednich. Lyra zdała sobie sprawę, że cała talia musiała być tak właśnie skonstruowana i karty łączyły się ze sobą na niezliczoną liczbę sposobów.

Tym razem obrazek przedstawiał zrujnowaną wieżę. Przed nią – jak zawsze – biegła droga, z tyłu zaś ciągnęło się jezioro. Zmęczeni żołnierze udali się do wieży, spętaли konie i poszli spać. Tymczasem nad wieżą przelatywał ogromny ptak – na karcie naprawdę narysowany był ptak tak gigantyczny, że gdy sfrunął niżej, w każdą z dwu szponiastych łap pochwycił jednego konia i wzbił się z nimi w powietrze.

Tego przynajmniej domyślała się Lyra, patrząc, jak gawędziarz naśladuje ruchy lecącego ptaka i udaje rzenie przerażonych wierzchowców. Teraz już nawet matka chłopca słuchała z szeroko otwartymi oczami.

Żołnierze się obudzili. Jeden zamierzał strzelić z karabinu do ptaka, ale drugi go powstrzymał: konie z pewnością by zginęły, gdyby ptaszysko je wypuściło. Ruszyli więc pieszo śladem olbrzymiego ptaka i historia potoczyła się dalej.

Lyra usiadła wygodniej i wsłuchiwała się w głos starszego pana. Nie rozumiała, co mówi, ale wystarczało jej, że może domyślać się sensu jego słów i obserwować zmienne emocje malujące się na twarzach chłopca i jego matki. Oboje wyraźnie się ożywili, oczy im błyszcząły, rumieńce wypłynęły na ziemiste policzki. Głos gawędziarza był melodyjny i kojący i Lyra złapała się na tym, że znów zapada w sen, spokojny sen z dzieciństwa, do którego kołysał ją głos Alice – mniej może melodyjny,

ale cichy i łagodny, gdy opowiadała jej o jakiejś lalce albo obrazku. Powieki coraz bardziej jej ciążyły, opadały coraz niżej, by w końcu zupełnie się zamknąć.

Kiedy obudziła się po kilku godzinach, była sama w przedziale. Pociąg dziarsko wspinał się po pochyłości wśród gór, których posępną panoramę widziała za oknem w świetle gwiazd: ponure skały, urwiska, wąwozy.

Ledwie otrząsnęła się z sennego rozleniwienia, w głowie zaświtała jej nagła myśl: alethiometr! Pośpiesznym gestem otworzyła plecak, włożyła rękę do środka i namacała znajomy, ciężki kształt w aksamitnej sakiewce. Było tam jednak coś jeszcze: w tekturowym pudełku z jaskrawą etykietką z napisem myriorama znajdowała się talia kart z obrazkami. Jej współpasażer zostawił jej swoje karty.

Lampa dawała nierówne światło – to rozjaśniała się gwałtownie, to przygasała, by za chwilę znów rozbłysnąć. Lyra wstała, żeby obejrzeć ją z bliska, ale nie znalazła żadnego regulatora, to musiał być jakiś problem z dopływem gazu. Usiadła więc z powrotem i wyjęła karty. W jaśniejszym rozbłysku światła dostrzegła na odwrocie jednej z nich słowa skreślone ołówkiem, eleganckim charakterem pisma, po francusku:

*Droga młoda damo,
proszę, potraktuj poważnie moje ostrzeżenie i zachowaj czujność
w Seleucji. Czasy są ciężkie. Byłoby najlepiej, gdybyś nie rzucała nawet
cienia.*

Łączę najszczęśliwsze życzenia wszelkiej pomyślności.

Liścik nie był podpisany, ale Lyra przypomniała sobie srebrny ołówek, którym właściciel kart wskazywał szczegóły na rysunkach.

Siedziała tak przy kapryśnym świetle, zatroskana, samotna i zupełnie już nieśpiąca. Wyciągnęła chleb i ser i trochę zjadła, żeby się wzmocnić. Wyjęła list od Malcolma i jeszcze raz go przeczytała, ale nie przyniósł jej wielkiej pociechy. Schowała go więc i znów sięgnęła po alethiometr. Nie zamierzała ani czytać z niego w tradycyjny sposób, ani korzystać z nowej metody, chciała po prostu potrzymać w rękach coś kojąco znajomego. Zresztą przy tak słabym świetle i tak nie widziała za dobre symboli.

Trzymając alethiometr na kolanach, znów pomyślała o nowej metodzie i o tym, jak długo opierała się pokusie, żeby ją wypróbować. Chciała poszukać Malcolma, rzecz jasna, ale dopóki nie miała pojęcia, gdzie zacząć takie poszukiwania, z pewnością byłyby bezowocne, a ona przypłaciłaby je nudnościami i osłabieniem. Dlatego nie powinna tego robić. Zresztą co to w ogóle za pomysł z tym szukaniem Malcolma? Powinna przecież szukać Pana.

Machinalnie zgarnęła karty na stosik – tak właśnie by to opisała, ruch był „machinalny”, tak jakby jej ręka nie była żywym obiektem, tylko mechanizmem; jakby wszystkie komunikaty odbierane przez skórę i nerwy nie miały nic wspólnego

ze świadomością i były rejestrowane wyłącznie w postaci zmian prądów jantarycznych w miedzianym przewodzie. Wraz z tą wizją ciała jako martwego automatu ogarnęło ją poczucie bezgranicznego przygnębienia. Czuła się nie tylko tak, jakby była martwa w tej chwili, lecz jakby była martwa zawsze i tylko wyśniła sobie, że żyje i że nawet w tym jej śnie wcale nie było życia, tylko bezrozumne, obojętne poszturchiwanie się cząsteczek w jej mózgu, nic więcej.

Ten ciąg myśli wywołał u niej spazmatyczną reakcję: „Nie! To kłamstwo! Oszczyństwo! Nie wierzę w to!”.

Prawda jednak była taka, że wierzyła i nie mogła tego znieść.

Bezradnym ruchem dłoni – swoich mechanicznych dłoni – niechcący potrąciła stosik kart i zrzuciła część z nich na podłogę. Schyliła się, żeby je pozbiierać. Pierwsza, która wpadła jej w rękę, przedstawiała kobietę idącą przez most. Kobieta była zakutana w szal dla ochrony przed zimnem, niosła kosz i patrzyła z obrazka wprost na Lyrę, która z niejakim wstrząsem stwierdziła, że do złudzenia przypomina ją samą. Położyła kartę na przykurzonym siedzeniu, sięgnęła na chybił trafił po następną i wyłożyła ją obok tamtej.

Na tym rysunku grupa podróżnych szła traktem obok kilku jucznych koni. Zmierzali w tym samym kierunku co kobieta, z lewa na prawo. Bagaże na końskich grzbietach miały pokaźne rozmiary i wyglądały na ciężkie. Gdyby zamienić konie na wielbłądy, zabrać drzewa i dać w ich miejsce piaszczystą pustynię, można by pomyśleć, że to wielbłądzia karawana przemierza Jedwabny Szlak.

Nagle – delikatne jak pojedyncze uderzenie odległego o milę dzwonu w letni wieczór, ulotne jak aromat jednego kwiatu wniesiony wietrzykiem do pokoju przez otwarte okno – ogarnęło ją poczucie, że tajemna wspólnota ma z tym coś wspólnego.

Podniosła trzecią kartę i tym razem trafiła na jedną z tych, które przewinięły się przez opowieść starszego pana, tę z domem nad wodą i studnią pośród drzew. Dostrzegła na niej coś, co wcześniej uszło jej uwagi: łukowaty trejaż przed wejściem był opleciony kwiatami róż.

Mogłabym podjąć świadomą decyzję, że wierzę w tajemną wspólnotę, pomyślała. Nie muszę być wobec niej taka sceptyczna. Jeżeli wolna wola istnieje i jestem nią obdarzona, to mogę tak właśnie zdecydować. Wezmę jeszcze jedną kartę.

Przetasowała talię, przełożyła, odwróciła kartę leżącą na wierzchu i dołożyła ją do poprzednich. Przedstawiała młodego mężczyznę z plecakiem wychodzącego naprzeciw karawanie i kobiecie z koszem. Zapewne bezstronnemu obserwatorowi przypominałby Malcolma w stopniu nie większym niż kobieta z koszem przypominała Lyrę, ale to nie miało znaczenia.

Pociąg zagwizdał i zaczął zwalniać. Lyra miała wrażenie, że przeraźliwie samotny dźwięk gwizdka długo niesie się echem wśród gór. Był taki francuski wiersz, o rogu rozbrzmiewającym w lesie, znała go kiedyś...

Na zboczach zamigotały pojedyncze światelka, stopniowo ich przybywało, pojawiły się oświetlone domy i ulice. Pociąg dojeżdżał do stacji.

Zebrała karty do pudełka i schowała je do plecaka razem z alethiometrem.

Pociąg stanął. Nie rozpoznała wymalowanej na tabliczce nazwy stacji, ale na pewno nie była to Seleucja. Mieścina w ogóle zresztą wydawała się niewielka, mimo to na peronie zebrał się tłum.

Tłum żołnierzy.

Trzymając plecak na kolanach, Lyra wcisnęła się głębiej w kąt.

Więści z Taszbulaku

Wiadomość, jaką posłaniec z Kancelarii Premiera dostarczył Glenys Godwin, była krótka i rzeczowa:

Powiernik Skarbcza Prywatnego byłby wdzięczny pani Godwin, gdyby zechciała go odwiedzić w dniu dzisiejszym o godzinie 10:20.

Liścik opatrzony został lekceważącym, nieczytelnym gryzmołem, w którym Godwin rozpoznała podpis Powiernika, Eliota Newmana, i trafił do jej biura o godzinie 9:30. Miała więc wystarczająco dużo czasu, żeby przemierzyć pół Londynu i zdążyć na umówioną wizytę w White Hall, a zarazem zbyt mało, żeby naradzić się z kolegami lub w ogóle zrobić cokolwiek więcej, niż rzucić w przelocie sekretarce:

– Jill, nadeszła ta chwila. Chcą nas zamknąć. Powiadom szefów wydziałów, że uruchamiamy procedurę Christabel.

Był to kryptonim stworzonego przez wielu laty planu wycofania z obiegu i ukrycia najważniejszych bieżących dokumentów. Tylko szefowie wydziałów wiedzieli o istnieniu tego planu, jego regularnej weryfikacji i wprowadzanych ulepszeniach. Jeżeli wieści rozejdą się odpowiednio szybko, dokumentacja większości bieżących projektów Oakley Street znajdzie się w drodze do wybranych kryjówek – zamykanej komórki na tyłach pralni w Pimlico, sejfu handlarza brylantami w Hatton Garden, kredensu na zakrystii kościoła w Hemel Hempstead – zanim Godwin wejdzie do biura w White Hall, do którego została wezwana.

Asystent, który ją przywitał, był tak młody, że – zdaniem Godwin – golił się najwyżej od roku i traktował ją ze skrajnie uprzejmą protekcjonalnością. W zamian ona potraktowała go jak ulubionego siostrzeńca i zdołała wyciągnąć od niego okrucieństwo informacji o tym, czego może się spodziewać.

– Szczerze mówiąc, pani Godwin, ta sprawa wiąże się ze zbliżającą się wizytą nowego przewodniczącego Rady Najwyższej Magisterium – wyjaśnił. – Ja oczywiście nic takiego pani nie powiedziałem – zastrzegł się.

– Człowiek mądry wie, które sprawy warto utrzymać w mroku – odparła z powagą Glenys Godwin, gdy weszli na schody. Pierwszy raz usłyszała o planowanym przybyciu Delamare'a do Londynu. – Człowiek mądrzejszy wie natomiast, kiedy rzucić na nie trochę światła.

Asystent, któremu zaimponowała jego własna mądrość, zaprowadził ją do

poczekalni, po czym zapukał do drzwi gabinetu przełożonego i głosem pełnym szacunku zaanonsował gościa.

Eliot Newman, Powiernik Skarbcza Prywatnego, był wysokim mężczyzną o ulizanych czarnych włosach. Nosił grube okulary w czarnej oprawce, a jego dajmon miał postać czarnego królika. Newman pełnił swój urząd od niespełna roku. Podczas ich jedyne do tej pory spotkania Glenys Godwin była zmuszona wysłuchać przydługiej i niezbyt mądrej tyrady o tym, jak to Oakley Street jest do niczego nieprzydatna, kosztowna i antynowoczesna – ten ostatni przymiotnik był najnowszym epitetem na określenie wszystkiego, co nie podobało się rządowi Jego Królewskiej Mości.

Newman nie wstał na powitanie, nie podał też Glenys ręki, czyli zachował się dokładnie tak, jak się spodziewała.

– Ten wasz departamencik, jakżeż on się nazywa... – zaczął. Doskonale znał oficjalną nazwę Oakley Street, ale teraz pochylił się, sięgnął po jeden z papierów leżących na biurku i zerknął nań, mrużąc oczy, jakby naprawdę musiał sobie przypomnieć. – Wydział Wywiadowczy Biura Skarbcza Prywatnego – odczytał z namaszczeniem.

Opadł na oparcie fotela, jakby skończył wypowiedź. Ponieważ jednak tego nie zrobił, Godwin nie zareagowała. Przyglądała mu się tylko spokojnie.

– I co pani na to? – Każda nuta w głosie Newmana miała dawać wyraz z trudem skrywanemu zniecierpliwieniu.

– Zgadza się, tak brzmi pełna nazwa naszego departamentu.

– Zamykamy was. Zostaliście zdezaprobowani jako antynowoczesna, beużyteczna anomalia, do tego finansowa studnia bez dna. Poza tym macie niewłaściwy rys polityczny.

– Będzie mi pan musiał wytłumaczyć, co pan przez to rozumie, panie Powierniku.

– Wasze wrogie nastawienie wobec nowego świata, w jakim się znaleźliśmy. A nowy świat to nowe metody działania, nowe idee, nowi ludzie u steru.

– Domyślam się, że chodzi panu o tę nową Radę Najwyższą w Genewie.

– Naturalnie. Rada zwraca się ku przyszłości, niespętanej konwenansem i polityczną poprawnością, a rząd Jego Królewskiej Mości uważa, że to właściwy kierunek. Jedyne słuszna droga. Musimy wyciągnąć do przyszłości przyjazną dłoń, pani Godwin. Wszystko, co stare, czyli podejrzliwość, spiski, szpiegostwo, gromadzenie ton beużytecznych i z niczym niezwiązanych rzekomych informacji, wszystko to musi się skończyć. Włącznie z tą żalosną, rozlążącą się w szwach instytucją, na której przez lata żerowaliście. Proszę się nie obawiać, nie zostaniecie źle potraktowani. Cały personel znajdzie zatrudnienie w szeregach krajowej służby cywilnej, a pani otrzyma godziwą emeryturę i może jakąś pamiątkową błyskotkę, jeśli takie rzeczy panią rajcują. Radzę przyjąć tę propozycję w dobrej wierze, a wszyscy dobrze na tym wyjdą. Za rok, góra dwa lata Oakley Street... tak, tak, wiem, jak sami się nazywacie... zniknie bez śladu. Na zawsze.

– Rozumiem.

– Zespół specjalistów z Kancelarii Premiera zjawi się u was dziś po południu, żeby uruchomić procedurę przejściową. Pokieruje nim Robin Prescott, najwyższej klasy fachowiec. Przekaze mu pani wszystko i przed weekendem będzie pani mogła wrócić do domu i zająć się przycinaniem róż w ogródku.

– Dobrze, panie Powierniku. Rozumiem, że ta decyzja zapadła tutaj, w tym gabinecie?

– Dlaczego pani pyta?

– Przedstawił mi ją pan jako ruch ku współczesności, który ma nas odciąć od złych nawyków przeszłości.

– Zgadza się.

– Opinia publiczna nauczona jest kojarzyć tendencję do takich cięć, nakierowanych na zwiększenie efektywności i usprawnienie działania instytucji, z pańską osobą.

– Miło mi to słyszeć – przyznał Powiernik, chociaż w jego zachowaniu dało się wyczuć pewną podejrzliwość. – Jaki to ma związek ze sprawą?

– Rzecz w tym, że jeżeli nie dość ostrożnie zakomunikuje pan swoją decyzję, będzie ona wyglądała jak próba ugłaskania.

– Ugłaskania? Kogóż niby miałbym ugłaskiwać, na miłość boską?!

– Radę Najwyższą. Podobno spodziewamy się wizyty nowego przewodniczącego. Likwidacja instytucji, która w dziedzinie ograniczania wpływu Genewy na nasze wewnętrzne sprawy zrobiła więcej niż wszystkie inne agendy rządowe, dla wtajemniczonych będzie wyglądała jak akt niezwyklej szczodrości, jeśli nie służalczego wręcz samookaleczenia.

Twarz Newmana pociemniała, przybierając odcień ciemnoczerwony.

– Wynoś się stąd – warknął. – Idź uporządkować swoje sprawy.

Godwin skinęła głową i odwróciła się do wyjścia. Młody asystent, który otworzył przed nią drzwi i odprowadził ją po marmurowych schodach, sprawiał wrażenie, jakby bardzo chciał coś powiedzieć, tylko nie umiał znaleźć odpowiednich słów. Dopiero gdy znaleźli się przy ogromnych mahoniowych drzwiach wychodzących na White Hall, zdołał wykrztusić:

– Czy mogę... ehm... Pozwoli pani, że wezwę pani taksówkę, pani Godwin?

– To bardzo miłe z pana strony, ale chętnie się przespaceruję.

Podali sobie ręce na pożegnanie.

– Na pańskim miejscu nie wiązałabym swoich planów zawodowych zbyt ściśle z Biurem Skarbcza Prywatnego – dodała Godwin.

– Naprawdę?

– Pański szef podcina gałąź, na której siedzi. Przypuszczam, że kiedy poleci, pociągnie za sobą całe biuro. Radzę pielęgnować kontakty w innych ważnych miejscach, takie zabezpieczenie zawsze może się przydać. Miłego dnia.

Przeszła kawałek White Hall i skręciła do Ministerstwa Wojny. Napisała parę słów na swojej wizytówce i wręczyła ją portierowi z prośbą o przekazanie panu Carberry'emu, po czym wyszła z budynku i skierowała się do ogrodów nad rzeką. Dzień był przyjemny, w miarę pogodny, oszłamiająco wielkie chmury pędziły po niebie, powietrze zdawało się skrzyć od słońca. Znalazła wolną ławkę pod pomnikiem jakiegoś dawno nieżyjącego męża stanu i usiadła, żeby nacieszyć oczy widokiem rzeki. Trwał przypyływ. Mały, krzepki holownik ciągnął sznur wyładowanych węglem barek w górę rzeki.

– I co teraz zrobimy? – zapytał jej dajmon.

– Rozkwitniemy. Będzie jak dawniej.

– Dawniej byliśmy młodzi i pełni energii.

- Dziś jesteśmy bardziej przebiegli.
- Wolniejsi.
- Sprytniejsi.
- Łatwiej nas zranić.
- Będziemy musieli jakoś z tym żyć. O, idzie Martin.

Martin Carberry był sekretarzem stanu w Ministerstwie Wojny i starym przyjacielem Oakley Street. Na jego widok Glenys wstała z ławki, po czym – rozumiejąc się bez słów za sprawą długoletniego nawyku – ruszyli na spacer, żeby porozmawiać.

– Nie mamy wiele czasu – zastrzegł się Carberry. – O dwunastej mam spotkanie z moskiewskim attaché do spraw marynarki wojennej. Co się stało?

– Zamykają nas. Właśnie wyszłam od Newmana. Ponoć jesteśmy „antynowocześni”. Oczywiście przetrwamy to, ale będziemy musieli trochę się przyciąć, zejść do podziemia. Na razie jednak bardziej interesuje mnie co innego: co knuje ta nowa genewska Rada Najwyższa? Podobno za parę dni przyjeżdża do nas jej szef.

– Na to wygląda. Mówi się o publikacji memorandum o wzajemnym zrozumieniu, które ma zmienić zasady naszej współpracy. A jeśli chodzi o to, co oni knują... Gromadzą duże siły zbrojne we wschodniej Europie, zresztą o tym właśnie mam rozmawiać z tym Moskwianinem. W światku dyplomatycznym zapanowało spore ożywienie w Lewancie, także w Persji i dalej na wschód.

– Słyszeliśmy o tym, ale, jak doskonale wiesz, nasze zasoby są nadzwyczaj skromne. Gdybyś miał postawić na to piąta, to co byś powiedział, że po co im ta armia?

– Do inwazji na Azję Środkową. Chodzą słuchy o źródle cennych substancji chemicznych, minerałów albo czegoś w tym rodzaju gdzieś w tamtejszej dżicy, na jakiejś pustyni. Magisterium przyjęło za swój strategiczny cel niedopuszczenie tam nikogo innego, a trzeba ci wiedzieć, że sprawą interesują się także wielkie koncerny, głównie farmaceutyczne. Prawdę mówiąc, trochę to wszystko mętne, doniesienia stamtąd opierają się głównie na plotkach, pogłoskach i bajaniach staruszków. A nam w tej chwili zależy przede wszystkim na utrzymaniu pokojowych stosunków z Genewą. Na razie nie poproszono nas o współudział militarny, wypożyczenie brygady gwardii królewskiej czy choćby używanych armatek wodnych, ale gdyby takie życzenie zostało wyartykułowane, z pewnością byśmy się do niego przychyłili.

– Nie mogą nigdzie wkroczyć, nie mając ku temu pretekstu. Jak sądzisz, co wymyślą?

– Stąd ta cała gorączka dyplomatyczna. Podobno na skraju tej konkretnej pustyni jest – albo była – jakaś placówka naukowa, instytut badawczy, coś w ten deseń. Pracujący tam specjaliści z całego świata, także od nas, znaleźli się pod silną presją ze strony miejscowych fanatyków, zresztą całkiem licznych. *Casus belli* będzie najprawdopodobniej udawane oburzenie na brutalne traktowanie niewinnych akademików przez bandytów albo terrorystów i naturalna u Magisterium chęć przyjęcia im z odsieczą.

- A jak wygląda lokalna polityka?
- To skomplikowane. Pustynia i wędrujące jezioro...
- Wędrujące?

– Nazywa się Łob-nor i właściwie nie jest jednym jeziorem, tylko rozległym obszarem solnych mokradeł i płytkich kałuż, na którym ruchy tektoniczne i zmiany klimatu bawią się w kotka i myszkę z geografiami. W efekcie przebieg granic państwowych jest zmienny, płynny i podlegający negocjacji. Jest król, który twierdzi, że rządzi tym rejonem, ale to tylko wasal cesarstwa chińskiego, więc w praktyce od stanu zdrowia cesarza zależy, czy Pekin zechce tam uderzyć pięścią w stół, czy nie. A dlaczego Oakley Street się tym interesuje?

– Coś się tam dzieje, a my musimy się dowiedzieć, co to takiego. Ponieważ właśnie zostaliśmy oficjalnie „zdezaprobowani”...

– Piękne określenie.

– Chyba ukute przez Newmana, ale mniejsza z tym. Ponieważ właśnie przestaliśmy istnieć, staram się zdobyć jak najwięcej informacji, póki jeszcze mogę.

– To zrozumiałe. Macie jakiś plan awaryjny? Na pewno się tego spodziewaliście.

– Naturalnie. To żadna niespodzianka, tylko dodatkowa komplikacja. Ale ten rząd prędzej czy później musi upaść.

– Optymistyczne, nie powiem. Powiedz mi, Glenys, gdybym musiał się z tobą skontaktować...

– Wiadomość *chez* Isabelle zawsze do mnie dotrze.

– W porządku. Życzę powodzenia.

Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się. Isabelle, dziś już starsza pani, sama była aktywną agentką, dopóki reumatyzm nie zmusił jej do wycofania się z zawodu. Członkowie społeczności wywiadowczej chętnie traktowali prowadzoną przez nią obecnie restaurację w Soho jako nieoficjalny urząd pocztowy.

Glenys ruszyła przed siebie brzegiem Tamizy. Po rzece powoli sunął statek turystyczny, z głośników płynął opis kolejnych atrakcji. Słońce złociło rzekę, łuki mostu Waterloo, odległą kopułę katedry Świętego Pawła.

Carberry potwierdził większość jej wcześniejszych domysłów. Magisterium z nowym przewodniczącym na czele zamierzało przejąć na własność źródło oleju różanego i było gotowe w tym celu sformować armię i przerzucić ją tysiące mil na wschód. Ktokolwiek stanąłby jej na drodze, zostanie bezlitośnie zmiażdżony.

– Koncerny farmaceutyczne – powiedziała na głos.

– Thuringia Potash – odparł jej dajmon.

– Niewątpliwie.

– To prawdziwy gigant.

– Cóż, Polstead będzie wiedział, co robić.

Ktoś, kto jej nie znał, usłyszałby w jej głosie wyłącznie bezgraniczną pewność i przekonanie.

– Pan Schlesinger jest zajęty – odparł portier nowoduńskiego konsulatu w Smyrnie. – Nie może teraz pana przyjąć.

Malcolm był obznajmiony z procedurą. Wyjął z kieszeni banknot o niskim nominale i wziął z biurka spinacz do papieru.

– To moja wizytówka – powiedział.

Przypiął wizytówkę do banknotu, który błyskawicznie zniknął w kieszeni portiera.

– Proszę minutkę poczekać – powiedział portier i wszedł na schody.

Konsulat mieścił się w wysokim budynku przy wąskiej uliczce nieopodal wiekowego bazaru. Malcolm był w nim wcześniej dwukrotnie, ale od tamtej pory portier się zmienił. Zmienił się również charakter okolicy: ludzie byli jacyś ostrożniejsi, atmosfera swobodnej życzliwości gdzieś się ulotniła, kawiarnie świeciły pustkami.

Słyszając kroki na schodach, odwrócił się, gotów podejść i przywitać się z konsulem, ale Bud pokręcił głową, przytknął palec do ust i wyszedł mu na spotkanie.

Serdeczny uścisk dłoni i Schlesinger ruchem głowy wskazał drzwi.

– Nie jest bezpiecznie? – spytał półgłosem Malcolm, gdy wyszli na ulicę.

– Wszędzie są podsłuchy. Jak się miewasz, Mal?

– W porządku. Za to ty jesteś wrakiem człowieka. Co się stało?

– Ktoś wrzucił nam do mieszkania płonąca butelkę z benzyną.

– Co ty mówisz! Anicie nic się nie stało?

– W ostatniej chwili zdążyła uciec, ale straciła mnóstwo materiałów i... Ech, w ogóle niewiele zostało. Znalazłeś Lyrę?

– Widziałeś ją?

Schlesinger opowiedział Malcolmowi, jak zobaczył Lyrę w kawiarni i rozpoznał ją ze zdjęcia.

– Anita pomogła jej trochę zmienić wygląd, ale... Lyra wyszła, zanim wybuchł pożar. Więcej jej nie zobaczyliśmy. To znaczy, my jej nie widzieliśmy, ale trochę się rozpytałem i wygląda na to, że usiadła na chwilę w pobliskiej kawiarni, tam przeczytała list, domyślam się, że ten od ciebie, który jej przekazałem, a stamtąd poszła na dworzec i wsiadła do pociągu jadącego na wschód, ale nie tego pośpiesznego do Aleppo, tylko osobowego, co to staje w każdej dziurze, zanim w końcu doczołga się do... Seleucji, zdaje się. Przy samej granicy. To wszystko, co udało mi się ustalić.

– Wciąż szuka dajmona?

– Nie. Miała taki pomysł, że może znajdzie go w jednym z umarłych miast w okolicy Aleppo. Ale, ale, Malcolmie, jest jeszcze inna sprawa. Bardzo pilna. Zabieram cię na spotkanie z Tedem Cartwrightem. To niedaleko stąd.

Malcolm widział, że Bud rozgląda się czujnie, sam też to robił i nikogo nie dostrzegł. Schlesinger skręcił w boczną uliczkę i otworzył sfatygowane zielone drzwi. Kiedy przez nie weszli, zamknął je starannie na klucz.

– Kiepsko z nim – dodał. – Obawiam się, że niewiele czasu mu zostało. Na górę, po schodach.

Idąc za Schlesingerem na piętro, Malcolm próbował umiejscowić nazwisko Teda Cartwrighta, które wydało mu się znajome. Na pewno słyszał je już wcześniej, wypowiedziane ze szwedzkim akcentem... były tam też jakieś gryzmoły ołówkiem na postrzępionym papierze...

– To kierownik instytutu naukowego w Taszbułaku? – spytał.

– Zgadza się. Przybył do miasta wczoraj, po Bóg jeden wie jak ciężkiej podróży. To jedna z naszych kryjówek, tu będzie bezpieczny. Sprowadziliśmy pielęgniarkę i stenografkę, ale powinieneś to usłyszeć z jego ust. Jesteśmy na miejscu.

Kolejne drzwi, kolejny zamek, kolejny klucz i znaleźli się w małym, schludnym jednopokojowym mieszkanku. Młoda kobieta w granatowym stroju pielęgniarki mierzyła temperaturę mężczyźnie leżącemu na jednoosobowym łóżku. Miał zamknięte oczy, twarz spaloną słońcem, wynędzniałe ciało i obficie się pocił. Jego dajmon – znużony, przykurzony drozd – siedział wczepiony pazurkami w tapicerowane wezgielowe łóżka. Asta doskoczyła do niego i zaczęli rozmawiać szeptem.

– Polepszyło mu się? – spytał półgłosem Bud.

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Doktorze Cartwright? – zagadnął Malcolm.

Mężczyzna na łóżku otworzył przekrwione oczy o czerwonych obwódkach. Poruszały się nieustannie na wszystkie strony, nigdzie nie ogniskując się na dłużej. Malcolm nie był pewien, czy Cartwright w ogóle go widzi.

Pielęgniarka schowała termometr, odnotowała temperaturę na karcie pacjenta i wstała z krzesła, zwalniając Malcolmowi miejsce. Podeszła do stołu, na którym schludnie ustawione czekały fiołki z tabletkami i akcesoria medyczne. Malcolm usiadł.

– Doktorze Cartwright, jestem przyjacielem Lucy Arnold, pańskiej koleżanki z Oksfordu. Nazywam się Malcolm Polstead. Czy pan mnie słyszy?

– Tak – zabrzmiał w odpowiedzi chrapliwy szept. – Ale niewiele widzę.

– Czy jest pan kierownikiem instytutu naukowego w Taszbułaku?

– Byłem. Zniszczony. Musiałem uciekać.

– Co może mi pan powiedzieć o swoich pracownikach: doktorze Strausie i Rodericku Hassallu?

Głębokie westchnienie, zakończone rozdygotanym jęknięciem. Cartwright drugi raz nabrał tchu i zapytał:

– Hassall wrócił? Udało mu się?

– Wrócił. Przywiózł notatki, które ogromnie nam pomogły. Co to za miejsce badali ze Straussem? Czym jest czerwona budowla?

– Nie mam pojęcia. Stamtąd pochodziły róże. Uparli się, żeby pójść na pustynię. Nie powinienem był się zgodzić, ale byli zdesperowani, wszyscy byliśmy zdesperowani. Ludzie z gór... wkrótce po tym, jak odesłałem Hassalla do domu... Simurgh...

Głos Cartwrighta ścichł.

– Co to było? – zapytał szeptem stojący za plecami Malcolma Schlesinger. – To ostatnie słowo?

– Później ci powiem. Doktorze Cartwright, jest pan jeszcze z nami?

– Ludzie z gór... mieli nowoczesną broń.

– Jaką?

– Karabiny maszynowe, półciężarówki, wszystko nowe i w dużej ilości.

– Wie pan, kto ich finansował?

Cartwright próbował odkaszlnąć, ale nie starczyło mu siły, żeby całkowicie oczyścić gardło.

– Proszę się nie śpieszyć – powiedział Malcolm, widząc, ile wysiłku kosztuje go ta rozmowa.

Za jego plecami Bud rozmawiał z pielęgniarką, on jednak pozostał skupiony na

Cartwrightcie, który gestami dał mu znać, żeby pomógł mu usiąść. Malcolm objął go i dźwignął do pozycji siedzącej. Cartwright, rozpalony i bardzo lekki, znów spróbował zakaszleć. Suchy, świszczący kaszel zdawał się wstrząsać nim aż do kości.

Malcolm odwrócił się, żeby poprosić Buda lub pielęgniarkę o dodatkową poduszkę.

Nikogo za nim nie było.

– Bud?

Nagle zdał sobie sprawę, że Bud jest tam, gdzie był, tylko leży nieprzytomny na podłodze. Jego sowi dajmon spoczywał mu na piersi. Pielęgniarka zniknęła.

Malcolm ostrożnie położył Cartwrighta, doskoczył do Buda i zobaczył strzykawkę leżącą obok niego na dywanie. Na stole leżała pusta fiolka.

Szarpnięciem otworzył drzwi, wybiegł i dopadł do schodów. Pielęgniarka, która zdążyła już zbiec na parter, odwróciła się i spojrzała na niego. W ręce trzymała pistolet. Wcześniej Malcolm nie zwrócił uwagi, jaka jest młoda.

– Mal... – zaczęła Asta.

Pielęgniarka strzeliła.

Malcolm poczuł obezwładniający ból, chociaż nie umiałby powiedzieć, gdzie został trafiony. Upadł, na wpół zsunął się, na wpół sturlał po schodach i legł półprzytomny na dole, gdzie chwilę wcześniej stała pielęgniarka. Oparł się na rękach, dźwignął... i wtedy zobaczył, co ona robi.

– Nie! – zawołał. – Nie rób tego!

Próbował do niej doskoczyć. Stała w holu, przy samych drzwiach wejściowych, z pistoletem przyciśniętym od dołu do podbródka. Jej dajmon – słowik – kwilił przeraźliwie ze strachu i trzepocząc skrzydłami, rzucał jej się do twarzy, ale jej oczy, szeroko otwarte i błyszczące, pały ogniem prawości.

Pociągnęła za spust. Krew, kość i mózg bryznęły na drzwi, ścianę i sufit.

Malcolm osunął się na podłogę. Wokół niego gęstniał natłok wrażeń i odczuć: czuł zapachy wczorajszego gotowania, widział odbłask światła w plamie krwi na tle wyblakłej zielonej farby na drzwiach, w uszach mu dzwoniło po strzale, słyszał też odległy skowyt zdziczałych psów, ciche ciurkanie krwi pielęgniarki, gdy ostatnie skurcze dogorywającego serca wypychały jej resztki ze zdruzgotanej czaszki, i szept siedzącego przy nim dajmona.

I ból. O tak, ból był jak najbardziej obecny, zapulsował raz, drugi, trzeci, a potem przypuścił przeciągły, intensywny, skoncentrowany, okrutny szturm na prawe biodro.

Dotknął biodra i obejrzał dłoń: była mokra od krwi. Niedługo ból się nasili, ale na razie musiał przede wszystkim zająć się Budem. Czy zdoła się wspiąć na piętro?

Nawet nie próbował wstawać: najpierw doczołgał się do schodów, a potem zaczął się po nich podciągać stopień za stopniem, używając rąk i lewej nogi.

– Nie wysilaj się tak – odezwała się cicho Asta. – Bardzo krwawisz.

– Chcę tylko sprawdzić, co z Budem.

Na podeście u szczytu schodów zdołał wstać i przemieścić się do pokoju chorego. Bud leżał na podłodze, nadal nieprzytomny, ale przynajmniej oddychał miarowo. Malcolm odwrócił się do Cartwrighta i przysiadł na skraju łóżka. Noga bardzo szybko mu sztywniała.

– Proszę mi pomóc usiąść – wyszeptał Cartwright.

Malcolm spróbował mu pomóc: nie bez kłopotu podniósł go do pozycji siedzącej

i oparł plecami o wezglowie. Dajmon Cartwrighta niezdarnie stoczył mu się na ramię.

– Pielęgniarka... – zaczął Malcolm.

Cartwright pokręcił głową, co przyplącił kolejnym napadem kaszlu.

– Za późno... – zdołał wykrztusić. – Jej też zapłacili... Podawała mi narkotyki...
żebym mówił... a teraz truciznę...

– Zapłacili jej? – zdziwił się Malcolm. – Kto, ludzie z gór?

– Nie, nie. Im też zapłacono. To ogromny medyczny...

Kolejny atak kaszlu, tym razem połączony z nudnościami. Odrobina żółci pociekła Cartwrightowi z ust i skapnęła z brody na pierś. Malcolm otarł ją ręką prześcieradła.

– Ogromny medyczny...? – ponaglił.

– TP.

– TP? – powtórzył Malcolm, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Farmaceutyczny... Finansowanie... TP... Napis na ciężarówkach... –
Cartwright zamknął oczy. Jego pierś uniosła się gwałtownie, zarzęził, a potem nagle
cały zeszywniał, rozluźnił się i już nie żył. Jego dajmon zmienił się w obłok
niewidzialnych cząstek i rozpląnął w powietrzu.

Ból w biodrze Malcolma wzmógł się, siły go opuszczały. Powinien obejrzeć ranę;
powinien zatroszczyć się o Schlesingera; powinien złożyć raport Oakley Street.

Nigdy przedtem nie odczuwał tak silnej i przemożnej ochoty, żeby się przespać.

– Asta? Pilnuj, żebym nie zasnął – poprosił.

– Malcolm? – dobiegło niewyraźnie z podłogi. – To ty?

– Bud! Wszystko w porządku?

– Co się stało?

Dajmon Schlesingera chwiał się na nogach i trzepotał niepewnie skrzydłami. Bud
z wysiłkiem usiadł.

– Pielęgniarka coś ci podała, straciłeś przytomność – wyjaśnił Malcolm. –
Cartwright nie żyje. Podtruwała go.

– Co tu się, kurczę... Krwawisz, Malcolm. Nie ruszaj się.

– Coś ci wstrzyknęła, kiedy nie patrzyłem. Potem zbiegła na dół, a ja jak ostatni
głupek pobiegłem za nią. Postrzeliła mnie, a potem palnęła sobie w łeb.

Schlesinger złapał się podnóża łóżka. Cokolwiek wstrzyknęła mu pielęgniarka,
miało krótkotrwałe działanie: Malcolm wyraźnie widział, że jego przyjaciel z każdą
sekundą coraz przytomniejszym wzrokiem patrzy na nasiąkniętą krwią nogawkę jego
spodni.

– No dobra – orzekł Bud. – Przede wszystkim musimy cię stąd wyciągnąć
i wezwać lekarza. Wymknijemy się tyłem, pójdziemy przez bazar. Dasz radę iść?

– Powoli, powłócząc nogą... Będziesz musiał mi pomóc.

Bud wstał i potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć.

– W takim razie chodźmy – powiedział. – Albo nie, zaczekaj: włóż to. – Wyjął
z szafy długi płaszcz przeciwdeszczowy i pomógł Malcolmowi go włożyć. – Nie
będzie widać tej całej krwi.

– Możemy iść – powiedział Malcolm.

Dwie godziny później, kiedy zaufany lekarz Buda obejrzał i opatrzył ranę Malcolma, usiedli we troje przy herbacie w konsulacie, gdzie Bud z Anitą zatrzymali się na czas remontu mieszkania.

– Co powiedział lekarz? – spytała Anita.

– Pocisk zahaczył o kość biodrową, ale jej nie złamał. Mogło być znacznie gorzej.

– Boli?

– Bardzo, dał mi środki przeciwbólowe. Ale mówcie o Lyrze.

– Chyba byś jej teraz nie poznał. Ma krótkie ciemne włosy i okulary.

Malcolm spróbował sobie wyobrazić Lyrę jako brunetkę w okularach. Bez powodzenia.

– Czy to możliwe, żeby ktoś was śledził, kiedy szliście do mieszkania?

– Pytasz, czy to dlatego podłożono ogień? – wtrącił się Bud. – Bo myśleli, że może wciąż u nas jest? Wątpię. Po pierwsze, na pewno nikt nas nie śledził, kiedy wychodziliśmy z kawiarni. Po drugie, wiedzą przecież, gdzie mieszkam. To nie tajemnica. Agencje wywiadowcze nie wchodzą sobie nawzajem w paradę, chociaż oczywiście mają się nawzajem na oku. Podpalenia, butelki z benzyną... To nie w stylu miejscowych. Martwię się, co stało się z Lyrą później, kiedy już wsiadła w pociąg do Seleucji.

– Co zamierzała tam robić? Powiedziała wam?

– Miała taki osobliwy pomysł, z rodzaju tych, że jak człowiek o nich usłyszy, to brzmia niedorzecznie, ale kiedy mówi o nich ktoś taki jak ona... Na pustyni pomiędzy Aleppo i Seleucją są dziesiątki, może nawet setki opuszczonych miasteczek i wsi. Umarłe miasta, tak je tam nazywają. Ruiny zamieszkałe przez węże i jaszczurki. W jednym z tych umarłych miast, tak przynajmniej ludzie mówią, żyją dajmony. Tylko dajmony. Lyra usłyszała o nim dawno temu, jeszcze w Anglii, od jakiegoś człowieka na łodzi. Tutaj, w Smyrnie, spotkała się z pewną starszą damą, księżną Cantacuzino, która również jej o nim opowiadała. Chciała się tam udać i odszukać swojego dajmona.

– Mówisz tak, jakbyś nie bardzo w to wierzył – zauważył Malcolm.

Schlesinger napił się herbaty.

– Szczerze mówiąc – odparł – nie wiem, co o tym myśleć. Księżna to bardzo interesująca osoba, uczestniczka głośnego przed laty skandalu. Jeżeli kiedyś wyda wspomnienia, będą bestsellerem. Ale do rzeczy: jej dajmon również od niej odszedł, tak jak dajmon Lyry. Jeżeli nawet Lyra dotrze do Seleucji...

– Jak to: jeżeli nawet?

– Czasy są ciężkie, Mal. Widziałeś, ilu ludzi ucieka przed konfliktem na wschodzie? Turcy mobilizują wojsko, bo przewidują kłopoty, ja również się ich spodziewam, a ta młoda kobieta pcha się w sam środek tego zamieszania. Dlatego powtórzę: jeżeli nawet dotrze do Seleucji, będzie jeszcze musiała się w jakiś sposób dostać do tego Błękitnego Hotelu. Co chcesz zrobić, kiedy ją znajdziesz?

– Razem ruszymy dalej na wschód, do miejsca, z którego pochodzą róże.

– Na zlecenie Oakley Street?

– Oczywiście. Jakżeby inaczej?

– Nie wmówisz nam, że to takie proste – odezwała się Anita. – Ty się w niej podkochujesz.

Wielkie znużenie zaciążyło nagle na sercu Malcolma i musiało się odmalować na

jego twarzy, bo Anita dodała:

– Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić, to nie moja sprawa.

– Pewnego dnia ja też wydam pamiętniki – odparł Malcolm. – Ale mniejsza z tym. Przed śmiercią Cartwright mówił o ludziach z gór, którzy napadli na jego instytut. Powiedział, że sponsorowało ich jakieś „TP”. Wiecie, o co może chodzić?

Bud odął policzki.

– Thuringia Petroleum – odparł. – Żli ludzie.

– Potash – poprawiła go żona. – Nie Petroleum, Potash.

– Rzeczywiście, u licha, masz rację: Potash. Anita napisała o nich artykuł.

– Który nie został opublikowany – dopowiedziała Anita. – Wydawca się spietrał.

To bardzo stara firma, od stuleci wydobywają potaż w Turyngii i dostarczają go producentom nawozów, materiałów wybuchowych i innych chemikaliów. Ale około dwudziestu lat temu zaczęli dywersyfikować działalność i zainwestowali w produkcję, bo z tego były pieniądze, głównie w produkcję broni i leków. To prawdziwy gigant, Malcolmie. Dawniej starali się unikać reklamy i rozgłosu, ale wolny rynek tego nie lubi, więc, chcąc nie chcąc, przystosowują się do nowych warunków. Wielkim sukcesem było wprowadzenie na rynek przeciwbólowego treptizamu. Zarobili na nim fortunę i wszystko przeznaczyci na prace badawcze. To prywatna firma, nie ma żadnych akcjonariuszy, którzy dopominaliby się o dywidendę. Zatrudniają świetnych naukowców. Na co patrzysz?

Malcolm z niewyraźną miną wyjął z kieszeni fiolkę pastylek.

– Treptizam – przeczytał na etykiecie.

– Sam widzisz – powiedział Bud. – W nazwie każdego ich produktu występują litery T i P. Więc Cartwright twierdził, że to oni uzbroili terrorystów? Ludzi z gór?

– Mieli te inicjały wymalowane na samochodach.

– Czyli TP chodzi o róże.

– Najwidoczniej. To sporo wyjaśnia. Mógłbym zerknąć na ten twój artykuł, Anito? Chętnie dowiem się czegoś więcej na temat tła tego konfliktu.

Anita pokręciła głową.

– Większość mojego archiwum spłonęła w mieszkaniu. Tyle pracy...

– A czy twoja praca mogła być przyczyną podpalenia?

Anita zerknęła pytająco na Buda, który niechętnie pokiwał głową.

– Jedną z przyczyn na pewno – odparł.

– Bardzo mi przykro. Na razie powinienem chyba podążyć śladem Lyry.

– Powiedziałem jej, żeby znalazła w Aleppo beja Mustafę. To kupiec, który wszystkich zna i wszystko wie. Najprawdopodobniej po przybyciu do miasta Lyra uda się prosto do niego. Ja bym tak zrobił. Znajdziesz go w kawiarni Marletto.

Bud kupił Malcolmowi nowe, czyste ubranie i laskę, po czym odprowadził go na dworzec, gdzie Malcolm zamierzał wsiąść do ekspresu do Aleppo.

– Co zrobicie z kryjówką, w której ulokowaliście Cartwrighta?

– Policja już tam jest – odparł Bud. – Ktoś zgłosił strzelaninę. Wydostaliśmy się w ostatniej chwili, ale miejscówka jest spalona. Opiszę wszystko w raporcie dla

Oakley Street.

- Dzięki Bud. Jestem twoim dłużnikiem.
- Pozdrów Lyre, jeśli...
- Pozdrowię.

Pociąg ruszył. Obolały Malcolm usadowił się w wygodnym, klimatyzowanym przedziale i z plecaka Hassalla wyjął zaczytany egzemplarz *Dżahana i Ruchsany*, żeby się czymś zająć i nie myśleć o rwącym biodrze.

Poemat opowiadał historię dwojga kochanków i podejmowane przez nich próby pokonania wuja Ruchsany, czarnoksiężnika Kourasza, oraz zawładnięcia bezcennym ogrodem różanym. Utwór był wyjątkowo wielowątkowy, fabuła obfitowała w zwroty akcji, dygresje, niewiarygodne wydarzenia i wszelkie możliwe baśniowe stwory. W jednej ze scen Dżahan musiał okiełznać skrzydlatego konia, by polecieć nim na księżyc i uratować Ruchsanę uwięzioną tam przez Królową Nocy, w innej Ruchsana za pomocą zakazanego amuletu powstrzymała zagrażającego im ognistego demona imieniem Razvani. Po każdej przygodzie następowały szczegółowe komentarze do niej, niczym malutkie wiry skutków ubocznych oddzielające się od głównego nurtu opowieści. Zdaniem Malcolma rzecz była mocno niestrawna, ale ratowały ją entuzjastyczne, zachwycająco poetyckie opisy świata materialnego, samego ogrodu różanego, a także uciech zmysłowych, jakie stają się udziałem tych, którzy dotrą do niego w stanie oświecenia.

- Albo to coś znaczy – powiedział do Asty – albo nie.
- Osobiście stawiam na „coś”.

Byli sami w przedziale. Następny przystanek był przewidziany w rozkładzie jazdy za godzinę.

- Dlaczego?
- Hassall nie taszczyłby tej książki po próżnicy.
- Może była dla niego ważna ze względów osobistych?
- Powinniśmy dowiedzieć się o nim jak najwięcej, żeby zrozumieć, dlaczego tak ją sobie cenił.

– Może ważny był nie tyle sam poemat, co raczej to konkretne wydanie? Może nawet ten konkretny egzemplarz?

- Książka szyfrów...
- Na przykład.

Jeżeli dwie osoby miały egzemplarze tego samego wydania tej samej książki, mogły przekazywać sobie zaszyfrowane wiadomości: wyszukiwały potrzebne im słowo, zapisywały numer strony, wiersza i słowa w wierszu, potem następne słowo i tak dalej. Dopóki nikt postronny nie wiedział, o jaką książkę chodzi, szyfr był praktycznie nie do złamania.

Druga możliwość była taka, że konkretny egzemplarz sam był nośnikiem wiadomości: wystarczyło w odpowiedni sposób wskazać tworzące ją litery lub słowa – chociażby stawiając przy nich kropkę ołówkiem. Problem z tą metodą polegał na tym, że wiadomość byłaby czytelna dla wroga, który przechwyciłby książkę; właściwie trudno by ją nazwać „tajną”. Malcolm poświęcił sporo czasu na wyszukanie jakichś szczególnych znaków, kilkakrotnie nawet zdawało mu się, że coś znalazł, ale za każdym razem okazywało się, że to tylko defekty taniego, chropowatego papieru.

- Delamare jest wujem Lyry – przypomniała Asta.

– Co z tego?

Chwilami naprawdę bardzo wolno kojarzył fakty.

– Kourasz jest wujem Ruchsany – mówił dalej dajmon – i próbuje zawładnąć ogrodem różanym.

– Rzeczywiście! Masz rację. Ale kim byłby Dżahan?

– Nie żartuj, Mal.

– Oni są kochankami.

– Nie to jest najważniejsze.

– To wszystko zbieg okoliczności.

– Skoro tak mówisz... Sam powiedziałaś, że szukasz powodów, by uznać tę książkę za ważną.

– To nie tak. Ja już w tej chwili uważam, że jest ważna. Szukam natomiast dobrego powodu, dla którego tak jest. Jeden zbieg okoliczności, nawet dwa, to za mało.

– Jeden, dwa... Być może. Ale kiedy robi się ich więcej...

– Wchodzisz w rolę adwokata diabła.

– To ważna rola. Sceptycyzm zdrowa rzecz.

– Zawsze myślałem, że jesteś łatwowierna.

Wdali się w szermierkę słowną. Często ją uprawiali – on agitował za tezę X, ona opowiadała się za Y, a potem w ułamku sekundy zamieniali się stanowiskami i przrzucali argumentami przeciwnymi, aż w końcu dochodzili do wniosków, które satysfakcjonowały ich oboje.

– To miejsce, którego szuka Lyra – powiedziała Asta – to umarłe miasto... Jak myślisz, dlaczego mieszkają w nim dajmony? Jest coś podobnego w tym poemacie?

– A wiesz, że faktycznie jest? Po tym, jak cień Ruchsany zostaje skradziony, dziewczyna musi go odzyskać z krainy zarghuli.

– Kim są zarghule?

– Diablami pożerającymi cienie.

– I co, udaje jej się?

– Tak, ale musi w zamian poświęcić coś innego.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Jest jeszcze... – odezwał się Malcolm.

– Tak?

– Jest taki fragment, w którym Ruchsana zostaje schwytana przez czarodziejkę Szachadę, Królową Nocy. Dżahan ją wtedy ratuje...

– Mów dalej.

– Używa podstępu: zawiązuje na jedwabnej szarfie Szachady sprytny węzeł, którego ona nie potrafi rozwiązać. Kiedy czarodziejka zмага się z supłem, Dżahan z Ruchsaną uciekają.

Malcolm zawiesił głos i czekał.

– No tak! – zorientowała się po chwili Asta. – Elfka z Tamizy i pudełko, którego nie umiała otworzyć!

– Właśnie, Diania. Podobna historia.

– Mal, to...

– Wiem, podobieństwo jest niezaprzeczalne.

– Ale co takie zbieżności mogą oznaczać? Może tylko od twojego usposobienia

zależy, czy uznasz je za znaczące?

– To by oznaczało, że w rzeczywistości nie są znaczące – zauważył Malcolm. –

A przecież ich znaczenie powinno być obiektywne, niepodważalne, bez względu na to, czy się w nie wierzy, czy nie, prawda?

– Może błędem jest odmawianie ich dostrzeżenia, może powinniśmy bardziej się zaangażować, podjąć decyzję, opowiedzieć się po właściwej stronie. Jak się kończy poemat?

– Znajdują ogród, pokonują czarnoksiężnika i biorą ślub.

– I żyją długo i szczęśliwie. Co zrobimy, Mal? Uwierzymy czy nie? Czy te podobieństwa znaczą to, co wydają się znaczyć? I w ogóle co w tym wypadku znaczy słowo „znaczyć”?

– To akurat łatwe, o znaczeniu rzeczy decyduje jej związek z innymi rzeczami. W tej konkretnej sytuacji chodzi o związek z nami.

Pociąg zaczął zwalniać. Znajdowali się na obrzeżach nadmorskiego miasteczka.

– Tu chyba nie mieliśmy się zatrzymywać – zdziwiła się Asta.

– Nie. Może zwalniamy, bo na sąsiednim torze są prowadzone jakieś prace remontowe...

Jednak nie o to chodziło. Pociąg zwolnił jeszcze bardziej i w żółwym tempie wtoczył się na stację. Przy resztkach dziennego światła Malcolm z Astą ujrzeli kilkanaścioro ludzi zgromadzonych wokół podwyższenia, z którego ktoś przemawiał albo uroczyście się żegnał: mężczyzna w ciemnym garniturze i eleganckiej koszuli zszedł z podestu, zaczęło się ściskanie dłoni i pożegnalne objęcia. Musiał być kimś bardzo ważnym, skoro kompanii kolejowej opłacało się dla niego zmieniać rozkład jazdy. Stojący w głębi tragarz wziął dwie walizki i wstawił je do pociągu.

Malcolm próbował się poruszyć, bo zraniona noga zeszywniała, ale ból nie ustępował. Nie mógł wstać.

– Połóż się – poradziła mu Asta.

Pociąg ruszył i zniechęcenie osiadło na Malcolmie ciężko jak padający śnieg. Siły opuszczały go z każdą chwilą, może już nigdy nie ruszy się z miejsca. Wrażenie osłabienia w całym ciele cofnęło go o dwadzieścia lat, do czasu powodzi i przerażającego mauzoleum, gdzie musiał zdobyć się na najwyższy wysiłek, żeby ocalić Alice przed Gerardem Bonneville'em. Alice wiedziałyby, co teraz zrobić. Wyszepał jej imię.

Słyszac go, Asta próbowała odpowiedzieć, ale była nie mniej niż on oszołomiona bólem i gdy stracił przytomność, ona również zemdląca. Kiedy konduktor przyszedł sprawdzić bilety, leżała nieprzytomna na piersi Malcolma. Kałuża krwi na podłodze rozlewała się coraz szerzej.

Norman i Barry

Alice Lonsdale robiła porządki w pościeli – odkładała na bok powłoczki i prześcieradła, które nadawały się jeszcze do połatania, i darła na szmaty te, których nic już nie mogło uratować – gdy do pokoju wszedł kamerdyner, pan Cawson.

– Alice? – zagadnął. Miał bardzo poważny wyraz twarzy, ale właściwie zawsze tak wyglądał. – Mistrz chce cię zobaczyć.

– Po co?

– Wszystkich wzywa. Przypuszczam, że chodzi o recenzję służby.

Mianem „recenzji” określano doroczne spotkanie studenta z opiekunem naukowym, na którym ten drugi oceniał postępy tego pierwszego.

– Ty już u niego byłeś? – Alice odwiesiła fartuch.

– Jeszcze nie. Masz jakieś wieści o Lyrze?

– Nie i prawdę mówiąc, zamartwiam się o nią na śmierć.

– Jakby zniknęła z powierzchni ziemi. Mistrz czeka w biurze kwestora, w jego własnym gabinecie jest remont.

Alice nie przejęła się zbyt perspektywą spotkania z mistrzem kolegium, chociaż nigdy za nim nie przepadała, a odkąd dowiedziała się, jak potraktował Lyrę, szczerze go znienawidziła. Wiedziała, że dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków, a poza tym z czasem tak bardzo poszerzyła ich zakres, że z punktu widzenia kwestora, kamerdynera, a niewątpliwie także i dawnego mistrza stała się osobą absolutnie niezbędną dla sprawnego funkcjonowania kolegium. Ba, dwa lub trzy inne kolegia poszły za przykładem Jordana i również zatrudniły gospodynie, łamiąc w ten sposób wielowiekową oksfordzką tradycję posiadania wyłącznie męskiej służby. Była więc pewna, że bez względu na to, o czym chce z nią rozmawiać doktor Hammond, z pewnością nie jest niezadowolony z jej pracy. Zresztą nawet gdyby się myliła, to powinna odpowiadać przed kwestorem, nie przed mistrzem. Ciekawe.

Zastukała do sekretariatu kwestora i weszła do środka. Wiewiórczy dajmon Janet, sekretarki kwestora, wybiegł na spotkanie Bena, dajmona Alice, którą z niewiadomych powodów przeszedł w tym momencie dreszcz strachu. Sama Janet – drobna, ładna kobieta po trzydziestce – co rusz nerwowo popatrywała na drzwi gabinetu, a teraz przytknęła palec do ust.

Alice podeszła do niej.

– Co się dzieje? – spytała półgłosem.

– Jest u niego dwóch ludzi – odparła szeptem Janet – z KSD. Nie powiedział wprost, że są z KSD, ale to widać.

– Z kim jeszcze się spotkał?

– Z nikim.

– Podobno miał wzywać do siebie wszystkich służących?

– Nie. Po prostu kazał mi tak właśnie powiedzieć panu Cawsonowi. Alice, proszę cię, bądź...

Drzwi gabinetu otworzyły się i w progu stanął doktor Hammond we własnej osobie. Na jego twarzy malował się mdły uśmiech powitalny.

– Dzień dobry, pani Lonsdale. Cieszę się, że pani przyszła. Zaparz nam kawy, Janet, dobrze?

– Tak, proszę pana – przytaknęła Janet, bardziej zdumiona i załękiona niż Alice.

– Proszę – powiedział Hammond. – Zapraszam. Mam nadzieję, że nie odrywam pani od pracy. Chciałem porozmawiać.

Przytrzymał drzwi i Alice weszła do gabinetu. Istotnie, w środku znajdowało się jeszcze dwóch innych mężczyzn. Obaj siedzieli, żaden z nich nie wstał, nie uśmiechnął się, nie wyciągnął ręki na powitanie. Alice potrafiła na żądanie emitować promienie stężonej oziębłości (tak to sobie zawsze wyobrażała) – i to właśnie teraz zrobiła. Mężczyźni nie poruszyli się, ich twarze nie zmieniły wyrazu, ona jednak była pewna, że promienie dosięgły celu.

Usiadła na trzecim z ustawionych przed biurkiem krzesel, pomiędzy dwoma nieznanymi. Była szczupła i pełna wdzięku i choć nigdy nie była piękna czy atrakcyjna w konwencjonalnym sensie tego słowa, emanowała intensywnym seksapilem; Malcolm najlepiej o tym wiedział. Teraz też spróbowała wytrącić w ten sposób intruzów z równowagi.

Kiedy mistrz usiadł za biurkiem i rzucił jakiś banał o pogodzie, nie zareagowała.

– Pani Lonsdale – odezwał się znowu, usadowiwszy się wygodnie – ci dwaj dżentelmeni z rządowej agencji do spraw bezpieczeństwa chcieliby zadać pani parę pytań. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli spotkanie odbędzie się w dyskretnym miejscu i w mojej obecności. Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza?

– Pan Cawson powiedział mi, że wzywa pan na rozmowy wszystkich służących i że chodzi o wewnętrzne sprawy kolegium. Nie miał pojęcia o obecności tych panów z policji.

– Nie są z policji, pani Lonsdale. Raczej ze... służby cywilnej? Tak czy inaczej, powtórzę, że uznałem za stosowne zachować dyskrecję.

– Obawiał się pan, że nie przyjdę, kiedy usłyszę o ich obecności?

– Ach, pani Lonsdale, jestem pewien, że zna pani swoje obowiązki. Panie Manton, zechce pan zacząć?

Starszy z nieznanomych siedział na lewo od Alice. Zerknęła na niego tylko raz, przelotnie: był nijako przystojny, nosił schludny szary garnitur i krawat w paski, a jego ciało świadczyło o przesadnym zainteresowaniu podnoszeniem ciężarów. Jego dajmon miał postać wilka.

– Pani Lonsdale – odezwał się teraz – nazywam się kapitan Manton i jestem...

– Nie możesz się nazywać „kapitan Manton”, bo kapitan to stopień, nie imię. A skoro już o tym mowa: kapitan czego? Bo mnie wyglądasz na funkcjonariusza tajnej policji. Mam rację?

Mówiąc do Mantona, Alice patrzyła na doktora Hammonda. Jego spojrzenie pozostało zupełnie beznamiętne.

– W tym kraju nie ma tajnej policji, pani Lonsdale – odparł Manton. – Ma pani natomiast rację w innej kwestii: istotnie, kapitan jest moim stopniem. Jestem wojskowym, tymczasowo oddelegowanym do żandarmerii. Obecny tu mój towarzysz to sierżant Topham. Interesuje nas młoda kobieta, którą pani zna: Lyra Belacqua.

– Nie nazywa się Belacqua.

– O ile mi wiadomo, używa przydomka „Złotousta”, jednakże nie jest to jej oficjalne nazwisko. Gdzie obecnie przebywa panna Belacqua, pani Lonsdale?

– Wał się – odparła spokojnie Alice.

Cały czas patrzyła na mistrza kolegium, którego wyraz twarzy nie zmienił się ani na jotę. Tylko policzki zaczynały mu leciutko różowieć.

– Nie pomaga sobie pani takim zachowaniem – zauważył Manton. – W tym momencie i w tym otoczeniu jest to tylko przejaw złych manier, powinienem jednak panią ostrzec...

Otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Janet z tacą.

– Dziękuję, Janet – powiedział doktor Hammond. – Postaw na biurku, z łaski swojej.

Janet odruchowo zerknęła na Alice, która nie odrywała wzroku od mistrza.

– Tak? – spytała Alice Mantona. – Chciałeś mnie przed czymś ostrzec?

Czoło Hammonda przecięła ledwie zauważalna zmarszczka. Spojrzał na Janet.

– Po prostu zostaw tę kawę i wyjdź – powiedział.

Janet postawiła tacę na biurku. Ręce jej się trzęsły. Niemalże na paluszkach przemknęła do drzwi i wyszła. Hammond pochylił się nad blatem i zaczął nalewać kawę do filiżanek.

– To nie było zbyt rozsądne, pani Lonsdale – powiedział Manton.

– Moim zdaniem było to całkiem cwane.

– Naraża pani przyjaciółkę na niebezpieczeństwo.

– Skąd ten pomysł? Czyżby coś mi zagrażało?

Mistrz podał pierwszą filiżankę Mantonowi, drugą sierżantowi Tophamowi.

– Najlepiej chyba będzie, pani Lonsdale – wtrącił – jeśli po prostu będzie pani odpowiadać na pytania.

– Alice? – zwrócił się do niej Manton. – Mogę tak do ciebie mówić?

– Nie.

– Rozumiem. Pani Lonsdale, niepokoimy się o młodą damę, którą niegdyś opiekowała się pani w Kolegium Jordana. Mam na myśli Lyrę Belacquę.

Manton wypowiedział to nazwisko z wyraźnym naciskiem. Alice nie zareagowała. Hammond zmrużył oczy.

– Gdzie ona jest? – To sierżant Topham pierwszy raz zabrał głos.

– Nie wiem – odpowiedziała Alice.

– Ma pani z nią jakiś kontakt?

– Nie.

– Wie pani, dokąd się udała?

– Nie.

– Kiedy ostatnio ją pani widziała?

– Z miesiąc temu...? Nie wiem dokładnie. Jesteście z KSD, prawda?

– To nie ma nic do...

– Tak, na pewno, założę się: jesteście z KSD. Pytam, bo w dniu, kiedy widziałam

ją po raz ostatni, wasze bandziory przysły tu, do kolegium. Wdarły się do jej pokoju, do którego nie powinny mieć wstępu, i zrobiły w nim regularny pieprznik. Na pewno wiecie, kiedy to było, wiecie więc również, kiedy się widziałyśmy. Od tamtej pory nie mam pojęcia, gdzie Lyra się podziewa. Właściwie to wcale nie mam pewności, czy sami jej nie porwaliście i nie trzymacie jej teraz w którymś z tych swoich zatęchłych lochów. Może powinniście tam poszukać?

Cały czas patrzyła na Hammonda. Róż odpłynął mu z policzków, które wyraźnie pobladły.

– Wydaje mi się, że czegoś nam pani nie mówi, pani Lonsdale – zauważył Manton.

– Ach tak? I to ma być prawda, bo tak ci się wydaje?

– Uważam, że wie pani więcej niż...

– Odpowiedz na moje pytanie, to wtedy może ja odpowiem na twoje.

– To nie zabawa, pani Lonsdale. Jestem władny zadawać pytania i mogę panią aresztować, jeżeli nie będzie mi pani udzielać na nie odpowiedzi.

– Wydawało mi się, że w takim miejscu jak Kolegium Jordana nie wolno w ten sposób terroryzować ludzi. Czyżbym się myliła, doktorze Hammond?

– W przeszłości istniała instytucja tak zwanego azylu akademickiego – przyznał mistrz – ale to przeżytek. Zresztą i tak chronił tylko akademików. Służący mają obowiązek odpowiadać na pytania zarówno tutaj, w murach kolegium, jak i poza ich obrębem. Proszę odpowiedzieć, pani Lonsdale, dobrze pani radzę.

– Dlaczego?

– Jeżeli będzie pani współpracować z tymi dżentelmenami, kolegium zapewni pani opiekę adwokata. Jeśli jednak będzie się pani upierać przy takiej zadziornej wrogości, nie będę mógł pani pomóc.

– Zadziorna wrogość... Jak to brzmi!

– Zapytam jeszcze raz – zabrał znowu głos Manton. – Gdzie jest Lyra Belacqua?

– Nie wiem. Wyruszyła w podróż.

– Dokąd?

– Nie wiem. Nie powiedziała mi.

– W to akurat nie wierzę, pani Lonsdale. Jesteście sobie bardzo bliskie. O ile dobrze zrozumiałem, zna pani tę młodą damę od dziecka. Dlatego wątpię, by wyjechała ot tak, pod wpływem kaprysu, i nie powiedziała pani, dokąd się udaje.

– Kaprysu? Wyjechała, bo wasi bandyci ją ścigali! Bała się, a ja wcale jej się nie dziwię. Kiedyś była w tym kraju sprawiedliwość. Nie wiem, czy pamięta pan te czasy, doktorze Hammond, może przebywał pan wtedy za granicą, ale dawniej było tak, że trzeba było mieć powód do aresztowania człowieka. A „zadziorna wrogość”, jak to pan nazwał, nie była takim powodem.

– Sedno problemu leży gdzie indziej – odparł Manton. – Może sobie pani być wroga i zadziorna do woli, mnie to nie przeszkadza. Nie jestem tym zainteresowany. Jeżeli panią aresztuję, to nie z powodu pani stanu emocjonalnego, lecz ze względu na fakt, że odmawia pani odpowiedzi na moje pytanie. Jeszcze raz zatem...

– Przecież już powiedziałam, że nie wiem, gdzie ona jest.

– A ja pani nie wierzę. Uważam, że wie pani, gdzie jest panna Belacqua, i zamierzam dopilnować, żeby mi to pani powiedziała.

– W jaki sposób zamierzasz tego dopilnować? Aresztujesz mnie? Wydasz na

tortury?

Manton parsknął śmiechem.

– Nie wiem, jakich drastycznych i krwawych historii się pani naczytała – wtrącił Topham – ale w tym kraju nie torturuje się ludzi.

– Naprawdę? – zwróciła się Alice do Hammonda.

– Naprawdę – potwierdził. – Angielskie prawo zabrania tortur.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Alice wstała i podeszła do drzwi. Ben, jej dajmon, zwykle zamknięty w sobie, powolny, nawet ospały, był jednak zdolny do dzikich wybuchów wściekłości i teraz zajadle warczał i kłapał pyskiem na dajmony wojskowych, trzymając je w szachu, gdy Alice wyszła do pokoju Janet.

Zaniepokojona sekretarka podniosła na nią wzrok. Pan Stringer, kwestor, który przez ten czas zjawiał się w biurze, stał obok niej i przeglądał pocztę.

– Janet... panie Stringer... biorę was na świadków... – zdążyła wykrztusić Alice, zanim Topham złapał ją pod lewe ramię.

– Alice! – krzyknęła Janet. – Co się...

Kwestor stał jak skamieniały i tylko patrzył; jego dajmon przefrunął mu z jednego ramienia na drugie. W następnej sekundzie Alice zamachnęła się prawą ręką i mocno spoliczkowała Tophama. Janet zapało dech w piersi. Ben gryzł się i szarpał z dajmonami obu żołnierzy. Sierżant bynajmniej nie puścił Alice, tylko obrócił ją i wykręcił jej rękę na plecy.

– Powiedźcie wszystkim! – wykrzyknęła. – Niech całe kolegium się dowie! Powiedźcie też ludziom z zewnątrz, że aresztuję mnie za...

– Dość tego – uciął Manton, który właśnie dołączył do Tophama i złapał szarpiącą się Alice za drugą rękę.

– Oto, co się dzieje dziś w naszym kolegium – ciągnęła wzburzona – pod rządami tego człowieka. To on na to pozwala, to w taki sposób chce...

– Alice Lonsdale! – Manton podniósł głos, żeby ją przekrzyczeć. – Aresztuję panią za utrudnianie funkcjonariuszowi wykonywania obowiązków służbowych...

– Oni szukają Lyry! – krzyczała Alice. – To o nią im chodzi! Powiedźcie wszystkim...

Poczuła, że ciągną jej ręce w tył, próbowała wykorzystać ten ruch, gdy nagle rozległ się szcęk zamka i twarde metalowe krawędzie werżnęły jej się w nadgarstki. Znieruchomiała. Nie było sensu szarpać się z kajdankami.

– Doktorze Hammond, jestem zmuszony zaprotestować... – zaczął kwestor na widok wychodzącego z gabinetu mistrza.

Topham zarzucił tymczasem na szyję Bena łańcuch, którego drugi koniec był zaczepiony do długiego, solidnego kija owiniętego skórą. Upokorzony dajmon walczył jak lew, warczał, gryzł i kłapał pyskiem, ale Topham był dobry w swoim fachu, wprawny i bezlitosny. Ben musiał skapitulować. Alice wiedziała jednak, że sierżanta czekają nie lada problemy, gdy tylko spróbuje zdjąć łańcuch.

– Raymondzie... – Mistrz zwrócił się do kwestora. – To bardzo smutna sprawa, smutna i zupełnie niepotrzebna. Wybacz, najwidoczniej byłem w błędzie, sądząc, że da się to załatwić w sposób taktowny.

– Ale czy takie użycie siły naprawdę było konieczne? Jestem wstrząśnięty, mistrzu. Pani Lonsdale od lat pracuje w kolegium.

– Ci panowie nie są z policji, panie Stringer – wtrąciła Alice – tylko z...

– Wyprowadź ją – polecił sierżantowi Manton.

Topham pociągnął Alice za sobą, ale stawiała opór.

– Powiedzcie wszystkim! – zawołała. – Wszystkim, których znacie! Janet, powiedz Normanowi i Barry’emu!

Topham pociągnął z całej siły. Alice straciła równowagę i runęła na podłogę. Ben na końcu łańcucha szarpnął się, wyszczerzył zęby i kłapnął szczękami o cal od gardła Mantona.

– Przejdźmy do gabinetu, Raymondzie.

Tak brzmiały ostatnie słowa mistrza, jakie usłyszała Alice. Zobaczyła jeszcze, jak Hammond obejmuje ramieniem kwestora i prowadzi go do biura, a potem mignęła jej przerażona twarz Janet. Poczowała ukłucie ostrej igły w ramię i straciła przytomność.

Wczesnym popołudniem, gdy tylko Janet zdołała się wymknąć z pracy, popedałowała ile sił w nogach Woodstock Road do skrzyżowania na Wolvercote. Jej dajmon, wiewiórka imieniem Axel, zmarznięty i przestraszony siedział w koszu na kierownicy.

Często bywała w Pstrągu z Alice i innymi przyjaciółmi i doskonale wiedziała, jak rozumieć jej ostatnie słowa. Norman i Barry – takie imiona nosiły dwa mieszkające w gospodzie pawie. Pierwsi Norman i Barry utonęli w czasie wielkiej powodzi, ale ich następcy zawsze dostawali te same imiona. Matka Malcolma twierdziła, że to oszczędność czasu.

Janet przejechała pędem przez Wolvercote, dotarła do Godstow i zdyszana, spocona skręciła do ogródka Pstrąga.

– Jesteś okropnie rozczochrana – poinformował ją Axel.

– Nie czepiaj się, na miłość boską!

Przyglądziła włosy i weszła do sali jadalnej. Pora była spokojna, tylko dwóch gości popijało coś i gwarzyło przy kominku. Pani Polstead, zajęta polerowaniem kieliszków, uśmiechnęła się na powitanie.

– Rzadko widzujemy cię tu o tej porze – powiedziała. – Masz wolne popołudnie?

– Przynoszę pilne wieści – odparła Janet najciszej jak tylko mogła. Goście przy kominku nie zwrócili na nią uwagi.

– Przejdźmy do Sali Tarasowej – zaproponowała pani Polstead i pierwsza zagłębiła się w korytarz. Ich dajmony, wiewiórka i borsuk, deptały im po piętach.

– Aresztowali Alice Lonsdale – wypaliła Janet, gdy tylko zamknęły za sobą drzwi.

– Co takiego?!

Janet opowiedziała, co się wydarzyło.

– I jak ją zabierali, powiedziała jeszcze do mnie: „Powiedz Normanowi i Barry’emu”, a ja oczywiście od razu się zorientowałam, że nie chodzi jej o pawie, tylko o ciebie i Rega. To było straszne! Nie wiem, co robić.

– Myślisz, że byli z KSD?

– O tak, z całą pewnością.

– I mistrz nie próbował ich w żaden sposób powstrzymać?

– Ha! Stanął po ich stronie! Pomagał im! Ale teraz to już się rozeszło po całym kolegium, ma się rozumieć, i ludzie są wściekli. Tak jak byli na niego wściekli, kiedy

odebrał Lyrze mieszkanie, a potem kiedy zniknęła. Ale chyba nic nie możemy zrobić, prawda? Ma prawo się tak zachować, nie łamie żadnych przepisów. Biedna Alice... Udało jej się nieźle spoliczkować jednego z tych łajdaków.

– Wyobrażam sobie. Z Alice lepiej nie zadzierać. A co na to wszystko kwestor?

– Kiedy wyszedł od mistrza, był jakiś taki... nie wiem, jak to powiedzieć... przygaszony? Jak nie on. Może nawet zawstydzony. Jordan stał się okropnym miejscem – zakończyła z emfazą Janet.

– Przydałoby się tam posprzątać. Pojedziesz ze mną?

– Dokąd?

– Do Jericho. Wyjaśnię ci po drodze.

Wsiadły na rowery i żwawo pomknęły ścieżką holowniczą przez Port Meadow, obok warsztatu szkutniczego, przez mostek i dalej Walton Well Road do Jericho.

Matka Malcolma знаła Hannah Relf niewiele krócej niż on sam i wiedziała, że Hannah będzie chciała jak najprędzej usłyszeć o czymś takim. Przenikliwa z natury Brenda Polstead miała pewne pojęcie o tym, co łączy jej syna z lady Hannah, mimo że nigdy z żadnym z nich dwojga o tym nie rozmawiała. Spodziewała się, że Hannah zna ludzi, z którymi warto by porozmawiać i którzy mogliby pomóc, a także wie, kogo należałoby ostrzec w następnej kolejności.

Skręcili w Cranham Street i stanęły jak wryte.

– To jej dom – powiedziała Brenda.

Przed domem Hannah stała furgonetka jantaryczna, do której jakiś mężczyzna pakował właśnie kartonowe pudła. Kiedy go obserwowały, jeszcze dwa razy wyszedł z domu, za każdym razem z naręczem kartonów lub teczek.

– To jeden z tych, którzy byli u nas rano – wyszeptła Janet.

Zaczęły iść chodnikiem w stronę furgonetki, prowadząc rowery. Niosący trzecią partię akt Topham odwrócił się, zobaczył je i spiorunował wzrokiem, ale nic nie powiedział. Zamknął tylko tylne drzwi samochodu, zanim wrócił do domu.

– Chodź – powiedziała Brenda.

– Co chcesz zrobić?

– Wpadniemy w odwiedziny do Hannah. Zwykła rzecz.

W ślad za Brendą Janet poprowadziła rower prosto pod dom i oparła go o murek okalający ogródek. Dajmon Brendy, barczysty borsuk o szerokim pysku, trzymał się bardzo blisko niej, gdy zadzwoniła do drzwi. Janet stanęła kilka stóp za jej plecami.

Ze środka dobiegły męskie głosy, w tle dało się słyszeć także Hannah: głosy mężczyzn były wyraźnie podniesione, jej głos brzmiał zupełnie spokojnie.

Brenda – kobieta po pięćdziesiątce w przyciasnym tweedowym płaszczu, na której twarzy malowała się spokojna determinacja – zadzwoniła po raz drugi i obejrzała się na Janet, a ona w tej chwili bardzo wyraźnie dostrzegła w jej postaci odbicie Malcolma, którego zawsze w sekrecie ogromnie podziwiała.

Drzwi się otworzyły, a Brenda odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z drugim z intruzów.

– Tak? – spytał oziębłym, ostrym tonem.

– Coście za jedni? – zdziwiła się Brenda. – Przyszliśmy odwiedzić moją przyjaciółkę Hannah. Pracujecie z nią?

– Jest w tej chwili zajęta. Będziecie panie musiały przyjść później.

– O nie, zobaczymy się z nią właśnie teraz. Byłyśmy umówione. Hannah! – zawołała głośno pani Polstead. – To ja, Brenda! Mogę wejść?

– Brenda! – odpowiedziała Hanna spiętym, nieco piskliwym głosem, który ucichł nagle jak nożem uciął.

– Co tu się dzieje? – spytała Brenda.

– To nie ma z paniami nic wspólnego. Lady Relf pomaga nam przy pewnych ważnych dochodzeniach. Jestem zmuszony prosić panie...

– Lady Relf, też coś – Głos Brendy ociekał pogardą. – Zejdź mi z drogi, niedouczone bałwanie. Hannah! Wchodzimy!

Dajmon Mantona ledwie zdążył warknąć, gdy borsuk capnął go za łapę i zepchnął Brendzie z drogi. Kiedy kapitan próbował ją zatrzymać i odepchnąć, grzmotnęła go prawą ręką w skroń z takim impetem, że zatoczył się i omal nie upadł.

– Topham! – zawołał.

Ale ona już go wyminęła i znalazła się przy drzwiach salonu. Hannah siedziała w sztywnej, nienaturalnej pozycji. Drugi intruz wykręcał jej rękę na plecy.

– Co ty sobie wyobrażasz? – ofuknęła go Brenda.

Zza jej pleców dobiegły odgłosy szamotaniny i podniesiony głos Janet:

– Łapy przy sobie!

– Uważaj, Brendo... – zaczęła Hannah, ale umilkła i skrzywiła się z bólu, gdy Topham mocniej wykręcił jej rękę.

– Masz ją natychmiast puścić – zażądała Brenda. – Zabieraj łapy i odsuń się od niej, ale już!

W odpowiedzi Topham użył jeszcze większej siły. Z ust Hannah dobył się jęk bólu.

Nagle coś potężnie wyrznęło Brendę w plecy. Poleciała do przodu, w głąb pokoju, prosto na krzesło na którym siedziała Hannah. Janet upadła obok niej po tym, jak Manton odepchnął ją z całej siły, żeby przestała się czepiać jego rękawów, i wszystkie trzy potoczyły się po podłodze w stronę kominka. Zatrzymały się dosłownie na wyciągnięcie ręki od płonącego w nim ognia.

Topham – zmuszony puścić Hannah i popchnięty przez dwie pozostałe kobiety – zatoczył się na oszkloną witrynkę, w której Hannah trzymała kolekcję porcelany, i razem z nią upadł.

Brenda wstała pierwsza, ściskając w dłoni pogrzebacz ze stojaka przy kominku. Janet, biorąc z niej przykład, chwyciła szufelkę. Hannah, bardziej poturbowana przy upadku, chwilowo się nie poruszała, więc Brenda przestąpiła nad nią i sama stanęła naprzeciw dwóch mężczyzn.

– A teraz w tył zwrot – powiedziała – i zmiatać mi stąd. Nic tu po was. Nie wiem, za kogo się macie i co wam się wydaje, że tu robicie, ale jak mi Bóg miły, nie ujdzie wam to na sucho.

– Proszę to odłożyć – rzekł Manton. – Ostrzegam panią...

Wyciągnął rękę po pogrzebacz, ale tylko oberwał w nadgarstek i musiał się cofnąć.

Topham nie wygrzebał się jeszcze ze szczątków rozbitej witryнки. Brenda

zerknęła na niego i z zadowoleniem stwierdziła, że krwawi z rozcięcia na dłoni.

– A ty... – zwróciła się do niego. – Jak śmiesz poniewierać starszą panią, ty tchórzliwy bandziorze?! Wynocha mi stąd, ale już!

– Jeszcze kartony... – przypomniała Janet.

– A tak, kraść się wam zachciało. Wypakujcie je z furgonetki, zanim odjedziecie.

– Ja cię pamiętam – powiedział Manton do Janet. – Jesteś sekretarką w Kolegium Jordana. Możesz się pożegnać ze swoją posadą.

– Co zrobiliście z Alice Lonsdale? – zapytała Brenda. – Dokąd ją zabraliście? Co jej zarzucacie?

Wstrząśnięta Janet cała drżała, za to Brenda sprawiała wrażenie absolutnie nieustraszonej: stawiała czoło dwóm funkcjonariuszom KSD, jakby cała racja moralna była w tej sytuacji po jej stronie. Bo tak rzeczywiście było.

– Pani chyba nie zdaje sobie sprawy z faktu, że mamy prawo prowadzić śledztwo... – zaczął Manton, ale Brenda weszła mu w słowo:

– Nie, nie macie, ty tchórzliwy złodzieju. Nikt nie ma prawa pakować się komuś do domu bez nakazu, oboje dobrze o tym wiemy. Wszyscy o tym wiedzą. Tak samo nie macie prawa aresztować ludzi bez powodu. Za co aresztowaliście Alice Lonsdale?

– To pani nie dotyczy...

– Dotyczy, jak najbardziej dotyczy. Znam tę kobietę od dziecka. Nie ma najmniejszych zadatków na kryminalistkę i zawsze bez zarzutu służyła Kolegium Jordana. Co zrobiliście mistrzowi, że rzucił ją wam na pożarcie?

– To nie ma nic do...

– Nie możesz mi podać powodu, bo nie było żadnego powodu, ty żaloszny, kieszonkowy tyranie, podstępna kreaturo. Co z nią zrobiliście? Gadaj!

Janet pomogła Hannah wstać. Hannah miała osmolony, a nawet przypalony rękaw swetra: kiedy upadła, wylądowała z ręką w kominku, ale nie wydała żadnego dźwięku. Dywanik przed kominkiem zaczynał się już tlić od rozżarzonych węgielków. Janet pośpiesznie zebrała je na szufelkę. Topham był zajęty wyjmowaniem wbitego w dłoń odłamka szkła.

Manton udął, że nie słyszy żądań Brendy. Odwrócił się do sierżanta.

– Idziemy stąd.

– Chyba się pan nie wycofa? – zdziwił się Topham.

– Szkoda czasu. Wychodzimy.

– Znajdziemy ją – zapowiedziała Brenda. – Wydostaniemy ją z waszego aresztu, występne kundle. Nastanie dzień, w którym ten przekłety KSD zostanie wygnany z naszego kraju, a wy będziecie uciekać z podkulonym ogonem.

– Nie jesteście... – zaczął Topham.

– Dość. – Manton nie dał mu skończyć. – Wystarczy, sierżancie. Idziemy.

– We dwóch dalibyśmy jej radę, kapitanie.

– Szkoda zachodu. – Manton spojrział na Janet. – Ciebie już znam – powiedział. Odwrócił się do Hannah. – Po ciebie niedługo przyjdziemy. – Na koniec zwrócił się do Brendy: – A co do ciebie... Kiedy tylko dowiemy się, kim jesteś, co nie będzie trudne, będziesz miała kłopoty.

Samo jego lodowate spojrzenie wystarczyło, żeby zmrozić Janet do szpiku kości, ale nawet ona – po tym, jak przyłożyła rękę do ich triumfu – czuła się w tej chwili zuchwała i pewna siebie. Niewykluczone, że warto było stracić pracę, żeby przez

chwilę tak się właśnie poczuć.

Intruzi wyszli.

Hannah ciągle jeszcze wytrząsała ostatnie skry z rękawa swetra.

– Nie poparzyłaś się? – zatroskała się Brenda. – Pokaż. Podwiń rękaw.

– Naprawdę nie wiem, jak mam ci dziękować – powiedziała Hannah.

Janet zwróciła uwagę, że Hannah (w przeciwieństwie do niej) w ogóle nie jest roztrzęsiona. Wzięła zmiotkę ze stojaka przy kominku i najlepiej jak umiała zamiotła popiół i inne śmieci. Nie było łatwo, kiedy ręce tak jej się trzęsły.

– Tobie też jestem ogromnie wdzięczna – Hannah zwróciła się tymczasem do niej – chociaż cię nie znam. Obie byłyście bardzo dzielne.

– Janet jest sekretarką kwestora w Jordanie – wyjaśniła Brenda. – Dziś rano była przy tym, jak przyszli po Alice. Potem od razu przyjechała do mnie, gdy tylko udało jej się wyrwać, a ja pomyślałam, że powinnyśmy cię ostrzec. Zabrali coś cennego?

– Formularze podatkowe, rachunki, takie tam drobiazgi... Ale szczerze mówiąc, cieszę się, że sobie poszli. Naprawdę cenne dokumenty trzymam w sejfie, teraz będę musiała je przenieść. Wiecie co, z przyjemnością napiłabym się herbaty. A wy?

Kiedy następnego dnia rano Janet jak zwykle przyszła do pracy, odniosła wrażenie, że portier dziwnie na nią patrzy. Kwestor już na nią czekał w gabinecie: zawołał ją, gdy tylko usłyszał, że weszła.

– Dzień dobry – zagaiła ostrożnie.

Siedział przy biurku i bawił się kawałkiem tektury: postukiwał nim o suszkę, wyginał w tę i w tę, składał na pół.

– Przykro mi, Janet, ale mam złe wieści – powiedział.

W ogóle na nią nie patrzył, mówił szybko, nie podnosząc wzroku. Janet ścisnęła w żołądku. Chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język.

– Doszedłem do... ehm... to znaczy, dano mi do zrozumienia, że może być kłopot z... ehm... twoim dalszym zatrudnieniem.

– Dlaczego?

– Niestety, wygląda na to, że zrobiłaś... jak by to powiedzieć... nie najlepsze wrażenie na dwóch oficerach, którzy nas wczoraj odwiedzili. Osobiście zapewniam cię, że niczego złego nie zauważyłem... zawsze ceniłem cię za zaangażowanie i profesjonalizm... Dlatego myślę, że może nieco przesadzili, ale sama rozumiesz, czasy są ciężkie i...

– Mistrz kazał panu to zrobić?

– Słucham?

– Wczoraj wezwał pana do siebie po tym, jak tamci dwaj zabrali Alice. Co panu wtedy powiedział?

– No wiesz, to była poufna rozmowa, ale podkreślił, jak wielkie kłopoty są z utrzymaniem niezależności takiej instytucji jak nasza, która, jak by nie patrzeć, jest przecież częścią społeczności narodowej, nie funkcjonuje w oderwaniu od niej. Presja na nas wszystkich...

Kwestor zawiesił głos, jakby zabrakło mu siły.

Naprawdę wygląda smętnie i żałośnie, pomyślała Janet, Tak bardzo, że bardziej się chyba nie da.

– Czyli mistrz kazał panu mnie zwolnić i pan to robi?

– Nie, nie, to nie była... Polecenie przyszło skądinąd, z innego źródła, o wiele bardziej... że tak powiem... nieznoszącego sprzeciwu...

– Dawniej w kolegium władzę sprawował mistrz. Stary mistrz raczej nie pozwoliłby na to, żeby ktoś mu dyktował, co ma robić.

– Janet, nie ułatwiasz...

– Nie zamierzam niczego ułatwić. Chcę się dowiedzieć, dlaczego mam zostać zwolniona po tym, jak przez dwanaście lat należycie wykonywałam swoje obowiązki. Bo przez cały ten okres nie było na mnie ani jednej skargi, prawda?

– Takiej konkretnej to nie, ale wygląda na to, że wczoraj utrudniałaś ważnym ludziom wykonywanie obowiązków służbowych...

– Ale nie tutaj. Nie w kolegium. Czy kiedy byli wczoraj tu, u pana, w czymkolwiek im przeszkadzałam?

– Miejsce nie ma znaczenia.

– Czyżby? Spodziewałabym się raczej, że ma kluczowe znaczenie. Powiedzieli panu, co robili?

– Nie rozmawiałem z nimi bezpośrednio.

– To ja panu powiem. Naszli starszą panią w jej domu, potraktowali ją brutalnie i okradli. Przez przypadek zauważyłam, że coś się dzieje, i wraz z moją przyjaciółką przyszłyśmy tej kobiecie z pomocą. To wszystko, panie Stringer. Właśnie to się wczoraj wydarzyło. Czy to znaczy, że w naszym kraju można wyrzucić człowieka z pracy, którą wykonuje dobrze i sumiennie, tylko dlatego, że naraził się bandziom z KSD? Czy kolegium stało się takim właśnie miejscem?

Kwestor zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Janet z żadnym pracodawcą w swoim życiu nie rozmawiała takim tonem i teraz serce waliło jej jak młotem, gdy stała przed biurkiem kwestora i czekała, aż ten coś powie. Trzy razy ciężko wzdychał, jakby zbierał się do odpowiedzi.

– To bardzo trudne – wykrztusił wreszcie. Podniósł wzrok, ale nie spojrzął na nią.

– O niektórych rzeczach nie bardzo mogę mówić. Mam na myśli... ehm... presję, której poddawany jest personel kolegium, zarówno naukowy, jak i pomocniczy, i przed którą zwykle jest... ehm... chroniony, ale... To wyjątkowy czas. Muszę chronić ludzi przed...

Jego głos ścichł. Janet długo milczała.

– No dobrze – powiedziała w końcu – ale jeżeli chciał się pan pozbyć mnie, to dlaczego aresztowali Alice? I co z nią zrobili? Gdzie ona teraz jest?

Stringer tylko znów westchnął i spuścił głowę.

Janet zaczęła uprzątać ze swojego biurka nieliczne osobiste drobiazgi. Lekko kręciło jej się w głowie, jakby jakaś jej część znajdowała się zupełnie gdzie indziej, a cała ta sytuacja tylko jej się śniła i gdy wkrótce się obudzi, wszystko będzie po staremu.

Wróciła do gabinetu kwestora. Stringer był wykończony i skrajnie nieszczęśliwy.

– Jeżeli jako mój pracodawca nie może mi pan powiedzieć, gdzie jest Alice – rzekła – to może powie mi pan jako przyjaciel? Alice jest moją przyjaciółką, jest przyjaciółką nas wszystkich, nieodłączną częścią kolegium. Pracuje u nas od

niepamiętnych czasów. Od zawsze. Panie Stringer, proszę... Dokąd ją zabrali?

Udał, że jej nie słyszy. Siedział nieruchomo, ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w podłogę. Udawał, że Janet wcale tam nie ma i nikt nie zadaje mu żadnych pytań. Myślał chyba, że jeżeli będzie tak tkwił bez ruchu, nie podnosząc wzroku, to jego wyobrażenia staną się prawdą.

Ogarnęły ją lekkie mdłości. Wrzuciła swoje rzeczy do torby na zakupy i wyszła.

Kilka godzin później Alice siedziała z nogami skutymi w kostkach w zamkniętym wagonie kolejowym. Razem z nią trzymano jeszcze kilkanaścioro podobnie skrupowanych ludzi. Niektórzy mieli obrzmiałe oczy, opuchnięte wargi i posiniaczone kości policzkowe. Najmłodszy chłopak miał jakieś jedenaście lat, twarz bladą jak kreda i przerażone oczy wielkie jak spodki; najstarszy mężczyzna, wynędzniały i roztrzęsiony, był mniej więcej w wieku Hannah. Jedyne światło pochodziło z dwóch słabiotkich żarówek jantarycznych zawieszonych przy końcach wagonu. Zastosowano też zmyślne dodatkowe zabezpieczenie: pod biegnącymi przez całą długość wnętrza ławkami wstawiono klatki z jakiegoś lśniącego metalu, okryte srebrzystą siatką. W każdej z nich zamknięty był dajmon któregoś z więźniów.

Aresztanci niewiele rozmawiali. Strażnicy wrzucili ich bezceremonialnie do wagonu, brutalnie wepchnęli dajmony do klatek i skuli więźniom nogi, nie odzywając się przy tym ani słowem. Początkowo wagon stał na bocznicy w szczerym polu, ale po godzinie podpięto go do lokomotywy, która pociągnęła go w nieznanym kierunku.

Najmłodszy chłopak siedział naprzeciw Alice. Jechali już dobre pół godziny, gdy zaczął się nerwowo wiercić.

– Co się dzieje, mój mały? – zagadnęła go.

– Muszę do łazienki – odparł szeptem.

Alice powiodła wzrokiem po wnętrzu wagonu. Drzwi na obu końcach zostały zamknięte na zamek (wszyscy słyszeli charakterystyczny szczęk i widzieli wielgachne klucze), toalety nie było, a ona zdawała sobie sprawę, że nikt nie przyjdzie, kiedy zaczną nawoływać.

– Wstań, odwróć się i zrób to za ławkę – powiedziała. – Nikt ci nie będzie miał tego za złe. To wina tamtych, nie twoja.

Chłopak próbował posłuchać jej rady, ale trudno było mu się odwrócić ze skutymi nogami i ostatecznie – dramatycznie zakłopotany – musiał załatwić się na widoku.

Alice odwróciła wzrok.

– Jak ci na imię, chłopcze? – zapytała potem.

– Anthony – odparł. Ledwie go usłyszała.

– Trzymaj się blisko mnie – poradziła mu. – Będziemy się nawzajem wspierać. Jestem Alice. Nie przejmuj się, że nasikałeś na podłogę, prędzej czy później wszyscy będziemy tak robić. Gdzie mieszkasz?

Zaczęli rozmawiać. Pociąg zanurzył się w noc.

31

Pałka

Pokrzykiwania, tupot ciężkich butów na betonie, turkotanie żelaznych kółek za oknem, gdy po peronie przejeżdżał spory wózek wyładowany czymś, co wyglądało jak skrzynki z amunicją, do tego wściekły świst pary – wszystkie te dźwięki mieszały się w powietrzu i Lyra musiała nieźle wyęczać słuch, próbując wyłapać jakiś znajomy język albo choć jeden głos, który nie brzmiałby chrapliwie i rozkazująco. Słyszała także donośny męski śmiech i kolejne wykrzykiwane rozkazy. Żołnierze w pustynnym kamuflażu gapili się na nią, komentowali jej wygląd, a potem mijali ją i szli dalej, do drzwi wagonu.

Niewidzialna, myślała. Nijaka. Niepożądana.

Przesuwane drzwi przedziału otworzyły się z głośnym trzaskiem i do środka zajrzał żołnierz. Zagadał do niej po turecku, na co mogła tylko pokręcić głową i wzruszyć ramionami. Odwrócił się i powiedział coś do idących za nim kolegów, po czym wszedł, wrzucił ciężki plecak na półkę i zdjął z ramienia karabin. Dołączyło do niego czterech kolejnych: przepychali się, śmiali, gapili na Lyrę, deptali sobie po nogach.

Ona z kolei cofnęła stopy najdalej jak się dało i próbowała się stać jak najmniejsza. Wszyscy żołnierze mieli dajmony w ciałach psów – zjadłych, agresywnych, poszturchujących się nawzajem i powarkujących jeden na drugiego. Naraz jeden z nich stanął jak wryty, by z zainteresowaniem przyjrzeć się Lyrze, po czym zadarł łeb i zawył ze strachu.

Wszystkie inne dźwięki ucichły. Żołnierz pochylił się i pogłaskał dajmona, żeby dodać mu otuchy, ale pozostałe psy zorientowały się już, o co chodzi, i podjęły skowyt.

Inny żołnierz burknął na Lyrę – ostro, wrogo, pytająco. W drzwiach stanął sierżant, ewidentnie zainteresowany, co się dzieje w przedziale. Wtedy żołnierz od dajmona, który pierwszy zaczął wyć, wskazał Lyrę i powiedział coś przesadnym, nienawistnym tonem.

Sierżant ostrym tonem zadał jej jakieś pytanie, ale było widać, że też się boi.

– *J'aime le son du cor, le soir, au fond des bois* – odpowiedziała.

To właśnie pierwsze przyszło jej do głowy: cytat z francuskiego wiersza. Żołnierze stali nieruchomo, czekając na sygnał, na jakiś ruch sierżanta, który by im podpowiedział, jak powinni się zachować. Sądząc po ich minach, byli przerażeni.

– *Dieu!* – odezwała się znów Lyra. – *Que le son du cor est triste, au fond des bois.*

– *Française?* – wychrypiął sierżant.

Oczy wszystkich ludzi i dajmonów w przedziale spoczęły na Lyrze. Podniosła

ręce, jakby mówiła: „Poddaję się! Nie strzelajcie!”.

Kontrast pomiędzy zdrową, męską siłą żołnierzy, utrzymaną przez nich bronią i wyszczerzonymi kłami dajmonów a pozbawioną dajmona, niepozorną, nieśmiałą dziewczyną w nijakim ubraniu i okularach musiał mieć w sobie coś komicznego, bo sierżant najpierw się uśmiechnął, a potem zaczął się głośno śmiać. Pozostali zareagowali na jego zachowanie, sami dostrzegli ten kontrast i też wybuchnęli śmiechem. Lyra uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i przesunęła, robiąc więcej miejsca na siedzeniu.

– *Française* – powtórzył sierżant. – *Voilà*.

Jedyny żołnierz, który zgodził się usiąść obok Lyry, był śniadoskóry, barczysty, wielkooki i wyglądał na człowieka, który umie i lubi się bawić. Zagadał do niej przyjaźnie, na co odpowiedziała kolejnym fragmentem francuskiej poezji:

– *La nature est un temple ou de vivants piliers laissent parfois sortir de confuses paroles.*

– Aha. – Żołnierz z przekonaniem pokiwał głową.

Sierżant zwrócił się do swoich ludzi. Mówiąc, raz i drugi zerknął na Lyrę, tak jakby jego rozkazy określały, jak żołnierze mają się wobec niej zachowywać. Na odchodnym skinął jej głową, wyszedł z przedziału i zaczął się przeciskać przez tłum na korytarzu.

Załadowanie wszystkich żołnierzy do pociągu trwało kilkanaście minut. Lyra, która zastanawiała się, ilu się ich w sumie zebrało i gdzie jest dowódca, nie musiała długo czekać na odpowiedź, bo po chwili młody, wysoki mężczyzna w bardziej odprasowanym mundurze niż inni zajrzał do przedziału (zapewne poinformowany przez sierżanta) i zwrócił się do niej.

– Jest pani Francuzką, *mademoiselle*? – zapytał w starannie artykułowanej francuszczyźnie z silnym obcym akcentem.

– Tak – odpowiedziała również po francusku.

– Dokąd pani jedzie?

– Do Seleucji, *monsieur*.

– Dlaczego nie ma pani... – Najwidoczniej nie znał odpowiedniego francuskiego słowa, bo wskazał swojego dajmona. Jastrząb o żółtych ślepiach wpatrywał się w Lyrę wczepiony w epolet na ramieniu żołnierza.

– Zniknął – odparła. – Szukam go.

– To niemożliwe.

– A jednak się stało. Sam pan widzi.

– Będzie go pani szukać w Seleucji?

– Wszędzie. Będę go szukała wszędzie.

Zaskoczony oficer skinął głową. Było widać, że chętnie dowiedziałby się więcej, czegoś jej zabronił albo czegoś od niej zażądał, ale nie bardzo wiedział, czego dokładnie. Powiódł wzrokiem po siedzących w przedziale żołnierzach i wyszedł. Korytarzem nadal przewalały się tłumy, drzwi trzaskały, w końcu ktoś coś krzyknął na peronie, ktoś dmuchnął w gwizdek.

Pociąg ruszył.

Kiedy wyjechali z dworca, a potem światła miasteczka zastąpiła ciemność gór, żołnierz siedzący najbliżej wejścia otworzył drzwi, wychylił się i rozejrzał na boki, po czym, najwidoczniej zadowolony z tych oględzin, skinął na siedzącego naprzeciwko

kolegę. Ten wyjął z plecaka butelkę i ją odkorkował. Lyrę zaleciał gryzący zapach mocnego alkoholu. Przypomniała sobie inną sytuację, w której czuła tę woń – kiedy na tyłach Baru Einarssona w arktycznej mieścinie Trollesund zobaczyła Iorka Byrnisona pijącego z glinianego dzbana. Ach, jaka szkoda, że nie mogła zabrać Iorka w tę podróż! Albo ojczulka Corama, który wtedy jej towarzyszył!

Butelka poszła w obieg. Kiedy trafiła w ręce sąsiada Lyry, ten pociągnął z niej solidny łyk i sapnął głośno. Buchnęła chmura alkoholowych oparów. Jego vis-à-vis z udawanym obrzydzeniem zamachał ręką przed twarzą i przejął butelkę. Zawahał się jednak, uśmiechnął porozumiewawczo do Lyry i podał jej butelkę.

Odpowiedziała przelotnym uśmiechem i pokręciła głową. Żołnierz coś odpowiedział i jeszcze raz podsunął jej butelkę, jakby chciał sprawdzić, czy odważy się drugi raz odmówić.

Inny rzekł coś do niego krytycznym głosem. Żołnierz napił się, rzucił jakieś nieprzyjemne słowa pod adresem Lyry i oddał butelkę. Lyra próbowała stać się niewidzialna, ale na wszelki wypadek upewniła się, że Pequeña jest w plecaku na samym wierzchu.

Butelka krążyła po przedziale, rozmowy stawały się coraz głośniejsze i swobodniejsze – i dotyczyły Lyry, co do tego nie mogła mieć wątpliwości: żołnierze taksowali ją wzrokiem, jeden się oblizwał, inny znacząco złapał za krocze.

Lewą ręką przycisnęła plecak do piersi i zaczęła wstawać, żeby wyjść z przedziału. Siedzący naprzeciwko niej żołnierz pchnął ją z powrotem na siedzenie i powiedział coś do kumpla przy drzwiach, który spuścił roletę na oknie wychodzącym na korytarz. Lyra ponownie wstała. Żołnierz drugi raz ją popchnął, ale tym razem dodatkowo złapał ją za pierś.

Fala strachu rozpląnęła się po krwiobiegu Lyry.

No cóż, pomyślała. Chcieliście, to macie.

Zacisnęła prawą dłoń na rękojeści pałki i wstała po raz trzeci. Kiedy żołnierz znów wyciągnął rękę w jej stronę, wyszarpnęła pałkę z plecaka i uderzyła nią z taką siłą, że rozległ się trzask pękających kości. Żołnierz wrzasnął z bólu. Jego dajmon rzucił się na Lyrę, która zdzieliła go pałką w pysk. Pies zaskomlał i upadł. Jego człowiek zdrową dłonią podtrzymywał tę potrzaskaną. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa, z jego ust dobywał się tylko piskliwy, drżący jęk.

Inny z żołnierzy złapał Lyrę od tyłu w pasie. Ścisnęła mocniej pałkę, uderzyła na oślep w tył i szczęśliwie trafiła go uchwytym w skroń. Krzyknął i spróbował złapać ją za ramię, więc wykręciła się i wbiła mu zęby w rękę. W jej sercu rozgorzał ogień zwierzęcej dzikości. Zraniła do krwi, wgryzła się mocniej i w zębach został jej kawałek skóry. Żołnierz puścił ją, ale jego zaślepiona gniewem twarz majaczyła tuż przed jej twarzą. Lyra dziabnęła go pałką od dołu w żuchwę, a gdy odruchowo się cofnął, z całej siły grzmotnęła go w nos i usta; nigdy w życiu nie uderzyła mocniej. Stęknął i osunął się na siedzenie, krwawiąc obficie. Jego dajmon rzucił się Lyrze do gardła. Wymierzyła mu kopniaka kolanem, poleciał na bok, ale wtedy poczuła kolejne dłonie, należące już do dwóch mężczyzn jednocześnie: ścisnęły jej nadgarstek, pchały się pod spódnicę, łapały za bieliznę, zdzierały ją, obmacywały. Inne dłonie zacisnęły się na palce, wrywały ją z jej dłoni, wykręcały palce. Walczyła rękami, stopami, zębami, czołem i kolanami, walczyła tak, jak na jej oczach walczył Iorek Byrnison, zuchwała, obojętna na ból, nieustraszona, ale tamci mieli przewagę liczebną i nawet

w ciasnym wnętrzu przedziału mieli po prostu więcej miejsca, więcej siły, więcej rąk i nóg niż ona. Mieli również dajmony, które powarkiwały, ujadały, czekały ze złością, pryskając śliną na wszystkie strony. Nie poddawała się, biła, tłukła, szarpała, ale ostatecznie to właśnie jazgot dajmonów ją ocalił, bo nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich sierżant. Jednym rzutem oka ogarnął sytuację i wydał krótki rozkaz swojemu dajmonowi: wielkie, zajadłe psisko rzuciło się na dajmony żołnierzy, łapało je zębami za kark i rozrzucało na boki, jakby nic nie ważyły. Sami żołnierze również osuwali się na siedzenia, zakrwawieni, z połamanymi kośćmi, a pośrodku stała Lyra w podartej spódnicy, z ociekającymi krwią powykręcanyimi palcami, podrapaną i poranioną twarzą. Krew ściekała jej po nogach, łzy wzbierały w oczach, mięśnie drżały, a ona sama była o krok od płaczu, ale stała, nadal stała o własnych siłach, gotowa stawić czoło im wszystkim.

Wskazała tego z żołnierzy, który zabrał jej pałkę. Musiała oprzeć prawą rękę na nadgarstku lewej, żeby wyciągnąć ją przed siebie.

– Oddawaj – powiedziała. – Oddaj mi ją.

Głos miała chrapliwy od wzbierającego szlochu i tak drżący, że ledwie formowała słowa. Żołnierz próbował schować pałkę na siedzeniu obok siebie, ale wtedy Lyra resztką sił skoczyła na niego, rzuciła mu się wściekle do twarzy z zębami i paznokciami.

Sierżant bez większego wysiłku lewą ręką powstrzymał ją i podniósł w powietrze.

Palcami drugiej ręki pstryknął na żołnierza z pałką, krwawiącego teraz obficie z oczu i nosa. Żołnierz oddał mu pałkę, którą sierżant schował do kieszeni i warknięciem wydał kolejny rozkaz. Inny żołnierz podniósł plecak Lyry i mu go podał. Jeszcze jedno chrapliwe zdanie, drugie, a potem sierżant wyniósł szamoczącą się Lyrę na korytarz i postawił ją na podłodze. Gwałtownym skinieniem głowy dał jej do zrozumienia, żeby szła za nim, mimo że ledwie trzymała się na nogach, po czym zaczął się przepychać przez zebrany na korytarzu tłum ciekawskich, którzy wylegli z przedziałów. Lyra nie miała innego wyjścia, jak pójść za nim – zabrał jej pałkę i plecak. Trzęsąc się tak, że z trudem utrzymywała równowagę, czując krew spływającą po twarzy i lepką wilgoć na udach, robiła, co w jej mocy, żeby nadążyć za sierżantem.

A żołnierze gapili się na nią, rejestrowali każdy szczegół jej wyglądu i ciągle nie mieli dość. Brnęła wśród nich, starając się nie zataczać na boki – tylko na tyle było ją stać. Omal nie upadła, kiedy pociąg wjechał na gorszy odcinek torów i wagonem szarpnęło, ale ktoś złapał ją wtedy za ramię i podtrzymał. Odrzuciła pomocną dłoń i ruszyła dalej.

Sierżant czekał przed ostatnim przedziałem w następnym wagonie. W drzwiach przedziału stał znajomy jej już oficer – kapitan, a może major. Kiedy podeszła bliżej, sierżant oddał jej plecak, który nagle wydał jej się ciężki jak nigdy przedtem.

– Dziękuję – wykrztusiła po francusku. – Jeszcze pałka.

Oficer zadał sierżantowi jakieś pytanie. Sierżant wyjął pałkę z kieszeni i oddał mu ją, a kiedy oficer z zaciekawieniem ją oglądał, sierżant opisywał mu przebieg zajścia.

– Pałka – powtórzyła Lyra, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Mam być całkiem bezbronna? Oddajcie mi pałkę.

– Podobno unieszkodliwiła pani już trzech moich ludzi – powiedział oficer.

– A co, miałam dać się zgwałcić? Prędzej bym ich wszystkich pozabijała.

Nigdy nie czuła się tak zawzięta – i zarazem tak słaba. Naprawdę niewiele brakowało, żeby osunęła się na podłogę, a jednocześnie była gotowa rozszarpać oficerowi gardło, byle tylko odzyskać Pequeñę.

Sierżant znów się odezwał. Oficer coś mu odpowiedział, skinął głową i niechętnie oddał Lyrze pałkę. Spróbowała otworzyć plecak – bez powodzenia. Spróbowała drugi raz, również bezskutecznie, w końcu się rozplakała, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło. Oficer usunął się z przejścia i gestem zaprosił ją do przedziału, który był pusty, jeśli nie liczyć jego sakwojazu, mnóstwa papierów rozłożonych na wolnym siedzeniu i niedojedzonego posiłku, na który składał się chleb z wędliną.

Usiadła i po raz trzeci spróbowała otworzyć plecak. Tym razem poszło jej lepiej, ale najpierw zdała sobie sprawę, jak bardzo ma sponiewierane palce: zdarte paznokcie, obrzmiałe stawy, wyłamany kciuk. Nasadą lewej dłoni otarła oczy, kilka razy odetchnęła głęboko i zacisnęła zęby – przy tej okazji stwierdziła, że jeden z nich się ukruszył, i delikatnie wysondowała go językiem: brakowało połowy. Niedobrze. Wzięła się w garść i obolałymi palcami zaczęła dobierać się do sprzączek plecaka. Lewą rękę miała tak obolałą, spuchniętą i słabą, że gdy obmacała ją ostrożnie od wierzchu, doszła do wniosku, że ma złamaną kość.

W końcu zdołała otworzyć plecak: alethiometr był na swoim miejscu, karty również, podobnie portfelik z pieniędzmi. Wsunęła do środka pałkę, zamknęła plecak, pozapinała sprzączki, po czym osunęła się na oparcie siedzenia i przymknęła oczy.

Bolało ją całe ciało. Wciąż czuła tamte dłonie rozdzierające jej bieliznę. O niczym nie marzyła teraz tak bardzo, jak o tym, żeby się umyć.

Och, Pan, pomyślała. Teraz jesteś zadowolony?

Oficer rozmawiał półgłosem z sierżantem, który coś mu odpowiedział i odszedł. Oficer wrócił do przedziału i zasunął za sobą drzwi.

– Czy coś panią boli? – zapytał.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że jedno z nich woli pozostać zamknięte. Dotknęła go: już zdążyło spuchnąć.

Spojrzała na oficera. Właściwie nie musiała nic mówić, pokazała mu tylko okaleczone, drżące ręce.

– Pani pozwoli – powiedział.

Usiadł naprzeciw niej i otworzył zawinięte w materiał pudełko. Jego dajmon zeskoczył mu z ramienia i bacznie obserwował, jak przekłada kolejne elementy zawartości: zrolowane bandaże, słoiczek balsamu, fiołki z tabletkami, małe koperty najprawdopodobniej zawierające różne sproszkowane medykamenty. Rozwinął splachetek czystego materiału, odkorkował buteleczkę z brązowego szkła i spryskał tkaninę płynem.

– Woda różana – wyjaśnił.

Podał szmatkę Lyrze, na migi dając do zrozumienia, że może obmyć nią twarz. Materiał był cudownie chłodny i kojący w dotyku. Kiedy przyłożyła go sobie do oczu, długo nie potrafiła go odjąć od twarzy i spojrzeć na oficera. W końcu jednak opuściła rękę, a wtedy on ponownie zwilżył szmatkę.

– Słyszałam, że trudno dziś o wodę różaną – zauważyła.

– Nie, kiedy jest się oficerem.

– Rozumiem. Dziękuję panu.

Nad siedzeniem naprzeciwko było lustro. Lyra wstała, zachwiała się, spojrzała

w nie i niewiele brakowało, żeby odsunęła się ze wstrętem na widok masy krwi wokół ust i nosa. Prawe oko zapuchło jej prawie całkowicie.

Niewidzialna, pomyślała z goryczą, i zaczęła się doprowadzać do porządku. Przydała się woda różana, a także balsam ze słoiczka, który w pierwszej chwili szczypał, ale potem emanował sięgającym w głąb ciała ciepłem i silnym ziołowym aromatem.

W końcu usiadła i odetchnęła głęboko. Najbardziej bolała ją lewa dłoń. Znów dotknęła jej ostrożnie.

– Mogeć? – spytał oficer, który do tej pory tylko ją obserwował.

Miał miękkie, jedwabiste dłonie. Przesuwał nimi po jej rękę to w jedną stronę, to w drugą, niewiele, tylko odrobinę, ale i tak za bardzo bolało. Musiała poprosić, żeby przestał.

– To może być złamanie – orzekł. – Cóż, kiedy się jedzie pociągiem z żołnierzami, można się spodziewać pewnych... niewygód.

– Mam bilet uprawniający do przejazdu tym pociągiem i nigdzie na nim nie napisano, że powinnam się liczyć z napaścią i próbą gwałtu. Czy takiego właśnie zachowania spodziewa się pan po swoich podwładnych?

– Nie. Zostaną za to ukarani. Podkreślę jednak: młoda kobieta, która w obecnej sytuacji podróżuje samotnie, jest nieroztropna. Pozwoli pani, że poczęstuję panią *eau-de-vie*. Przywróci pani siły.

Lyra skinęła głową, która zabolęła ją od tego skinienia. Oficer nalał alkoholu do małego metalowego kubka. Ostrożnie upiła łyk: smakował jak najlepszy brantwijn.

– Kiedy dotrzemy do Seleucji? – zapytała.

– Za dwie godziny.

Zamknęła oczy i tuląc plecak do piersi, pozwoliła sobie na drzemkę.

Minęło zaledwie kilka sekund (tak jej się przynajmniej wydawało), gdy oficer ścisnął ją za ramię. Otepiła świadomość opornie wynurzała się z otchłani snu. Lyra najchętniej przespałaby miesiąc bez przerwy.

Pociąg zwalniał, za oknem było już widać światła miasta. Zajęty pakowaniem dokumentów oficer podniósł wzrok, gdy otworzyły się drzwi przedziału.

Sierżant coś powiedział, prawdopodobnie zameldował gotowość żołnierzy do opuszczenia pociągu, i spojrzał na Lyrę, jakby próbował ocenić jej obrażenia. Spuściła wzrok: nadszedł czas, by znów być skromną, dyskretną, nijaką.

Chociaż trochę trudno wyglądać nijako z podbitym okiem, złamaną ręką i podrapaną twarzą, pomyślała. W dodatku bez dajmona.

– *Mademoiselle*? – zagadnął ją oficer.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że sierżant coś jej podaje: jej okulary. Jedno szkło było stłuczone, jeden zausznik odłamany. Wzięła je bez słowa.

– Proszę za mną – powiedział oficer. – Pomogę pani. Wsiądzie pani z pociągu przed wszystkimi.

Nie oponowała. Z wysiłkiem wstała, a oficer pomógł jej założyć plecak.

Sierżant odsunął się na bok, żeby mogli wyjść na korytarz. Wyglądało na to, że

w całym pociągu żołnierze zbierają swoje rzeczy, zabierają broń i tłoczą się na korytarzach. Oficer krzyknął gromko i ludzie krzątający się najbliżej pośpiesznie usunęli mu się z drogi. Lyra ruszyła za nim do wyjścia.

– Dam pani dobrą radę – powiedział, pomagając jej zejść na peron.

– Słucham.

– Proszę nosić nikab. To pomoże.

– Rozumiem. Dziękuję panu. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby zdyscyplinował pan swoich żołnierzy.

– Pani już to zrobiła.

– Nie powinnam być do tego zmuszona.

– Mimo wszystko obroniła się pani. Teraz dwa razy się zastanowią, zanim znów coś zmalują.

– Bynajmniej. I pan dobrze o tym wie.

– Zapewne ma pani rację, to szumowiny. Seleucja nie jest bezpiecznym miastem, lepiej nie zatrzymywać się tu na zbyt długo. Przyjadą kolejne pociągi, przybędzie żołnierzy. Radzę pani jak najszybciej ruszać w dalszą drogę.

Po tych słowach oficer odwrócił się i odszedł. Jego ludzie, stojący przy oknach, odprowadzali ją wzrokiem, gdy utykając, szła w stronę hali kasowej. Nie miała pojęcia, co ze sobą począć.

32

Gościnność

Wyszła z dworca, usiłując wyglądać na kogoś, kto ma pełne prawo tu być i doskonale wie, dokąd idzie. Bolał ją każdy kawałek ciała, każda jego część czuła się zbrukana obmacującymi ją łapskami. Plecak był obrzydliwym brzemieniem: co się z nim stało, że tak jej ciążył? Marzyła o tym, żeby się przespać.

W środku nocy ulice były puste, słabo oświetlone i twarde. Nigdzie nie było drzew, krzewów, nawet trawy, żadnych parczków i zielonych skwerów, wszędzie tylko twardy bruk i kamienne magazyny, banki albo biurowce. Panowała taka cisza, jakby w mieście obowiązywała godzina policyjna. Lyra bała się, że jeżeli przyłapią ją na włóczęgostwie, to trafi do aresztu, chociaż w gruncie rzeczy była to kusząca perspektywa: w celi na pewno mogłaby się zdrzemnąć. Nie widziała żadnego hotelu ani choćby restauracji, w ogóle żadnego miejsca, w którym strudzony podróżny mógłby się posilić lub odpocząć. W Seleucji każdy przybysz był wyrzutkiem.

Tylko raz usłyszała jakieś oznaki życia, kiedy na wpół obłąkana z wyczerpania i półprzytomna z bólu i nieszczęścia zaryzykowała i zapukała do drzwi jednego z domów. Zamierzała zdać się na litość mieszkańców w nadziei na to, że w ich kulturze obowiązuje tradycja gościnności wobec obcych – mimo oczywistych poszlak przeczących takiemu twierdzeniu. Jej nieśmiałe pukanie poobijanymi knykciami dotarło tylko do jednego człowieka, najwyraźniej nocnego stróża albo ochroniarza pełniącego służbę tuż za progiem, po drugiej stronie drzwi. Obudzony wściekłym skowytym swojego dajmona, strażnik obrzucił Lyre przekleństwami. W jego głosie strach mieszał się z nienawiścią. Czym prędzej odeszła spod drzwi, ale i tak długo jeszcze słyszała jego pokrzykiwania i bluzgi.

W końcu nie była już w stanie dalej iść. Po prostu osunęła się na ziemię za rogiem budynku, w miejscu osłoniętym przed blaskiem najbliższej latarni, zwinęła się w kłębek wokół plecaka i ułożyła do snu. Była tak zmęczona i obolała, że nie miała nawet siły szlochać, łzy same z siebie płynęły jej z oczu, a ona czuła ich zimny dotyk na policzku, powiekach, skroni i w żaden sposób nie próbowała ich powstrzymać. Zasnęła.

Ktoś tarmosił ją za ramię, ściszony głos szeptał nerwowe, naglące słowa, których nie rozumiała. Wszystko ją bolało.

Było jeszcze ciemno. Kiedy otworzyła oczy, nie oślepiło ich żadne światło.

Człowiek, który się nad nią pochylał, też był ciemny, plama gęstszeo mroku, i okropnie cuchnął. Obok dostrzegła drugą sylwetkę, też męską, chociaż wyraźniej widziała tylko twarz, jasną na tle nocy, kiedy mężczyzna rozglądał się na wszystkie strony.

Widząc, że otrząsa się ze snu, próbuje usiąść na zimnym kamieniu i rozruszać zdrtwiałe kończyny, pochylony nad nią człowiek wyprostował się. Było przeraźliwie zimno. Mężczyźni mieli wózek i łopatę z długim trzonkiem.

Kolejne słowa wypowiedziane tym samym zniżonym, nagłym tonem. Mężczyźni gestykulowali też wyraziście: wstań, wstawaj, nie siedź tak. Bijący od nich smród przyprowadził o mdłości i gdy Lyra z mozołem pozbierała się z ziemi, nagle dotarła do niej prawda: znaleźli ją dokonujący conocnego obchodu miasta czyściciele latryn, przedstawiciele najpodlejszej, najbardziej pogardzanej klasy ludzi.

– Czego chcecie? – spytała po francusku. – Zabłądziłam. Gdzie jesteśmy?

Oni jednak porozumiewali się tylko w swoim języku, który brzmieniem nie przypominał ani anatolijskiego, ani arabskiego. Z ich zachowania Lyra rozumiała tylko tyle, że się niepokoją – i że niepokoją się o nią.

Była przemarznięta i potwornie obolała. Starła się pohamować dreszcze. Pierwszy z mężczyzn znów coś powiedział, tym razem zabrzmiało to bardziej jak: „Chodź z nami”.

Mimo że obarczeni brzemieniem w postaci cuchnącego wózka, i tak poruszali się szybciej od niej. Ilekroć zwalniali, żeby ich dogoniła, udzielało jej się ich zdenerwowanie. Stale rozglądali się na wszystkie strony, aż w końcu znaleźli się u wylotu wąskiej uliczki pomiędzy dwoma imponującymi kamiennymi gmachami. Skręcili w nią.

Na niebie pojawił się pierwszy zwiastun poranka – światła jeszcze nie było, ciemność została zaledwie minimalnie rozcieńczona i wtedy Lyra zrozumiała: czyściciele musieli uwinąć się z robotą przed świtem i chcieli, żeby do tego czasu ona także zniknęła z ulic.

Zaułek był wężsiuteńki, budynki piętrzyły się nad nimi wysoko. Powoli oswajała się ze smrodem... Chociaż nie, wcale się nie oswajała, po prostu odór przestał się nasilać. Jeden z mężczyzn zwolnił zatrząsk przytrzymujący niskie drzwiczki w ścianie i cicho je otworzył.

Ze środka padło krótkie, lękliwe pytanie. Kobięcy głos był nieco rozespany, ale całkowicie przytomny.

Mężczyzna odparł równie krótko, odsunął się na bok i wskazał Lyre. Z półmroku wynurzyła się twarz kobiety: spięta, zalękniona, przedwcześnie postarzała. Lyra podeszła bliżej, żeby było ją lepiej widać. Kobięta przez chwilę taksowała ją wzrokiem, w końcu wzięła ją za rękę – niestety, wybrała tę złamaną i Lyra odruchowo jęknęła z bólu. Kobięta cofnęła się w mrok. Mężczyzna znów przemówił nagle.

– Przepraszam – mruknęła półgłosem Lyra, chociaż chciało jej się krzyknąć z bólu. Ręka była spuchnięta i rozpalona. – Przepraszam.

Kobięta znów się pojawiła i gestem zaprosiła ją do środka, tym razem uważając, żeby jej nie dotknąć. Lyra odwróciła się do czyścicieli, chcąc im podziękować, ale ci już pośpiesznie oddalali się ze swoim wózkiem.

Zrobiła ostrożny krok do przodu, schyliwszy głowę pod niskim nadprożem. Kobięta zamknęła za nią drzwi i znalazły się w całkowitej ciemności. Dał się słyszeć

szmer, poruszenie, kobieta zapaliła zapałkę i przytknęła ją do knota w małej lampie naftowej. Izba pachniała snem i gotowaną strawą. W żółtym świetle Lyra dostrzegła, że jej gospodyni jest bardzo chuda i znacznie młodsza, niż jej się pierwotnie wydawało.

Kobieta wskazała jej łóżko, a właściwie materac, na którym piętrzył się stos rozmaitych przykryć – jedyne miejsce (poza gołą podłogą) na którym można było usiąść. Lyra zrzuciła plecak i przysiadła na rogu materaca.

– Dziękuję – powiedziała. – To bardzo miłe... *merci, merci...*

Dopiero w tym momencie zorientowała się, że nie widziała dotychczas dajmona gospodyni. Nagle zdała sobie sprawę, że czyściciele również nie mieli dajmonów.

– Dajmon? – zagadnęła.

Próbowała na migi przekazać, że sama też nie ma dajmona, ale kobieta ewidentnie jej nie rozumiała i w końcu Lyra tylko pokręciła głową. Nic więcej nie mogła zrobić. Być może ci biedacy byli zmuszeni do wykonywania tak podłej pracy, bo przez brak dajmonów postrzegano ich jako gorszych od innych ludzi. Zostali strąceni do najniższej kasty w społeczeństwie – a ona wraz z nimi.

Widząc, że kobieta się jej przygląda, dotknęła swojej piersi.

– Lyra – powiedziała.

– Aha. – Kobieta wskazała na siebie. – Jozdah.

– Jozdah – powtórzyła z namaszczeniem Lyra.

– Ly-ah – powiedziała gospodyni.

– Lyra.

– Ly-ra.

– Bardzo dobrze.

Obie się uśmiechnęły. Jozdah na migi dała Lyrze znać, że może się położyć, a gdy Lyra to zrobiła, została okryta grubym kilimem i natychmiast zasnęła kamiennym snem, po raz trzeci tej nocy.

Obudził ją szmer przyciszonych głosów. Sącące się przez zawieszoną w przejściu zasłonę z koralików światło było szarawe, jakby dzień wstał pochmurny. Otworzyła oczy i zobaczyła Jozdah z mężczyzną – prawdopodobnie jednym z tych, którzy ją tu przyprowadzili – siedzących na podłodze i jedzących ze stojącej pomiędzy nimi dużej miski. Przez chwilę leżała nieruchomo i przyglądała im się. Mężczyzna wyglądał na młodszego niż Jozdah i był dość niechlujnie ubrany, ale nie bił od niego odór, jaki nauczyła się kojarzyć z jego profesją.

Powoli usiadła i stwierdziła, że ból w lewej dłoni nie pozwala jej już nawet w pełni rozprostować palców. Widząc jej ruch, Jozdah powiedziała coś do mężczyzny. Ten obejrzał się na Lyrę i wstał.

Lyra pilnie musiała skorzystać z toalety. Kiedy próbowała dać to do zrozumienia, mężczyzna odwrócił wzrok, a Jozdah wyprowadziła ją przez inne drzwi na małe podwóreczko. Nieskazitelnie czysta latryna znajdowała się w jego przeciwległym rogu.

Kiedy Lyra skończyła, Jozdah czekała na nią w drzwiach ze słoikiem wody.

Pokazała na migi, żeby Lyra wyciągnęła ręce do umycia i Lyra tak właśnie zrobiła, starając się osłaniać lewą dłoń przed zbyt gwałtownym kontaktem z zimną wodą. Dostała cienką ściereczkę do wytarcia i Jozdah zaprosiła ją do domu.

Mężczyzna, który przez ten czas nie usiadł, skinieniem ręki dał jej do zrozumienia, żeby usiadła razem z nimi na dywanie i zjadła trochę ryżu z miski. Lyra go posłuchała, biorąc przykład z gospodarzy i używając do jedzenia tylko prawej ręki.

– Lyra – powiedziała Jozdah do mężczyzny, wskazując ją ręką.

– Ly-ra – powtórzył i pokazał na siebie. – Czil-du.

– Czil-du – powtórzyła Lyra.

Ryż był kleisty i prawie pozbawiony smaku, jeśli nie liczyć odrobiny dodanej soli, był jednak wszystkim, co mieli, i Lyra starała się jeść jak najskromniej, bo przecież nie spodziewali się gościa. Kiedy rozmawiali półgłosem, zastanawiała się, w jakim języku się porozumiewają. Nie przypominał niczego, co kiedykolwiek wcześniej słyszała.

Sama też starała się z nimi porozumieć. Zwróciwszy się do nich obojga, patrząc to na jedno, to na drugie, wyartykułowała najwyraźniej, jak tylko mogła:

– Szukam Błękitnego Hotelu. Słyszeliście o Błękitnym Hotelu? Al-Chan Al-Azraq?

Nie odpowiedzieli, tylko na nią patrzyli: on uprzejmie zdumiony, ona zatroskana.

– A może Madinat al-Qamar?

Tę nazwę rozpoznali. Wyprostowali się, zgodnie pokręcili głowami i podnieśli ręce w takim geście, jakby nie chcieli więcej słyszeć tych słów.

– Angielski? Znacie kogoś, kto mówi po angielsku?

Nie zrozumieli.

– *Francais? Quelqu'un qui parle francais?*

To samo. Lyra uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i zjadła kolejną grudkę zlepiętego ryżu.

Jozdah przyniosła grzejący się nad otwartym paleniskiem rondel i naląła wrzątku do dwóch glinianych kubków. Następnie wrzuciła do nich po szczypcie ciemnego, ziarnistego proszku i dorzuciła grudkę czegoś, co mogło być masłem albo miękkim serem. Zamieszała twardym pędzelkiem, aż zawartość kubków się spieniła, po czym podała jeden Czil-du, a drugi Lyrze.

– Dziękuję, ale... – Lyra wskazała najpierw na kubek, a potem na Jozdah.

Musiała w ten sposób naruszyć jakiś element etykiety, bo gospodyni zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok, a Czil-du łagodnym gestem odepchnął rękę Lyry.

– W każdym razie dziękuję – powiedziała. – Domyślam się, że będziesz się mogła napić po mnie. To bardzo uprzejme z twojej strony.

Napój był zbyt gorący, żeby normalnie zaczerpnąć łyk, ale Czil-du z głośnym mlaśnięciem wsysał go po odrobinie ze skraj kubka. Lyra poszła za jego przykładem. Miał gorzki, gryzący smak i osobliwie herbaciany posmak. Po paru głośnych siorbnięciach stwierdziła, że ma bardzo orzeźwiający działanie.

– Dobre – powiedziała. – Dziękuję. Jak się nazywa? – Zrobiła pytającą minę i pokazała na kubek.

– Czój – odpowiedziała Jozdah.

– Aha. Czyli faktycznie herbata.

Czil-du przez dobrą minutę mówił coś do żony – może coś jej doradzał, a może

wydawał polecenia. Słuchała go z uwagą, czasem coś wtrąciła, czasem zadała jakieś pytanie, ale ostatecznie wyglądało na to, że się z nim zgadza. Przez cały czas oboje popatrywali na Lyrę, a ona z uwagą wsłuchiwała się w rozmowę w nadziei na wychwycenie znajomych słów i próbowała coś wyczytać z wyrazów ich twarzy.

Rozmowa dobiegła końca. Jozdah wstała i otworzyła drewniany kufer, który wyglądał na wykonany z cedrowego drewna i był jedynym pięknym i (na oko) drogim elementem wyposażenia w izbie. Wyjęła z niego złożony kawałek czarnego materiału, strzepnęła go i rozpostarła. Okazał się zdumiewająco długi. Skinęła na Lyrę, która posłusznie wstała, po czym zaczęła składać tkaninę w inny sposób, dając Lyrze do zrozumienia, że powinna ją bacznie obserwować. Kiedy Lyra starała się zapamiętać układ fałd i zagięć, Jozdah stanęła za jej plecami i zaczęła układać materiał dookoła jej głowy: najpierw przeciągnęła jedną jego krawędź na wysokości nasady nosa, przez co reszta opadła swobodnie i zasłoniła dolną połowę twarzy, a następnie pozostałą częścią owinęła głowę Lyry w taki sposób, by zakryć każdy jej skrawek oprócz oczu. Wolne końce utkała we wcześniej ułożonych fałdach.

Czil-du, który cały czas im się przyglądał, pokazał coś na swojej głowie. Jozdah zrozumiała, co ma na myśli, i schowała pod chustą ostatni niesforny kosmyk włosów Lyry. Czil-du mruknął z aprobatą.

– Dziękuję – powiedziała Lyra głosem stłumionym przez zasłonę.

Chociaż musiała przyznać, że poczynania Jozdah mają sens, to zwłoka była drażniąca. Niecierpliwiła się, chciała jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę (mimo że przecież nie wiedziała dokąd), a tu nic jej nie trzymało, zwłaszcza że nie mogli się z gospodarzami porozumieć.

Złożyła dłonie w geście, który w jej zamyśle miał wyrażać wdzięczność i pożegnanie, ukłoniła się, zabrała plecak i wyszła. Okrutnie żałowała, że nie może gospodarzom nic zostawić w prezencie, ale też nie miała niczego poza pieniędzmi. Przeszło jej przez myśl, żeby dać im parę monet, bała się jednak, że w ten sposób ich obrazi i podważy ich gościnność.

Wyszła z zaułka. Wózek na nieczystości stał dyskretnie z boku, jakby wstydził się sam siebie. Nie był zabezpieczony łańcuchem ani w żaden inny sposób; któż chciałby ukraść coś takiego? Główna ulica tonęła w olśniewającym blasku słońca i pod opinającą głowę zasłoną Lyrze szybko zrobiło się gorąco.

Za to przynajmniej nikt się za nią nie oglądał, stała się dokładnie taka, jaką próbowała być od początku podróży: niewidzialna. W połączeniu z zaleconym przez Anitę Schlesinger nijako-depresyjnym sposobem poruszania się nikab stanowił aktywną zaporę przeciw zainteresowaniu osób postronnych. Zwłaszcza mężczyźni zdawali się jej nie zauważać, mijali ją obojętnie albo po prostu szli prosto na nią, jakby w ogóle nie istniała, była dla nich równie niematerialna i nieistotna jak cień. A ona z wolna doświadczała coraz większej wolności w tym swoim nowym stanie.

Było jednak gorąco, a w miarę jak słońce pięło się po niebie, upał się nasilał. Szła w kierunku, w którym – jak przypuszczała – znajdowało się centrum miasta: coraz większy ruch i zgiełk, coraz większe sklepy i tłumy na chodnikach. Miała nadzieję, że w końcu napatoczy się na kogoś, kto zna angielski.

Wszędzie było pełno uzbrojonych policjantów: jedni siedzieli na chodnikach i grali w kości, inni przyglądali się przechodniom, interesowali się towarem sprzedawanym z walizki przez ubogiego handlarza obnośnego albo jedli i pili przy

nielegalnie postawionym straganie. Obserwowała ich uważnie i czuła na sobie ich wzrok, gdy już zniżyli się do tego, by zaszczyścić ją spojrzeniem: obojętny rzut oka na zasłoniętą twarz, drugi – zupełnie automatyczny i nieunikniony – na całe ciało, a potem odwrócenie wzroku. Nawet jej brak dajmona nie wywoływał u nich krzty zaciekawienia. Mimo lejącego się z nieba żaru naprawdę czuła się jak świeżo wyzwolona.

W mieście roiło się także od żołnierzy, którzy siedzieli w opancerzonych samochodach albo z bronią przewieszoną skośnie przez pierś patrolowali ulice. Wyglądali, jakby czekali na wybuch powstania, o którym wiedzą, że jest nieuchronny, nie wiedzą tylko, kiedy nastąpi. W pewnym momencie prawie wpadła na mały oddziałek zajęty przesłuchiwaniami chłopców na tyle młodych, że ich dajmony nieustannie zmieniały postać na coraz bardziej pokorną i służalczą, próbując ugłaskać uzbrojonych mężczyzn o twarzach pałających gniewem. Jeden z dzieciaków uklęknął i wyciągnął ręce w błagalnym geście, ale tylko oberwał kolbą karabinu w skroń i runął na ziemię. Lyra w ostatniej chwili zdławiła odruchowy okrzyk „Nie!” i powstrzymała się od podbiegnięcia do nich. Dajmon chłopca zmienił się w węża i wił się niezgrabnie w kurzu drogi, aż w końcu żołnierz przydepnął go ciężkim butem, a wtedy oboje – dajmon i chłopiec – znieruchomieli.

Żołnierze zwrócili uwagę, że Lyra im się przygląda. Ten, który uderzył chłopca, podniósł wzrok i coś do niej zawołał.

Odwróciła się i odeszła, wściekła na swoją bezradność, ale na myśl o konfrontacji z żołnierzem przypomniały o sobie wszystkie zadrapania i siniaki wyniesione z bijatyki w pociągu, a na wspomnienie pchających się jej pod spódnicę rąk przeszedł ją dreszcz obrzydzenia. Jedno było w tej chwili najważniejsze: musiała wydostać się z miasta cała i zdrowa, a to wymagało niezwracania na siebie uwagi, choćby przyszło jej to z największym trudem.

Zagłębiła się w dzielnicę ruchliwych ulic, sklepów, małych firm i pracowni, w których naprawiano meble, handlowano używanymi rowerami, szyto tanie ubrania i tak dalej – a wszystko w obecności policji i na widoku wojska. Ciekawa była stosunków pomiędzy tymi dwiema siłami. Miało się wrażenie, że ich funkcjonariusze usilnie starają się nie wchodzić sobie w drogę, a gdy już muszą się minąć na ulicy, okazują sobie nawzajem skrajną oficjalną uprzejmość. Marzyło jej się, żeby Bud Schlesinger wyrósł nagle jak spod ziemi i spokojnie poprowadził ją przez tutejszy tor przeszkód. Albo Anita, której dobry humor i słowa zachęty podtrzymałyby ją na duchu. Albo Malcolm...

Nie dokończyła tej ostatniej myśli i pozwoliła jej rozpląnąć się w naturalny sposób.

Im bliżej centrum się znajdowała, tym bardziej niekomfortowo się czuła. Ból w lewej dłoni nasilił się i pulsował z każdym uderzeniem serca pompującego krew przez tętnice w sąsiedztwie złamanej kości. Oglądała wszystkie szyldy, wszystkie tablice ogłoszeń, wszystkie mosiężne tabliczki na wszystkich budynkach, wypatrując czegoś, co dowodziłoby, że w tym miejscu mówi się po angielsku.

Tabliczka, którą w końcu znalazła, znajdowała się na murze kościoła, małej bazyliki zbudowanej z wapienia i krytej czerwono-brązową dachówką, z pylistym dziedzińcem, na którym ze żwiru wyrastały trzy drzewka oliwne. Napis po angielsku, francusku i arabsku brzmiał: kaplica świętego Phanouriosa, a dalej podane były

godziny nabożeństw oraz nazwisko księdza, Jerome'a Burnaby'ego.

Księżna Cantacuzino... Czy to nie jej dajmon miał na imię Phanourios?

Przystanęła i zajrzała na dziedziniec. Obok bazyliki stał ocieniony palmami dom w ogrodzie, gdzie mężczyzna w wyblakłej niebieskiej koszuli i spodniach podlewał właśnie kwiaty. Podniósł wzrok, zobaczył ją i zamachał do niej przyjaźnie. Ośmielona tym gestem powoli ruszyła w jego stronę.

– *As-salamu alejkum* – powiedział, odstawivszy konewkę.

Podeszła bliżej, aż weszła do ogrodu. Rosła w nim wielka mnogość roślin o zielonych liściach, za to kwiaty były tylko jedne i miały intensywnie czerwony kolor.

– *Wa-alejkum as-salaam* – odparła półgłosem. – Mówi pan po angielsku?

– Owszem, mówię. Nazywam się Burnaby, zarządzam tym kościołem i jestem Anglikiem. A pani? Mówi pani jak Angielka.

Sądząc po akcencie, mógł pochodzić z Yorkshire. Jego dajmon, rudzik, siedział na uchwycie konewki i przekrzywiwszy łebek, przyglądał się Lyrze. Ksiądz był krzepki, rumiany, starszy, niż jej się wydawało, gdy widziała go z daleka, i miał inteligentną, zatroskaną twarz.

Wyciągnął rękę i podtrzymał Lyre, gdy potknęła się na kamieniu.

– Dziękuję...

– Wszystko w porządku? Źle pani wygląda. Chociaż to oczywiście trudno stwierdzić...

– Mogę usiąść?

– Proszę za mną.

Zaprowadził ją do domu, gdzie było nieco chłodniej niż na zewnątrz. Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, Lyra z ulgą zdjęła chustę.

– Co się pani stało? – zdumiał się ksiądz, poruszony widokiem zadrapań i sińców na jej twarzy.

– Zostałam napadnięta, ale w tej chwili szukam tylko...

– Potrzebny pani lekarz.

– Nie. Proszę, nie. Chcę tylko chwilę posiedzieć, wolałabym nie...

– To chociaż przyniosę pani szklankę wody. Proszę tu poczekać.

Znajdowali się w małym przedpokoju, gdzie stało tylko kruche bambusowe krzesło.

– Nie chciałam... – odezwała się Lyra, gdy Burnaby wrócił z wodą.

– Żaden kłopot. Zapraszam dalej, jest nieposprzątane, ale przynajmniej wygodniej sobie usiądziemy.

Otworzył drzwi do pokoju będącego połączeniem pracowni i antykwariatu. Książki leżały dosłownie wszędzie, nawet na podłodze. Lyrze przypomniał się praski dom Kubička: jakże to było dawno!

Ksiądz zdjął stos książek z fotela.

– Proszę – powiedział. – Sprężyny są nienaruszone.

Usiadła i patrzyła, jak rozdziela zabrane książki na trzy osobne stosy reprezentujące, jak przypuszczała, trzy różne aspekty problemu, którego dotyczyły. Rudzik przysiadł na oparciu drugiego fotela i zerkał na nią błyszczącymi oczkami.

Barnaby również usiadł.

– Potrzebuje pani pomocy medycznej – powiedział. – To nie ulega wątpliwości.

Za chwilę dam pani namiary na dobrego lekarza, a tymczasem proszę powiedzieć, czego jeszcze pani trzeba. Poza dajmonem, bo to również rzecz oczywista. Jak mogę pomóc?

- Gdzie jesteście? Wiem, że w Seleucji, ale czy daleko stąd do Aleppo?
- Kilka godzin jazdy samochodem, droga jest marna. Po co chce pani tam jechać?
- Mam się tam z kimś spotkać.
- Rozumiem. Pozwoli pani, że zapytam, jak się pani nazywa?
- Tatiana Prokowskaja.
- Próbowwała się pani skontaktować z moskiewskim konsulem?
- Nie jestem Moskwianką, mam tylko takie nazwisko.
- Kiedy przyjechała pani do Seleucji?
- Wczoraj, późno w nocy. Zbyt późno, żeby szukać hotelu. Ale zajęli się mną bardzo mili, bardzo biedni ludzie.
- A kiedy została pani napadnięta?
- W pociągu ze Smyrny. Przez żołnierzy.
- Była pani w ogóle u lekarza?
- Nie. Z nikim nie rozmawiałam poza tymi ludźmi, którzy mi pomogli. Ale nawet z nimi nie znaleźliśmy wspólnego języka.
- Jak się nazywali?
- Czil-du i Jozdah.
- Czyściciel latryn i jego żona.
- Zna ich pan?
- Nie, ale to nie są anatolijskie imiona, tylko tadżyckie. Kobięcie oznacza „jedenaście”, a męskie „czterdzieści dwa”.
- Tadżyckie? – powtórzyła Lyra.
- Tak. Tadżykom nie wolno tu mieć własnych imion, dlatego nadaje im się numery: mężczyznom parzyste, kobietom nieparzyste.
- Coś okropnego. Są... niewolnikami?
- Prawie. Mogą być zatrudniani do bardzo niewielu prac, najwięcej jest wśród nich grabarzy. No i czyścicieli.
- Byli dla mnie bardzo dobrzy. Dali mi tę chustę, ten... nikab, tak?
- Założenie go było nadzwyczaj rozsądne.
- Panie Burnaby... to znaczy, proszę księdza... Jak właściwie powinnam się do pana zwracać?
- Jerome, jeśli łaska.
- Co tu się dzieje, Jerome? Dlaczego na ulicach jest wojsko? I skąd te tłumy żołnierzy w pociągu?
- Ludzie są niespokojni, wystraszeni. Co rusz wybuchają zamieszki, dochodzi do podpaień, prześladowań... Od czasu męczeńskiej śmierci Świętego Symeona, patriarchy, trwa u nas coś w rodzaju stanu wojenno-kościelnego. A źródłem niepokojów są kłopoty w ogrodach różanych.
- Lyra przetrzymała słowa księdza.
- Ci ludzie, których spotkałam w nocy... Oni nie mieli dajmonów. Tak jak ja.
- Mogę zapytać, jak doszło do tego, że zostałam pozbawiona dajmona?
- Zniknął. To wszystko, co wiem.
- Miałaś szczęście, że nikt nie próbował cię zatrzymać. Ludziom bez dajmonów,

najczęściej Tadżykom, nie wolno chodzić po mieście za dnia. Gdyby wzięli cię za Tadżyjkę, zostałabyś aresztowana.

Lyra milczała przez dłuższą chwilę.

– Okropne miejsce – powiedziała w końcu.

Napiła się wody.

– Więc chcesz się dostać do Aleppo?

– Czy w obecnej sytuacji będzie to trudne?

– Seleucja to miasto kupców, za pieniądze wszystko można tu dostać. Chociaż dzisiaj taka podróż będzie droższa, niż byłaby w spokojniejszych czasach.

– Słyszałeś o Błękitnym Hotelu? To miejsce, do którego udają się samotne dajmony.

Oczy Jerome'a wyraźnie się rozszerzyły.

– Proszę, nie... musisz być ostrożna...

Wstał i obszedł pokój dookoła, wyglądając po drodze przez oba okna – to wychodzące na ulicę i to od strony przydomowego warzywnika. Rudzik, który głośnym świergotem dawał wyraz swojemu zaniepokojeniu, podfrunął w kierunku Lyry, by w pół drogi zawrócić do bezpiecznego azylu na ramieniu księdza.

– Ostrożna? – zdumiała się. – Z jakiego powodu?

– To miejsce, o które pytasz... Rządzą nim pewne... siły... które nie pochodzą z naszego świata. Siły duchowe, złe siły. Szczerze odradzam taką wizytę.

– Ale przecież wiesz, że ja tylko szukam swojego dajmona. Jeżeli to miejsce naprawdę istnieje, to muszę się tam udać. Jestem... niepełna. Niekompletna. I to widać.

– Nie masz pewności, że dajmon tam będzie, ja zaś widziałem przypadki... Mógłbym ci opowiedzieć o najprawdziwszych złych duchach pochodzących z miejsc, gdzie... spośród ludzi, którzy... Nie, naprawdę. Nie jedź tam. Nawet jeśli to miejsce istnieje.

– „Nawet jeśli”? Chcesz powiedzieć, że jednak może nie istnieć?

– Gdyby istniało, nie należałoby się tam udawać.

Czy to jakiś drugi Bolvangar?, zastanawiała się Lyra, ale nie chciała tracić czasu na opowiadanie księdzu o Bolvangarze.

– Gdybym zapytała jako... no nie wiem... zwykła dziennikarka, powiedzmy... Gdybym zapytała, jak się tam dostać, powiedziałabyś mi?

– Przede wszystkim: nie wiem, jak tam dotrzeć. To wszystko plotki, mity, może nawet przesady. Natomiast jeśli ktokolwiek miałby to wiedzieć, to najprędzej twój przyjaciel czyściciel. Dlaczego go nie zapytasz?

– Dlatego że nie możemy się porozumieć. Ale nieważne, mniejsza z tym. Chwilowo i tak nie mam siły gdziekolwiek jechać. Dziękuję za wysłuchanie mnie. I za wodę.

– Przepraszam, nie chciałem, żebyś poczuła się tu niechciana. Po prostu martwię się o ciebie, o twoje dobro duchowe i... Posiedź tu sobie, odpocznij. Naprawdę dobrze by było, gdyby obejrzał cię lekarz.

– Nic mi nie będzie. Muszę iść.

– Chciałbym móc ci jakoś pomóc.

– No dobrze. Powiedz mi wobec tego, jak dojechać do Aleppo. Jest jakiś pociąg?

– Do niedawna był, ale połączenie zostało zawieszona. Jest autobus, kursuje dwa

razy w tygodniu, jeśli się nie mylę, ale...

– Są inne sposoby?

Jerome odetchnął głęboko, zabębnił palcami w podłokietnik, pokręcił głową.

– Wielbłądy – odparł.

– Gdzie znajdę wielbłąda? I przewodnika?

– Wiesz o tym, że w naszym mieście zbiega się i kończy wiele odnóg Jedwabnego Szlaku, prawda? Największe bazy i magazyny są w Aleppo, ale znaczna część towarów trafia tutaj, żeby dalej ruszyć drogą morską. Zresztą ruch odbywa się w obu kierunkach, zdarzają się karawany, które wędrują od nas z towarem aż do Pekinu. Aleppo to dla nich tylko przystanek, jeden z wielu. Powinnaś pójść do portu, ja tak bym właśnie zrobił na twoim miejscu. Idź do portu i pytaj o karawanę na wschód; ludzie, którzy je prowadzą, mówią wszystkimi językami świata. Ale błagam cię, porzuć tamten drugi zamiar: to ułuda, urojenie, w dodatku niebezpieczne. Nie żartuję. Podróż do Aleppo na grzbiecie wielbłąda potrwa dzień, może dwa... powiedzmy trzy, nie więcej. Masz tam przyjaciół?

– O tak – odparła ze swobodą Lyra. – Tam już będę bezpieczna.

– W takim razie życzę ci powodzenia. Szczerze. I pamiętaj: nie jest miłe Absolutowi, kiedy jego dzieło zostaje rozdzielone. Zostałaś stworzona razem z dajmonem, który teraz tęskni do waszego ponownego zespolenia. Kiedy do tego dojdzie, porządek natury zostanie częściowo przywrócony i Absolut będzie zadowolony.

– Myślisz, że jest zadowolony z tego, jak muszą żyć ci biedni Tadźycy?

– Nie, na pewno nie. Świat jest skomplikowany, Tatiano, wystawia nas na próby...

Lyra wstała. Kosztowało ją to zaskakująco dużo wysiłku, aż musiała złapać się oparcia fotela.

– Jesteś osłabiona – wytknął jej łagodnym tonem Jerome.

– Nie.

– Ja...

On również wstał. Splótł dłonie, a na jego twarzy odmalował się długi ciąg myśli i cała gama uczuć. Wzdrygnął się dziwnie całym ciałem, jakby usiłował strząsnąć z siebie jakieś okowy albo łańcuchy.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Lyra.

– Usiądź – poprosił wyraźnie poruszony Jerome. – Nie powiedziałem ci wszys... Nie powiedziałem ci całej prawdy. Usiądź, proszę. Spróbuję wyjaśnić.

Było widać, że z czymś się zмага i zarazem wstydy się, że dał to po sobie poznać.

Lyra usiadła, pilnie śledząc zmiany wyrazu jego twarzy.

– Wracając do twoich tadźyckich znajomych... – zaczął. – Ich dajmony najpewniej zostały sprzedane.

Lyra pomyślała, że się przesłyszała.

– Co takiego? Powiedziałeś „sprzedane”? Ludzie sprzedają swoje dajmony?

– Z biedy. Na dajmony jest popyt. W przeciwieństwie do innych dziedzin nauki, medycyna w naszych stronach stoi na bardzo wysokim poziomie, a to za sprawą wielkich koncernów medycznych. Podobno korporacje prowadzą u nas doświadczenia, zanim wejdą z produktem na rynek europejski. Można przeprowadzić

stosowny zabieg chirurgiczny... Wielu ludzi wychodzi z niego z życiem. Zdarza się, że rodzice sprzedają dajmony swoich dzieci, żeby związać koniec z końcem. Oficjalnie jest to sprzeczne z prawem, ale duże pieniądze potrafią zepchnąć prawo na margines. Kiedy takie niedoskonałe dzieci dorastają, nie stają się pełnoprawnymi obywatelami. Stąd się biorą takie, a nie inne ich imiona czy zawody, które mogą wykonywać. Są kupcy... Wiem, gdzie ich znaleźć, mogę ci nawet powiedzieć, chociaż nie jest to wiedza, z której przekazania byłbym dumny. Prawdę powiedziawszy, każda cząstka mojego ciała buntuje się przeciw temu. Nie umiem sobie wybaczyć, że wiem o czymś takim. Niektórzy handlarze zajmują się dostarczaniem dajmonów klientom, którzy ich nie mają. Wiem, to brzmi makabrycznie i niedorzecznie. Kiedy pierwszy raz o tym usłyszałem, niedługo po tym, jak się tu sprowadziłem i zaopiekowałem tym kościołem, pomyślałem, że o czymś takim można mówić tylko w konfesjonale, nigdzie indziej. Cierpiałem męki, naprawdę, trudno mi było się zmusić, żeby w to uwierzyć, ale te same informacje dochodziły do mnie z różnych źródeł. Ludzie mówią księżom takie rzeczy. Wygląda na to, że gdyby ktoś taki jak ty, kto stracił dajmona, miał odpowiednio dużo pieniędzy, mógłby skorzystać z usług handlarza, który by mu dostarczył... znaczy, sprzedał... dajmona, który od tej pory uchodziłby za jego własnego. Zdarzało mi się widzieć takich ludzi, rzeczywiście mają nowe dajmony, które chodzą za nimi krok w krok, wygląda, jakby byli ze sobą blisko, rozumieli się i w ogóle, ale...

– Można się zorientować – wtrącił dajmon Jerome'a. Miał cichy, słodki głosik. – Na jakimś głębszym poziomie widać, że nie są jednością. To zatrzważający widok.

– Długo nie mogłem tego ogarnąć – ciągnął ksiądz. – Starłem się, ale nie rozumiałem... Mój biskup nie udzielił mi wsparcia ani żadnych wskazówek. Magisterium zaprzecza, jakoby takie rzeczy miały miejsce, ale ja wiem, że to dzieje się naprawdę.

– Ale to przecież niemożliwe! – zaperzyła się Lyr. – Dlaczego jakikolwiek dajmon miałby się zgodzić udawać cudzego dajmona? Dajmony to my, cząstka nas samych. Na pewno tęsknią za nami tak samo, jak my za nimi. Zdarzyło ci się kiedyś rozdzielić ze swoim dajmonem?

Jerome pokręcił głową. Rudzik powiedział coś cichutko, a wtedy ksiądz wziął go w rękę i przysunął sobie do twarzy.

– I dlaczego taki dajmon zgadza się zostać przy obcym człowieku? Jak może to znieść?

– Może lepsze to, niż zostać tam, gdzie był? Tam, gdzie został odseparowany od swojego człowieka?

– Poza tym ci handlarze... Czy to jest w ogóle zgodne z prawem? Mają na to jakąś... nie wiem... koncesję?

– Podobno... – zaczął Jerome i zaraz się zastrzegł: – To tylko plotki i domysły, rozumiesz, domniemania, nic więcej. Podobno niektóre z tych dajmonów, którymi się handluje, zostały odebrane Tadżykom. Większość z nich umiera, ale władze przyzymkają na to oko, bo korporacje stojące za tymi transakcjami... a to są oczywiście transakcje nielegalne, absolutnie czarnorynkowe... korporacje są dziś bardziej wpływowe od polityków. Miałas rację, Tatiano, kiedy powiedziałaś, że to okropne miejsce.

– Opowiedz mi o Błękitnym Hotelu.

Jerome zrobił nieszczęśliwą minę.

– Proszę – dodała Lyra. – Przebyłam szmat świata, żeby odszukać swojego dajmona. Jeżeli jest gdzieś w pobliżu, muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby nie wpadł w ręce tych handlarzy. A jeśli dajmony udają się do Błękitnego Hotelu, to znaczy, że są tam bezpieczne. Gdzie znajduje się to miejsce? Czym jest? Co o nim wiesz?

– Ludzie je omijają – odparł z westchnieniem Jerome. – Boją się. A ja naprawdę wierzę, że w grę wchodzi siły zła. Z tego, co słyszałem... Jeden z moich parafian wybrał się tam z ciekawości. Wrócił naznaczony, przemieniony, skrzywdzony. „Hotel” to eufemizm. W rzeczywistości jest to umarłe miasto, jedno z setek w tej okolicy. Nie mam pojęcia, dlaczego nazywa się je Błękitnym Hotelem. Coś w nim jednak sprawuje rządy, coś przyciąga dajmony, może właśnie takie dajmony, które zostały poddane separacji i uciekły. To złe miejsce, Tatiano, jestem o tym przekonany. Proszę cię, nie...

– Gdzie znajdę któregoś z tych handlarzy?

Jerome złapał się za głowę.

– Po co ja ci to wszystko powiedziałem?!

– Cieszę się, że mi powiedziałeś. A teraz powiedz, gdzie ich znajdę.

– Cały ten proceder jest nie tylko nielegalny, ale przede wszystkim niemoralny. Niebezpieczny zarówno z prawnego, jak i duchowego punktu widzenia. Rozumiesz, co mówię?

– Rozumiem, ale mimo to chcę się dowiedzieć. Dokąd mam się udać? Jakie pytania zadawać? Czy ci handlarze albo ten rodzaj transakcji mają jakąś szczególną nazwę?

– Więc nie zrezygnujesz?

– To mój jedyny trop. Oczywiście, że nie zrezygnuję. Ty też byś nie zrezygnował. Ci ludzie, którzy kupują dajmony... Jak znajdują sprzedawców? Panie Burnaby... Jerome, proszę... Jeżeli nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz, mogę się znaleźć w jeszcze gorszym niebezpieczeństwie niż dotychczas. Czy jest jakieś umówione miejsce? Jakiś targ, kawiarnia, coś w tym rodzaju?

Jerome mruknął coś półgłosem i Lyra już, już miała go poprosić, żeby powtórzył, kiedy zdała sobie sprawę, że rozmawia z dajmonem. I to dajmon udzielił jej odpowiedzi.

– Jest taki hotel niedaleko portu – powiedział rudzik. – Hotel Park, tak się nazywa, chociaż w pobliżu nie ma parku. Ludzie w takim stanie jak ty meldują się w tym hotelu na kilka dni. Handlarze się o tym dowiadują i składają im wizytę. Dyrekcja hotelu gwarantuje dyskrecję, ale słono sobie liczy za pobyt.

– Hotel Park – powtórzyła Lyra. – Dziękuję ci. Pójdę tam. Przy jakiej to ulicy?

– Osmana Sokaka – odparł Burnaby. – To mała uliczka, nieopodal mostu obrotowego.

– Osmana...

– Osmana Sokaka. To nawet nie uliczka, raczej zaułek.

Lyra wstała. Tym razem czuła się silniejsza niż poprzednio.

– Jestem panu ogromnie wdzięczna, panie Burnaby – powiedziała. – Dziękuję.

– Wyobrażam sobie, że musi ci być niezwykle ciężko, ale błagam cię, wróć po prostu do domu.

– W powrocie do domu nie ma nic prostego.
– Rzeczywiście, nie ma. Łatwo się mówi.
– Poza tym nie zamierzam kupować dajmona, to by była potworność.
– Nie powinienem był... – Burnaby pokręcił głową. – Gdybyś w którymkolwiek momencie potrzebowała pomocy, daj znać.
– To bardzo miłe z twojej strony, będę pamiętać. Ale teraz już pójdę.

Przypomniała sobie o nikabie i z ciężkim westchnieniem zaczęła go zakładać. Starannie odłożyła materiał na nosie, zawinęła z tyłu głowy, przeciągnęła górą i wcisnęła luźne końce chusty do wewnątrz, żeby całość się trzymała. Przejrzała się jeszcze w lustrze nad stołem w przedpokoju: prezentowała się schludnie, bezpiecznie, anonimowo.

Na pożegnanie uściśniła dłoń księdza, zamieniła chłód jego domu na żar poranka i z determinacją ruszyła w stronę portu. W rozedrganym od gorąca powietrzu majaczyły długie szyje portowych żurawi, być może także maszty statków, tak że nie miała wątpliwości, dokąd iść.

– Ulica Osmana Sokaka – powtarzała pod nosem.

Gdyby już wcześniej nie stwierdziła, że Smyrna była znacznie przyjemniejsza od Seleucji, wędrowniczka do portu ostatecznie by ją o tym przekonała. Nikt tu chyba nigdy nie pomyślał o zasadzeniu choćby jednego drzewa, paru krzaków albo obsianiu kawałka ziemi trawą, tak jak nikt nie wpadł na to, że miasto mogłoby być przyjemnym i wygodnym miejscem do mieszkania, a nie tylko prowadzenia interesów. Nic nie łagodziło żaru słońca bezlitośnie prażącego zakurzone ulice. Nigdzie nie było ławek, nawet na rzadko rozmieszczonych przystankach autobusowych, nie widziała też żadnej kawiarni ani restauracji. Gdyby chciała odpocząć, musiałyby usiąść na ziemi, a cienia szukać pomiędzy budynkami, z których większość stanowiły nijakie fabryki, magazyny i zanedbane bloki mieszkalne. Nieliczne sklepy, małe i funkcjonalne, beztrudno wykladały towar na słońce, gdzie warzywa więdły w upale, a chleb okrywał się wzniesionym w ruchu ulicznym kurzem. Przechodnie patrzyli w ziemię, nie rozglądali się, jakby nie interesowało ich nic poza nimi samymi. Do tego te wszechobecne patrole: policyjne radiowozy sunące powoli ulicami i rozleniwieni piesi żołnierze z karabinami przewieszonymi przez pierś.

Przez takie właśnie miasto Lyra – coraz bardziej zmęczona, obolała i udręczona – uparcie szła do portu. Kiedy znalazła niewielką boczną uliczkę nazwaną imieniem Osmana Sokaka, omal nie rozplakała się z ulgi. Wzięła się jednak w garść i weszła do zapuszczonego budynku z dumą tytułującego się „hotelem Park”, chociaż „k” odpadło od szyldu i zniknęło bez śladu.

Recepcjonista był pośpny i niemrawy, ale ślepią jego dajmona–jaszczurki zapałały gadzim zainteresowaniem, gdy zauważył brak dajmona u Lyry. Z pewnością dostawał prowizję za poinformowanie kogo trzeba o przybyciu klienta. Dał Lyrze klucze do pokoju na pierwszym piętrze, ale nie zamierzał jej do niego prowadzić.

Przekroczywszy próg małego, dusznego pokoiku, zerwała nikab z głowy, cisnęła go w kąt i ostrożnie wyciągnęła się na łóżku – ostrożnie, bo wszystkie odniesione obrażenia stopniowo zlewały się w jeden wielki ból, który coraz bardziej sprawiał wrażenie, jakby nie tkwił w jej ciele, lecz otulał ją ze wszystkich stron. Czuła się chora i osamotniona. Popłakała trochę i zasnęła.

Obudziła się godzinę później. Policzki miała wciąż mokre od łez. Ktoś pukał do

drzwi.

– Chwileczkę! – zawołała i pośpiesznie nałożyła nikab.

Uchyliła drzwi. Stał za nimi mężczyzna w średnim wieku, odziany w garnitur, z teczką w ręce.

– Słucham pana?

– Jest pani Angielką, *mademoiselle*?

– Tak.

– Mogę pani pomóc.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Selim Veli. Doktor Selim Veli, ściśle rzecz biorąc.

– Co pan proponuje?

– Brakuje pani czegoś, co jest niezbędne, a ja mogę to dostarczyć. Pozwoli pani, że wejde i wszystko wyjaśnie?

Jego dajmon, papuga, siedział mu na ramieniu i przekrzywiwszy łebek, obserwował Lyrę.

Ciekawe, zastanawiała się Lyra, czy to jego własny dajmon, czy kupiony. Zdawała sobie sprawę, że w normalnych okolicznościach umiałaby to stwierdzić na pierwszy rzut oka, ale w jej obecnym stanie nic nie było pewne i proste.

– Proszę chwilę zaczekać – odparła.

Zamknęła drzwi, sprawdziła, czy ma pałkę na podorędziu, po czym otworzyła drzwi i wpuściła gościa. Doktor Veli miał nienaganne maniery, czysty, świeżo odprasowany garnitur i buty wyglansowane do połysku.

– Proszę usiąść, panie doktorze.

Veli zajął jedyne krzesło w pokoju. Lyra usiadła na łóżku.

– Nie wiem, czy obyczaj na to pozwala – zastrzegła się – ale nie jestem przyzwyczajona do noszenia nikabu i zamierzam go zdjąć.

Veli z powagą skinął głową. Jego oczy rozszerzyły się lekko na widok jej poranionej twarzy, ale w żaden sposób tego nie skomentował.

– Słucham, co pana sprowadza?

– Strata dajmona to ciężkie przeżycie dla każdego człowieka, w większości przypadków kończy się śmiercią. Wśród tych, którzy przeżyją, wykształca się jednak popyt na określoną usługę, którą świadczę.

– Ja chcę znaleźć swojego dajmona.

– Ależ naturalnie. Ja zaś z całego serca życzę pani powodzenia. Jak dawno zniknął?

– Około miesiąca temu.

– A pani wciąż cieszy się dobrym zdrowiem, jeśli nie liczyć... – Veli wymownym gestem wskazał twarz Lyry.

– Owszem.

– Jest zatem bardzo prawdopodobne, że pani dajmon również dobrze się miewa. Jak ma na imię? I jaką ma postać?

– Pantalaimon. Jest kuną leśną. Skąd pan bierze dajmony na sprzedaż?

– Same do mnie przychodzą, to całkowicie dobrowolny układ. Aczkolwiek z przykrością przyznaję, że są handlarze, którzy kupują i sprzedają dajmony odebrane ludziom przemocą lub przynajmniej bez ich zgody.

– Ma pan na myśli dajmony ubogich Tadżyków?

– Tadżyków też, chociaż nie tylko. Ludzie biedni, którzy sprzedają swoje dajmony, są traktowani z obrzydzeniem i pogardą, ale jeżeli widziała pani, w jakich warunkach zmuszeni są żyć, nie może im pani nie współczuć. W każdym razie ja unikam takich transakcji.

– I dajmony same do pana przychodzą.

– Reprezentuję interesy wyłącznie tych dajmonów, które z własnej woli postanowiły zerwać więź.

– Ile kosztują pańskie usługi?

– To zależy od wieku, wyglądu, postaci, ważne są także inne cechy, znajomość języków, pochodzenie... Zależy nam na jak najlepszym dopasowaniu. Zawsze istnieje ryzyko, że człowiek, od którego dajmon został odseparowany, umrze. Wtedy oczywiście umrze także sam dajmon, ale mogę pani zaoferować polisę ubezpieczeniową na wypadek takiego zdarzenia, która pokryje koszty zakupu nowego dajmona.

Lyra zbierało się na wymioty, ale zmusiła się do zadania następnego pytania:

– Jaka byłaby cena?

– Za dajmona najwyższej jakości, dobrze dobranego do potrzeb klienta... Dziesięć tysięcy dolarów.

– A za ile można dostać najtańszego?

– Nie sprzedaję dajmonów marnej jakości. Inni handlarze bez wątpienia policzyliby sobie taniej. Musiałaby pani nawiązać z nimi kontakt.

– A gdybym chciała się z panem potargować?

– Cóż... – Doktor Veli zachowywał się jak wysokiej klasy marszand dyskutujący o zakupie atrakcyjnego dzieła sztuki. – Cena musi odpowiadać obu stronom.

– Jak się żyje ludziom z nowymi dajmonami?

– Musi pani zrozumieć, że każdy przypadek jest inny. Klienci podejmują ryzyko, ale przy dobrej woli obu stron można dojść do porozumienia. Celem jest osiągnięcie takiego *modus vivendi*, który zda egzamin w codziennych sytuacjach społecznych i towarzyskich. Jednakże perfekcyjna jedność i zrozumienie, którymi obie strony cieszyły się od urodzenia i które z czasem utraciły... Skłamałbym, gdybym powiedział, że zawsze udaje się je odtworzyć. Natomiast niewątpliwie możliwe jest osiągnięcie zadowalającego poziomu wzajemnej tolerancji, która z czasem może się nawet przerodzić w sympatię i czułość.

Lyra wstała i podeszła do okna. Było późne popołudnie, upał trudny do zniesienia, a dręczący ją ból nie ustępował.

– Oczywiście szczególna natura transakcji wyklucza możliwość reklamowania moich usług – ciągnął Veli – ale moje referencje mogłyby panią zainteresować.

– Komu więc sprzedał pan dajmony?

– Wśród moich klientów są *signor* Amedea Cipriani, prezes Banco Genovese, *madame* Françoise Guillebaud, sekretarz generalna Europejskiego Forum Wiedzy Ekonomicznej, profesor Gottfried Brande...

– Że co? Brande?!

– Jak najbardziej: profesor Gottfried Brande, słynny niemiecki filozof.

– Czytałam jego książki. To zatwardziały sceptyk.

– Nawet sceptycy muszą jakoś funkcjonować w naszym świecie, sprawiać pozory normalności. Znalazłem mu piękną sukę owczarka niemieckiego, ponoć do złudzenia

przypominającą jego pierwotnego dajmona. Sam mi tak powiedział.

– Ale Brande...? Jak do tego doszło, że stracił dajmona?

– Nie interesowałem się tym, uznałem, że to jego prywatna sprawa.

– W jednej ze swoich książek twierdzi, że dajmony nie istnieją.

– To z kolei kwestia do dyskusji pomiędzy nim i jego zwolennikami. Nie przypuszczam, żeby zamierzał się publicznie chwalić dokonaną transakcją.

– Rzeczywiście... – Lyrze kręciło się lekko w głowie. – A jak dajmony reagują na fakt, że się je sprzedaje i kupuje?

– Dręczy je samotność i nieutulony żal, są więc wdzięczne, gdy znajdzie się ktoś, kto się nimi zaopiekuje.

Lyra spróbowała sobie wyobrazić Pana, który przychodzi do Velego, zostaje sprzedany jakiejś samotnej kobiecie i próbuje dopasować się do jej życia, udawać przywiązanie, wkraść się w jej łaski... i przez cały czas jest zmuszony znosić kontakt fizyczny z człowiekiem, który zawsze będzie dla niego obcy. Ścisnęło ją w gardle, łzy napłynęły jej do oczu. Musiała się na chwilę odwrócić plecami do handlarza.

– Jeszcze jedno – powiedziała po dłuższej chwili. – Jak mogę się dostać do Błękitnego Hotelu?

Odwróciła się szybko i zdążyła zauważyć, że jej pytanie zaskoczyło Velego. Szybko się jednak otrząsnął i odparł:

– Nie mam pojęcia. Nigdy tam nie byłem, skłaniam się nawet ku przeświadczeniu, że to miejsce nie istnieje.

– Ale słyszał pan o nim?

– Naturalnie: plotki, pogłoski, przesady...

– To wszystko, co chciałam wiedzieć. Do widzenia, doktorze Veli.

– Pozwolę sobie zostawić mały wybór fotogramów. – Handlarz pochylił się i rozłożył zdjęcia na łóżku. – Wraz ze swoją wizytówką.

– Dziękuję panu. Miłego dnia.

Doktor Veli ukłonił się i wyszedł.

Lyra wzięła do ręki jeden z fotogramów. Przedstawiał dajmona-kota o przeredzonej, kępiastej sierści zamkniętego w srebrnej klatce. Na ile potrafiła to określić, jego pyszczek wyrażał złość i nieposłuszeństwo. U dołu zdjęcia była przyklejona etykiетка z wypisanymi na maszynie słowami:

IMIĘ: Argülles

WIEK: 24

ZNAJOMOŚĆ JĘZYKÓW: tadżycki, rosyjski, anatolijski

Cena na żądanie.

Na wizytówce widniało tylko nazwisko handlarza i jego adres. Podarła ją wraz ze zdjęciami i wyrzuciła strzępki do kosza.

Parę minut później rozległo się kolejne pukanie do drzwi. Tym razem nie zawracała sobie głowy zakładaniem chusty. Handlarz, starszawy Grek, dokładnie w taki sam sposób zareagował na jej pytanie o Błękitny Hotel. Wyszedł po niespełna pięciu minutach.

Trzeci zjawił się pół godziny później. Jemu także powiedziała, że nie chce kupić

dajmona, tylko dostać się do Błękitnego Hotelu. Nie wiedział, gdzie go szukać, więc pożegnała go i zamknęła za nim drzwi.

Było jej diabelnie niewygodnie i gorąco, chciało jej się jeść i pić, a miary nieszczęść dopełniał silny ból głowy. Złamana dłoń obrzmiała, zsiniała i pulsowała bólem.

Usiadła i czekała. Minęła godzina.

Rozeszła się wieść, pomyślała, że nie chce kupić dajmona, więc przestali przychodzić.

Kusiło ją, żeby położyć się i umrzeć, ale jej ciało dopominało się o jedzenie i picie, co zinterpretowała jako sygnał, że przynajmniej ono chce jeszcze żyć. Nałożyła chustę na głowę i wyszła kupić chleb, ser, butelkowaną wodę i – gdyby jej się poszczęściło – jakieś środki przeciwbólowe.

Mimo nikabu sklepikarze traktowali ją podejrzliwie. Pierwszy w ogóle nie chciał jej nic sprzedać i co rusz wykonywał gesty mające na celu odpędzenie złych duchów. Na szczęście drugi wziął pieniądze i dał jej wszystko, czego potrzebowała.

Kiedy wróciła do hotelu, przed drzwiami pokoju czekał nieznajomy mężczyzna.

Trzej pierwsi zachowywali się jak profesjonalści, biznesmeni mający w ofercie cenny towar, i ubierali się stosownie do odgrywanej roli. Ten wyglądał jak żebrak: w łachmanach, z dłońmi poczerwiałymi od wgrzyzonego w pory brudu, twarzą spaloną słońcem na ciemnoorzechowy kolor i białą blizną ciągnącą się od lewego policzka przez nasadę nosa aż do prawego ucha. Mógł mieć od trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Z włosów została mu rzadka, szarawa szczecina, twarz miał gładką, ekspresyjną i pozbawioną zmarszczek, oczy pałające żywą inteligencją. Mówił szybko, pogodnym tonem, z akcentem, w którym mieszały się wszystkie kraje Lewantu. Jego dajmon, gekon, siedział mu na ramieniu.

– Panienko! Tak się cieszę, że panią widzę! Nie mogłem się doczekać. Wiem, czego pani potrzeba. Wieści się rozchodzą. Czy młoda dama chce kupić dajmona? Bynajmniej. Czy ma ochotę zwiedzić ruiny dawnych rzymskich świątyń? Może kiedy indziej. Czy zatem czeka na sprzedawcę złota, kości słoniowej, perfum, jedwabiu albo suszonych owoców? Także nie. Wiem, czego chcesz, pani. Znam twoje najskrytsze pragnienie, czyż nie?

– Chcę otworzyć drzwi, wejść do swojego pokoju i spokojnie w nim posiedzieć. Jestem zmęczona i głodna. Jeżeli chce mi pan coś sprzedać, wróćmy do tej rozmowy, kiedy coś zjem i chwilę odpocznę.

– Z największą przyjemnością. Proszę się nie śpieszyć, zaczekam tutaj. Nigdzie się nie wybieram. Proszę się rozgościć i mnie wezwać. Pozostaję do usług z całą szczerością i uczciwością, na jaką mnie stać.

Intruz ukłonił się i osunął plecami po ścianie naprzeciwko, aż usiadł po turecku na podłodze. Złożył dłonie w geście, który miał zapewne wyrażać szacunek, i tylko w jego oczach płąsał kpiący ognek.

Lyra otworzyła drzwi, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi na zamek. Zdjęła nikab, usiadła z chlebem, serem i ciepłą wodą w rękach i połknęła dwa proszki przeciwbólowe.

Zjadła, napiła się, poczuła się lepiej. Dopiero wtedy obmyła twarz i ręce, przyglądała krótkie włosy i otworzyła drzwi.

Siedział cierpliwie na swoim miejscu, w tej samej pozycji. Na jej widok gibkim,

energicznym ruchem poderwał się na nogi.

– No dobrze – powiedziała – zapraszam i słucham: co chce mi pan sprzedać?

– Smakował pani posiłek, *madame*? – zapytał, kiedy zamknęła drzwi.

– Nie, ale musiałam coś zjeść. Jak się pan nazywa?

– Abdel Ionides, *madame*.

– Proszę usiąść. I proszę nie zwracać się do mnie „*madame*”. Może mnie pan nazywać „*panną Złotoustą*”.

– Dobrze. Takie imię zdradza pewne przymioty osobiste, ośmielę się więc zapytać, jak bardzo niezwykłymi ludźmi byli pani rodzice, że postanowili tak panią nazwać?

– Imię to nadał mi król, nie rodzice. Ale do rzeczy: co pan sprzedaje?

– Wiele rzeczy. Jestem w stanie dostarczyć niemal wszystko; to „niemal” najlepiej świadczy o mojej uczciwości. Większość ludzi ląduje w tym hotelu w stanie godnym pożałowania: stracili dajmony, lecz mimo to pozostali przy życiu. Ich cierpienie budzi litość, a że moje serce to organ ciepły i skory do wzruszeń, to gdy mnie proszą, bym znalazł im dajmona, robię to. Wielokrotnie wypełniałem to zadanie. Pozwoli pani, że poczynię pewną uwagę na temat pani zdrowia, *panno Złotousta*?

– Do czego pan zmierza?

– Dręczy panią ból. Ja zaś jestem w posiadaniu cudownego balsamu, który pochodzi z najbardziej tajemniczego regionu najodleglejszego Orientu i w sposób absolutnie skuteczny łagodzi wszelkie bóle, bez względu na ich rodzaj i przyczynę. Mogę pani sprzedać ten fenomenalny medykament za równowartość dziesięciu dolarów. – Ionides wyjął z kieszeni małą puszkę, nieco podobną do opakowań pasty do butów, lecz mniejszą i pozbawioną etykiety. – Proszę wypróbować odrobinę. Ręczę, że nie będzie pani zawiedziona.

Zdjął wieczko i podsunął puszkę Lyrze.

Balsam był tłusty i miał różowawy odcień. Nabrała ociupinę na czubek prawego palca wskazującego i posmarowała obolałą lewą dłoń. Nie odczuła żadnej różnicy, ale nie miała ochoty się spierać, a cena nie była wygórowana.

Zapłaciła, czym wprawiła Ionidesa w lekkie zaskoczenie, i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że oczekiwał, że będzie się targować. Cóż, stało się. Odstawiła puszkę na stolik nocny.

– Zna pan niejakiego... – Sięgnęła po wizytówkę wcześniejszego gościa – ... doktora Selima Velego?

– Owszem, znam. To człowiek majątny, o ustalonej renomie.

– Uczciwy?

– To jakby zapytać, czy słońce jest gorące. Jego nazwisko jest synonimem uczciwości jak Lewant długi i szeroki. Pani jednak mu nie ufa, *panno Złotousta*. Mam rację?

– Twierdzi, że sprzedał dajmona pewnemu człowiekowi, którego znam. Zaskoczyło mnie to. Nie wiem, czy mogę mu wierzyć.

– Może mu pani zaufać bez żadnych obaw i wątpliwości.

– Rozumiem. Skąd się... W jaki sposób handlarze dajmonami zdobywają swój towar?

– Istnieje wiele sposobów. Widzę, że mam przed sobą damę o wrażliwym sercu, nie będę więc przedstawiał tu wszystkich znanych mi metod. Zdarza się jednak, że

dajmon się zgubi, poczuje się nieszczęśliwy, nawet niechciany, choć taka potworność może się pani nie mieścić w głowie. Wtedy przygarniamy go, bierzemy pod opiekę i staramy się mu znaleźć odpowiedniego towarzysza, z którym mógłby się związać, jak by nie patrzeć, do końca życia. Kiedy nam się powiedzie, odczuwamy szczęście niewiele mniejsze niż nasi zadowoleni klienci.

Dajmon Ionidesa, pomarańczowo-zielony gekon, pośpiesznie wspiał mu się po ręce, barku i szyi aż na czubek głowy. Szybkim ruchem wysunął język, oblizał sobie oczy i szepnął coś Ionidesowi do ucha.

– No cóż – powiedziała Lyra – ja nie szukam nowego dajmona. Chcę się tylko dostać do Aleppo.

– Żaden kłopot. Mogę tam panią zawieźć w dogodnej dla pani chwili, panno Złota.

– Po drodze chciałabym odwiedzić pewne miejsce, o którym słyszałam. Nazywa się je Błękitnym Hotelem.

– A owszem, kojarzę, kojarzę... Znany jest także jako Selenopolis albo Madinat al-Qamar, oba te określenia oznaczają „miasto księżycy”.

– Wie pan, jak tam trafić?

– Byłem tam dwa razy. Nie spodziewałem się, że zawitam tam po raz trzeci, ale rozumiem pani tok myślenia. Wydaje mi się, że moglibyśmy się porozumieć co do ceny za taką usługę. Uprzedzam jednak, to nie jest miłe miejsce.

– Jest przerażające – odezwał się dajmon, który tymczasem przysiadł na lewym ramieniu Ionidesa. – Cena będzie stosownie wysoka, by wynagrodzić moje cierpienie. Z własnej woli nigdy więcej byśmy tam nie wrócili. Jeśli tego właśnie pani chce, jesteśmy gotowi tam panią zaprowadzić. Nie powiem jednak, że zrobimy to z przyjemnością.

– To daleko stąd?

– Dzień, może dwa jazdy na wielbłądzie – odparł Ionides.

– Nigdy nie dosiadałam wielbłąda.

– Będziemy musieli panią nauczyć. Nie ma innego sposobu. Nie prowadzi tam żadna droga, nie dojeżdża pociąg... Jest tylko pustynia.

– Dobrze. Proszę podać cenę.

– Sto dolarów.

– To zbyt wygórowana kwota. Kiedy tak pana słucham, wydaje mi się, że taka wycieczka jest warta najwyżej sześćdziesiąt.

– Panno Złota, nie docenia pani trudów tej podróży. Wyprawa do świata nocy to coś zupełnie innego niż zwyczajna turystyczna wycieczka do rzymskiej świątyni czy ruin teatru z malowniczymi kolumnami i wałającymi się wszędzie kawałkami kamienia, przy których stoi kramik z lemoniadą i pamiątkami. Będziemy stąpać po granicy niewidzialnego, zapuścimy się do królestwa niesamowitości. Czyż nie jest to warte sumy wyższej niż podana przez panią, a która ledwie wystarczy na wynajęcie jednego wielbłąda? Dziewięćdziesiąt.

– Nadal za dużo. Kontakt z tym, co niesamowite, mogę mieć w każdej chwili. W przeszłości rzeczy niewidzialne i nadprzyrodzone towarzyszyły mi całymi tygodniami. W tej chwili potrzebuję po prostu przewodnika, który zabierze mnie do tego nocnego miasta czy wioski. Zapłacę siedemdziesiąt dolarów.

– Z ubolewaniem słucham o tym, że chce pani podróżować jak żebraczka.

Zważywszy na niebezpieczeństwa i konsekwencje takiej wyprawy, przez szacunek dla mieszkańców miasta, dla mnie, skromnego przewodnika, a także dla pani dajmona wypadałoby raczej odbyć ją w stylu potwierdzającym pani szlachetne pochodzenie i ogrom pani współczucia. Osiemdziesiąt dolarów.

– Niech będzie osiemdziesiąt – zgodziła się zmęczona Lyra. – Dwadzieścia pięć z góry, dwadzieścia pięć po dotarciu do Błękitnego Hotelu, trzydzieści w Aleppo.

Ionides ze smutkiem pokręcił głową. Siedzący na jej czubku dajmon nie odrywał wzroku od Lyry.

– Jestem ubogim człowiekiem i po tej podróży nadal nim będę. Miałem nadzieję odłożyć z mojego wynagrodzenia coś na starość. Cóż, widzę już, że to niemożliwe. Ale słowo się rzekło, zabiorę tam panią. Po trzydzieści dolarów za każdy etap podróży.

– Nie. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia pięć, trzydzieści.

Ionides się uklonił. Gekon zeskoczył w podstawione dłonie i znów liznął się po oczach.

– Kiedy chciałaby pani wyruszyć?

Umarłe miasto

Przez cały następny dzień Lyra jechała na wielbłądzie zamknięta w małym, prywatnym namiocie bólu. Ionides zachowywał się z humorem i taktownie: wiedział, kiedy może sobie pozwolić na przyjazną uwagę, a kiedy lepiej będzie milczeć, pilnował, żeby piła dużo wody, a w południe znalazł im ocienione miejsce na odpoczynek.

– Stąd już naprawdę niedaleko, panno Złota – powiedział, kiedy odpoczywali. – Oceniam, że w porze zachodu słońca powinniśmy znaleźć się w okolicy Madinat al-Qamar.

– Był pan tam, tak? Wszedł pan do środka?

– Nie. Będę z panią nieskazitelnie szczerzy: bałem się. Nie powinna pani lekce sobie ważyć lęku, jaki w osobach pełnych, kompletnych, wzbudza perspektywa spotkania z dajmonami żyjącymi bez ludzi, a nawet myśl o samym procesie rozdzielenia.

– Nie lekceważę go, sama też go dawniej odczuwałam. A przez ostatnie dwa i pół tysiąca mil regularnie wzbudzam go w innych.

– Naturalnie. Nie śmiałybym sugerować, że nie ma pani głębokiej, gruntownej świadomości tego faktu. Jednakowoż skutek mojej reakcji emocjonalnej był taki, że bałem się podążyć za klientami dalej niż na obrzeża Błękitnego Hotelu, o czym zresztą uprzedziłem ich z absolutną otwartością. Weszli sami. Wprawdzie zaprowadziłem ich na miejsce, ale nie mogłem przecież ręczyć za wynik ich poszukiwań; obiecałem, że zabiorę ich do Błękitnego Hotelu, i słowa dotrzymałem. W stu procentach. Reszta zależała już tylko od nich.

Lyra pokiwała głową. Była tak wyczerpana, że ledwie miała siłę mówić.

Ruszyli w dalszą drogę. Wyjęła z kieszeni puszczkę balsamu od Ionidesa i balansując na grzbiecie wielbłąda, podważyła wieczko i nałożyła odrobinę specyfiku na wierzch rwącej ją wściekle dłoni, a także, w ramach eksperymentu, na skronie. Dręczący ją od kilku dni ból głowy trzymał się mocno, a odbite od otaczającego ich piasku słońce bynajmniej nie pomagało, ale wkrótce cudowny chłód rozlał się po jej czole, przynosząc ulgę, i nawet odbłaski światła zdawały się przygasać.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o tym balsamie, panie Ionides.

– Kupiłem go od szefa karawany, który dopiero co przybył z Samarkandy. Zapewniam panią, że jego zalety są szeroko znane.

– Skąd pochodzi?

– Któż to może wiedzieć? Z miejsca leżącego jeszcze dalej na wschód, za najwyższymi górami na świecie. Karawany nie przechodzą przez tamtejsze przełęcze,

na tak dużej wysokości byłby to wysiłek nazbyt wielki nawet dla wielbłądów. Jeżeli ktoś chce przewieźć towar z jednej strony gór na drugą, musi negocjować z *bagażti*.

– A co to jest? Albo kto?

– To istoty o tyle podobne do ludzi, że potrafią mówić i mają własny język, a zarazem różne od nas przez to, że jeśli mają dajmony, to albo żyją one we wnętrzu ich ciał, albo są niewidzialne. Z wyglądu przypominają nieduże wielbłądy, chociaż mają krótsze szyje i są pozbawione garbów. Najmują się w charakterze tragarzy. Mają przykre usposobienie, są wredne, niesympatyczne... Szkoda słów. Aroganckie. Ale potrafią pokonywać najwyższe przełęcze z niewiarygodnie ciężkim ładunkiem.

– Czyli jeśli ten balsam pochodzi z gór...

– To przynajmniej część drogi musiał pokonać na grzbiecie *bagażti*. *Bagażti* mają zresztą jeszcze jedną zaletę. W górach żyją olbrzymie drapieżne ptaki, niezwykle żarłoczne i skrajnie niebezpieczne, znane jako *oghâb-gorg*. Tylko *bagażti* mogą stawić im czoło: potrafią pluć odrażającym jadem na znaczne odległości, i to nadzwyczaj celnie. Ptaki nie są tym zachwycone i często rezygnują z napaści. Dlatego płacąc *bagażti* za ich usługi, szef karawany wie, że w ten sposób zapewnia bezpieczeństwo sobie i swoim towarom. Oczywiście nie pozostaje to bez wpływu na cenę tychże. Pozwoli pani, że zapytam: czy ból ustąpił?

– Nieco zelżał, dziękuję, że pan pyta. Wiedział pan wcześniej o istnieniu tego balsamu? Specjalnie pan o niego rozpytywał?

– Wiedziałem, a jakże. Dlatego udało mi się dotrzeć do kupca, o którym wiedziałem, że najprawdopodobniej będzie mógł mi go sprzedać.

– Czy nosi on jakąś specjalną nazwę?

– *Gülmuron*. I to jest prawdziwy *gülmuron*, bo trzeba pani wiedzieć, że istnieje wiele jego podróbek, które nie mają tak pożytecznych właściwości.

– Zapamiętam. Dziękuję.

Rwanie w ręce stało się prawie znośne, ale na dokładkę do innych cierpień Lyrą poczuła dobrze znajomy, przenikliwy, ciągnący ból w podbrzuszu. Cóż, to był ten czas. Właściwie było to na swój sposób pocieszające: skoro ten organ działał jak należy, miała prawo przypuszczać, że jej ciało jest w niezłej kondycji.

Sama ta świadomość nijak jednak nie pomniejszała dręczącego ją dyskomfortu, więc kiedy słońce dotknęło horyzontu i Ionides zarządził postój na noc, przyjęła jego decyzję z ulgą.

– Jesteśmy na miejscu? – spytała. – Czy to Błękitny Hotel?

Rozglądając się dookoła, widziała długie pasmo wzgórz... nie, nie wzgórz nawet, raczej skalistych pagórków... z prawej strony i bezkresną płaską pustynię z lewej. Dokładnie na wprost piętrzyła się masa potrzaskanych kamieni, w której na pierwszy rzut oka trudno było się doszukać pozostałości dawnego miasta, gdyby nie ostatnie promienie słońca padające na czubki ustawionych w szeregu kolumn z mocno zerodowanego wiatrami jasnego wapienia, których inaczej mogłaby nie zauważyć. Kiedy Ionides zakrzętnął się przy wiązaniu wielbłądów i rozpalaniu ogniska, ona wspięła się na najbliższą skałkę, spojrzała na masę chaotycznie rozrzuconych kamiennych bloków i zaczęła w niej dostrzegać regularne kształty: prostokąt zburzonych murów, łuk, który wprawdzie się przechylił, ale nie runął, wybrukowaną otwartą przestrzeń, która w przeszłości mogła być rynkiem albo forum.

I ani śladu życia. Jeżeli naprawdę mieszkały tu jakieś dajmony, to dobrze się

ukrywały i zachowywały bardzo, bardzo cicho.

– To na pewno właściwe miejsce? – zapytała, przysiadając się do Ionidesa przy ognisku, nad którym opiekął już jakieś mięso.

– Panno Złota... – odparł urażonym tonem. – Nie spodziewałem się, że będzie pani tak zatwardziałą sceptyczką.

– Nie zatwardziałą, tylko po prostu ostrożną. Czy to jest to miejsce?

– Zapewniam, że tak. To szczątki miasta. Wszystkie te kamienie, które pani widzi, to pozostałości budynków; niektóre ściany stoją do dziś. Wystarczy wejść pomiędzy nie, by poznać, że znajduje się pani w dawnym ośrodku kulturalnym i handlowym.

Lyra patrzyła na wydłużające się cienie. Ionides obracał tymczasem mięso nad ogniem, a na osmolonej patelni upiekł płaski placek z mąki z odrobiną wody. Niebo niemal całkowicie szerniało.

– Teraz porządnie się pani wyśpi, a z samego rana wstanie rześka i świeża i zapanuje się w głąb ruin.

– Pójdę tam jeszcze dziś w nocy.

– Czy to aby na pewno rozsądne? Na sto procent?

– Nie wiem, ale taki właśnie mam plan. Gdzieś tam jest mój dajmon, chcę go jak najszybciej znaleźć.

– To zrozumiałe, ale mogą się tam czaić jeszcze inne stwory od dajmonów.

– Jakie stwory?

– Zjawy, upiory rozmaite, wysłannicy Złego.

– Pan w to wierzy?

– Oczywiście! Niewiara byłaby błędem z racjonalnego punktu widzenia.

– Niektórzy filozofowie twierdzą, że błędem jest właśnie wiara, nie jej brak.

– W takim razie proszę wybaczyć moją szczerość, panno Złota, ale to znaczy, że w ich wypadku rozsądek wziął rozbrat z resztą ciała. A to nadzwyczaj nieroztropne.

Lyra nie zareagowała od razu, ponieważ musiała mu przyznać rację. Zgadzała się z nim instynktownie, nawet jeśli nie rozumowo, bo część jej umysłu wciąż tkwiła w niewoli poglądów Talbota i Brandego. Zanim jednak przełknęła ostatnie kęsy delikatnego mięsa i gorącego chleba, dotarło do niej, jak bardzo nie na miejscu jest przenoszenie ich uniwersyteckiego sceptycyzmu do Błękitnego Hotelu.

– Słyszał pan kiedyś określenie „tajemna wspólnota”?

– Nie. Do czego się odnosi?

– Do świata na wpół widzianych rzeczy i na wpół słyszanych szeptów. Do wszystkich zjawisk, które ludzie wykształceni uważają za przesady. Do elfów. Duchów. Nawiedzeń. Stworzeń nocy. Bytów, których wedle pańskich słów Błękitny Hotel jest pełny.

– Tajemna wspólnota... Nie, nie znam tego wyrażenia.

– Może ma również inne nazwy.

– Z pewnością.

Ionides ostatnim kawałkiem chleba wytarł patelnię do czysta i zjadł go bez pośpiechu.

Wyczerpana Lyra balansowała na krawędzi delirium. Rozpaczliwie chciało jej się spać, ale wiedziała, że jeżeli teraz się podda i przyłoży głowę do poduszki, obudzi się, dopiero gdy poranek rozjaśni niebo. Ionides zaczął się krzątać po małym obozowisku: zgasił ognisko, wziął swoje koce, zwinął sobie papierosa z zieleńca fajkowego, w końcu

przysiadł w czarnym cieniu wielkiego jak wielbłąd głazu. Tylko żarzący się czubek papierosa zdradzał jego obecność.

Lyra wstała, czując wszystkie sińce i skaleczenia z osobna. Najgorsza była ręka. Wzięła odrobinę balsamu na czubek palca i rozsmarowała go na skórze ruchem delikatnym jak muśnięcie motyla, gdy przysiadła na źdźbło trawy.

Schowała balsam do plecaka, obok alethiometru, i ruszyła w stronę ruin, oddalając się od ogniska. Księżyc piął się po niebie, a nad jej głową rozpościerała się szeroka połać Drogi Mlecznej: każdy z jej świetlistych punkcików był słońcem w swoim własnym układzie słonecznym, może oświetlał i ogrzewał planety, może także życie – i może jakaś zaciekawiona istota patrzyła w tej chwili stamtąd na gwiazdę, która była słońcem Lyry, na jej świat i na nią samą.

W świetle księżycy martwe kości miasta były prawie białe. Kiedyś toczyło się tu życie, ludzie jedli, pili, śmiali się, kochali, zdradzali i bali się śmierci, a dziś nie pozostał po tym żaden ślad. Białe kamienie, czarne cienie. Zewsząd dobiegały ją szepty – a może tylko konwersacje kochających noc insektów. Cienie i szepty. Natrafiła na ruiny małej bazyliki: tutaj ludzie się modlili. Nieopodal zwieńczony klasycznym frontonem łuk stał pomiędzy niczym i niczym. Niegdyś ludzie przechodzili pod nim, prowadzili wózki zaprzężone w osiołki, przystawali, plotkowali w jego cieniu w skwarze dawno martwego dnia. A tu była studnia, fontanna, a może źródło, w każdym razie ktoś uznał, że warto wykuć trochę kamiennych bloków i zbudować z nich zbiornik na wodę i ozdobić go podobizną nimfy. Czas zatarł wizerunek, zbiornik wysechł, a zamiast ciurkania wody było słyszeć owadzi świergot.

Szła więc dalej, coraz bardziej zagłębiając się w cichy księżycowy krajobraz Błękitnego Hotelu, Miasta Księżycy.

A Oliver Bonneville patrzył. Leżał wśród głazów na szczycie najbliższego obozowisku pagórka, gdzie wspiął się niedługo po przybyciu Lyry i Ionidesa, i przez lornetkę śledził Lyrę kluczącą wśród gruzów umarłego miasta. Obok niego leżał naładowany karabin.

Urządził się najwygodniej, jak było to możliwe bez rozpalania ognia. Jego wielbłąd klęczał w pewnym oddaleniu, żuł jakieś twarde zielsko i robił wrażenie pogrążonego w głębokiej zadumie.

Bonneville pierwszy raz oglądał Lyrę na żywo i był zaskoczony tym, jak bardzo różni się od wizerunku, który znał z fotogramu: krótkie ciemne włosy, udręczona, ściągnięta twarz, ból i wyczerpanie widoczne w każdym ruchu. Czy to na pewno ta sama dziewczyna? Czy mogła aż tak się zmienić? Może przez pomyłkę śledził zupełnie inną osobę?

Kusiło go, żeby od razu wejść w ruiny i tam się z nią zmierzyć, zarazem jednak bał się to zrobić, bo przypuszczał, że znacznie łatwiej będzie strzelić komuś z daleka w plecy, niż uczynić to samo, stanąwszy z nim twarzą w twarz. Mężczyznę, który jej towarzyszył, poganiacza wielbłądów i przewodnika, traktował co najwyżej jako nieszkodliwego natręta. Parę dolarów zamknie mu usta.

Lyra – doskonale widoczna w świetle księżycy, kiedy z mozołem przedzierała się

przez labirynt kamiennych złomów – stanowiła łatwy cel. A Bonneville dobrze strzelał, wszyscy Szwajcarzy chętnie angażowali się w takie zajęcia jak służba wojskowa, myślistwo i strzelectwo. Jeżeli jednak chciał mieć pewność, że trafi, powinien załatwić sprawę szybko, zanim Lyra zanadto zagłębi się w ruiny Błękitnego Hotelu.

Odłożył lornetkę i ostrożnie, bezgłośnie sięgnął po karabin. Doskonale znał i czuł ciężar broni, jej długość, dotyk opartej o ramię kolby. Opuścił głowę, spojrzął ponad lufą w dal i przesunął biodra ułamek cala w bok, żeby lepiej się ułożyć.

Nagle przeżył potworny wstrząs.

Jakiś mężczyzna leżał nie dalej niż trzy stopy na lewo od niego i mu się przyglądał.

– Och... – sapnął Bonneville.

Szarpnął się instynktownie, wykręcił w bok, odsunął. Jego dajmon wzbił się w powietrze, w panice trzepocząc skrzydłami.

Mężczyzna ani drgnął, tak jakby karabin w roztrzęsionych rękach Bonneville'a nie robił na nim najmniejszego wrażenia. Był niesamowicie, wręcz nieludzko spokojny. Jego dajmon, gekon, siedział na kamieniu za jego plecami i co rusz oblizywał sobie ślepie.

– Kim... Skąd się tu wzięłeś? – wychrypiał Bonneville, odruchowo wybierając francuski. Dajmon sfrunął mu na ramię.

Poganiacz wielbłądów i przewodnik Lyry odparł w tym samym języku:

– Nie widziałeś mnie, bo zawęziłeś sobie perspektywę. Ja cię obserwuję od dwóch dni i coś ci powiem: jeżeli ją zabijesz, popełnisz wielki błąd. Nie rób tego. Odłóż broń.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Abdel Ionides. A teraz odłóż broń. Ale już!

Serce Bonneville'a łomotało tak głośno, że wydawało mu się, iż słyhać je na zewnątrz. Krew tętniła mu w głowie. Rozluźnił ręce, położył karabin na ziemi i odepchnął go od siebie.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Żebyś na razie ją oszczędził. Istnieje wielki skarb, który tylko ona może zdobyć. Jeżeli ją teraz zabijesz, nigdy go nie dostaniesz. Co ważniejsze, ja również go nie dostanę.

– Jaki skarb? O czym ty mówisz?

– Nie wiesz?

– Powtórzę: o czym mówisz? Gdzie jest ten skarb? Nie masz chyba na myśli jej dajmona?

– Oczywiście, że nie. Skarb znajduje się trzy tysiące mil na wschód stąd i, jak już powiedziałem, ona jest jedyną osobą, która może go zdobyć.

– I ty chcesz, żeby go zdobyła, bo wtedy go dostaniesz?

– A jak myślisz?

– Dlaczego miałbym się przejmować tym, czego chcesz? Nie interesuje mnie skarb odległy o trzy tysiące mil. Chcę jej zabrać coś, co już ma.

– Jeżeli to zrobisz, nie znajdziesz skarbu. Posłuchaj: mówię do ciebie ostrym tonem, ale nie mogę cię nie podziwiać. Jesteś przedsiębiorczy, śmiały, pomysłowy. Podobają mi się te cechy, uważam, że powinny zostać nagrodzone. Ale w tej chwili jesteś jak

ten wilk z bajki, który porywa pierwsze jagnię z brzegu i budzi pasterza. Skupiłeś się na niewłaściwym aspekcie sprawy. Czekał, patrz i ucz się. W odpowiednim momencie zabijesz pasterza i będziesz miał całe stado dla siebie.

– Mówisz zagadkami.

– To metafora. Jesteś wystarczająco inteligentny, żeby ją zrozumieć.

Bonneville milczał długą chwilę.

– Co to za skarb? – zapytał w końcu.

Ionides zaczął mówić – cicho, z przekonaniem, w zaufaniu. W bajce, którą kojarzył Bonneville, bohaterem był lis, nie wilk, ale spodobało mu się porównanie do wilka, zwłaszcza że w ogóle uwielbiał pochwały z ust starszych mężczyzn. Kiedy więc księżyc wspinał się po niebie, coraz bardziej odległa Lyra kontynuowała samotną wędrówkę w głąb nawiedzanego przez dajmony umarłego miasta, a Ionides mówił – Bonneville słuchał. Kiedy zaś ponownie spojrzął na miasto, Lyry nie było nigdzie widać.

Zniknęła mu z oczu, bo skręciła, żeby obejść bokiem potrzaskaną masę lśniącego marmuru, która dawniej była świątynią, i znalazła się na końcu kolumnady, której cienie jak czarne słupy przecinały śnieżnobiały kamień ścieżki.

Na jednym z kamiennych bloków siedziała dziewczyna w znoszonej sukience. Mogła mieć jakieś szesnaście lat i – sądząc po wyglądzie – pochodziła prawdopodobnie z Afryki Północnej. Nie była zjawą, bo rzucała cień. I podobnie jak Lyra nie miała dajmona.

Na widok Lyry zerwała się na nogi. Sprawiała wrażenie spiętej i zaleknionej.

– Panna Złotousta – powiedziała.

– Zgadza się – przytaknęła zdumiona Lyra. – Kim jesteś?

– Nazywam się Nur Huda el-Wahabi. Chodź, szybko. Czekaliśmy na ciebie.

– Czekaliście? Ty i kto? Chyba nie mówisz o...

Nur Huda pociągnęła ją za prawą rękę i śpiesznym krokiem ruszyły wzdłuż kolumnady w głąb ruin.

Ciąg dalszy i zakończenie nastąpi...

*Czekała więc tak aż do późnej nocy,
Lecz nie ujrzała ni jednego stwora.
Gdy cień smutny wszystek świat omroczył
i posępnej ciemności nastąpiła pora,
zbroi nie porzuciła, bojąc się potwora,
choć ta ciężarem swoim srodze ją strudziła,
Znużeniu się oparła, do zaśnięcia skora,
kryjówkę znalazła, wnet się w niej schroniła
I broń swą ostrą w fałdach sukni skryła.*

Edmund Spenser, *Królowa wieszczek*, 3 XI 55

PODZIĘKOWANIA

Wielu ludziom jestem winien podziękowania za pomoc przy pisaniu tej historii – i oddam im należyty hołd na zakończenie ostatniego tomu. Zaciągnąłem jednak trzy szczególne długi, które chciałbym spłacić od razu. Pierwszy – wobec Katharine Briggs i jej znakomitego dzieła *Folk Tales of Britain*, w którym pierwszy raz przeczytałem historię zabitego księżycyca. Drugim moim wierzycielem jest Nick Messenger, poeta i malarz, z którego relacji z rejsu szkunerem Wołga, zawartej w wierszu *Sea-Cow*, zaczerpnąłem dzieje fosforobrazowej śruby napędowej. Trzeci dług mam wobec Roberta Kirka (1644–1692), którego obfitująca w cudowności książka *The Secret Commonwealth, or an Essay on the Nature and Actions of the Subterranean (and for the Most Part) Invisible People Heretofore Going Under the Names of Fauns and Fairies, or the Like, Among the Low Country Scots as Described by Those Who Have Second Sight* zainspirowała mnie na wielu poziomach, wśród których wcale nie najmniej ważnym było uświadomienie mi wagi dobrego tytułu. Podkradłem go więc, przynajmniej częściowo.

Trzem występującym w tej książce postaciom nadałem nazwiska prawdziwych ludzi, których przyjaciółom zależało na upamiętnieniu ich w dziele literackim. Pierwszą jest Bud Schlesinger, znany nam już z *La Belle Sauvage*. Druga to Alison Wetherfield, z którą spotkamy się ponownie w ostatnim tomie. Trzecią zaś jest Nur Huda el-Wahabi, jedna z ofiar straszliwego pożaru w Grenfell Tower. Jestem zaszczycony, że mogłem w ten sposób uczcić ich pamięć.